

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Gabriela Zapolska**

**Kaśka  
Kariatyda**

T

ower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Przedmowa

*Pisz, coś widział –  
Pocziwość prawdy się nie lęka.<sup>1</sup>*

Ignacy Krasicki

*W tych kilku słowach cała moja obrona. „Pocziwość prawdy się nie lęka!” Jak wielka to myśl, jaka niezwalczona! Dlatego stawię ją jako straż przednią, niech ona wita każdego, kto roztworzy tę książkę. Pocziwość prawdy się nie lęka, więc śmiało, Czytelniku lub Czytelniczko, podajcie mi rękę i zajrzyjmy wspólnie do tych nędz wielkich, do tych nieszczęść, kończących się zbrodnią, do tego kału – według wyrażeń naszych dobrych znajomych... Nie bój się, kobieto, czytaj śmiało te karty, kał nie dotknie twej białej szaty, bo tylko brud lgnie do brudu, a chorzy boją się ran swoich.*

*Niedola takich, jak Kaśka, istot, ich stopniowy upadek, na koniec śmierć – toć nie kał, nie brud, lecz prawda tak wielka, że jak płomień słońca przedziera się przez tajemniczą zasłonę, jaką by fałszywi pocziwcy osłonić ją chcieli.*

*Tuż obok Ciebie może jest taka Kaśka, walcząca z pokusami świata, ciemna, nieświadoma, pełna najlepszych chęci, ale i najgorszych, wrodzonych już instynktów. Ta istota cierpi, walczy, wyciąga nieraz ramiona, szukając bezwiednie punktu moralnego oparcia, i nigdzie nie znajduje podpory i rady, żaden głos ją nie pokieruje, nikt nie zapyta, co jej dolega. Czyż od chlebobdawczyni swej ma prawo żądać tylko łyżki stawy i regularnej zapłaty? Czyż po zgotowaniu dobrego rosółu i uprasowaniu bielizny taka Kaśka przestaje istnieć dla swej pani? Wszak to kobieta, kobieta taka sama, jak i Ty, piękna Czytelniczko, ale ileż od Ciebie nieszczęśliwsza! Sponiewierana, rzucona na bezdroże, bezustannie pracująca jak wół w jarzmie, upada wreszcie, nie umiejąc zaczerpnąć w sobie samej siły do odparcia pokusy. I gdyby na tym był koniec! Ależ nie – upadek takiej kobiety ciągnie za sobą cały szereg nędz, a często i zbrodni. Wszak największy procent dzieciobójczyń dają służące. Jest to fakt stwierdzony. Dlatego to podjęłam tę niewdzięczną pracę. Wiele już musiałam przecierpieć od ludzi małej inteligencji i jeszcze mniejszego serca. Według nich, jedynie chęć rozgłosu skłania mnie do pisania „Kasiek” i „Małaszek”. Dziwią się, że kobiety nie wahają się odsłonić najstraszniejszej nędzy innych kobiet i zawołać wielkim głosem: „Patrzcie! w ten sposób konają istoty, za którymi gonicie, odbierając im krasę, młodość, a dając im w zamian nędzę i cierpienie!” O, zaprawdę! pocziwy prawdy się nie lęka. Ten, kto nie ma na sumieniu zgonu takiej „Kaśki”, śmiało przeczyta ją do końca. I te „studia położeń”, jak nazwał moją powieść pewien brukowy świstek, może pozostawią w jego umyśle trwalsze wspomnienie niż stosy romansów bezcelowych, tworzonych w niezdrawej woni źle umeblowanych buduarów, które jako główny cel mają do wykazania, że kobiety owijają się w jedwabie i mają niezmiernie długie rzęsy, a mężczyźni – wyniosłe czoła i masy pustych frazesów w ustach. Dlatego to ludziom „pocziwym” polecam śmiało moją biedną Kaśkę. Czytajcie ją sercem, tak jak ja ją sercem pisałam. Niech Was forma zbyt szczerą nie trwoży. Wszakże to nasz Skarga powiedział: „Prawda, jak uczciwa niewiasta, w lada sukni piękna*

---

<sup>1</sup> *Pisz, coś widział... – zakończenie Listu VI, Do ks. Adama Naruszewicza, koadiutora smoleńskiego*

*jest i przyjemna; nieprawda, jako nierządnicą, słowy się przybiera i muszcze”. Niech Was także nie dziwi rodzaj sentymentalizmu, wiejący chwilami z tych kartek. To „prawda” także, to życie tak, jak ono jest, z tym, co nam daje pięknego i nędznego, z poezją i prozą swoją. Ja biorę wszystko, co jest pod ręką, a skarby to nieprzebrane, tkane czarną i złotą przędzą. Nie naśladowuję nikogo, choć mi i plagiaty zarzucano. Spisuję to, co zobaczę, to, co mi w serce się wgryzie nędzą swoją lub ukołyszczarem prawdziwej poezji. Oryginalnością rozgłosu nie pragnę się dobić, bo smutny to rozgłos, gdy najlepszą myśl ludzie spaczają i brudną duszą szukając brudu, jedynie tylko formę widzą, o treść i cel nie pytając się nawet. Czyż to osławiona Nana Zoli nie tłumaczy swego istnienia tym jednym krzykiem: à Berlin, kończącym cały ten tak zohydzony romans? Nanę usprawiedliwił upadek Francji, moją biedną Kaśkę niech uniewinnią trupy dzieci, znajduwane prawie codziennie. Wiem, że w oczach tych ludzi, którzy zwykli wyszukiwać we wszystkim kału i bezwstydu, nawet trup dziecka, zgłodzonego przez własną matkę, łaski nie znajdzie – ale o zdanie takich jednostek, które lubią prawdę nakręcać do swych upodobań, które w Nanie, zamiast szczytnej przewodniej myśli francuskiego pisarza, widzą tylko nagie ciało i zakrywają przed nim obłudnie przygastę od rozpusty oczy – o zdanie takich ludzi nie dbam wcale. Nie piszę dla nich, piszę dla „pocziwych”, bo ci się „prawdy nie zleknią”.*

Gabriela Śnieżko-Zapolska

Dnia 18 lipca 1887 r. Warszawa

*I choćby z krzykiem rwał włosy na głowie,  
Nikt się – co robi, jak żyje – nie spyta.  
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie.  
Wolny najmita!*

Maria Konopnicka

„Stajała przed bramą i buła piskate!...” – kończyła pani domu, spoglądając z niechęcią na książkę służbową.

– Nieszczerólna rekomendacja – dodała po chwili, zamykając książeczkę, i usiadła na wyplatanym krześle, jedynym możliwym meblu z rozlicznych sprzętów, przepelniających ciasną i ciemną kuchenkę.

Była to niska, młoda jeszcze kobieta, rozlana w swym niebieskim szlafroku, z głową zgniecioną, płaską, pokrytą włosami żółtymi. W ciemnej przestrzeni kuchennej jaśniały te włosy światłem matowym, łącząc się dość harmonijnie z żółtawą cerą twarzy i oczami barwy niepewnej. Uszy tłuste, leniwe, niezdrowe, obciążone ku szyi ciężarem lawowych<sup>2</sup> czarnych kolczyków, i usta wąskie, blade ukrywały równie blade dziąsła i świadczyły dostatecznie o niedokrewności tej masy ciała, rozrastającej się wśród wilgotnych ścian szczupłego mieszkania. Całe beczynne życie żon urzędników płynęło leniwą falą pod tą skórą żółkłą, przezroczystą i delikatną jak gaza jedwabna. Tylko usta zaciśnięte, prawie zsiniałe od wilgoci spadającej z murów, tylko ręce płaskie o pełnych dłoniach i oczy niewielkie, ciężkimi przysłonione powiekami, miały jakieś drganie, zdradzały ukrytą namiętność pantery – właściwą kobietom anemicznym, których życie wbrew higienicznemu przepiśsom upływa wśród atmosfery sąsiadującej z kuchnią sypialni.

– Nazywasz się?... – pytała dalej pani domu, a głos jej leniwy, tłusty rozlewał się wśród cienia, jak ona sama, i drgał długo wśród fal powietrznych, przeciągając się bez końca.

Stojąca przy drzwiach dziewczyna podniosła głowę.

– Nazywam się Kaśka Olejarek – odpowiedziała lękliwie, a głowa jej opadła natychmiast na piersi.

– Masz rodziców? – ciągnęła dalej indagację pani domu.

Po twarzy Kaśki przemknęło coś na kształt smutku... Nie odpowiedziała wcale.

Woźny z kantoru, mały, niepokazny człowiek, ubrany w szary surdut beżowy, uznał za stosowne wmieścić się do rozmowy.

– To jest sierota, proszę wielmożnej pani... Nie ma nikogo... Niedawno przysła do miasta... Była tylko w jednym obowiązku, u państwa Lewi...

– U Żydów! – przerwała pani, a usta jej wykrzywiły się z pogardą.

Nastąpiła chwila milczenia. Woźny umilkł przygnieciony antysemitycznym usposobieniem pani, a Kaśka nie dodała nic na swoje usprawiedliwienie, tylko jeszcze więcej pochyliła głowę.

W umyśle jej przesuwało się tysiące przykrych myśli, Odprawiona wczoraj nagle, prawie bez powodu od Pinkusa Lewi, znalazła się na bruku, mając zaledwie dwa złote w kieszeni. Nocleg znalazła u swej przyjaciółki, Rózi, posługującej w mleczarni, ale nadużywać gościnności tej nie mogła.

Rózia żyła „na wiarę” z czeladnikiem krawieckim. Para ta miała tylko jedną izdebkę, a obecność mężczyzny żenowała Kaśkę. Budziły się w niej nieokreślone pragnienia, a dziwny przestach ścisnął jej serce... Nie! ona tam stanowczo więcej nocować nie mogła. Cóż pocznie, jeśli ta pani nie zechce przyjąć jej natychmiast? W tej chwili ciemna i smutna kuchenka przedstawiała się w oczach dziewczyny jak port bezpieczny i cichy, a brudny sufit zdawał się być pożądanym dachem, pod którym pragnęłaby złożyć swą głowę.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda – rzekła pani, rozbierając wzrokiem sformowane kształty dziewczyny.

---

<sup>2</sup> lawa – sztuczny, czarny kamień, z którego wyrabia się tańszą biżuterię

– Mam lat dwadzieścia – odpowiada Kaśka, a jej ręce spracowane i czerwone zaciskają się ruchem nerwowym pod fałdami szarej, zniszczonej chustki.

– Przysuń się bliżej, pragnę cię zobaczyć – mówi pani, podnosząc się z krzesła.

Kaśka stoi nieruchoma, z plecami przyciśniętymi do ściany.

Następuje interwencja woźnego.

– Idź, głupia, kiedy cię wielmożna pani woła.

Kaśka postępuje kilka kroków i staje na środku kuchni w wąskiej strudze światła, którą wlewa ukośne okienko, wciśnięte w długą framugę.

Olbrzymia postać dziewczyny rysuje się w tej jasności, potęgując się jeszcze w porównaniu do innych, niknących w cieniu przedmiotów. Duża, silna głowa, złączona z kością pacierzową szerokim karkiem, pokryta ciemnym włosiem i naprzód pochylona, ma w swym kształcie coś posagowego, pewne podobieństwo do tych starożytnych niewolnic, przeznaczonych do noszenia na głowie ciężkich, winem napełnionych amfor. Czoło niskie, gładkie, przecięte ciemnymi liniami brwi, nos prosty, nieruchomy, trochę w nozdrzach zgrubiały, usta świeże, zęby zdrowe, równe, podbródek okrągły – wszystko to, rozjaśnione wielkimi piwnymi źrenicami, tworzy całość miłą i pociągającą. Na tej kształtnej twarzy, szerniejszej od wichru i gorąca, widnieje dobroć nieograniczona, wiara w drugich i słodycz bezmierna. Olbrzymie, wypełnione ciałem ramiona, kształtne, choć zbyt silne zakreślenie gorsu, szerokie, ciężkie kończyny tworzą z tej dziewczyny typ zwierzęcia roboczego, przeznaczonego do dźwigania ciężarów i tak zwanej „grubej” roboty. Jest to wspaniałe, zdrowe ciało, o pospolitych, śmiałych konturach, materiał na matkę licznego rodu, który odznaczałby się niewątpliwie nadzwyczajnym zdrowiem, wzrostem olbrzymim i siłą zwierzęcą. Mimo tej męskiej prawie wysokości i pleców rosnącego mężczyzny Kaśka jest kobietą w całym tego słowa znaczeniu. Zwykle zbyt silne, wybujałe kobiety zatracają w sobie powaby niewieście i obnoszą swe niekształtne formy mięszańców z niezgrabną śmiałością urlopowanych żołnierzy. U Kaśki, przeciwnie, cały wdzięk kobiecy pozostał pomimo nadzwyczajnego rozrośnięcia się kości, a ciało jędrne, młode, pełne świeżości dziewczęcej, pokrywało szkielet i wypełniało go dokładnie. Jest to klasycznie zbudowana kobieta z gminu, gruba w pasie, na szerokich stopach – mimo to pełna wdzięku i łagodnej nieśmiałości. Głos, wychodzący z tych szerokich piersi, jest harmonijny, dźwięczny i cokolwiek drżący. Jest to raczej głos drobnej, szczupłej blondynki, zabłąkany w piersi tej wysokiej, tęgiej, ciemnookiej kobiety.

Pani domu przypatruje się z zadowoleniem olbrzymiej dziewczynie, zasłaniającej plecami ćwierć kuchennej przestrzeni. Jakkolwiek świadectwo pana Pinkusa Lewi mówi wyraźnie, że „stajała przed bramą i buła piskate”, panie nie chce wierzyć „Żydom” i przyjmuje Kaśkę do służby. Taka tęga dziewczka! Sama będzie nosić wodę, nie potrzeba więc płacić posługaczki... I skąpstwo polskiej gospodyni przemaga trwogę przez „piskowaniem” Kaśki. A zresztą – czyż podobna, aby ta dziewczyna, tak cicha, pokorna, pomimo swych olbrzymich kształtów pełna wdzięku łagodnego, mogła mieć wadę zuchwalstwa?

I ku ogólnej radości obwieszcza pani monotonnym swym głosem, że przyjmuje Kaśkę do służby. Potem poucza nową sługę o froterowaniu podłogi, noszeniu wody i węgla, praniu, prasowaniu i wszystkich obowiązkach, jakie spaść mają na plecy dziewczyny.

Kaśka stoi nieruchoma, z okiem utkwionym w brudną podłogę kuchni. Wie tylko, że ma gdzie zasnąć i przenieść swój ubogi kuferek. Reszta ją nie obchodzi; praca jest zawsze pracą, czy tu, czy u Pinkusów Lewi. Nie rozumie nawet, po co ta pani mówi tyle... Przecież ona nie uchyła się od żadnego obowiązku!... Pani podaje jej zmięty papierek guldenowy i żąda w zamian tak zwanego fantu. Kaśka wyciąga spod chustki złożoną starannie wełnianą spódnicę koloru fioletowego, przybraną plisami ze zrudziałego welwetu. Pani bierze fant i upomina Kaśkę, aby się stawiła najdalej za godzinę do służby.

Kaśka przyrzeka, całuje pokornie rękę swej przyszłej chlebodawczyni i wychodzi wraz z woźnym z kuchienki. Wychodząc, uderza się czołem o niskie drzwi i stoi przez chwilę w ciemnej sionce, ściskając w ręku otrzymanego przed chwilą guldena. Przed nią majaczy drobna postać kanto-



rowego, który po omacku stara się znaleźć poręcz od schodów. Znajduje ją wreszcie i woła na opóźniającą się dziewczynę. W gorącym zaduchu, pełnym kurzu i stęchlizny, wiją się kręcone schody, tak zwane „kuchenne”, popsute, otulone ścianą posmarowaną węglem i szernią od dymiących lampek naftowych, którymi służące rozjaśniały wieczorem ciemną i wąską przestrzeń. Woźny, klnąc, nasuwa czapkę i rozpoczyna karkołomną wędrówkę, trzymając się mocno skrzypiącej poręczy. Kaśka idzie za nim szybko, otwierając oczy, pragnąc się w ten sposób przyzwyczaić do panującej w klatce schodowej ciemności. Słabe, na wpół spróchniałe deski uginają się prawie pod olbrzymią stopą dziewczyny, spadającej ciężką masą w równych odstępach; schodzi na dół, nie licząc nawet pięt, uspokojona o swą przyszłość, pełna wiary i otuchy w miłosierdzie boskie. Pani wydała się jej uosobieniem piękna i dobroci po brzydkiej, wrzaskliwej pani Lewi, która kazała się „szanować” i przeglądała ustawicznie w miedzianych rondlach lub samowarze. I Kaśka, na samą myśl lepszego słowa lub pochwały z ust ślicznej pani, dostaje jakby zawrotu w głowie i ciśnienia w gardle. Schodząc na dół, myślała więc, jak będzie się starać, aby zasłużyć na tę pochwałę, jak będzie pracować całymi dniami i nocami... Nagle zaciskają się jej oczy pod wpływem żółtawego światła, które zajaśniało na zakręcie schodów. Nie jest to przecież już światło słoneczne, ale mdły płomień świecy łożowej, osadzonej w latarce i niesionej przez młodego mężczyznę, ubranego w szarawą bluzę i długi fartuch płócienny.

Woźny, uszczęśliwiony z wypadku rozjaśniającego mu dalszą część klatki schodowej, spuszcza się czym prędzej na dół – na wąskim przejściu pozostaje sama Kaśka naprzeciw młodego mężczyzny, niosącego w ręku latarkę. Ze zwykłą nieśmiałością przyciska się do ściany, pragnąc zostawić jak najszerze miejsce nadchodzącemu człowiekowi.

Pomimo jednak jej dobrych chęci szerokie jej ramiona zabierają wiele miejsca i mężczyzna mimo woli zmuszony jest otrzeć się o nią, aby przejść dalej.

– Ihi, diabeł tu łązi? – pyta niezbyt uprzejmym tonem, podnosząc w górę latarkę.

– To ja, Kaśka – odpowiada dziewczyna, oblewając się rumieńcem.

On przecież nie rumieni się wcale, ale owszem, śmieje się, pokazując w tym uśmiechu dwa rzędy zdrowych, białych zębów. Jest to stróż kamieniczny, młody, przystojny chłopak, śpieszący na strych, aby tam, z rozkazu gospodarza, obejrzeć popsuty dach. Dach nie ucieknie, a dziewczyna jest wcale ponętą. Patrzy więc na nią, szczęśliwy z jej zawstydzenia, ciśnie ją do muru, z wyrachowaniem pełnym nagle obudzonej namiętności. Ona, odurzona, pełna bezwiednej trwogi, ustępuje na próżno, starając się uwolnić od dotknięcia chłopaka, którego widok i obecność miesza ją niewypowiedzianie. Ta wielka, dwudziestoletnia dziewczyna, świadoma tajemnic życia, które zna tylko z opowiadania swych przyjaciółek lub przeczuć, ucieka zwykle przed podobnym sam na sam, które gorącym warem żyły jej zalewa. Ona pamięta o tym, że może pójść za męża, więc pragnie dobrze się prowadzić. Dlatego z takim wysiłkiem chce wyrwać się z przypadkowego sąsiedztwa, bo obecność tego uśmiechniętego chłopca jest dla niej nad wyraz ciężką i przykrą. On wszakże nie pozwala jej postąpić dalej, zagradza jej drogę.

– Co panna tu robi? Skąd panna wraca? Ja jestem stróż, muszę więc wiedzieć o wszystkim... Nie puszczę! Jak Boga kocham, nie puszczę...

Kaśka doznaje dziwnego ściśnienia w gardle. Ten młody, wesoły głos, rozlegający się czystą, dźwięczną gamą szczerego śmiechu, wzbija się w wąską, ciemną przestrzeń i spada na jej schyloną głowę odurzającą kaskadą. Z natury nieśmiała, dziewczyna traci zupełnie przytomność wśród tej dusznej, gorącej atmosfery i z bezwładnością dziecięcą opiera się o ścianę.

Mężczyzna widzi jej przestach i przybiera ton uspakajający.

– No! Czegóż bo się strachać? Ja panny nie ugryzę ani do becyrku nie zaprowadzę. Pytam: skąd i po co? Należy odpowiadać.

Milczenie. Kaśka, coraz bardziej przyciskana do ściany, czuje gorący oddech młodego chłopaka i z przestachem kryje głowę w ramiona. Ten gorący oddech robi na niej wrażenie oddechu rozjuszonego zwierza, dlatego z instynktem zachowawczym broni się przed nim, jak umie i może.

– Gdyby panna nie powiedziała, co się nazywa Kaśka, myślałbym, że panna niemowa, ale teraz myślę inakzej i nie puszcę, jakim Jan Viebik, dopóki panna nie przemówi i nie da buziaka.

Mówiąc te słowa, stróż podnosi wyżej latarkę i oświetla twarz Kaśki, a korzystając z obezwładnienia dziewczyny, jedną ręką obejmuje jej kibić i przysuwa do siebie.

– No – mówi dalej – powie panna, co tu robi?

Kaśka usiłuje zebrać myśli. Czuje, że jeżeli nie odpowie na zadane jej pytania, młody chłopak nie puści jej tak prędko, a jedynym jej dążeniem jest wyswobodzić się z tej sytuacji.

Jan Viebik z prawdziwą rozkoszą patrzy na zmieszanie dziewczyny.

Rosła kobieta, pełna życia i siły, drży w jego rękę jak najnędzniejsze stworzenie. Z rozkoszą prawdziwą przypatruje się jej szyi i bogatym liniom gorsu, bo jak żyje, nie widział takiej dziewczyny. Mdłe światło łojowej świeczki nie może dokładnie oświetlić tej wspaniałej postaci, ale Jan odgaduje instynktem i milknie, zdziwiony, na widok tej kobiety. Zwykle jego konkiety były to dziewczęta krępe, płaskie, czerwone, prawie zawsze małego wzrostu i nie dawały mu dokładnego wyobrażenia o podobnej doskonałości. W tej chwili stoi przed kobietą, według jego pojęcia, doskonałą tak pod względem form, jak i karnacji, choć w mdłym oświetleniu nie może dojrzeć dokładnie właściwego koloru jej włosów ani cery twarzy.

Porwany brutalną potęgą chwyta jej spuszczoną głowę i zbliża swe wargi do ust dziewczyny.

Kaśka nie odpycha go wcale, bo czuje, że jej sił zabraknie, ale drżącym, cichym głosem prosi łagodnie:

– Proszę was, dajcie mi odejść! Proszę...

I tyle gorącej modlitwy drga w tym cichym szepcie, taka bezmierna trwoga bije z jej rozszerzonych źrenic, że Jan cofa się z wolna przed tą istotną niewinnością, która siłą nie umie czy nie chce się bronić, a potężną osłonę znajduje tylko w serdecznej, szczerzej prośbie kobiecej.

– Dajcie mi odejść.

Kaśka wyrzekła te słowa. Dodała jeszcze „proszę”, a ta cicha prośba była stokroć silniejszą od wszelkich gwałtownych walk, jakie nieraz staczały z nim inne kobiety z tej sfery, w której się obrać. Ta olbrzymia dziewczyna nie użyła pięści dla swej obrony, pomimo że pod względem siły mogła się z nim mierzyć. Ona zdała się na jego łaskę i prosi pokornie o litość nad jej słabością. Tym wdziękiem kobiecym, tą pokorą przed przewagą męską zwalczyła go bezwiednie i ukoiliła wzburzone jego zmysły. Prosta, głupia, prawie zwierzęca natura uległa w milczeniu przed wyższością tej dziewczyny, różniącej się tak zewnętrznymi kształtami, jak i sposobem zachowania się od innych kobiet, które Jan w swoim życiu spotykał.

Zawstydzony prawie, usuwa się na bok w milczeniu i tylko podniesioną w górę latarnią oświetla ciągle twarz dziewczyny, która drżącą ręką zapina rozerwany koło szyi kaftanik. Wśród tego żółtego pasma bijącego przez potłuczone szyby latarni spotykają się nagle ich oczy. Źrenice dziewczyny ciemne, łagodne, pełne łez, i oczy mężczyzny niebieskie, płonące od tłumionej namiętności. Przez chwilę obiedwie pary oczów toną w sobie z dziwnym, nieokreślonym uporem i śmiałością ze strony dziewczyny. Nagle światło przygasa, migoce kilkakrotnie, jak wzrok konającego, i – świeczka gaśnie. Kaśka, Jan, ściany, schody, wszystko ginie w ciemności; ale dziewczyna teraz się nie lęka. Może być sto razy ciemniej, ona wie, że krzywdy nie dozna żadnej.

I otulając się w chustkę, prosi swym rzewnym, słodkim głosem:

– Pomóżcie mi zejść, bo nic nie widzę, a schodów nie znam.

On z uległością zbitego zwierzęcia czyni zadość jej żądaniu i schodzi pierwszy, prowadząc ją z dziwną delikatnością.

Wśród ciemnych, wąskich ścian, pomiędzy którymi wiją się schody, słychać tylko odgłos ich ciężkich kroków i przyśpieszony oddech Jana. Gorący zaduch owiewa mu rozpaloną głowę i wpada do płuc. W dłoni swej czuje grubą, szeroką rękę dziewczyny, drżącą jeszcze nerwowo, a drganie to sprawia mu przykrość nieokreśloną. W tej chwili zdaje mu się, że ona jest bardzo drobnym, małym stworzeniem, które przeraził swą brutalną napaścią i które pragnąłby przeprosić za uczynioną przy-

krość. A ona idzie wolno, wsłuchując się w jego oddech, którego gorące uderzenia czuje jeszcze w swej rozpalonej twarzy. Postępuje za nim uspokojona i pewna jego uczciwości.

Gdy nagle weszli do jasnej sieni, wśród której gorące promienie słoneczne rozpościerały się z całą brutalnością śródlecia, doznali oboje olśnienia. W ostrym blasku słonecznym Kaśka olbrzymiała jeszcze i stała przed nim w całej potężnej piękności rozwiniętej kobiety.

Wszystkie postanowienia Jana, powzięte wśród ciemności, co do uzyskania przebaczenia, pierzchnęły od razu na widok szerokich ramion i wspaniałych rozmiarów dziewczyny.

Tam, na górze, w wąskim schodowym przejściu, zdawała mu się Kaśka drobnym, drżącym stworzeniem. Gdy ją sprowadzał na dół, nikła mu w ciemności; czuł jej szorstką rękę w swej dłoni i słyszał stapanie. Tu, w blasku dziennym, jaśniej przed nim niezrównanym blaskiem urody, świeżości i pięknych kształtów. Pomimo nadzwyczajnej swej śmiałości i znanej odwagi do kobiet, czuje on się teraz wobec tej pięknej dziewczyny nieśmiałym. Pragnie coś przemówić, aby choć częściowo naprawić swój błąd i dać jej lepsze o sobie wyobrażenie. Ona powróciła już zupełnie do swej równowagi moralnej, w oczach jej nie widać było śladu gniewu, tylko jakiś żal migoce. Czuje ona, że gniewać się nie powinna. Młody chłopiec spotkał ją w ciemnym przejściu i próbował szczęścia. Nie jego to wina: gdyby inne dziewczęta nie upadały z taką łatwością, nie byłby przecież tak śmiałym. Zresztą nie stało się nic złego.

I serdecznym, miłym swym głosem dziękuje mu za sprowadzenie z niewygodnych schodów i wskazanie drogi.

– Przyszłam frontowymi – opowiada, patrząc zawsze w ziemię. – Pani zaprowadziła nas do kuchni, woźny poszedł pierwszy, a ja nie wiedziałam, gdzie jestem i co robię... Nie lubię ciemnicy.

Jan dorozumiewa się, że to służąca zgodzona do państwa z trzeciego piętra.

– To panna będzie służyć u tych... z majstratu? – pyta, wykrzywiając się pogardliwie i odzyskując powoli rezon utracony.

– Zdaje się, że pan jest w majstracie – odpowiada Kaśka. – Zgodziłam się do wszystkiego.

Wyraz twarzy Jana stawał się coraz pogardliwszym.

– Oj, to ci panna trafiła! Takie państwo...

Kaśka podniosła spuszczone powieki i utkwiała w mówiącego zdziwione oczy. Dla niej „państwo” było zawsze „państwem”, rodzajem półbogów, o których nie mówi się inaczej, jak tylko z uszanowaniem.

Gdyby nie „państwo”, umarłaby przecież z głodu; płacono jej, żywiono, pozwalano spać cztery godziny na dobę, a w Wielką Sobotę chodzić na Boże Groby. Swojej ciężkiej pracy nie liczyła wcale. Przecież musiała coś robić. Siedzieć z założonymi rękami mogły tylko panie, a zresztą, nie pragnęła tego wcale. I w beznamiętnym zdziwieniu patrzy na stojącego przed nią stróża, który z jaką pyszną pogardą krzywi swe wydęte wargi, mówiąc: „Takie państwo! Takie państwo!”

Nie przerywa wszakże i czeka dalszego wyjaśnienia, które otrzymuje niebawem w następującej formie:

– Widzi panna, jest państwo i państwo. Tu, na ten przykład, na pierwszym, mieszka pani hrabina ze synem... to jest państwo. A ci z majstratu, co panna do nich idzie, to nie państwo.

Kaśka uznaje za stosowne wtrącić:

– Przecież tak samo regularnie płacą.

Jan kiwa głową.

– Ta, niby. Ale się panna naharuje, zanim tych głupich pieniędzy się dokopie.

Kaśka macha ręką.

– Wszędzie trzeba pracować...

Teraz przyszła kolej na Jana, aby się zadziwił; próbuje więc wytłumaczyć Kaśce dokładniej różnicę między państwem a państwem.

– Ta, pewnie, że pracować trzeba, ale już niech rozkazuje lajtnant, a nie furwez, jak mówił nieboszczyk Szczepaniak. Szkoda, że panna nie знаła Szczepaniaka, bo to był tęgi hułan. Otóż, widzi panna, ta hrabina to lajtnant, a taka z majstratu to furwez. Choć ja bym tam wołał być panem i roz-

kazywać, taj do bramy dzwonić. U tych z majstratu bieda aż skrzypi. Ona skąpa, on złośnik. Już tego kwartału dwie zmienili, a bez co? Bez to, że to nie „państwo” – dodał, wracając uporczywie do swego założenia, jak koń w deptaku wiecznie koło jednego punktu krążący.

Widocznie jednak oboje mieli coś wspólnego w swoim sposobie układania myśli, bo i Kaśka powtórzyła przed chwilą wygłoszoną filozoficzną sentencję:

– Wszędzie trzeba pracować.

I z całą niedbałością silnego zwierzęcia wstrząsa potężnymi barkami, jakby z niecierpliwości i pożądaniami tej pracy, która ma spaść na nią równorzędnie z przyjęciem nowych zobowiązań. Jan patrzy na nią z uwielbieniem.

– Panna silna, prawda? – zapytuje po chwili.

Za całą odpowiedź Kaśka uśmiecha się łagodnie, odsłaniając zdrowe i czyste zęby, oprawione w dziąsła różowe.

– To jeszcze dobrze – ciągnie Jan dalej – bo jakby panna była nie przymierzając chyrlawa, toby długo na tym trzecim piętrze nie pociągnęła. Trzeba ciągiem nosić wodę, bo ta... pani to się pluszcze i pluszcze bez końca, posadzkę gładzić, a na wosk skąpią. Oj! puściłby ja ich w taniec choć raz na rok, toby próbowali, jak to przyjemnie tak harować od świtu do nocy...

W błękitnych oczach Jana zaświeciła nagle niedobra iskra. Cała nienawiść dręczonego zwierzęcia, które nigdy nie może się wyspać, ozwała się w tym głosie, drżącym od dawno przebudzonej i nurtującej myśli.

Wszystkie noce zimowe, gdy bezlitosny głos dzwonka zrywał go z posłania i ledwo osłoniętemu kazał biec dla wpuszczania spóźnionych lokatorów, powracających często z nocnej hulanki; wszystkie te senne marzenia, przerwane z całą gwałtownością ludzi pijanych lub złych z powodu bezsennej przepędzonej nocy; wszystkie te początki tak zwanych katzenjammerów karnawałowych, które musiał znosić z uległością tresowanego psa – wszystko to wybuchło w tych kilku słowach: – Oj, puściłbym ich w taniec!

A w tańcu tym przyjąłby udział przede wszystkim pewien fircyk, odnajmujący pokój od pewnej starej panny, zajmującej całe drugie piętro, który prawie co noc powracał nad rankiem i wpadał w bramę z hałasem, wrzaskiem, a co najgłośniejsze, bez tradycyjnej szóstki w rękę. I codziennie w szarawym świetle poranka spotykali się ci dwaj ludzie z jakąś dziwną, niewytłumaczoną nienawiścią w sercu. Elegant, mrużąc pod nosem jakąś piosenkę, przebiegał szybko przez bramę i nikiel w głębi schodów, pozostawiając za sobą niewyraźny szum miejskiej rozpusty, nie zastygły jeszcze w fałdach jego ubrania. Jan, zbudzony nagle, zziębnięty, pochmurny, rzucił za nim zawsze wzrokiem pełnym nienawiści.

Ten chłop, to zwierzę domowe, pozornie przyswojone, które w głębi swej natury zachowało całą siłę męską, pragnącą użycia i rwącą się jak koń stepowy poza zamkniętą bramę – gdzieś w dal, w tajemnicze wnętrza miasta, którego niezdrowy, odurzający powiew wpadł w ciężką atmosferę bramy razem z tym fircykiem, bladym od bezsenności i nocnej rozpusty. Fircyk nie cierpiał Jana za długie wyczekiwanie pod bramą, co zwłaszcza w zimne lub dżdżyste noce nie należało do nadzwyczajnych rozkoszy.

– Ach, kanalia! – mruczał przez zęby, zaciskając swój cienki paltocik i kryjąc ręce zziębnięte.

– Ach, kanalia! – mruczał stróż w swej izdebce, przecierając senne oczy – dzwoń, bestio, dzwoń; a bodaj ci tak zadzwoniło przy skonaniu!

Była to głucha, cicha walka dwóch zdrowych ciał w pełni młodości. Ze strony Jana przeważała zazdrość i chęć niszczenia swych sił w ten tajemniczy a nie znany mu sposób, który instynktem zgadywał; ze strony powracającego późno do domu eleganta – upokorzona duma i złość przeciw niememu świadkowi jego wad i słabości. Czasem piękny kawaler powracał na wpół pijany – wśród ciemności czuł wlepiony w siebie ponury wzrok stróża, co śledził jego skrzywioną postać i drwił z kroków niepewnych. Był to przymusowy powiernik, cichy i milczący pogardliwie, ale zawsze powiernik, co go przyjmował na progu bramy z przykrą surowością, liczył godziny jego nieobecności

i prawie odgadywał, ile panicz przegrał w karty i zebrał pocałunków z ust istot oczekujących na zarobek w mdłym świetle latarni.

Ten to elegant miał, według zapatrywań Jana, pierwszy iść „w taniec”. Po nim cała rzesza drobnych lokatorów, których dzieci napełniały wrzaskami wąskie wnętrza dziedzińca; dalej ten z „majstratu”, taki hardy, opryskliwy, pełen źle strawionej żółci; stara panna z drugiego piętra, której psy zanieczyszczały schody; właścicielka norymberskiego sklepiku<sup>3</sup>, garbata i sucha wdowa, i sługi pani hrabiny, głupie, bezczelne dziewczęta z gęsto przyszyżonymi grzywkami nad wyblakłymi oczami; wygolony aktor, zajmujący pokoik na dole, który wykrzykiwał dniami i nocami swoje role – słowem, cały ten dom brudny, źle utrzymany, pełen ludzi nędznie odżywianych, chudych, o profilach wydłużonych, których postacie znikwały bez szmeru wśród ciemności zapadającej nocy, jak widma wywołane ręką magika na brudnej, źle oświetlonej scenie.

Wyjątek stanowiła pobożna hrabina wraz ze swoim, równie pobożnym synem. Ci nie poszliby w ów „taniec” nie ze względu na ich klerykalne usposobienie, ale dlatego, że to było „państwo”, odpowiadające na pozdrowienie Jana zawsze uprzejmym skinieniem głowy.

W naturze tego człowieka było coś z Rabagasa<sup>4</sup>. Jedwabne słówko głąskało go więcej niż brzęk pieniędzy. Urzędnicy, sklepikarka, aktor, a nawet ów elegant z wiecznie głodnym żołądkiem przesuwali się koło niego ze złym humorem – przeciwnie, pani hrabina, gdy po rannej kawie wracała z kościoła na bulion z grzankami, uśmiechała się do Jana słodko i mówiła z uprzejmością matrony chrześcijańskiej:

– Jak się masz, mój pocziwy Janie?

Okrągłe oczy Jana otwierały się szeroko, a twarz rozjaśniał wyraz nieokreślonej błogości. Było mu wtedy tak przyjemnie, jakby mu się coś dobrego prześliznęło po gardle.

Jakkolwiek Jan utworzył sobie swą własną religię, do kościoła nie chodził, a księży nie cierpiał, tolerował on przecież aksamitną książeczkę hrabiny i jej długi różaniec z ziarenek kokosowych.

– Grzeczna pani – mawiał, pijąc wódkę w narożnej szynkowni – grzeczna, choć... jezuitka.

Jezuici należeli także to owego „tańca”, który Jan miał na myśli; nienawidził ich jak w ogóle wszystkich księży. Czarna sutanna wstrząsała nim do głębi. A przecież niewiara i brak szacunku dla duchowieństwa zrodziły się już w późniejszym wieku, przy trumnie matki, której ksiądz nie chciał „uczciwie” pochować, żądając za „paradę” większej sumy, aniżeli mu Jan mógł wówczas ofiarować. Z tak błahego powodu wybuchnął nagle w Janie płomień niewiary, a wszystkie zasady religijne runęły nagle, gdy zażądano osobnego wynagrodzenia za mowę odczytaną przed eksportacją zwłok matki.

W zdrowym umyśle chłopca powstała nagle wielka jasność. Nie studiując, nie badając, nie stawiając tez teologicznych, doszedł do punktu, z którego wyszedł; to jest stał się znów małym dzieckiem, wierzącym w istność Boga, ale nieświadomym tej mistycznej zasłony, która majestat Stwórcy zasłania. Z pyszną obojętnością odwrócił się wtedy od księdza i rzekł:

– To się obejdzie!

Odrzucił wszystkie formy, a zostawił tylko Boga. Wszystkich księży bez wyjątku przezwał jezuitami, a sam przybrał nazwę „farmazona”.

Z czapką na bakier przekreślona, reformował swych znajomych pomiędzy jedną a drugą blaśzanką i uderzał energicznie pięścią w stół, zapewne dla dosadniejszego określenia swych argumentów.

Dlatego gdy Kaśka, zbierając się do odejścia, rzekła swym słodkim głosem: „Trzeba państwo szanować, bo tak ksiądz przykazuje...” – pociągnął ją gwałtownie za chustkę i wykrzywił usta.

Ale Kaśka nie zwróciła na to uwagi. Miała wrócić za godzinę, a zmarnowała blisko dziesięć minut na pogawędce z Janem.

<sup>3</sup> norymberski sklepik – sklepik z drobnymi wyrobami galanteryjnymi i z zabawkami dziecinnymi (nazwa od miasta Norymbergi)

<sup>4</sup> Rabagas – tytułowy bohater komedii obyczajowej pisarza dramatycznego Wiktora Sardou (1831-1908), napisanej w 1872 r.

Pragnie więc odejść jak najprędzej, aby wrócić jeszcze na czas właściwy.

Jan z wielką galanterią ofiaruje się do pomocy przy transportowaniu kufra i pościeli. Kaśka przyjmuje, a rozmawiając, wychodzą na podwórko i stoją tam jeszcze przez chwilę w gorącym blasku słonecznym. Podwórko jest dość szczupłe, opasane z trzech stron murami kamienicy, a z czwartej zupełnie otwarte. Przylega do wielkiego, pustego, trawą zarośniętego placu, za którym w dali widnieje plac musztry i żółte mury, a mającą postacie przebiegających żołnierzy. Wzrok Kaśki błądzi z roztargnieniem po tej szerokiej przestrzeni, przeciętej na prawo zieloną, równą ścianą nasypu kolejowego, wznoszącego się na kształt fortecznego wału.

Nie jest to smutny widok, i owszem, ten ruch miejski i ta zieloność wiejska tworzą przyjemny kontrast, łagodząc się i dopełniając wzajemnie. Mówi więc Janowi z radością w głosie, że lubi drzewa i otwarte pole, a gdy to wszystko zobaczy, to zaraz jej weselej.

Jan przyznaje pewną rację tym poglądom i pokazuje jej bardzo porządną śmietnik, dopiero w przeszłym ukończony tygodniu. Kaśka błądzi wzrokiem od zielonego placu i rozłożystego kasztana do trawy, w jasnym świetle skapaniej, i do szarych desek śmietnika, wznoszącego się po lewej stronie podwórka z pretensją wystrojonego terminatora.

Zapewne, śmietnik taki to rzecz bardzo wygodna – zamykany, tylko że długo trwać nie może. Musi się zepsuć... deszcz, śniegi... Jan zapewnia, że użyto do budowy trwałego materiału, i uderza w deski rękami kościstymi. Chwilę jeszcze rozmawiają, a wspomniawszy o schodach kuchennych, nagle zamilkli.

– To bardzo niewygodne schody – mówi Jan i urywa nagle, bo twarz dziewczyny pokrywa gorący rumieniec.

I on doznaje jakiegoś głupiego uczucia, z którego nie umie zdać sobie sprawy. Było to niejasne wspomnienie pierwszego spotkania z tą dziewczyną. Te schody pozostaną dla nich wspomnieniem pierwszego poznania, które zarysowało się niejasno w tym wąskim, ciemnym przejściu, i teraz sprowadza im na twarz rumieniec i dziwne zamieszanie w głowie.

Gdy wielka postać Kaśki zniknęła wreszcie w bramie domu, Jan stał jeszcze przez chwilę oparty o ścianę śmietnika, jakby rozbierając doznane wrażenia. Ta duża, piękna dziewczyna zwyciężyła go dzisiaj, a przecież nie dała mu uczuć swego zwycięstwa. Nie śmiała się i nie szydziła, że ją puścił na jej prośbę pokorną. Ale cóż miał robić, kiedy tak miłosiernie patrzyła, że aż go coś pod pierściami ścisnęło. Raz chciał z wysokości trzeciopiętrowej zrzucić kotkę, która przybłąkała się do kamienicy i łąziła po strychu. Kotka nie broniła się wcale – tylko wywróciła ślepie i patrzyła tak zupełnie, jak ta dziewczyna, kiedy ją cisnął do ściany...

Jan myśli sobie: dziwna dziewczyna! Inna na jej miejscu śmiałyby się, bo przecież takie żarty uchodzą, a nawet dziewczęta je lubią. Ale to nie racja. Są tacy, którzy lubą kluski z serem, a są tacy, co klusek nie lubią. Kaśka nie musi lubić klusek.

I Jan zapada w głęboką zadumę, mającą na celu bliższe zbadanie usposobienia i słabych stron świeżo poznanej dziewczyny.

\*

Przyjaciółka, która dała Kasi na noc przytułek, nazywała się Różia i posługiwała w mleczarni. Czas służby przedstawiał cyfrę czternastu godzin na dobę, resztę miała do rozporządzenia.

Niska, krępa szatynka, z cerą, zda się, pożyczoną od salaterek kwaśnego mleka, które nosiła przez sześć miesięcy w roku, z suknią wiecznie pod prawą pachą rozprutą, szastała się całe dni po zakładzie z bezczelną arogancją dziewcząt przemienionych w kelnerów. Jej różowy perkalik, stanowiący rodzaj uniformu dla wszystkich dziewcząt kręcących się po owej mleczarni, miał ten sam nieznośny, impertynencki sposób obcierania się o gości, jak i frak strojący grzbiet wypomadowanego kelnera. Rzucanie łyżek lub chleba, wpatrywanie się w oczy płacącego gościa i tradycyjne „całuję rączki” czyniło z Rózi typ posługaczki, która sześć miesięcy na rok spędzała w mleczarni, a

przez drugie sześć miesięcy uprzyjemniała „gościom” rozkoszny pobyt w tak zwanych nocnych kawiarniach.

Rózia była poszukiwaną przez właścicieli tych siedlisk głupiej zabawy. Ileż bowiem wesołego żartu mieściło się w tych zielonawych żrenicach! Nie gniewała się za zbyt śmiałe żarty, a umiała zręcznie pomnażać ilość wypitych butelek. Kariera Rózi była więc na długi czas zapewniona, przynajmniej do chwili, gdy jej młoda twarz przestanie śmiać się tak wesoło wśród dymu cygar i krzyków rozbawionych mężczyzn. Później... Ot, co tam!... Któż by troszczył się o to głupie „później”. Jest przecież haczyk, a śmietników nigdy nie zbraknie.

Rózia zawiązała stosunek z niemłodym czeladnikiem krawieckim, Feliksem. Mieszkali razem, żyjąc „na wiarę”. Pobrać się nie chcieli i nie mogli. Zresztą, Feliks był żonaty. W Samborze pozostawił żonę i pięcioro dzieci. Rózia wiedziała o tym i w codziennych sprzeczkach wysyłała go „do stu diabłów, do starej żony i kopy dzieci”. On wszakże nie odchodził. Z marmurowym spokojem na bladej twarzy słuchał tego potoku słów, który zalewał codziennie maluchną stancyjkę, pełną gratów, śmieci i słoików z pomadą. Potem zbliżał się do Rózi i jak mógł, uspokajał. Ona broniła się chwilę, lecz w końcu poddawała się mimo woli jego pieścizotom.

Łatwo zgadnąć, co przywiązało niską, krępą dziewczynę do człowieka, który, mając dwa razy tyle lat co ona, wyzyskiwał jej młodość, a wreszcie marnował jej drobne dochodziki. Nie śmiał jednak naruszyć dwóch listów Banku Hipotecznego, których niebieskie numera odbijały wyraźnie na tle białego papieru. Drobne pieniądze, wybierane codziennie z szufladki, stanowiły rodzaj przekąski, przygotowując podniebienie Feliksa do ugryzienia czegoś twardego. Teraz jeszcze nie śmiał wystąpić z projektem spieniężenia listów hipotecznych, jakkolwiek bowiem ujarzmił zmysły dziewczyny, zrywała się ona nieraz i rzucała, jakby pragnąć potargać krępujące ją węzły – ale na próżno. Gdy wracała do domu z chęcią zerwania i na widok pustej szufladki wybuchała gniewem, Feliks pozwalał wylać się pierwszemu uniesieniu słów trywialnych, pozbieranych w dusznej atmosferze kawiarni, a po upływie pewnego czasu zbliżał się do niej w sposób jemu tylko właściwy. Ona usuwała się, łkając, ale w końcu była bezsilną. Wiązały ją z tym człowiekiem zmysły, a bez pieścizot jego istnieć by nie mogła. Rano chmurna, milcząca, z głową ociężałą, cała drżąca, szła do swej pracy, przybierając przez drogę uśmiech bezczelnej kelnerki, i powracała znów wieczorem pełna siły i gniewu. Żyli tak ciągle, on – marnując pieniądze, ona – młodość i zdrowie. Pokoik, który zajmowali, był cały przesiąknięty jakąś niezdrową, odurzającą wonią. Nigdy nie sprzątnięty, nie zamiatany, wyglądał jak wielki śmietnik, wilgotny i ponury.

Feliks zdawał się być gościem w tym mieszkaniu. Rzeczy jego mieściły się w wielkiej skrzyni tuż pod oknem. Było tam wszystko, co komfort mieć przykazuje: stary szapoklak, nawet i biały aksamitowy krawat. Rózia nie dbała o siebie. Różową swą sukienkę zostawiała w zakładzie, a w zimie chodziła w jednej i tej samej bluzce szafirowej i spódniczce z wytartego kamlotu. Fartuszki tylko prała w misce i suszyła w mieszkaniu. Tego wymagała jej służba. Dla niej fartuch był tym, czym dla kelnera serweta na ramieniu.

Feliks pracował bardzo mało. Twierdził, że jest czeladnikiem krawieckim, ale u jakiego krawca pracował, sam, zdaje się, nie wiedział. Całe dnie trawił na paleniu „kabanosów”<sup>5</sup> i naprawianiu swych garniturów. Jadał w garkuchniach. O żonie i dzieciach nie wspominał nigdy.

Kaśka, wyszedłszy z bramy, skierowała się szybko na prawo. Przeszła kilka ulic, usuwając się wszystkim z drogi i oddychając ciężko z powodu gorąca. Kryjąca jej głowę i ramiona chustka wełniana ciążyła jej przykro i przytłaczała ku ziemi. Ponad nią błękitne niebo, aż szarawe w swej przezroczystości. W środku olbrzymie słońce, żółte i okrągłe jak dukat, lejące ze siebie potoki złotego światła. Wszystko niknęło w tej suchej powodzi – dachy domów z rynnymi połyskującymi w blasku słonecznym, na placu wodotrysk, zawstydzony prawie ciemną barwą wody w rezerwoarze, kamienną otoczony balustradą, i drobne drzewka, okalające plac dokoła. Wszystko to błyszczało, pyszniło się prawie tą złocistą strugą płynącą z góry i odbijającą się blaskiem jarzącym w szybach przymkniętych okien, które gorzały wzdłuż murów kamienic jak olbrzymie promienne świece. I

<sup>5</sup> kabanos – oryginalna nazwa: *Cabanos*, jeden z najlepszych gatunków cygar hawańskich

była to iluminacja, urządzona w dzień biały z całą bezczelnością natury, świadomej swej potęgi, z rozrzutnością bogacza rozsypującego swe skarby z całym przeświadczeniem o niewyczerpalności tego złota, o wiecznym istnieniu tych blasków promiennych. Kaśka zatrzymała się chwilę i spojrzała na plac, jakby olśniona tym bogactwem, które się jej słało pod stopy. Natura to była wrażliwa i pojmująca piękno instynktowo. Podniosła głowę i popatrzyła chwilę prosto w tarczę słoneczną. Co też to się w górze tak pali? Skąd się ten ogień bierze?

Przypomniała sobie jednak, że czas ucieka, a nie chciała zasłużyć na naganę ze strony swej przyszłej pani. Szybko postąpiła jeszcze kilka kroków i znalazła się przed parkanem, w którym otwarta furka prowadziła do wnętrza mleczarni. Tam usługiwała Rózia. Kaśka pragnęła pożegnać się z nią i oddać pożyczone piętnaście centów. Lecz jak tu wejść główną furką? W małym, kwadratowym ogródku kilka osób pije kawę przy stołach z grubych szklanek zielonawych lub zajada mleko z fajansowych nadszczerbionych salaterek. Stoły, pozasłaniane czerwonymi w białe desenie serwetami, stoją równo w szeregi, maczając swe grube skrzyżowane nogi w żółtym piasku ogródka. Kilka rozwiniętych kasztanów rzuca cień, rozpościerając swe zielone, wachlarzowate liście, przysypane pyłem i nadwiedle wskutek zbyt wielkiego gorąca. W głębi, za sztachetkami, na podwyższeniu, widnieje olbrzymia postać właścicielki zakładu, rodzaj tłumoka złożonego z miękkiego ciała i szarego kretonu. Ta szeroka plama rozlewa się na żółtym tle ściany wznoszącego się w głębi ogrodu budynku. Szara barwa sukni i żółte włosy schodzą się w harmonijnym akordzie z barwą ściany i nikną w niepewnych liniach. Przed właścicielką rodzaj bufetu, pokrytego szeroką wstęgą blachy, na której stoją rzędem, do góry dnem poobracane, grube zielonawe szklanki, wznoszące jedną, wysoką nóżkę ze sztywną gracją skoczka cyrkowego. Na wyszczerbionym półmisku bieleje cały stos drobno posiekanego cukru. Cynowe łyżeczki, wytarte od ciągłego dotykania ust rozmaitych, świecące niezdrowym, fałszywym blaskiem, leżą pokotem jak wojsko zakute w stare pancerze, czekające na rozkaz wodza i na apel poranny. Co chwila przybiega dziewczyna i pochyla się nad bufetem, wybierając cukier lub chwytając łyżeczkę. Gruba kobieta nie porusza się wcale. Patrzy na niekształtne palce dziewczyny, przemykające się szybko po powierzchni bufetu, i tylko cichym, uprzejmym głosem upomina w razie, jeżeli kelnerka kładzie zbyt wielkie kawałki cukru na małe, podłużne miseczki. Od czasu do czasu wstaje ktoś z gości i podchodzi również do bufetu, płacąc za kawę lub mleko. Właścicielka wysuwa swą tłustą rękę i powolnym ruchem zgarnia pieniądze do otworu wykrojonego w środku bufetu, po czym zapada znów w bezwładność, a szare, bezbarwne źrenice spoglądają z dziwnym uporem w deski wznoszącego się przed bufetem parkanu. Dziewczęta, szeleszcząc wykrochmalonymi spódnicami, uwijają się pomiędzy gośćmi. Ich ciężkie, niezgrabne, źle usznurowane figury, z płaskimi, zgniecionymi piersiami, przesuwały się pomiędzy stołami, często bez najmniejszej potrzeby, chyba dla ruchu, do którego przywykły ich stopy. Kasztany szumią bezustannie, strząsając pył na lśniące od pomady włosy tych kobiet lub na stopy razowego chleba, poukładanego na każdym stole w drucianych koszykach.

Kaśka stoi we drzwiach, nie śmiejąc postąpić kroku. Widzi doskonale Rózię, która z bezczelną arogancją usługuje jakimś dwóm paniom, pijącym mleko z wysokich wąskich kufelków. Wejść do ogrodu nie śmie, ale przypadek przychodzi jej z pomocą. Rózia spoglądała w stronę furki i spostrzegła przyjaciółkę. Zbliżyła się szybko, strącając z krzesła parasolkę jednej z pań, i przewróciwszy jedną ławkę, staje przed Kaśką.

– Idź do kuchni... wiesz, tą drugą bramą... zaraz przyjdę.

Odchodzi i staje pod tablicą, zawieszoną na ścianie domu, na której czarnym tle widnieje z daleka napis: „Cennik jadła i napojów”, i z budującym spokojem przypatruje się damie, która usiłuje oczyścić unurzana w piasku parasolkę.

– Niech, psiakrew, nie kładzie swojej elegancji na drodze... – mruczy z całą nienawiścią biednej a zazdrosnej dziewczyny.

Po czym zawraca się i niknie w głębi zabudowania.

Za nią słychać wołanie:

– Panienko! Proszę świeżej wody.



Różia zatrzymuje się chwilę.

– Zaraz! zaraz! – odpowiada, przeciągając na ostatniej zgłosce z całą dokładnością iście kelnerskiej intonacji.

– Cholere ci, a nie wodę – dodaje, biegnąc przez dwie puste sale do kuchni, w której od kilku minut czeka na nią Kaśka.

Wielka, widna izba, z olbrzymim kominem i płytą opatrzoną niezliczoną ilością fajerek, przesiąkła cała kwaśnym zapachem mleka, przedstawia się raczej jak świeżo wyczyszczona olbrzymia obora, z której wyprowadzono krowy. Mleko w hładyszkach<sup>6</sup>, mleko w cebrzykach, mleko w kamiennych garnkach, śmietanka rozlana w wielkich, szerokich miskach, na półkach serwatka, drżąca w szklanych, ogromnych słojach; przewrócone pod stołem szafliki drewniane, wznoszące się wzdłuż ścian piramidalnie, stopy świeżo skoszonej trawy, pełnej polnych kwiatów, przetykanej żółtymi jaskrami, powojami lub macierzanką jak kobierce wschodnie – całe to gospodarstwo mleczne, praca wspólna zwierząt i ludzi, przedstawia się w tej widnej, przestronnej izbie, wśród kwaśnego zapachu nabiału. Poza tymi stosami trawy, poza olbrzymimi garnkami lub cebrami zdają się występować kontury tych dobrych, o wielkich oczach, mlekodajnych zwierząt, przynoszących ze sobą wonie pastwiska, ostry zapach macierzanki, suchy trzask łamanej lebiody.

W tej kuchni, zastawionej tyłoma naczyniami, otwierającymi szerokie wnętrza mlekiem napełnione, błąkało się niewyraźne wspomnienie wsi, skąpanej w promieniach słońca, szumiącej swobodą drzew, zielonej szmaragdową trawą – wsi wolnej, uśmiechniętej jak oblicze wiejskiej młodycy.

Kaśka czuła się swobodną w tej atmosferze i uśmiechała się na widok tych zapasów śnieżnego płynu, którego szerokie strugi zalewały nawet podłogę kuchni.

Kilka dziewczek bosych maczało swe zamulone nogi w kałuży mlecznej, przenosząc garnki i porządkując poustawiane naczynia. Zdrowe, silne, zabłocone, o szerokich biodrach, z czołami prawie kwadratowymi, z olbrzymimi piersiami, zarysowującymi się pod zgrzebną koszulą, miały one wiele podobieństwa do tych zwierząt – karmicielek, około których krzątały się dniami i nocami. Całe ich ubranie było przesiąknięte zapachem obory i mleka. Kaśka patrzyła na nie z pewną zazdrością. Taka praca odpowiadałaby najwięcej jej silnej, rozwiniętej naturze. Chętnie zdjęłaby swoje skórkowe buciki, które ją piekły na podbiciu, i umaczałaby rozpalone stopy w chłodnym, sinawym mleku, którego szeroka struga zalewała podłogę. Z jaką radością zanurzyłaby swe ręce w stosie tej świeżej trawy, której zapach przypominał jej chałupę matki i spędzone dziecinne lata, bez troski, na przedmieściu małego miasteczka. Stoi więc rozmarzona, uśmiechnięta, śledząc wzrokiem postacie dziewczek, które, z właściwym tylko chłopkom falowaniem kłębów, uwijają się po kuchni i nie pytają nawet, czego chce pomiędzy nimi dziewczyna stojąca w milczeniu prawie na progu.

Nagle otwierają się z trzaskiem drzwi od sali i wpada przez nie Różia, powtarzająca ciągle:

– Cholera tobie, nie woda.

Potrącając dziewczki, unosi spódnicę, a pokazując pod czystą sukienką szare od brudu i opadające w kilku fałdach pończochy, przeskakuje biały rynsztok, zagrządzający jej drogę do przyjaciółki.

– No i cóż? – pyta Kaśkę, zwracając się ku niej twarzą namiętnej kobiety, o podkowach barwy stalowej, okrążających oczy czerwone od płaczu i bezsenności.

– Mam służbę – odpowiada Kaśka – dziś się przenoszę.

Na twarzy Rózi przemknął wyraz zadowolenia. Ten świadek jej pożycia z Feliksem był zbyt ciężkim, aby go mogła długo znosić. Nie śmiała przecież tego powiedzieć Kaśce, którą lubiła za jej łagodność i miłe wejrzenie; ale teraz jest zadowolona, że pozostanie z nim sama w swej ciasnej izdebce, w której rzeczywiście nie było miejsca na troje.

– Idę zabrać mój kuferek i chcę ci oddać te piętnaście centów, które pożyczyłam już tak dawno – mówi Kaśka z pewną nieśmiałością, przesuwając w rękę papierek guldenowy.

– Jakeś taka pani, że możesz płacić, to płąć – odpowiada Różia – ale lepiej zrobisz, jak długów nie zapłacisz. Długi ci nie uciekną... tej choroby dosyć zawsze człowiekowi.

---

<sup>6</sup> hładysz (brs.) – naczynie gliniane na mleko w kształcie dzbana bez ucha

A widząc, że Kaśka milczy, dodała:

– Po kuferek idź! Ten wagabunda Feliks pewnie siedzi w domu i kurzy kabanosy. Oj! to też po-karanie z takim ananasem!

Kaśka poruszyła się nieco żywiej.

– Czegóż z nim siedzisz? – zapytała nieśmiało, spoglądając na przyjaciółkę.

Różia machnęła ręką.

– Albo ja wiem! Nieraz to mnie chwyci taka złość, że chciałabym go wygnać za setną górę, bo próżniak i nicdobrego. Ja się naharuję cały dzień, a on furt traci i traci... A bodaj go raz pokręciło....

I mimo woli chwyciła ją ta sama pasja, która ją ogarniała co wieczór na widok bladej twarzy Feliksa, złożonej wygodnie wśród brudnej i dawno nie zmienianej pościeli, gdy zmęczona, po całodziennej pracy, powracała do domu. Lecz namiętność, wstrząsająca nią co wieczór, zaczynała powoli napełniać ją całą i dlatego na powtórzone pytanie Kaśki odpowiedziała szybko, błędząc niepewnymi oczami po przeciwległej ścianie:

– Ta cóż, przyzwyczałam się, ot i cała bieda.

Przyzwyczała się! W tym jednym słowie zawarta była cała prawda jej życia; w tym przyzwyczajeniu dzwoniły wszystkie okowy łańcucha, którym skrępowała się z tym wyzyskującym ją mężczyzną. Przyzwyczała się do codziennej kłótni, do tego własnego wrzasku, do jego próżniactwa, dymu kabanosów, do jego nerwowej, suchej, zwiędłej powierzchowności, do tej szufladki, napełnianej co dzień rano drobną miedzianą monetą, a świecącej co wieczór pustkami – nawet do tej żony, otoczonej drobnymi dziećmi, której widmo wywoływała codziennie swym ochrypłym głosem.

Przyzwyczała się...

Kaśka utkwiała z podziwieniem wzrok w twarzy swej przyjaciółki, trapionej namiętnością, która powracała o jednej i tej samej porze dnia, jakby uparta febra. Kaśka nie pojmowała swej przyjaciółki. Dla niej Feliks był brzydkim, podstarzałym człowiekiem, sprawiającym wrażenie wstrętne-go. Co więcej, był to próżniak, wyzyskujący pracę kobiety i żyjący z nią w związku nieślubnym. Kaśka rozprawiłaby się z nim krótko. Odesłałaby go natychmiast do żony i warsztatu. Ona nauczyłaby go respektu...

Tymczasem żegna Rózię i zabiera się do wyjścia.

Wychodzą przez kuchnię na małe podwórko, otoczone dokoła niskimi oborami, których drzwi stoją otworem. Kopy gnoju i słomy leżą na ziemi, a kilka cienkich, smukłych drzewek wznosi ku niebu swe młode gałęzie. Obiedwie stoją tu jeszcze przez chwilę, a Kaśka zdejmuje z siebie ciężką chustkę wełnianą, pod którą kryje swe ramiona. Ma ona na sobie trykotowy stanik, darowany w przystępie dobrego humoru przez pannę Lewi. Ciemnoczerwona barwa trykotu niewiele różni się od koloru szyi, nabrzmiałej i jakby spuchniętej z gorąca. Ale za to cały gors Kaśki odznacza się śmiało i pewnie pod tą ciągnącą się tkaniną, która rzeźbi najdokładniej ramiona, wypukłą deskę<sup>7</sup> i piersi, których objętość rozdziera stanik, widocznie na drobniejszą postać zrobiony. Brak dwu guzików dozwala widzieć brzeg grubej, lecz czystej koszuli i mały trójkąt ciała ciemnego, pociągniętego złocistą powłoką, właściwą tylko brunetkom. Kaśka, znużona ciężarem chustki, podnosi w górę ręce i przeciąga się układając w prostej linii łokcie i zaciskając pięście. Nagle natrafia na wystającą belkę i chwytając drzewo zawieszona na pół łokcia ponad jej głową. Bezwiednie nachyla się ku przodowi, zgina łokcie, a cofnąwszy w tył biodra, stoi tak chwilę, patrząc na rozmawiającą Rózię, która powróciła znów do żalów na temat Feliksa i jego niepoprawnego lenistwa.

Wśród tej gorącej atmosfery dziedzińca, przesyconej zapachem obory, Kaśka ma uczucie błogości nieokreślonej. Z rozwartymi oczami i wilgotnymi wargami stoi, wciągając w siebie całymi kłębami tę woń błotnistą, właściwą tylko rozkładającym się roślinom. Krzykliwy głos Rózi rozbija się w ciasnym wnętrzu podwórka, ginąc w ciemności otwartych obór. Kaśka nie słyszy słów swej przyjaciółki – stoi nieruchoma, cała zatopiona w wspomnieniach, które, razem z wonią w piersi jej zbudzone, otaczają ją, odrywają od teraźniejszości. I tak jak w kuchni, wśród fal mleka, przychodzi

<sup>7</sup> deska – kość piersiowa, mostek; w dalszym ciągu tekstu pojawia się słowo deka mające to samo znaczenie

do niej cała przeszłość, matka, siostry, praca w fabryce i przyjazd do miasta. Zasluchana w piosenkę dzieciństwa, nie widzi, jak otwierają się ukryte w parkanie drzwiczki i na progu staje dwóch młodych mężczyzn. Różia podbiega ku nim z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

– Czego panowie tędy? – pyta przybyłych. – Pani się gniewa, jak goście łażą przez kuchnię... Jest przecie furtka od tego.

– E! głupia jesteś – odpowiada jeden z młodych ludzi – po co mam chodzić dokoła wśród takiej spiekoty...

Urywa nagle trącony przez swego towarzysza. Ten ostatni, młody chłopak, dość przystojny, ale drobny i prawie nierozwinięty, zwrócił od razu wzrok na Kaśkę, która z rękami podniesionymi i podpierającymi belkę, z torsem form klasycznych, z głową naprzód podaną, stała ciągle nieruchomo, nie zwracając uwagi na to, co się dokoła niej działo. Taka to już była natura tej dziewczyny. Zamyślała się często i bezwiednie, a wtedy stała na miejscu, jak posąg nieruchoma, cicha, milcząca, z oczyma szeroko otwartymi. W tej chwili „napadło ją znów”, jak mówiła sama, przyszedłszy do samowiedzy. W trykotowym staniku, przylegającym z dziwną dokładnością do jej ciała, rysowały się jej piersi i ramiona nader plastycznie. Od pasa okryta wąską spódnicą, zdawała się wyraść z tej czarnej ziemi, na której oparła swe szerokie stopy. Była to istotnie dziewczyna piękna, silna, olbrzymia, z głową foremną, niskim czołem dawnych posągów greckich. Twarz jej, świecąca od potu, brązowa, mieniła się w cieniu zalegającym podwórko i nadawała całej jej postaci charakter odlewu brązowego.

Dwaj młodzi ludzie patrzyli na nią przez chwilę, po czym jeden z nich, młody i przystojny chłopak, wyrzekł jedno tylko słowo:

– Kariatyda!

Po wypowiedzeniu tego słowa można było przeczuć rzeźbiarza. Zgłoski spadały z głuchym odgłosem młota, obracanego silną dłonią, wykształconą na wzorach greckich.

– Kariatyda!

I młode, nierozwinięte chłopię, noszące z niewieścim wdziękiem swój popielaty garniturek, rósł prawie pod dźwiękiem tego słowa, nabierał siły i wprawną ręką lepił w myśli tors tej dziewczyny, której nieruchoma postać wskrzeszała w nim wspomnienia całego szeregu wielkich kobiet kamiennych, nagich, z biodrami owiniętymi draperią, podtrzymujących sztukaterie pałaców. I była to rzeczywiście kariatyda, siostra tych sennych olbrzymek, które, wpatrzone w przestrzeń kamiennymi źrenicami, stoją na straży dumne w swej niewoli, dźwigając ciężary na barkach królewskich.

Wśród zacieśnionego podwórka, otoczona kupami gnoju i błota, oparta o szarą ścianę obory, wznosiła się harmonijnie piękna, silna, jak posąg starożytny znaleziony pod owczarnią pasterza.

– Kariatyda!

I gdy słowo to zawarczało nagle w powietrzu, zbudziła się Kaśka ze swej zadumy. Instynktowo poczuła, że ta nazwa dla niej jest przeznaczoną. W swej ciemnocie nie miała najmniejszego pojęcia o znaczeniu tego słowa, ale wpadło ono w jej ucho i przeniknęło do głębi mózgu. Wyrło się tam dokładnie i pozostało wśród tysiąca trywialnych wyrazów, zasłyszanych od dzieciństwa. Z nadzwyczajnym pomieszaniem, z gorącym rumieńcem na spoconej twarzy, zaczęła Kaśka owijać się w chustkę, pragnąc czym prędzej uniknąć spojrzeń tych mężczyzn, których ciekawy wzrok palił ją i mieszał niewypowiedzianie. Czowała, jak ją rozbierali, jak zdzierali z niej suknie i stawiali przed swymi oczami nagą – a ta myśl doprowadzała ją do rozpaczki. Wszyscy ci mężczyźni patrzyli na nią w tak przykry sposób. Cóż ona temu winna, że tak wyrosła i że jej ramiona tak szerokie? Nie powinna nigdy zrzucić chustki, ale zawsze otulać się nią szczelnie, nawet w czasie upałów. To będzie sposób najlepszy.

Mężczyźni postąpili kilka kroków i zbliżyli się do dziewcząt. Różia odzyskała już dobry humor i przybrała na twarz maskę uprzejmej kelnerki. Starszy z przybyłych był przystojnym mężczyzną, o regularnie zakreślonym profilu i dość zgrabnej postawie. Ubranie jego nie odznaczało się zbytnią starannością. Brudna i zmięta koszula otwierała się na piersiach, ukazując brak spinek i dekę piersiową, pokrytą rzadkimi włosami. Kamizelka wycięta, zapożyczona widocznie z balowego garnitu-

ru, źle harmonizowała z letnią, rozpiętą marynarką, obciążoną ku dołowi jakimiś ciężarkami, przepelniającymi kieszenie. Spodnie z tego samego materiału, co marynarka, dość krótkie, odsłaniały nogę kształtną i wąską, ustrojoną w czerwone skarpetki z *fil d'Ecosse* i lakierowane, lecz wykrzywione półbuciki.

Twarz tego człowieka, przedstawiająca typ czysto słowiański, z nieco zagiętym krogulczym nosem, ustami łagodnymi, ocienionymi gęstym i pięknym wąsem, przypominała nadzwyczajnie brązową twarz *Gladiatora* Welońskiego<sup>8</sup>. I tu, i tam był ten sam wyraz bolesnej rezygnacji, żalu za młodością, pokrytego wspaniałą siłą woli, która spazmatycznie podnosi męskie głowy na powitanie śmierci i ze spokojem witać każe możnego, wszechwładnego zabójcę.

*Morituri te salutant!*<sup>9</sup>

Gladiator pozdrowiał tak cezara, dla którego szedł w bój i szukał śmierci. Na twarzy tego człowieka rysuje się to samo śmiertelne pozdrowienie przed silniejszą od cesarów potęgą, bo przed nałogiem pijaństwa. Wskazuje na to już ta twarz spuchnięta, z drobną siatką zmarszczek, oczyma czerwonymi od bezsenności i nadużycia trunków rozpalających, te ręce małe, kształtne, suche, rozpalone i drżące bezustannie, ta postać złamana, pochylona wiecznie, jakby oparcia szukająca, wreszcie ten głos niepewny, rzucający najczęściej ironiczne a olbrzymią inteligencją tryskające słowa, wreszcie cała istota tego człowieka, spalona, zmięta, pełna nadzwyczajnego talentu literackiego, zbrudzona życiem w knajpie, wytarta jak powierzchnia stołu kawiarnianego. Wszystko to rzuca w daleką przestrzeń słowa idącego na śmierć gladiatora:

*Morituri te salutant!*

A przed nim, przed tym ciałem zniszczonym, przed tym życiem spalonym, przed tym talentem na miazgi zgniecionym, wznosi się olbrzymia postać ohydnej, niezwalczonej choroby, która z obojętnością cezara przyjmuje rozpaczliwe pozdrowienie swej ofiary, a na płomienistym swym tronie drwi z wodnych kuracji, wyciągając swój suchy, kościsty palec dla naznaczenia nowej, na śmierć skazanej ofiary. Potem puszcza ją w taniec na materacach szpitalnych i dręczy dniami i nocami, sprowadzając do łóżka konającego ohydne wizje, zmuszając do nieustannej pracy mózg przekrwawiony, męczący się w bolesnym napięciu. Towarzysz tego człowieka, ów młody chłopiec, rzeźbiarz, o ładnej twarzyczce, ożywionej niewielkimi, czarnymi oczkami, szczupły w ramionach a giętki w pasie, przejął od swego przyjaciela coś z tego ohydneho nałogu, zaraźliwego jak ospa i jak ospa śmiertelnego. Był to dopiero nowicjusz. Twarz jego gładka nie miała jeszcze tych kurczowych skrzywień, właściwych tylko organizmom przesiąkniętym na wskroś alkoholem, ale snadź czuwali razem, włócząc się po szynkowniach i knajpach, bo obaj mieli czerwone powieki i tę nieokreśloną woń, właściwą dusznym i źle oświetlonym salom, gdzie złe wino, tłuste potrawy, dym tanich papierosów i tysiące ludzkich oddechów tworzą gęstą mgłę, opadającą brudnym, cuchnącym obłokiem na suknie i włosy stałych gości.

Do mleczarni przychodzili zwykle po obiedzie, pijąc chętnie kwaśne mleko, które gasiło chwilowo pożar trawiący ich wnętrznościami.

Obaj zbliżyli się do Kaśki, kołyszając się, z minami zwycięzców, z wypiętnowaną na twarzach pogardą dla kobiet, zbieraną po ciemnych zaułkach w objęciach istot sprzedajnych. Żartami uczyniono Kaśce propozycję „pozowania”, a widząc, że jest nadto głupia, by mogła zrozumieć znaczenie tego wyrazu, tłumaczyli jasno i otwarcie, czego od niej żądają. Ona zarumieniła się nagle, usłyszawszy, że bez żadnej osłony ma stanąć przed nimi, tak jak ją Bóg stworzył! O! nie – na to nie zgodzi się nigdy. I drżącymi rękami zaciska na piersiach swą wełnianą chustkę, jakby bojąc się, aby jej nie przymuszono zaraz stanąć nagą – wśród dnia białego, na środku podwórka. Różia śmieje się, pobudzona w swej zmysłowości nagłym pragnieniem pocałunków i pieszczot Feliksa.

<sup>8</sup> Pius Weloński (1849-1931) – rzeźbiarz i malarz; posąg *Gladiator* należy do najznakomitszych jego dzieł

<sup>9</sup> *Morituri te salutant!* (łac.) – Mający umrzeć pozdrawiają cię – słowa, którymi gladiatorzy pozdrawiali cezara przed rozpoczęciem walki

– Jaka ty głupia! – tłumaczy jej literat, a głos rwie się w ciągłej czkawce, wznoszącej jego piersi z jakimś okrutnym uporem – jaka ty głupia! Nic ci się przecie złego nie stanie... postoisz kilka godzin, a ten pan ulepi cię z gliny. Zobaczysz przynajmniej, jak wyglądasz.

Kaśka nie odpowiada. W umyśle jej przesuwa się w chaotycznym nieładzie jej własna postać, naga, oblepiona mokrą gliną. To musi być coś szkaradnego.

– I zapłacę – dodaje rzeźbiarz – zapłacę trzy szóstki za godzinę...

– Nie blaguj – przerywa mu literat – wypchaj się z twoją zapłatą.

Różia zachwycona. Trzydzieści centów za próżnowanie przez godzinę! I ofiaruje się sama, poruszając ramionami i wysuwając naprzód swój zgnieciony gors, pokryty różowym perkalem. Ona pójdzie chętnie pozować, jeśli tylko Feliks pozwoli.

Ale rzeźbiarz wstrząsa głową i odmawia. Kaśka co innego. Jeżeli zechce, dostanie nawet cztery szóstki. Przyjdzie tylko kilka razy. Wszystko to przecie nie skutkuje. Kaśka milczy uparcie, szukając oczyma wolnego przejścia, aby czym prędzej uciec od męczących ją propozycji.

Nagle literat zapytuje ją z ironiczną miną:

– A umiesz ty katechizm?

Kaśka spogląda ze zdziwieniem na mężczyznę. Po co ją ten pan pyta o katechizm? Umie, i to umie dokładnie, wyuczyła się wśród ciszy wiejskiego kościoła od księdza staruszka; ale po co temu panu ta wiadomość? Co może mieć wspólnego katechizm z oblepieniem ją gliną, tak jak chcą ci panowie?

I nagle jak piorun spada na nią znów pytanie:

– Kto cię stworzył?

– Pan Bóg – odpowiada machinalnie Kaśka z posłuszeństwem katarynki, którą nakręcają do odegrania arii.

– Z czego? – pyta dalej literat, mrużąc swe czerwone oczy i patrząc na nią przez rzadkie rzęsy.

– Z... gliny i tchnął we mnie ducha, a ożywił ciało – recytuje Kaśka, kręcąc palce ruchem gnusnych dzieciaków w szkole.

Literat zatrzymuje wspaniałym ruchem ręki ten potok wyrazów.

– A więc z gliny. A bolało cię to, jak cię lepił? Bolało?

Kaśka sięga pamięcią w najodleglejsze wspomnienia swego dzieciństwa, ale nie może sobie przypomnieć tej chwili. Milczy więc uparcie.

– A widzisz, idiotko – konkluduje literat. – Nie bolało cię wtedy, to nie będzie cię boleć i teraz.

– I trzy szóstki dostaniesz za godzinę – przerywa rzeźbiarz, wysuwając naprzód swą drobną figurkę i kładąc ręce w puste kieszenie, aby pobrzękawszy kluczykami, zwrócić uwagę Kaśki na dźwięk niby gotówki przepelniającej kieszenie jego letniego garnituru. Kaśka doznaje silnego zawrotu głowy. Jak to? Ten cienki, młody chłopiec miałby być tak bogatym i mądrym, jak Bóg Ojciec? Kaśka zgorziona jest takim rzucaniem imienia boskiego. I jakiś niezdrowy, odurzający powiew zawraca jej głowę; doznaje dziwnego ciśnienia w piersiach, jakby przestachu przed czymś nieznanym, czarnym, przed ciemną przestrzenią, otwierającą się pod jej stopami. Jest jej tak, jakby napiła się zbyt silnego, odurzającego napoju, którego słaba jej głowa znieść nie może.

Mężczyźni śmieją się ciągle. Różia, uradowana, że zażartowano z jej przyjaciółki, poddaje się tej wesołości, która napęnia hałasem całe podwórko.

Kaśka z coraz większą trwogą ogląda się na wpółotwartą furtkę, pragnąc uciec jak najprędzej. Zdaje się jej, jakby popełniono jakiś występki, którego niegodziwość wstrząsa nią do głębi. I zdobywając się na energię, porywa się z miejsca i biegnie ku furtce z rozpaczliwym pośpiechem. Mały rzeźbiarz puszcza się za nią w pogoń.

– Ty – krzyczy – jak się namyślisz, a nie będziesz miała co jeść, przyjdź do mnie. Wiesz, gdzie Politechnika?<sup>10</sup> Nie wiesz? To ten duży dom biały, ze schodami, na Zakrętarskiej ulicy. No, teraz wiesz?

---

<sup>10</sup> Politechnika – zbudowana we Lwowie kosztem społeczeństwa w latach 1873-1877 wg projektu J. Zachariewicza w stylu neorenesansu

I dopadłszy ją tuż przy furtce, chwytą w pól, dostając jej ledwie do ramienia. Drobny, szczupły, źle wyrosnięty, wygląda jak dziecko wobec silnie zbudowanej dziewczyny. Ona czuje to i patrzy nań z góry z jakimś dziwnym uśmiechem.

– Puść mię pan, bo się śpieszę...

Ale on nie słucha jej głosu. Uśmiecha się i kołysze swą postać, przysuwa się coraz bliżej. Ostro zapach alkoholu wydobywa się z przyspieszonym oddechem z jego ust ciągle wilgotnych. Kaśka pragnie silną ręką usunąć natrętnego chłopca. Ale on, płacąc siłą za siłą, nagłym ruchem porwywa jej ramię i ściska jak w kleszczach. Drobne, cienkie palce młodzieńca otaczają ją z siłą stalowych obręczy. Kaśka zwraca ku niemu swe łagodne, zażawione oczy.

– Panie! to boli!...

Rzeźbiarz ciśnie w tej chwili ramię dziewczyny z nadzwyczajną rozkoszą.

– Panie! To boli!...

I wielkie ciemne źrenice patrzą na zaczerwienioną twarz chłopca z wyrzutem bezsilnej, niższej społecznie istoty, nie mogącej się bronić i odplacić równą miarą.

Palce rzeźbiarza rozsuwają się z wolna. Puszczą ją i stoi patrząc na nią, gdy znika w otwartej furtce i przebiega ulicę.

Literat z Rózią zniknęli w głębi zabudowania, wlokąc za sobą hałas żartów, dwuznaczników i klapsów. Rzeźbiarz stał jeszcze przez chwilę na środku podwórka i spoglądał z pewnym zajęciem na belkę, o którą oparła się Kaśka w chwili jego wejścia. Tak! Dziewczyna ta była jedynym modelem do kariatydy, o której marzył nieraz, siedząc w knajpie i rysując swój projekt na zakurczonym stole palcem umaczanym w winie lub piwie. Wszystkie jego posągi powstały zresztą w ten sam sposób. Występowały wśród nocy i dręczyły go w sali kawiarnianej. Wylewał wtedy kieliszek wina na stół i rozmawiając z towarzyszami, rysował postaci idealnej piękności drżącą trochę ręką, a mimo to czyste formą, pojęciem i stroną duchową. W krzyku i hałasie na pół pijanych fejletonistów, recenzentów i aktorów stwarzały się arcydzieła, wygładzały kontury, uśmiechały biusty, płasko-rzeźby, całe posągi. Z głową odurzoną winem rzucił nieraz słowo cyniczne lub podsuwał projekt dalszej nocnej wędrówki, ale ręka jego kreśliła wciąż te postacie, które drzemały senne w głębi jego piersi i rwały się na świat, do życia, do sławy! Był to talent olbrzymi, idący za postępem, z kierunkiem bardziej realnym, dążącym prawdą do ideału. Nie tworzył istot nadziemskich, niebywałych, tak doskonałych pięknnością i wygładzeniem, że zdają się być lalkami odlanymi ze stearyny. On brał człowieka z jego poetycznej strony, ale pozostawiał mu chropowatość i zagięcia skóry, zarost włosów, a czasem niegrecką linię nosa. Wychodził z zasady, że natura nie jest macochą, i był przekonany, że właśnie udoskonalenie tego profilu popsułoby harmonię całego ciała.

Pracował niewiele. Był biednym, zostawionym samemu sobie, nie kochał nic i nikogo i nawzajem nie był kochany. Szedł przed życie puszczonej samopas, aż oparł się w knajpie, w tym salonie inteligencji artystów miejscowych. W pierwszej chwili cofnął się z przerażeniem, a potem przywykł i szedł tam co wieczór, a powracał nad ranem, wrzeszcząc, hałasując po ulicach, zaczepiając policjantów i dziewczęta, kładąc się w poprzek chodnika, niby dotknięty nagłą śmiercią człowiek, i wyprawiając tysiące podobnych uciesznych zabawek.

Na progu pracowni witały go białe, czyste jego posągi, patrzące ze smutkiem na tę twarz młodą, obrzękłą, sinawą – na te włosy miękkie, falujące, pełne słomy, trawy i kurzu – na te ręce zablocone, wpakowane w pijackim uporem w kieszenie obszarpanego palta!

I byłże to ich twórca, ten człowiek, który przynosił ze sobą cuchnący oddech pomieszanych napojów, trzymający się tak źle na nogach, padający prawie u ich stóp kamiennych w ostatnim upodleniu? Olbrzymi Herkules, siedzący na skale, nagi, wspaniały, pochylał smutnie dumną głowę, a smutna Świtezianka, zadumana nad brzegiem rzeki, rumieniła się prawie w blaskach wschodzącego słońca. A przecież wszystkie te białe postacie wyrosły z ciemnej kałuży rozlanego wina, urodziły się pod gorącym tchnieniem przepędzonej w knajpie nocy. I przeznaczeniem jego było schodzić najniżej po swoje wzory, projektu, a nawet po modele.

Tu, na tym dziedzińcu, wyrosła nagle wspaniała kariatyda z szeroko zakreślonymi liniami, tchnąca zdrowiem i siłą. Zostawiła w jego pamięci wdzięczne wygięcie ciała, wspaniały tors, pochylony w kształtnym skróceniu. Pragnąłby jednak zobaczyć ją jeszcze, aby stworzyć prawdziwy typ kobiety-olbrzymki, bez przesady, bez naśladowania tych niekształtnych posągów, podpierających balkony lub ornamenta kamienic.

Dlatego stoi tak na środku dziedzińca i patrząc na ścianę, rysuje myślą kontury, wypełnia przestrzeń i wznosi Kaškę-kariatydę, wspaniałą, piękną, silną, o muskularnych, a mimo to kobiecych ramionach.

\*

Kuferek Kaški, jakkolwiek niewielki, zajmował znaczną część izdebki zamieszkaną przez Rózię i Feliksa. Kaška, wyszedłszy z mleczarni, udała się tam prosto, pragnąc zabrać swoje rzeczy i przenieść się czym prędzej. Gdy weszła, zastała Feliksa leżącego według zwyczaju wśród brudnej i porozrzucanej pościeli, z miną człowieka, któremu pewnie ulokowany kapitał przynosi przyzwoity i stały dochód. Pofałdowana i niekształtna twarz tego człowieka ginęła w kłębach dymu kabanosa. Niedawno powrócił z obiadu, a teraz ze spokojem odprawiał sjęstę poobiednią. Brudne, szare ściany izdebki, przesiąknięte dymem cygar, pooblepiane były kawałkami kolorowego papieru, wycinkami z żurnalu, anonsami lub złożonymi literami, poddrywanymi widocznie ze sztuk muślinu lub tarlatanu. Była to jedyna praca, której oddawał się czasem Feliks. Pomnąc na maksimum: *utile dulci*<sup>11</sup>, ozdabiał ściany nie zamiatanej izdebki wycinkami ze starych gazet i kolorowymi obrazkami.

– Będziesz miała po mnie pamiątkę – wyrzekł raz do Rózi, gdy ta gniewała się za zużywanie mąki na kłajster.

Tym zamknął jej usta. Rozstanie – było to słowo zbyt straszne, gdy padało z ust jego. Ona mówiła o nim ciągle, wywoływała nawet w kłótniach codziennych, ale gdy Feliks wyrzekł coś odnoszącego się do zmiany w ich pożyciu – martwiała z bólu i stała przełęczniona, jak wobec śmierci lub choroby nieuleczalnej.

Gdy Kaška otworzyła drzwi, Feliks nie podniósł się ze swego legowiska. Od dawna zatracił całą galanterię dla dam i uważał kobietę jako istotę niższą, przeznaczoną jedynie dla utrzymywania jego drogocennego życia. Gorąca, duszna atmosfera nie przewietrzanej nigdy izby uderzyła niemile wchodzącą dziewczynę i przygniotła od razu jej płuca. Pomimo że nie cierpiała Feliksa, wrodzona jej uprzejmość nakazywała jej być grzeczną.

– Dzień dobry – wyrzekła, otwierając swój kuferek i składając swe drobiazgi z jak największą uwagą.

Feliks nic nie odpowiedział, tylko zaczął się przyglądać pochylonej dziewczynie. Kaška była stanowczo piękniejsza od Rózi, a w mleczarni lub w kawiarni mogła przy dobrych chęciach przynosić korzyść podwójną. O wiele młodsza, świeższa, z łagodną siłą konia meklemburskiego, przedstawiała się o wiele korzystniej jako materiał zarobkowy, z którego można by dłużej i więcej ciągnąć dochodów. W milczeniu przeżuwał myśli od dawna w jego głowie powstałe.

Rózia zaczynała się starzeć. Coraz mniej monety brzęczało na dnie szufladki. Niedbała, zmęczona i niechętna, traciła poboczne dochodziki za usługę; przy tym z głupim uporem trwała w jakiejś wierności, której on w gruncie rzeczy nie wymagał i nie pragnął. Dla miłości Feliksa odtrącała każde poufalsze zbliżenie się gości z miną zadąsaną, źle wychowanej dziewczyny, a tym samym omijały ją coraz częściej owe drobne pieniądze „na piwo”, które w początkach ich pożycia wynosiły codziennie po kilka guldenów. Wtedy żyli przyzwoicie, a dwa listy Banku Hipotecznego datowały się z owych czasów, w których, oprócz utrzymania Feliksa, mogła Rózia odłożyć coś na czarną godzinę. Wprawdzie nieraz dokoła ich mieszkania krążyły postacie rozmaitych mężczyzn, starszych i młodszych, którzy zaglądali z pewną niecierpliwością do bramy i głośno kaszlali space-

---

<sup>11</sup> *utile dulci* (łac.) – przyjemne łączyć z pożytecznym

rując pod oknami, a Różia, najczęściej pod pozorem odwiedzenia chorej przyjaciółki lub ciotki, wybiegała na miasto i wracała dopiero po kilku godzinach – ale Feliks udawał, że tego wszystkiego nie dostrzega. Udając sen twardy, widział wszystko i domyślał się prawdy, lecz nie robił żadnych awantur. Po co? Tak było lepiej obojgu. Zżółkła jego maska uśmiechała się mimo woli, gdy Różia z nadzwyczajnym strachem pochylała się nad nim, aby się przekonać, czy nie słyszał, że powróciła o tak późnej porze.

Dla niego mogła powrócić i rano. To mu było zupełnie obojętnym. W swej pogardzie dla kobiety nie pojmował, co to jest szczęście wynikłe z przeświadczenia o wyłącznym posiadaniu ukochanej i kochającej istoty. Wszakże nie przeszkadzało to pewnemu artystycznemu zmarszczeniu brwi, gdy Różia opowiadała o niezmiernie zajmującej historii obok mieszkającego szewca, który żonę swoją złapał na niewierności małżeńskiej.

– Gdyby tak na mnie – mówił, usiłując wyduć swoją drobną, zawiedłą postać – zabiłbym psu-brata na miejscu.

A Różia spuszczała głowę i drżała ze strachu, marząc o morderstwie, krwi, sądach przysięgłych, kryminale...

I powoli, z coraz większą zaciekłością czepiała się Feliksa, pragnąc tylko jego pocałunków i pieszczot. Pozrywała dawne znajomości i zaczęła być wierną na wielką skalę, z uporem kobiety, której bezgraniczna namiętność znalazła wreszcie ukojenie. Przy tym stawała się coraz więcej nerwową, krzykliwą i zawiedłą w tym bezustannym dymie cygar i zgniecionej, wilgotnej atmosferze. Nie dbała o nic i nie troszczyła się nawet o byt materialny.

Feliks, od pewnego czasu w swoich wydatkach ścieśniony, patrzył na Rózię z dobrze maskowanym wstrętem. Nigdy wszakże nie zrobił jej żadnej wymówki, tylko kłął w czasie jej nieobecności, gdy otwarta szuflada przedstawiała widok niezadawalający. Był on na pozór względnie dobrze wychowanym człowiekiem i miał pewną delikatność, gdyż otwarte przyznanie się do wyzyskiwania kobiet mogłoby mu popsuć dalszą karierę. Stosował się więc w milczeniu do pogorszonej sytuacji, ale oglądał się za czymś lepszym, przynoszącym mu większy dochód, który by mu pozwalał żyć lepiej i jadać w przyzwoitszych restauracjach. Uwaga jego zwróciła się na... Kaškę. Któż mógł być lepszym materiałem do wyzyskania jak ta dziewczyna łagodna, cicha, pełna siły, a zarazem bezsilna wobec ostro postawionego żądania? Patrząc na długą linię jej grzbietu nad kuferkiem pochylonego, Feliks powziął nagle myśl zużytkowania dla siebie tej młodej, zdrowej istoty, która mogła znieść wiele w zaprzęgu i nie zużyć się tak łatwo, jak Różia.

– Panna Kasia idzie na spacer? – zapytuje z niezwykłą uprzejmością, widząc, że dziewczyna wydobywa z kufra czysty, biały kaftanik i odkłada go na bok.

– Nie, panie Feliksie, przenoszę się tylko – odpowiada Kaška, szukając pomiędzy bielizną pocerowanych pończoch.

– Panna Kasia idzie do służby?

– Idę.

Chwila milczenia. Kasia wyszukała pończochy, ale z rozpaczą dostrzega na jednej niewielką dziurę na pięcie. Siada więc na brzegu kuferka i sięgnawszy ręką, dobywa małe pudełko od proszków seidlickich, pełniące funkcję neseserki lub kasetki do robót. W pudełku znajduje trochę bawełny, napastrzek i dużą igłę zardzewiałą. Wsuwa pończochę na lewą rękę, a wyciągając piętę na złożonej pięści, rozpoczyna cerowanie. Szyjąc przechyla za każdym sztychem głowę i zacina usta z wyrazem nadzwyczajnej uwagi. Feliks podwaja uprzejmość i powoli wstaje z pościeli.

– Po co panna Kasia idzie do służby? – pyta, przeglądając się w małym kieszonkowym lusterku.

– Jak to po co? Ażeby nie zdechnąć z głodu – odpowiada Kaška, nie podnosząc głowy.

– Panna Kasia, jakby zechciała, toby mogła iść do jakiej innej, lekciejszej roboty; rondle i szafliki to dla innych, brzydszych...

Kaška roześmiała się szczerze.

– Niech pan Feliks nie dworuje. Ta cóż bym robiła inakszego?... Trafiała się niezła służba... Pani, zda się, dobra...



– Oj! One wszystkie niby dobre – mówi Feliks skrzywiony. Ale ja znalazłbym coś innego, delikatniejszego, polityczniejszego. Ot, na przykład, do mleczarni, jak Rózia, albo do kawiarni... He?...

I rzuciwszy projekt, patrzy z uwagą w twarz Kaśki, aby dostrzec, jakie zrobił wrażenie.

Kaśka opuszcza nagle rękę, na której trzyma pończochę, drugą dłonią pociera ramię. Silne palce rzeźbiarza, zaciśnięte z uporem powyżej jej łokcia, zostawiły czerwone pręgi bolesne, jakby od skrepowania powrozem. Stara się więc uśmierzyć ból za pomocą rozcierania.

– Ja do mleczarni? Zanadto jestem niezgrabna, za brzydka. Rózia to co innego...

Feliks postanawia uderzyć w strunę próżności, a przy tym nie pragnie oszczędzać swej kochanki.

– Hi! hi! hi! Pewnie, że Rózia a panna, to co innego. Panna bo młodsza i ładniejsza, i zdrowsza... Rózia przy pannie to jak zduszona cytryna...

Kaśka doznaje tego samego zdziwienia, jakie ogarnęło ją w kuchni, gdy rozgniewana Rózia nazywała Feliksa „ananasem”. Teraz on nazywa ją „zduszoną cytryną”. Cóż wiąże tych dwoje ludzi, skoro się nawzajem nienawidzą?

I tą samą intonacją głosu pyta?

– Dlaczego pan z nią siedzisz?

Feliks krzywi wąskie usta i szuka przez chwilę odpowiedzi.

– Ot, przyzwyczałem się... taka moja głupia natura.

I ten się przyzwyczał? Kaśka wzrusza ramionami i zaczyna cerować pończochę. Feliks pragnie widocznie coś dodać, bo zbliża się do kuferka, a uśmiech rozjaśnia jego twarz obojętną.

– Ale z tym wszystkim mógłbym z nią skończyć w każdej chwili. Zrobiła się z niej taka jędrza, że, jak Boga kocham, nie do wytrzymania. Ja lubię kobiety grzeczne i edukowane. Myślałem, że ją wytresuję, ale niech ją tam...

Kaśka słucha ze zdziwieniem tej mowy. On wymaga od Rózi grzeczności i chce ją tresować!

Feliks przysuwa się bliżej i siada na brzegu kuferka.

– I widzi panna, Rózia próżnuje teraz, nic nie robi. Dawniej to była iskra, nie dziewczyna; teraz ledwo ciągnie za sobą nogi. Ja nie lubię kobiet, które się włóczą po kątach i nic nie robią.

Kaśka mimo woli zatrzymała swój wzrok na długich, suchych, beczynnie złożonych rękach Feliksa. Na czwartym palcu lewej ręki błyszczał kokieteryjnie pierścionek, ozdobiony fałszywym brylantem.

Feliks patrzył także na ręce Kaśki, grube, szorstkie, pokryte lśniąca, czerwoną skórą, i oboje zajęci byli jedną myślą – mianowicie obliczali, ile dziennego dochodu mogły dać ich ręce w ciągłą puszczone pracę. Przy tym wzrok Feliksa obejmował całą postać dziewczyny ze skrupulatną uwagą, tą samą, z jaką się ogląda kamienicę, na której się chce ulokować swój kapitał zaraz po Towarzystwie<sup>12</sup>. Widocznie egzamin wypadł na korzyść dziewczyny, bo Feliks poprawił krawatę i przechylając się z wdziękiem, zaczął trochę przyciszonym głosem:

– Ja pannie Kasi powiem... gdyby panna Kasia zechciała, to ja bym się postarał, aby panna Kasia dostała się na miejsce Rózi w mleczarni. To będzie łatwo, bo Rózia jakaś chuderlawa i coraz bardziej włóczy nogami. Ale za to panna Kasia będzie moja i będzie ze mną siedzieć, tak jak teraz Rózia. Krzywdy nie zrobię, jak Boga kocham, bom uczciwy człowiek, i zobaczy panna Kasia, jaki ze mnie dobry mąż...

I zaczął suchymi, chudymi palcami szukać rąk dziewczyny, która siedziała na brzegu kuferka przerażona, doznając wrażenia, jakby ją nagle obryzgano błotem.

On, biorąc milczenie Kaśki za znak niemego z jej strony zachwyty, ciągnął dalej swe propozycje, zwracając ku niej swą żółkłą, zmarszczoną twarz próżniaka, zeschniętego w beczynności, trawiącego obcą pracę z całą bezczelnością pasożyta.

Nie – to było nadto bolesne. Czymże zasłużyła na podobne upodlenie? Czego chcieli od niej ci mężczyźni, nie pozwalający jej żyć spokojnie? Dziś po raz trzeci czuje na swej twarzy gorący od-

<sup>12</sup> po Towarzystwie – mowa o Towarzystwie Kredytowym Miejskim, założonym w Warszawie w 1870 roku; udzielało ono kredytu, zapisując pożyczki na hipotecę dłużników zawsze na pierwszym miejscu

dech męski, pomieszany z zapachem cygar i złego wina. Nie! stanowczo tego za wiele! Jakiś nieokreślony smutek przepelnia jej piersi, lzy nabiegają do oczów i Kaśka wybuchła głośnym płaczem, ocierając lzy trzymaną w ręku pończochą. Czyż tak będzie całe życie? Więc nigdy nie znajdzie spokoju, nigdy chwili wytchnienia? Czyż wszyscy mają prawo rzucać się na nią dlatego, że jest biedną służącą, zmuszoną iść z odkrytą głową przez ulicę?

Feliks, nie przewidując łez na zakończenie swych świetnych propozycji, milknie zmieszany i wstaje z kufierka. Duma jego dotknięta każde usunąć się co prędzej; dlatego ze źle ukrywaną złością chwytając rzucony pod stół kapelusz i wychodzi trzaskając drzwiami.

– Klucz oddać stróżowej! – rozkazuje, stojąc we drzwiach; a Kaśka nie odwraca nawet głowy, tylko płacze ciągle, opierając skroń o ścianę. Te lzy sprawiają jej ulgę i przynoszą trochę spokoju.

Ubogie swe sukienki przewiozła w dorożce razem z pościelą, zawiązaną w grube białe prześcieradło.

Zajechawszy przed bramę, oglądała się na próżno za swym nowym znajomym, Janem... Nigdzie go nie było – poszedł zapewne na miasto. Kaśka nie mogła zrozumieć, dlaczego nieobecność stróża sprawiła jej przykrość. Pragnęła, aby przyjazna twarz chłopca przywitała ją na wstępie do nowego mieszkania. Nie obawiała się z jego strony napaści, owszem, miała dlań ufność i pragnęła jego opieki. Z pomocą dorożkarza przeniosła kuferek i pościel, a sama pani otworzyła jej drzwi kuchenne.

Gdy zastała ze starych desek pozbijane łóżko i pokryła je grubym prześcieradłem, a na ścianie powiesiła rzędem cztery piękne malowane obrazy, uśmiechnęła się w swym ubóstwie i uczuła się zadowoloną. Te obrazy były jej jedynym bogactwem. Święta Trójca z szafirową kulą, przedstawiająca świat cały, Matka Boska Kochawińska, wychylająca czarną twarz z pozłocistej sukni, i święty Wincenty à Paulo z dzieciakiem na ręku. Czwartym w tej galerii obrazów był Bogumił Dawison<sup>13</sup>, rozparty w purpurowym płaszczu i koronie cesarów. Kaśka, nie znając bohaterów sceny, umieściła tragika pomiędzy obrazami świętymi, uważając go za coś wysokiego ze względu na czerwony płaszcz i dumną, wyzywającą pozę, z jaką się rozpierał koło urny, na kolumnie wysokiej sterczącej.

W kuchni znalazła mnóstwo śmieci i kurzu; po kątach stopy kości, łupiny od kartofli itd.

Po rozpatrzeniu się bliższym zauważyła brak wielu koniecznych naczyń, szczotek, żelazek. Z wielką energią rozpoczęła więc sprzątanie tego kąta, w którym odtąd żyć miała. Gdy obmyła podłogę, zabrała się do oczyszczenia ścian, ale tu niewiele pomogły jej dobre chęci. Czarne smugi pokryły dawno nie bielone ściany. Niewielkie okienko wychodziło na małą boczną galeryjkę, opatrzoną cienką, żelazną poręczą, zakrzywioną na rogu i ciągnącą się w górę po spiczastym dachu niższego budynku. Okienko to dawało mało światła i powietrza. Kaśka westchnęła. Szerokie jej piersi wciągały od razu wielką ilość powietrza, gdyż inaczej krew ją dusiła i zalewała jej głowę.

Nagle drzwi od pokoju otworzyły się i w nich stanął mężczyzna niemłody, w szlafroku – widocznie pan domu.

Kaśka wyprostowała się i podeszła, pragnąc w fałdach wyszarzałej perskiej tkaniny znaleźć rękę swego chlebobawcy i wycisnąć na niej pełen szacunku pocałunek.

Ręka jednak zniknęła w zbyt obszernym rękawie, a natomiast z piersi mężczyzny wybiegł cichy, zachrypnięty głos, podobny do piania koguta.

– Cóż to za nowy tłumok tak hałasuje, że człowiek myśleć nawet nie może?

Kaśka, biorąc zawsze najgorsze dla siebie, zastosowała tym razem wyraz „tłumok” do swej osoby.

– To ja, proszę wielmożnego pana, Kaśka.

Chudy mężczyzna skrzywił się.

– Nowa sługa, hm... hm... gorsza złodziejka i latawiec niż tamte. No, no, ja się do ciebie wezmę i będziesz mnie słuchać. Nie panią, tylko mnie, bo u mnie służysz. Rozumiesz, ja płacę! Pani nic nie ma, to wszystko moje. To moja krwawa praca, którą ona niszczy.

---

<sup>13</sup> Bogumił Dawison (1818-1872) – znakomity polski artysta dramatyczny; odnosił duże sukcesy za granicą

I wstrząsając długim rękawem, pod którym kryła się zapewne ręka, ukazywał Kaśce tę całą swoją własność, owoc krwawej pracy: kilka rondli, stary pogrzebacz i szczypce, blaszany samowar, dziurawą konewkę, rdzą pokryty kociołek i resztę innych gratów, nędznych, kryjących się po zaciemnionych kątach ze wstydem obszarpanych nędzarzy. Człowiek w brudnym szlafroku wyciągał rękę i zakreślał koło, mówiąc „to moje” z dumą skąpca, który całe lata gromadzi stopy zaśniedziałych monet. Były to skarby smutne, własność, o którą sprzeczać się było dziwactwem, a przecież ten mąż wydziedziczył z nich żonę, wskazując siebie jako głowę domu i pana w całym tego słowa znaczeniu. Wszystko należało do niego – i to wygasłe ognisko, i ta stolnica czerwona jeszcze od mięsa, i ten szczerbaty garnuszek, i ten móździerz bez tłuszczka, w którym tłuczono cukier lub pieprz starą rączką od dzwonka. Tym wspaniałym ruchem rękawa obejmował w posiadanie i nową służącą, która w niemym podziwieniu spoglądała na tę łysą, spiczastą głowę, obciążoną żółtą skórą, a zapadającą się w kilku miejscach w doły okrągłe i równe. Nos długi, haczykowaty zwieszał się nad wąskimi wargami i prawie łączył z wystającą brodą. Zamiłowanie w gderaniu i bezustannym gniewie na siebie i na wszystkich przebijało się aż nadto widocznie w tej skurczonej, pochylonej postaci, jakby zaczajonej dla rzucenia się na upatrzoną sobie ofiarę. Chudy, mały, miał ruchy wariata, machając ustawicznie rękami i wyginając dolną wargę w właściwy sobie sposób.

Kaśka, mimo całego szacunku dla „państwa”, nie mogła ukorzyć się przed tą figurą, migającą się w niepewnym blasku przyciemnionej kuchenki.

– Ile ci pani dała zadatku? – pyta człowiek w szlafroku, zaczajając się jakby do skoku.

– Reńskiego w srebrze – odpowiada Kaśka.

– Oddaj go!

Kaśka, przerażona, nie może przez długi czas znaleźć odpowiedzi.

– Oddaj – powtarza mężczyzna – kto cię tam zna... Może jesteś Bóg wie jaka przywłoka... Jutro ukradniesz co i pójdiesz, a ja ci mam jeszcze za to płacić? Ta głupia Julka zawsze tak robi... Szast, prast... pieniądze wyrzuca, jakby swą własność!... Miłosierny Boże! co to ze mną będzie... co to będzie!...

Postąpił kilka kroków naprzód.

– Czy to ma być wyszorowana podłoga? – zapytał, przysiadając na ziemi i wlokąc za sobą sznur długi i obszarpany. – To jest tylko brud rozmazany, a wszystkie plamy zaraz jutro wyjdą... Popraw to zaraz...

Siedząc na ziemi, rozglądał się dokoła uważnie, jakby coś obliczał i przypominał sobie.

– Masz tu czternaście kawałków drzewa na jutro do obiadu... to ci wystarczy. Naczynie utrzymuj czysto, bo to moja praca i kosztuje mnie немало...

Nagle porwał się z ziemi i rzucił na stojący na stole samowar.

– Miłosierdzie Boże! – zawołał, chwytając samowar przez materię rękawa. – Miłosierdzie Boże!

I za chwilę zniknął z samowarem we drzwiach prowadzących do pokoju. Kaśka pozostała sama. Chwilę stała nieruchoma, porządkując wrażenie, jakie zrobił na niej ten człowiek dziwaczny. Czekając jego powrotu i powtórnego rozkazu zwrócenia zadatku. Czuliła, że służba jej będzie bardzo ciężka, ale nie miała wyboru. Wśród kwartału gdzie znaleźć mogła lepszą? W najwyższej trwodze zabrała się do powtórnego szorowania podłogi. Oddychała ciężko, pocąc się wśród gorąca i w przyśpieszonym ruchu. Pan nie powracał wraz z samowarem, bo zniknął we wnętrzu mieszkania. Kaśka z ciągłą trwogą spoglądała na drzwi od pokoju.

Zmrok zapadał z wolna, ścieląc się ciemnymi smugami po wilgotnej podłodze i pustych kątach. Wszystkie przedmioty tonęły w ciemnościach, napełniających powoli ciasne wnętrza kuchni. Kaśka, spocona, zmęczona, skurczona w wielką, bezkształtną masę, szorowała ciągle z jakimś nerwowym uporem, prawie bezmyślnie.

Na koniec otworzyły się drzwi, a do kuchni weszła pani, trzymając w ręku samowar. Jej niska, szeroka postać zaznaczyła się wśród cienia niepewnymi liniami. Pani postawiła na stole samowar i oparła się ręką o ścianę, jakby padając ze znużenia. Stała tak przez chwilę w milczeniu, nie patrząc na Kaśkę, która w przeciwległym kącie kuchni klęczała w wodzie. Na koniec, unosząc tren swego

szlafroka, postąpiła pani kilka kroków ku okienku, skąd padała jeszcze szarawa, jakby popiołem przysypana smuga światła, i stanęła w tej smudze, zwracając ku Kaście swą bladą twarz niezdrowej kobiety.

Pragnęła widocznie coś przemówić do klęczącej naprzeciw niej dziewczyny, nie wiedziała jednak, od czego zacząć.

– Bardzo tu było brudno – wyrzekła powoli, a głos jej drżał lekko, prawie niedostrzegalnie.

– Tak, proszę wielmożnej pani, ale jakoś się to uładzi – odpowiada Kaśka, szczęśliwa, że jej piękna pani tak uprzejmie do niej przemawia.

– Mąż mój... to jest pan – poprawiła się – lubi porządek... trzeba mu dogadzać... – proszę cię o to...

Kaśka podniosła głowę i zastanowiła się chwilę. Jak to? Ta pani prosi ją o wypełnienie obowiązku?

– A teraz mam jeszcze jedno zlecenie – mówi pani, wahając się przez chwilę. – Zdajesz się być dobrą dziewczyną... Służ mi wiernie, a nie pożałujesz. Skoro podasz samowar i zobaczysz, że ja siedzę przy stole i biorę bułkę z koszyka, wróć do kuchni, a po chwili wejdź z tym listem. Podaj go panu, mówiąc, że przed chwilą posłaniec go przyniósł. Potem wyjdź z pokoju i nie przychodź, aż cię zawołam.

I kończąc te słowa, wyciągnęła pani swą tłustą białą rękę, podając Kaście list, zaadresowany dużymi literami.

Jakieś dziwne zakłopotanie ogarnęło obie kobiety. Kaśka, nie wstając z klęczek, otarła mokre ręce i ująwszy list wsunęła go za kaftanik. Pani nakazywała jej kłamać i poszukiwać pana, oddając mu list z uwagą, że przyniósł go właśnie posłaniec. Kaśka czuła, że to nie było dobrze, i kryła w cieniu pomieszczenia, które ogarnęło ją nagle. Pani, w szarym i przyćmionym blasku padającym z okna, miała w swej bladej twarzy wyraz lekkiego zakłopotania z tego przymuszonego tłumaczenia się przed sługą, którą od kilku godzin zaledwie poznała.

– Czy wiesz, co masz robić? Zrozumiałas dobrze?

Kaśka wie wszystko, co ma zrobić, ale nie rozumie, dlaczego. Wiedzioną wszakże instynktem, nie pyta o nic, nie chcąc zawstydzić jeszcze więcej tej bladej kobiety, która stoi przed nią nędzna i przygnieciona prawie swym kłamstwem.

– Pamiętaj wszakże – odzywa się pani łagodnym głosem – że służysz przede wszystkim u mnie. Dlatego liczę na ciebie i każę ci milczeć. Gdybyś wszakże powiedziała cokolwiek panu, wypędzę cię, a mnie narazisz na przykrość... bardzo wielką.

Głos jej nie miał tonu prośby, gdy mówiła „wypędzę”. Był to raczej senny dźwięk stłumionego łkania, które zastygło w tej szerokiej piersi.

Kaśka poczuła nagle wielką litość nad tą kobietą, która kłamała z takim źle ukrywanym smutkiem. I ze zwykłą u kobiet przeciwko mężczyznom solidarnością postanowiła pomagać, ile jej sił starczy, tej dobrej, bladej pani, która mówiła do niej przychylniej, pocziwiej niż pan, liczący polana i rzucający się na samowar w dzikiej rozpacz. Kaśka przeczuciem służki odgadła w Julii istotę bierną, złą gospodynię, kobietę zajętą bardziej czymś poza granicami domu, żyjącą wśród ścian swego mieszkania jak w hotelu, bez zajęcia, bez chęci, bez uśmiechu. Oprócz tego Julia wydała się Kaście bardzo nieszczęśliwą i chorowitą mimo dobrej tuszy. Gdy Julia mówiła: „Narazisz mnie na przykrość wielką” – Kaśkę ścisnęło „pod piersiami”. Ta wielka przykrość rysowała się przed oczami tej wrażliwej dziewczyny jak straszny potwór, zagrażający życiu jej pani. O! pani może być spokojna. Kaśka własnymi rękami odsuwać będzie te przykrości i piersią własną zasłoni ją przed potworem! I klęcząc u stóp Julii, pocziwa dziewczyna za kilka słów łagodniejszym wypowiedzianym tonem składa w ofierze swej pani bezgraniczne przywiązanie, usta już chętne do kłamstwa i całą swą istotę, pełną uległości psa wiernego. W tej ciemnej kuchence zawiązało się milczące przymierze przeciwko mężowi i panu, przymierze mające na celu, z jednej strony, zdradę małżeńską, z drugiej – chęć odplacenia ślepym posłuszeństwem za dobre słowo. Dwie kobiety, nie mające przed chwilą jeszcze nic wspólnego, łączyły się węzłem tajemnicy, która usunęła się za kaftanik

Kaśki w postaci zaklejonego listu. Julia, ulegając dziwnie sympatycznej powierzchowności Kaśki, powierzała w jej ręce swą przeszłość, przyszłość i teraźniejszość – nieopatrznie może, ale kierując się instynktem kobiecym. Ta wysoka dziewczyna, tak łagodna, silna, z otwartą i szczerą fizjonomią, nie mogła kryć zdrady w głębi swej istoty. Od pierwszej chwili Julia przeczuwała w tej dziewczynie swego sprzymierzeńca, licząc wreszcie i na przykry charakter męża, który od pierwszej chwili wywierał na każdym wstrętne wrażenie.

Gdy pani wyszła z kuchni, nakazując zapalić lampkę, nastawić samowar i podać filiżanki, Kaśka wstała z podłogi, na której dotąd klęczała, i przez chwilę stała z twarzą w dłoniach ukrytą.

Pani, wychodząc, powiedziała: „Pośpiesz się, moje dziecko!” – a powiedziała tonem łagodnym, niknącym wśród ciemnej przestrzeni.

Moje dziecko!

Od śmierci swej matki Kaśka nie słyszała tego słowa. Teraz duszą i ciałem należy do tej dobrej kobiety, której głos drga jeszcze pod niskim kuchennym sufitem i płynie, napełniając powietrze miłą wonią.

I z łakomstwem dziecięcym upaja się Kaśka tą nazwą, tak drobną wobec jej olbrzymiej postaci i szerokich ramion. Zmoczona spódnica, ku dołowi obciągnięta, leje ze siebie całe strugi brudnej wody, która ze szmerem deszczu spada na podłogę. Kaśka stoi wśród ciemności, odurzona słodyczą zasłyszanego słowa. Cały ten dzień, tak przykry z powodu brutalności mężczyzn, rozwiął swą smutną szatę w dźwięku słowa płynącego z ust kobiety.

Moje dziecko!

To słowo przepęliło serce Kaśki rozkoszą nieokreśloną i skuło jej silną postać nierozzerwalnym łańcuchem posłuszeństwa. W tej krótkiej chwili Kaśka straciła swą wolę i stała się maszynką w palcach swej pani. Było w tej przemianie dużo z uległości zwierzęcia domowego, które chętniej biegnie do ręki przynoszącej mu cukier niż do ręki obciążonej batogiem.

Gdy Kaśka weszła z samowarem do jadalnego pokoju, uderzył ją na wstępie niezwykle widok. Na wyplatanych krzesła, przy okrągłym stole siedział pan obłożony mnóstwem wielkich książek. Żółtą i chudą, jak u kościotrupa, ręką przewracał sinawe kartki, od góry do dołu zabazgrane, pokreślane, z kolumnami cyfr na marginesach. Książek tych było ze dwanaście, wszystkie jednej wielkości, zniszczone, z pozaginаныmi rogami i zrudziałą okładką. Leżały one na ziemi, stały oparte o nogę stołu, zajmowały blat, rozkładały swe ogromne kwadratowe ciała, ubrane w kamlotową sukienkę. Pan, pogrążony w jakichś poszukiwaniach, podnosił się na krzeselku, gdy nie mógł wzrokiem doścignąć wierzchu karty. U okna siedziała w milczeniu pani, z głową zwróconą na zewnątrz pokoju.

Zdawała się być pogrążoną w myślach, martwą i nieruchomą. Pokój jadalny, niewielki, kwadratowy, z oknem wychodzącym na dziedziniec, był pusty i świecił nagimi ścianami, pomalowanymi w orzechowe róże na tle żółtym. Niewielki kredens, staruszek, ze spaczonymi drzwiczkami, rysował swój kontur i z pewną nieśmiałością tulił się do ściany. Niska sofa pokryta zniszczoną ceratą i kilka wyplatanych krzeseł stanowiły całe umeblowanie pokoju. Przez uchylone drzwi można było dojrzeć sypialnię, oświetloną blaskiem gasnącej świecy.

Dwa łóżka jednakowej wielkości, okryte ciemnymi kapami, migwały w żółtawym świetelku. Sypialnia łączyła się z salonikiem, którego drzwi prowadziły wprost na schody tak zwane frontowe. Przedpokoju nie było.

Gdy Kaśka wchodziła do jadalni, pan, nie odwracając nawet głowy i nie odrywając oczu od książek, mówił coś do żony, a głos jego, piejący i chrapliwy, z głuchym świstem odbijał się o ściany pokoju.

– Znalazłem, jest! O!... Kupiony w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim, dwunastego sierpnia, o godzinie trzeciej po południu. Patrz! Zapisany. Samowar blaszany, z galeryjką i kominem. Cena reński i centów osiemdziesiąt. Oddany Julii z Weissów Budowskiej, żonie mojej, i słuchającej Małgorzacie Przybylak. Chodź! Czytaj sama!... Był nowy, zupełnie nowy. Tu! Niżej!... pod-

pisalaś się sama własnoręcznie. „Samowar zupełnie nowy przyjął, Julia z Weissów Budowska”. Teraz powiedz, czy to nie twoje pismo? No! Powiedz!...

I drżącymi ze złości palcami wodził po zapisanej stronicy, na której rzeczywiście widniał wielkimi literami napis: „Samowar blaszany itd.” Julia nie odpowiadała wcale. Siedziała nieruchoma, spoglądając w ciemną, olbrzymią przestrzeń, rysującą się za oknem. Pomimo późnej pory oko mogło jeszcze rozróżnić mury koszar i wysoki nasyp kolejowy, oświetlony gdzieś latarnią budnika. Od pól i ogrodów wiało świeże, chłodne powietrze i wpadało śmiało do wnętrza pokoju. Na dziedzińcu bawiła się gromadka hałaśliwych dzieci, a w przyległej kamienicy szwargotali Żydzi, używający odpoczynku na drewnianych, spróchniałych deskach galerii. Nagle na torze kolejowym zabłysło purpurowe światło i rozległ się przytłumiony huk, jakby gwar zbuntowanego tłumu. Czerwona gwiazda mknęła szybko, siejąc tuż przy ziemi żółtawy blask w kłębach białej pary. Przed oczami Julii przemknął się pociąg kurierski, złożony z kilku wagonów i lokomotywy, i pojechał w gniewnym pośpiechu rozjuszonego zwierza. Huk napełnił mały pokój i wstrząsnął do głębi postacią chudego człowieka, zatopionego w książkach i poddającego swą nagą czaszkę pod jasne światło zawieszanej nad stołem lampy.

Julia nie poruszyła się wcale, tylko po jej bladej twarzy przemknął się wyraz tajonej żądzy, jakiegoś pragnienia, budzącego się codziennie z hukiem przelatującego pociągu. Nie podróżowała ona nigdy. Urodzona i wychowana w mieście, jeździła raz tylko do Gródka, do ciotki męża z wizytą. Była to rozkoszna podróż, szybka, rwąca jej bezkrwiste ciało w jakąś dal nieskończoną. Odtąd spada na nią codziennie ten huk przelatującego pociągu, jak szum przemijającej burzy, i niesie ze sobą nieokreśloną tęsknotę za światem dla niej nie znanym. Jest to jedyna chwila dnia, w której dusza tej kobiety rwie się w kawałki w bezsilnym bólu, pragnąc poruszyć się i razem z tą gwiazdą czerwoną ulecieć w dal ciemną i pełną tajemnic.

– A teraz... miłosierdzie Boże!... spójrz, jak on wygląda! – ciągnie piejący głos męża, wskazującego z wyrazem bólesci na ustawiony przez Kaśkę na stole samowar. – Boki pozapadane, galeryjka powykrecana... miłosierdzie Boże! miłosierdzie Boże!

Kaśka spogląda z niepokojem w stronę Julii, ciągle nieruchomej i jakby sennej. Czy pani zapomniała o liście? Dlaczego nie zbliży się do stołu? Dlaczego nie daje umówionego znaku?

Na koniec Kaśka odważa się przemówić:

– Proszę pani, woda już się gotuje.

I odkrywa przykrywkę porcelanowego czajnika, wyciągającego swą nadtłuczoną szyjkę pomiędzy dwiema filiżankami fajansowymi.

– Głupia! – wybucha pan ze złością. – To do mnie należy. Ja zasypuję herbatę, bo to moja herbata. Ona tu nic nie ma swego. Rozumiesz? Podaj mi herbatę. Jest tam w kredensie, na górze, w blaszanej puszcze. Wyjmij także druciany koszyk z bułkami.

I z najwyższą uwagą wziął odrobinę herbaty swymi kościstymi palcami i wrzucił ją do czajnika. Potem zamknął szczelnie puszkę i kazał wstawić do kredensu.

Kaśka czuła, że jej obecność jest w pokoju zbyteczną, lecz cóż miała zrobić z listem? Czuła go ciągle na piersiach, za każdym ruchem ocierał się o nią gładką powierzchnią i przypominał jej swą obecność.

Usunęła się cicho do drzwi i stała śledząc z uwagą nieruchomą postać pani. Gdy tak stała, przyszło jej na myśl, że źle robi pomagając do jakiegoś czynu oszukańczego. Ten pan był bez wątpienia złym człowiekiem, przykrym, gderliwym, ale Kaśce nie uczynił jeszcze nic złego. A nawet gdyby ją skrzywdził, nie powinna przecież występować przeciw niemu... I niepewna, wahająca się, pragnąc zachować iście chłopską neutralność, ciśnie do piersi ów list fatalny, ciężący jej w tej chwili stufuntowym ciężarem.

Tymczasem pan podnosi się, składa na ziemi książkę i zabiera się do nalewania herbaty. Czyni to dość zręcznie, klekocąc chudymi palcami i wybierając jak najmniejsze kawałki cukru. Stawia jedną filiżankę na drugim końcu stołu i uprzejmym gestem zaprasza żonę do przyjęcia udziału w tym skromnym posiłku.

– Proszę! proszę! Jakkolwiek uczta ta daleką jest od lukullusowych biesiad<sup>14</sup>, sprawianych w domu mamy dobrodziejki, ale niech pani pozwoli i zaszczyć mnie ubogiego swoją uprzejmością. Daję pani to, na co mnie stać. Dobrze, że mogę pani coś ofiarować, bo ze strony pani, oprócz fochów i niszczenia inwentarza tudzież ruchomości, niczego się nie mogę doczekać.

Owa wieczorna herbata była to zwykła pora dnia, w której występowały na pierwszy plan pretensje tego człowieka, skierowane głównie do zawodu, jakiego doznał nie dostawszy za żoną spodziewanego posagu.

Odsunął on ją od zajęć domowych, odebrał wszelką władzę, wyrzucając jej ciągle ubóstwo i czyniąc z niej raczej sługę aniżeli żonę. Ona przyjęła swą rolę z pozornym posłuszeństwem, pleśniała w domu, który nie miał żadnego uroku, włóczyła się z kąta w kąt, nie mogąc wypełnić pustki każdej głupiej i źle wychowanej kobiety, która nie umie znaleźć rozrywki w sobie samej, w książce i w nabywaniu wiadomości.

Od czasu do czasu chodziła do swej matki, sparaliżowanej staruszki, która dogorywała w skromnym mieszkaniu na Berlińskiej ulicy. Chodziła tam zwykle sama, bo mąż srodze zagniewany nie chciał widzieć „tej starej jędzy, która go złapała” – jak zwykł mówić w przystępie dobrego humoru. Julia tedy chodziła sama, odprowadzana zwykle przez sługę, a powracała w kilka godzin jeszcze blejsza i bardzo zmęczona.

Budowski uważał żonę chwilami za rodzaj upiora, który niszczył go materialnie.

– Proszę! bardzo proszę! – ciągnął, odwracając swą pergaminową twarz ku siedzącej przy oknie kobiecie. – Może pani zobaczy przy lampie, co się tu zrobiło z takim ślicznym, nowym samowarem.

Julia wstała i zbliżyła się na pozór machinalnie do stołu. Dziewiąta godzina wybiła na którymś z miejskich zegarów. Przeciągłe, niskie dźwięki dolatywały przez otwarte okno i ginęły przygniecione niskim sufitem. Stojąca przy drzwiach Kaśka policzyła uderzenia. Pani siadła przy stole i zaczęła spokojnie pić czystą herbatę, z ruchami woskowego manekina.

Budowski śledził ją niespokojnym wejrzeniem. To wieczne jej milczenie, trupia nieledwie obojętność drażniły go niewypowiedzianie. Od chwili ślubu była wiecznie milcząca, spokojna, bez śladu jakiegokolwiek wzruszenia na bladej, szerokiej twarzy. Później, gdy ją dręczył moralnie, nie oburzała się nigdy. Nieraz miał ochotę uderzyć ją dla przekonania się, czy nie wybuchnie gniewem. I teraz siedzi spokojna, obracając ku niemu twarz woskowej lalki, otoczoną żółtymi, kręconymi włosami.

– I dziś rozporządziłaś się sama, bez mojej wiedzy – mówi pan, dzwoniąc gwałtownie łyżeczką o filiżankę. – Przyjęłaś nową sługę, jakiegoś grenadiera, i dałaś zadatek. To może złodziejka!

Wyraz ten „złodziejka” rozległ się jak skrzyp ostrego narzędzia na gładkiej porcelanie. Kaśka mimowolnym ruchem porwała się za głowę.

Ale ruch Julii przerwał jej przykre wrażenie. Machinalnie, na pozór bezmyślnie, wyciągnęła pani rękę i wzięła jedną bułeczkę z drucianego koszyka. Zrobiła to ze zwykłym spokojem.

Kaśka drgnęła lekko, ale mimo to została na miejscu. Tylko ręce opadły jej z wyrazem zniechęcenia, jak u człowieka stojącego wśród dróg rozstajnych i poplątanych. Julia podniosła na nią swe wielkie, bezbarwne źrenice. Zdawała się dopiero teraz spostrzegać służącą i dziwić się jej obecności.

– Wyjdź, moje dziecko.

Powiedziała te słowa jeszcze łagodniej jak przed chwilą w kuchni. Był to rozkaz, a zarazem gorąca prośba o wykonanie powziętego planu. Wobec tego głosu Kaśka uczuła się bezsilną. Julia, nie wiedząc o tym, magnetyzowała ją swoją słodyczą. Kaśka wyszła z pokoju z wyrazem zupełnej abdykacji. W kuchni wyjęła list, a przeżegnawszy się pobożnie i westchnawszy w kierunku świętych i tragika, powróciła do pokoju.

Budowski nalewał właśnie drugą filiżankę herbaty, gdy Kaśka stanęła z wyciągniętą ręką u stołu.

---

<sup>14</sup> lukullusowa biesiada – wspaniała uczta (od nazwiska słynnego smakosza rzymskiego Lucullusa)

– Proszę pana... list... – przemówiła cichym, stłumionym głosem.

Budowski rzucił się.

– Co, jaki list? Od kogo?

Chwycił podany papier i rozerwał kopertę.

Julia milczała ciągle, jedząc bułkę i patrząc bezmyślnie przed siebie.

Kaśka szczęśliwa, że ominęła straszne dla niej zapytania: „kto przyniósł?”, skierowała się ku drzwiom w zamiarze opuszczenia pokoju.

– Czekaj! – zawołał Budowski. – Będziesz potrzebna! Masz! – dodał, zwracając się do żony. – To od twojej matki. Nie mogę przeczytać tych kulfonów. Czegóż znów chce ta... stara?

Ostatni wyraz wymówił z nie tajonym wstrętem. Julia wyciągnęła powoli rękę, wzięła list i zaczęła czytać. Budowski usiadł na swym fotelu, zirytowany z powodu tego niekształtnego pisma, pochodzącego od kobiety, która, wedle jego wyobrażenia, leżała na pieniądzach, ale pozbyć się ich nawet dla córki nie chciała. I przez to uparte przekonanie o posiadanych przez matkę Julii skarbach pozwalał żonie odwiedzać matkę, sądząc, że wreszcie rozczulona wynagrodzi córce, a zarazem i jemu, ów zawód pod względem posagu, na który liczył idąc do ołtarza. Ale nadzieja otrzymania czegokolwiek nie łagodziła gniewu, jakim wybuchał na widok tych niekształtnych liter, które biedna staruszka kreśliła wolną od paraliżu prawą ręką, a w których zawsze wzywała swą córkę do siebie.

– Kto przyniósł ten list? – zapytał nagle, zwracając się do Kaśki.

Kaśka milczała. Dla miłości swej pani zrobiła wiele, ale ciężko jej było usłyszeć swój własny głos, rozlegający się kłamstwem wśród tej ciszy. Zwróciła więc błagalne spojrzenie na Julię, która zdawała się z trudnością odczytywać niekształtne i drżące pismo listu.

Wypadek przyszedł jej z pomocą. Samowar, pozbawiony wody, syczał jakąś prawie śpiewną gamę i zdawał się skarżyć na ogień przepalający jego blaszane ciało.

Budowski powstał gwałtownie z krzesła.

– Zatycka! – wołał. – Miłosierdzie Boże! Zatycka!... bo się rozlutuje.

Kaśka pobiegła do kuchni i przyniosła za chwilę żądany przedmiot. Tymczasem Julia przeczytała list i położyła koło filiżanki. Z niewzruszonym spokojem piła dalej zimną już prawie herbatę, patrząc w przestrzeń mętnymi oczyma.

– Ty! – rzekł Budowski za chwilę do Kaśki. – Ubierz się, bo odprowadzisz panią – dodał, odzyskując na chwilę silniejszy, grubszy głos.

Do żony nie powiedział ani słowa, ale ona wiedziała, że może pójść do matki. Nie śpiesząc się, wstała powoli, jak osoba wybierająca się na spacer, i weszła do sypialni. Przedtem jednak wzięła ze stołu list matki, a znalazłszy się w pokoju sypialnym, schowała go z pośpiechem w małe pudełko od pigułek, które włożyła do komody pomiędzy bieliznę, a potem zaczęła się ubierać. Niewiele dbała o swą powierzchowność, wyjmowała bowiem suknie po ciemku i wkładała je na siebie. Za chwilę była gotowa. Bez rękawiczek, w pantoflach, nie uczesana, w długiej ciemnej rotundzie przesunęła się szybko przez jadalnię, nie spoglądając nawet na męża, zatopionego znów w księgach rachunkowych.

– A wracaj prędko! – zawołał starzec. – Jeżeli już umarła, to nie masz tam już co robić. Pozamykaj tylko wszystko i zabierz klucze ze sobą.

Gdy obie kobiety wydostały się na ulicę, odetchnęły swobodniej. Wpół do dziesiątej zadzwoniło nad miastem. Był to piątek, dlatego ciszej i przestronniej było na chodnikach. Oświecony wagon tramwajowy przesuwał się z brzękiem dzwonka, przedstawiając puste wnętrze, w którym drzemał jasno ubrany konduktor.

Puste dorożki wracały od kolei, turkocząc hałaśliwie po nierównym bruku. W oknach domów płonęły mdłe światła, przyćmione fałdami firanek, gdziekolwiek tylko płonęły blaskiem szabasowej iluminacji.

Julia zaczęła szybko biec ku miastu. Ruchem ręki kazała Kaśce iść tuż obok siebie. Nie mówiła nic, oddychała ciężko, widocznie się śpieszyła...



Mijając latarnie, Kaśka kilkakrotnie spojrzała na twarz swej pani i mimo woli zdziwiła się, widząc ją tak zmienioną, drżącą, z brwiami ściągniętymi i wzrokiem w głąb ulicy wyteżonym. Zapewne matka musiała być bardzo chora, a biedna pani jest niespokojną. Kaśkę ogarnęło wielkie rozrzewnienie. Mój Boże! Ona miała także matkę i kochała ją bardzo!

Matula chorowała i Kaśka nieraz biegła z fabryki niespokojna i drżąca na wieść o pogorszeniu się choroby matki. A ten smutny wieczór, gdy zastała już trupa na pościeli! Miły Boże! Jakże wtedy bolało ją serce! Jak gorzko płakała na ten widok swej zimnej, martwej matuli!

Gdyby też ta dobra pani miała zastać także tylko trupa. To byłoby okropne.

Nagle Julia przecina ulicę w poprzek.

Koło kościoła stoi zamknięta dorożka, a przy niej chodzi jakiś mężczyzna wysoki, o zgrabnej postaci. Zapalony papieros oświetla chwilami niebrzydką jego twarz, ginącą w cieniu jak fantastyczne zjawisko. Fiaker drzemie na koźle, wyczekując z filozoficzną obojętnością, kiedy mu każą ruszyć. Siwy, chudy koń, z podkurczonymi kolanami, spuścił głowę z zupełnym poddaniem się losowi. Cały ten ekwipaż, zamknięty, czarny, brzydki, ma podobieństwo do ubogiego karawanu, stojącego przed drzwiami kościoła.

Julia podchodzi szybko do mężczyzny czekającego przy drzwiczkach powozu. On podaje jej rękę, rzuca papierosa i przygniata go nogą. Julia opiera się chwilę o zewnętrzną ścianę dorożki, zmęczona tym szybkim chodem i odurzona świeżym powietrzem.

– Czekam już pół godziny – mówi mężczyzna z lekką wymówką w głosie.

– Nie mogłam przedzej... wiesz, jak mi trudno – tłumaczy się kobieta, oddychając ciężko.

Nagle przypomina sobie Kaśkę, która swoi w cieniu i patrzy na swą panią, oświetloną żółtym płomieniem, płynącym z dorożkarskiej latarni. Trzeba było coś zrobić z tą dziewczyną; woła ją więc i szybko, urywanym głosem daje Kaśce następującą instrukcję:

– Nie wracaj zaraz do domu. Za pół godziny możesz wejść do kuchni, a gdy pan zapyta się, czy mnie odprowadziłaś, powiedz, że na ulicę Berlińską. Potem... kładź się spać, ale zostaw drzwi wchodowe otwarte. Odsuniesz rygle, gdy pan zaśnie. Czy mnie zrozumiałaś?

Kaśka milczy, widząc, że wpada bezwiednie w coraz gorszy labirynt kłamstw, ciągnących się za sobą jak paciorki na sznurku. Julia wsiada do dorożki, a za nią ów mężczyzna, co czekał na nią od „pół godziny”. Julia wychyla się jeszcze.

– Zrób wszystko, jak cię proszę – dodaje, głaszcząc policzki dziewczyny, uśmiechającej się mimowolnie pod tą pieścizotą.

Woźnica rusza z miejsca, zbudzony głosem Julii, która zawołała:

– Jedź za roгатkę zamarstynowską<sup>15</sup>.

Dorożka oddalała się wolno, kołysząc swe czarne pudło i utykając co chwila na wystających kamieniach. Kaśka kieruje się ku domowi, z głową odurzoną, z sercem dziwnie ściśniętym. Pani kazała jechać za roгатkę, a matka pani widocznie mieszka na Berlińskiej, bo tak pani przykazała mówić. Po cóż pani pojechała zamkniętym fiakrem z tym panem, który się gniewa, że czeka zbyt długo?... Pani mówi do niego „ty” i ma twarz rozjaśnioną i szczęśliwą, gdy dotyka się jego ręki... Nie jest to przecież brat pani, bo przyszedłby wprost do domu, a nie czekałby po nocy i nie uwoził pani za roгатkę.

– A więc to jest jej... kochanek! – mówi Kaśka do siebie pod nosem. I mimo chłodu nocy gorący war przebiega członki dziewczyny.

Pojechali sami, we dwoje, w tym zamkniętym, jak piwnica ciemnym powozie!... Pojechali daleko!...

Z dziwnym uporem powraca ciągle myślą do tego fiakra, kołyszącego się wśród ciemnych ulic przedmieścia. I ona to pomogła do tej schadzki, przyprowadziła panią aż do drzwiczek powozu... To źle, bardzo źle. To grzech ciężki, skoro kobieta zamężna ma kochanka... Część winy spada na

---

<sup>15</sup> Zamarstynów – położony w północnej części miasta; nazwa pochodzi od nazwiska mieszczanina lwowskiego, Jana Sommersteina, który założył tam folwark

nią... Czuje to dobrze i smutna, zgnębiona, idzie ulicą, ciągle potrącana i popychana przez przechodniów.

A matka pani?

Mój Boże! Biedna chora staruszka!

I Kaśce zdaje się, że w turkocie kół niktującego fiakra słyszy jęk sparaliżowanej kobiety, bezsen-  
ną dręczoną nocą. Gdyby wiedziała, gdzie mieszka, poszłaby zobaczyć, czy się na co nie przyda.  
Wie tylko, że na ulicy Berlińskiej.

I powoli staje przed bramą kamienicy. Tu namyśla się chwilę. Pani kazała powrócić dopiero za  
pół godziny. Poczekaj więc przed bramą, a potem wsunie się cichutko do kuchni, aby uniknąć pytań  
ze strony pana. Kto wie... może jej się uda. Staje więc przed bramą, opierając się o ścianę framugi,  
w głąb kamienicy wsuniętej.

Z przeciwnego kąta podniósł się ktoś i przysunął do Kaśki. Przy świetle latarni o kilka kroków  
płonącej dziewczyna poznała Jana. Gorący rumieniec oblał jej policzki. Co sobie pomyśli o niej,  
widząc ją stojącą wieczorem przed bramą? Jakież świadectwo daje sama o sobie, próżnując zaraz  
pierwszego wieczoru po objęciu nowego obowiązku? I czuje w tej chwili głęboki żal do pani, nara-  
żającej ją na utratę dobrej opinii w oczach Jana. Jan pomyśli sobie, że to „latawiec”, i będzie miał  
słuszność zupełną. Tłumaczyć się i uniewinniać nie może – zdradziłyby zaufanie pani i naraziłyby  
ją na przykrość wielką. Musi więc milczeć i znosić dwuznaczny uśmiezek, z jakim Jan zbliża się  
do niej.

– Panna Kasia tak w samotnika?... A może czeka na... „do pary”? – zapytuje, poprawiając z  
pewną kokieterią swą wytartą kurtkę. Zdjął już fartuch, a w świetle latarni połyskuje jego twarz  
wymyta i czupryna wypomadowana. Nie lubi czapki, woli sobie przewietrzać czaszkę w tym chłód-  
zie wieczornym. Powiada, że mu myśli wyparują, a jutro rano będzie miał głowę *frei*. – Głowa nie  
od parady – dodaje, stukając palcem w czoło. Siedzi sobie przed bramą „w samotnika”, przynajm-  
niej dziś – mówi znacząco, z uśmiechem mężczyzny mającego szczęście do kobiet. Chce, aby Kaś-  
ka miała go za pogromcę serc niewieścich, i pragnie podbić ją moralnie. Ona usuwa się, bardzo  
przybita tym niefortunnym spotkaniem, czując fałszywą pozycję, jaką zajmują względem tego  
chłopca.

– A panna Kasia zakochana? – zapytuje nagle Jan, wysuwając naprzód nogę w sposób dość re-  
zolutny.

Kaśka wybuchła mimo woli głośnym śmiechem.

– Ja? A to po jaką biedę?

I śmieje się ciągle, pomimo zmartwienia. Ona zakochana! W kim? Musiałaby poznać przedtem  
dobrze takiego człowieka, zanim wlaźłby jej w głowę. Zresztą nie miała czasu, od dziecka bowiem  
pracowała ciężko, a po śmierci matki doglądała dwóch małych siostrzyczek. Na „kochanie” trzeba  
dużo wolnego czasu, choćby wolnej niedzieli, a w pracy nie myśli się o głupstwach.

Jan nie wierzy i dziwnie kręci głową. Jak to? Więc ta duża dziewczyna nie miała jeszcze ko-  
chanka? Nie miała kaprała w szafirowej kurtce? Ani ułana? To być nie może! W kole, w jakim się  
obracał, podobny wypadek byłby niemożliwy. Jeśli Kasia istotnie dobrze się prowadzi, to rzecz  
nadzwyczajna. Kiedyś na placu Gołuchowskich, w płóciennej budzie, pokazywano dziwo natury –  
cielę o trzech nogach. I ta dziewczyna zasługuje – według pojęć Jana – aby ją wsadzić w płócienną  
budę i pokazywać za pieniądze.

Ha! Może... kto wie! – Jednak niewiara przemaga i Jan z ironicznym uśmiechem rezyduje bar-  
dzo dowcipną alegorię, którą zasłyszał w bardzo dystygowanej bawarii<sup>16</sup> i przyswoił sobie do od-  
powiedniego użytku.

– Wie panna Kasia co, okręt z głupimi zatopił się! A gadają, co nikt się nie uratował!...

I dumny z konceptu, patrzy prosto w twarz dziewczyny, śledząc, jakie zrobił wrażenie.

Kaśka pozostaje nieczułą na aluzję z tej prostej przyczyny, że nie może jej zrozumieć. Okręt z  
głupimi zatonął? Cóż to znaczy? Ona nie wie nawet, co to jest „okręt”.

<sup>16</sup> bawaria – piwiarnia, knajpa

Czuje jednak instynktownie, że Jan jej nie wierzy, i ta niewiara dotyka ją boleśnie. Kaśka, jako porządna dziewczyna, dba o cześć swoją; przy tym dobra opinia Jana obchodzi ją nad wszelki wyraz. Poznała go dziś dopiero, ale pragnęłaby, aby patrzył na nią nie jak na latawca lub pierwszą lepszą dziewczynę.

– Może pan Jak pokpiwać – tłumaczy wolno, patrząc na wierzchołki drzew wystające spoza muru klasztornego. – Może pan dworować, ale co prawa, to prawda. Nie myślałam o głupstwach, bo czasu nie było, a potem...

Tu urwała, nie chcąc wydać się przed Janem ze swoim marzeniem. Pragnęła z czasem wyjść za mąż uczciwie, po bożemu, za porządnego rzemieślnika. Czysta, widna izba, wypoczynek niedzielny, łagodny mąż, nazwa mężatki, a przy tym ta błoga pewność posiadania własnego kącika – oto był cel marzeń Kaśki. Nie chciała wszakże, aby Jan wiedział o tym, i dlatego zamilkła nagle, nie kończąc zdania rozpoczętego. On wszakże domyślił się jej dążeń tajemnych, bo przechylając głowę i mrużąc figlarnie oczy zapytał:

– Aha! To panna Kasia chce się wydać? Oj! joj!!... co to za rarytas iść za mąż! To nie warto!...

Kaśka podniosła głowę i spojrzała w twarz szydzącego z niej Jana.

– Dlaczego nie warto? Przecież lepiej być na swoim, jak całe życie na drugich harować – dodaje z ożywieniem.

Jan machnął ręką.

– Abo to na męża harować nie trzeba? Chłop zawsze chce, aby baba na niego robiła. Taka już u niego kundycja. A jeszcze jak bez kościół panna Kaśka go przewiedzie, to już po wszystkim. Weźni pannę za łeb i panna ani piśnie.

Kaśka spojrzała w oczy Jana, a oczy te migotały jakoś dziwnie w żółtym świetle latarni.

– Ha! Wszystkie tak robią. Tyle wydanych chodzi po świecie – rzekła z rezygnacją.

– Dlatego że jedna durna, to i reszta ma zdurnieć? – wybuchnął Jan z rodzajem dziwnego gniewu. – Na co wiązać się na przepadłe, czy nie lepiej na wiarę? Można się puścić, kiedy człowiek chce, a nie tak przez całe życie się klócić.

Kaśka osunęła się z wolna.

– Pan Jan przekpiwa? A gdzie która porządna dziewczyna siedzi na wiarę?

Jan spojrzał na nią z wyrazem niewysłowionej pogardy. Wydała mu się w tej chwili śmieszna i głupia. On był tak dumny ze swych quasi-postępowych idei, pochwytych w szynkowniach lub podsłuchiowanych z rozmów studentów, którym dawniej posługiwał, że roztaczał szeroko te nadzwyczajne przekonania, druzgocąc każdego, kto się im sprzeciwiał. Dlatego nie uznał za stosowne kończyć rozpoczętą rozmowę. Pomylił się widocznie – to nie była dla niego dziewczyna. Chce się wydać za mąż i udaje świętoszkę. On tam żenić się z nią nie będzie!

I z nadzwyczajnym lekceważeniem począł gwizdać popularną piosenkę: „Kochały się dwie Marysie...”, dając do poznania, że cała rozmowa ma być uważaną jako przerwana.

Kaśka stała chwilę, czując się dziwnie uciśnioną i zawstydzoną. Dlaczego przestał z nią nagle rozmawiać i spoglądając, wykrzywił tak dziwnie usta? Przecie nie powiedziała nic złego, co by go mogło obrazić. Owszem, starała się mówić łagodnie i dobierała wyrazów, aby się nie wydać prostą, ordynarną dziewczyną. Dziesiąta godzina wybiła na ratuszowym zegarze. Jęcząc przeleciały niskie, donośne tony i spadły na dachy sennych domów. Coraz mniej przechodniów snuło się po chodnikach, ale za to wiele dorożek pędziło z hałasem w stronę kolei. Co chwila na zakręcie ulicy pojawiały się jasne punkta, jak oczy olbrzymiego zwierza, i zdawały się mrugać, stając się większymi lub mniejszymi, stosownie do ruchu dorożki. Kaśka śledziła te światełka, sądząc, że którekolwiek zatrzyma się przed bramą, że z powozu wysiądzie jej pani i wejdą razem na górę. Byłoby to dla niej wielką ulgą, bo pragnęła uniknąć zapytań pana, na której inaczej – jak kłamiąc – odpowiedzieć nie mogła. Dorożki jednak przelatywały i ginęły w ciemności, goniąc się wzajemnie.

Za chwilę zajęczało znów w powietrzu. To wiecznie niezgodny zegar Paulińskiego kościoła zdawał się spóźnionym echem powtarzać przed chwilą z ratusza obwieszczoną godzinę. Jan przestał gwizdać i poruszył się wreszcie. Nadeszła pora zamknięcia bramy, a Jan lubił przestrzegać tej

chwili z dziwną dokładnością. Widząc wszakże nieruchomo stojącą Kaśkę, uznał za stosowne za-interpelować ją, dokąd tak stać zamierza.

– Jeżeli panna czeka na kogo – wyrzekł z przekąsem – to niech panna się odsunie ode drzwi, bo ja muszę zamknąć bramę. Jak ślubny przyjdzie, a panna się z nim ugada, to panna zadzwoni, a mnie szperę zapłaci...

Wiedział, że jej sprawi przykrość tymi słowami, i uczynił to umyślnie. Czekał odpowiedzi, spodziewając się, że rozgniewana dziewczyna obrzuci go potokiem obelg lub co najmniej odetnie się porządnie.

Kaśka wszakże postąpiła inaczej. Oderwała się z wolna od ciemnej listwy przecinającej bramę i nie skinąwszy nawet głową, zniknęła w ciemnym wnętrzu sieni. Gdy się znalazła na schodach, stanęła na chwilę, opierając się o poręcz. „Najlepiej zrobię nie rozmawiając z nim” – pomyślała nie chcąc się przyznać przed sobą do wielkiej przykrości, jaką jej sprawiły żarty Jana. Kazał jej czekać przed bramą na „ślubnego”. Zapewne – miał rację. Któżaż porządna dziewczyna staje przed bramą o tak spóźnionej porze? Był to jej winą? Gdyby nie pani, siedziałyby teraz spokojnie w kuchni, porządkując naczynia. Ale on nie powinien był wyśmiewać się, znając ją tak mało. Idąc po schodach, postanowiła unikać wszelkiej z nim rozmowy. Jeśli ją pierwszy zaczepi, odpowie mu skinieniem głowy. Spoufalił się zaraz pierwszego dnia, a ona tego nie lubi.

Gdy weszła do kuchni, zastała pana domu siedzącego na środku z karteczką w ręku. Na jej widok porwał się z krzesła, lecz po chwili znów usiadł. Młde światelko lampki naftowej oświecało żółtość skóry, którą czaszka jego była obciążona.

– Jesteś wreszcie – zasyczał ze złością. – Myślałem, żeś utonęła albo że cię policja złapała. Czy wiesz, co ma być jutro na obiad? Ale co ty umiesz gotować? Ty pewnie wydasz tylko na próżno pieniądze i wszystko popsujesz. Miłosierdzie Boże! Miłosierdzie Boże!...

Utyskując ciągle, wydał nareszcie rozporządzenie obiadu, obliczył ilość funtów mięsa, mąki, a nawet gałązek pietruszki. Mówił prędko, sycząc i kaszląc co chwila. Kaśka stała przed nim prawie przerażona.

Nie grzeszyła nigdy nadzwyczajną pamięcią, dlatego z trudnością przychodziło jej zapamiętać drobne artykuły, które pan wyliczył.

Pinkusowa Lewi powtarzała zwykle każde słowo, przeciągając na ostatniej zgłosce, a ta nieprawidłowość wymowy wpajała się właśnie w mało rozwinięty umysł Kaśki, pozostawiając wydawane rozporządzenia w pamięci dziewczyny, jak zgrzytliwe pociągnięcie źle zatemperowanego ołówka. Gdy Kaśka zapomniała, jaką ilość pietruszki lub ile śmietanki miała przynieść z miasta, pytała bez ceremonii Żydówkę; bo choć to była jej „pani” – a serwilizm w Kaśce był głęboko zakorzeniony – to przecież tak naturalny w naszym ludzie antysemityzm brał górę i rozumowanie Kaśki, że „co Żydówka, to Żydówka”, dozwalało jej większej poufałości względem swej chlebobawczyni.

Dziś, przeciwnie – ten pan, wydający rozkazy i dzierżący władzę nad garnkami i rondlami, był dla niej zjawiskiem zupełnie nowym, rzec można przygniatającym. Dotychczas Kaśka odbierała zwykle dyspozycje z ust pani. Mężczyzna w tym życiu we dwoje przybiera więcej charakter gościa w domu, o którego wygodach, pożywieniu, bieliźnie myśleć należy. Dlatego „pan” w oczach Kaśki był jakąś istotą wyższą, osiłą, około której kręciły się wszystkie drobne czynności, wchodzące w zakres gospodarstwa kobiecego. Gdy wchodziła do pokoju, gdzie najczęściej przebywał pan Pinkus Lewi, choć to był Żyd, i to świeżo w surdudt przebrany, czuła dziwną trwożę, a spojrzenie zielonawych oczów Pinkusa paliło ją jak rozpalone żelazko. „Pan” był dla niej istotą gromowładną, która mogła biedną Kaśkę w proch zetrzeć, na policję oddać albo nawet wybić.

Z panią było jej o wiele swobodniej; uważała ją jako niewolnicę, podległą kaprysom męża, taką jak ona sama, tylko lepiej ubraną i nie płatną miesięcznie. Dlatego Kaśka zaniedbywała nieraz panią dla pana i często pani Lewi jadła na wyszczerbionych talerzach i źle wyczyszczonymi widelcami.

Tak było „u Żydów”. U pp. Budowskich porządek zmienił się zupełnie i Kaśka mniej by się zdziwiła, gdyby, wyszedłszy z konewką po wodę, przekonała się nagle o zmianie zaszłej w syste-

mie słonecznym, niż widokiem tego zeszcłego, owiniętego w zniszczony szlafrok człowieka, który, siedząc na środku kuchenki, wyliczał skrzeczającym głosem:

– Mąki pół funta, grysiku za pięć... – Słowa te padały ze świstem i suchym łoskotem, napelniając ciasne wnętrze kuchenki nędzą groszowej oszczędności, która niesie ze sobą woń tłustych potraw, smażonych na przepalonych patelniach lub duszonych w nadszczerbionych rynkach. Budowski z systematycznością urzędnika wyliczał wszelkie przyprawy do dysponowanego na jutro obiadu, określając zaraz i kwotę pieniężną, jaką na najdrobniejsze przeznaczał kupno. Ten grad cyfr drobnych, centowych spadał na głowę Kaśki i przygniatał jej umysł ilością liczb, osłabiając wyobrażenie, jakie do tej chwili w głębi swej duszy dla „panów” żywiła. Czuła, że od tej chwili winna zdawać sprawę ze swych czynności temu mężczyźnie, który równocześnie jednoczył w sobie zapobiegliwość skrzętnej gospodyni i władzę pana domu. Dlatego stała niepewna i wahająca, wpatrzona z rodzajem uporu w światelka migocące się na tysej, zżółkłą skórą obciążonej czaszce mówiącego do niej człowieka. Światelka te niepokoiły ją, odrywały jej uwagę i błyszczące na tle brudnej ściany, zdawały się powiększać lub zmniejszać, stosownie do poruszenia Budowskiego. Ten „pan”, rysujący się chudymi liniami pod zniszczoną tkaniną szlafroka i wyliczający ilość buraków, był dla niej czymś zupełnie niezwykłym – zjawiskiem prawdziwie nadnaturalnym. Stała więc przed nim w postawie pełnej uszanowania, ale niezmiernie zdziwiona, prawie przerażona.

Nagle powstał Budowski i skierował się ku pokojowi jadalnemu.

– Chodź! Podpisz inwentarz – przemówił tonem niezmiernie uroczystym, prowadząc Kaśkę do stołu, na którym w białym świetle lampy widziała jedną z czarnych ksiązek. – Podpisz, co przyjmiesz i w jakim stanie, a niech cię miłosierdzie Boże strzeże od nadwreżenia lub uszkodzenia czegokolwiek.

I z uporem maniaka rozpoczął czytanie nazw sprzętów kuchennych, które miały się znajdować w kuchni. Rynki, garnki, rondle, tasaki, sitka, durszlaki, wszystko to płynęło z ust Budowskiego, pyszniącego się prawie tym dziwnym dostatkim, jaki, według niego, rozpościerał się dokoła. Gromadząc z największym wysiłkiem każdy najdrobniejszy spręcik, przeceniał jego wartość, podnosząc go do znaczenia skarbów.

Nadwreżony umysł starca kręcił się bezustannie w ciasnym kole owych trzech pokoi i kuchni, a wielkie wyteżenie władz umysłowych nad monotonnym zakresem pracy biurowej zmieniło go w dziwaka, prześladowanego manią oszczędności i widzącego w każdym z domowników rodzaj wampira ssącego jego krew i kieszeń, rujnującego sprzęty, zdobyte długą i ciężką pracą.

Gdy przeczytał spis rzeczy, przywołał Kaśkę do stołu, a podawszy umaczane pióro, wskazał jej miejsce u dołu stronicy, gdzie miała podpisać swoje nazwisko.

Kaśka stała zawstydzona, nie poruszając się wcale.

Pisać? Miły Boże! Ona zaledwie czytać umiała; na pisaniu nie znała się wcale. Matula nie każała ją uczyć, bo póki była mała, rosła odłogiem, jedząc siedem razy dziennie, a gdy podrosła, bieda zajrzała do chałupy i Kaśka musiała chodzić do fabryki na zarobek, o pisaniu więc mowy być nie mogło.

Przecież tego wszystkiego nie może panu powiedzieć. Kręci więc uparcie palce, aż stawy w nich trzeszczą, bo czuje się w tej chwili bardzo zawstydzona i pragnęłaby runąć wraz ze stołem i tą nieszczęsną ksiązką do jakiejś ciemnej piwnicy i nie oglądać świata Bożego.

Budowski już się niecierpliwi. Czemuż nie podpisuje? Może znajduje, że jej za ciężko przyjąć tyle pięknych rzeczy na swą odpowiedzialność? Niechże się wynosi co prędzej, ale zadatek musi oddać i nastreczyć na swoje miejsce inną służącą.

Kaśce w oczach pociemniało.

Znowu bez służby? Wracać na stancję?

O! nie, przenigdy! Niebezpieczeństwo dodaje jej odwagi.

– Proszę wielmożnego pana – zaczyna cichym głosem – ja... nie umiem pisać... dlatego...

– Głupia! – przerywa jej Budowski. – Na! Weź pióro i zrób krzyżyk, tu, niżej. To wystarczy.

Kaśka ujmując pióro i drżącą od wzruszenia ręką stawia koślawą kreskę, zakończoną olbrzymim kleksem. Druga, poprzeczna, przecina papier, zostawiając na białej karcie czarną, nierówną bliznę.

– Miłosierdzie Boże! To bydlę psuje mi książkę. Jak ty potrafisz obejść się z powierzonymi ci sprzętami, kiedy takiego głupstwa porządnie zrobić nie umiesz?

Konfuzja Kaśki nie ma granic.

Chłopskim rozumem odgaduje przecież brak logiki w rozumowaniu Budowskiego. Zgodzono ją do kuchni, a nie do pisania. Mieszając łyżką w garnku, ścian garnka nie rozedrze, papier zaś – to co innego. Nie odpowiada jednak nic, bo to zawsze pan, choć trochę wydaje się być „durnowaty”, i przechodząc do sypialni, zaczyna ślać łóżka.

I myśli sobie Kaśka: Jeśli ten młody człowiek, który czekał na panią, jest jej kochankiem, dlaczego nie porozmawiają ze sobą przed bramą lub nie pójdą na Wysoki Zamek?<sup>17</sup> A przecież noc taka piękna! Zresztą, pani robi, jak sama chce, a Kaśce nic do tego. To jedno wie przecież, że to rzecz grzeszna, a choć pan przykry i brzydki, to nie godzi się oszukiwać go w sposób tak szkaradny. Skoro pani pójdzie do spowiedzi, to ksiądz nie da jej rozgrzeszenia. Kaśka umarłaby ze wstydu, gdyby jej odmówiono rozgrzeszenia. To przecież bardzo miło, gdy ksiądz uwolni od grzechów i od kary.

Kaśka zapaliła małą lampeczkę i postawiła ją koło łóżka pana. Niewielka sypialnia tonęła w mdławym półświecie, wysuwając tylko regularne linie dwóch łóżek, pokrytych czerwonymi wełnianymi kołdrami. Nad łóżkami wznosiły się obrazy święte w złożonych ramach – Matka Boska i Pan Jezus w cierniowej koronie.

Budowski usiadł na swoim łóżku, przyglądając się uważnie ledwie dostrzegalnej cerze na środku kołdry. Kaśka spuściła storę u okna i przysunęła do łóżka pani maluchny stoliczek, na którym ustawiła karafkę z wodą.

Była to prawdziwa karykatura ten związek dwojga ludzi, skutychniętych nierozzerwalnym węzłem małżeńskim. On, liczący cery na kołdrze w chwili, gdy ona słuchała banalnych słówek miłosnych, przygłuszonych turkotem i hałasem dorożki.

Kaśka powróciła do kuchni i zaczęła się krzątać, umywając filiżanki i czyszcząc samowar. Dopiero teraz poczuła, że jest głodna. Zjadła pozostawioną dla niej bułkę i przełknęła trochę zimnej herbaty. Olbrzymi jej organizm domagał się jednak gruntowniejszego posiłku. Całodzienna praca pobudziła apetyt, mimo to musiała poprzestać na wydzielonej przez pana porcji. Pieniądze, przeznaczone na zakupno w mieście, białeły na rogu stołu w formie świeżych dwudziestówek. Kaśka zgarnęła je i zawiązała w rożek od ściereczki. Sen kleił jej powieki, mimo to nie chciała zasnąć przed powrotem pani. Zresztą, według zlecenia, miała odsunąć drzwi wchodowe, które pan zamknął własnoręcznie. Uczyniwszy to, zaczęła odmawiać wieczorne pacierze, uklękawszy przy łóżku i opierając spracowane ręce na białym prześcieradle, które pokrywało jej posłanie.

Według raz przyjętej zasady, Kaśka miała odmawiać siedem *Ojczenaszów*, po siedem *Zdrowiasiek* i jedno *Wierzę*. Ale fizyczne znużenie i wielkość doznanych świeżo wrażeń mąci jej myśli tak, że się w żaden sposób połapać nie może.

*Ojcze nasz* przebrnęło, przy *Zdrowaśce* jednak natłok nowych myśli płącze całe zdanie. Mimo woli postać Jana zajmuje plan pierwszy, błyszcząc szeregiem zdrowych zębów i lśniącą barwą skóry.

– „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...” – Stanowczo Jan jest bardzo przystojny mężczyzna, zdrowy, a w ramionach taki szeroki!... tylko drwi sobie z Kaśki niemiłosiernie i ma taki dziwny sposób patrzenia.

– „Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...”

Ot! na schodach, kiedy się spotkali po ciemku, to jakoś łatwo dała mu radę, ale teraz stawia się i wyśmiewa.

– „Błogosławion owoc żywota...” – a Kaśka przedrwin nie lubi.

---

<sup>17</sup> Wysoki Zamek – park we Lwowie, założony na wzgórzu, gdzie znajdowały się ruiny warownego zamku z XIV w.

Ona wie, że jest głupia i brzydka, ale cóż ona temu winna?... Byłoby to mądrze wyśmiewać się z tego, że ona za męża wyjść pragnie? Cóż wielkiego? Więc ma tak zmarnieć jak Rózia i z „żonatym” na wiarę siedzieć?

Kaśka czuje, że coraz większa bezwładność ją opanowuje. Zbiera ostatki sił i spogląda na obrazy święte, wzdychając ciężko.

– „O! Jezu!... chleba naszego daj nam dzisiaj... i wstąpił do piekieł, siedzi na prawicy...”

Nie może mówić dalej.

Ten „niegodziwiec” Jan stoi przed nią i śmieje się ciągle. A ma wygląd porządnego mężczyzny... Zresztą, jeśli Kaśka nie będzie zwracać uwagi na niego, toć zostawi ją w spokoju.

Coś ją bardzo ścisną w żołądku. Głupstwo! jeść jej się chce widocznie... I myśl bezwiednie powraca do słów przed chwilą szeptanych:

– „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”

Coraz większa senność ogarnia Kaśkę... Przewyciężając się raz ostatni, patrzy przez chwilę osłupiałym wzrokiem na swe olbrzymie ręce, a za chwilę zapada w stan nieczułości i doznaje takiego wrażenia, jakby te ręce nie należały już do niej. Dla przekonania się porusza je palcami. Lampka, zaczepiona u ściany, gaśnie powoli, napelniając wnętrze kuchenki nieznośnym śwędem. Słupek czarnego dymu unosi się aż pod sufit i opada deszczem czarnych, drobniutkich płateczków na pozostawione na stole naczynia. Przez zakratowane okienko wpada przygłuszony turkot, jakiś hałas niewyraźny. To ostatnie poruszenie usypiającego miasta, nawet we śnie niespokojnego, które nigdy nie chce naprawdę zamilknąć.

Cała postać dziewczyny wyraża wielkie znużenie. Widocznie dzień dzisiejszy zmęczył ją, a szklanka letniej herbaty i sucha bułka nie mogły jej posilić. Najpracowitsza maszyna odmawia chwilami posłuszeństwa. Ciało biednej sługi jest także poniekąd maszyną, która, puszczona w ruch, spełnia swą powinność, lecz zużywa swą siłę, a nie mając źródła dla odnowienia tejże, upada czasem pod nawalem wyczerpującej pracy.

Okolo północy drzwi frontowe skrzypnęły lekko i do saloniku wsunęła się pani domu, kierując się wśród ciemności ku drzwiom sypialni. Gdy łagodne światło lampki oblało jej oblicze ktoś wiedzący, skąd wracała ta kobieta, zdziwiłby się niemało, widząc zupełny spokój w jej szarych oczach, na jej ustach anemicznych. Cudzołożna żona powracała pod dach męża zimna i nie różniła się niczym od tej apatycznej kobiety, która przez całe dni włóczyła tren brudnego szlafroka po szczupłej przestrzeni, będącej dla niej niby domem, niby własnym mieszkaniem.

Zdjęła z siebie szlafrok i rzuciła go z wyrazem najwyższej obojętności na ziemię. Stała tak przez chwilę z obnażonymi ramionami, które wybiegały z wąskiej koronki przy koszuli. Budowski zdawał się spać mocno, zagłębiwszy głowę w poduszki. Julia spojrzała w jego stronę, ale wyraz jej twarzy pozostał niezmienny. Nie można w nim było znaleźć ani śladu odrazy, łatwej do zrozumienia u kobiety wiarołomnej.

W tej chwili zbudził się Budowski i wsparłszy głowę na łokciu, odezwał się do żony:

– Jesteś wreszcie... Sądziłem, że już nie wrócisz...

Ona nie odpowiedziała wcale, nie odwróciła nawet głowy. Zebrała tylko swe wspaniałe włosy i dwoma splotami zgarnęła je naprzód. Zimna krew tej dziwacznej kobiety zdawała się przechodzić wszelkie granice. Wróciwszy ze schadzki miłosnej, okazywała spokój dziewczyny wracającego z nabożeństwa majowego.

Budowski zapytał znów:

– Cóż stara?... Umarła?...

Julia odpowiedziała z obojętnością najwyższą:

– Nie, ale umrze niedługo.

Po czym wsunęła się do łóżka. Teraz dopiero dreszcz przebiegł jej ciało; zęby zgrzytnęły, chwytając nerwowym ruchem brzeg prześcieradła. Za chwilę leżała już spokojna – i nie drgnęła nawet, gdy syczący głos Budowskiego rzucił ku niej słowa:

– Kiedyż ta stara umrze! Miłosierdzie Boże! Kiedyż ona umrze!

\*

Kaśka objęła swoje nowe obowiązki i starała się zadośćuczynić wszelkim wymaganiom państwa. Niełatwe to było przecież zadanie. W domu Budowskich szło wszystko na opak, a Kaśka czuła się do głębi wstrząśnięta tym nowym systemem, który jej wcale „nie pasował”.

Oszczędność posunięta do skąpstwa, złe pożywienie i nawał pracy zwalony na barki jednej dziewczyny mogłyby zniszczyć inny, mniej silny organizm, a przynajmniej nadwreżyłyby go znacznie. Kaśka spełniała obowiązki zwierzęcia roboczego, które w pospolitym życiu nosi nazwę „służącej do wszystkiego”.

Od rana zwijała się po szczupłym mieszkaniu, wycierając sękata, w deski ułożoną i źle zaciągniętą podłogę, z rękami wspartymi na biodrach, z twarzą czerwoną i spoconą starała się utrzymać na dwóch zniszczonych i zdartych szczotkach, które co chwila uciekały spod jej stóp bosych. To olbrzymie, rozrośnięte ciało dziewczyny transpirowało, jak w łaźni, pod wpływem ruchu przyśpieszonego. Kaśka lubiła jednak tę pracę. Stanowiło to dla niej rodzaj rozrywki, gdy przez silne pociśnięcie pozostawiała za sobą lśniąca brudę. Salonik napełniał się wówczas silną wonią rozgrzanego wosku, którym Kaśka szczotki pocierała. Zmęczona, siadała na brzegu niewielkiego dywanika, który rozciągał się pompatycznie przed kanapką, służąc na podstawą okrągłemu stolikowi, który dźwigał lampę olbrzymiej wielkości. Ta lampa miała swoją osobną historię. Nabyta na licytacji za bardzo niską cenę, stanowiła najcenniejszy sprzęt domowy. Nigdy nie zapalana, pokryta umbrą z zielonej bibułki, wznosiła swą brązową urnę z powagą przełożonej wyższego pensjonatu żeńskiego. Budowski cenił bardzo tę lampę i sam czyścił ją, chowając do tego użytku kawałki szmatek, zbieranych z rozmaitych i dość tajemnych źródeł. Oprócz lampy znajdowała się w saloniku kanapa, sześć krzeseł, wysłanych sianem i pokrytych ciemnowiśniową tkaniną wełnianą, dwa niewielkie druki olejne, przedstawiające krajobrazy dziwnej piękności, na których drzewa pierwszego planu były mniejsze od drzew na drugim planie umieszczonych. Dalej, przybita była do ściany etażerka, pełna psów porcelanowych, książek, flaszeczek od wody kolońskiej, filiżanek i innych drobiazgów. Firanki muślinowe, w wielkie ordynarne desenie, nawleczone na drąg białolakierowany, zwieszały się sztywnymi, rzec można, złamanymi fałdami u niskich okien, opatrzonych storami płóciennymi.

Jakkolwiek w saloniku tym było mało miejsca, a nieliczne sprzęty dotykały się wzajemnie, to panowała w pokoju tym przeraźliwa próżnia hotelowa – jakaś woń pustkowia, przerażającego swoją nagością i szarawym, trywialnym deseniem, jakim ściany te były powleczone. Brakowało tam kobiety, z jej artystycznym nieładem, ze stoliczkiem od robót i niskim, i miękkim fotelem; brakował żardinerek prostych, koszyczków z trzciny, które stanowią główny przystroj ubogich mieszkań. Ładna zieloność nie śmiała się u okien, nigdy nawet gałązka bzu nie rozjaśniła ponurego pokoju.

Kaśka, do której kwiaty – a zwłaszcza te tanie, o wielkich gałęziach, co wieś przypominają – śmiały się zawsze po przyjacielsku, kupiła raz za trzy centy cały pęk bzu i powróciła z nim tryumfalnie do domu. Przez całą drogę wachała liliowe kwiaty i wciągała w siebie woń pełnymi piersiami. To ją trochę orzeźwiało i niweczyło zapach szczypiorku i cebuli, którą niosła w koszyku. Przyszędłszy do domu, nalała świeżej wody do małego kamiennego dzbanuszka i zniosła do pokoju, aby w sypialni na komodzie postawić kwiaty.

Budowski golił się właśnie i dostrzegł w lustrze Kaśkę niosącą bukiet. Przeraził się widokiem tego niesłychanego zbytku. Kwiaty? Po co? To dobre dla marnotrawców, którzy lubią wyrzucać pieniądze za okno. I zanim Kaśka mogła przemówić słowo, napadł na nią z najwyższą furią, robiąc jej gorzkie wyrzuty za zmarnowane pieniądze. Ona tłumaczyła się, jak mogła. Sądziła, że pani lubi kwiaty... a to przecież niewielki wydatek.

Julia podczas całej sprzeczki milczała jak zwykle, patrząc na tę scenę oczyma od snu nabrzmiałymi. Wzrokiem tylko śledziła ten pęk drobniuchnych liliowych gwiazdeczek z żółtym delikatnym środkiem. Woń bzu dolatywała do łóżka, a ona, przymykając oczy, wciągała ją bladymi nozdrzami.



Wyciągnąć wszakże ręki dla ujęcia kwiatów nie chciała lub – nie śmiała. Budowski stał tymczasem wciąż przed Kaśką, skrzecząc coraz bardziej i obsypując dziewczynę gradem wymówek. Był on wstrętny i śmieszny w tych olbrzymich pantoflach i flanelowym kaftaniku żony, który przez oszczędność z rana dodzierał.

Kaftanik ten, przybrany przed laty czerwonymi wypustkami i ozdobiony z tyłu szeroką fałdą, opierał się na szpiczastych ramionach Budowskiego, zaznaczając mu stan pod samymi łopatkami. Gniew jego rósł w miarę odpowiedzi Kaśki, broniącej się coraz uparciej, coraz wyraźniej. „Wszystkie panie lubią kwiaty, nawet Żydówki”. I mówiąc to, zwracała się w stronę pani, szukając poparcia. Zresztą przed Matką Boską kwiatek postawić się godzi.

– Tu nie ma pani! – woła Budowski. – Ja tu jestem i panią, i panem, a Matka Boska bez kwiatów się obejdzie.

Kaśka spogląda na Julię, zawsze nieruchomą, i na zawieszony nad łóżkiem Matki Bożej. Zdaje się jej, że obie pragną gorąco bzu, i z nagłą determinacją postępuje naprzód.

– Proszę, niech pani weźmie. – I deszczem wonnym obsypuje starą czerwoną kołdrę, pod którą leży Julia.

– Wytrącę ci z pensji! – woła Budowski.

Kaśka, wychodząc z pokoju, wie dobrze, że trzy centy przepadły na wieki wieków. Pan nie żartuje i z pewnością wytrąci pieniądze. Zresztą, niech i tak będzie, ta biedna pani nigdy nie powącha nawet bożego kwiatka, niech się ucieszy. I nastawiając rosół, myśli sobie Kaśka, co pani z tym bzem pocznie.

Gdy pan wyszedł do biura, udała się Kaśka do sypialni pani, aby zobaczyć, co zrobiła z bukietem. Cała podłoga, zasłana poszarpanymi kwiatami, mieniła się liliową barwą bzu i zielonością liści. Widocznie Budowski w przystępie złości wydarł żonie kwiaty i poszarpał je na drobne szczątki, rzucił na podłogę. Julia w białym kaftaniku siedziała przy stoliku, służącym jej za toaletkę, i czesała włosy nadłamanym grzebieniem. Zdawała się być zupełnie spokojną. Nic nie zdradzało w niej żalu za zniszczonymi kwiatami. Kaśka doznała bardzo przykrego uczucia, widząc te pachnące, drobne gwiazdeczki podarte, poszarpane, zmięte i rozesłane na podłodze. Wybrała kilka gałązek, które cudem jakimś ocalały, zaczepiwszy się o bramowanie kołdry. Gałązki te zatknęła za złożoną ramę obrazu Niepokalanego Poczęcia. Teraz jest już zadowolona.

W dwa tygodnie po sprowadzeniu się Kaśki na nową służbę weszła pani wieczorem do kuchni i podając Kaśce znany nam list, nakazała jej wypełnić swe dawne zlecenie, to jest podać pismo panu, z dodatkiem, że przyniósł je posłaniec. Kaśka nie śmiała odmówić; wpląawszy się raz jeden w tę całą historię, nie mogła być nieposłuszną, i wieczorem, przy podawaniu samowaru, oddała list Budowskiemu, z tą wszakże różnicą, że dziś, na pytanie Budowskiego, powtórzyła jak echo: „Przyniósł posłaniec”.

Manewr powiódł się, a za krótką chwilę wiarołomna żona opuszczała dom męża, aby oprzeć głowę na ramieniu kochanka. Towarzysząca jej, jak zwykle, Kaśka dostrzegła we włosach Julii gałązkę bzu, wyjętą spoza ramki obrazu. Kaśka za żadne skarby nie zrobiłaby tego. Co należy do Boga, to już należy, a nikt nie ma prawa stroić się w kwiaty, w które przybrano groby i obrazy święte. Gdy dorożka uwiozła Julię, Kaśka stała długo pod murem kościoła, zamyślona, nie zważając na zaczepki przechodzących żołnierzy. Kiedy jeszcze była w domu, chodziła do kościoła uczyć się katechizmu i tam nasłuchiwała się nieraz bardzo ładnych historii, które ksiądz pięknie, a powoli rozповідаł. Między innymi mówił o grzeszniku, który chciał zdjąć Panu Jezusowi złotą koronę, ozdobioną ślicznymi, czerwonymi kamieniami. Otóż złoczyńca wybrał się w nocy i przystawiwszy drabinę, sięgnął po koronę. Ale Pan Jezus wyciągnął żelazne ramię, pochwycił rękę niegodziwca i nie chciał jej puścić. Ta piękna historia przejmowała Kaśkę strachem. A pani wzięła dziś gałązkę bzu spoza ramek.

Wróciwszy do domu, stanęła z panem do obrachunku, a ten wygłosił na zakończenie:

– Za bez nie liczę, bo wytrącę ci z pensji.

Kaśka doznała w tej chwili dziwnego ciśnienia „pod piersiami”. Trzy centy toć to nie majątek... ale zawsze pieniądz, co piechotą nie chodzi; a potem ten bez poszedł i tak na marne! Nikt z niego nie użył – tylko trzy centy przepadły... Od tej chwili Kaśka nie kupowała nigdy kwiatów i omijała stragany przeładowane różnobarwnym kwieciami.

Kaśka pracowała po całych dniach. Nigdy spoczynku, nigdy wytchnienia! Był to wielki deptak, który ugniatała ciężkimi stopami, pochylając kark pod jarzmem, włożonym na nią ręką fatalności. Po sprząnięciu pokoi ocierała fartuchem spoconą twarz i szyję, chwytając za koszyk, aby biec do miasta po wiktuały. Powróciwszy nastawiała obiad, starając się o ile możliwości ukraść trochę czasu dla przeprasowania spódnicy pani lub koszul pana. Drzewo wydawano jej kawałkami, bez względu na to, czy kawałki były mniejsze lub większe, lub czy potrawy potrzebowały do gotowania się dłuższego czasu. Często płakała Kaśka widząc ogień pochłaniający ostatnie polano, podczas gdy ryż był jeszcze twardy i biał na dnie garnuszka. Deski podtrzymujące pościel na łóżku stanowiły wtedy nadzwyczajny zasilek, a raz nawet odważyła się Kaśka spalić stary szaflik, którego szczątki znalazła rozsypane w piwnicy.

Niska, ciemna kuchenka, przepelniona wonią cebuli, grzybów i nieświeżego masła, zdawała się być małym przedsionkiem piekła, w którym wszakże musiała żyć i pracować kobieta, złożona z tych samych cząstek, z jakich inne składają się kobiety. Młoda, zdrowa, tęga, oddawała wśród tych ciemności i gorąca całą swą siłę, a to wszystko za odrobinę lichej strawy, za kość od mięsa, którą dano jej dla ogryzienia, za czerstwą bułkę, znalezionej w kącie kredensu, i za wspaniałe wynagrodzenie kilku guldenów, które rzucano jej co kwartał, odrzuciwszy przedtem wszystkie „szkody”, jakie w zbytnim pośpiechu robić nietrudno.

I zgrzana, zmęczona, śpiesząc się wiecznie, biegła od ogniska do stołu, od stołu do deski do pracowania, żyłując mięso, zalepiając gliną popsute drzwiczki pieca, krochmaląc hafty spódnicy, płuczac ścierki lub biegnąc z konewką po wodę. A ten strach wieczny, czy coś nie spali, nie popsuje! Naczynia zużyte, z przepalonymi dnami... masła niewiele... a pani ani zajrzy do kuchni, ani się zatroszczy!... Kaśka nie lubi, aby jej zaglądano w garnki, tak jak to było u „Żydów”. Ale zawsze należy się z panią naradzić, zapytać. Gdy coś zepsuje, pan skrupulatnie oblicza, a potem wytrąca z pensji. Czasem gorąca dusza upadnie na nogę lub węgle wysypią się z pieca i trzeba czym prędzej podnosić je palcami, a choć skóra gruba i przyzwyczajona do ognia, to bąble wyskakują niezradko i tak się czasem węgiel do ręki przyczepi, jak pijawka, aż skóra skwierczy. Obcęgow nie ma, bo pan mówi, że to zbytek i wymysł niepotrzebny...

Ileż takiej drobnej nędzy, bólu i przykrości cierpi Kaśka w tej ciemnej i ciasnej kuchence, w której uwija się od rana do późnej nocy, oddychając ciężko, pełna dobrej woli i energii, i nie zużytej jeszcze siły! Gdy wyda obiad, umywa naczynie, szoruje rondle, kłęcząc na podłodze, powalana cegłą, z włosami opadającymi na skronie wynosi szafliki, potykając się na wąskich i ciemnych schodach. Pan sam wydziela jej ciekawą kromeczkę chleba, którą ona zjada najczęściej dopiero późno w nocy. Kaśka ma dziwny dar do robienia tak zwanych „szkod”. Jej wielkie, rozrośnięte członki obracają się z trudnością w szczupłej kuchence. Wyciągając rękę, uderza zawsze o jakiś sprzęt; schylając się, musi o coś potrać, przewrócić, uszkodzić. Przy tym kuchenka jest bardzo ciemna, a pan przez oszczędność nie pozwala zapalić we dnie lampki.

Nic więc dziwnego, że bezustannie się coś tłucze, a Kaśka, rada nierada, odkupuje z bólem serca zbitą szklankę lub talerz, medytując nad swą własną niezgrabnością i dziwacznością pomysłu w budowie tak ciemnej kuchni.

Po obiedzie i umyciu naczyń zabiera się Kaśka do prania i składania bielizny albo dąży do magła z zawiniątkiem pod pachą. Co tydzień jest tak zwane „małe pranie”, a co miesiąc „wielkie”, przepelniające kuchnię przykrą wonią sody, mydła, brudnej bielizny i kłębami duszącej pary. Ile to wtedy zużywa się wody, którą Kaśka musi sama przynieść i zlać na dzień przed rozpoczęciem prania do beczki, ustawionej koło drzwi prowadzących z kuchni na kurytarz! Kaśka, przechylona na lewą stronę, nosi i nosi tę wodę i wylewa ją do beczki. Zdaje się jej, że z beczki ktoś dno wyjął, bo nie ma końca noszeniu, i wody wcale nie przybywa. Postawszy chwilę, chwytając znów pustą ko-

newkę, aby zejść na dół i za chwilę powrócić. Jest to wędrówka dziwnie przykra wśród tych ciemnych schodów, od których każdemu się w głowie kręci. Do tego deski wąskie spod nóg się usuwają i cała noga nie może oprzeć się wygodnie. Ciężar ciągnie jak zwykle w tył; Kaśka czuje, że kiedyś potknie się i spadnie ze schodów. Nie ma nawet poręczy, żeby się zatrzymać w razie wypadku. To samo jest z noszeniem drzewa. W dodatku polana wysuwają się i staczają po schodach. Kaśka musi po nie wracać ze świecą, drżąc z obawy, aby kto tymczasem polan sobie nie przywłaszczył. Gdy zapadnie wieczór, Kaśka zapala lampkę i kończy swe dzienne zatrudnienie przy sztucznym świetle. Gdy ma wiele pracy, pierze lub prasuje do północy, a czasem i dłużej. W krótkiej spódnicy, bosa, z rękawami odwiniętymi poza łokcie olbrzymia jej postać majaczy w kłębach pary. Żółty płomień niewielkiej lampeczki migoce wśród tych białych obłoków jak niepewne światło trzeciorzędnej gwiazdki. Sprzęty kuchenne kryją się w tym półświatle, migocąc tylko żółtą barwą mosiądzu lub srebrnym blaskiem blachy.

Tylko rozpalone drzwiczki od pieca czerwienią się przejrzystą purpurą, posypane lekką warstwą rdzy, i drżą poruszane silnym pędem powietrza. U stóp Kaśki całe stosy bielizny poskręcanej, ułożonej w małych wanienkach, szaflikach i glinianych miskach, wiją się jak węże białe, to znów cieńsze, sinawe, zmoczone – całe gniazda gadzin martwych, nieruchomych. Prawie połowę kuchni zajmuje balia rozwartą, szeroka, okrągła, pełna gorącego ługu i świeżo z kociołka wyrzuconej bielizny, opiera się na dwóch krzeselkach, z których jedno opuszcza frędzlę z potarganej słomy i zamiast czwartej nogi na podpórce z sękatego polana.

Ponad balią schyla się Kaśka, zanurzając odważnie swe czerwone i popękana skórą pokryte ręce w gorący odwar ługu dla wydobycia pojedynczej sztuki bielizny i skręciwszy ją należycie, odkłada do tak zwanego „naparzanania”. Skręcając z całej siły mokre płótno, stęka Kaśka mimo woli, a grube krople potu spadają z jej czoła.

Przez otwarte okienko wpada wprawdzie prąd świeżego powietrza, ale wąły to i zbyt wąski pasek. Zaduch panujący w kuchni pochłania go z żarłocznością dzikiego zwierzęcia i ani odrobiną nie dzieli się z dziewczyną, pragnącą świeżego powietrza. Od strony miasta dolatuje to turkot dorożki, to jęk, to śmiech ludzki. Miasto usypia albo budzi się, według potrzeby i upodobań mieszkańców. W nocy czuwają tylko bogacze lub nędzarze. Stara to jak świat historia, a przecież wiecznie nowa. Kareta, wioząca upudrowaną damę, przemyka szybko po bruku, a turkot jej mięsza się z bolesnym westchnieniem Kaśki, której palce koło paznokci pękają ze skręcania bielizny.

Zapadła noc cicha, wspaniała, pełna tajemniczych szeptów, zwierzeń miłosnych lub planów zbrodniczych. Roztoczyła zasłonę, jak paw swój ogon różnobarwny. Milionami gwiazd świecących i urokiem ciemności drażni umysły, podniecając ciekawość. Miasto lubi noc i chętnie zarzuca na siebie czarny jej welon. Miasto jest grzesznicą, która bez czarnej zasłony nie pójdzie na schadzkę miłosną. Dlatego to miasto tak chętnie chłonie w siebie ten deszcz z ciemnego popiołu, który z zachodem słońca spada na dachy domów. Równocześnie z zapaleniem latarni ulice przybierają wygląd zupełnie odmienny. Niepozorne domki stają się kamienicami, a okazalsze budynki rosną do wielkości pałaców. Ubogie wystawy sklepowe leją potoki światła gazowego, kupy nagromadzonych kamieni lub cuchnącego błota nikną w ciemnościach. Rzeźmieszki gotują się do zwykłych wypraw nocnych, a z otwartych drzwi drugorzędnych restauracji wylewa się na ulicę pomieszany szcęk talerzy, nawoływanie kelnerów i bezładna a krzykliwa rozmowa gości. Gdzieniedzie z otwartego okna wybiegnie na ulicę dźwięk fortepianu lub głos jakiejś domorosłej artystki. Zagłuszy go przecież piosnka ulicznika lub turkot przejeżdżającej dorożki.

I noc, ta najpiękniejsza przemiana – tak poetyczna, tak wspaniała, napętnia miasto gorączką niespokojną, nigdy nie nasyconą żądzą zabawy lub przywłaszczenia sobie cudzej własności. Rzec można, że wraz z nadejściem nocy jakieś niezdrowe miazmy zapełniają powietrze i wciskają się do mieszkań, a potem do płuc ludzkich. Mrowisko nazwane miastem zaczyna się poruszać, niepokoić; ludzie płaczą, śmieją się, tańczą lub obdzierają, stosownie do upodobania. Z nadejściem świtu gorączka ustępuje, powietrze oczyszcza się – kochankowie rozstają się, pijacy padają bezprzytomni i zasypiają, gracze rzucają karty, złodzieje przestają kraść – i wszystko powraca do porządku nor-

malnego. Ponad miastem rozpościera się szarawe niebo. Przez które przedzierają się niepewne blaski złotawe. Jeszcze kilka tonów balowej orkiestry, jęk mordowanej ofiary, wykrzyknik pijaka – a wszystko zapadnie w głęboki sen ołowiany, od którego nabrzmiewają powieki. Rozpusta i zbrodnie ustępują, a praca dnia białego panuje znowu, obejmując w swe posiadanie ludzi czynu i dobrej woli. Po zacieśnionych ulicach i zakątkach błakają się cienie nocne, niepewne, drżące, jakby przesiąknięte wyziewami alkoholu, którym noc skrapia płaszcz swój królewski, aby nim potem owinąć rozmarzone głowy i ciała ludzkie.

Pod ścianami bielejących domów biegnie szybko dziewczyna, której noc wydarła urok nieświadomości, w jakiej dotąd żyła. Biegnie szybko, pragnąc uniknąć światła dziennego, pogrążona w rozpamiętywaniu nad niedawną przeszłością, której już nic i nikt przywrócić jej nie może.

Jednokonnny fiakier zatrzymał się przed kamienicą. Z powodu wysiadł młody i piękny mężczyzna. Ruchem nerwowym szarpie węzeł krawatki. Wchodząc do bramy, rzuca fiakrowi rozkaz czekania na zapłatę. Nic dziwnego. Noc ogołociła go ze wszystkich pieniędzy, jakie posiadał. Przegrał wszystko. Karol, drzemiący w przedpokoju, otwiera swój zniszczony i stary pugilares, aby zapłacić dorożkę, którą „jaśnie pan” z klubu powrócił. Szuler rzuca się na otomankę i każe zapuścić ciemne zasłony u okien. W pokoju robi się sztuczna noc. Młody ten człowiek żyje tylko nocą.

Z otwartych drzwi nocnej kawiarni wysunął się bokiem człowiek już niemłody, o silnym, siwiejącym zaroście. Idzie niepewnym krokiem, mrugając zaczerwienionymi powiekami i bełkocąc wyrazy niezrozumiałe. To literat. Przed nim rysuje się w niepewnym blasku poranka jakiś obdarty włóczęga. Obaj patrzą na siebie wzrokiem osłupiałym. Po chwili literat kiwa protekcyjnie głową i przechodzi na drugą stronę ulicy. Obdartus woła za nim: „Moje uszanowanie!” Za chwilę obydwaj giną w jakimś zaułku, a może we drzwiach innej kawiarni lub szynku.

Od strony miejskiego ogrodu i pól otaczających miasto powiewa miłe, poranne powietrze. Prąd ten wypędza resztki wspomnień nocnych, włóczących się po nie zamiecionych trotuarach. Szmer kupionych lub występnych pocałunków, szelest wygranych przy zielonym stoliku banknotów, dźwięk nie wypróżnionych kieliszków, ostatni krzyk dogasającej orgii – wszystkie te szmery nocne, niewyraźne, złączone w jedno jak olbrzymi akord źle dobranej orkiestry, przesuwają się z ulicy na ulicę, gnane światłością dnia białego, zawstydzone, pragnące ciemności sztucznej.

Nie dla wszystkich jednakże czarny welon nocy niesie pragnienie rozkoszy, zabawy, słowem – zadowolenia podrażnionych namiętności. Są istoty, które z nadejściem nocy zapalają światło i obliczają ilość godzin i nawał pracy, który muszą pokonać przed udaniem się na spoczynek. I w mdłym świetle lamp występują zgięte plecy, spuszczone głowy, chude profile o wydłużonych nosach i zapadłych policzkach. Pochyleni nad biurkiem, kreślą szybko wyraz na podłużnych ćwiartkach papieru lub opierając znużoną głowę na przedwcześnie zżółkłą skórą obciążonej dłoni, pogrążają się w zamyśleniu i pracy.

Kobiety blade, bez uśmiechu na ustach, siadają przy maszynach do szycia, opierając zbolale nogi na misternie wyrobionej podstawie, której deseń wpija się w rozpalone i najczęściej tylko pończochą osłonięte stopy. Dokoła nich wznoszą się całe stosy falban, upięć, staników, a o kilka kroków, na drucianej podstawie bezgłowa lalka prezentuje sztywną kibić, strojną w świeżo wykończoną suknię. Inne znów stają do balii, nakładają węgle w żelazko, a cała troska tych istot zwykle kryształizuje się w pytaniu: „Czy nafta wystarczy i czy skończy się to wszystko przede dniem?” Bezsennie spędzona noc, a w następstwie niszczenie sił nie idzie w rachubę. To drobnostki, o których się nie myśli. Człowiek tak długo zdrow, dopóki nie zachoruje, a gdy go powali choroba, to albo umrze, albo wyzdrowieje. A praca nie czeka; każdy musi pracować za siebie, z czegoż bowiem żyć będzie?

Tak samo rozumowała Kaśka, gdy pochylona nad balią śledziła z trwogą ubytek nafty w rezerwarze małej lampki kuchennej. Pranie bielizny – to nie żarty. Siedem razy przechodzi każdy kawałek przez ręce, zanim się go rozwiesi na sznurach. Wierzch ręki puchnie od silnego tarcia jak poduszka, a skóra ściera się zupełnie. Kaśka wie, że na to pomaga gliceryna, ale wydawać dziesięć centów na głupie ręce to się nie opłaci. Wprawdzie u pani stoi na komodzie mała flaszeczka, a pani

mówiła raz, że to jest właśnie gliceryna, ale Kaśka nie śmie prosić o kilka kropel. Pani mogłaby się rozgniewać za taką śmiałość niezwykłą.

Kaśka ma oprócz nawału pracy jeszcze kilka udręczeń więcej moralnej natury. Jakkolwiek jest tylko biedną sługą, lubi towarzystwo i gawędkę z jaką przystępną osobą. Pinkusowa Lewi kręciła się przez cały dzień boży po kuchni, gadając jak nakręcona katarynka. Kaśka wciągnęła się powoli w tę paplaninę i wiodła nieraz z panią długie dysputy, kończące się sprzeczką. Gdy Pinkusowa milkła, Kaśka po skończonym zatrudnieniu koło gotowania obiadu oddawała się pogawędce z niańką, również jak ona chrześcijanką, piastującą na rękach rudego, pokrzywionego Bernania, jedynego potomka rodu Pinkusów Lewi. U Budowskich była Kaśka wiecznie sama, zamknięta jak w więzieniu w ciemnej i ciasnej kuchni, odgadując poza wilgotnymi murami słoneczną jasność letnich poranków lub miły chłód, spływający z nadejściem nocy. Kręciła się więc w milczeniu po swojej klatce, dławiąc słowa cisnące się na usta, tłumiąc w sobie potrzebę porozmawiania i starając się ulżyć sobie przeciągłymi westchnieniami, podobnymi do jęku duszy potępionej. Miała całe piersi, całe gardło pełne jakichś wyrazów, które potrzebowała wypowiedzieć, jakkolwiek treści tych słów dokładnie określić by nie potrafiła. Pani siedziała zawsze w sypialnym pokoju zachmurzona i beczynna albo leżała na łóżku współubrana, milcząca, z ustami zaciśniętymi.

Jeżeli się odezwała, to mówiła zawsze głosem łagodnym, cichym i nie przeciągała rozmowy. Owszem, starała się zakończyć ją jak najrychlej.

Inne służące z kamienicy traktowały Kaśkę z góry i z lekceważeniem nieopisanym. Służyła u „państwa” mającego najgorszą opinię w całym domu. Skąpstwo Budowskiego było znane, a o nocnych wycieczkach Julii krążyły głuche wieści po kurytarzach i schodach kuchennych. Przy tym mieszkali na trzecim piętrze, nie mieli przedpokoju, a drzewo kupowali w sklepiku na polana. Tacy ludzie nie mogą wzbudzać u służby szacunku, a tym mniej dziewczyna pozostająca w służbie u takich „państwa”. Kaśka dostrzegła od razu nieprzyjazne twarze swoich koleżanek. Na jej grzeczny ukłon lub pozdrowienie odpowiadano mruknięciem lub lodowatym milczeniem. Przy tym wiedzianno, że przyszła wprost od „Żydów”. Nie musiała być wiele warta, skoro służyła po Żydach. I kucharka pani hrabiny, osoba pobożna, należąca do bractwa różańcowego i włączająca się po kuchni z miną zakrystiana, przewracała oczy białkami, objawiając w ten sposób wielką wątpliwość co do rodzaju kary, jaką Kaśka powinna w przyszłym życiu odbyć za wysługiwanie się Żydom. Inne służące, a zwłaszcza młoda dziewczyna imieniem Marysia, napełniająca wąskie schody szelestem spódnic wykrochmalonych, nie ze względów religijnych, ale z powodu usposobienia antysemickiego odwracała się demonstracyjnie od Kaśki i nie chciała wdawać się w bliższą znajomość z „tłumokiem” z trzeciego piętra.

Ta nazwa „tłumok” przyrosła powoli do pleców Kaśki. Słyszała ją nieraz, przechodząc koło otwartych drzwi kuchennych, skąd wydobywał się nosowy głos kucharki hrabiowskiej i skrzekliwy głosik młodej pokojówki.

Marysia służyła u starej panny, a głównym jej zatrudnieniem było wyprowadzanie na spacer dwóch rozczochranych pińczów, noszących słodkie nazwy Parysa i Lali.

Kaśka czuła, że jakaś nieprzebita ściana dzieli ją od innych kobiet, które powiewając różowymi lub seledynowymi sukniami, wychodziły co niedziela na spotkanie kochanków. Ona nie miała ani różowej sukni, ani kochanka. Zresztą nie wolno jej było wychodzić co niedzielę z domu. Budowski zapowiedział wyraźnie, że może wyjść tylko raz na miesiąc na trzy godziny. Przesąd nie pozwalał jej zająć się szyciem lub jakąś inną robotą. Umywszy się więc i uczesawszy starannie, siadła na kuferku, oglądając paznokcie lub wykrzywiając nogi. Były to niewątpliwie wcale przyjemne zajęcia, ale nie mogły zapełnić kilku godzin popołudniowych, które wlokły się z przerażającą powolnością. Raz spróbowała Kaśka zaśpiewać piosenkę, zasłyszaną jeszcze w fabryce. Słów nie pamiętała wprawdzie, ale nutę uchwyciła dobrze. I naprzód zanuciła nieśmiało jakąś melodię w rodzaju krakowiaka, poddając się wspomnieniom, jakie piosenka ta niosła za sobą. Później ośmieliła się – i piosenka nucona przez dziewczęta fabryczne zadzwoniła wśród ciasnych ścian kuchenki. Nagle

otworzyły się drzwi od jadalnego pokoju. Stał w nich Budowski, dnia tego jeszcze bardziej zdeenerwowany, i ruchem ręki nakazał rozśpiewanej dziewczynie milczenie.

– Miłosierdzie Boże! – jęknął sknera. – Czego tak wyjesz? Czego?

Kaśka zawstydziła się bardzo. Chciała sobie trochę pośpiewać, aby własny głos usłyszeć, a pan napada na nią i mówi, że „wyje”. Uczuła się w tej chwili bardzo zgnębioną i smutną. Resztę wolnych godzin spędziła skurczona na brzegu kuferka, lękając się poruszyć, aby nie sprawić szelestu własną spódnicą. Przez zakratowane okienko widać było szmat nieba o ciemnolazurowej barwie. Kaśka wpatrzyła się w czysty ten błękit i coś ją ścisnęło w gardle. Była bliską płaczu – taka młoda jej dusza rwała się do świata i ludzi. Nie była przecież beksą, ale, ot, po prostu taka ją napadła tęsknica, że aż ją we środku bolało. Cały tydzień harowała koło bielizny, a w niedzielę nawet nie ma się z kim ucieszyć, nagadać...

Siedzi w kącie i patrzy na odrobinę nieba, i myśli, jak by to dobrze było w taki dzień pójść na miasto, a nawet pojechać tą koleją, co to po mieście chodzi, a konie ją ciągną.

Trzeciego tygodnia swej bytności u Budowskich Kaśka, schodząc w niedzielę po południu po wodę, spostrzegła przez uchylone drzwi kucharkę pani hrabiny, siedzącą koło okna z książką w rękę i czytającą przez okulary godzinki czy psalmy pokutne. Kaśka nie miała książki, ale czytać, choć z trudnością, mogła. Przecież książka to nie gliceryna, pani nie rozgniewa się za pokorną prośbę o pożyczenie jakiej pięknej i pobożnej książki. Kaśka usiądzie przy oknie, tak jak ta kucharka od pani hrabiny, i śliczne modlitwy czytać sobie będzie. Przynajmniej przejdzie popołudnie, a czytać może po cichu, nie przeszkadzając panu, tak jak wtedy, gdy napadła ją chętka śpiewania.

I ułożywszy rzecz całą, wchodzi Kaśka do sypialni, w której, jak zawsze, znajduje się pani, leżąc z otwartymi oczami na łóżku.

Dla Julii niedziela ma tę odrębną cechę od innych dni tygodnia, że Budowski pozwala jej ubrać się w ciemnozieloną, przystrojoną aksamitem suknię i prowadzi ją rano do kościoła. Julia sukni tej przez cały dzień nie zdejmuje, ale nie zważając na jęczenie męża, wygniata aksamit leżąc zupełnie ubrana na łóżku.

Gdy Kaśka stanęła przed nią, Julia otwarła wieczne zaspane oczy i spojrzała z pewnym rodzajem zdziwienia na zaczerwienioną twarz dziewczyny.

Budowski oddał się w tej chwili czyszczeniu lampy, a było to zwykłe jego zatrudnienie, które mu wypełniało długie popołudnie niedzielne. Gdy Kaśka cichym i nieśmiałym głosem wyjąkała swą prośbę o pożyczenie jakiej pobożnej książki, Julia zakłopotana się szczerze.

Lubiła Kaśkę bardzo i czuła dla niej pewien rodzaj wdzięczności za dopomaganie jej w oszukiwaniu męża; chętnie uczyniłaby zadość jej żądaniu, ale prośba Kaśki jest tak dziwną, że doprawdy nie wie, jak wybrnąć z tego położenia.

Służąca prosi o książkę!

Cóż jej da do czytania, ona, która pogrążona w swej apatii, sama oprócz kroniki w „Kurierze” nic prawie nie czyta? W tym bezdusznym, ślimaczym życiu, jakie pędzi, nie przyszło jej nigdy na myśl, że służąca może poprosić o pożyczenie książki. Mimo wszystko czuje słusność żądania Kaśki i przygryzając bezkrwiste wargi, wysila swój umysł dla wynalezienia jakiegoś utworu literackiego, którym by bez wiedzy męża rozporządzić mogła. Prosić Budowskiego o pożyczenie jakiejś książki, drzemającej na etażerze wśród pustych buteleczek od wody kolońskiej, znaczyłoby to samo, co nastąpić gniazdo żmii. – Ona sama książek nie posiada, ma tylko jedną, do nabożeństwa, oprawną w aksamit – ale egoizm przeważa dobroć serca. Ręce Kaśki, ogromne, o szerokich, spłaszczonych palcach, jakkolwiek czysto wymyte, nie dają dostatecznej rękojmi, że oprawa *Wspomożenia wiernych* powróci z kuchni nie uszkodzona.

Trzeba przecież jakoś zakończyć z tą dziewczyną, która stoi wciąż z pokorą wielką, czekając na wypełnienie zanieśionej prośby.

Nagle Julia przypomina sobie, że idąc za mąż dostała od matki książkę noszącą tytuł: *Kobieta, czyli historia łzy i śmiechu*<sup>18</sup>, oryginalnie napisaną przez J. G.

<sup>18</sup> *Kobieta, czyli historia łzy i śmiechu* – powieść napisana przez Julię Goczałkowską, wydana w 1857 r. we Lwowie

Julia nie czytała nigdy tej książki, schowała ją do komody pomiędzy prześcieradła i otwierając szufladę widzi czasem okładkę, czerwieniącą się wśród białych fałdów maglowanego płótna. Tak będzie najlepiej; choćby nawet Kaśka tę książkę zniszczyła, to niewielka szkoda, bo oprawa tania, papierowa, źle naśladowująca skórę.

Czy forma i treść będzie dostępna dla umysłu dziewczyny, o to Julia się wcale nie troszczy. Chce czytać, niech czyta; czy zrozumie, czy skorzysta – to mniejsza. Zresztą, lepiej by zrobiła, położywszy się spać – szorowała podłogę i o drugiej w nocy spać poszła.

Mimo to objaśnia Kaśkę, gdzie książkę znajdzie w komodzie. Sama jest za ciężka, aby wstać i *Historię łzy i śmiechu* swej słudze wręczyć. Gdy Kaśka, przycisnąwszy do piersi niewielką, wąską książeczkę, wynosi się z sypialni, Julia oddycha swobodniej i zatulając prawie całą twarz w poduszkę, zasypia tym niezdrowym półsnem, właściwym tylko anemicznym kobietom.

Kaśka uszczęśliwiona powracała do kuchni. Nareszcie ma rozrywkę, godziny jej teraz szybko upłyną, wie o tym. Zapewne pani dała jej historię o jakiej dobrej królowej, która zamiast chleba pokazała róże swemu srogiemu, nielitościwemu małżonkowi, lub o tym dobrym świętym, który biedne sierotki po ulicach zbierał i opiekował się nimi jak ojciec rodziny.

Kaśka to wszystko czytała dawniej, teraz rada by przypomnieć sobie niektóre szczegóły; a wreszcie, co piękne i dobre, to można dziesięć razy odczytać. To nic nie zaszkodzi. Teraz czwarta. Jeszcze cztery godziny czasu do nastawienia samowaru i podania herbaty; przeczyta więc przynajmniej pół historii, a może zdąży przeczytać całą. Zresztą, jeśli nie skończy, to poprosi pięknie panią, aby pozwoliła zatrzymać książkę do drugiej niedzieli. Wprawdzie ma dozwolone wyjście na przyszły tydzień, ale piękna historia ciekawsza o wiele i Kaśka zostanie w domu przez całe popołudnie, aby dokończyć rozpoczęte czytanie. I z całym przejęciem się ważnością tej nadzwyczajnej chwili Kaśka przystawia krzeselko do maleńkiego okienka, z którego pada skąpy promień światła. Nie jest jej tak widno, jak kucharce pani hrabiny; ta ma wygodną kuchnię z szerokim weneckim oknem; ale cóż począć, okna już nie przerobić; trzeba dobrze oczy roztworzyć i starać się, aby światło na książkę padało.

I z zadowoloną, rozjaśnioną twarzą otwiera Kaśka *Historię łzy i śmiechu*, rozpoczynając czytanie dzieła od sylabizowania tytułu, nazwiska wydawców i właściciela drukarni.

Dopełniwszy tego aktu, przewraca kartkę i przyciszonym szeptem, utykając, poprawiając się, krztusząc, wycierając nos, czyta, co następuje:

– „Kobieta, ta połowa społeczeństwa, ów cel badań, wieków i mędrców, cel uwielbień i uniesień – w istocie jednak rzeczy samej pozostała sfinksem dla ogółu, sfinksem dla siebie samej...” – Kaśka oddycha ciężko i urywa czytanie.

Nie ma nic o królowej ani o świętych pańskich.

To pewnie będzie dalej – trzeba cierpliwie czytać, a historia przyjdzie sama. Tak raz już było, ona pamięta dobrze – z początku niby nic, a później śliczności!...

– „Nie tylko saintsimoniści, lecz i kobiety z wyższym wykształceniem, pisząc o emancypacji kobiet, podawały jako główny jej warunek...”

Kaśka ociera spocone czoło i poprawia się z determinacją na krześle.

Spociała się, a przecież historii nie znalazła. Mimo to czyta dalej, jęcząc, stękając, wykrzywiając usta; na koniec zmęczona fizycznie i moralnie, z wyrazem najwyższego zniechęcenia, opuszcza książkę, a głowę pochyla na piersi.

Miły Boże! jakaż ona głupia!

Czyta od godziny, aż śmiertelne poty na nią występują, a przecież nic zrozumieć nie może. Przychodzą takie słowa, jakich ona jako żywo nigdy nie słyszała! Jakaś „ulekczycielka! – Kaśka wymówić nawet porządnie nie może, że język się jej zwija. Pani się pytać nie śmie. Nie dość, że prosiła o książkę, a pani w nieprzebranej swej dobroci uczyniła zadość jej życzeniu, jeszcze będzie niepokoić panią dlatego, że w ciemnocie swojej zrozumieć nie może, „dlaczego saintsimoniści podawali jako główny warunek rozwoju emancypacji zniesienie małżeństwa”.

A przecież, czytając o dobrej królowej i o miłosiernym świętym, rozumiała każde słowo, nawet płakała nad losem maluchnych sierotek, pozostawionych w jakimś ciemnym, brudnym kącie i umierających z głodu. Szkoda, że pani takich książeczek nie ma; to zaraz inaczej robi się na duszy, gdy człowiek coś tak pięknego przeczyta. Zaraz można porównać cudzą nędzę do swojej biedy, a przecież widzi się wtedy łaskę bożą czuwającą nad biednym człowiekiem. Choć skąpe, ale jadło jest, i kuchnia nie taka ciemna i smutna się wydaje – bo inni i tego nawet nie mają.

I szczerze zmartwiona siedzi Kaśka ciągle pod okienkiem, trzymając w ręku książkę, jak żebrak zgłodniały, któremu dano dla zaspokojenia głodu z drzewa wystrugany owoc. – Godziny wloką się powoli, skazówki ściennego zegara posuwają się z dziwną ospałością po zniszczonym cyferblacie. Kaśka bezmyślnym, osłupiałym wzrokiem wpatrzyła się w ciemną i porysowaną czarnymi bruzdami ścianę kuchni.

Stanowczo na przyszlą niedzielę wyjść musi – cóż robić będzie znów całe popołudnie? Dusi ją formalnie i potrzebuje trochę powietrza. – Wprawdzie nie ma nikogo, aby jej w przechadzce towarzyszył, ale czy to każda dziewczyna potrzebuje mieć kochanka? Ona ma swoje zdanie pod tym względem. Jak się wdać z mężczyzną, to już z takim, co będzie z niego mąż; bałamuctwa nie chce; napatrzyła się dosyć na smutny koniec dziewczyn, co to ledwie podrośły zaraz o kochankach myślały. Kaśka nie rozumie doprawdy, dlaczego się tak śpieszyły? Padły tylko na ludzkie języki i poszły na poniewierkę. I w swym późnym rozwinięciu silnej kobiety nie może zrozumieć, co miały w krwi te inne dziewczęta, które, dojrzewając w dziecinnym prawie wieku, niszczyły swe drobne ciała rzucając się przedwcześnie w objęcia pierwszych lepszych mężczyzn. Zresztą, ona nie przeczy, że życie samej, wiecznie samej dziewczyny jest bardzo smutnym, bardzo przykrym – ni to się komu uzalić, ni pośmiać się lub wyjść na spacer; ale tak znów nie przebijając, nie znając prawie, poufalić się, mówić „ty”, przyjmować „fundowanie” i wracać późno w noc albo wystawać przed sienią – to trzeba mieć pusto w głowie i nie myśleć o jutrze.

Gdy się jej trafi uczciwy człowiek z kondycją, a wyraźnie i po bożemu wypowie swoje zamiary – Kaśka chętnie pójdzie z nim na „promenadę” i zbiegnie wieczorem, aby się zobaczyć choć na krótką chwilę.

Kochanek – to obraza Boga, narzeczony – to już co innego. Prawie mąż, tylko ślubu brak; ale ślub nie ucieknie, a zawsze już taka dziewczyna po językach ludzkich nie chodzi. Drugą mimowolną troską Kaśki był... Jan.

Stróż, z dziwnym instynktem, wrodzonym każdemu mężczyźnie, gdy idzie o uwiedzenie kobiety, zmienił się po prostu w jawnego wroga.

Po bliższym zastanowieniu doszedł do przekonania, że Kaśka jest „jezuitką”, a opór, stawiony przez nią w pamiętnym mu spotkaniu na schodach, wziął za „jezuitość” w najlepszym gatunku.

Pani hrabinie wolno być „jezuitką”, bo od tego pani, żeby miała w głowie przewrócone – i za to kiedyś swą karę odbierze, ale taka głupia i prosta dziewczyna, zamiast być taką jak inne, udaje świętą i oczy zawraca zamiast poczęstować go uczciwym kułakiem, gdy spotkał się z nią w ciasnym przejściu i przycisnął trochę do ściany. Chowa się dla męża, dlatego taka harda; chce czepka i myśli, że złapie jakiego głupca na swoją uczciwość. I cały urok miłego, łagodnego wejrzenia Kaśki, które olśniło przez krótką chwilę Jana, a w duszy jego stłumiło zwierzęcość męskiej żądz, niknie wobec tej brutalnej złości, która mimo woli przepelnia całą istotę obrażonego w swej dumie mężczyzny.

I z bezwzględnością najwyższą obrzuca dziewczynę tysiącami zarzutów, które im błędniejsze, tym bardziej potęguje, czując przecież niesprawiedliwość, jaką tym Kaśce wyrządza.

Najwięcej gniewa go to pragnienie zostania ślubną żoną, które Kaśka wyjawiała rozmawiając z nim przed bramą. Według niego, najgorsze to świadectwo o moralności dziewczyny. Chce się pewnie plecami męża zasłaniać, aby swoje broić, o! Jan zna już takie żony, zna nawet bardzo blisko... mógłby niejedną nazwać po nazwisku, ale byłaby z tego heca, a on hec przez baby nie lubi.

I pomimo gniewu powraca bezustannie myślą do tej tęgiej dziewczyny, której ciało podziwiał pomimo nazwy „tłomoka”, jaką jej inne służące nadały. I drwiąc z niej nielitościwie, wspomina z



prawdziwą rozkoszą chwilę, gdy był tak blisko niej, że czuł jej ciepły oddech na swej rozpalonej twarzy. Mogą sobie z niej żartować od woli te płaskie dziewczyny o spiczastych ramionach – on w głębi duszy przyznaje Kaśce wszystkie zalety ciała i wie dobrze z doświadczenia, że taka tęga i zdrowa kobieta zdarza się jedna na sto, a może na dwieście.

No! gdyby ją spotkał teraz po ciemku na schodach, nie darowałby jej raz wyrządzonej obelgi... Przycisnąłby ją tak mocno do ściany, że całą „jezuitość” by zgubiła. Nie pomogłoby przewracanie oczów, drugi raz nie można wziąć na kawał; wtedy – po prostu stumaniał i ustąpił. Zresztą dnia tego wypił kilka halv<sup>19</sup> piwa i parę kieliszków na zgodę z Fajczarzem, czeladnikiem rzeźnickim, któremu przeszłej niedzieli za niezgodność przekonań oko podbił. Dlatego był jakiś nieswój, a ona skorzystała, i teraz, choć udaje, że zapomniała, pamięta dobrze jego głupotę i dobrze się po kątach chichocze.

Tylko ma w sobie tę dobrą stronę, że jest zawsze taka schludna i czysto wymyta, że aż przyjemnie człowiekowi spojrzeć. Choć zapracowana i często od szorowania zbiegnie na dół wypluć ścierki, to kaftanik na niej świeży, a ręce, choć grube i czerwone, są czyste, i ochota bierze uszczypnąć to ciało jędrne a naciągnięte, aż lśni w promieniach słońca. Głowę ma także niczego, włosy gładko rozdzielone, tak jak Jan właśnie lubi, wyczesane dobrze, a świecą się na skroniach, jakby czymś posmarowane... Wcale ładna dziewczyna, tylko wielka szkoda, że taka głupia i zamiast się bawić, suszy się i kwasi.

I bezustannie myśl Jana powraca do Kaśki i krąży koło niej, wyszukując nowe zalety, aby potem, zalety te obracając na jej niekorzyść, przedstawić dziewczynę, tak sobie jak i drugim, w najgorszym świetle.

Marynka z drugiego piętra jest mu dzielnym sprzymierzeńcem w tej sprawie.

Ta niska, krępa dziewczyna o dość kształtnej figurce, ściśnięta w pasie starą sznurówką swej pani, pozostaje z Janem w ścisłej przyjaźni, która to przyjaźń w niezbyt czystym źródle początek bierze. Marynka brała życie z zabawnej strony, a kierowała się według znanego przysłowia: „Co z brzegu – to nieprzyjaciół”.

Wskutek tego pełno miała znajomości, ale naprawdę nie wiązała się z nikim. Lubiała co niedziela iść za rogatkę lub na Wysoką Górę z innym mężczyzną. Mając nieograniczoną swobodę ze względu na Parysa i Lalę, którym ruch był nadzwyczajnie potrzebny – skoro wydała obiad, przyglądała włosy, zapiekała grzywkę, a usmarowawszy twarz tanim różem i brwi przypalonym korkiem, brała na ręce oba pieski i z szelestem wykrochmalonych spódnic znikwała trzaskając drzwiami.

Wesoła, świegocąca jej natura od razu przypadła do charakteru Jana, który w swoim „farmazońskim” usposobieniu nie lubił długotrwałych związków, przypominających księżowską stulę.

Marynka była dziewczyną niewymagającą. O małżeństwie nie mówiła nigdy, nie myślała brać sobie tak ciężkiego kłopotu na wolną szyję. Po krótkich przedwstępnych krokach ogłosili nagle zdziwionej tym wypadkiem rzeszy znajomych swój stosunek, nie krępując się od tej chwili, całując się przy drzwiach otwartych i gorsząc kucharkę pani hrabiny, która od tej chwili nie mogła bezpiecznie pójść po jarzyny do piwnicy, aby nie napotkać na wąskim przejściu tych dwojga ludzi żartujących lub chichoczących w zagłębieniu ściany.

Marynka miała, oprócz ciemnych oczów i zadartego noska, dar jeszcze jeden. Umiała „naciągać” mężczyzn, to znaczy, według niej, doprowadzać do ofiarowywania sobie rozmaitych drobnośtek, które ona z minką zachwyconą przyjmowała. I Jan przejść musiał przez podobnego rodzaju „naciągania”.

Jednego „pierwszego” – był to krzyżyk, maluchny krzyżyk srebrny, pozłacany, z turkusikiem we środku, który za marne trzy guldeny można było kupić na rynku u pokątnego jubilera. Później – były to znów kolczyki, dwa listki z bąbelkami, emaliowane na czarno. Zapewne, była to rzecz droga i cena dość wysoka – dosięgała ośmiu guldenów, ale Marynka „z maleńkości” miała delikatne uszy i tombakowe<sup>20</sup> uszko u kolczyka zaogniało jej ciało...

<sup>19</sup> halba (niem.) – pół kwarty

<sup>20</sup> tombak (fr.) – sztuczne złoto

Jak kupił kolczyki, nacisnął czapkę i przysięgł sobie, że zerwie. Niepotrzebnie wszakże przysięgał, bo Marynka, znudzona romansem ze stróżem, postanowiła pójść wyżej i oddała swe serce tęgiemu kanonierowi w brązowym kabacie i ciemnobłękitnej czapce.

Jan ustąpił chętnie zajmowane miejsce i bez swarów i awantur rozeszła się ta gwałtowna miłość, która niedawno jeszcze hałasem swoim przepelniała kurytarze, klatki schodowe, piwnice i strychy – niepokojąc lokatorów i urągając moralności publicznej. Wbrew jednak zwyczajowi przyjaźń pomiędzy Janem i Marynką trwała ciągle, a nawet czasem, gdy Marynka zapóźniła się, Jan w miejsce „szperki” odbierał zapłatę, całując ciepłą szyję dziewczyny, której przyciszony chichot rozlegał się w bramie, i wbiegał wraz z nią na wąskie, ciemne schody.

Tak stały rzeczy, gdy Kaśka przybyła do kamienicy. Gdy wszakże Jan, zdraśnięty w swej miłości własnej, wystąpił otwarcie przeciw Kaśce, a w dodatku nazwał ją „dragonem” – Marynka w gorących wyrazach poczęła dopomagać temu potokowi szyderstw, jaki z ust Jana płynął. Instynktem, właściwym każdej, bodaj najniżej pod względem inteligencji stojącej kobiecie, odgadła, że Kaśka, mimo wszystko, podobała się Janowi i zajęła go.

Jakkolwiek miała innego kochanka, nie chciała, aby Jan pocieszył się prędko po jej stracie, i dlatego z całą siłą trywialnego dowcipu zwróciła się przeciw Kaśce, podburzając przeciw niej inne służki, ośmieszając w oczach całego domu... Dopomagała Janowi w czynieniu rozmaitych psot i szkód, za które potem biedna Kaśka ze skromnej swej pensji płacić musiała. Zrywano stare i powiązane sznury, na których suszyła się bielizna Budowskich; wylewano wodę z szaflika, gdy Kaśka trochę „deszczówki” złapać pragnęła. Przez ciemne schody przeciągano szpagat, ciesząc się, gdy posłyszano ciężki łoskot spadającej z kilku stopni Kaśki. Gdy przechodziła przez dziedziniec, szmer szyderczych śmiechów wznosił się poza nią. Śmiała się pokojowa hrabiny, przewieszona na oknie, prezentując w czystym świetle południowej pory jasnoblond włosy, skrecone zgrabnie na wierzchołku głowy. Poza nią czerniał czepek kucharki, a członkini bractwa różańcowego nie gardziła wesołością, mającą na celu wyszydzenie tej bezbożnicy, która nie wahała się „Żydom” służyć i mace z nimi zajadać. Śmiała się chuda i koścista właścicielka sklepika, która nie mogła Kaśce darować, że omijała jej kram, załatwiając w innym, sąsiednim, drobne sprawunki z rozkazu swego pana. Śmiały się służki tapicera, mieszkającego w oficynie, zezowata niańka i opasła kucharka; śmiała się sama żona tapicera, która będąc dawniej służką, z największą rozkoszą zajmowała się sprawami kuchennymi; ale najwięcej śmiała się Marynka i Jan – on, oparty o miotłę, z fajką w zębach, z czapką junacko pochyloną na lewe ucho.

Kaśka szła wolno, z pochyloną głową, ze ściśniętym gardłem, rozumiejąc dobrze, że powodem tej wesołości była ona sama, a właściwie jej wielka i według niej niezgrabna postać. I pochylała jeszcze więcej ramiona, jakby chcąc na zaokrąglony grzbiet przyjąć te wszystkie wybuchy śmiechu, które co rano rozlegały się wśród podwórka i czepiając się murów kamienicy, biegły wśród okien, aby tam zbudziwszy echa, spadać siekącą chłostą na zgnębioną i srodze tym dotkniętą Kaśkę. Cóż zrobiła wreszcie tak złego, aby sprawiano jej tyle przykrości? Że wyrosła większa niż inne, nie jest przecie temu winna – i ona z pewnością nie roześmiałyby się na widok dziewczyny dwa razy większej od niej samej.

Nie każda może wyglądać jak z „porcyneli”. Schodzi im z drogi, jak może, stara się nie być nikomu najlżejszą zawadą, mimo to wyśmiewają się z niej i spokoju nigdy nie dadzą. W bezmiernej łagodności nie znajduje ostrego słowa, którym by zażegnać mogła żarty i szyderstwa, jakimi ją przytłaczają. Wie przecież, że gdyby miała dostateczny zasób odwagi, mogłaby kazać zamilknąć całej tej niepoczciwej zgrai, która rzuca się na nią jakby na ostatnią z ostatnich. Lecz do nikogo nie czuje tak wielkiego żalu, jak właśnie do... Jana. W prostocie swej i prawdziwej uczciwości nie szuka wykrętów, nie pragnie oszukać siebie samej, lecz czuje, że Jan podobał jej się bardzo – i poddaje się temu uczuciu z posłuszeństwem biernej, wiecznie do uległości przywykłej istoty. Gdy na ciemnym zakręcie schodów cisnął ją brutalnie, zwykła trwoga, przejmująca jej istotę za zbliżeniem się mężczyzny, ogarnęła ją i tym razem. Lecz gdy pod wpływem jej prośby usunął się i dozwolił

przejsć spokojnie, w Kaśkę wstąpiło głębokie przekonanie, że odtąd potrafi kierować nim i pozyska w ujarzonym nie wroga, lecz... przyjaciela.

Przy świetle dziennym spostrzegła, że Jan był przystojnym mężczyzną – i odkrycie to sprawiło jej przyjemność wielką, z której sobie na razie sprawy zdać nie mogła. Rozmowa przy bramie i drwinki Jana dotknęły ją boleśnie. Wydał jej się zupełnie innym, zmienionym. Miał w sobie pewność ulicznego uwodziciela i ton jego mowy nie miał w sobie nic, co by zdradzało cokolwiek uprzejmości. Gdy później otwarcie połączył się z nieprzyjacielsko usposobionymi kobietami i stanął do jawnej walki, Kaśka uczuła wielki smutek i długo w noc zasnąć nie mogła, rozbierając w skłopotanej głowie każdą drwinę, która z ust stróża wyszła. Pragnęła nie spotykać się z nim nigdy, a mimo tego postanowienia znajdowała wiecznie jego barczystą postać na swej drodze. Czy była w tym jej, czy jego wina?

Zdaje się, że wina była wspólnością obojga.

\*

Gdy Kaśka doczekała się wreszcie niedzieli, w której wolno jej było wyjść, z wyraźnym zastrzeżeniem szybkiego powrotu – od rana cieszyła się tym użyciem chwilowej wolności i roiła plany przyjemnego spędzenia całego popołudnia.

Zdawało się jej, że poza murami zacieśnionej kuchenki dozna zabawy, która jest wystarczy na długi przeciąg trzytygodniowej niewoli. Wprawdzie nie miała z kim udać się na zamierzoną przechadzkę i było jej trochę markotno, że sama jedna iść przez ulicę musi w święto, ale gorączka tęsknoty za ludźmi, choćby o zupełnie obojętnych, byle nie szyderskich twarzach, kazała jej zapomnieć o swym osamotnieniu i dozwalała cieszyć się nadzieją choć chwilowej rozrywki. Późną nocą naprawiała spódnice, której fioletowa wełniana listwa zupełnie obdarta i przez długie używanie zniszczoną była. Za ostatnie dwa centy kupiła trochę nafty i usiadłszy na swym ulubionym miejscu, to jest na brzegu kuferka, szyla wyciągając zamasyżniętą rękę, uzbrojoną w wielką, trochę zardzewiałą igłę, która z uporem wielkim nie chciała wyjść z tkaniny i zmuszała Kaśkę do wrywania zębami uporczywego narzędzia razem z fioletowymi nitkami, które rdza nabierała na siebie.

Mimo małej dozy próżności i kokieterii, jaką Kaśka żywiła w sobie – uczesanie włosów zajęło dobre pół godziny, a wyszorowanie szyi, uszów i rąk – co najmniej kwadrans. Gdy cała czerwona od tarcia grubą ścierką, używaną zwykle do obcierania talerzy, podniosła głowę znad szaflika, w którym się myła, uczuła ulgę wielką w tym oblaniu się zimną wodą i wstrząsnęła głową dla odrzucenia grubego, równo splecionego warkocza, który spadł jej na piersi, gdy głowę szybko schyliła.

Stała tak krótką chwilę z obnażonym torsem, piękna młodością i siłą swych kształtów, z twarzą i rękami po łokcie opalonymi i odcinającymi się od reszty ciała ciemną, miedzianą barwą. Fala purpurowej, zdrowej krwi biła pod tą skórą, wypełnioną jędrnym ciałem, które domagało się użycia i zrozumienia w praktyce zmysłowych stron życia, jakich przed nim świat nie ukrywał. Wychowana wśród ludzi, którzy z całą bezczelnością wtajemniczają swe dzieci w najskrytsze tajniki domowego pożycia, wiedziała wszystko i napatrzyła się nieraz na tysiące obrazów, które inteligentniejsze warstwy społeczeństwa zasłoną wstydu przysłaniają. W umyśle jej była pod tym względem jasność zupełna; z okrutną brutalnością wepchnięto ją od dziecka do tajemniczego zakątka i kazano patrzeć i słuchać, bez względu na młodość i delikatność dziewczęcej natury. Ale mimo wszystko ciało jej spało długo, rozwijając się powoli, przygotowując materiały do wspaniałej budowy, jaka w formach kobiecych ukształtować się miała. Teraz, gdy proces rozwijania się był prawie na ukończeniu, w olbrzymim dziecku budziła się kobieta z przecuciem bliskiego upadku i z całą świadomością swego przeznaczenia. Niedługo nadmiar siły nurtujący jej ciało zapragnąłby przejść w inną istotę, która, powołana do życia, odebrałaby z tych przeciążonych nadmiarem krwi członków możliwość istnienia, ruchu, myśli, czynu. Kaśka bezwiednie pragnęła tej ulgi, bo instynktem odgadywała, że jeszcze jedna praca czeka na nią na świecie, a wykonanie tej pracy miało źródło w niej samej, w przyspieszonym krwi obiegu, w tym dziwnym niepokoju, przebiegającym jej plecy nieokreślonym

bliżej dreszczem. Była za głupią i za mało umysłowo rozwiniętą, aby pomiędzy wiadomościami zaczerpniętymi w dzieciństwie i swym obecnym stanem pociągnąć linię i zaczerpnąć wytłumaczenie: „tamto swoją drogą, a to swoją” – myślała czasem, gdy nagle doznawała zawrotu głowy, a instynkt ostrzegał ją, skąd nagle osłabienie pochodzi; „zasiedziała się i dlatego krew bije do głowy. Przejdzie się trochę – i lżej jej będzie z pewnością”. A mimo to niepokój nie ustępował, chwilami nawet dokuczał jej w bardzo przykry sposób. Zdawało się jej, że pod skórą ma jakąś drugą istotę, która szuka wyjścia i miota się gwałtownie.

Gdy wreszcie nadeszło oczekiwane popołudnie i Kaśka, ukończywszy ubranie, znalazła się na ulicy, doznała nagłego olśnienia wobec tego gwaru i ruchu świątecznego, jaki pomieszaniem chórem wzniosł się wśród gorąca i tumanów kurzu.

Trotuary, pokryte setkami przechodniów, wylewały ze swych brzegów całe fale ludzi, jak olbrzymie rynsztoki, które w czasie ulewy rozlewają na bruk gościńca swe mętne fale. Ludzie dziwnie postrojeni szli grupami, rozprawiając głośno i machając szeroko rękami. Byli to po największej części rzemieślnicy z żonami i dziećmi, służące ze swymi kochankami, żołnierze, szukający jakiej niezbyt okrutnej piękności, wreszcie rodziny niższych urzędników, wlokące swe chude i źle odżywione postacie wśród tej masy, śpieszącej za chwilową rozrywką, pragnącej wydać grosz ciężko zapracowany wśród długich i bezbarwnych dni tygodnia. Czarne surduty, rozciągnięte na zgiętych nad warsztatami plecach, kawowe spodnie, zbyt krótkie, ukazujące wątpliwą białosć skarpetek, kraciaste krawatki, migocące jaskrawą barwą pod krochmalnymi kołnierzymi, buty powykrzywiane na nogach, napuchłych od zbyt wielkiego krwi napływu – ta cała świąteczna elegancja wystrojonego rzemieślnika błyszczała w słońcu letnim, ukazując z okrutną dokładnością zły krój sukien, popękane szwy butów, a zwłaszcza ręce tych ludzi, ogromne, niekształtne, spracowane, występujące jak dwie czerwone plamy na tle jaskrawego obrania. Kobiety szeleściły krochmalnymi spódnicami, prezentując zielone jak trawa lub szafirowe spódnice, naszywane aksamitkami lub przystrojone zrudziałą blondyną<sup>21</sup>. Na plecach każdej z tych kobiet rozkłada się pompatycznie turecki szal (imitacja lub prawdziwy, stosownie do zamożności właścicielki), spięty na piersiach wielką lawową lub, w rzadkich przypadkach, szczerozłotą broszką. Najdziwniejsze czepki kryją ich głowy, żółte szarfy, czerwone róże, kawałki ślubnych welonów, zbrudzone paki pomarańczowego kwiecica – wszystko to nędza żydowskich kramów o tanich wstążkach, szeleszczących jak kawałki papieru, koronkach sinych z nierównym deseniem – wszystko to w formie bezkształtnej masy spoczywa na gładko przyczesanych włosach, zadziwiając różnaitością barw i dziwacznością pomysłu. Kobiety te są to najczęściej wyschłe i żółkłe szkielety, postarzałe przedwcześnie, z bruzdami na wąskich czołach, z piegawatymi, zapadłymi policzkami. Idą sztywne, uroczyście, lękając się co chwila o zgniecenie sukni lub zaczepienie frędzla szala o parasolkę lub laskę przechodniów. Przed nimi gromadki dzieci, najczęściej z powykrzywianymi angielską chorobą nogami, wlokąc swe niekształtne ciała, potracając ludzi i zajmując o ile możności najwięcej miejsca na chodniku. Ich chorobliwe, żółte twarzyczki mają w sobie wyraz przedwczesnej dojrzałości, a nierzadko można dostrzec na szyjach – źle osłoniętych kreską – zmarszczone, brzydkie blizny, właściwe tylko skrofalicznym istotom. Zrodzone najczęściej z matki, która oddychała niezdrową atmosferą zacieśnionej, przeludnionej izby, a ojca sączącego bezustannie w siebie zabijający jad alkoholu i zbierającego od dziecka prawie rozpustę, kryjącą się wśród uroczej ciszy miejskich ogrodów – ci przyszli pracownicy, na których przemysł krajowy miał się opierać, przedstawiali się bardzo nędznie wśród słonecznych blasków, wykazujących nie tylko pęknięcia skóry u ich obuwia, lecz i przedwczesne a zbyt jawne zniszczenie organizmu tych schorzałych i prawie okaleczonych malców. Sługi, uwieszane u ramion kochanków, przodowały w tym tłumie, starając się wysunąć na plan pierwszy, pewne mocy swych wdzięków i zachwycające w niemodnych, wygniecionych sukniach, jakie ich płaskie i źle wyciosane postacie stroiły. Cała chęć naśladowania znieawidzonych pań przebijiała się w dziwacznej kompilacji niedzielnego stroju, w jaki te trywialne, o grubych kościach dziewczyny właczały gwałtownie do swobodnych fałdów codziennej spódnicy przywykłe kształty. Ba-

---

<sup>21</sup> blondyna (fr.) – cienka koronka z surowego jedwabiu, początkowo wyrabiana tylko w kolorze jasnożółtym

reżowe<sup>22</sup> suknie, zbrudzone, przystrojone zupełnie odmiennej barwy falbankami, opinały się z uporem, zapadając przy zgięciu kolan, aby odbite piętami przerzucać się za każdym krokiem z dziwną a wcale nieponętną fantazją. Całe pęki wstążek, pozwijanych w trąbki, lub aksamitek o wystrzępionych brzegach przyczepiły się do boków lub ramion, gorsy, strojne w tarlatanowe krezy, dozwalały widzieć kawałek czerwonej, grubej szyi, na której zwieszała się tradycyjna „sylwetka” na czarnej aksamitce. Na głowach najdziwniejsze kapelusze wiewały z defryzowanymi piórami lub zadziwiała pękiem majowo zielonej trawy, pośród której królowały ogromne róże lub olbrzymiej wielkości niezapominajki. Niektóre dziewczyny szły z gołą głową, ale nie ukrywały swej zazdrości na widok zastanawiającego kapelusza, zdobiącego głowę zamożniejszej towarzyszkii. Obok nich mężczyźni, najczęściej żołnierze, szli kołysząc się z miną zwycięzców. Ułani w błękitnych ułankach i czerwonych myckach stawiali nogi szeroko, patrząc z pogardą na strzelców i innego gatunku żołnierzy należących do piechoty. Kanoniery w brązowych kabatach z krótkimi „faschinenmesserami”<sup>23</sup> przy boku starali się nie ustępować kroku ułanom, których brawura przechodziła wszelkie granice. Czasami przemknęła para „cywilów” – to znaczy, że on nie nosił wojskowej kurtki ani nie roztrącał ludzi dla utorowania drogi i zwrócenia na siebie uwagi, a ona szła o wiele skromniej i przyzwoiciej niż dziewczyny prowadzące się z żołnierzami. Brukowanym gościńcem jechały dorozki przepełnione ludźmi. Zmęczone konie, zachęcane batem, wlokły wychudłe nogi, potykając się o nierówne kamienie. Co dziesięć minut ludzie ustępowali z drogi przed dzwonkiem obwieszczającym nadejście tramwaju. Natłok panujący w tramwajach był tego dnia niesłychany; fala pasażerów wylewała się na zewnątrz, przepełniając ganeczki, cisnąc konduktora, paraliżując ruchy woźnicy. A mimo tego na każdym przystanku przybywali nowi pasażerowie; czepiając się balustrady, stawiali na stopniach, próbując się wcisnąć do środka, aby tam siłą wywalczyć kawałek ławki. Rodziny urzędników, o wiele spokojniejsze, szły wolno, rozmawiając ciszej, nie potrącając nikogo, wyróżniając się w tym tłumie lepszym gustem w ubraniu i chorobliwą bledością, jaką najczęściej twarze kobiet były pokryte. Cały ten tłum, złożony przeważnie z ludzi chudych, o wklęsłych klatkach piersiowych, śmiał się fałszywą wesołością skazańców, daleką od tej hałaśliwej radości, jaką objawiają rzemieślnicy innych krajów w beczynności popołudni niedzielnych. Nie było istotnej swobody w szerniałych lub wyblakłych maskach ich twarzy, rodzaj ogłupienia i zbydłecenia malował się w rysach tych ludzi, którzy w pracy swej widzieli jedynie źródło zarobku – możliwości wypicia większej ilości piwa, a zacieśnieni w swych źle urządzonych warsztatach nie pracowali dla żadnej idei, dla dobra ogółu, lecz jedynie dla siebie samych, a w najlepszym razie dla utrzymania chorowitej żony i skrofalicznych dzieci. Nie ożywni żadną lepszą myślą, mieli chód i spuszczenie łbów charakteryzujące konie żydowskich furmanów, a nawet w swej wesołości nieśli ze sobą trywialny smutek zapracowanych „na śmierć” ludzi. Zresztą, jakąż rozrywką mieli orzeźwić zmęczone dusze, drzemające w tych ciałach, które miast krwi nosiły w swych żyłach rozczyń alkoholu i jad złych chorób, odziedziczonych po ojcach lub nabytych w rozpuście młodości. Brudne żydowskie knajpy, gdzie rozlegała się wrzaskliwa muzyka, otwierały swe przegniłe wrota, wyciągając wzdłuż dusznych sal lub placyków, szumnie „ogrodami” zwanych, całe szeregi stołów o blatach porysowanych, na których kufle piwa lub kieliszki koniaku zmieniały się z przerażającą szybkością. I w słabym świetle osadzonych w glinianych lichtarzach świec cisnęły się całe gromady kobiet, mężczyzn, dzieci, kończąc dzień świąteczny zalewaniem się strugami piwa, fałszowanej wódki, opychając chore żołądki bryndzą lub ogórkami. Przerażliwe wrzaski trąby napełniały powietrze, stanowiąc jedyną wznioślejszą rozkosz, mającą podnieść ducha i umocnić na dalszą ciężką i mozolną wędrówkę.

I nic nie urządzono dla inteligentniejszego rozerwania umysłów tej wielkiej gromady, która do niedziela przeciągała tłumami po zacieśnionych ulicach miasta, zdając się wielkim głosem domagać *panem et circenses!*<sup>24</sup> Żadne ludowe przedstawienie, żaden teatrzyk tak zwany ogródkowy nie

<sup>22</sup> bareż (fr.) – lekka tkanina z wełny, bawełny i jedwabiu (od miasta Barèges w Pirenejach)

<sup>23</sup> „faschinenmesser” (niem.) – broń przyboczna, rodzaj krótkiego i szerokiego noża

<sup>24</sup> *panem et circenses!* (łac.) – chleba i igrzysk! (okrzyk ludu rzymskiego z okresu cesarstwa)

wyciągał swych gościnnych ławek dla przyjęcia spracowanego tłumu, który rad by wysłuchał w przystępnej i wesołej formie moralnej, pocziwej nauki, a choćby to rzeczywiście było grochem rzuconym o ścianę, to może młode pokolenie przyjęłoby groch ten nie z uporem starego muru.

Tymczasem fala ludu, postępując wzdłuż ulic smrodliwych i zaciemnionych, wpływała mimo woli do otwartych drzwi szynkowni, aby rozłożywszy się dokoła pooranych brudami stołów, chłonąc w siebie strugi odurzających, fałszowanych napojów i wlec się późną nocą do domów, budząc uśpionych mieszkańców wrzaskiem i przekleństwami, drżącymi przeciągłą nutą nad miastem.

Służące, uczezione u ramion swych kochanków, dążyły na Wysoką Górę lub opóźniały się przed bramami – rozsnuwając przed oczami przechodniów obrazy swych miłostek; pruderia i błędne wyobrażenie o moralności ich chlebobawców, odmawiających pozwolenia widywania kochanków w kuchniach, zmuszały poniekąd do podobnych schadzek ulicznych, na czym moralność publiczna nie zyskiwała wcale.

Gdy Kaśka znalazła się nagle wśród tłumu, ogarnęła ją nieśmiałość wielka. Każda z przechodzących kobiet miała przy sobie jeśli nie mężczyznę, to drugą kobietę, zapewne przyjaciółkę, z którą szła rozmawiając lub słuchając, co jej opowiadano. Ona była sama – a choć w dniu powszednie także nikt jej nie towarzyszył, toć w ten gwar niedzielny zawstydziła się swego sieroctwa i osamotnienia, jakby w tym była własna jej wina. Przy tym szła z gołą głową, bez kapelusza, błyszcząca tylko odbłaskiem swych gładko przyczesanych włosów. Dawała tym świadectwo wielkiego ubóstwa, bo tylko bardzo biedne dziewczęta nie noszą kapeluszy w dniu świąteczne. Nie zazdrościła przecież tych niezwykłych strojów, jakie roztaczały inne kobiety; ona wie, że jest biedną, a drudzy są bogaci. Bóg tak chciał i porozdzielał. Za to w przyszłym życiu setnie wynagrodzi. Zresztą spódnicę ma dosyć porządną, jeszcze całą, a kaftanik perkalikowy, opinający jej piersi, świeżutko wyprasowany i podwiązany pod szyją czerwoną wstążką. Wie, że jest czysto ubrana, a że biednie – nie jej w tym wina. Tylko przykro tak iść samej. Ten i ów się obejrzy, Bóg wie, co może pomyśleć – że nawet żadna kobieta zadawać się z nią nie chce, skoro idzie tak samopas. To bardzo, bardzo nieprzyjemne.

Nagle przychodzi jej do głowy Rózia. Prawda – może ona ma dziś „wyjście” – bardzo by to dobrze było. Tylko że Rózia wychodzi bardzo rzadko w niedzielę, w mleczarni jest w tym dniu nawał zajęcia przy gościach, którzy całymi gromadami zalegają ogródek. Zwykle jedna dziewczyna bywa uwolniona, może teraz właśnie kolej na Rózię wypadła. Trzeba się przekonać. W tym celu Kaśka kieruje się do mleczarni. Zaszedłszy tam, dowiaduje się, że Rózia opuściła mleczarnię i żyje z „gotowego”. Tak zapewniała sama właścicielka, która dla zbytniego gorąca ustąpiwszy miejsca przy kasie swemu mężowi, sama zasiadła w kuchni uzbrojona w olbrzymi czerpak do rozlewania mleka.

Kaśka wyszła znów na ulicę i stanęła chwilę, namyślając się, czy odwiedzić Rózię i zapytać, co miała znaczyć ta zmiana w trybie jej życia. Wahala się przez chwilę.

Przyszedł jej na myśl Feliks. Od czasu owej pamiętnej propozycji przy zabieraniu kufereka Kaśka nie widziała go więcej. Czuła, że sobie zrobiła w nim nieprzyjaciela, i bała się zajrzeć mu w oczy. Przyjaźń wszakże dla Rózi przemogła i Kaśka w dziesięć minut ujęła za klamkę drzwi prowadzących do mieszkania jej przyjaciółki.

Jakkolwiek owo życie z „gotowego” zapowiadało coś niezwykłego, Kaśka od progu cofnęła się nagle, odurzona widokiem, jaki się przedstawił jej oczom.

Na łóżku, na wprost drzwi, siedział Feliks w wspaniałym kraciatym garniturze, wypomadowany, z wyczernionymi wąsami, sterczącymi po obu stronach nosa. Przed nim, zamiast stołu, przysunięty do łóżka kuferek, pokryty resztkami wytwornej uczy, przyniesionej zapewne z sąsiedniej garkuchni, wyciągał swój zielony grzbiet w nieporządku porozstawianych szklanek i talerzy. Kilka butelek z etykietami i bez walało się dokoła, na wzór posłusznych nawet po śmierci żołnierzy, prostując się w równej, wyciągniętej postawie. Obok łóżka stała Rózia, bledsza niż zwykle, lecz ubrana i uczesana, co wobec dawnego jej domowego zaniedbania było faktem nadzwyczajnym. Stara

jedwabna suknia z welwetowym stanikiem, kupiona widocznie od handlarki starzyzną, wisi na niej niekształtnie, stanowiąc swą jaskrawą ceglastą barwą jedną więcej brudną plamę na tle popękanej ściany. Cudacki, zmięty kapelusz pokrywa głowę, a ręce wciśnięte w białe, brudne rękawiczki, zbyt krótkie, aby zakryć miejsce pozostawione pomiędzy brzegiem rękawa a rękawiczką, odsłaniają kawałki ciała, zsiniałego od gwałtownego zbyt ciasną rękawiczką ściśnięcia.

Widocznie wybierają się na spacer, bo Feliks wcisnął na głowę kapelusz, lśniący nowością filcu, a ręce usiłuje wepchnąć w piernikowej barwy rękawiczki.

Ciasne wnętrze izdebki napelnia woń źle przyrządzonych potraw, których resztki wlokły się na talerzach, zastygłych od tłuszczu. Kości kurczęcia mieściły się ze zgniłą zielonością sałaty, zaprawionej tanim octem. Silny zapach tytoniu dominował wszakże i przygłuszał wszystko – w powietrzu leżała warstwa sinego dymu, poruszając się z wolna i opadając na sprzęty i podłogę.

Kaśka, przyzwyczajona do zaniedbania w stroju Rózi, stała chwilę zdumiona tym przepychem, jaki nagle olśnił jej oczy. Przy tym znaczna ilość wypróznionych butelek, resztki kurczęcia z sałatą i błyszczący filc na kapeluszu Feliksa – dopełniły wrażenia. Może to urodziny lub imieniny, a ona nie wiedziała o tak ważnej uroczystości, i gdyby nie przypadek, pominęłaby dzień tak ważny milczeniem, krzywdząc w ten sposób przyjaciółkę. Serdecznie się cieszy, że spostrzegła w czas swe zapomnienie, i wyciągając ręce, postępuje kilka kroków z poczciwą chęcią złożenia życzeń solenizantce.

Ta ostatnia wszakże na widok Kaśki marszczy brwi gniewnie i zmienia się na twarzy. Cały potok obelg wybucha z jej ust, spadając gradem na głowę przybyłej.

Jak to? Ona śmie pokazywać się jeszcze i wchodzi do niej, jakby się nic nie stało? Ale Rózia wie wszystko, bo Feliks jej opowiedział – i nie chce się zadawać z taką ladacznicą, co chce drugiej chłopca odmawiać.

I cały rynsztok wyrazów pozbieranych z najbrudniejszych zaułków wśród których Rózia wzrosła, zalewa nagle ciasną przestrzeń izdebki. Kaśka stoi nieruchoma, nie mogąc zebrać myśli, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Rózia tymczasem, blada, z szeroko rozwartymi oczami, zasłania Feliksa jak skarb najdroższy, który jej wydzierają – tak, ona wie teraz, co kryje Kaśka pod tą skórą świętoszki, ale nie ją brać na kawał – ona widziała inne dziwy i wie, czego się trzymać.

Wrzaskliwy głos odbija się o niski sufit i spada w ciekących pasmach na dół, jak deszcz gorącej wody.

– Patrz, szelmo, chciałaś go zabrać, namawiałaś dla siebie... a mogłabyś mu dać kurczęta i takie zarcie? Widzisz ją, jaka mi pani! Sama czym cielska nie ma nakryć, a zachciało jej się Feliksa! Owa! baciarka!...

Kaśka, przerażona, przed tą brutalną napaścią cofa się ku drzwiom i wychodzi do sieni. Zamykając drzwi, schodząc po schodach, słyszy jeszcze głos Rózi, lecący skrzekliwym wrzaskiem w jej ślady.

W prostocie swej i uczciwości nie pojmuje, czym zawiniła względem Rózi – wie tylko, że straciła jedyną przyjaciółkę O! teraz może zdechnąć z żalu, a nie będzie się miała nawet przed kim poskarżyć. Rózia młodą dziewczynką pracowała z Kaśką w jednej fabryce, oddychały tymi samymi szkodliwymi miazmatami, przepelniającymi wnętrze fabrycznego budynku; nad wieczorem wracały razem, deptając bruk przedmieścia – i Kaśka szczerze przywiązana była do swej przyjaciółki. Tyle lat żyły w zgodzie, przychodząc sobie z pomocą! aż tu mężczyzna stanął na drodze i poróżnił je, nie wiadomo nawet właściwie, z jakiego powodu. I Kaśka idzie, tłumiąc w sobie jeszcze jeden żal więcej do tych „chłopów”, którzy wiecznie i wszędzie stają się przyczyną jej utrapienia. Powoli wszakże refleksje przychodzą jej do głowy.

Dlaczego Rózia mówiła, że ona, to jest Kaśka, chce zabrać sobie Feliksa? Wszak to on napadł na nią, gdy siedziała na brzegu kufierka, cerując pończochę. Wygadywał wtedy na Rózię, że stara, że do niczego, a potem chciał ją wziąć za rękę i zaczął się bawić w „komplimenta”. Och! ona pamięta dobrze, jak to było – bo przecież wtedy tak ją zdusiło, że się rozplakała, nie dokończyła roz-

poczętej roboty, wrzuciła pończochę wraz z igłą do kuferka i zaczęła się zbierać, śpiesząc się bardzo. A dzisiaj Różia napada na nią, wymyśla, jakby to Kaśka była winna! Przecież powinna wiedzieć, że ona za mężczyznami nie patrzy, a na Feliksa nigdy się nie obzierała, nawet wtedy, gdy razem mieszkali. Zresztą, co cudze, to święte. Odebrać drugiej czy męża, czy kochanka to tyle co ukraść, a ona jeszcze nic w swym życiu nie ukradła.

Teraz doprawdy nie wie, gdzie iść i co ma zrobić ze sobą. Liczyła na Rózię, ale zawiodła ją ta rachuba. Błąkać się dalej po ulicy – i nudno, i smutno. Wszyscy się prowadzą razem – ona jedna idzie jak pies, który nie ma pana. Przy tym smutek jej piersi rozrywa – ta Różia ma język niepocty!... Nazwała ją... ach! Kaśka pomyśleć o tym spokojnie nie może.

Najlepiej zrobi, gdy pójdzie do kościoła. Odkąd jest w nowej służbie, wiecznie się śpieszy, nie ma czasu i wpada tam tylko na dorywkę. Kto z Bogiem, to Bóg z nim; trzeba się pomodlić, to ulży jej z pewnością.

Wchodzi więc do kościoła jak do jedyne miejsce, w którym pobyt jest dla niej w to popołudnie niedzielne możliwym. Popychając drzwi, obciążone zielonym sukniem, wsuwa się nieśmiało do wnętrza świątyni, odurzona na wstępie wilgotnym chłodem i przenikającym śpiewem, przepelniającym wysokie, ciemne mury.

W podwójnych rzędach ławek siedzą całe gromady ludzi gubiąc kontury swych głów i ramion w półmroku, spadającym z górnej części budynku. Ludzie ci o namiętnych, twardych twarzach, z zapalem i niezwykłą siłą śpiewają, roztwierając szeroko usta i opierając się kościstymi rękami o brzeg ławki. Jakiś dziki, namiętny ton płacze się w tej pieśni, która wzlata pod ginące w mroku sklepienie. Jest to przecież serdeczna prośba do Matki Bożej, której twarz uśmiecha się wśród zieleni sztucznych kwiatów na jednym z bocznych ołtarzy.

Serdeczna Matko, opiekunko ludzi,  
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi –

brzmia słowa pieśni. Chropawe, nieugięte głosy nie mają wszakże pokornego, odpowiedniego dźwięku. Ten chór mężczyzn o jakichś namiętnych naturach, potrzebujących hałaśliwego wylania, wzbija się rwącą, nierówną melodią, przepelniającą buntowniczym krzykiem ciemne zakątki świątyni. Po drugiej stronie gromada kobiet odpowiada, odbierając mężczyznom melodię i prowadząc ją cienkimi, piskliwymi głosami. Mężczyźni niecierpliwie wyczekują końca strofki, wpadając z hałasem w gwar kobiecych wyrazów.

Nad nimi sklepienie kościoła, ciemne, pomalowane w brunatne obłoki, roztacza się poważnie, pokrywając ciężką masą wysokie filary, zdobne w zniszczone sztukaterie, z których gips poodpadał. Okna, wysoko umieszczone, pozaciągane ciemnymi zasłonami, nie przepuszczają światła; tylko w zagłębieniu wielkiego ołtarza błyszczą złożone kolumny i płaszcze, udrapowane wzdłuż bieder naturalnej wielkości aniołów, podtrzymujących olbrzymi krzyż, rysujący się ciemnymi kształty na tle bielejącym jasną smugą światła, którą jedno otwarte okno wewnątrz świątyni wrzuca.

Kaśka uklękła przy bocznym ołtarzu i pobożnie złożyła ręce.

Przed nią wznosił się ołtarz poświęcony Marii – biały, zielony, pełen liści i stokrotek, rozkładających swe bibulane korony w ordynaryjnych szklanych wazonach. Spośród tego papierowego kwiecica wychylała się dobrotliwa twarz Matki Bożej, strojonej w błyszczącą blaszaną sukienkę. Cztery sznurki koralu, przypięte olbrzymimi szpilkami do płótna, zdobiły szyję Marii, a u stóp jej na środku ołtarza zółciły się na białym tle obrusa woskowe figurki, składane jako wota przez pobożne kobiety.

Kaśce zrobiło się bardzo przykro.

Przyszła z pustymi rękami, nie złożyła żadnej „ofiary” na ołtarzu Matki Boskiej. Wczoraj wszakże kupiła sobie nafty i pachnącego mydła za ostatnie pieniądze. Mogła się wyszorować zwykłym mydłem, a na ołtarz ofiarę położyć. Co jej po tym, że pachnie migdałami? – Matka Boża zapachów nie potrzebuje, a elegancją duszy nie zbawi. I bardzo skruszona korzy się u stóp ołtarza,



przysięgając przyjść za trzy tygodnie i kupić piękną „ofiarę” – serce albo krzyżyk, zresztą zobaczy, co będzie piękniejsze.

Coraz większy mrok zalegał świątynię. Czasem przez otwierane co chwila drzwi wpadał turkot dorożki i obiegłszy nawę, milkł, przerażony swą własną śmiałością i powagą, spadającą z olbrzymich twarzy dwunastu apostołów, ustawionych rzędem wzdłuż ścian framugi wielkiego ołtarza. Członkowie bractwa przestali śpiewać i rozchodzili się powoli lub czytali w ławkach, zapalając cienkie łojowe świeczki. Świeczki te, przytwierdzone do brzegów pulpity, miały służyć do oświetlenia kartek u książek, z których mężczyźni, a nawet i kobiety, modlitwy odmawiali.

Powoli cisza zalegała cały kościół, ludzie nikieli w mroku jak cienie, przemieniając się w niekształtne, skurczone masy. Jakiś spokój wysuwał się powoli z ciemnych kaplic, spadał spod ostrych łuków sklepienia i sunąc wzdłuż murów, napelniał serca ludzi, którzy u stóp ołtarza ukojenia szukali. Wszystkie te niekształtne masy, klęczące po zaciemnionych kątach, chyliły się coraz więcej ku ziemi pod wrażeniami tego uroczystego spokoju, jaki zbolełe dusze kołysał. Gdyby nie to ciche schronienie, gdzie można było przepędzić całe popołudnie niedzielne, gdzieżby poszły te istoty smutne i osamotnione? Jakież szynk przyjąłby w swe gościnne wrota smutek i łzę gorącą, która na kościelną posadzkę spada? Gdyby nagle drzwi kościoła zamknięto, gdzież wypędzono by tę całą gromadę istot, które ślepą wiarą utrzymują się w swej uczciwości, czerpiąc w swej ślepej, fanatycznej wierze siłę do przetrwania nędzy i uniknięcia pokus? Są to najczęściej ludzie nerwowi, pełni fantazji i rwącego, burzliwego temperamentu; tym ludziom nie wystarcza kufelek piwa lub kieliszek koniaku – oni znajdują ochłodę w wilgotnych murach kościoła, uspokajając swe nerwy śpiewem lub modlitwą. Gdzież wreszcie poszłoby tak biedne stworzenie, jak Kaśka, która tak rzewnie, tak gorąco płacze, skulona na stopniach ołtarza.

O, tak! ona wie, że tu płakać może bezpiecznie. Całą nędzę swego życia, wczesne sieroctwo, nadmierną pracę, złe pożywienie, tęsknotę do świata, szyderstwa ludzi, wreszcie obojętność Jana – wszystko to oplakać teraz może, nie wstydząc się łez swoich. Koło niej klęczą kobiety tak smutne, jak ona, w mroku wieczornym giną ich twarze, ale widać głowy schylone, ręce splecione na pierśsiach i słycać westchnienie, serdeczne słówko: „o Mario!”

Kaśka klęczy ciągle, skarżąc się po swojemu Najświętszej Pani, bo pięknych słów nie umie, a wie, że Matka Boska uczonego gadania nie potrzebuje. Zresztą, Ona wie dobrze, że Kaśka jest tylko biedną służącą, i przyjmuje jej modlitwę łaskawie. Jeszcze dziś ta Rózia napadła na nią bez przyczyny, to doprawdy za wiele przykrości... Utrapienie za utrapieniem – Najświętsza Pani, to widzi zresztą sama. Ona, to jest Kaśka, ma najlepszą wolę, rada by wszystko robić do ładu, ale jakoś jej nie idzie. Ciągle robi szkody i przez to nic nie dostanie przy końcu miesiąca, a tu trzewiki kupić trzeba, bo podeszwa odłazi, szewc już drugi raz zelować nie chce. Przy tym pani ją przymusza do kłamstwa; ona, prawdziwie, nie chciałaby grzeszyć, ale pani grozi i mówi do niej tak pocziwie... Potem znów z tym Janem. Ot, po prostu uwziął się na nią; może się gniewa, że wtedy na schodach nie pozwoliła się pocałować. Ależ Najświętsza Pani, nie lubi nieskromnych dziewczyn i gniewa się na te, które się źle prowadzą. Zresztą, to jeszcze nie racja, aby z powodu odmówionego całusa drwić z niej wobec innych dziewczyn... Ona nigdy nie śmiałyby się z niego, nawet gdyby rzeczywiście zrobił coś głupiego. Drwić z bliźnich się nie godzi... a Jan jest przecież jej bliźnim. Nawet gdyby mu się jakieś nieszczęście przytrafiło, to ona oddałaby całe swoje mienie, pensję kwartalną, ażeby tylko go dźwignąć z biedy. Sama wtedy chodziłaby boso, ale Jan wiedziałby, że ma do czynienia z pocziwą dziewczyną, z której drwić się nie godzi.

I klęcząc tak w wilgotnym mroku kościoła, Kaśka rozpościera przed Matką Bożą, kryjącą się w cieniu, wszystkie swoje żale i utrapienia serdeczne. Świecąca blacha błyska tylko srebrnym światłem, odbijając promienie lampki płonącej u stóp obrazu. Kaśka płacze rzewnie, obcierając łzy ręką i pociągając nosem z powodu braku koniecznej w takim wypadku chustki do nosa. Dokoła niej inne kobiety rozkładają swą drobną, powszednią nędzę, licząc wśród ciężkich westchnień utrapienia nędznego i trywialnego życia. Niedostatek materialny i dziwnie chwilami poziome moralne troski dźwięczą w tych skargach, szeptanych półgłosem i nikiących wśród wilgoci, wyziewanej ze

szczerniałych murów świątyni. Nawet wielki ołtarz ze swymi złożonymi kolumnami ginie w cieniu i tylko jeszcze krzyż szarzeje w niepewnym świetle, wznosząc tryumfalnie swe proste, równe linie.

Kaśka ocknęła się z zadumy i obejrzała się dokoła.

Zapadłe cienie przeraziły ją. Ukołysana spokojem panującym wewnątrz budynku, przeklęczała tak kilka godzin, nie troszcząc się o obowiązki służbowe. Musi być już późno, państwo czekać będą na samowar, a ona zapomniała powrócić na czas.

Wybiegła więc szybko, potracając skurczone koło ławek dewotki. Na ulicy jest o wiele jaśniej niż w kościele – i to ją trochę uspokaja. Ale do domu jeszcze daleko. Budowscy mieszkają prawie na przedmieściu – trzeba się śpieszyć, a może zdoła uniknąć gniewu i wymówek.

Na chodnikach ciągle ruch jeszcze i setki przechodniów krzyżują się w rozmaitych kierunkach. Gdzieś tam zabłyska już światło gazowe, a kryjąc w cieniu słup podtrzymujący latarnię, migoce w oddaleniu jak drobna, żółtawa gwiazdka opadła na ziemię.

Z nadejściem nocy gorączka, ogarniająca miasto, wzrasta i niezdrowym tchnieniem przepelnia powietrze. Mężczyźni stają się bardziej natarczywi, kobiety śmielej prezentują pomalowane twarze, zuchwalsze o wiele wśród ciemności, źle przeciętych światłem gazowym. Kaśka czuje ten nagły, odurzający powiew, grzejący jej plecy jakimś dziwnym dreszczem, przyspiesza instynktownie kroku pragnąc uciec przed koniecznością upadku. Poza nią jakiś mężczyzna idzie szybko, potracając ją prawie; jest to jakiś kanonier, opuszczony przez swą „holkę”<sup>25</sup> i poszukujący wśród tłumu dziewczyny, która zgodziłaby się zająć zaszczytne, według niego, stanowisko jego kochanki. Samotnie idąca Kaśka zwróciła jego uwagę. – Fajna dziewczka! wielka, tęga! – I z całą brutalnością nagle w swych zmysłach podbudzonego mężczyzny puszcza się za nią, potracając ją bezustannie i starając się w ten sposób zwrócić uwagę dziewczyny. Ona, przerażona, biegnie coraz prędzej, wymijając przechodniów i oddychając ciężko.

Nie! tego tylko brakowało – musiał ją napaść mężczyzna wtedy, gdy się tak śpieszy, aby powrócić do domu. I tuż pod łokciami czuje ramię kanoniera, zuchwale potracającego ją co chwila z uporem ulicznego uwodziciela.

W dodatku musi być pijany, bo gorący oddech jego ma w sobie pomieszana woń piwa i wódki. Kaśka liczy ulice i przemierza myślą pozostającą do przebycia odległość. Spomiędzy kół dorożek i tramwajów wydostaje się, aby wejść w zacieśnioną ulicę, prowadzącą na przedmieście. Żydowskie drobne kramiki wyrzucają ze swych wnętrzy wąskie pasemka żółtawego światła. Całe ubóstwo drobnego, cząstkowego handlu obsiadło tę dzielnicę z uporem robactwa. Niski, spłaszczony dach bożnicy, podtrzymywany przez pękate filary, rozsiadł się na brudnym placu, okolonym przez walące się, podejrżane domostwa. Napływ ludzi w tym miejscu zwiększa się w niezwykłą ilość, wszyscy śpieszą się, złorzecząc wzajemnie. Szwargot żydostwa miesza swą gardłową nutę do bezmiernego gwaru, jaki się z zacieśnionego kamieniami przejścia wydobywa, a wpadłszy z hałasem na plac, ta fala głosów ludzkich zalewa obszerniejszą przestrzeń, gospodarując wśród brudnych kramów z zuchwałością ulicznika.

Kaśka przedziera się przez tłumy i wydostaje na plac. Na prawo ciągnie się długa i szeroka przedmiejska ulica, kończąca się u bariery rogatek. Przy niej mieszkają Budowscy. Kaśka z daleka już spostrzegła latarnię płonąca tuż koło bramy. Za dziesięć minut będzie już w domu, duchem koło samowaru się zakrzętnie, a pana i panią pięknie przeprosi. Tylko ten kanonier, który co chwila śmielszym się staje! Uszczypnął ją nawet w ramię, gdy wśród tłumu zmuszona była zatrzymać się chwilę. Teraz jest tak blisko niej, że spycha ją prawie do rynsztoka, a przy tym zaczyna śmiać się i rozmawiać. Ot, w każdej chwili opowiada, że nieźle byłoby, gdyby razem poszli za rogatek i wypili po halbie piwa; capstryk jeszcze nie zaraz odtrąbia, on ma dość czasu i znajomość zrobiłby naprędce. Jest kanonierem i był nie w jednym landzie<sup>26</sup>. Do kobiet ma łatwość w przystępie, a nie lubi żadnej kunierować...<sup>27</sup> Kaśka nie odpowiada nic, biegnie tylko szybko, roztrącając

<sup>25</sup> „holka” (gwar.) – panna, dziewczyna

<sup>26</sup> land (niem.) – kraj

<sup>27</sup> kunierować (gwar.) – wymyślać komu, szydzić, prześladować

ludzi; ot! doczekała się, spacerując po nocy. Nie o to jej chodzi, że ją mężczyzna zaczepia, bo do tego nawykła, tylko że to porządne znajomości się tak nie robią. A zresztą z żołnierzami nie warto się uczciwej dziewczynie zadawać; żołnierze robią znajomości tylko na przedwinki, ot, żeby mieć z kim halbę piwa wypić, a potem ludzie taką dziewczynę poniewierają – i mają słuszość. I Kaśka przyspiesza jeszcze kroku, biegnąc prawie i roztrącając po drodze ludzi, tak pilno jej oswobodzić się od jej natrętnego wielbiciela. On wszakże nie daje się wyprzedzić, biegnie razem z nią, podniecony oporem dziewczyny, rozbawiony tą pogonią wśród tłumów. Maleńkie jego oczki błyszczą na okrągłej, pucułowanej twarzy; co chwila wciąga rękę pragnąc uchwycić tę wielką, tęgą dziewczkę, wymykającą się z dziwną zręcznością. Przechodnie stają, oglądając się za tą dziwną parą, nie śpiesząc wszakże z pomocą prześladowanej kobiecie.

Jakaś kucharka! – da sobie sama radę, a zresztą pewnie nic porządnego – kto by się o nią troszczył.

Kaśka dobiega do kamienicy i wpada do sieni. Panuje w niej mrok prawie zupełny. Jan nie zapalił jeszcze naftowej lampeczki, oświetlającej tę część budynku. Kaśka, zdyszana, opiera się o ścianę i zamyka oczy. Pragnie odpocząć chwilkę, zanim wejdzie na schody.

Nagle jakieś silne ramiona opasują jej łono i pociągają w najciemniejszy kąt sieni.

To kanonier, nie chcący puścić tak łatwo swej zdobyczy. I ciśnie do ściany przelekką dziewczynę, która nawet bronić się nie usiłuje.

Chce jej dowiedzieć, że z „cisarskim żołnierzem” nie ma „szpasiów” – i ostrzega, aby z nim „psa nie wybierała” (nie namyślała się), bo źle na tym wyjdzie.

Kaśka traci swą zwykłą siłę; ręce jej, zamiast odepchnąć natrętnika, opadają wzdłuż ciała; poza ramionami żołnierza Kaśka spostrzega Jana. Odgadła go raczej, przeczuła. Stał tuż przy nich, ale krył się prawie cały w cieniu; ona jednak wie, że to on z pewnością – i rozpacz ogarnia ją na myśl, że widzi ją w tej walce z pijanym żołnierzem.. Rozpacz ta paraliżuje ją prawie, odbiera odwagę, czyni ją bezsilną. Z piersi jej wydobywa się tylko jeden krzyk, wspaniały swym brzmieniem, krzyk kobiety pogwałconej w swej osobistej godności – u wszystkich warstw jednakowy, pełen bólu, skargi i bezsilności kobiecej.

Na ten krzyk ciemna postać stróża, stojącego w zagłębieniu bramy, odrywa się szybko od ciemnego tła – i kanonier, odrzucony silnym ramieniem stróża, odbija się z głuchym łoskotem o przeciwległą ścianę. Kaśka, oswobodzona, ucieka kilka kroków, lecz suchy odgłos dawanych i odbieranych policzków przykuwa ją na miejscu. Przed nią, wśród zalegających wewnątrz sieni zmroków, zwiąjał się olbrzymi kłębek z dwóch ciał męskich; przekleństwa ich mieszały się z łoskotem razów – krótkie, urywane wyrazy padały, przerywane uderzeniem; widocznie Jan starał się wyrzucić za próg bramy „cisarskiego żołnierza” i kierował go ku rozwartym drzwiom, przez które wpadał hałas i gwar uliczny. Kanonier bronił się zacięcie, nie chcąc ustąpić z miejsca; pluł przy tym i obsypywał stróża gradem obelg, w których „cywil zatracony, kanonenfuter<sup>28</sup> i cywilna nacja” główną grały rolę. Kaśka stała zdrtwiała z trwogi wobec tych dwóch ludzi, masakrujących się z dziwną zaciekłością. Obaj nie znali jej prawie, a zabijali się teraz, przepelniając się przekleństwami i suchym trzaskiem odbieranych policzków. I drżała z obawy, aby kanonier nie użył tasaka, wiszącego mu u pasa! Oh! wtedy Jan byłby zgubiony, a ona stałaby się przyczyną tej zguby. I w bezmiernej trwodze gryzie własne ręce, tłumiąc krzyk cisnący się jej do gardła.

Nagle – oddycha swobodniej.

Walka skończona.

Kanonier, z podbitym okiem i zwichniętą ręką, wyrzucony za bramę, złorzeczy „cywilnemu” i „holkom” – i wlecze się w stronę koszar, bardzo niezadowolony ze swej miłosnej przygody.

Na poboju pozostał zwycięzca w osobie Jana, starającego się wszelkimi siłami zatrzymać krew płynącą obficie z porządnie nadwężonego nosa.

Kaśka z uczuciem wdzięczności zbliża się nieśmiało, pragnąc wyrazić swe podziękowanie, lecz Jan mija ją, kierując się nagle do swej izdebki pod schodami – i zamykając drzwi za sobą, unie-

<sup>28</sup> kanonenfuter (niem.) – mięso armatnie

możliwia dziewczynie wszelką demonstrację wdzięczności. Kaśka pozostaje sama – i oparłszy się o ścianę, zaczyna rozbierać wypadki dnia całego.

Nie! – to już jej takie nieszczęście. Zwymyślała ją Rózia, weszła do kościoła i zasiedziała się tam do późnego wieczora, napadł ją jakiś żołnierz i koniecznie musiał to Jan zobaczyć.

Teraz Jan może pomyśleć sobie, że to jej dawny kochanek albo, co gorsza, że ona go przyciągnęła za sobą do bramy. I nawet wytłumaczyć mu nie może tego wszystkiego, bo uciekł przed nią i schował się do swej komórki. A przy tym wypadałoby podziękować. Cóż jednak począć? Wejść do komórki nie wypada. Wyglądałoby to na zaczepkę, a zresztą ona by tego nigdy nie śmiała. Może jutro nadarzy się lepsza sposobność, gdy będzie schodzić po bułki lub drzewo, wtedy podziękuję mu pięknie i przeprosi, że przez nią miał tyle subiekcji. To przecież bardzo pięknie z jego strony, że tak się zabrał do tego kanoniera; wprawdzie ma nos rozbity, ale to dobrze, że się tylko na tym skończyło. Mogło być o wiele gorzej.

Kaśka wreszcie porusza się i wchodzi na schody.

Ta niedziela cała nie udała się jej. Nie bawiła się, wiele doznała tylko przykrości. Gdyby nie chodziła sama po ulicy, nie narażałby się na podobne napaści. Lepiej siedzieć już w domu, tylko że to bardzo nieprzyjemnie. Trzy tygodnie harować od świtu do nocy, a później żadnej frajdy nie mieć. I powoli zaczyna zazdrościć innym dziewczętom, które, roześmiane, rozbawione, powracają co niedziela do całotygodniowej pracy z większą ochotą, a głową pełną wspomnień dnia dobrze przepędzonego.

Na to wszakże jedyny środek – mieć jakiegoś „kawalera”. Bo z kim iść za rogatek i zasiąść przy stole? Tylko z „kawalerem” można iść na spacer i przyjmować od niego fundowanie. To już taki zwyczaj.

Gdy Kaśka weszła do kuchni, ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzała w żółtawym świetle lampy zgniecioną postać pani, pochylonej nad samowarem. Niezdrowe, nalane ciało na policzkach Julii wzdymało się w nadmiernym wysileniu, a jej ciężki oddech rozlegał się w ciasnym wnętrzu kuchenki przeciągłym świstem. Próbowwała rozżarzyć węgle czerwieniące się na dnie samowaru; porozlewana woda, porozrzucane smolne drzazgi, mnóstwo popsutych zapalek i nadpalonego papieru – świadczyło dostatecznie o długich i uczonych studiach przedsięwziętych przez tę leniwą istotę w celu przysposobienia wieczornego posiłku.

Gdy Kaśka stanęła na progu, Julia odwróciła ku niej głowę i bez śladu gniewu wyrzekła urywanym, zmęczonym głosem:

– Dobrze, żeś przyszła; nie mogę sobie dać rady z tym samowarem, nie chce się gotować.

Kaśka rzuciła się do roboty, przepraszając w gorących słowach za przedłużenie dozwolonej swobody. Nie wiedziała, że już tak późno, zasiedziała się – ale duchem będzie samowar i za sekundę poda go do pokoju. Pani taka dobra, chciała ją wyręczyć; ona doprawdy nie wie, jak ma dziękować za tak wielką łaskę.

I przejęta wdzięcznością, całuje panią po rękach, porywa samowar, nakłada węgle, rozpala i całą potęgą swych zdrowych, młodych płuc dmucha wewnątrz blaszanego naczynia, z którego wkrótce czerwony blask rozjaśnia pochyloną twarz dziewczyny.

Julia opiera się o ścianę i przygasłymi źrenicami śledzi ruchy Kaśki. To dziwne! Ona od pół godziny męczy się, dmuchając w samowar i nic poradzić nie może, a Kaśka w kilka minut załatwiła się z tą nudną pracą. Chciała zasłonić Kaśkę przed gniewem męża i widząc, że zdrzemnął się, czytając zeszłoroczne dzienniki, wysunęła się cicho do kuchni, aby przygotować herbatę. Było to zresztą bardzo naturalne uczucie wdzięczności. Kaśka zasłaniała jej nocne wycieczki, ona więc poczuwa się do obowiązku odpłacenia choć w ten sposób bezinteresownie do tej chwili usługi dziewczyny. W ciasnym zakresie swych myśli sądzi, że Kaśka powraca również z miłosnej schadzki, i patrzy na nią z rodzajem niezdrowej ciekawości, chcąc zrozumieć, czy wszyscy ludzie jednakowo kochają i miłość tę objawiają. Kochanek Kaśki musi być jakiś zdrowy, tęgi chłopak, o szerokich plecach, tak wysoki, jak ona, bo inaczej śmieszna byłaby ta para. I pani zapytuje nagle sapiącą ciężko nad samowarem dziewczynę:

– Dobrze się bawiłaś? Gdzie byłaś?

Kaśka podnosi głowę.

– E! proszę pani, jak tam ja się mogłam bawić... siedziałam do tej pory w kościele!

Julia dziwi się mocno. Ona chodzi tylko do kościoła w niedzielę, na sumę, wtedy gdy tam widno i wszyscy ludzie chodzą. Po południu cóż robić w takiej piwnicznej ciemności, a jeszcze siedzieć do późnej nocy?

– Dlaczego nie poszłaś na spacer? – pyta, siadając na zniszczonym krzeselku.

Dobrzej jej w tej atmosferze kuchennej, przymyka oczy i nie wyężdżając swej inteligencji, może prowadzić rozmowę nie wymagającą zbyt wielu słów i podnoszenia głosu.

Zapytuje więc Kaśkę o przyczynę niepójścia „na spacer” i zamknawszy oczy, wyczekuje cierpliwie odpowiedzi ze zwykłą sobie obojętnością.

Kaśka odpowiada szybko – o! ona z chęcią przeszłaby się po tak pięknej pogodzie, tylko nie miała z kim – ot! weszła do kościoła i tam siedziała koło Najświętszej Pani. Samotnej dziewczynie trudno włóczyć się po ulicach, to bardzo źle wygląda.

Julia otwiera oczy i patrzy zdziwiona na Kaśkę.

– Ty nie masz... kawalera? – zapytuje po krótkim wahaniu.

Kaśka mimo woli wstydzi się swej uczciwości.

– Nie mam, proszę pani! – odpowiada, kryjąc się w cieniu dziwnie zmieszana.

Przez kilka tygodni zrobiła postęp znaczny. Dawniej czuła w sobie samej zadowolenie i wystarczała jej pogawędka z niańką lub samą Pinkusową Lewi. Teraz, gdy została sama, a w dodatku poróżniła się z Rózią, czuje, że tak długo nie potrwa; musi mieć kogoś przychylnego, komu by się zwierzyć z kłopotów, a czasem uśmiechnąć mogła. W dodatku jeszcze wstyd jej doprawdy, że nie ma „kawalira” – przecież nieułomna, niekoślawa, wyrosła, a! nawet zanadto, a tak chodzi sama, jakby od niej stronili. Tylko że to ona chce się wydać, a mężczyźni zawsze sobie na żart robią znajomości. Ot! żeby miała jakiego porządnego chłopca, toby już chyba od niego nie uciekała i poszłaby z nim na spacer, a wieczorem, z pozwoleniem państwa, do kuchni by go wpuściła. Tylko poszedłby zawsze punkt o dziewiątej, bo Kaśka nie chciałaby „kumpromitacji” wobec całej kamienicy.

Gdy pani wyszła z kuchni, a Kaśka, podawszy herbatę, pozostała sama, raz rozbudzone w niej pragnienie zawiązania jakiejś „porządnej” znajomości kręciło się po jej mózgu z dziwnym uporem. Nie – stanowczo to nie byłoby złe, gdyby tak co niedziela przyszedł jakiś uczciwy człowiek i usiadłszy sobie koło stołu, rozmawiał z nią grzecznie, ona zmywałaby naczynia, odpowiadając na jego pytania, nalalaby mu swej herbaty i poczęstowała swym cukrem.

Byłoby to daleko weselej i zabawniej, niż siedzieć na kufierku po kilka godzin lub włóczyć się po ulicach, Bóg wie czego, ot, chyba po obrazę Boską.

I Kaśka z wyrazem nieokreślonej błogości przymyka oczy, wywołując w swej wyobraźni obraz podobnego życia, pociągającego ją urokiem nowości, dla niej zupełnie nieznanej. Przedstawia sobie tego „kogoś”, siedzącego tuż przy samym stole i pijącego herbatę, którą ona własnymi rękami by mu przyrządziła. Kto wie, gdyby miała kilka centów, kupiłaby do herbaty bułkę i trochę salcesonu. Salceson mężczyźni lubią. Palić by tylko nie mógł, bo państwo by się gniewali, ale on by to dla niej zrobił i powstrzymał się przez te kilka godzin od fajki lub cygara. Zresztą, mógłby stanąć przy okienku, to dym wyszedłby na dach, a w kuchence nie zostałyby ani śladu.

Ten „ktoś” musi być uczciwym chłopcem, pracowitym, bo Kaśka próżniaków nie lubi. Rąk nie będzie miał od parady, a twarz musi mieć rumianą i wesołą. Oczy niebieskie, a zęby białe, zdrowe...

I mimo woli postać Jana przesuwają się przed oczami dziewczyny. Tak! Jan jest takim chłopcem, pracowitym, wesołym, rośłym – i poczciwym.

Ona zapomniała w tej chwili o drwinkach, jakie siekącą chłostą spadały na jej ramiona, wie tylko, że Jan w jej obronie rzucił się na kanoniera i nos sobie nawet pozwolił „rozdrapać”.

Gdyby nie był poczciwym człowiekiem, patrzyłby obojętnie, jak się z żołnierzem biedzi; śmiałby się może, a potem rozpowiedział innym dziewczynom. To przecież bardzo pięknie z jego strony – i Kaśka czuje głęboką wdzięczność dla stróża, którą koniecznie na zewnątrz ujawnić pragnie.

Zresztą, nie sama wdzięczność tu gra główną rolę – dziewczyna mimo woli poddaje się jakiejś silniejszej woli, która ją do Jana pociąga. Szczęśliwa jest z nadarzającej się sposobności, która pozwoli jej do niego przemówić.

Jedyną jej troską jest, aby spotkała go samego i mogła się „wyjęzyczyć”. Przychodzi jej mówić z trudnością i w ogóle ma mało rezonu, ale sądzi, że jej Bóg dopomoże. Podziękuje mu ładnie i poprosi, aby z niej więcej nie przedrwiwał, bo jej to przykrość sprawia. On pewnie zaśmieje się, pokazując swe równe, białe zęby, i pogodzi się z nią, a może – kto wie – gdy go zaprosi na górę, przyjdzie, usiądzie koło stołu i porozmawia trochę, herbatę wypije.

Wtedy ona go przekona, że nie miał słuszności, postępując z nią tak dziwnie; opowie mu, kim jest, z jakiej pochodzi rodziny, pokaże mu „mentrykę” i „książkę służbową” – a myśli, że to go ostatecznie przekona i ku niej nawróci. Tylko czy zechce przyjść i czy pan na to pozwoli, aby mężczyzna przesiadywał w kuchni?

W tym sęk!

Wczesnym rankiem wyszedł Jan zamieść i pokropić ulicę.

Chodniki, jeszcze puste, wyciągały swe szare, płaskie grzbiety, chłonąc w siebie promienie wschodzącego słońca.

Gdziekolwiek przesuwali się gromadki robotników, śpieszących do pracy, a pozawijanych w łachmany, przesiąknięte potem i kurzem dnia wczorajszego. Zaspane służące dźwigały konewki, z których woda lała się strumieniem; wozy, śpieszące na targ, przelatywały dudniąc po nierównym bruku.

Powoli otwierały się bramy domów, błyskając otworem sieni, z której dobywał się hałas budzących się ze snu ludzi.

Od czasu do czasu zajączał słaby głos dzwonka, wzywający zakonników na poranne modlitwy.

Przez szarawe, niepewne tło horyzontu przecierały się leniwie błękitne smugi, zwiastujące uśpionemu jeszcze miastu piękny, pogodny dzionek. Miasto przecież budziło się leniwie, jakby nieciekawemu uroku letniego poranka, rzecz można, że się „wyżyło” jak stary rozpusznik, przyzwyczajony do widoku nie skalanej jeszcze piękności.

Jan energicznie wziął się do zamykania chodnika. Jego silny, zdrowy organizm potrzebował ruchu i męczącej pracy. Lubił wczesnym rankiem zamykać ulicę; chłód, jaki wyczynały ostudzone wśród nocy kamienie, wnikał mu w ciało i ziębił przyjemnym dreszczem.

Ciasna komórka, służąca mu zwykle za mieszkanie, a właściwie za legowisko nocne, dawała zbyt mało powietrza dla jego szerokich piersi. Rano stawał zwykle z głową pełną niezdrowego ciężaru, wychodził chętnie na ulicę, a ująwszy miotłę, w przyspieszonym ruchu wypędzał za siebie, według jego słów, „choróbsko, które mu się do głowy cisnęło”.

Dziś, jak zwykle, wstał rano i jest już na zwykłym posterunku. Na jego twarzy rozpościera się czerwona plama, a zajmując część nosa, kończy się na prawym policzku. Jest to znak wczorajszej walki i dowód rozmiarów pięści „cisarskiego żołnira”.

Jan nie lubi, gdy mu coś dolega, a właśnie ból nosa dokucza mu w sposób nadzwyczajny. Kanonier ma niezłą siłę, a choć Jan zemścił się, oddając mu poczworną porcję kułaków, to stanu rzeczy nie zmienia i ból nosa pozostaje zawsze jednakowym. Jan objawia swoje niezadowolenie, plując i mrużąc co chwila:

– Psiakrew zwykła, psiakrew sobacza...

Rzeczywiście, po co mu było mięszać się do tej całej awantury – niechby żołnierz trochę tę „jezuitkę” podusił, nic by się wielkiego nie stało.

Ba! – ale Janowi jakoś dziwnie przykro było patrzeć, jak inny mężczyzna Kaśkę chciał całować. Prawda, że mimo woli odsunął się od niej, widząc w żądaniu małżeństwa zaporę nie do przebycia, ale w egoizmie męskim chciał, aby nikt nie dotknął dziewczyny, skoro on pozwolić sobie tego nie

może. Przy tym przyznawał się teraz, że lubił zawsze takie duże, rosłe kobiety, a Kaśka miała jeszcze miłe spojrzenie, które mu w piersiach „świdrowało”.

Gdy przechodziła koło niego, to choć na ustach miał żart niepocziwy, toż wzrokiem ścigał ją i z upodobaniem wpatrywał się w rozwinięte kształty. A potem właśnie jej dobre prowadzenie się ciągnęło Jana bezwiednie; to uparte osamotnienie, na jakie się dobrowolnie skazywała, napełniało go podziwem i – jeśli tego słowa użyć można – szacunkiem.

Zapewne, Marynka była weselsza i o wiele „udatniejsza” od cichej i spokojnej Kaśki, ale gdyby Jan miał kiedykolwiek myśl do żeniaczki, toby takiego latawca, jak Marynka, nie wziął. Kochanka – to co innego, a żona – to żona. Jak kochanka z innym chodzi, to nie takie pohańbienie, jakby żona to zrobiła.

Stanowczo Kaśka na żonę lepsza, tylko że Jan nie myśli się żenić, bo to się na diabła zdało. Na kochankę znów Kaśka pójść nie zechce, więc nie ma o czym myśleć...

Ba! kiedy to myśl sama idzie do niej, jak mucha do miodu! Jan rad by myśleć o czym innym, wstyd mu trochę tak od razu przemieniać się w inną skórę – ot! jeszcze gotowi ludzie pomyśleć, że chce iść na tego „ślubnego”, co to go Kaśka wyczekuje.

Gdyby nie to, dawno już byłby do Kaśki się uśmiechnął i uczciwie przemówił. Tylko wczoraj to już zapomniał o wszystkim – taka go szewska pasja wzięła na tego kanoniera, który biednej dziewczynie spokoju nie dawał. Dobrze się stało, że Kaśkę obronił, a kanoniera poturbował; tylko względem tego nosa – to nie jest wielka przyjemność. Boli bestia i aż spuchł, tak go kułak kanonierski przywitał...

Z bramy wysunęła się cicho Kaśka i stanęła chwilę, widocznie bardzo zakłopotana. Pilnowała chwili, w której może sam na sam z Janem porozmawiać, i układała noc całą, w jaki sposób do niego przemówić. Gdy wszakże stanęła tuż przed nim, zapomniała zupełnie ułożonych zdań i zmieszła się bardzo.

Bała się szyderstw Jana i zamiast rozpocząć piękne podziękowanie, stała tak na chodniku, ścisnąc nerwowo trzymaną w rękę konewkę.

Jak widział ją także. Wydała mu się jeszcze wyższą, tęszszą, wychodząc tak nagle z niewielkich drzwiczek, wykrojonych w bramie. W jasnym świetle porannym twarz jej rumieniła się gorącym, różowym odcieniem, ciemniejącym ku skroniom.

Bił od niej zapach młodości, jakaś woń nie zużytego, jędrnego ciała, świeżo skapanego w zimnej, czystej wodzie. Była to „dziewczyna” w całym słowa tego znaczeniu – i Jan rozumiał aż nadto dobrze, że ta... nie oszukuje ludzi.

I nagle, podniecony wczorajszym zajściem z owym kanonierem, przerywa milczenie i obraca się ku Kaśce ze słowami:

– Dzień dobry pannie.

Kaśka czuje się bardzo szczęśliwą i wdzięczność jej dla Jana wzrasta z niezwykłą szybkością. Ułatwił jej początek rozmowy, przemawiając tak grzecznie – to bardzo, bardzo pięknie z jego strony. Teraz czuje, że pójdzie jej o wiele łatwiej; postępuje więc kilka kroków i staje tuż przed Janem z dziwną w niej determinacją.

– Pan Jan wczoraj się potrudził uwolnić mnie od tego wagabundy – mówi wolno, spuszczać oczy ku ziemi – chciałam więc podziękować... i przeprosić, że beze mnie tyle miał pan Jan turbacji.

Jan nadyma się i opiera się na miotle z postawą niezwalzonego rycerza.

– Furda! Nie ma o czym mówić. Rozkładał mi ta nos trochę, ale to się zagoi, za to, jakem go zamalował, to się aż o bramę oparł – odpowiada z pyszną pogardą dokonanego dzieła.

Kaśka z uwielbieniem spogląda na „rozklapany” nos, mieniący się barwą purpurowogranatową na okrągłej twarzy stróża.

– To musi pana Jana boleć – mówi, zmartwiona szczerze tym widowym znakiem walki, której była mimowolną sprawczynią.

Jan macha ręką.

– Et, drobiazgowość! nie ma o czym gadać. Tylko, po co panna tak sama po nocy łązi? Zawszeć to nie ma bezpieczeństwa. Jak dziewczyna idzie tak osobliwie, to mężczyzna ciągnie ku niej. To rzecz postanowiona!

Na Kaškę uderzają płomienie. Nie! – on teraz gotów pomyśleć, że ona umyślnie chodzi, aby znajomości szukać... Musi się z tego wytłumaczyć – niech wreszcie wie, z kim ma do czynienia.

– Niech pan Jan nie myśli – zaczyna ożywiając się stopniowo – że chodziłam tak sama jedna po dobrej woli. Mnie samej to nie łądzi tak szpacerować bez ulicę, przez znajomych... ale ja znajomości nie mam żadnej, a familia moja daleko, choć to są bardzo porządni ludzie.

I odrobina dumy, jaką ta dziewczyna chowa w głębi swej duszy, przebija się w intonacji głosu, z jaką wymawia ostatnie słowa.

Ożywiona nagłym, a dla niej niespodziewanie pomyślnym zwrotem, staje się rozmowną – i wbrew zwyczajowi ciemne jej oczy patrzą wprost w twarz stróża, migocąc złotawymi blaskami, przecinającymi piwne zabarwienie źrenicy.

Jan z przyjemnością słuca mowy dziewczyny. I on rad jest, że porzuci zbyt ciężką dla niego rolę wroga i stanie się przyjacielem tej dziwnie dla niego sympatycznej kobiety.

Gdy Kaška skończyła mówić, Jan patrzył na nią jeszcze chwilę z wielkim upodobaniem. Nie-słusznie nazywają ją „tłumokiem”, żadna z dziewcząt, zamieszkujących kamienicę, nie może iść w porównanie z Kašką – tak zdrową, silną i ładną wydaje mu się w tej chwili. Rozmawiając, postawiła trzymaną w ręku konewkę i obie ręce skrzyżowała wdzięcznym ruchem na piersiach. Ręce te, czerwone, lśniące, pełne – ciągną ku sobie wzrok Jana, budząc w nim chętkę uszczypania silnie tuż około łokcia. Ale rozsądek przeważa; nie chce zrazić do siebie Kaški, bo wie, że ona takich żartów nie lubi. Później... kto wie, może się oswoi, zresztą – Jan zobaczy, co to z tego mieć będzie można.

Na razie jest zadowolony szczerze z obrotu, jaki rzeczy wzięły. Położył miotłę i zbliżył się do Kaški; stoją tak naprzeciw siebie, przedzieleni tylko wąskim rowkiem rynsztoka, w którym płynie błękitną farbą ubarwiona woda, wylana świeżo z pobliskiej farbiarni.

– To pannie tak przykro i ckliwo być musi ciągiem siedzieć samej jednej? – pyta Jan, zainteresowany osamotnieniem Kaški.

Mój Boże! czy jej ckliwo? – Ależ tak, a nawet bardzo. I szczerze, nic nie tając, opowiada, jak przykrzy jej się w kuchni, gdy nie ma co do roboty lub święto pracować zabrania.

– Pani dobra, ale strasznie niemrawa; pan znów trochę durnowaty, a oboje nic ze mną nie gadają. Zresztą, nie dziwota, bo to państwo, a ja tylko słuca, to im nie do rezonu ze mną; tylko że to człowiek nie pies ani nieme stworzenie, to lubi czasem rozgadać się o tym i o drugim. A tu choć do ścian gadaj, taka pustka. W budny<sup>29</sup> dzień, to mniejsza, ale jak święto przyjdzie, to nie uwierzy pan Jan, jak mnie chyci za serce. Takam wtedy zmarnowana, że za nic każda sierota! Wyjdę na ulicę, to łążę jak ćma, bo tak przez wyznaczenia, to jak na wystawę...

Jan z ubolewaniem kiwa głową.

– Pewnie, pewnie – konkluduje po chwili – kobiecie samej to jak sroce w lesie. Każda powinna mieć swego chłopa, co by jej stanął w przygodzie i krzywdy zrobić nie dał.

Milkną oboje nagle, zmieszani tym zwrotem rozmowy. Ona myśli w tej chwili o silnej pięści Jana, który tak gracko „stanął jej w przygodzie” – on zaś mimo woli zapytuje siebie samego, czy nie warto by pomyśleć o zostaniu „chłodem” tej dziewczyny. Tylko ten ślub! to małżeństwo!... Eh, co tam! kupić nie kupić, potargować nie wadzi. Zresztą, może ona ustąpi coś ze swych warunków – kobiety same nie wiedzą, czego chcą. Czasem baba rano jezuitka, a w wieczór farmazonka. Spróbować trzeba; jak się nie uda, to despektu znów tak wielkiego nie będzie.

I z nagłą determinacją czyni Kaške propozycję wspólnego spaceru za trzy tygodnie, wtedy gdy będzie miała „wyjście”.

– Pójdziemy za rogatkę albo do menażerii; zresztą, gdzie panna Kasia zechce, mnie to za jedno, ja się znam z tymi osobliwościami...

I usiłuje przybrać minę zblazowanego człowieka, dla którego nic na świecie obcym nie jest.

---

<sup>29</sup> budny (gwar.) – powszedni



Kaśka stoi chwilę, nie mogąc przemówić ani słowa. Walczy w niej jakiś instynkt, szarpiący duszę kobiety w przededniu jej upadku – i chęć zabawienia się w towarzystwie Jana. Czuje, że powinna odpowiedzieć „nie” i odejść od tego mężczyzny, do którego ciągnie ją jakieś dziwne, nie określone bliżej uczucie.

Dotąd zawsze mówiła „nie” na podobne propozycje; dziś jest przecież zupełnie bezsilną; odmowa precyzyjnie się nie może przez usta, które chęćka spędzenia z Janem całego popołudnia ubezwładnia.

On milczenie Kaśki bierze za znak zgody i z wielką werwą roztacza barwne obrazy uciech, jakie spotkać mają Kaśkę w tej przechadzce we dwoje.

Kaśka mimo woli poddaje się temu urokowi.

Miły Boże! tyle dziewczyn chodzi na spacer w towarzystwie mężczyzn – dlaczegóż ona ma wiecznie się nudzić w samotności? Choć Jan ma często „niegodliwe” żarty na ustach, to znów nie wydaje się złym człowiekiem – i dziewczyna może przejść się z nim przez ulicę. Zresztą, winna mu przecież odplacić grzecznością za ten nos „rozklapany” w obronie jej samej; odmową mogłaby go urazić, a tak postępować się nie godzi. I trywialnym sprytem ubiera chęćkę rozerwania się w pozory wdzięczności, która ją skłania do przyjęcia proponowanego spaceru. Przy tym spacer – to jeszcze nie „kumpromitacja” – najporządniejsze dziewczyny chodzą na spacer z znajomymi, byle tylko z uczciwymi ludźmi...

I pełna niezdrowego zadowolenia, przyjmuje plan zabawy, uśmiechając się łagodnie do stojącego przed nią Jana. On nachyla się ku niej i z coraz większym ożywieniem roztacza, przemienia, układa program, który napęłnia serce Kaśki zdumieniem i radością. Nagle silne jakieś ramię potrąca Kaśkę, która, tracąc równowagę, osuwa się w rynsztok, maczając bosą nogę w błękitnej strudze, rozlewającej się już poza brzegi rynsztoka.

Środkiem chodnika idzie gromada ludzi, usiłujących utrzymać w równowadze swe chwiejne, jakby watą wypchane ciała. Kapelusze przechylone na lewe ucho lub zsunięte w tył głowy, paltła obszarpane, powalane gipsem lub oblane strugami wina, nadają dziwny pozór tej zbieraninie mężczyzn o wydłużonych profilach i twarzach, na których piętno całonocnej hulanki aż nadto wyraźnie widnieje.

Prowadzą się środkiem chodnika, podpierając wzajemnie. Jedni są mniej pijani i ci dopomagają w stawianiu kroków zupełnie nieprzytomnym towarzyszom. Cała ta gromada, oświetlona czystym blaskiem poranka, zatacza się pod murami kamienic i zakreśla swym zbiorowym cielskiem najróżnorodniejsze zygzaki, nie znane w szkołach rysunkowych. Fantazja i dziwna dezinwoltura, z jaką ci ludzie prowadzą nadzwyczaj głośne rozmowy, zdumiewa przechodniów.

W samym środku odznacza się znajoma nam postać literata, jak na teraz człowieka „bez kondycji”, według jego własnych słów. Jego czerwone od bezsenności oczy, napęłnione łzami, wpatrzone z głuchą rozpaczą w przestrzeń, mają dziwny wyraz smutku, właściwego tylko inteligentnym pijakom. Jest coś coraz tragiczniejszego w tym człowieku, szarpanym bezustanną czkawką, drżącym jak liść osiki; w jego beładnej chaotycznej mowie dosłuchać się można urywków wierszy dwuczłonowych, gorączkowych, przerywanych co chwila ulicznym, z knajpy wywleczonym słowem. Wspiera się na ramieniu wysokiego, wygolonego mężczyzny, w którym na pierwszy rzut oka można poznać aktora. Obok nich maleńki, pokurczony mężczyzna, ubrany zupełnie czarno, z przekreconą krawatką i rozpiętym kołnierzykiem, usiłuje zapiąć surdut na nie istniejące guziki – i w tym chwalebnym celu wykrzywia twarz o zmiętych rysach i chorobliwej, niezdrowej cerze. Oczy bładniebieskie zdają się pływać całe w oliwie i grozić wylaniem się na zewnątrz oprawy. Niski, niemodny cylinderek, przekrzywiony z fantazją na lewe ucho, służy za cel pocisków wymierzanych z systematyczną regularnością ręką wysokiego aktora.

Ten ostatni przewyższający o wiele wzrostem małego jegomościa w surducie wykazującym brak guzików, uderza z zamiłowaniem w lśniące dno cylindra, którego brzeg migoce mu tuż przed oczami. Właściciel maltretowanego kapelusza znosi ten żart z dziwną wyrozumiałością, a jedyną jego troskę stanowi w tej chwili myśl, którą formułuje mniej więcej w tych wyrazach:

– Powiedz mi, przyjacielu, jakim sposobem to się dzieje? Bijesz mnie w cylinder, a mnie łeb boli...

Cała gromada zatrzymuje się na środku chodnika, aby rozebrać postawioną kwestię.

Nie mogąc utrzymać się na nogach, kołyszą się bezustannie i plują na brzegi butów, po czym jednak nie omieszkują zacierać fikcyjnych śladów śliny na flizach chodnika.

Kaśka i Jan usuwają się na gościniec, zostawiając hałaśliwej gromadzie wolne pole, to znaczy całą szerokość chodnika. Kaśka pomiędzy tymi pijanymi ludźmi poznaje małego rzeźbiarza z mleczarni.

Stoi pod ścianą kamienicy, oparty plecami o mur, z wyrazem zupełnej obojętności na twarzy. Rysy jego, rzecz można, wyglądają, jak przysypane popiołem, a w kąciku ust trzyma uparcie dawno zgasłe cygaro. Jest nad wyraz znużony i mimo woli zamyka oczy. Kaśka doznaje uczucia prostej litości na widok tego bezmiernego znużenia i dziwi się, dlaczego ten panicz wstał tak rano, kiedy mógłby się wyspać jeszcze kilka godzin w wygodnym łóżku.

Jan skrzywił usta i patrzy z rodzajem pogardy na grupę pijanych mężczyzn.

Ot! jak się prosty człowiek upije, to nie dziwy, to rzecz zupełnie zwykła, ale „panowie” z surdutami na grzbiecie robią takie „szpektakle” w biały dzień... czyste pokaranie.

W dodatku poznaje w niektórych tak zwanych „gazetników” – bo jak studentom posługiwał, to nieraz go z papierami do „Gazety” posyłali; bo to studenci – to ludzie dużo piszący! Jan nieraz widział w „jadministracji” tego pana z wąsami, ba, i tego małego, co go ten wysoki po kapeluszu bez przyczyny wali. Wie, że to „jenteligentniki”, co napiszą, to drukują – i ludzie czytają; ale cóż z tego, kiedy się włóczą po knajpach jak prosty naród, co to prócz kieliszka nic na świecie nie ma.

I zdrowym chłopskim rozumem ocenia całą ohydę podobnych występków, mówiąc do stojącej obok niego Kaśki:

– A to ci jenteligencja, jak się to wiechciem wala!

Tymczasem wśród grupy pijanych ludzi „wyższych” nie rozebrano jeszcze kwestii: dlaczego właściwie głowa małego jegomościa cierpi, gdy uderzenia są przeznaczone dla kapelusza?

Literat „bez kondycji” opiniował, że owego młodzieńca głowa nie może boleć, gdyż osobistość ta głowy nigdy nie miała; aktor, nie zwracając uwagi na te wywody, zresztą dość logiczne, uderzał bezustannie w wierzch cylindra, z cierpliwością godną lepszej sprawy, czym zniecierpliwiony mały jegomość odezwał się nagle przerywanym czkawką głosem:

– Słuchaj! jeśli ty sądzisz, że mnie chodzi o ten cylinder... to patrz, co ja z niego zrobię!

I przy ostatnich słowach cisnął o ziemię z wielką brawurą nieszczęsny kapelusze, który upadł w sam środek rynsztoka, obryzgując całe towarzystwo błękitną cieczą.

Całe grono zdumiało się nad tym szczytem abnegacji i z prawdziwym smutkiem wpatrywało się w czerniejący wśród rynsztoka kapelusze.

Jeden tylko aktor zabrał głos w obronie nieszczęśliwej części męskiego stroju, tak poniewieranej w biały dzień i bez żadnej przewiny.

Zataczając się na prawo i lewo, wydostaje się z trudem na brzeg rynsztoka i laską usiłuje przyciągnąć ku sobie cylinder, rozpościerający się wśród błękitnej cieczy z rodzajem zadowolenia muchy, wpadłej w miękka, lepka maź, w której jej niewypowiedziane błogo.

Cała gromada mężczyzn śledzi z zajęciem ważną czynność swego „druha” po sztuce i stawia wnioski: czy cylinder zostanie ocalony, czy też przepadnie na zawsze? Mały jegomość, rozrzewniony nadmiarem swego poświęcenia, podsuwa pod rękę artysty swoją szpiczastą głowę, obrośniętą rzadkim włosem, i prosi błagalnie, aby dalej ciągnął swoje uderzenia, „jeśli mu to do życia potrzebne”.

Artysta zaś, z ruchem pełnym niewysłowionej pogardy, odsuwa od siebie drobną postać uczynnego przyjaciela. Na swej wygolonej, czerwonej masce ma w tej chwili wyraz bezmiernej powagi, a głos jego brzmi prawie tragicznie, gdy wyrzuca wspaniałym basem te dziwaczne słowa:

– Odsuń się, zatabaczona sieroto!

I bez przerwy tymczasem ciągnie swe usiłowania, skierowane głównie do wydobycia kapelusza. Zmęczone nogi odmawiają mu wszakże posłuszeństwa, stopy osuwają się na szpiczastych kamieniach, sterczących na brzegu rynsztoka, i całym ciężarem ciała upada w mętną ciecz, przygniatając sobą zakwestionowany przedmiot.

W gronie jego towarzyszków zapanowało chwilowe milczenie. Czerwony artysta, ogłuszony niespodziewanym upadkiem, zanurzył swe drobne, zgorączkowane ręce w błękitnej patoce z wyrazem chwilowej ulgi, której jego spieczonym palcom ten chłodny płyn udzielał.

Nagle przemówił maluchny jegomość, a głos jego brzmiał przyjacielskim wyrzutem i chęcią lekkiego zawstydzenia niesforne go kolegi.

– Oj! ty niepocziwy, czy masz ty Boga w sercu, leżeć tak rano w rynsztoku!

Aktor podniósł głowę i utkwiał w mówiącego swój łzawy, tęskny wzrok, pełen niewysłowionej skargi na życie i w ogóle na świat cały. Zaciśnięte jego usta wybelkotały z trudnością:

– Nie miejsce człowieka... lecz człowiek miejsce zdobi.

I poprawił się w rynsztoku, z prawdziwie pijackim uporem wciskając swe ciało w wąski otwór rowu.

Słońce tymczasem wschodziło ponad miastem na kształt ptaka o wielkich purpurowych skrzydłach. Szara zasłona, kryjąca horyzont, rozdzierała się z wolna, rumieniąc się na rąbkach tych szczelin jak rana jeszcze nie zagojona.

Złote krzyże kościołów odbijały promienie słońca i świetlanymi strzałami błyskały w przestrzeń. Okna otwierały się jedno po drugim jak oczy Argusa<sup>30</sup>, a z ich otwartych wnętrzy wypływały ostatnie cienie nocy, uwięzione w alkowach, wraz z żółtawym światłem dogasającej lampki.

Ludzie pojawiali się coraz częściej na chodnikach, a od strony śródmieścia dolatywał gwar tyśiąca głosów – harmonijna kapela, odzywająca się codzienną wczesną serenadą.

Gromada pijanych mężczyzn, po krótkiej naradzie wydobywszy z rynsztoka bezprzytomnego prawie aktora, kierowała się ku otwartym drzwiom, nad którymi widniał napis: „Wyszynk piwa i wódki”.

Od kilku chwil przecież mały rzeźbiarz otworzył oczy i wpatrzył się z uporem w stojącą opodal Kaśkę. Ona, pełna zdziwienia, przypatrywała się tym „panom”, tak porządnie, według niej, ubranym, a włóczącym po ulicy skutki rozpusty i całonocnej pijatyki. Tym bardziej jej to dziwnie, że poznaje pomiędzy nimi tych panów, którzy ofiarowywali jej po „trzy szóstce” za godzinę jakiegoś oblepiania ją gliną.

Jeżeli człowiek może na takie zbytki wydać aż trzy „szóstki”, to musi być bogaty, bo Kaśka wie, jak to długo na taki krajcar pracować trzeba.

Wobec coraz większego gwaru i ruchu przepelniającego ulicę wesołe grono zdecydowało się opuścić tymczasową stację nad rynsztokiem i udać się w dalszą podróż. Przedtem jednak pożegnano czule artystę dramatycznego, zajmującego pokój w kamienicy, koło której stali. Rozrzewniony artysta znikł w bramie, unosząc za sobą ostatni pocałunek małego jegomości, który tak bohatersko pozbył się kapelusza, a teraz z odkrytą głową śpieszy na czele całej gromady, wytrzeszczając swe blade, wypełzłe oczy na zdziwionych tym niezwykłym spojrzeniem przechodniów. Powoli oderwał się od ściany i mały rzeźbiarz posuwając naprzód swą drobną postać, ciążącą mu jednak niezwykłym ciężarem. Wlókł się, nie odrywając podeszew i kiwając głową za każdym krokiem. Gdy przechodził koło Kaśki, stanął, wsuwając zwykłym sobie ruchem brudne ręce w kieszeni marynarki.

– Ty! – wyrzekł powoli – namyśl się... ja z ciebie arcydzieło stworzę... Tylko nie bądź głupia! Inaczej, każ się wypchać trocinami i w pasy pomalować!...

Patrzył na nią jeszcze chwilę i znów w myśli modelował wspaniałe kształty dziewczyny. Kilkakrotnie już próbował zrobić swą Kariatydę z pamięci, ale na próżno! Nie mógł połączyć razem tego kobiecego wdzięku z muskularnością rozrosłego mężczyzny. Potrzebował widzieć przed sobą tę dziewczynę bez żadnej osłony, odkrywającą przed nim skończoną piękność form, jaką pod jej trywialnym ubraniem okiem artysty zgadywał.

<sup>30</sup> Argus – mitologiczny stuoki olbrzym

Kaśka, nadzwyczaj zmieszana, wzięła konewkę, a skinąwszy uprzejmie głową Janowi, oddaliła się w stronę wodociągu. Rzeźbiarz chwilę patrzyła za nią.

– Kariatyda – wyrzekł wreszcie, trwając uparcie przy raz powziętej myśli. – Kariatyda!

I z wielkim wysiłkiem zwrócił się ku drzwiom szynkowni, w której zniknęli jego towarzysze. Błysk rozsądku, jaki o świecił jego drobną twarzyczką, gdy okiem znawcy oceniał piękność kształtów Kaśki, znikł i zagasł zupełnie.

Natomiast z wielką dezinvolturą wszedł do wnętrza knajpy i już na progu wygłosił rozkaz:

– Panie dobrodzieju!... proszę mi dać za dwa grajcary sera!

Na chodniku pozostał Jan, który dziwnie niechętnym wzrokiem patrzył na zbliżenie się rzeźbiarza do Kaśki. Nie znał go, nie wiedział, kim jest ten „pan”, mówiący do niej „ty” i nazywający ją niezrozumiałym dla Jana imieniem – instynktem przecież odgadł, że i ten człowiek pragnie tej dziewczyny. Nie rozumiał, w jakim celu; dla niego pożądanie kobiety ograniczało się do jednego kierunku; nie wiedział, że rzeźbiarz pragnie ciała Kaśki nie dla siebie, lecz dla ogółu, dla tysiąca ócz, spragnionych harmonii kształtów, dla zadowolenia dusz, potrzebujących od czasu do czasu znaleźć się wobec piękności istotnej, zakutej w marmurową bryłę.

Jan tego wszystkiego nie znał i nie rozumiał; widział tylko, że rzeźbiarz patrzył na dziewczynę namiętnym wzrokiem – i głucha wściekłość wstrząsnęła do głębi tą dziwną duszą. Znow „cylinder” chce się mieszać do nie swoich rzeczy i wyciąga rękę po dziewczynę, która między równymi upaść winna. Niech no jeszcze raz spróbuje przejść koło kamienicy, to go Jan naznaczy! oho! lepiej jak kanoniera, bo kanonier to jeszcze ujdzie, ale takiemu surdutowemu od Kaśki wara!...

I z całą złością uderza Jan miotłą ów nieszczęsny kapelusz, który, zgnieciony, rozplaszczony, rozkłada się nieforemną plamą pośród rynsztoka.

Cała nienawiść człowieka niżej postawionego, gorzej odzianego, nędzniej karmionego, koncentruje się w tej wściekłości, z jaką Jan pastwi się nad nieszczęśliwym przykryciem głowy, od którego proletariat bogatszych ludzi „cylindrami” nazywa. Według Jana, kapelusze te mają w sobie zarozumiałość i pychę właścicieli, a dzika rozkosz przejmując całą jego istotę, gdy może wyrzucić swój gniew na jednym z takich „cylindrów”.

Uderza więc z furją w dno kapelusza, obryzgując się błękitną cieszą i powtarzając co chwila:

– Psiakrew zwykła! psiakrew sobacza!

\*

Od tego dnia rozpoczęły się dla Kaśki jaśniejsze, lepsze dni, ożywiające swą zwykłą bezbarwność epizodami wynikłymi ze zmiany stosunków między nią i stróżem. Stała się nieczułą na żarty i drwiny innych dziewczyn. Cóż ją mogły obchodzić ich docinki, skoro Jan nie brał w tych, przeciw niej skierowanych wycieczkach udziału? O! mogły teraz bezpiecznie nazywać ją „tłumokiem” – Kaśka szła przez ten grad obelg, wzruszając ramionami; teraz wie, że nie jest „tłumokiem”, boć przecież pan Jan nie chciałby się z nią pokazać w niedzielę na spacerze, gdyby to była prawda. Przecież wszyscy wiedzą, że pan Jan jest bardzo „wybrydny”, i wszystkie dziewczyny, z którymi chodzi na ulicy, są zawsze ładne i dobrze ubrane.

Kaśka wprawdzie nie ma pretensji do „ładności”, ale już te przedrwinki tak jej dokuczyły, że chwilami myślała, iż jest naprawdę jakimś straszidłem.

Jan powiedział jej nawet, że jest „niczego”, i Kaśka to dobrze pamięta, powtarza sobie to po cichu, gdy klęknie odmawiać *Zdrowaśki* przed zaśnięciem. Szła wtedy z koszykiem do miasta i miała na sobie czyściuchno wyprasowany kaftanik z niebieskiego perkaliku. Jan stał przed bramą i rozmawiał z handełsem; gdy Kaśkę zobaczył, podszedł do niej, a przywitawszy pięknie, zaraz z początku powiedział jej „kumplement”. Śmiał się przy tym, pokazując wszystkie zęby, zdrowe, czyste i białe. Kaśka bardzo lubi, gdy kto ma takie równe i ładne zęby, więc zapatrzyła się na Jana jak na obrazek. Ale gdy posłyszała, że Jan nazywa ją „niczego”, zawstydziała się bardzo i pożegnawszy, poszła do miasta.

Jedną tylko ma teraz troskę! chciałyby chodzić zawsze czysto i schludnie ubrana, a tu trudno bardzo przyjść do czystości w takiej służbie. Nie przez to, aby z lenistwa nie chciała posiedzieć w nocy i wyprać fartuszek lub kaftanik, o! nie; z chęcią by siedziała do białego dnia, aby tylko rano zaszeleścić świeżą spódniczką, gdy spotka Jana w bramie – ale z tym panem, to czyste utrapienie. Wydziela nafty, mydła, drzewa, a przy obiedzie – toć ciągle harowanie koło pańskiej roboty nie pozwala oderwać się ani na chwilę.

I Kaśka zaczyna powoli przyuczać się do kłamstwa, wymyśla powoli nocne zajęcia, aby jakkolwiek ukraść choć kwadrans czasu. Przychodzi jej to z trudnością, ale spryt w oszukiwaniu, wrodzony każdej kobiecie, podsuwa jej rozmaite wybiegi.

Ba! czas ukraść można bodaj sobie samej, ale z mydłem trudniejsza sprawa, a z naftą, drzewem! Chwilami Kaśkę rozpacz chwyta. Ma jednak w sobie jakąś dziwną, śmieszoną uczciwość, niezwykłą w kobiecie z gminu. Co pańskie, to pańskie – ruszać się nie godzi.

Zresztą nawet jej na myśl nie przychodzi, aby podzielić wydzielone przez pana mydło lub odjąć szczyptę wymierzonego krochmalu.

Nagle przypadek w postaci pani Julii przychodzi jej z pomocą. Budowski w bezmiernym swym skąpstwie zaopatrywał żonę tylko w konieczne, niezbędne artykuły toalety. Pani Julia w orientalnej gnuśności zamkniętego i beczynnego życia lubiła przede wszystkim zapachy, odurzające wonie, choćby silny zapach zwykłych trociczek, tłących się często na rogu komody, ale Julia nie posiadała nigdy pieniędzy. Budowski, sam mając mało, chował skrzętnie najdrobniejsze kwoty i raz jeden, zupełnie wyjątkowo, pozostawił Julii guldena jako zadatek dla mającej przyjść do obowiązku służki.

Julia przeto wymyślała tysiączne sposoby dla zadowolenia swej namiętności do odurzających woni, które od czasu do czasu przepełniały ciasne, brudne ściany mieszkania. Na zapytanie Budowskiego, skąd wzięła potrzebne na ten cel pieniądze, odpowiadała, że matka dała jej trochę perfum lub kilka zbywających trociczek.

Było to wszakże nieprawdą.

Julia kłamała z całym spokojem bezkrwistej blondynki, a głos jej nigdy nie zmienił się, gdy słowa mijały się z prawdą. Była w tej kobiecie jakaś współspiąca podłość, która spokojnym, leniwym potokiem wylewała się na zewnątrz, niosąc na grzbiecie mętnych fal cały pokład czystej, srebrnej wody.

Julia porozumiewała się zwykle ze służącymi, które, okradając zręcznie pana domu na tak zwanym „koszykowym”, dzieliły się później zyskiem z panią.

Mały był to zysk, nędzny, centowy, ale Julia cierpliwie składała te drobnostki, aby zadowolić swoje upodobanie; nie czuła nigdy, jak bardzo poniża się, wchodząc w spółkę z własną służącą – spółkę, która miała na celu oszukanie jej własnego męża.

Julia, wychowana jak niemal każda córka niższego urzędnika, spędziwszy całe swe dzieciństwo w zepsutej atmosferze pokątnej pensyjki, nie miała w głębi swej sennej duszy ani jednego lepszego instynktu, żadnego poczucia swej własnej godności. Jedynym celem w jej życiu było wyjście za mąż; dopięła swego, lecz odszedłszy od ołtarza, żyła bez żadnej myśli przewodniej, okradając męża podwójnie – bo materialnie i moralnie; krzywdząc jego kieszeń i z równym spokojem włócząc jego dobre imię po ciemnych zakątkach pokątnego romansu z młodym, prawie jej nie znanym studentem.

Poznała go na ulicy.

Chodził już czas jakiś co niedziela do kościoła i stawał zwykle naprzeciw niej, wpatrując się ciekawie w młodą kobietę. W Budowskiej zrozumiał od razu łatwą zdobycz w formie mężatki pragnącej zakazanego owocu i zbyt leniwej, aby zebrać siły dla stawienia oporu.

Nikła postać męża wydała mu się pozbawioną zupełnie jakiegokolwiek grozy, a bezbarwne, szare źrenice Julii, wlepione w niego z uporem, zachęcały go do dalszych kroków. Jakkolwiek młody, posiadał wielką dozę sprytu i znajomości kobiet. Brał je często z brzegu, bez wyboru, odrzucając ze wtrętem, gdy stosunek wkraczał w dziedzinę długotrwałego jarzma. Lekko kręcone włosy, wysoki wzrost i szerokie ramiona ułatwiały mu podboje w niższych warstwach społeczeństwa. Do wyż-

szych nie wdzierał się nigdy; lubił być podziwianym, a znał swą małą wartość pod każdym względem. Bał się kobiet inteligentnych lub noszących jedwabne pończochy – czuł, że wobec nich wyda się trywialnym i śmiesznym.

Okiem biegłego znawcy ocenił płytkość umysłu Julii i zrozumiał wątpliwą białość jej pończoch. Walka była krótką – łatwo pojąć, że ładny student zwyciężył. Zresztą, Julia nie broniła się wcale.

Przyszła na pierwszą schadzke wpółsenna, dopiero później ożywiła się stopniowo. Czy ta kobieta przywiązała się do młodego chłopca? – odgadnąć było niepodobieństwem. Urządzając schadzki z kochankiem, miała tę samą leniwą obojętność, z jaką konferowała z własną sługą co do wielkości sumy oszczędzonej na zakupie obiadowych wiktuałów. Gdy zapalała ulubione trociczki, oczy jej migotały tym samym niezdrowym blaskiem, jaki świecił w jej źrenicach przy wsiadaniu do oczekującego na nią w nocnej porze fiakra.

Blask ten gasł szybko, równocześnie ze zgaśnięciem czerwonego ogniska tlejącej trociczki lub z ostatnim pocałunkiem, jaki kochanek wyciskał na jej białej szyi. Julia kilkakrotnie chciała już pociągnąć Kaśkę na swą stronę i podsunąć jej myśli drobnej koszykowej kradzieży. Sądziła jednak, że Kaśka, sama wyćwiczona w takich wypadkach, ułatwi jej początek rozmowy. Z największą pozorną obojętnością przysłuchiwała się wieczornemu rachunkowi, który Kaśka obowiązana była zdawać codziennie panu Budowskiemu, ale w gruncie rzeczy z niezmierną pilnością śledziła wymienioną przez Kaśkę cyfrę, którą Budowski do jednej ze znanych czarnych ksiąg wpisywał. Ale próżne były wysiłki pani Julii. Jakkolwiek wrodzonym już instynktem kobiecym znała się lepiej na drobiazgowym gospodarstwie aniżeli mąż, nie mogła w rachunkach Kaśki pochwycić ani jednego niedokładności, chęci sprzeniewierzenia najdrobniejszej centowej kwoty.

Głucha złość opanowywała umysł Julii.

Siedząc tak w półcieniu, patrzyła na wyniosłą postać Kaśki, stojącej przy progu.

Julia czuła, że musi ją uczyć abecadła drobnego, powszedniego grzechu – to ją gniewało i sama myśl nużyła niewypowiedzianie. Wolałaby przyjść, jak zawsze, do gotowego. Jednak, jak wszystko mieć musi swój koniec, tak i nieposzlakowana uczciwość Kaśki musiała się zarysować i zachwiać raz na zawsze. Uczciwą, pełną szlachetnej prostoty nie mogła iść dłużej przez życie. Graniczyłyby wtedy z istotami pozbawionymi rozumu, według pojęć świata, w jakim się obracała. Uczciwość jej, nie ugruntowana, nie utwierdzona rozwinięciem umysłowym, które faktami udowadnia konieczność istnienia uczciwości, musiała zachwiać się wśród ciemności, w których kroczyła do tej chwili, niepewna potrzeby swej egzystencji, nie mająca gruntu pod stopami.

Zresztą, przypadek był sprzymierzeńcem Julii.

Kaśka była zakochana.

Nie mówię: „Kaśka kochała”, ale po prostu: „Kaśka była zakochana”.

Była to miłość prosta, zwykła, prawie trywialna, a przecież, mimo to, nie pozbawiona lekkiego sentymentalizmu. Kaśka, pomimo swego niskiego stanowiska, była przede wszystkim kobietą wchodzącą dopiero w świat, doznającą po raz pierwszy na widok Jana odmiennego uczucia od zwykłego przestachu, jaki w niej wszyscy mężczyźni do tej chwili wzbudzali. Kaśka czuła gwałtowną potrzebę dobrego słowa i przyjaznego obejścia. Julia, nie wiedząc o tym, uczyniła z niej współniczkę swego występku jednym przychylniejszym zdaniem, rzuconym w głębi ciemnej kuchni. Potrzeba ta nie mogła wszakże długo być zapełnioną przez łagodny głos drugiej kobiety; w Kaśce budziła się kobieta, domagająca się wielkim głosem praw swoich nie tylko w znaczeniu zmysłowym, ale i duchowym. Tak jest, Kaśka, mimo wszystko, miała duszę pragnącą marzyć bodaj przy balii, rwącą się smutną, w dzieciństwie zasłyszana piosenką na usta, obrzmiałe od bezustannego dmuchania w samowar, cisnącą się z głośnym westchnieniem z piersi, pełnej dymu i swędu przypalonej patelni.

A choć była to dusza prosta, pokryta warstwą brudu i potu, nie rozwinięta sonatami Beethovena ani wykształcona na laudentach Byrona, nie znająca zachwyty wobec dzieł sztuki ani przecząca istnieniu Boga – toć dusza ta żyła rzeczywiście, przytępiana nadmiernymi wysiłkami ciała, za-

mknięta w ciasnym kole zwierzęcych obowiązków, przygniatana ciemnotą, w której od kołyski błąkać się musiała.

Każda kobieta, nawet w żebraczych łachmanach, musiała kochać po raz pierwszy. I jakkolwiek kał rozpusty nie przepłynąłby później przez jej nędzne życie – uczucie to, choćby objawione na zewnątrz w formach zupełnego zbydlęcenia, musi pozostawić ślady w pamięci kobiety.

Jest to jeden, jedyne kącik w sercu, który nic zająć nie zdoła. Wspomnienie pozostaje na zawsze, często jakieś niemiłe, odurzające, niezdrowe, pełne żalu i hańby – a przecież wspomnienie to istnieje również pod cuchnącą szmatą, okrywającą ciało zreumatyzowanej żebraczki, jak pod woniejącą suknią dystyngowanej damy.

Kaśka nie analizowała uczuć, jakimi od poznania Jana była cała przepełniona. Lubiała jego białe, równe zęby, które odsłaniał, uśmiechając się co chwila; ale lubiała również, gdy stojąc przed bramą, spotkała się z wzrokiem jego, w którym instynktem zgadywała „wiele pięknych rzeczy”.

Nieraz, ukryta w kącie sieni, śledziła przez otwarte drzwi barczystą postać stróża, poruszającego ciężką miotłą z nadzwyczajną siłą i swobodą; podziwiała wtedy jego szerokie plecy, trochę zaokrąglone pod zbyt ciasną bluzą, i kark szeroki, czerwony, kark rosnącego blondyna, pokryty drobnym mchem włosów. Ale w równy zachwyt wprowadzał ją głos Jana, wypowiadający wiele uciesznych historii, o których Kaśka dawniej nie miała wyobrażenia.

Było jej wtedy bardzo przyjemnie, a głos ten wpadał do jej ucha łagodnie i przenikał ją dreszczem. Zapominała wtedy o piękności zębów i szerokości pleców Jana; opierała się o ścianę, słuchając jego słów, i najczęściej przymykała oczy, aby go nie widzieć, a słyszeć lepiej.

Chwilami ogarniało ją rozrzewnienie wielkie. Były to zapewne początki rozdrażnienia nerwów, lecz Kaśka, nie znając ustroju nerwowego, ograniczała się na obtarciu łez ścierką, przeznaczoną do czyszczenia naczyń, i na wyszeptaniu do siebie całego szeregu urywanych zdań, wyrażających wielki smutek, który ją „napadał” teraz częściej niż dawniej. A przecież główna przyczyna jej zmartwień, to jest wrogi usposobienie Jana, zmieniło się zupełnie na korzyść Kaśki. Nie można powiedzieć, aby był i teraz zadziwiająco grzecznym, nie! Jan miał system podbijania kobiet sobie tylko właściwy; chwilami maltretował swe kochanki i dawał im uczuć całą wyższość męskiej przewagi; z Kaśką, jakkolwiek system ten uległ pewnej zmianie ze względu na dziwaczne usposobienie dziewczyny, zawsze jeszcze Jan trzymał się zasad, które chętnie między jedną fajką a drugą wyrażał mniej więcej w tych słowach:

– Z babą, to jak ze znarowioną miotłą, folgi nie dawaj, a zawsze górę bierz, bo inaczej będzie pół psa, pół kozy. Nasztorcuj się uczciwie, to ci sama w łapę wlezie. To już taka psiakrew zwykła.

„Sztorcował” się też do Kaśki, zaczepiał ją, gdy szła przez dziedziniec, wołając, aby uważała, bo mu bramę sobą rozwali – ale ona uśmiechała się łagodnie, bo rozumiała, że owe zaczepki stanowią właśnie wstęp do zalotów.

Czasami Jan nie odezwie się do Kaśki, tylko przechodzącą zatrzyma i uszczypnie w łokieć niezbyt silnie, ot – po prostu dla żartu. Na każdego innego mężczyznę Kaśka gniewałaby się z pewnością, ale Janowi widocznie dużo wolno; bo choć się Kaśka trochę dąsa, to musi w skrytości ducha przyznać, że jej po każdym takim uszczypnięciu tak miło, jakby się herbaty z sześcioma kawałkami cukru napiła.

Kaśka raz jeden piła taką herbatę u państwa Lewi, wtedy gdy niańka powróciła z pogrzebu swej matki pijana i zapewne ze zbytku żalości nic do ust wziąć nie mogła. Kaśka zabrała wtedy podwójną porcję cukru i przyrządziła sobie herbatę, którą piła po łyżeczce, delektując się nadzwyczajną słodyczą. Teraz doświadczała podobnego uczucia błogości, gdy Jan ją „zaczepiał”. Poddawała się powoli wpływowi mężczyzny, nie rozumując, bliska upadku, a nie przypuszczająca nawet jego możliwości. „Ciągnęło” ją do Jana, jak do nikogo w życiu, ale o następstwach podobnego „ciągnięcia” nie pomyślała nigdy.

Nie przeszkadza jej to w robocie, tylko dziwnie płacze wieczorne *Zdrowaśki*. Gdy uklękła przy łóżku, ani rusz skończyć pacierza nie może. Myśl o Janie i tej niedzieli, którą razem spędzić mają,

wplata się bezustannie w zdania pacierza. Gdzież oni pójdą? Co robić będą? Co ona na siebie włoży? Skąd weźmie pieniędzy na krochmal, konieczny do szelestu spódnic?

I wielka rozpacz ogarnia Kaśkę; liczy, ile mniej więcej dostanie z należnej miesięcznej pensji. Wzięła guldena zadatku, stłukła wazę, dwie filiżanki, i ze trzy szklanki. Przy tym rozsypał się w piwnicy szaflik, za co pan obiecał jej wytrzeć siedemdziesiąt centów. Bez kupiony dla pani wynosi trzy centy.

Kaśka bez gniewu myśli teraz o tej gałązce bzu, którą pani, idąc na schadzke, zatknęła sobie we włosy. Teraz robi się cokolwiek łagodniejszą i pobłażliwszą na podobne błędy. Zapewne – z obrazka Najświętszej Panny nie trzeba poruszać nic z tego, co już tam wetknięte, ale... skoro pani nie miała innego kwiatka, to i ten od biedy wziąć mogła. Pewnego poranku weszła Julia do kuchni i zastała Kaśkę wyjmującą z kosza kupione w mieście wiktuały; świeże powietrze i przyśpieszony ruch spędziły na policzki dziewczyny falę zdrowej, świeżej krwi, mieniącej się purpurą pod zgrubiałym naskórkiem. Palce jej przesuwają się z pewną rozkoszą po wilgotnych listkach sałaty, które rozrzuciła po stole, przebierając więcej zgniłe dla wrzucenia w obok stojący szaflik. Za wejściem pani Kaśka obtarła ręce, przygotowując się do znanego nam listu, który służył Julii za pretekst do schadzek z kochaniem. Ale Julia nie oddała jej żadnej kartki; stała przed nią z wzrokiem uparcie wlepionym w trochę drobnej monety, która leżała na rogu stołu, świecąc małymi plamkami wśród listków sałaty.

Kaśka, zdziwiona niezmiernie tą niezwykłą wizytą, zbita zupełnie z tropu brakiem zwykłego w takich wypadkach listu, patrzyła wprost w twarz Julii ze zdziwieniem wielkim; obecność pani w kuchni uważała za rzecz nadzwyczajną, zapowiadającą zwykle nocną wycieczkę – dziś wszakże stało się coś niezwykłego.

Pani nie oddaje jej listu i nie prosi, aby go wręczyła panu. Musi mieć jakieś inne żądanie... może teraz mówić bez obawy. Odkąd Kaśka zrozumiała, że mężczyzna nie zawsze jest „niegodliwcem” i czasem przyjemnie pogadać i pośmiać się trochę, chętniej wypełnia zlecenia Julii.

I tym razem jest do usług gotową. Zapewne idzie o coś względem tego wysokiego pana – Kaśka chętnie to załatwi. Zresztą, mieć będzie jeden pretekst więcej do przebiegania przez dziedziniec, a właśnie słyszy głos Jana, który niezmiernie dobitnie „poniewiera” tapicerką, co wylała na środku dziedzińca pomyje.

Ale pani nie mówi nic o wysokim panu i nie daje względem niego żadnego polecenia.

Przymykając oczy, oparta o ścianę, przyciszonym głosem opowiada Kaśce, w jaki sposób zwykle inne służące stawiały się jej pozytywne...

Nie jest to przecież kradzież! O nie, wcale; ona sama kradzieżą się brzydzi; ale co pana, to i jej – co jest własnością męża, to i żony; cóż więc byłoby złego, gdyby Kaśka tę własność, to jest tę „resztę” z miasta, dzieliła na połowę i jedną z tych połówek oddawała jej samej?

Ona nawet poprzestanie na mniejszej części, bo krzywdy męża nie pragnie, chce tylko oszczędzić sobie przykrości w proszeniu o drobne, nędzne kwoty.

Kaśka stoi nieruchoma, zasłuchana w głos Julii, rozlewający się pod niskim sufitem kuchenki.

Jak to? Więc pani sama doradza jej kradzież? Bo, bądź co bądź, rzecz taka jest kradzieżą. Siódme przykazanie mówi przecież: „Nie kradnij”. W głowie Kaśki powstaje zamęt nieokreślony. Słowa Julii mieszają się w jeden szmer, z którego nic odróżnić nie może. Rozumie przecież treść i wie, że pani żąda od niej nowego kłamstwa, nowej zdrożności.

Nie! ona do tego ręki nie przyłoży.

I z wielkim szacunkiem, lecz dość stanowczym głosem opiera się żądaniu Julii. Nie tłumaczy się, nie dowodzi, odmawia tylko stanowczo, i prostymi słowy broni się od zarzutu nieposłuszeństwa.

– Pan będzie się gniewał, ja nie mogę, pan mnie posądzi, świadectwo złe napisze, zresztą, to nie można, to...

Urywa nagle.



Na ustach ma słowa: „to grzech ciężki”, lecz w tym domu, gdzie imię Boskie, nie wymawiane nigdy, zda się nie istnieć nawet, zdrowy chłopski rozum Kaśki uznaje ten argument za zbyteczny. Wie, że Julia się nie przestraszy gniewu Boskiego, a prędzej chyba podziała na nią obawa przed mężem.

Lecz Julia, zacięta w uporze głupiej i źle wychowanej kobiety, trwa ciągle przy swoim, podnosząc głos i ożywiając się stopniowo.

Kobieta ta daje znaki życia jedynie tylko wobec występku, czy to mającego wszelkie pozory zbrodni, czy też drobnego, dziecinnego grzeszku. W żyłach swych widocznie ma jakąś cząstkę zepsutej krwi, która dożywia się w atmosferze kłamstwa. Chwyta zręcznie proste na pozór, a w gruncie przewrotne argumenty, którymi popiera swe twierdzenie, trafiając dobrze w umysł Kaśki, do której poziomu inteligentnego zniża się bezwiednie w tej trywialnej żądzy dostania drobnej, nędznej sumy.

– Zresztą – kończy powoli, nie patrząc w twarz Kaśki – rób, jak chcesz, moje dziecko, ale będę musiała się postarać o inną dziewczynę, chętniejszą i bardziej do mnie przywiązaną.

Kaśka doznaje nagle dziwnego olśnienia. Machinalnie wypuszcza z ręki kilka listków sałaty, które czepiają się brzegów ścierki, służącej Kaśce za fartuch. Jak to? Miano by ją oddalić dla tak drobnego powodu? Żal zalewa jej serce: ta cała brudna i ciemna kuchenka wydaje się jej dobrą przyjaciółką, którą porzucić by kazano. Przy tym głos Jana, głos donośny, czysty, wpada przez otwarte okienko i przypomina Kaśce całą postać stróża, pełną teraz dla niej nieokreślonej, przyciągającej siły. Julia opuszcza kuchnię, pozostawiając Kaśkę pod wrażeniem swych słów ostatnich. Jest pewną, że Kaśka się namyśli, tak jak i inne dziewczęta. Julia nie myśli przecież skrupulatnie odbierać centów ukradzionych przez Kaśkę w mieście. Ot, po prostu weźmie, co jej Kaśka wieczorem, ścieląc łóżko, pod poduszkę wsunie. Gdy pani wyszła z kuchni, Kaśka pozostała jeszcze chwilę koło stołu z rękami opuszczonymi, z głową zwieszoną na piersi. Po czym, ciężko wzdychając, zabrała się do siekania mięsa i dzielenia na drobne, podłużne kupki. Włoszczyzna w maluchnej wiązeczce, kilkanaście rozsypanych kartofli, ćwierć funta żółtawego solonego masła, zalewającego felieton jakiegoś brukowego pisemka, i trochę mąki w sinawym, papierowym woreczku – oto były te wiktuały, na których okradać miała pana i tym samym uszczuplać jeszcze zbyt skromną ilość pożywienia.

O nią nie chodziło. Miły Boże! ona przecież żywiła się czym bądź i marcepanów nie potrzebowała, ale jakże poda na stół potrawy, które i tak wyglądają „mizernie”? Nie, doprawdy, Kaśka czuje się bardzo nieszczęśliwą. Na myśl opuszczenia służby łączy się jej cisną do oczów. Jak to? Ona musiałaby odchodzić teraz, kiedy żyje z Janem w takiej pięknej zgodzie, a nawet za pięć dni mają iść razem na spacer? Kaśka czuje, że gdy wyprowadzi się z kamienicy, skończy się wszystko i ona więcej go nie zobaczy. I z rozpaczą sieka tępym tasakiem mięso, rozplaszczające się krwawą masą na powierzchni szerniałej stolnicy. Po czym sięga po mały garnuszek, w którym moczy się trochę komyśnego chleba, i wyjmując chcąc pomieszać go z mięsem. Mają być z tego zrazy – jedzenie niewykwintne, ale oszczędza się mięsa, bo z chlebem na wpół zmieszane. Kaśka zamyśla się głęboko. Ten chleb daje jej wiele do myślenia. Przecież pan nie pozna, czy jest mniej lub więcej mięsa w tej całej mieszaninie, którą ugniata palcami.

Ćwierć funta mięsa – to blisko siedem centów oszczędzonych! Pani byłaby kontentą, a Kaśka miałaby spokój zapewniony!

I powoli uczciwość Kaśki nabiera coraz ciemniejszych barw, a chęć pozostania obok Jana podsuwa jej tysiące wymówek, którymi usypia swe sumienie.

Złe przykłady, otaczające ją od dzieciństwa, ta wieczna atmosfera kradzieży i oszustwa, w jakiej się obracała, zaczyna wywierać swój wpływ, głuszając wszelkie dobre popędy; „koszykowe” – ta plaga domowego gospodarstwa – rozpościera się powoli i wśród tej urzędniczej nędzy, czyniąc z uczciwej dziewczyny złodziejkę, jakkolwiek początkującą, lecz już obrzuconą błotem występku. Gdy Julia następnego dnia układała się do snu, znalazła wsuniętą pod poduszkę garstkę drobnej

monety, za którą kupiła sobie trzy chińskie papierki, napelniające sinawym dymkiem całe pomieszkowanie.

Głos Kaśki drżał wprawdzie, gdy przy rachunku wymieniała ilość mąki i mięsa, ale siedząca u okna Julia nie zdawała się zwracać uwagi na taką drobnostkę. Z ciemnej głębi okna wpadał prąd świeżego powietrza, przynoszący ze sobą głuchy turkot przelatującego właśnie pociągu. Julia, wpatrzona w purpurową gwiazdkę, lśniąca po wysokim nasypie kolejowym, rwała się myślą w dalekie strony, które przedstawiały się jej w zamglonych obrazach półsennych. Jak mówiliśmy, była to jedyna chwila dnia, w której nawet na twarzy Julii przemykało się pragnienie swobody. Z oczyma utkwionymi w przelatujące krwawe światło, nie zwracała uwagi na Kaśkę, przeciśniętą do przeciwległej ściany. Kaśka po raz pierwszy w życiu kradła i z całą niepewnością debiutanta wymawiała słowa mające na celu zamaskowanie kradzieży. Ta wielka, tęga dziewczyna z gminu miała w sobie zwykle jakąś nieśmiałość dziecięcą, a przed złym czynem cofała się ze wstrętem.

Życie i okoliczności pchały ją ku przepaści. Szła wolno, pędzona drobnymi, powszechnymi wypadkami, broniąc się wprawdzie, ale broniąc się słabo, niedołąźnie, jak istota nie mająca nigdzie silnego punktu oparcia. Pan nie poznał się na oszustwie, a jakkolwiek dobrze ją w „dołku” zapiekło, gdy wymieniała ilość mięsa, to przecież deszcz siarczasty nie spadł na jej głowę... Pani była zadowolona, nazajutrz pogłaskała Kaśkę i nakadziła jej w kuchni chińskim papierkiem. Słodkawa woń zmieszała się z zapachem kapusty, gotującej się w źle przykrytym garnku. Kaśka uśmiechała się pełna niezadowolonego zadowolenia na widok Julii, której płaska głowa niknęła w sinawych pasemkach, unoszących się z trzymanego nad świecą papierka.

Jednej wszakże rzeczy Kaśka dnia tego dopełnić nie mogła. Gdy po ukończonym rachunku weszła do kuchni, a załatwiwszy się z robotą, uklękła do wieczornego pacierza, nie mogła odmawiać modlitw tak jak zwykle. Mimo woli słowa więzły w jej gardle, a oczy, zamiast wprost na obrazy świętych, patrzyły uparcie w ścianę.

Ta czysta i dobra dusza w swej ślepej wierze sądziła, że z malowanych twarzy świętych wyczyta ostrą naganę za zły postępek, jakim się splamiła.

Dlatego też Kaśka klęczała długą chwilę, milcząc i nie śmiejąc spojrzeć w twarz Najświętszej Pani, a nawet w surowe rysy Dawisona.

Powoli jednak oswoiła się ze swym stanem. Był to początek rozkładu nie zepsutej jeszcze natury; rozkład ten wchodził w istotę Kaśki i oswajał powoli dziewczynę, sącąc jad drobnych, powszednich grzechów w zdrową dotąd duszę kobiety.

Początkowo oddawała Julii wszystkie drobne sumki, usprawiedliwiając się niejako przed sobą samą; na trzeci dzień wszakże podzieliła skradzione pieniądze na dwie równe części i za jedną z nich kupiła sobie odrobinę nafty, krochmalu i mydła. Noc całą prała i prasowała, nad słuchując pilnie, czy pan nie zbudził się i nie dostrzegł w kuchni światła. Zastoniła dziurkę od klucza i z najwyższą ostrożnością wyjmowała rozpalone dusze z pieca.

Była to sobota, dzień najcięższy w tygodniu. Kaśka szorowała podłogę i sprzątała do północy. Upadała ze znużenia, przecież do białego dnia odświeżała swoją różową perkalową sukienkę, która już od trzech lat służy jej na największą paradę. Trochę krótka, a kaftanik ciasny nie może pomieścić ramion dziewczyny, ale się na to jakoś poradzi. Kaśka ma czarną chusteczkę, robioną na drutach – włoży ją na plecy i z przodu zapnie. Będzie to nawet ładnie wyglądało.

Jutro ma iść z Janem na ów „szpacer”. Och!, ona wie, że inne dziewczęta będą jej zazdrościły; ale nie to ją przecież cieszy.

Będzie z nim przez trzy godziny, zobaczy wiele pięknych rzeczy, zabawi się pierwszy raz w życiu.

Jedno ma wszakże zmartwienie. Prawda, że jej sukienka cała i czysto wyprana. Buciki wyglanuje sobie i wypucuje tak jak panu, a szyję i ręce czysto wymyje. Ba! nawet ma chustkę do nosa, którą znalazła kiedyś na ulicy, idąc rano po śmietankę. Myślała z początku, że to szmata, ale później, gdy ją podniosła, poznała z radością, że to wcale dobra płócienna chusteczka. Wyprała ją teraz, wykrochmalila i jutro weźmie w prawą rękę, bo tak chodzą przyzwoite dziewczyny; ale to

wszystko jest niczym wobec jednej wielkiej troski, która zaczyna nurtować umysł Kaśki. Nie wie, czy Jan nie będzie się wstydził iść z dziewczyną, która nie ma na „szpacer” jakiegokolwiek kapelusza. Kaśka nie lubi kapeluszy, woli chodzić z gołą głową; ale Jan – to taki „helegant”, chodzi od święta w „tuziurku” i ma spodnie w kratkę. Doprawdy, ona nie wie, co to będzie... może on wcale nie zechce „publikować” się z nią po ulicy. I do głowy Kaśki powoli wkrada się żal, że dawniej nie posłuchała pani i nie zaczęła oszczędzać pieniędzy przy zakupie mięsa, tak jak to teraz czyni. Jest już sześć tygodni, mogła sobie złożyć dość pieniędzy i kupić kapelusz.

Trzeba pomyśleć o tym, ale jutro już musi iść z gołą głową przez ulicę. Przeprosi pięknie Jana i poprosi go, aby się nie gniewał. Za trzy tygodnie ubierze się lepiej, teraz musi ją wziąć taką, jak jest.

Szarawe, niepewne światło poranka wpadło do kuchenki i oświeciło zmęczoną twarz Kaśki, pochylonej nad kuferkiem. Świeża różowa sukienka wznosiła się, sztywną obręczą zawieszona na jednym z gwoździ, służących do przyczepiania naczyń kuchennych. Kaśka podniosła głowę i przymrużonymi oczyma wpatrywała się w szmat nieba, bielejącego poza małym otworem okienka. Na twarzy dziewczyny bezsenność i znużenie zaczynały już zostawiać ślady. Oczy czerwone, krwią nabiegłe przymykały się mimo woli, jakby nadwerężone od bezustannego natężenia. Pod skórą przewijały się żółtawe pasma, walcząc jeszcze z purpurą krwi, którą młode ciało tylko wytwarzać umie. Były to ledwo dostrzegalne ślady złego odżywiania i braku koniecznego spoczynku. Widocznie organizm zużył zasób sił, w których czerpał swą czerstwość, i potrzebował pomocy.

Pomoc jednak ta nie przybywała, bo któż bada ślady znużenia na twarzy służącej? Maszynę do szycia napuszcza się od czasu do czasu oliwą i oddaje do reparacji – ale to rzecz inna. Maszyny zepsutej odmienić nie można, trzeba nabyć nową, i to za drogie pieniądze. Schorowanej sługi pozbyć się łatwo – setki innych czekają dla zajęcia opróżnionej służby...

Kaśka przecież nie dręczy się takimi drobnostkami. Wie, że pracować musi, bo jest do tego stworzona. Dziś czuje się nawet szczęśliwą, a sumienie zagłuszyło rodzące się w jej sercu przywiązanie do Jana. Skądże by wzięła na krochmal i mydło? Wołałaby wcale nie iść na „szpacer”, niż wyjść jak brudas. A przecież ten „szpacer” – to cała jej rozrywka, o której myśli całe trzy tygodnie!... Patrząc na swoją sztywną sukienkę, na czyściuchną spódniczkę i koszulę, nie żałuje ukradzionych pieniędzy.

Mój Boże!... te kilka centów pana nie zubożą, a jej dały możliwość wystąpienia porządnie przed Janem.

Tylko ten kapelusz!...

\*

– Wielce okazy! Zwierzęta z krajów azjatycko-amerykańskich, lesiste poczwary, tygrysy ogońiaste, komgury workowate! Wielmożna publiczność, proszę do środka! Wąż boa, trzy łokcie w okrąg mający, w tej chwili karmienie padliną, antre<sup>31</sup> dziesięć grajcar, dzieci i żołnierze połowę...

Kaśka otworzyła szeroko oczy i usta, a na dobitne szturgnięcie Jana zamknęła usta bezzwłocznie.

Stali przed płócienną budą, ciągnącą swój szary, długi korpus wzdłuż placu, pełnego śmieci i kup rozmaitej wielkości kamieni. Do zewnętrznej ściany, od strony chodnika, przybite olbrzymie tablice przedstawiały dwóch mężczyzn we frakach i damę w piernikowej sukni, trzymających w wyciągniętych rękach potwornej wielkości węża, zapewne owego boa, znajdującego się wewnątrz namiotu. Ponad samym wejściem widział wielki napis „West-Ind-Menagerie”, równie niezrozumiały dla prostaczków, jak i dla uczonych.

Innego wszakże zdania był nasz Jan, który, przekręciwszy czapkę na lewe ucho, z nadzwyczajną znajomością rzeczy wyłożył ogłupiałej Kaśce, co znaczy west-ind-menagerie. Po czym, poczęsto-

---

<sup>31</sup> antre (fr.) – wejście

wawszy kilkoma kułakami kilka osób z tłumu oblegającego dokoła wejście namiotu, utorował sobie w ten delikatny sposób drogę do kilku stopni prowadzących na rodzaj maluchnej scenki, służącej za przedsionek, kasę i foyer owego płóciennego budynku.

Kaśka, według instrukcji Jana, uczepiona u poły jego „tuziurka” z obawy zgubienia się w tłumie, patrzyła z podziwieniem na ogromnego draba w fantastycznej zielonej kurtce, w długich ce-ratowych sztylpach na zrudziałych i wykrzywionych butach i z wielką szpicrutą w brudnej, włosom obrośniętej ręce.

Drab ów wygłaszał schrypniętym głosem tyradę, przytoczoną na początku rozdziału. Mówił ją płynnie, bez zająknięcia, patrząc szklanymi oczami w przestrzeń. Był to widocznie przewodnik po owej menażerii, jeden z jej nielicznych okazów, posiadających tylko mowę, lecz tak samo źle ży-wiony i drżący pod płótnem namiotu.

Z głębi dochodził ryk lwicy i wycie wilka. Były to jakieś przygłuszone głosy, dalekie od potęż-nych, wstrząsających wrzasków napętniających pustynię lub lasy.

Jakiś jęk, skarga na nielitościwe kraty brzmiała w tym zwierzęcym krzyku, przedzierającym się z łatwością przez płócienne ściany namiotu.

Kaśka, posłyszawszy ryk lwicy, przysiadła nagle, pociągając w ten sposób trzymaną w rękę połę „tuziurka”. Jan, płacący „antre”, obejrzał się z pogardą.

– To ci odważnica... aż kucnęła, jak lew japę otworzył. No, wstań panna, nic ci się nie stanie... od czegoż ja tu jestem?!

I z nadzwyczajną fantazją przekrzywiwszy czapkę, ujął za rękę Kaśkę, aby wprowadzić ją do środka. Ona szła wolno, przerażona, olśniona niezwykłym widokiem, jaki się przedstawił jej oczom.

Poza nimi postępował ów „oprowadzacz” w zielonej kurtce. Ze zwykłą sobie obojętnością go-tował się do recytowania zwykłych zdań, zastosowanych do każdej klatki. Była to maszyna, wiecz-nie funkcjonująca, rodzaj perpetuum mobile, błakającego się wśród płóciennych ścian namiotu.

Kaśka z niezmiernym nabożeństwem weszła do wnętrza menażerii. Na progu przeżegnała się ukradkiem, z obawy przed dzikimi potworami, które spoza szerniałych krat otwierały swe pasz-cze.

Jan, przeciwnie, urągał dzikim „bestiom”, przekrzywił czapkę, a wpakowawszy ręce w kiesze-nie „tuziurka”, podsuwał się coraz bliżej ku klatkom z dziwną dezinvolturą i brawurą, która w po-dziw wprowadzała Kaśkę. Wydawał się w tej chwili czymś znacznie wyższym, gdy schwyciwszy długi patyk, wpakował go rysiowi pod nos. Nie! Kaśka nie zrobiłaby tego za nic w świecie. Ona się nawet do kraty nie zbliży, woli się patrzeć z daleka. Ale Jan śmieje się z jej trwogi i staje się coraz zuchwalszym.

Powoli Kaśka, pociągnięta jego odwagą, nabiera cokolwiek śmiałości i rozgląda się uważniej.

Przed nią, na podwyższeniu, ciągnie się cały szereg klatek, opatrzonych od frontowej ściany dość cienkimi żelaznymi prętami. W klatkach tych drzemią lub siedzą współsenne zwierzęta, pa-trzące dziwnym wzrokiem na tłum ludzi, cisnący się koło poręczy.

Wśród cieni, zalegających klatki, błyskają zielonawe oczy pantery lub piwne źrenice rysia.

Lwica tuż obok hieny ułożyła się do snu, wydając od czasu do czasu ryk, więcej do jęku podob-ny.

Dwa bobry rozrzucają gałązki i zwiędłe liście, włączając co chwila do małego, płaskiego naczynka napelnionego mętną wodą.

Na górze dwa wspaniałe puchacze tulą się do siebie, prezentując białe, puszyste piersi i zakrzy-wione dzioby. Wysoka czapła, zgięta wpół w zbyt niskiej klatce, kilka nędznych, suchotniczych małpek o szarej sierści i czerwonych, zmęczonych oczach, siedziały smutne i jakby zgnębione. W ostatniej klatce przewalał się ogromny niedźwiedź o rudawych, olbrzymich kudłach, wyciągając co chwila swą włochatą łapę przez dość szerokie otwory kraty. W namiocie panowała dusząca, smro-dliwa atmosfera. Zapach nieświeżego mięsa, którego szczątki walały się w niektórych klatkach, łączył się z odorem różnorodnych zwierząt i tysiącem zatrutych oddechów ludzkich, które to mia-

zmy odwiedzający menażerię tam zostawiali. Schrypnięte tony nadwężonej katarynki, grającej bez przerwy oklepane melodie, zagłuszył ryk zwierząt i szmer głosów ludzkich.

Kilka naftowych lampek oświetlało skąpo tę nędzę zwierzęcą i ludzką, która wзираła z każdej klatki, z każdego zakątka, nawet z twarzy człowieka w zielonej kurtce.

Teraz stał on tuż przy Kaśce i monotonnym głosem ciągnął swe opowiadanie. Wskazywał właśnie na klatkę, w której dwa szopy drzemały spokojnie, wetknawszy pyszczki pomiędzy druty.

– Dwa szopy! samiec mający półtora roku, samica – dwa roki. Razem półtrzecia roku!

Dokoła cisnął się tłum ciekawy, spragniony zasięgnięcia bliższych wiadomości o zwierzęciach, tak niepodobnych do zwykle w życiu spotykanych. Tłum ten popychał się, kłócił, smutny swą ciemnotą, z wyrazem dziwnej głupoty na lśniących od potu twarzach.

– Amerykański sztrauss – objaśniał dalej mężczyzna w kurtce.

Jan uznał za stosowne zablagować.

– Patrzajcie! a to rarytne stróże w tej Ameryce!

Cały ten tłum wybuchnął śmiechem. Kaśka zatykała sobie usta rękami, aby nie śmiać się zbyt głośno, po prostu przez przyzwoitość.

W klatkach zwierzęta, zdziwione tym śmiechem, przepelniającym nagle wnętrze namiotu, powoływały szeroko oczy; ryś cofnął się w głąb klatki, a puchacze przycisnęły się bliżej do siebie.

– Hiena! Wykopuje trupy i pożera je żywcem...

W tłumie zrobił się ruch niezwykły. Jana zaopinował, że to jest „hamatorka kwaśnych jabłek”, a jakiś ułan podawał w wątpliwość owe „żywe trupy”. Ale nie było czasu na dalszą dyskusję, zbliżano się do klatki niedźwiedzia i zewsząd okrzyki zadowolenia witały niekształtną masę, wstrząsającą swe kudły w niepewnym świetle przyczepionej do słup lampy.

Na widok człowieka w zielonej kurtce, niedźwiedź przywłókł się na sam brzeg klatki. Powstałszy na tylne łapy, wyciągnął przednie jakby do uścisku, rozsuwając szeroko czarne, jakby nabrzmiące palce. Człowiek w kurtce przysunął się do klatki i pozwolił zwierzęciu objąć swe ramiona, poddając się z przyjemnością tej niebezpiecznej pieśczoście. I długą chwilę stali tak złączeni, jak dwaj towarzyszenie niedoli, obaj silni, a mimo to słabi, bo związani niedolą, z której się wyplątać nie mogli. Niedźwiedź, widocznie przywiązany do swego człowieka, mruczał bezustannie, przyciągając go do siebie. W tłumie podziwienie rosło z każdą chwilą: Jak to? Więc ten „pan” nie boi się niedźwiedzia? To chyba czarownik.

Kaśka aż całą chustkę wpakowała do gęby, tak bardzo była zdziwiona. Tylko Jan zachował zwykłą równowagę i blagował w sobie tylko właściwy sposób.

Wielka historia! – I on by to samo zrobił, tylko nie ma ochoty, by mu bestia powalała nowy „tu-ziurek”. To nie żadna sztuka, tylko trzeba mieć co w rękach.

I szerokimi, spracowanymi dłońmi wywija przed oczami tłumu, prezentując w mdłym świetle lamp odcisniętą skórę na dłoni i grube, niekształtne palce, zakończone tępo uciętymi paznokciami. Kaśka z uwielbieniem spogląda na te ręce. Muszą być rzeczywiście silne, skoro pan Jan mówi, że można nimi przytrzymać niedźwiedzia.

Ale już wszyscy zwracają się w inną stronę. W ciemnym kącie wisi zasłona, maskująca widocznie przejście do dalszych ubikacji menażeryjnych.

Człowiek w zielonej kurtce, wyswobodziwszy się z uścisków niedźwiedzia, staje przed zasłoną i pyta potężnym głosem:

– Ledżerca!... Kto chce obaczyć ledżercę?

W gromadzie robi się ruch gwałtowny. Część widzów nie pojmuje, co znaczy wyraz „ledżerca”. Może to jaki zwierz nieznan, ale pewnie coś osobliwego, skoro go na osobności trzymają. I kilkadziesiąt par źrenic z najwyższą ciekawością stara się przejrzeć zasłonę, kryjącą to dziwo natury, pokazywane pod mianem „ledżercy”.

Ale Jan znów zabiera głos. On wie, co to za diabeł siedzi za tą firanką. On go widział już nieraz. Jest to człowiek, tylko czarny jak kominiarz i zjada ludzkie mięso...

Tłum nie dowierza.

To przecież być nie może – policaje by na to nie pozwolili. Ale Jan gniewa się i wałąc kułakiem w piersi, zaręcza za prawdziwość swych słów. Wtedy powstaje w tłumie chęćka obejrzenia potwora z bliska. Dopłacić jednak trzeba szóstaka!... Niejeden odchodzi zrażony tym podwójnym wydatkiem, wymyślając na przedsiębiorcę menażerii, który każe płacić antre, a mimo to nie pokazuje wszystkiego, co ma w szopie.

Jan wszakże dopłaca żądane dwa szóstaki i ująwszy Kaśkę za rękę, wprowadza ją za zasłonę. Za nimi wchodzi kilkanaście osób z tych, którzy mogą sobie użyć w niedzielę uczciwej rozrywki. Kaśka po raz pierwszy znajduje się w takim towarzystwie. Czuje się odróżnioną od motłochu i to jej sprawia wielką przyjemność. Ten Jan umie dziewczynę uczyć jak się należy. Aż przyjemność wybrać się z nim na spacer!

Ów „ledżerca” jest umieszczony w maleńkim kąciku, utworzonym ze złączenia dwóch ścian namiotu. Siedząc na podwyższeniu, pokrytym czerwonym sukniem, na tle ciemnej firanki przedstawia się dość efektownie, w dość jasnym oświetleniu kilku lampek naftowych, opatrzonych reflektorami. Rysy jego drobnej twarzy wskazują pochodzenie żydowskie, a włosy, pokręcone, czarne, mają wszelką cechą właściwą izraelskiemu plemieniu. Jest to po prostu biedny Żydek, urodzony w Brodach, pomalowany na czarno i pobierający płacę dwudziestu centów dziennie za jedzenie żywych królików, które obowiązany jest rozszarpywać w oczach publiczności. Żydek ów ma minę człowieka pogodzonego z losem i niezmiernie życzliwie spogląda na tłum, cisnący się u jego stóp. Ubrany w tiunikę z farbowanych piór gęsi i jakiejś brudnej wełnianej tkaniny, wystawia naprzód swą nagą pierś, lśniącą od czarnej farby, którą mu całe ciało pociągnięto. a głowie ma również koronę z piór gęsi, a w uszach ogromne tombakowe kolczyki, przytwierdzone za pomocą cieniuchnych drucików.

Wszystko to razem sprawia olbrzymie wrażenie na zgromadzonej publiczności, która z wielkim szacunkiem i przestachem spogląda na tę czarną, nagą, żywiącą się mięsem ludzkim, istotę.

Jan bługuje znowu. Stoi w pierwszym rzędzie i nie zważając na przerażenie Kaśki, usiłuje wmówić w tłum, że „ledżerca” za chwilę rzuci się i wybierze kogoś do „zeżarcia”. Jakiś mały, chuderlawy czeladnik kryje się w najodleglejszy kąt z obawy przed spodziewaną napaścią. I w tej maluchnej, zacieśnionej przestrzeni powstaje niepokój wielki. Ludzie mimo woli cisną się do siebie, przerażeni o swe nędzne, wychudłe ciała, które z takim trudem odżywiać muszą. Jakiś ułan przecież nie dowierza słowom Jana, pragnie wyjaśnienia – i dlaczegoż by wpuszczono tu ludzi, jeśli ta potwora rzeczywiście krzywdę sprawić może? Nie! Na to by „majstrat” nie pozwolił i wydał stosowny „befel”<sup>32</sup>. A zresztą, jakby miał kogo zjeść, to pewnie tę tłustą pannę, która tak blisko niego stoi.

I wszystkie oczy zwracają się na Kaśkę która rzeczywiście w tym całym zgromadzeniu przedstawia najlepszy materiał spożywczy.

Ona, zawstydzona, zmieszana, bezwiednie przysuwa się do Jana, jakby szukając u niego opieki i ratunku.

– Ty! cisarska służo! – wrzeszczy Jan, rozstawiając szeroko nogi – stul tam dziapę, bo ci się prababka przyśni, jak cię lunę w kontramarkę!

Kaśka przypomina sobie zajście z kanonierem i przerażona, stara się uspokoić rozdrażnienie Jana, tym bardziej że i ułan chce załatwić sprawę w sposób dość stanowczy. Na szczęście wnoszą małego białego królika i ciekawość przemaga drażliwość honoru. Ci panowie milkną i wpatrują się z ciekawością w niezwykle widok, przedstawiający się ich oczom.

Żydek z Brodów chwytą w obie ręce nieszczęśliwego królika, nader zręcznie rozdziera go i wyjmując z wnętrza ciepłe, krwią ciekące wnętrzności, zaczyna zajadać je bez żadnego wstrętu. Obok niego na estradzie pojawia się człowiek w zielonej kurtce i monotonnym głosem wygłasza następującą tyradę:

– Oto jest ledżerca! po rusku, mieszka na libankoj hore; jak Angliki na Turcję szli, tak go złowili a oswoili. Pod Wiedniem starą babę złowił, złupił a zjadł!

---

<sup>32</sup> befel (niem.) – rozkaz

Schrypnięte tony katarynki wpadały przez zasłonę i mieszały się z głosem mężczyzny. Tak jak ta katarynka, jęcząca w tej chwili *Miserere* Verdiego<sup>33</sup>, grała wiecznie jedno i to samo, pragnąc rozweselić nędzę panującą pod płóciennym namiotem – tak i ten człowiek recytował od lat kilku jedne i te same brednie, włączając się po rozmaitych zakamarkach, wsiach i miasteczkach.

Na estradzie ludożerca zajadał ciągle królika, mieszając farbę swego ciała z krwią zwierzęcia. Był to ohydne rzemiosło wykonywane dla łatwego zarobku, dziwne w człowieku żydowskiego pochodzenia, który zwykle przekłada drobną ruchliwość handlu nad beczynne życie. Krew królika ściekała na ziemię, zastygając na suknie pokrywającym estradę. Pełno było tych plam naokoło, nawet na ścianach namiotu.

Stojąca u stóp podwyższenia garstka ludzi patrzyła w milczeniu na akt rozdierania królika i tłumiąc oddech w sobie, śledziła najlżejszy ruch mniemanego ludożercy. Kaśka w przerażeniu przycisnęła się do Jana, który, korzystając z chwilowego zapomnienia dziewczyny, szczypał ją lekko w ramię. Ona przecież nie gniewała się teraz za to. Ból ten sprawiał jej jakąś przyjemność, nie taką wprawdzie, jaką na widok Jana doznawała. O! nie – to było zupełnie co innego, ale teraz za każdym dotknięciem się stróża ogarniała ją dziwna niemoc, osłabienie, które nie dozwalało się bronić i zbyt śmiałej ręki odtrącać.

Dlatego i teraz stoi przed estradą, wpatrzona w ludożercę dojadającego resztki królika, ale mimo to czuje dobrze owo szczypanie Jana w ramię, tuż nad łokciem. Dawniej broniłaby się z pewnością – teraz nie ma po prostu siły. Mój Boże, Jan był dla niej dziś tak dobry! Przyszedł po nią aż do kuchni i powiedział, że „szykantino” wygląda. Mógłby przecież zgrymasić, bo dziewczyna bez kapelusza – to już wielka nędzota, ale on, przeciwnie, mówił, że woli dziewczynę „we włosach”, bo okrzętniej wygląda.

Potem zeszli razem po schodach, tuż koło kuchni należącej do mieszkania pani hrabiny. Kucharka siedziała, jak zawsze przy oknie i czytała z książki, a młodsza czesała fałszywy warkocz, zaczepiwszy go o kurek od samowara. Gdy zobaczyły Kaśkę i Jana, aż wstały z wielkiej ciekawości i położywszy warkocz i książkę, wyszły na schody, aby ich lepiej zobaczyć. Kaśka zarumieniała się z radości, przechodząc koło stojących na przejściu kobiet. Czysta spódnica szeleściła dokoła niej, jakby wykrojona z papieru, a buciki świeżo podzelowane skrzypiały za każdym stąpieniem. Kaśka prawie żałowała, że Marynka wyszła wcześniej i nie wiedziała jej parady. Marynka byłaby zdziwiła się, że Jan z „tłumokiem” na spacer idzie.

Gdy Kaśka opuściła wreszcie menażerię, stała chwilę na środku ulicy, pragnąc się przyzwyczaić do światła dziennego. Jan zapalił cygare – wirginię, długie, piękne, od którego słomkę założył sobie za ucho. Powoli skierowali się ku Wysokiej Górze, idąc wolno szerokimi, jasnymi ulicami, oprawionymi w rzędy biało pomalowanych kamienic.

Kaśka szła drobnym krokiem, zarumieniona, uśmiechnięta. Jan tuż przy niej puszczał kłęby dymu pod nos przechodzącym „cylindrom”.

Gdy weszli na Wysoką Górę, zapuścili się w aleje, ocenione gęstymi gałęziami drzew. Drobnny zwir chrzęścił pod ich stopami, a drzewa szumiały zrywającym się co chwila wichrem. Kaśka oparła się o niski płotek, okalający dokoła brzeg góry na kształt balustrady. Jan stanął też przy niej, cygare mu zgasło, usiłował je zapalić, co przy zrywającym się wichrze nie było nazbyt łatwym.

Kaśka tymczasem patrzyła przed siebie z zajęciem wielkim.

Przed nią, na dole, rozkładało się miasto, imponując na oko swym obszarem i ilością wspanialszych budowli. Rozlewało się jak obszerne jezioro, mające niekształtne, wyszarpane brzegi. Z powodni dachów i kominów wybiegały wieże kościołów, złocąc swe krzyże w promieniach letniego słońca. Zębata wieża ratuszowa prezentowała czarną tarczą zegara, na którym skazówki oznaczały piątą godzinę.

Na wzniesieniu, cokolwiek za miastem, rozsiadła się wspaniała cerkiew, stara, poważnie wznosząc swe mury, podobna do babki błogosławiącej swe wnuczeta.

---

<sup>33</sup> Giuseppe Verdi (1813-1901) – znakomity kompozytor włoski; *Miserere* jest częścią *Requiem*, utworu wykonanego po raz pierwszy w 1873 roku

Czyste linie Domu Inwalidów<sup>34</sup>, nieposzlakowane równe, pięknie wyglądały z ciemnej zieloności otaczających dokoła drzew, a w środku miasta okrągła kopuła kościoła o.o. Dominikanów wychylała swój grzbiet wypukły, jak olbrzymia tarcza żółwia grzejącego się na słońcu. I całe miasto leżało ciche, spokojne u stóp tej góry, która wznosiła ponad nim swoje uwieńczone zielonością czoło.

W powodzi tych spokojnych dachów o kominach, zda się, zastygłych, nie sączących nigdzie ani najwęższego pasma dymu, nikt by nie przypuszczał tylu nędz moralnych i materialnych, które pod tymi dachami założyły stałe siedlisko. Był to zwierz uśpiony, nawet łagodny w swym spoczynku, grzejący swój grzbiet w ciepłe słoneczne, ale wewnątrz kryjący brud, hipokryzję i skończoną ohydę.

Kaśka patrzyła ciągle na to niezliczone mnóstwo domów, rozciągających się u jej stóp. Wiedziała, że miasto rzeczywiście wielkie, ale nie przypuszczała, ażeby zajmowało aż tyle przestrzeni. I błąkała się wzrokiem po przedmieściach, szukając zamieszkanego przez nią domu. Nie! stanowczo sama go nie znajdzie, Jan musi jej w tym dopomóc...

Ale Jan jest teraz zajęty czym innym. Przechodzi właśnie Żyd, mający na sprzedaż rozmaite łakocie. Cały ubogi kramik, który się nosi w koszyku, przytwierdzonym skórzanym rzemieniem. Jan wybiera paczkę pierników, owiniętym w różową bibułę, i kilka karmelków z „wierszami”.

Kaśka czerwieni się jak piwonia na ten niespodziewany objaw galanterii. I drżącymi od wzruszenia rękami rozwija bibułę, kryjącą pierniki. Jan tymczasem zajmuje się przeczytaniem głośno znajdujących się przy karmelkach wierszydeł, które Kaśce wydają się czymś zupełnie niezwykłym. Szczególniej jeden wiersz napełnia Kaśkę wielkim pomieszeniem. Od wstydu mało się nie udławi piernikami. A ten Jan, niepocziwy, śmieje się na całe gardło, powtarzając raz dziesiąty:

Każda Kasia  
Znajdzie swego Jasia.

Nie! to nie może być tak właśnie wydrukowane. Jan to chyba ułożył naprędce. I pragnie zobaczyć na własne oczy, przekonać się po prostu, czy tak jest rzeczywiście. Jan pokazuje jej zmięty paperek, na którym drobnymi czcionkami wydrukowano:

Każda Kasia  
Znajdzie swego Jasia –

a Kaśka z wielkim mozolem odczytuje ową poezję. To dziwne! Tak jakby dla nich napisane. I Jan, rozweselony, szepcze dziewczynie do ucha Bóg wie jakie głupstwa i śmiałe propozycje, popierając je argumentem zupełnie niezwykłym:

– Tak stoi drukowane, panna musi być moim.

Kaśka przecież nie jest zupełnie przekonaną, zajada teraz z wielkim smakiem pierniki, przegryzając je miętowymi karmelkami. Zapewne, że te wiersze wcale się udały, ale czyż to jeden Jan i jedna Kaśka na świecie?

I powoli odzyskuje pozornie chwilowo utraconą równowagę. Uśmiecha się nawet i pokrywa w ten sposób mieszanie swoje. Usiedli teraz na ławce pod rozłożystym dębem i patrzą na siebie w zupełnie różny sposób. Jan po prostu zjada dziewczynę oczyma, tak mu się wydaje ładną w tej czystej, krochmalonej sukience, z dobrze wymytą szyją i lśniąco od pomady włosami. Ona patrzy w ziemię, a tylko chwilami podnosi swe piwne, łagodne źrenice i spojrzawszy w twarz stróża, oblewa się rumieńcem. Dobrze im jest w tej ciszy, przerywanej tylko szumem liści lub odgłosem kroków jakiegoś przechodnia. U ich stóp miasto odpoczywa po całotygodniowej pracy, wyciągając ku niebu beczynne kominy fabryczne. Dokoła widnokrąg łaski, poprzecinany krętymi drogami, prowa-

---

<sup>34</sup> Dom Inwalidów – zbudowany w latach 1855-1863 wg projektu wiedeńskiego architekta Hansena w stylu neoromańskim



dzącymi do okolicznych wiosek; na prawo szklana, czworograniasta tafla stawu, jak olbrzymie zwierciadło oprawne w zielone ramy.

Nad nimi, przedzierając się przez gęste liście drzew, przegląda niebo czyste, pogodne, letnie. Jan zdjął czapkę i całą piersią wciągał świeże powietrze. Mieli go tak mało, zamknięci wiecznie wśród murów, gdzie miastowe wyziewy zastygały w przestrzeni. Kaśka, od tyłu tygodni pozbawiona tej koniecznej do życia potrzeby, czuła się jak pijaną od tego czystego powietrza, od którego odwykły jej płuca. Przywykła już do woni mydlin, pomyj i nieświeżego masła. Doznawała uczucia podobnego do wzruszenia więźnia, gdy go nagle na swobodę wypuszczają.

Koło nich przesuwwały się pary, będące ich wiernym odbiciem. Dziewczyny ze śladami większego lub mniejszego zepsucia na twarzy w towarzystwie mężczyzn o zdobywczym, wyzywającym postawach. Kaśka patrzyła na te pary i doznawała jakiejś nieokreślonej trwogi, z której sobie sprawy zdać nie umiała. Było to instynktowne przeczucie swego upadku, a te dziewczyny, wlokące się ze skradzionymi gałązkami akacji w rękach, mierzyły ją wzrokiem, który ją mieszał niewypowiedzianie. Gdyby nie to, byłaby się czuła nad wyraz szczęśliwą, tak jej dobrze przechodziło popołudnie niedzielne. Ale Jan wstał z ławki i wezwał Kaśkę do dalszej wędrowki. Chciał wypełnić co do joty swój plan i teraz mieli pójść do szynku napić się po kufelku piwa. Kaśka wahała się chwilę, ale Jan zaręczył jej, że śmiało z nim wejść może. Nie jest to żadna prosta szynkownia, uchowaj Boże – Jan wie przecież, gdzie porządną pannę zaprowadzić można. Jest to ogródek, gdzie gra muzyka i schodzi się przyzwoite towarzystwo. Nawet kupcy, ba! i majstrowie przychodzą wypić kufelek i przysłuchać się graniu damskiej kapeli. Kaśka otwiera szeroko oczy.

Jak to, damskiej kapeli?

Jan śmieje się, uradowany, że same niespodzianki spotykają dziś dziewczynę. I tłumaczy jej, co znaczy „damska kapela”. Ot, kobiety takie same jak mężczyźni. To się nazywa damska kapela.

Przechodząc właśnie koło kościoła o.o. Paulinów, Kaśka zatrzymuje się przy samym wejściu. Chciałaby wstąpić na pacierz, Zmówiłaby go chętnie, bo od trzech tygodni w kościele nie była. Ale Jan śmieje się z niej i żartuje w sposób sobie tylko właściwy.

Do kościoła? Po co?

To dobre dla małych dzieci, co jeszcze koszule w zębach noszą; on za mądry na takie kawały! I z dziwną fantazją przekręca czapkę na bakier, patrząc z ironią na statuę św. Onufrego, klęczącego w niszy, tuż przy wejściu do kościoła.

Kaśka czuje się zmieszaną. Mimo woli porusza się z miejsca i idzie za Janem w stronę piwiarni. Wesołe tony muzyki wybiegają aż na ulicę. Zapewne – tam o wiele weselej, jak w tym ciemnym i smutnym kościele, tylko że...

I Kaśka doznaje jakiejś zgryzoty wchodząc do piwiarni. Ale Jan zasiadł już za stołem i woła na nią, aby się śpieszyła, bo miejsce zajmą. Rzeczywiście ścisk jest wielki i tłumy ludzi cisną się dookoła. Tylko dzięki zręczności Jana dostali jakieś niezłe miejsce przy rogu stołu, tuż obok estrady.

Już Jan dysponuje brudnemu i nie czesanemu od tygodnia kelnerowi „dwa chleby z masłem, wędzonkę i dwa kufle piwa”. Kaśka rozpatruje się, szukając jakiegokolwiek znajomej twarzy. Nagle, tuż obok siebie, przy drugim jednak stole, dostrzega Marynkę pijącą „bruderschaft” z jakimś dobrze wypomadowanym elegantem. Kaśka doznaje na widok Marynki wielkiej pociechy – nareszcie zobaczy ją w towarzystwie Jana. Tylko czy nie będzie się z niej wyśmiewać wobec wszystkich tych ludzi i nazywać ją „tłumokiem”?

Ach, to byłoby bardzo nieprzyjemne. I Kaśka o ile możności kryje się i kurczy swą wielką postać, aby nie być dostrzeżoną przez nieprzyjaciółkę. Abneguje z miłości własnej i woli nie nacieszyć się tryumfem z pozyskanej przyjaźni Jana. Ale Marynka, cała zajęta swym kawalerem, nie zwraca na nią uwagi. Czerwona od gorąca i rozpalających napojów rozkłada swą zniszczoną alpagową sukienkę, prezentując czerwone ręce, wychodzące z półkrótkich rękawków.

Kaśka uspakaja się powoli.

Już kelner przyniósł żądany chleb z masłem i dwie halby piwa. Kaśka ujmuje w prawą rękę nóż, a pokrajawszy wędzonkę na drobne kawałki, zjada ją razem z chlebem powoli, nie śpiesząc się

wcale; Jan wypił już swoje piwo i woła o drugie. Głos jego ginie w garze przepelniającym ogródek. Setki ludzi o zniszczonych, zawiedłych twarzach maczają usta w kuflach, napelnionych jasnym, przejrzystym piwem. Niekiedy piją koniak i jedzą jaja na twardo, maczając je w grubo tłuczonej soli. Wszyscy mężczyźni palą tanie cygara lub ordynarne papierosy. Niekórzy porozpinali kamizelki i porozwiązywali krawaty. W ten sposób więcej wypić można...

Na estradzie siedzą rzędem młode dziewczyny, poubierane w jednakowe czerwone welwetowe suknie. Jest ich sześć, a wszystkie mają wyraz znużenia i przedwczesnego rozwinięcia na wynędzniałych twarzach. Rzecz można, że uwiędły pod wpływem tej zgęszczonej atmosfery, jaka je codziennie otacza. Za nimi widać kilku mężczyzn, również w czerwonych frakach, grających na dętych instrumentach i walących w bębny. Dziewczyny poopierały brody na skrzypcach i nie patrząc w nuty, wodzą smyczkami po strunach – troszczą się mało o doskonałość harmonii. Każda z nich ma kochanka w jednym z mężczyzn należących do orkiestry, który ją bije, ale zarazem kocha zapamiętale. Dlatego to publiczność nie przedstawia dla nich żadnego szczególnego interesu; grają, byle odegrać to, co program im nakazuje, a potem powrócić do domu po razy i pieszczoty. Szczęk kufli, brzęk talerzy, gwar rozmów zagłuszał prawie melodię walca, która z trudnością przebijała się przez ten hałas trywialny, pełen gminnych wyrażań i szczęku grubego szkła i ordynarnego fajansu. Jan wprędce wynalazł sobie towarzystwo. Jakiś ślusarz przysiadł się do nich, wlokąc ze sobą żonę, chudą i zawiedłą kobiecinę. Kaśka usunęła się, robiąc jej miejsce, i po krótkiej „polityce” rozpoczęło rozmowę od debatowania nad ilością wody dolanej do piwa. Gawędka, w ten sposób rozpoczęta, ciągnęła się dalej, zmieniając co chwila tematy.

Menażeria dostarczała wiele materiału do rozmowy, a ten „psiawiara ledźerca” ciągle był na ustach Jana. Pomimo to wszakże nie zapominał i o Kaśce, która, zjadłszy chleba i wypiwszy piwo, siedziała dość spokojnie, biorąc niewielki udział w rozmowie. Zwracał się ku niej ciągle i wypytywał, czy wygodnie siedzi i ma dość miejsca przy stole. Kazał przynieść kwargli<sup>35</sup> i bułek – i wszystko to postawił przed Kaśką prosząc, aby sama jadła i częstowała kompanię. Kaśka wzięła jeden tylko kwargiel, choć bardzo lubiła ich ostry zapach, bała się jednak okazać „niepolityczną”. Ślusarz nie pozostał w tyle, kazał dać jedną „kolej” – i wkrótce cztery kieliszki czystej żytniówki pojawiły się na stole. Spełniono rażno niewielkie miarki, a nawet Kaśka z przyjemnością wychyliła swój kieliszek. Dziwiono się tylko, że te kieliszki prędeż by służyć mogły za naparstki dla jakich szwaczek. Jan chciał raz jeszcze spróbować, bo przysięgał się, że nawet nie czuł, jak mu się wódka przelała przez gardło. Miał język zupełnie suchy, nawet się nie zmoczył od tych kilku kropel. I przywoławszy kelnera zażądał cztery „pestkówki”.

Teraz towarzystwo zsunęło się bliżej. Zanosilo się na „traktament” na serio. Najlepiej wtedy siedzieć blisko siebie, ot, jak dobrzy przyjaciele. Jan przysuwa do siebie Kaśkę, która tuli się do niego w półsennym rozmarzeniu. Nie ma dobrej głowy ta dziewczyna! Zaledwie wypila jeden kieliszek, a już ma oczy jak szperki. „Pestkówka” smakowała lepiej – trochę słodkawa, ale o wiele przyjemniejsza. Ślusarka opowiada, że nieraz cierpi na „nerwy”, i wykrzywia dziwnie przy tych słowach zniszczoną twarz starej złošnicy.

– Jak mnie chyci, to wszystkich bym po gębie biła – mówi, dając wyobrazenie o rodzaju nerwowych napadów, których nieraz cały warsztat i kuchnia jest główną widownią. – Uspokajam się tylko waniliówką, to mi dobrze robi, zaraz zasypiam.

Jan, śmiejąc się, proponuje zażycie tego środka. I on cierpi czasem na „nerwy”, zwłaszcza gdy śmiecie na dziedzińcu wyrzuca. Spróbuje, czy pani majstrowa prawdę powiada. Ale ślusarz nie chce pozwalać na tego rodzaju despekt. Ta kolej do niego należy, tym bardziej, że to jest proste lekarstwo, używane przez żonę.

Po trzecim kieliszku Kaśka doznaje dziwnego uczucia. Pić musi, bo inaczej obrazi kompanię i nigdy jej nie wezmą ze sobą. Ona przecież wie, co się grzeczności komu należy. Tylko ta ostatnia wódka zawraca jej dziwnie w głowie. Wszystko się mięsza przed jej oczyma, drzewa, ludzie, kufle, stoły – zlewają się w jakąś bezkształtną masę. W głowie czuje jakby coś obcego, jakąś bryłę, którą

<sup>35</sup> kwargiel (niem.) – mały, zgłiwiały ser

jej włożono mimo jej woli. I obiema rękami opiera się na stole, aby nadać sobie pozory zupełnie pewnej siebie osoby. Tak, stanowczo ten Jan jest najpoczuwszy z ludzi, skoro się z nią tak godnie obchodzi i fetuje ją jak jaką hrabinę. Czymże ona zasłużyła na tyle dobroci i w jaki sposób mu się odwdzięczy?

Wydał na nią ze dwa papierki i teraz znów każe dawać „piołunówki”, aby się jej lepiej zrobiło.

Ślusarz zaś doradza herbatę z mocnym „harakiem”, a ślusarka powtórzenie waniliówki. W ogóle jest tam bardzo wesoło. Ludzie, powoli podnieceni odurzającymi trunkami, rozmawiają coraz głośniejsze i wybuchają co chwila bezmyślnym śmiechem. Niektórzy posiadali na stołkach, aby lepiej widzieć orkiestrę, a Jan aż stanął na ławce, bo mówi, że mu na dole uszy po prostu zatyka. Jakiś ułan, dobrze podochocony, klóci się z piechurą, którego mundur i niedołączna mina drażnią go widocznie. Ułan rozparł się na krześle i z junakierią wyśpiewuje piosnkę:

Hułany zuchy  
Piją piwo w nocy,  
A piechury gałgany  
Wytsecsają ocy.

Ochryplą głos żołnierza miesza się z tonami orkiestry. Bliżsi goście okazują widoczne niezadowolenie z tego niepożądanego sola, które im w słuchaniu „muzyki” przeszkadza. Ale ułan urąga wszystkim, coraz głośniejsze wykrzykuje, uderzając do taktu kuflem o brzeg stołu:

Tę chusteczkę, coś mi dała,  
Ja za gałgan brał –  
Cobyś sobie nie myślała,  
Żem ja cię za frajlu miał.

Jan uważa za stosowne wnieść się w tę sprawę.

– Cicho tam, ty świecąca nędzo! Idź do kantyny wyć, a ludziom uspokojenie zostaw.

Kaśka z trudnością otwiera oczy i pociąga Jana za poję „tuziurka”. Po co się klócić z jakimś pierwszym z brzegu? Czy chce pójść na inspekcję?

Jan, uspokojony trochę, siada i woła o cztery koniaki. Kaśka stanowczo pić nie chce, już i tak dusi ją pod piersiami. Jan nalega, mówią sobie „ty” i głowy ich dotykają się, tak siedzą blisko siebie. Zresztą mogą się nie krępować wcale, uwaga publiczności skierowana teraz na pewną familijną scenę, która się rozegrywa przy samym wejściu do ogródka. Jakieś małżeństwo poróżniło się przy ósmym kuflu piwa – teraz wzajemnie wyrzucają sobie rozmaite zdrożności popełnione. Ona broni się zawzięcie jak lwica, napędzając ciasne wnętrze ogródka trywialnym wrzaskiem na wpół pijanej rzemieślniczki.

– Jestem ślubne dziecko: Macierzyńska córka: Nie dam sobą poniewierać jak jaką najduchą.

Mąż z równym wrzaskiem wygłasza pewne wątpliwości co do jej pochodzenia; publiczność zaczyna się niepokoić i powstaje z miejsc dokoła klócej się pary. Płacz dzieci, czepiających się spódnicy rozszalałej z gniewu kobiety, dopełnia miary tego chaosu i zamieszania.

Tymczasem cienie zalegają ogródek. Ponad tym wrzeszczącym, pijanym tłumem noc rozpościera swą zasłonę. Tu i ówdzie pojawiają się na stołach świece, osłonięte od wiatru szklanymi kloszami. Ślusarka, zupełnie waniliówką pokrzepiona, staje się niezmiernie czułą i wylaną względem męża.

– Słuchaj, mężu! Daj buzi, kiedy cię ślubna żona prosi.

Kaśka przygastym wzrokiem spogląda na te pieszczoty. Wie, że powinna iść do domu. Państwo czekają. Ba! ale nogi ma jakby z ołowiu, a senność ogarnia ją zupełnie...

Jednak Jan wstaje i płaci kelnerowi rachunek za wypite napoje i chleb z wędzonką. Po czym podnosi prawie siłą Kaśkę i kieruje się z nią ku wyjściu. O! on ma o wiele silniejszą głowę i trzyma

się pewniej na nogach niż ta wielka dziewczyna, która się kołysze prawie, przechodząc koło Marynki. Ta ostatnia spostrzega ją nareszcie i krótką chwilę mierzą się obie pełnym znaczenia wzrokiem. Kaśka, pomimo swej łagodności, pod wpływem podrażniających napojów czuje jakąś nienawiść i głuchą złość do dawnej Jana kochanki. Marynka nie tai swego gniewu na widok „tłumoka”, który spaceruje tak jawnie przy boku jej dawnego kawalera. I mogłoby przyjść do jakiegoś starcia pomiędzy tymi dwiema kobietami, gdyby nie interwencja Jana przeczuwającego jakiś wybuch, mogący mieć złe skutki. Za chwilę Kaśka znajduje się na ulicy, gdzie ją świeże powietrze przyprowadza do równowagi. Ale Jan obejmuje ją w pól i prowadzi, szepcząc jej do ucha rozmaite dwuznaczne słówka. Kaśka przecież nie poddaje się teraz tak łatwo. Tam, w ogródku, za stołem, to było jakoś inaczej. Muzyka, rozgrzewające napoje, gorąco, wszystko to mieszało ją i odbierało przytomność. Teraz przecież, dostawszy się na ulicę, choć w części przychodzi do świadomości swego położenia. O! nie, nic z tego nie będzie, nie jest przecież dziewczyną, która się zapomni dla kufelka piwa. Kolację zjeść mogła, nawet śmiać się i pożartować lubi, ale wie, gdzie jest granica – i Jan, jakkolwiek przyjemny i wcale „honetny” chłopak, może dać jej spokój, przynajmniej na dzisiaj.

Jan wszakże nie traci nadziei. Dochodzą już do bramy, ona zawsze odmawia, pomimo że chętnie pozostałaby jeszcze w towarzystwie stróża. I prawie przemocą wyrywa się z jego ramion, którymi on ją przy sobie przytrzymuje. Walczy wtedy podwójnie, z mężczyzną i z samą sobą, z tą bezsilnością, która ją ogarnia teraz zwykle przy zbliżeniu się Jana. Gdy przebiegła bramę i wydostała się na dziedziniec, miała wielką ochotę zawrócić się, podziękować jeszcze Janowi za ten dzień, tak czule spędzony. Ale jakiś przestרח gnał ją na górę. Była to trwoga ściganego zwierzęcia, które czuje poza sobą śmierć pewną.

Każda kobieta doświadcza tej trwogi przed swoim upadkiem. Kaśka nie była wyłączonej od tej zasady. Biegając po schodkach, otrzeźwiała zupełnie. Jedynym jej dążeniem było dostać się do kuchni i zamknąć drzwi za sobą.

Gdy wieczorem ukłękła przy łóżku, jakiś niepokój owładnął jej istotę. Zapewne, bawiła się doskonale, piła bardzo wiele dobrych rzeczy, widziała różne dziwy. Jan był dla niej bardzo „heleganckim”, a mimo to miała dziwny niesmak w swym sercu. Przy tym wódka rozmarzyła ją do reszty. Prawie nie mogła podnieść ręki, aby się przeżegnać. I odurzona trunkiem, zmęczona wrażeniami dnia całego, zasnęła klęcząc, oparłszy głowę na złożonych na prześcieradle rękach. Spała tak już pierwszej nocy, gdy przyszła na służbę do Budowskich, ale spała wtedy z nadmiaru pracy i wysilenia. Dziś szukała rozrywki i zabawy, a znalazła także umęczenie ciała i duszy; który stan sprawiał jej więcej przykrości, nad tym nie zastanawiała się wcale.

Spała tylko twardo, wydając od czasu do czasu westchnienia, bardzo do jęku podobne.

\*

Zaczęły się teraz dla Kaśki dni dziwnego niepokoju, który ogarnął nią całą. W tym zdrowym i niezużytym ciele budziła się namiętność wielka, powstrzymywana uczciwością, stanowiącą w tej dziewczynie główną część jej istoty. Jan nie zasypiał przecież sprawy. Z całą przebiegłością ulicznego uwodziciela usiłował opłatać dziewczynę i namówić do złego. Ale ona trzymała się ostro, odpowiadając zawsze – nie! pełna pomimo tego chęci osunięcia się w ramiona mężczyzny, który pierwszy w życiu robił na niej silne wrażenie. Nieraz, gdy spotykał ją na strychu lub na korytarzu prowadzącym do piwnic, usiłował przytrzymać ją gwałtem – ona patrzyła mu wtedy prosto w oczy i jednym ruchem ręki odsuwała się do ściany, torując sobie wolne przejście.

Nie! ona nie mogła tak upaść, jak Marynka lub inne dziewczęta. Napatrzyła się nieraz w fabryce, jak wychodziły na podobnych zabawkach jej towarzyszek. Schodziły na poniewierkę i robotnicy dobrego słowa nie dali takim kobietom.

Gdyby zechciał wziąć ją za żonę!

Kaśka nie wspomina o tym nigdy, a przecież wie, że byłaby wtedy zupełnie szczęśliwą. Mieszkaliby pod jednym dachem, a ona mogłaby brać bieliznę do prania. Nie przysporzyłaby mu kłopotu, ba, i na dzieci zapracować by mogła.

Jan przecież jest przeciwnym małżeństwu. Kaśka wie o tym dobrze. Wszakże nie zapomni nigdy, jak wyśmiewał się z niej pierwszego wieczoru, gdy ją spotkał przed bramą. Pytał ją, czy zechce czekać na „ślubnego” – jakże można nawet myśleć, aby on sam chciał być tym „ślubnym”.

I Kaśka w swym szczęściu czuje się bardzo nieszczęśliwą. Wie przecież, że mężczyzna łatwo się zrazić może, skoro kobieta uwodzi go zbyt długo, a ta sama myśl, że Jan gotów odwrócić się od niej i stać się znów jej wrogiem, napędza ją rozpaczą nieokreśloną.

Powoli cała służba zamieszkująca kamienicę, nie mając teraz poparcia w złośliwości Jana, przestaje dokuczać Kaście. Teraz tylko szepczą na boku, podglądając z ciekawością jej stosunek ze stróżem. Tylko jedna Marynka pozostaje otwartym wrogiem „tłumoka” i usiłuje choć w ten sposób okazać swą pogardę dla swej następczyni.

Kaśka stara się wszystkie te zaczepki pomijać milczeniem. Nie odpowiada wcale na złośliwe docinki, których jej Marynka nie szczędzi. Szybko przechodzi mimo, udając, że nic nie słyszy.

Stan ten jednak nie mógł długo potrwać; stanowisko Jana pomiędzy tymi dwiema kobietami zaczynało wymagać jakiejś interwencji – i ta nastąpiła niebawem. Jan zajął się Kaśką nie na żarty. Opór dziewczyny drażnił go i podniecał jego grubą, trywialną naturę. Wobec łatwo upadających kobiet, z którymi miał do tej chwili czynienia, Kaśka była zjawiskiem niezwykłym. Żadne wypróbowane już przez niego fortele i sztuczki nie osiągały celu. Odmawiała ciągle, pomimo że drżała jak w febrze. Jan widział dobrze, co się z nią działo, i liczył na tę wrażliwość, ale wprędce zrozumiał, że zawiódł się i że nic nie zdoła skłonić Kaśki do zostania jego kochanką.

Rozumiał przecież, dlaczego się opiera. Powiedziała mu to wyraźnie owego wieczoru, gdy spotkali się przed bramą.

Chciała zostać żoną i tylko czepek mężatki mógł ugiąć jej głowę, którą teraz tak wysoko nosiła. Ba! ale Jan nie chciał się żenić – uważał to za głupstwo.

Studenci, u których posługiwał, mówili nieraz bardzo rozumnie, że mądry człowiek nigdy nie powinien przykuwać się do jednej kobiety.

Jan nasłuchiwał się takich opowiadań i teraz wie, czego się trzymać. Baba prędko się starzeje i brzydnie, a potem ani rusz odczepić się od „ślubnej” nie można. – Kochanka – to co innego.

Skoro się sprzykrzy, to się porzuca. Jeśli awantury robi, od czego kułak lub miotła? Zawsze sobie z kochanką poradzić można.

Chwilami więc Jan szedł po rozum do głowy i przestawał starać się o względy Kaśki. Udawał zajętego pracą i nie zaczepiał jej, gdy przechodziła koło niego przez dziedziniec. Ale nie mógł się oprzeć pokusie, aby nie spojrzeć na tę roslą, tęgą kobietę, tak dobrze i mocno zbudowaną, która z szelestem czystych spódnic przesuwiała się koło niego. Wzrok jego z rozkoszą zatrzymywał się na czystej linii jej karku, który pokrywały zdobne, ciemne włosy, wymykające się spod ciasno upiętego warkocza.

I nie pomagały wtedy najsilniejsze postanowienia. Jan porzucał miotłę lub blaszaną polewaczkę i biegł za Kaśką, aby przytrzymać ją w ciemnym kącie bramy lub klatki schodowej. Usiłował zaciągnąć ją zawsze do najciemniejszych zakątków – czuł, że tam stawała się o wiele słabszą, łatwiejszą... Rzec można, że światło dzienne dodawało jej siły. Po dniu broniała się znacznie lepiej, w ciemnościach chwilami nie odpychała go i stawała się jakby odrętwiała.

Jan miał już nieraz nadzieję, ale ta do tej chwili zawodziła go przecież. Kaśka zwykle oprzytomniała w porę i uciekała, zostawiając go w największym podrażnieniu.

I ona czuła niebezpieczeństwo takiego spotkania – instynktem wiedziona, unikała ciemności, w których nie czuła swej zwykłej pewności. Dlatego umyśliła przyjmować Jana w kuchni. Tam przecież jest spokojną, wie, że Jan zachowa się przyzwoicie. Choć on „państwa” nie bardzo szanuje, ale ona potrafi go uprosić i w ten sposób załatwi się cała sprawa przyzwoicie. Będą mogli widywać się

spokojnie, po ludzku, a nie po kątach jak jakie włóczęgi. Przecież państwo jej takiej rozrywki zabronić nie mogą.

Już i tak Marynka bezustannie podpatruje, kiedy się razem zejdą i choćby chwilę żartują ze sobą. Ta niepocziwa dziewczyna wiecznie po domu się kręci, niby to szukając Lali i Parysa.

Prawda, że psy latają ciągle z góry na dół, ale ona, pod pozorem pilnowania, jest ciągle tam, gdzie być nie powinna. Kaśkę to gniewa, bo wie, że Marynka ma ostry język i gotowa Bóg wie jakie plotki po ludziach poroznosić. Jan także kilka razy zniecierpliwiał się, gdy mu Marynka w drogę wchodziła. Teraz nie lubi tej dziewczyny, a jej zadarty nos i złośliwe oczy gniewają go. Przyzwyczał się do łagodnego spojrzenia Kaśki i Marynka po prostu wydaje mu się brzydką i złą dziewczyną. Przypomina sobie łatwy upadek i jej płaską, głupią miłość, w której kolczyki, pierścione i krzyżyk z turkusem wielką grały rolę.

Gdyby mógł, odebrałby jej teraz te świecidełka; wielki ma żal do siebie, że się dał „wziąć na kawał”. Och! ona umiała „naciągać”, ta nicdobrego! Dlaczego Kaśka nigdy nie zażąda nic od niego? Jej chętnie kupiłby niejedną rzecz piękną, gdyby tylko się namyśliła i nie odpychała go ciągle. To przynajmniej byłoby warte, ale Marynka!...

Pewnego popołudnia zauważył Jan, że Kaśka musiała skończyć zwykle tygodniowe pranie i z pewnością koło piątej pójdzie na strych wieszać bieliznę.

Rzeczywiście, przyszedłszy pod pozorem obejrzenia zepsutego dachu, zastał Kaśkę, która przyniosła cały kosz mokrej zupełnie bielizny, a pozostawiając go na ziemi, czerwonymi i wilgotnymi jeszcze rękami przymocowywała sznury do wystających na ukos belek.

Strych był dość obszerny i podzielony drewnianymi sztachetkami na kilka oddziałów. Każdy lokator miał swój własny oddział, który zamykał na kłódkę. I Budowscy, jakkolwiek niewielkie zajmowali mieszkanie, mieli także oddzielną klatkę, dość widną, bo opatrzoną właśnie okienkiem, wychodzącym na dachy. Zdawało się, że rozpalona blacha dachu przesyła w głąb domu swe gorąco. Kaśka oddychała ciężko, a pot kroplami spływał jej z czoła. Chwilami krew zalewała jej mózg i odbierał przytomność. Jedną z mokrych chusteczek położyła na wierzchu głowy, pragnąc ulżyć sobie i ochłodzić się trochę.

Gdy przymocowywała sznury, dostrzegła wchodzącego Jana. Była pewna, że przyjdzie! i nie zdziwiła się wcale, przywitała go uprzejmie i rozpoczęła wieszanie bielizny. Śpieszyć się musiała... pani dziś wieczór miała iść na schadzki, dlatego samowar musiał być wcześniej podany.

Jan udał się na przeciwległy koniec strychu udając niezmiernie zajętego ważnością naprawy popsutego dachu. Stały tam kufry pani hrabiny i woda lała się wprost na nie, tak przynajmniej mówiła wczoraj kucharka. I podnosząc głos opowiadał Kaśce o rozmiarze owej szczeliny, jaka pozostała w świeżo naprawionym dachu.

Kaśka, zajęta bielizną, przyznaje mu słuszność w konieczności zawezwania dekarza – choć jeśli to niewielka szpara, to sam Jan jakoś załatać może.

Ale Jan oponuje.

– Niech psiawiara gospodarz płaci, kiedy mu się domu zachciewa – mówi zbliżając się do Kaśki – ja ta pańskiej kieszeni oszczędzać nie będę, nawet dekarza namówię, coby naprzód dach jeszcze gorzej rozwalił, a potem se więcej płacić kazał.

Kaśka milczy.

Dawniej przecież byłaby stanowczo oświadczyła się za oszczędzaniem pańskiej kieszeni, ale dziś, gdy sama oszukuje pana, nie śmie ganić postępowania Jana. Zresztą, kto wie, może on i ma rację. Mój Boże, taki właściciel komorne zbiera a zbiera, a taki biedny dekarz dobrze napracować się musi, zanim kilka centów uszkłada.

Jan siada na małej pace, stojącej na samym przejściu, i wyciąga z kieszeni króciutką fajeczkę, zaczyna zabierać się do palenia.

Kaśka widocznie uznaje za stosowne zaoponować.

– Niech pan Jan da z tą fajką pokój, jeszcze się ogień zaproszy i wszystko z dymem pójdzie.

Ale Janowi obojętna jest widocznie cudza własność. Z niewysłowioną ironią patrzy na Kaśkę, a zapaliwszy fajkę, rzuca niedbale niezagaszoną zapałkę poza siebie.

– Owa! – mówi wolno, puszczając sinawe kółka, które rozptywiają się powoli w powietrzu – owa! toby ci była heca, żeby się ta hardyga spaliła! Abo to moje, albo panny? Ja ta po mój kuferek jeszcze bym zdążył, a Kasię tobym na plecach wyniósł. A niechby się paliło, nauczyłoby to pana bumblować po ulicach i nic nie robić. On pieniądze od lokatorów furtem ciągnie, a czy mu to dom prosi jeść albo pić? Nic go to nie kosztuje, a on za byle klitkę setkę se kłaść każe. Ja bym go puścił w taniec, ażby się piętami bił po plecach. Psiakrew zwykła!

Kaśka nie odpowiada nic, przyzwyczajona już do tych gwałtownych wybuchów, które ogarniają Jana na myśl o cudzym dobrobycie. Może być, że on ma rację, tylko że ona woli się znów w takie rzeczy nie mieszać. Niech będzie tak, jak jest, podpalać dom – to byłoby nieuczciwie.

Co innego kilka centów „koszykowego”, to przecież państwa nie zrukuje. Zresztą, pani sama pokazała jej drogę...

I rozmyśla w ten sposób, wieszając powoli bieliznę, sztuka po sztuce, uważając, aby wszystko się wygodnie rozmieścić udało. Cała nędza skąpego urzędniczego życia prześwieca z tej bielizny o tanich, bazarowych fasonach, z rzadkiego perkalu uszytej. Te koszule o pospolitych haftach; kaftaniki z długimi, ubranymi falbanką rękawami; prześcieradła obrębione tylko u dołu, nie zakończone ani haftem, ani koronką; poszewki, równie trywialne, jak głowy, które na nich spoczywały – świadczą zbyt wyraźnie o życiu pozbawionym wszelkiej elegancji, komfortu, zamiłowania piękna. Kaśka zawiesiła ostatnią spódniczkę i odetchnęła z zadowoleniem. Upał stawał się nadto ciężki do wytrzymania.

Zabrała już pusty kosz, a zamknawszy kłódkę, gotowała się do odejścia.

Od kilku minut Jan śledził ruchy dziewczyny z wielkim napięciem. Niezdrowa żądza zaczynała ogarniać go znowu, a w tym gorącu namiętność jego rosła nad miarę.

Gdy Kaśka przechodziła koło niego, pociągnął ją tak gwałtownie, że mimo woli usiadła na pace. Objął ją wpół i przyciągnął ku sobie. Ona, bezsilna pozwoliła pocałować się w usta raz, drugi i dziesiąty... Nagle przyciszony chichot rozległ się pod niskim dachem strychu.

Kaśka, przerażona, spojrzała w stronę, skąd głos pochodził. W otwartych drzwiach wchodowych w jasnej smudze światła stała Marynka, trzymając pod pachą Parysa, który wywiesiwszy język, dyszał ciężko wśród tego straszego gorąca. Jak zwykle, dziewczyna ta musiała się zjawić i podpatrzeć ich, kiedy się całowali.

To już zaczynało być nieznośne.

Kaśka zerwała się szybko i schwyciwszy kosz, chciała wyjść ze strychu. Nie było to jednak tak łatwe. Marynka tamowała przejście i stała wciąż we drzwiach, chichocząc się ze źle ukrytą złością.

Nie miała przecież pretensji, ażeby Jan nie miał innej kochanki, skoro się rozeszli w dobrej zgodzie, ale brać po niej Kaśkę – zdało się jej nadto oburzające.

Jan przecież wpadł w gniew i widocznym było, że teraz Marynki wcale oszczędzać nie będzie. Szło mu tak dobrze, a Kaśka pierwszy raz nie odsuwała go od siebie.

Gdyby nie ta nieznośna dziewczyna, kto wie, co by się stać mogło!

Podniósł się więc z paki, a przez zaciśnięte zęby wyszeptał ulubione swoje:

– Psiakrew! a! psiakrew zwykła!

Marynka przecież nie uważała tej zmiany na twarzy Jana, ona wciąż patrzyła na Kaśkę, uszczęśliwiona ze zmieszania dziewczyny. Na koniec, nie przestając się chichotać, zapytała:

– Nie widział tu pan Jan przypadkiem „tłumoka”? Tym z magistratu zapodział się gdzie... pewnikiem jest na strychu!

Kaśka poczerwieniła cała.

Nazywa ją wobec Jana „tłumokiem”? O! na cztery oczy niech mówi, co chce, ale nie przy nim! nie przy nim!

Cały gniew mężczyzny zawiedzionego w swych nadziejach zawrzał w piersi Jana. Marynka w tej chwili staje mu się najwstrętniejszym stworzeniem pod słońcem. Kaśka może być spokojną – on

się pomści za nią i za siebie. I cały grad obelg spada nagle na zdziwioną tym wybuchem Marynkę. Jan nazywa ją latawcem, urwipiętą i ma minę tak groźną, jakby chciał ją zrzucić co najmniej z trzeciego piętra.

Ona przecież nie daje za wygraną. Owa! wielka historia, że im przerwała ich czułości! Taka dziewczka, jak Kaśka, to stary praktyk! Ona potrafi znów go do kąta zaciągnąć. Tylko czy nie wstyd Janowi zadawać się z taką dziewczyną, która Bóg wie skąd się przywlokła do kamienicy i nawet koszuli na grzbiecie nie ma.

Ale Jan jest już przy niej i piorunującym głosem nakazuje Marynce milczenie. Każdej wolno, tylko nie jej! Ona to zasługuje na dobre słowo, włącząc się co tydzień z innym mężczyzną!... Od Kaśki jej wara, bo to uczciwa – a teraz takiej dziewczyny ze świecą wyszukiwać trzeba.

Marynka błednieje cała pod wpływem słów Jana. Tak? teraz on będzie jej wyrzucał, że się źle prowadzi? A któż to całował ją tak, jak przed chwilą Kaśkę, a na piwo się z nią prowadził? Niechże teraz jej zaprzeczy, niech ośmieli się powiedzieć, że jest urwipiętą!

Owszem, ona bardzo prosi, aby powiedział, czy jej nie kochał i nie zaklinał się, że będzie z nią żył rok cały. Tylko ona miała więcej rozumu niż ta głupia Kaśka i opatrzyła się prędko, że nie warta gra świecy.

– A nie dałem ci złota? – woła rozwścieklony Jan, przyskakując do wrzeszczącej dziewczyny. – Oddaj złoto, a potem czekaj... ale raz ci mówię, od Kaśki wara, bo nie takim, jak ty, buzię sobie nią wycierać!... Ona uczciwa dziewczyna, a ty psiakrew zwykła!!!

I z najwyższą pasją trzęsie zaciśniętymi pięściami nad głową Marynki. Chwila jeszcze, a uderzyłby ją z pewnością. Ale ona w sam czas uciekła, rzucając poza siebie następujące słowa:

– Czekaj, ja cię przekonam o jej uczciwości! Zobaczysz, dla kogoś mną poniewierał!

Słowa te padają jak groźba na rozplakaną Kaśkę. Jaka. trwoga ściska jej serce. Przecież nie popeliła nic złego. Jan może śledzić jej kroki – a jednak obawa ogarnia ją całą.

Przy tym to rozsuwanie przed jej oczyma całej nędzy miłostek Marynki i stróża sprawiło jej przykrość wielką.

Gdy schodziła ze strychu, płakała gorzko i długo, jeszcze w kuchni nie mogła się uspokoić. Jan nie zatrzymywał jej przecież; czuł, że coś niedobrego stanęło pomiędzy nimi. Był widocznie zmieszany słowami Marynki i pragnął czym prędzej opuścić strych, przedstawiający mu się jako widownia dawnych, niesmacznych miłostek. Odprowadził Kaśkę do drzwi pomieszczenia i pożegnał ją grzecznie. Gdy się drzwi za nią zamknęły, stał jeszcze długą chwilę zamyślony i jakiś markotny. Czuł się nieswój i chciał Kaśkę przeprosić za przykrość, jakiej doznała od dawnej jego kochanki.

Nie wiedział tylko, jak zacząć, i dlatego nie powiedział nic, sprowadzając ją ze schodów. Widział tylko łzy dziewczyny i te mu leżały kamieniem na sercu.

Pomedytowawszy trochę, zeszedł na dół i udał się wprost do szynku.

Ale i przy kieliszku nie mógł zapomnieć o tym przykrym przejściu. Żałował prawie, że uniósł się tak bardzo i obraził Marynkę. Dziewczyna zła, gotowa się mścić na nim i na Kaśce, a kobieta mściwa – toć gorzej diabła samego!

Kaśka tymczasem otarła łzy i zabrała się do nastawiania samowaru. Pani oddała jej znany list – i miała znów wykonać zwykły manewr dla umożliwienia pani zobaczenia się z kochankiem. Przez te kilka miesięcy Kaśka przyuczyła się do kłamstwa i szło jej nadspodziewanie gładko. Nie jąkała się teraz tak jak dawniej, gdy coś nieprawdziwego miało jej przejść przez gardło. Tylko oczy trzymała zwykle wlepione w ziemię, nie mogąc przemóc na sobie, aby spojrzeć nimi prosto w twarz pana. Drobne, powszednie grzechy zaczynały przychodzić jej z większą, niż się spodziewała, łatwością. To ją po prostu zachęcało do większych przestępstw.

Gdy gotowała się wejść do pokoju, uderzyły ją jakieś jęki, dochodzące od strony sypialni. Wszedłszy do jadalni, zastała samą panią, stojącą na środku pokoju, niezmiernie zakłopotaną. W kilku słowach objaśniła Kaśce istotny stan rzeczy.



Pan, powróciwszy z biura, czuł się niezdrów – była to choroba przykra, kamienie żółciowe, które mu już nieraz dokuczały w życiu. Teraz to widocznie powraca i trzeba przyszykować kataplazmy z lnianego siemienia, a do kieliszka wycisnąć sok z kilku cytryn.

To mniejsza, ale cóż teraz będzie z tą schadzka? Nie sposób odejść, bo pan jest w takich razach szalenie grymaśny i nie pozwala jej odejść na krok od łóżka. Trzeba więc zawiadomić tamtego, aby nie czekał na nią. Kaśka tylko to może uczynić.

Wie przecież, gdzie zwykle staje kareta; skoro się ściemni, musi pobiegnąć na wiadome miejsce i tam opowiedzieć, dlaczego pani nie mogła dotrzymać danego przyrzeczenia.

Kaśka zgadza się chętnie i przygotowawszy kataplazmy oczekuje nadejścia nocy.

Tymczasem Budowski przeraźliwymi jękami napełnia wnętrze mieszkania. Jego zżółkła, pomarszczona twarz wykrzywia się bezustannie, kurczona bólami szarpiącymi jego wnętrzościami. Julia z apatycznym wyrazem twarzy zmienia kataplazmy, podaje mu cytryny nie okazując najmniejszego współczucia dla cierpień męża. Wygląda jak płatna dozorczyńni, zgodzona na dnie do doglądania obojętnego dla niej człowieka.

Myśl jej krąży gdzie indziej jak przy łóżku chorego. Nie wie, czy Kaśka sprawi się dobrze i opowie istotną przyczynę, która ją zatrzymuje w domu.

Ściemnia się zupełnie.

Kaśka, narzuciwszy chustkę na plecy, wybiega z domu i dąży w stronę, gdzie zwykle oczekuje na Julię jej kochanek. Z daleka widzi już dwie latarnie, świecące żółtym blaskiem. Zbliży się do powozu i spotyka opartego o drzwiczki młodego, wysokiego mężczyznę. Pali, jak zwykle, papierosa, ale na widok zbliżającej się Kaśki rzuca go na ziemię. Dziwi się jednak, nie dostrzegłszy Julii. Kaśka staje przed nim zmieszana, zdyszana cała od zbyt pośpiesznego biegu.

– Pan zasłabł – mówi szybko, nie podnosząc oczu na patrzącego na nią mężczyznę – pan zasłabł, a pani robi kataplazmy, przyjść nie może, pięknie pana przeprasza.

To „przeproszenie” dodała już z własnej głowy. Wydało jej się to o wiele polityczniejsze. Pani wprawdzie nie mówiła o tym, ale Kaśka wie dobrze, co się komu należy.

Załatwiwszy się w ten sposób, pragnie odejść, ale wysoki mężczyzna przytrzymuje ją za rękę.

– Co pani robi? co? – zapytuje, chcąc zawiązać i przeciągnąć w ten sposób rozmowę.

Kaśka odpowiada chętnie, sądząc, że ów pan nie dosłyszał, co do niego mówiła.

– Kataplazmy, proszę pana, z siemienia lnianego, i dlatego pana pięknie przeprasza.

– Za co przeprasza? – pyta znów mężczyzna, przysuwając się bliżej do zmieszanej tym niespodziewanym zbliżeniem dziewczyny.

– Za to... że przyjść nie może – odpowiada Kaśka, usuwając się o ile możliwości jak najdalej.

On mierzy ją dziwnym spojrzeniem. Ta dziewczyna podoba mu się. W pogardzie swej dla kobiet lubi odmiany; dziewczyna z gminu jest tak łatwą zdobyczą, po którą wyciąga się rękę, a ona sama zbliża się zwykle, uszczęśliwiona zaszczytem, jaki ją spotyka.

I w mdłym świetle latarni rozbiera szybko jej wdzięki. Tak! ta dziewczyna może być niezłą rozrywką wśród wielu innych. Dlaczegoż nie zabawić się, skoro i ona chętnie skłoni się zapewne ku uczynionej propozycji.

I bez wahania, szczypiąc dziewczynę w policzek, daje do zrozumienia to, do czego dąży. Ona, zmieszana tym nieoczekiwanym zwrotem, stoi chwilę, jakby przykuta do miejsca.

Jak to?... i ten także?

Mając tak piękną panią, zaczepiać jej własną służącą... Kaśka stoi, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. Cóż ci mężczyźni mają pod skórą, aby napadać na kobiety, które raz pierwszy w życiu widzą?!

On nalega.

Milczenie Kaśki bierze za wahanie i namysł. Wie z doświadczenia, że moralność nie kwitnie pomiędzy sługami, a każda prawie chętnie daje się namówić do złego. O Julię nie lęka się wcale – wie również, że sługi często dzielą się ze swymi paniami przedmiotem miłości, ale mają tę wyższość nad swymi chlebodawczyniami, że są bardziej dyskretne. A wreszcie, Julia ciąży mu po prostu, rad by z nią zerwać – lecz trudno poradzić z tą tajemniczą kobietą, współsenną, a mimo to na-

miętą. Kto wie, jaki ogień kryje się w tych przygasłych źrenicach. On się boi, może to zerwanie byłoby nadto kompromitującym, jeśli w nim źródło weźmie. Lepiej niech Julia da jaki powód, zrobi mu scenę – choćby scenę zazdrości. Już wtedy poradzi sobie z pewnością.

Kaśka przecież pragnie odejść i wyrwa się niemal z gniewem.

– Nie bądź głupia i dzika – tłumaczy jej mężczyzna – jesteś wcale przystojna, podobasz mi się, nie pożałujesz; zobaczysz:

Ale Kaśka nie słucha. Ona pragnie odejść czym prędzej, bo ogarnia ją dziwny wstręt do tego człowieka, którego ręka przytrzymuje ją silnie na miejscu.

– Puść mnie pan, puść! – odzywa się nareszcie silnym głosem – puść, bo wszystko powiem pani!

I niezwykła energia brzmi w głosie dziewczyny. Ona, zwykle tak nieśmiała wobec ludzi zajmujących wyższe stanowisko społeczne, podnosi oczy i z wyrazem niewysłowionej pogardy spogląda w twarz mężczyzny.

W żółtym świetle latarni spotykają się ich źrenice; jego – pociągnięte mgłą nagle zbudzonej żądz, jej – czyste, prawdziwie dziewicze. Chwilę patrzą i Kaśka pierwsza odwraca głowę. Jakaś dziwna trwoga przejmuje jej całą istotę. Dawno już, będąc dzieckiem, widziała rycinę przedstawiającą jakąś poczwara – pół kozła, pół człowieka. Rycinę tę znalazła na śmietniku i długo zachowywała ją przypatrując się codziennie kilka razy.

Teraz przypomina sobie, że ta poczwara miała twarz bardzo podobną do mężczyzny, który stoi przed nią. Kaśka boi się takich złych twarzy, jest przekonana, że one nieszczęście za sobą noszą, a należą tylko do najgorszych ludzi.

Dlatego się przeraziła i teraz stoi cała drżąca, cisnąć wolną ręką gwałtownie bijące serce.

On, rozgniewany oporem dziewczyny, a zwłaszcza jej groźbą, puszcza ją nagle, rzuciwszy na uciekającą niezbyt grzecznie:

– Idź sobie do diabła!

Kaśka woli iść do samego diabła, jak rozmawiać dłużej z takim „niegodliwym panem”. Pierwszy raz w życiu nienawidzi kogoś. Mój Boże, pani taka piękna, taka grzeczna, taka wychowana, a ten pan się jeszcze jej biednej sługi czepia!

Dlaczego?

Kaśka tego zrozumieć nie może.

Wie tylko, że chce uciec jak najprędzej od nienawistnego sobie człowieka. Uszedłszy kilka kroków, potraça jakąś dziewczynę, stojącą niedaleko miejsca, na którym przed chwilą rozmawiała z kochankiem swej pani. Ponieważ powóz jeszcze nie ruszył, gdyż zawiedziony podwójnie w swych nadziejach, załatwia rachunek z woźnicą – smuga światła, bijąca z latarni, oświetla dostatecznie potraconą przez Kaśkę kobietę.

Jest to Marynka, idąca z koneweczką po wodę do bliskiego wodociągu. Kto wie, może owa konewka to tylko pozór dla śledzenia Kaśki...

Ta ostatnia wszakże nie rozumuje i nie podejrzewa Marynki o zamiary podpatrywania jej czynności. Przechodzi mimo, cała zmieszana jeszcze dziwną przygodą i napaścią, jakiej doznała. Nie! ona tego nigdy swej pani nie opowie. Ta biedna, pocziwa pani zmartwiłaby się z pewnością. Mój Boże, przecież Jan jeszcze dla niej niczym nie jest i po prostu nie ma do niego żadnego prawa, a mimo to byłaby szczerze zgryziona, gdyby się dowiedziała, że inną dziewczynę zaczepiał. Nawet na tę myśl dostaje zawrotu głowy i o mało nie wpada pod koła nadjeżdżającej dorożki. Stanowczo – kocha się w nim! Ot, nowa bieda do jej utrapień. I po co jej było wdawać się w takie awantury? Teraz ani go z serca wygryźć, Wpił się głęboko, jak pijawka.

Kaśka tylko o nim ciągle myśli i chodzi po prostu jak bez głowy... Biednej dziewczynie, jak ona, nie do kochania. To zawsze prowadzi albo do płaczu, albo do grzechu.

I Kaśka zatrzymuje się na ulicy, czując w oczach łzy, które powoli zaczynają jej ściekać po policzkach. Owszem, niech się wypłacz, może jej lżej choć trochę będzie, bo teraz ma tyle smutku w gardle, że ją mało nie udusi.

Opiera głowę o mur kamienicy i stoi tak długą chwilę, potrącana przez przechodniów. Czegóż im stoi na drodze ta wielka i barczysta? Zabiera sobą pół chodnika.

Może pijana?

Prawdopodobnie, bo, ot, wzięła się za głowę, zupełnie jak pijaczka...

Ale Kaśka nie jest pijana. Przecież ona nie piła nic, w ustach nawet dziś wódki nie miała. Tylko ją ta żalność tak „chwyciła”, że się wyplakać musiała. Zapewne, że na ulicy to nie uchodzi, ale w kuchni płakać nie może, bo nie ma czasu – pan chory, to będzie zakrętanina z kataplazmami. Na ulicy to swobodniej. Jeden, drugi się obejrzy, ale Kaśka znów o nieznanym nie dba. Dlatego teraz stoi pod murem kamienicy i kułakiem ściera łzy, ciekące jej po twarzy.

\*

Szybko minął koniec lata i nadeszła jesień. U Budowskich ostatnie tygodnie wlokły się powoli, niosąc z dniem każdym chorobę i nieodłączne od niej kłopoty. Budowski leżał w łóżku, stękając i przesadzając w skargach i lamentach. Julia ze zwykłą sobie obojętnością doglądała go początkowo w chorobie, ale wkrótce znużyła ją ta rola, wymagająca bezustannego ruchu. Wprędce więc pozbyła się obowiązków dozorczyń, przelewając je w zupełności na Kaśkę. Na tę ostatnią więc spadł ciężar doglądania grymasnego starca, podawania mu lekarstw, czuwania przy nim w nocy i pełnienia rozmaitych innych posług, nieodłącznych od łóżka chorego.

Julia pod pozorem aptecznej atmosfery, panującej obecnie w mieszkaniu, dni całe paliła trocizki i kadziła chińskimi papierkami, które kupowała teraz wraz z lekarstwami z apteki. Nie pomogła w tym razie opozycja Budowskiego, który krzykliwym głosem wołała, iż cała jego krwawa praca pójdzie z dymem.

Julia nie tłumaczy się nawet. Szczęśliwa, kąpała swą zgniecioną postać w sinawych obłoczkach, unoszących się w przestrzeni – reszta obchodziła ją bardzo mało.

Kaśka więc miała teraz bardzo wiele do czynienia. Oprócz zwykłych zatrudnień musiała co chwila zaglądać do sypialni, pytając, czy chory nie potrzebuje czegokolwiek.

Budowski nie był nigdy przyjemnym – i zółciowe kamienie mają to do siebie, że czynią człowieka niezmiernie zgryźliwym i niewyrozumiałym dla drugich.

Kaśka przeto cierpiała bezustannie łajanie i najostrzejsze wymysły, pomimo że dokładała wszelkich starań dla dogodzenia dziwaczemu starcowi.

Pewnego dnia, dusząc się w atmosferze medykamentów i chińskich papierków, nakazał Kaśce przynieść w garnku świeżego powietrza. Kaśka, posłuszna, wybiegła na dziedziniec, łowiąc owo „świeże powietrze” dużym garnkiem glinianym. Po czym nakryła go szybko blaszaną pokrywką i pobiegła do pokoju pana. Ale to wszystko nie zadowoliło Budowskiego. Wetknąwszy głowę w garnek i odetchnąwszy głęboko, oświadczył Kaśce, że mu przyniosła stęchłe powietrze, które musiała łowić koło śmietnika.

Nie pomogły zakłęcia Kaśki, która pragnęła przekonać chorego, że „brała” powietrze ze środka dziedzińca koło kasztanów, Budowski twierdził uparcie, że powietrze jest stęchłe i że śmietnikiem trąci. Był to jeden z tysiąca kaprysów, jakie Kaśka musiała zadawać, upadając nieraz z bezsenności i znużenia. Miała jednak wielką pociechę, która osładzała jej ciężkie dni obecne.

Oto Jan, zaproszony pewnego wieczoru, przyszedł do kuchni i przesiedział kilka godzin, rozmawiając z nią bardzo przyzwoicie. Odtąd przychodził prawie codziennie i siedząc przy stole patrzył, jak się krząta po ciasnej kuchence, prasując lub zmywając naczynia. Pani, wyszedłszy do kuchni, zobaczyła Jana, ale on wstał i uklonił się bardzo grzecznie, czym sobie do reszty zjednał Kaśkę.

Powiedział nawet „całuję rączki” – a to było szczytem grzeczności z jego strony.

Pani, zapewne ujęta jego uprzejmością, nie zaoponowała przeciw tym wizytom. Owszem, popatrzyła jakoś dziwnie na Kaśkę, a potem na niego i uśmiechnęła się pobłażająco. Kaśka była tym dowodem łaski tak rozczulona, że schwyciwszy rękę pani, ucałowała ją gorąco.

Jan zganiał natychmiast ten akt pokory.

Ale Kaśka nie zwracała uwagi na podobnego rodzaju gadaniny. Ona wie, że pani jest bardzo dobrą, i dla niej chętnie by w piekło skoczyła. Teraz tylko chodzi jej o przyzwoite przyjęcie Jana, tak ażeby nabrał o niej dobrego wyobrażenia. Marcepanów przed nim nie postawi, ale „koszykowe” pozwala jej na małe zbytki.

Kawałek salcesonu, krwawej kiszki lub wreszcie para pięknych świeżych kiełbasek pojawia się zwykle przed Janem. Przy tym, odkąd pan leży, Kaśka zasypuje sama herbatę, pokazując zawsze dno czajnika, aby Budowski mógł sprawdzić, czy nie za wielką ilość użyła. Nie przeszkadza to przecież dosypywać powtórnie, powracając z sypialni – tego pan kontrolować nie może.

Marzenie więc Kaśki spełnione.

Owej niedzieli, którą tak smutnie spędziła, włócząc się sama po ulicach miasta i siedząc skurczona w kościele, marzyła o porządnym człowieku, który, usiadłszy koło stołu, rozmawiałby z nią życzliwie i w ten sposób życie znośniejszym czynił.

W nadmiarze swego zuchwalstwa pragnęła, aby ten człowiek miał rysy i postać Jana! Dziś – marzenie jej spełnione, oto Jan sam we własnej osobie siedzi, oparty o stół zastawiony brudnym naczyniem, i kręcąc gałeczki z chleba, rzuca nimi na uszczęśliwioną Kaśkę. Ona, zaczerwieniona, świecąca cała od potu, z rękawami zawiniętymi krząta się po ciasnej kuchence, szorując właśnie szaflik, na pozór zajęta robotą, ale wpatrzona w Jana jak w tęczę.

W kuchni nie boi się żadnej napaści z jego strony. Bliska obecność państwa ratuje ją. Jan nie spróbował nawet żadnej ze zwykłych sobie zaczepek. Rzuca na nią od czasu do czasu gałeczkami z chleba lub schwyciwszy kropidło, skrapia ją obficie wodą, ale Kaśka zna się na żartach i wie, co znaczą podobne figle. Ona tylko boi się ciemnych kątów, w których siły zupełnie ją odbiegają.

Tu, przy świetle, koło pani, jest silna i pewna siebie. Dlatego nawet uśmiecha się częściej i staje się zalotną. Jan pochwalił jej ręce, czerwone, grube, pokryte lśniąca skórą.

Powiedział, że lubi takie „łapska”, bo to zdrowie i pracowitość pokazuje. Kaśka od tej chwili podnosiła zwykle rękawki swego kaftanika, starając się o ile możności pokazać jak najwięcej swych rąk czerwonych. Była to kokieteria niewinna, istotnie kuchenna, ale zawsze kokieteria. Kaśka powoli przekształcała się na doskonałą kobietę. Cała służba, będąca w kamienicy, wiedziała o wizytach Jana u Kaśki i śledziła z nieokreśloną ciekawością cały przebieg tego stosunku.

Kucharka pani hrabiny, wróciwszy właśnie z adoracji Najświętszego Serca Jezusowego, zaopiniowała, że jeszcze nigdy pod dachem takiego domu nie spała! Coś podobnego mogło się zdarzyć tylko w Sodomie i Gomorze, o czym właśnie pozawczoraj z ust samej pani hrabiny słyszała. Pokojówka, młodsza i nie wpisana do bractwa bezustannej adoracji, wyrażała tylko swe ubolewanie nad Janem, który, będąc tak „szykantnym mężczyzną, kompromituje się z taką dziewczyną”.

Właścicielka sklepiku, żona tapicera, cały legion nianiek i posługaczek z oficyny stanowiły niezłą armię, pełniącą obowiązki policji śledczej.

Gdy Jan szedł na górę, cała kamienica wrzała oburzeniem. Jak to, o ósmej? Proszę, teraz już nie krępują się wcale. Niedługo zacznie tam przesiadywać w południe. Lepiej by było, aby właściciel komórkę stróża wynajął – Kaśka przyjmie go na mieszkanie wraz z manatkami. I nienawisć do dziewczyny rosła w miarę przychylności, jaką Jan jej okazywał. Budowskich nie oszczędzano wcale. Musi być porządna taka pani, która pozwala na takie szkaradzieństwa tuż obok siebie. Zresztą, wszyscy wiedzą, co są ci ludzie warci – jaki pan, taki kram...

Tylko jedna Marynka zachowywała się nad podziw umiarkowanie. Gdy inne służące gromadziły się w bramie lub na schodach, celem zajęcia się losem Kaśki, ona przechodziła zwykle obok nich milcząca i zachmurzona. Nie dorzuciła nigdy słówka do ich rozmów, unikając po prostu najmniejszej wzmianki o swym dawnym wypadku.

Rzec można, że przeżuwała w myśli jaki plan, który wykonać zamierzała w niedalekiej przyszłości.

Tymczasem Kaśka, zupełnie szczęśliwa mimo nadmiernej pracy i nędznego pożywienia, żyła z dnia na dzień, czekając przybycia Jana z gorączkową niecierpliwością. Gdy zbliżała się ósma, Kaś-

ka dostawała febrycznego dreszczu i purpurowych na twarzy wypieków. Drżącymi rękami przygotowywała zakupione poprzednio wiktuały lub rozpaliała ogień dla przyrządzenia kielbasek, które Jan lubił nad wszystko. Jakże szczęśliwą się czuła, gdy Jan spożył kolację z apetytem i wypił kilka szklanek herbaty, którą lubił mocną i z arakiem. Kaśka całą swoją pensję traciła na te traktamenta, a „koszykowym” dzieliła się w sposób bardzo nierówny z panią. Był to jedyny sposób, w jaki Kaśka ujawniała na zewnątrz swą miłość do Jana. Zaczerwieniona, zgorączkowana, z pustym żołądkiem, śledziła wrażenie, jakie robi na Janie kapusta zostawiona z obiadu lub kiszka w nowy przyrządzona sposób.

Gdy jeść nie chciał lub nie mógł, Kaśka ze zmartwienia długo spać nie mogła.

Widocznie był u innej i tam mu lepiej smakowało... Ach! w takie dni byłaby Kaśka zdolna do kradzieży choćby dwóch szóstek, aby tylko kupić jakiś marcepan, który byłby w guście Jana. Gdy zjadł wszystko, a chlebem zmiotł talerz do czysta, Kaśka śmiała się, zatykając ścierką usta.

Otóż tak, to lubi! widać zaraz, że ona u niego – jedyna!

Tymczasem Budowski powracał powoli do zdrowia. Siedział o własnych siłach i niedługo wstać zamierzał. Julia, pozbawiona możliwości widywania się z kochankiem, przyśpieszyła, o ile mogła, u męża chwilę opuszczenia łóżka, gdyż wiedziała, że równocześnie będzie mogła udać się na schadzki.

Pewnego wieczoru Jan przyszedł jeszcze wcześniej niż zwykle. Były to imieniny Kaśki i Jan pamiętał dobrze o tym ważnym dniu. Przyniósł jej bilet z powinszowaniem, ozdobiony bukietem z pomarańczowych i błękitnych kwiatków. Bukiet ten stanowił rodzaj przykrywki. Pod nim znajdował się przesliczny obrazek, przedstawiający ogród, w którym róże były tych samych rozmiarów, co głowy przechadzających się po ogrodzie gości. Piękna dama w krynolinie i żółtej sukni trzymała białą wstęgę z napisem: „Z powinszowaniem imienin”, a na odwrotnej karcie wielkimi literami wypisano:

„Od Jana Viebika pannie Katarzynie na dowód szacunku i życzliwości, w dniu św. Katarzyny roku bieżącego”.

Kaśka nigdy nie widziała tak pięknego biletu. Mój Boże! i to dla niej! Ach! zaraz zatknę go za ramę świętego obrazu. Przecież Matka Boska nie pogńiewa się o to.

Ale jeszcze nie koniec.

Jan wydobywa paczkę i kładzie ją na stole. W paczce tej jest para ciepłych pończoch czerwonych z niebieskim w paski i ciepłe włóczkowe rękawiczki, całe fioletowe z pięknym zielonym szlaczkiem.

Nie! stanowczo, Kaśka doprawdy nie zasłużyła na tyle dowodów dobroci; jakże można wydać na nią tyle pieniędzy? I z oczyma łez pełnymi dziękuje Janowi za otrzymane prezenta; on nadyma się, dumny z okazanej galanterii, która go kosztowała wprawdzie kilka szóstek, ale uchylić się od przyniesienia prezentu nie mógł.

I on przecież wie, co się komu należy, i już nie z jedną dziewczyną miał do czynienia.

Kaśka za resztę pensji kupiła dnia tego trochę piwa i „waniliówki”. Wydobyła więc flaszki z ukrycia i stawia je przed Janem. On wykrzykuje na widok podobnej fety. Owszem, dziś chętnie coś przetrąci, bo ma właśnie apetyt.

I zabiera się do pałaszowania podanej przez Kaśkę przekąski, odkładając nóż i widelec, jako sprzęty zupełnie w tym razie zbędne.

Kaśka stoi tuż przy nim, uśmiechnięta, zadowolona, dolewając co chwila likieru do wypróżnionego kieliszka. Sama się napiła trochę na wyraźne żądanie Jana i gorąco jej teraz tak, że nie wie, co ze sobą zrobić. Włożyła na ręce fioletowe rękawiczki, grube, śmieszne, z jednym palcem, ale bardzo praktyczne do miasta na zimę. Pończochy leżą nie opodal. Jan proponuje, aby je przymierzyć.

Kaśka ze śmiechem odmawia.

I dobrze im tak razem w tej atmosferze dusznej, ale pełnej jakiegoś spokoju. Rozpalona do czerwoności blacha wydziela z siebie wiele ciepła, a w ten dżdżysty wieczór jesienny przyjemnie

rozgrzać zziębnięte ciało. Jan lubi takie gorąco i prawie plecami ociera się o piec, pomimo że Kaśka przestrzega go przed możliwością dostania kataru.

Deszcz z głuchym łoskotem spada na dach przytykający do ściany, w której się znajduje okienko, zamknięte teraz i nawet już kitem oblepione; Kaśka wcześniej pomyślała o zabezpieczeniu się od zimna, w razie potrzeby – można drzwi do sieni otworzyć.

Tłumaczy to Janowi, który zupełnie podziela jej zdanie.

Zresztą Jan dziś jest bardzo wesoły. Wypiwszy piwo, zapytuje nagle zapatrzoną w swe rękawiczki Kaśkę:

– Budzę Kaśkę!

Kaśka przecież, jakkolwiek nie taki bywalec, jak Marynka, ale wie, co się w takich razach odpowiada.

– W kolorze?

Jan uśmiecha się figlarnie i długo myśli.

– W szaro-papuczastym! – odpowiada, spoglądając ze znaczeniem na swoją kratkowaną kamizelkę.

Kaśka milczy chwilę zakłopotana. Zapewne Jan mówi o sobie.

Nie może mu powiedzieć całej prawdy, a niegrzecznie odpowiedzieć też nie chce. Najlepiej wybierze drogę pośrednią.

I ze spuszczonej oczyma, sercem bijącym, szepcze:

– Bardzo... szacuję.

Ale Jan wybucha śmiechem i z całą radością z zakłopotania Kaśki woła tryumfalnie:

– Salceson!

Kaśka dzieli jego radość. Mała kuchenka rozbrzmiewa wybuchami śmiechu tych dwojga ludzi, tak dobrze odpowiadających sobie rozmiarami inteligencji. Śmieją się hałaśliwie, pokazując rzędy zdrowych zębów, połyskujących lśniąco białością w czerwonej oprawie warg grubych.

Nagle śmiech milknie i ręka Jana, niosąca właśnie do ust kawałek salcesonu, opada jakby sparaliżowana. W otwartych drzwiach jadalnego pokoju stoi Budowski, drżący, niepewny na osłabionych nogach, chwytający się ramy drzwi, jak małe dziecko, które niedawno chodzić zaczęło. Wychudła ta postać, bardziej do widma niż do istoty żyjącej podobna, rysuje się ostro w jasnym świetle padającym od lampy, zawieszanej nad stołem jadalnym.

Budowski wstał nagle i zapragnął przejść się po pokoju. Śmiechy, dochodzące z kuchni, zdziwiły go niepomału. Cóż to za goście bawią się tak wesoło w jego kuchni?

Warto by zajrzeć, co ten grenadier Kaśka za bale wyprawia. Stanąwszy na progu, oniemiał z przerażenia. Jak to? pozwala sobie do tego stopnia, że przyjmuje jakichś mężczyzn w kuchni i traktuje specjałami? Nie! tego już za wiele!

I w najwyższej pasji chwyta się za głowę, wołając:

– Miłosierdzie Boże! Co się tu dzieje! co się tu dzieje!

Jan powstał z miejsca, zachmurzony i niezadowolniony z obrotu, jaki rzeczy wzięły. Kaśka uważa za stosowne wystąpić z obroną.

– Proszę wielmożnego pana – bełkoce, przypominając sobie kłamstwa pokojówki, pragnącej zasłonić swego kochanka przed gniewem pani Lewi – to mój... brat.

Budowski zna dobrze Jana i nie daje się wywieźć w pole.

– Brat? – krzyczy, przysiadając prawie na progu – brat? kłamiesz, to tutejszy Jan Viebik! Brat!... one wszystkie mają stu pięćdziesięciu braci na rok.

Ach! tego już za wiele! Pan obraża tym niezmiernie honor Kaśki, i czyni to wobec Jana. Stu pięćdziesięciu braci! – tak jakby ona przyjmowała jeszcze innych! Doprawdy, pan jest niesprawiedliwy.

Budowski tymczasem postępuje kilka kroków i staje przed stołem, przypatrując się porostawianym talerzom i butelkom.

– No! No! ładnie się raczycie, nie ma co mówić! królewskie przyjęcie! – zaczyna znów syczącym głosem, a wargi mu nabrzmiwiają od żądzы pokosztowania tłustego mięsa, którego kawałki walają się po talerzu. Jego wygłodzony żołądek zbyt długą dietą dopomina się o swoje prawa; z dziwną pożądlivością zagłada do flaszek na wpół wypróżnionych i do kieliszków, na dnie których czerwienią się resztki likieru.

Jan tymczasem szuka swej czapki, chcąc wyjść jak najspieszniej. Czuje, że „zbiera mu się na złość” i mógłby powiedzieć jakieś przykre słowo, którego by potem żałował.

Ale Budowski nie uwzględnia wcale tego pośpiechu, tylko w bezmiernej pasji woła zmienionym od gniewu głosem:

– Wynoś się stąd precz, włóczęgo jeden! Żeby mi tu noga twoja nie postąpiła nigdy!

Jan, będący już na progu, zatrzymuje się nagle. Ciemny rumieniec oblewa mu twarz i szyję. Ręce konwulsyjnie mną czapkę – zwierzę kopnięte budzi się w człowieku.

– To się wie, że pójdę! – odpowiada hardo – ale panu zasię nazywać mnie włóczęgą! Niech pan nie zaczyna, bo, jakem Viebik, zaskarżę, co pan mi honor pokrzywdził... i wtedy zobaczymy, kto praw!

I roztworzywszy drzwi szeroko, wyszedł, stukając silnie obcasami. W sieni obrócił się jeszcze i rzekł łagodniejszym tonem:

– Do widzenia, panno Kasiu!

Ale ona nie odpowiedziała nic, tak była przerażona całym tym zajściem.

Mój Boże! cóż w tym zdrożnego, że przyjęła Jana w kuchni? Przecież robota na tym nie ucierpiała wcale. Przeciwnie, szła jej o wiele raźniej, kiedy on siedział obok, uśmiechał się i rozpowiadał takie piękne rzeczy. Zresztą, lepiej uczciwie taki wieczór w domu przesiedzieć, niż się po szynkach włóczyć. Ale pan tego zrozumieć nie chce.

Wychodząc z kuchni, bardzo ostro nakazał, aby się nie ważyła nigdy wpuszczać więcej Jana; jeśli kiedykolwiek zastanie jeszcze stróża lub jakiegokolwiek innego mężczyznę, odprawi ją i da jej w dodatku najgorsze świadectwo.

Zapewne – pan miałby rację, gdyby ona chciała przyjmować jakiego ułana albo pompiera<sup>36</sup> – to wcale nieładnie i dom posponuje, ale Jan, taki uczciwy i przyzwoity mężczyzna, nie krzywdzi kuchni, w której siedzi.

Zresztą, panu dobrze w pokoju, bo ma panią i może z nią porozmawiać i posłyszeć dobre słowo, ale Kaśce bardzo smutno w tej ciemnej kuchence, pomiędzy balią i garnkami.

Teraz będzie musiała znów po schodach i piwnicach widywać się z Janem, a ona się tych ciemnych kątów lęka. W kuchni było tak miło gawędzić we dwoje, wieczory upływały nie wiadomo kiedy.

Teraz będzie inaczej...

I Kaśka, szczerze zmartwiona, opiera głowę o kratę okienka i stoi tak długo z przymkniętymi oczami. Cały dzień pracuje tak ciężko! Dlaczego w wieczór nie może rozerwać się przyzwoicie?

Deszcz z suchym łoskotem spada na dach i w przygłuszonym szmerze spływa do rynny. Na dworze ściele się smutna słota jesienna, wiodąca za sobą plusk błota i kaszel suchotników. Kaśka stoi smutna i zgnębiona, jakby przeczuwając, że razem z tą chmurną jesienną ulatuje od niej jaśniejsza dola, a spływa ciężka, czarna godzina, tak czarna, jak ta noc jesienna, siekająca ziemię zimnym, niezdrowym deszczem.

Powoli Budowski podniósł się z choroby i powrócił do dawnych swoich zajęć. Schudł tylko jeszcze więcej, zżółkł, a skóra na czaszce porysowała się w dziwaczne fałdy. Mimo nadmiernego osłabienia ujął w swe ręce ster rządów domowych, starając się oszczędnością, posuniętą do możliwych granic, wyrównać szczerby powstałe wskutek jego choroby. Dla Kaśki przecież było to rzeczą obojętną. Słoty jesienne nie pozwalały marzyć nawet o niedzielnych spacerach, a widywanie się z Janem na schodach lub przed bramą nie pociągało za sobą żadnych wydatków.

---

<sup>36</sup> pompier (fr.) – strażak

Jeśli kradła, czyniła to więcej dla Julii, która od czasu choroby męża zażywała podwójną ilość pachnideł, a tym samym potrzebowała znacznie więcej pieniędzy. Kaśka żyła teraz dziwnym, gorączkowym życiem. Sypiała mało, budząc się co chwila niespokojna, pełna jakichś trwożliwych przeczuć. Zdawało się jej, że musi spaść na nią jakieś wielkie nieszczęście, którego uniknąć nie może. Z Janem stosunek jej nie zmienił się prawie wcale. Mówiła ciągle „nie”, ale czuła już, że słabnie i siły ją opuszczają.

Jan, wypędzony z kuchni, czatował na nią po ciemnych zakątkach, chwytając w przejściu i szepecząc do ucha rzeczy, od których Kaśce w oczach ciemniało.

Zresztą cały dom popychał ją do upadku: sługi, spoglądające na nią tak, jak się patrzy na zgubioną dziewczynę – pan, wyrzucający jej co chwila spotkanego w kuchni kochanka. Na próżno zaprzeczała ze łzami w oczach, nikt jej nie wierzył – zsuwała się na krawędź przepaści, jak kamień z góry rzucony.

Nie wołała o ratunek, ale chwilami ogarniała ją trwoga, szczególnie, gdy klękała do wieczornego pacierza. Modliła się mało i czuła, że modlitwa nie płynie jej z serca.

Dawniej – miała przesąd, że skoro zaśnie nie zmówiwszy pacierza – we śnie zobaczy diabła. Wierzyła w to święcie i za nic nie poszłaby spać bez pacierza. Zwierzyła się z tą swoją wiarą Janowi, który wyśmiał ją i zaręczył, że on nigdy nie mówi pacierza, a mimo to nie widział nigdy we śnie diabła, choć pragnąłby go raz zobaczyć. Kaśka zgorszyła się na razie, ale powoli zaczęła zastanawiać się nad słowami stróża i rezultatem tego zastanowienia było pewne zaniechanie owych, tak pilnie odmawianych *Zdrowasiek*.

Od pewnego czasu Jan stał się dziwnie podejrzliwym i zazdrośnym. Czy z własnej inwencji, czy też ulegając czyimś poszeptom, zaczął wmawiać w siebie, że opór Kaśki ma źródło w jakiejś tajemniczej miłości, której przedmiotem musi być jakaś nie znana mu osobistość.

Na próżno Kaśka zaklinała się, tłumacząc, że nigdy, ale to nigdy nie „bawiła się” z innym mężczyzną.

Jan trwał ciągle przy swoim, sądząc, że w ten sposób prędzej dojdzie do zamierzonego celu. Był to ostatni środek – jeśliby ten się nie udał, Jan czuł, że musi się wyrzec wszystkiego. Była w tym człowieku zaciekłość dziwna do zgubienia Kaśki, zaciekłość mężczyzny, pełnego nienasyconej żądz. Może w głębi tej nieokrzesanej, a nawet wulkanicznej natury tlało jakieś lepsze, rzewniejsze uczucie, ale namiętność głużyła głos serca i zwierzę rozwieliło swe panowanie, głużąc wrodzony, nawet najniższej postawionej klasie ludzi, pierwiastek duchowy.

Kaśka drżała z trwogi przed tym zwierzęciem, które czatowało na nią po ciemnych zakątkach, lecz z uległością istoty skazanej na zagładę nie miała siły uciekać ani wołać o pomoc. Zresztą, gdzie miała się udać? Do pani, którą doprowadzała na schadzki z kochankiem? – do pana, liczącego polana drzewa lub ziarnka kawy?...

Modlić się nie mogła, nie umiała... zdało się jej, że Bóg odwrócił się od niej; młoda krew dopominała się także praw swoich... Szamotała się jeszcze, ale były to konwulsyjne drgania, które ocacenia jej zapewnić nie mogły. Wrodzoną uczciwość zagłuszało życie i nędzne warunki istnienia.

Piękna strona tej szlachetnej istoty za mało była rozwijana, aby mogła stanowić dość silną tarczę pokusom, które ją zewsząd otaczały. I w Kaśce było zwierzę, które budziło się pod wpływem Jana.

Podejrzanie Jana sprawiło jej boleść wielką. Skąd powstało? Dlaczego wyrzuca jej bezustannie tego drugiego, o którym ona sama nic nie wie? Nawet kilka dni temu wspominał, że to jest jakiś „cylinder”. Ach! Kaśka wie, że „cylindry” nie dla niej. Nie wdawałaby się nigdy w żadne konaszachty z panami.

Cóż, kiedy Jan wytłumaczyć sobie nie pozwoli i boczy się na nią, a nawet wczoraj „dobranoc” jej nie powiedział. Może dziś przecie udobrucha go trochę.

Pani wybiera się wieczorem na zwykłą przejażdżkę – postoi więc trochę przed bramą i porozmawia dłużej.

Zamysł jej wszakże nie udaje się wcale.



Gdy nastawiła samowar, wpadł do kuchni zdyszany posłaniec, oddając karteczkę, zakreśloną niekształtnym pismem. Nakazał oddać to natychmiast pani Budowskiej, dodając, że matka pani umiera. Na Julii wiadomość ta wywarła dość silne wrażenie, bądź co bądź była dzieckiem i przywiązanie rozbudziło ją na chwilę z letargu, w którym była pogrążona.

Nie odpowiadając ani słowa na zgryźliwe uwagi Budowskiego, że matka za często umiera, wyszła szybko, na wpół ubrana, z włosami w nieładzie.

Kaśka pobiegła za nią, chcąc jej być pomocą, lecz Julia wstrzymała ją ruchem ręki.

– Daj znać... – wyrzekła tylko, schodząc szybko ze schodów – daj znać, wiesz komu!?

Za chwilę znikła na zakręcie, pozostawiając po sobie woń tanich pachnidła i paczulowego mydła. Śpieszyła się bardzo do łóżka matki, której choroby tak często używała za pretekst do pokrycia swych niegodziwości. Może sumienie ocknęło się wreszcie w tej wiarołomnej żonie i złej córce.

Kaśka przecież nie zastanawiała się nad tym. Ona wiedziała tylko jedno, że pani kazała jej znów rozmawiać ze swym kochankiem, a Kaśka w głębi duszy nienawidziła tego człowieka. Musi iść przecież i wypełnić rozkaz pani – inaczej mogłaby się na gniew narazić.

Gdy wybiła oznaczona godzina, Kaśka zarzuciła chustkę na głowę i wybiegła szybko na ulicę. Przed bramą stał Jan, paląc fajkę. Nie pozdrowił wszakże Kaśki, śledził tylko uważnie jej kroki. Gdy oddaliła się cokolwiek, porwał się z miejsca i pobiegł za nią. W oczach miał niepocziwą iskrę, a przez zaciśnięte zęby przeciskały się jego zwykłe słowa:

– Ach! psiakrew zwykła! psiakrew zwykła!...

Kaśka prędko przebyła drogę, oddzielając ją od miejsca, na którym zwykle oczekiwał kochanek jej pani. Spozrzęła go zaraz, palącego, jak zwykle, papierosa.

Przystąpiwszy ku niemu, szybko powiedziała mu przyczynę, nie pozwalając Julii przyjść na schadzki. Nie dodała jednak – „Pani przeprasza” .

Po bliższym zastanowieniu uważała tę grzeczność za rzecz zupełnie zbyteczną.

On wszakże patrzył na nią z tym samym upodobaniem i ponowił swą propozycję z całą bezczelnością studenta, szczęśliwego w przedpokojowych konkietach. Kaśka, milcząc, odwraca się, pragnąc wrócić do domu, lecz spotyka się oko w oko z Janem.

Ten ostatni stoi na środku ulicy i nie mogąc słyszeć słów, widzi jednak wszystko. A teraz już wie, dlaczego Kaśka pogardza nim, biednym stróżem! „Cylindry” na nią czekają... do nich wybiega wieczorem, z tą minką jezuitki, a jemu o buziaka komedie wyprawia!

Teraz już wie, czego się trzymać z tą obłudnicą.

Ale Kaśka przechodzi mimo niego, pragnąc oddalić się jak najspieszniej.

Noc już ciemna, ale latarnie powozu ścielą żółte smugi światła. Kaśka dostrzega niedobry płomień w oczach Jana, widzi jego twarz skurczoną od wewnętrznej złości. Boi się awantury, skandalu i pragnie zażegnać tę burzę. Wszakże nie może Janowi powiedzieć, że rozmawiała z kochankiem swej pani – mógłby jeszcze komu opowiedzieć, a ona wie, że to przecież nie są żarty.

Idzie więc szybko w kierunku domu, a za nią postępuje o kilka kroków Jan, z zaciśniętymi pięściami, z siną prawie twarzą. Gdy dochodzą do bramy, Kaśka zatrzymuje się nagle. Deszcz zaczyna padać, mocząc jej chustkę, jedyne okrycie nawet na największe mrozy. Ona wszakże nie uważa na to, cała drżąca i zmieszana zwraca się do Jana.

– Pan Jan... – zaczyna wolno, chcąc się w jakikolwiek sposób usprawiedliwić, ale urywa, targnięta nagle silnie za ramię przez rozwścieklonego stróża.

– Ach! ty jezuitko! – woła Jan, nie zważając na przechodniów – ty gadzino nieczysta, ty jezuitko faryzejska! to ty po nocy za cylindrami latać będziesz! a mnie to szopy grasz? Ja cię nauczę ludzi tumanić, ja cię nauczę...

Gniew dławi go. Krew bije mu do głowy i zalewa oczy purpurową strugą. Oszalały, bezprzytomny uderza kilkakrotnie Kaśkę, która zatacza się z jękiem i przykleka pod silnymi razami.

Po czym wpada do bramy i zamyka się w swej komórce, jakby w obawie przed zbyt wielką wściekłością, która mu piersi rozsada.

Kaśka pozostaje chwilę przed bramą, klęcząc ciągle, odurzona od niespodziewanych uderzeń, które otrzymała w prawą stronę głowy. Garstka przechodniów zaczyna się gromadzić przed tą klęczącą dziewczyną, której spadła z ramion chustka, a włosy potargane spadają na plecy. Kaśka przecież przychodzi szybko do przytomności i trzymając się z boku za głowę, wchodzi wolno do bramy.

Uderzył ją!

Zbił ją nawet mocno... Kaśka jest pewna, że mieć będzie jutro siniaki. Nie ma jednak do Jana żadnej urazy; gdy chłop bije dziewczynę, jest przecież w swoim prawie. To już jest tak dawno postanowione i żaden policaj nie ma prawa wtrącać się między taką parę. Nie chodzi jej przecież o siniaki, ale boli ją to głównie, że Jan ma o niej złe wyobrażenie i posądza ją o stosunki z tym wstrętnym dla niej człowiekiem. Mój Boże! co też się nacierpieć musi przez panią! Przecież, gdyby ją pani nie wysłała do swego kochanka, Jan nie miały powodu do zazdrości. Czyż to jej wina, że musi wypełniać rozkazy pani? Ale Janowi niepodobna nawet było wytłumaczyć, jak to jest w istocie: napadł na nią tak gwałtownie, że do słowa przyjść nie mogła. Potem uciekł i zamknął się w komórce. Kaśka boi się do domu zastukać.

I zmieszana, zboląła, z twarzą nabrzmiałą od silnych uderzeń, idzie wolno po schodach, wzdychając ciężko. Co też zawiniła, że Bóg ją tak ciężko karze?

Gdy weszła do kuchenki, zajęła się przygotowaniem ługu, potrzebnego do szorowania kuchennej podłogi. Była to sobota i czekało na nią mnóstwo roboty. Ale ból głowy dokuczał jej bardzo. Twarz spuchła, a żyły na skroniach nabrzmiały. Obmyła się zimną wodą, ale to nie przyniosło jej żadnej ulgi, owszem, sprawiło jej dotkliwie pieczeni.

Już od dwóch godzin zajęta była uporządkowywaniem wiecznie czyszczonych i wiecznie zbrudzonych przedmiotów. Budowski, wbrew swemu zwyczajowi, nie spał, czekając na żonę. Kręcił się po pokojach ze świecą, kapiąc stearyną na podłogę i meble. Kilkakrotnie zaglądał do kuchni, wtrącając się do roboty Kaśki, która, zmoczona, powalana cegłą, przedstawiała istny obraz zwierzęcia – zbitego, źle nakarmionego, a mimo to wprzęgniętego do nocnej pracy.

Nagle Budowski zniecierpliwził się bardzo.

Nie, ta Julia widocznie dziś powrócić nie myśli. Czy chce tam nocować?

I stanowczym głosem nakazuje Kaśce iść natychmiast na ulicę Berlińską do starszej pani i nie powracać bez Julii. Na Kaśkę uderzają poty. Miły Boże! cóż ona pocnie teraz, ona, która nie wie, gdzie ta matka pani mieszka? Pan wszakże nie ustępuje. Kaśka okrywa się zmoczoną jeszcze od deszczu chustką i wybiega z sieni.

Trudno, pan każe – sługa musi.

Na schodach już zupełnie ciemno. Klatka schodowa przedstawia się jak wielka studnia, brudna cuchnąca. Kaśka z odwagą zapuszcza się w ten ciemny labirynt.

Brama już zamknięta, trzeba obudzić stróża. Ach! na tę myśl dreszcz przechodzi Kaśkę. Jakże ona ośmieli się to uczynić po tym, co między nimi zaszło? Ale musi przecież zdecydować się i na to upokorzenie. Pan kazał, iść trzeba – przecież o Berlińską ulicę dopyta się z łatwością, a raz na ulicy może i pomieszkanie matki pani znajdzie...

Drząc cała, puka do szybki, która daje światło komórce stróża. Chwilę trwa spokój zupełny – Kaśka ponawia pukanie. W komórce budzi się Jan z głośnym stękaniem i mrużąc narzuca na siebie rodzaj dreliszkowej kapoty. Bierze klucz, wiszący zwykle na gwoźdźniku koło drzwi i nie zapalając światła, wychodzi do bramy, dzwoni zębami z wilgotnego zimna, w które wszedł nagle na wpół odziany i od snu ciepły.

Ciemność zalega bramę. Kaśka tuli się do ściany, pragnąc, aby Jan nie poznał jej i uwolnił tym samym od nowych razów i przekleństw. Ale rachuby zawodzą ją. W chwili otwarcia furtki Jan po wzroście poznaje Kaśkę i cała wściekłość odzywa się w nim a nowo.

Gdzie idzie znów po nocy?

Zapewne do tego „cylindra”, który rozmawiał z nią wieczorem na ulicy. Więc nie dość jej takich schadzek? Czyż będzie po nocach wykradać się, aby biegać do kochanka?

I on sam! on ma jej bramę otwierać, aby ułatwić jej w ten sposób wyjście na schadzki nocne!  
A on głupi uwierzył i obchodził się z nią jak z taką, która ma coś jeszcze do stracenia!

I brutalną ręką potrąca Kaśkę, wrzucając ją za bramę.

– Leć na złamanie karku! – woła stłumionym od gniewu głosem, zatrzaszkując z furją ciężką, okutą furtkę.

Kaśka, uderzona gwałtownie w plecy, o mało nie upadła twarzą na mokre flizy chodnika. Deszcz lał strumieniami, przecinając z głuchym łoskotem powietrze.

Kaśka odkryła głowę, chcąc ochłodzić rozpalone skronie w tej zgniławej powodzi, która smała jej twarz wśród ciemności, zalegających ulicę.

Puściła się w stronę miasta, brnąc po kostki w wodzie. Gdzieś palily się jeszcze światła gazowe, błyskając chorobliwym blaskiem wśród ciemnej przestrzeni. Rynsztoki płynęły z szumem, wylewając ze swych krawędzi brudne i cuchnące fale. W powietrzu czuć było miazmy rozkładających się ciał, płynących z tą wodą, ściekającą z rynien z łoskotem jednostajnym, podobnym do oddalonego głosu bębna. Kaśka biegła na oślep, przemoczona do kości, drżąca od fizycznego i moralnego bólu, wystawiając swą twarz spuchniętą pod zimne strugi wody. Ulice były puste, czasem tylko przemknęła dorożka, obryzgując trotuary wodą, lub spóźniony przechodzień biegł, usiłując parasolem zasłonić się przed ulewą.

Kaśka skręciła na prawo, nie wiedząc po prostu, gdzie ją ta ulica prowadzi.

Straciła już świadomość swych czynów, skórę miała rozpaloną, a wewnątrz zastygło w niej lodowate zimno, od którego zęby jej dzwoniły jak w febrze. Powalanymi cegłą rękami ocierała strugi wody płynące jej po twarzy; suknie przemoczone ciążyły jej, a chustka na ramionach zdała się sto-funtowym ołowiem.

Biegła jak ścigane zwierzę, wiedząc tylko, że do domu powrócić nie powinna. W bramie musiała przecież spotkać Jana, a na górze czekał na nią pan, który przykazywał jej nie wracać bez pani. Gdzież wszakże tej pani szukać?

Na domiar złego nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa matka pani. Gdyby się dowlokła na ulicę Berlińską – o kogóż po bramach pytać będzie?

Idzie więc nie znanymi sobie ulicami, słuchając uderzeń miejskich zegarów, których ponure dźwięki wpadają leniwie w przegniłą atmosferę jesienną.

Nagle zatrzymuje się przerażona.

Wszakże to nie wolno samej dziewczynie błąkać się tak późno w nocy. Patrol zabiera takie włości i prowadzi na inspekcję. Och! wszystko, tylko nie to... już woli narazić się na razy i łajanie pana.

I chwiejąc się na nogach z osłabienia, kieruje się ku domowi, błądząc jeszcze wśród ulic, ale odgadując prawie instynktem punkt, do którego pcha ją szalona trwoga.

W ciemnościach zdają się ścigać ją widma „policajów”, a złowrózbnne półksiężyce, zdobiące ich piersi, błyskają dziwnie groźnie w rozgorączkowanej wyobraźni dziewczyny.

Jest już przy bramie i konwulsyjnie chwytą za rączkę od dzwonka.

Gdy Jan otworzył bramę, cofnął się przerażony tą zmoczoną, bezkształtną masą, wpadającą do bramy z takim pośpiechem. Wprędce jednak poznał Kaśkę i zatrzasnąwszy drzwi, zabierał się wejść do swej komórki. Ale na głuchy łoskot usuwającego się ciała odwrócił głowę. Pod ścianą czerniło się coś w dziwnym skróceniu. Postąpił bliżej. Gdy wyciągnął rękę, natrafił na moką chustkę, która okrywała plecy Kaśki. Pociągnął za tę chustkę, natrafił na opór. Kaśka usunęła się na kolana, przybita moralnym i fizycznym cierpieniem. I zwierzę zbite, znędzniałe upada pod brzemieniem niedoli. Czasem w najsilniejszych naturach następuje gwałtowny upadek i zmęczenie – a Kaśka właśnie należała do tego rodzaju istot.

Gdy Jan pochylił się nad nią, czuła dobrze jego oddech, ale nie miała siły odsunąć się.

Ciemności zalegały bramę, a Jan uczył nagle, jakby coś go przykuwało do miejsca i kazało mu zbliżyć się do zmaltretowanej przed chwilą dziewczyny. Były to zmysły, które brały w tej chwili

górze nad uczuciem zazdrości i pogardy dla niewiernej kochanki. Nienawidził jej za latanie po nocach do innych mężczyzn, a mimo to kurczowo zaciskał ręce, aby nie porwać jej w swe objęcia.

Ona wiedziała, poznała, że chwila upadku przyszła... Bronić się nie mogła, nie miała siły.

Lecz gdy nagle Jan porwał ją w swe ramiona, ona konwulsyjnie szarpnęła się jeszcze, jak zwierzę śmiertelnie ranione.

On w swej namiętności pragnął ją uspokoić i rzucił jej słów kilka, które przyciszonym szeptem zasyczały wśród ciemnej przestrzeni:

– Głupia! ja się z tobą ożenię!

\*

Matka Julii rzeczywiście umarła tej nocy. Nie zostawiła po sobie wszakże żadnego majątku, co Budowskiego doprowadziło do szalonej rozpacz. Dręczył więc coraz więcej żonę, która śmiercią matki wyrwana na chwilę z apatii, w jakiej drzemała, nosiła teraz swą żalobę z bezwzględną obojętnością bezkrwistej blondynki.

Zawiedziony w swych nadziejach Budowski zaczął zwracać baczniejszą uwagę na wydatki domowe, a skąpstwo jego przeszło wszelkie granice. Obecnie już Kaśka nie mogła popępiać swych drobniactw, gdyż Budowski najczęściej, idąc do biura, sam zakupywał całodzienną żywność; Kaśce pozostawało chodzić tylko za nim z koszykiem i odnosić zakupione wiktuały do domu.

Julia, pozbawiona swych tanich perfum, trociczek i chińskich papierków, wzdychała od czasu do czasu i leżała teraz prawie ciągle z przymkniętymi oczami, jak istota na wpół żywa. Z kochankiem nie widziała się od kilku tygodni. Po śmierci matki nie miała pretekstu wychodzenia wieczorami z domu. Bez kochanki i trociczek – ta kobieta wegetowała do reszty.

Kaśka po swym upadku doznała dziwnego uczucia trwogi i wstydu, a uczucie to potęgowało się z każdą chwilą.

Każda kobieta, nawet najniżej postawiona, przychodzi na świat cnotliwą; z chwilą gdy cześć swą zatraci, rzucając się w objęcia mężczyzny, odczuwa żal wieki, choćby nawet ten upadek został spełniony w najnormalniejszych warunkach, to jest usankcjonowany małżeństwem. Cóż jednak mogła powiedzieć o sobie ta dziewczyna, którą Jan wziął, nie poprowadziwszy wprzód do księdza i rzuciwszy jej tylko jedno słowo:

– Ożenię się!

I Kaśka w chwilach strasznego niepokoju, jaki szarpał jej duszę, powtarzała sobie to słowo, mające dla niej tak doniosłe znaczenie.

– Ożenię się!

Zapewne, on ożenić się powinien teraz, kiedy ją unieszczęśliwił na całe życie.

Wydaje się porządnym człowiekiem, a ona mu wytłumaczyła, że ów „cylinder” nie był nigdy jej kochankiem. Nie powiedziała wprawdzie, że to pani wysłała ją do niego, ale przecież Jan powinien się tego domyślić. On zapewne jej uwierzył, bo sam się przyznał, że to Marynka, spotkawszy go koło śmietnika, opowiedziała mu o schadzkach Kaśki z jakimś „z miasta”.

On nie chciał wierzyć temu latawcowi, ale gdy się sam przekonał, toć Kaśka nie powinna mu być krzywa, że ją trochę poturbował. Teraz już niechże tak będzie, jak Kaśka mówi, ale on sobie wyprasza takie po nocach chodzenie.

Kaśka przyrzekła poprawę, ale mimo złagodzenia się Jana, niepokój nie opuszcza jej ani na chwilę. Dziwno jej jakoś; czasem zdaje się, że jest zupełnie inną istotą, że tamta Kaśka – to była dobra znajoma, która umarła, a ona sama była na jej pogrzebie. Na święte obrazy spojrzeć nie może; gdy klęknie do pacierza, żegna się czym prędzej i wstaje; chwilami zdaje jej się, że ktoś za nią krok w krok chodzi i coś jej do ucha szepcze. Boi się ciemności, a gdy lampka zgaśnie, chowa się z głową pod przykrycie – stanowczo, zrobiło się z nią coś dziwnego.

Stan ten męczy ją nad wyraz wszelki. Na domiar złego Jan zmienia się od owej pamiętnej nocy do niepoznania.

Przybiera znów ton drwiący i spogląda na Kaśkę z miną zwycięzcy. To ją onieśmiela do reszty. Zdaje się jej, że Jan po prostu ją lekceważy i tym sposobem daje do poznania wszystkim, co między nimi zaszło.

Pod tym względem nasza Kaśka nie myli się wcale.

Jan, jak prawdziwy mężczyzna, nadużywa swej przewagi i odniesionego zwycięstwa.

Nie pamięta walk, jakie stoczyć musiał z Kaśką, zanim mu uległa, wie tylko, że jest jego kochanką – i to mu wystarcza. Widok Kaśki sprawia mu zawsze przyjemność, zbliżenie się do niej rozbudza namiętność, ale brak mu tej gorączki, jaką czuł zwykle wobec opierającej się dziewczyny. Zepsuty powodzeniem u innych kobiet, znajdował dziwną podniecie w tym oporze Kaśki i to go wiązało głównie i przytrzymywało w upartym staraniu się o jej wzglądy; gdy osiągnął cel upragniony, widział już w Kaśce zwykłą upadłą kobietę, niepomny, że ją sam doprowadził do tego upadku.

Gdy zbita, zmęczona, bezsilna usuwała się do jego stóp jak ofiara – porwał ją brutalnie w ramiona z tryumfem istoty świadomej o swej fizycznej i moralnej wyższości. Tą jedną chwilą spadła ta kobieta w oczach Jana do poziomu, skąd wybierał zwykle swe miłostki; teraz Kaśka była dlań tym samym, czym Marynka lub każda inna z dawnych jego kochanek.

Stąd pochodził ten dziwaczny ton, który takim strachem przejmował Kaśkę, i cała zmiana w zachowaniu się Jana.

Zresztą – Jan pragnął pochwalić się otrzymanym zwycięstwem. Zbyt długo „chodził” około „tłumoka”, ażeby cała służba, zamieszkująca kamienicę, nie dostrzegła tego. Marynka przy tym nie zaniedbała opowiadać o niezwykłej „miłości” Jana do „grenadiera od Budowskich”. Fałszywa pozycja stróża do Kaśki nie pozwalała Janowi zając pewnego stanowiska wobec tych wszystkich przedrwiniek, jakie rozlegały się po ciemnych kątach bramy lub klatek schodowych. Podniecony nienasyconą namiętnością głużył w sobie próżność, którą dotykały owe bezustanne docinki co do powierzchowności Kaśki i jej ubogich sukienek. Pod połatany kaftanikiem przeczuwał jędrne, silne ciało dziewczyny, którego pożądał z uporem mężczyzny. Gdy wszakże dotknął się tych wspaniałych ramion i poczuł chłód gładkiej skóry, przypomniał sobie łaty na kaftaniku i wstydził się tak ubogiej kochanki. Chciał jednak, aby nikt go nie posądził o porażkę, i dlatego usiłował jak najszerzej rozgłosić upadek Kaśki. Wolał przyznać się do ubóstwa kochanki, niż mieć w czymkolwiek nadwerżoną sławę uwodziciela.

Zresztą – po cóż się opierała, skoro prędzej, czy później miała tak skończyć?

Ona – przywiązała się do niego z chwilą upadku jakąś zwierzęcą, bezwzględna miłością, uznając w nim pana, władcę stworzeń wszystkich, a siebie w szczególności; życie swe, przyszłość rzuciła pod stopy tego człowieka, tracąc jedyne dobro, jakie posiadała na ziemi, to jest niewinność swoją.

On – po spełnieniu tej zbrodni pozostał znacznie wystygłym, pełnym jakiejś ukrytej złości za ten długi opór, który tak rozlicznymi fortelami zwalczać musiał.

I była wielka różnica w uczuciu tych dwojga ludzi.

Ona kochać zaczęła, on – przestał, a przynajmniej zdawało mu się, że przestał.

O dopełnieniu przyrzeczenia, które tak niebacznie rzucił w chwili szału, nie myślał. Przypomniał sobie, że powiedział coś podobnego, ale to się gada każdej dziewczynie, a czyż żenić się zaraz trzeba!

Głupia ta, która uwierzy.

Zresztą, gdyby mężczyźni chcieli dotrzymywać podobnych zobowiązań, mieliby przynajmniej po dziesięć tuzinów żon. Oho! Jan wie już, jak tam się z tego wywinąć; z wielką fantazją przekręca czapkę i powtarza swoją ulubioną przypowieść:

– Okręt z głupimi zatonał...

Nie mówi tego wszakże do Kaśki. O! nie – on umie „politykować” .

Choć Kaśka nie jest „furiatka”, ale mogłaby mu dobrze „przyśpilić” – a on tego wcale nie pragnie. Owszem, uśmiecha się do niej, gdy przechodzi przez dziedziniec, i nieraz poszuka jej na strychu lub w piwnicy. Ona za jego zbliżeniem drży jak liść i z nieśmiałością wielką poddaje się jego pieszczotom. W tej wysokiej, tęgiej dziewczynie przebija się załęknięcie drobnej dziewczynki – i to ją czyni nad wyraz powabną.

Nie dla Jana wszakże. On, w swym zepsuciu i rozproszonym życiu brukowego zdobywcy, znajduje to załęknięcie nadzwyczaj głupim, a rumieńce Kaśki drażnią niemile jego trywialną naturę.

Cóż, u diabła, za miny jezuitki przybiera teraz jeszcze, gdy powinna zrzucić ze siebie skromność, jak niepotrzebną już szmatę? Przedtem, to jeszcze uchodziło – ale teraz, to się już na nic nie przyda.

I powoli zaczyna Jan oglądać się za nową zdobyczą, zaglądając w oczy dziewczynom biegnącym po wodę z konewkami lub śpieszącym na targ z pustym jeszcze koszykiem. To bezustanne pragnienie nowości, które drzemie w krwi każdego mężczyzny, nie dozwala Janowi zadowolnić się jedną na dłuższy czas kochanką.

Zresztą – cóż go wiąże?

Sumienie?

Na tego robaka najlepsza pestkówka, przekręcenie czapki i splunięcie w rynsztok! To zaraz ulży, gdy człowieka taka zmora opadnie. A jak pestkówka nie pomoże, to jest waniliówka, goldwasserka, miętówka i wiele innych kordiałów<sup>37</sup>. A zresztą, po cóż sama mu w ręce laźła? Kiedy taka głupia, to niech ją tam! A wreszcie, cóż złego się stało? – nie umarła przecież. Ba! żeby wszystkie dziewczyny z tego umierały, to zabrakłoby kobiet na świecie. Nie, Jan wcale nie martwi się tym, co uczynił. Każdy za siebie odpowiada, a więc Kaśka także. Tylko grymasowała niepotrzebnie. Ot! zwykła jezuitka i nic więcej!

Teraz już cała służba, przepełniająca kamienicę, wiedziała o upadku Kaśki.

Kucharka pani hrabiny bardzo wymownie przewracała oczami i usuwała demonstracyjnie brzeg swej szarej tercjarskiej sukni, gdy zmuszoną była na schodach otrzeć się o przechodzącą Kaśkę. Pokojówka, blada blondynka o podsiniących od nie przespanych nocy oczach, znalazła na swych zgniecionych wargach dowcipną uwagę, ile razy wysoka postać Kaśki przesunęła się po dziedzińcu. Tapicerka, jej dwie sługi, właścicielka sklepiku – wszystkie te kobiety, pełne jeszcze wspomnień występnych miłostek, dorzucały słowa pogardy, które jak grad osypywały plecy dziewczyny.

Ona szła wolno, na pozór spokojna, blednąc przecież pod naciskiem tych obelg, których odrzucić wszakże nie miała już prawa.

Czuła to dobrze; te obelżywe słowa należały do niej – z upadkiem swoim przybrała te nazwy, które dawniej byłyby wstrząsły całą jej istotę...

Nie miała prawa zaprzeczyć obelgom, właściwie siły nie miała.

Gdyby w tej duszy mniej było niezwykłej prawości, z bezczelną śmiałością mogłaby Kaśka zaprzeczyć brutalnym domysłem swych przeciwniczek. Nieraz już chciała się odwrócić i zawołać wielkim głosem „nieprawda!” , ale gdy przyszło to wykonać, siły ją opuszczały i zwiesiwszy głowę, szła wolno, przyjmując zasłużone cierpienie.

Czuła się teraz bardzo nieszczęśliwą; względem Jana stała się nieśmiałą i z trudnością przyszłoby jej powiedzieć, ile przykrości sprawiają jej te śmiechy i obelgi, które słyszy naokoło siebie.

Wyśmiałyby ją może. Ach! nie – woli już znosić w milczeniu te upokorzenia, tym bardziej że sama na nie zasłużyła. Najwięcej wszakże ucierpiała ze strony Marynki. Dziewczyna ta, do gruntu już przegniła w atmosferze kilkudniowych miłostek, szybko odczuła i zrozumiała upadek swej rywalki.

A więc i ta dumna dziewczka musiała przejść wreszcie przez to!... Nie będzie więcej nosa zadzierać i jak pawica się nadymać, a uczciwością innym przed oczy rzucać. Nie jest już teraz niczym

---

<sup>37</sup> kordiał (łac.) – napój orzeźwiający; tu: wódka

więcej, tylko tym samym, co ona, Marynka, ta znieważona przez Jana i sponiewierana dlatego tylko, że ośmieliła się złe słowo na Kaśkę powiedzieć.

O! Marynka wiedziała, czym się to skończy. Takie pyszne dziewczki, jak Kaśka, spadają zawsze bardzo nisko. Za mąż się wydać chciała! Ma teraz wydanie bez ślubu!

Przynajmniej ona, Marynka, wiedziała dla kogo się zaprzepaścić. Jej pierwszym kochankiem był przystojny, szykowny student, a nie stróż jakiś. Że później już zeszła, toć zwykła kolej, ale przynajmniej początek miała uczciwy.

A Kaśka od stróżów zaczyna! – no! zresztą, znajdzie swój swego...

Tymczasem nadeszła zima, mroźna, pełna zawiei i śniegu. Miasto całe pokryło się bielą, a na dachach piętrzyły się stosy śniegu, grożąc stoczeniem się po śliskiej pochyłości.

Na ulicach stróże, owinięci w kożuchy, ostrymi kosturami siekali pokłady lodu, pokrywające zamrożone chodniki; przechodnie mijali się, nie zwracając wzajemnie na siebie uwagi, śpiesząc do celu tak szybko, o ile pozwalały zziębnięte stopy i śliskie trotuary. Kobiety nie zatrzymywały się nawet przed wystawami sklepów, lecz zziębnięte wpadały do kościołów, aby tam w ustronnej kaplicy rozgrzać się trochę. Żebraczki ustawiały swe nadszczerbione garnki, pełne żarzących się węgla, a dorożkarze co chwila zaglądali do pobliskich szynków, skąd wychodzili rozgrzani chwilowo, lecz coraz więcej odurzeni siłą alkoholu.

Z otwierających się co chwila sklepów, szynków lub restauracji buchały kłęby białej pary, zastygającej w powietrzu, a nad miastem unosiła się niebo szare, niepewne, oświetlone żółtą plamą, nie wydającą ze siebie ani odrobiny ciepła.

Na ulicach panowała jakaś dziwna cisza; rzecz można, że zimno mroziło ten zwykły gwar, jaki z wnętrza ulic wybiegał ponad dachy; słaby i zachrypły odgłos dzwonka, przyczepionego do dyszla sanek, jęczał nieraz samotnie wśród ciszy, a krzyk Żydówki wołającej: „Marony!<sup>38</sup> pieczone, świeże”, rozlegał się z dziwną dokładnością po zasypanym śniegiem placu.

Zima ta była bardzo ciężką dla Kaśki. Oprócz wełnianego kaftanika za całe okrycie posiadała tylko starą, czarną kamlotową chustkę.

Ta chustka przecież w jesieni okazała się niedostateczną ochroną od zimna, cóż dopiero gdy mrozy nadeszły! Przyszedłszy do Budowskich, Kaśka miała ciepłą wełnianą chustkę, ale podczas choroby Budowskiego Jan tak często przychodził wieczorami! Trzeba go było uczciwie przyjąć i choć „koszykowego” nieraz porządny grosz się uskubał, toć jeszcze trzeba było dokupić tego i owego, bo wstydu przez skąpstwo jeść przecież nie można.

I chustka przewędrowała do handlarki za cenę jednego guldena, który to gulden posłużył na wyprawienie dwóch uczt wieczornych, po których aż Jan głąskał się po żołądku.

Kaśce wtedy było bardzo przyjemnie. Z wilgotnymi od wzruszenia oczami patrzyła na zadowolenie Jana, nie myśląc o smutnych następstwach swej gościnności.

Teraz drżąc od zimna i kryjąc odziębione ręce pod podartą szmatę, nie żałowała również zmarowanego ciepłego okrycia. Tak być musiało – byle co Janowi na talerz położyć nie mogła.

Zresztą nie była przyzwyczajona do futer i watówek; nieraz do fabryki biegła boso, w perkalowym kaftaniczku, a zimna nie czuła. Tylko że od kilku tygodni czuje się trochę niezdrową, zmęczoną nad wyraz, i jakaś senność ją dręczy. Zapewne dlatego, że nic jeść nie może – zapach potraw sprawia jej nudności. Żywi się chlebem maczanym w occie, a na mięso patrzeć nie może. Nie rozumie, co się dzieje. Dawniej wiecznie była głodna, dziś na myśl o przełknięciu stawy gardło jej zaciska kurcz, a usta ma pełne śliny.

Przy tym ręce, nogi ciężą jej jakby z ołowiu. Spałaby chętnie dnie całe, a robota jej zupełnie nie idzie.

Bardzo, bardzo osłabła; wodę nosi z trudnością najwyższą, podłogę szoruje prawie ze łzami w oczach.

Przy tym ma odziębione ręce i nogi.

---

<sup>38</sup> Marony! (fr.) – kasztany!

Buciki podarły się zupełnie i przez szczeliny nabierają do wnętrza śniegu, czepiającego się z uporem zsiniałej z zimna skóry. Ręce jej spuchły jak poduszki i świecą się niby wysmarowane olejem. Kaśka, powróciwszy z miasta, długo musi trzeć palce, zanim poczuje, że do niej rzeczywiście należą. Pod wieczór ręce i nogi palą w nieokreślony sposób, po prostu utrzymać żelaza nie może.

Co chwila tylko wzdycha przyciszonym głosem:

– O Matko Najświętsza!

Są to drobne męczarnie, nie znane zupełnie kobietom noszącym rękawiczki i buciki na flaneli. W ciasnej kuchence dręczy się istota piękna, młoda, wznosząca się wśród trywialnego otoczenia jak posąg, pełen doskonałych form i harmonii kształtów. A przecież kształty te, poranione, zsiniałe, skurczone cierpieniem, przedstawiają się jak masa, jak maszyna bezduszna, psująca się coraz więcej nadmiarem pracy i zaniedbaniem właścicielki.

W bezustannym zajęciu, zziębnięta lub rozgrzana do potęgi, z rękami poranionymi, z podezwami spuchniętymi, grzbietem złamanym, Kaśka stanowi istotny typ tak zwanej „sługi do wszystkiego”, sługi źle płatnej, źle odżywianej, ale zaprzęgniętej do roboty jak prawdziwe zwierzę. Dawniej zbiegła przynajmniej na dół i na pogawędce z Janem spędziła kilka chwil przyjemnych – dziś i tej rozrywki wyrzec się musi.

Jan staje się coraz mrukliwszym, a chwilami patrzy na nią spode łba z jakimś złośliwym uśmiechem...

Co więcej – spotkała go kilkakrotnie rozmawiającego z Marynką. Pomimo swej wrodzonej łagodności zacisnęła pięście i chciała poczęstować Marynkę dobrym kułakiem, ale opamiętała się w czas.

Jakiś wstyd skrępował jej ręce i odeszła pełna smutku i zazdrości.

A więc Jan pogodził się z tą dziewczyną, którą sam „latawcem, wiercipiętą” przezywał? O! Kaśka dobrze pamięta, jak to było na strychu, i widzi jeszcze, z jaką wściekłością Jan bronił ją przeciw docinkom Marynki.

Teraz wszakże rozmawia z nią po kątach i śmieje się, jakby nic pomiędzy nimi nie zaszło. To źle ze strony Jana, boć chłop winien zawsze ciągnąć za swą dziewczyną.

I z wielką nieśmiałością Kaśka po rozmaitych omówieniach zwraca uwagę Jana na niewłaściwość tego kroku.

On wszakże nie próbuje usprawiedliwiać się nawet.

– A bo co? – odpowiada zuchwale, naciągając na ręce grube rękawice z czerwonej włóczki – a bo co? Cóż to, bez pozwolenia nie mogę z dziewczynami rozmawiać?... Owa, to ci zajechała!

I z pyszną obojętnością ujmuje miotłę, służącą mu do zamiatania sieni, i tak macha w prawo i lewo, że Kaśka musi ustąpić i wyjść na dziedziniec.

Kaśka chciała dziś jeszcze wspomnieć i o ożenku, ale jakoś nie śmiała.

Jan tą arogancją swoją zbił ją zupełnie z tonu i onieśmielił. Choć jej przyrzekł, że się ożeni – teraz nie wspomina nawet o tym.

Dlaczego?

I w głowie Kaśki powstaje wielki chaos. Miałaby zapomnieć? O! nie, takich rzeczy się nie zapomina.

Kaśka z trwogą zaciska ręce na piersiach. Od chwili swego upadku myśl o niedotrzymaniu danej przez Jana obietnicy dręczy ją jak zmora. Nie sformułowała jej jednak jasno – bała się tej myśli jak jakiegoś upiora, który miał jej serce z piersi wydrzeć.

Stoi tak na dziedzińcu zziębnięta, smutna, zgnębiona, maczając swe źle obute stopy w rozmakającym śniegu. Twarz jej nosi ślady bezsennych nocy i wielkiego znużenia. Oczy, ciemnymi obwódkami podkreślone, mają wyraz szczególnej tęsknoty i głębokiego smutku. Policzki zaczynają się zapadać z lekka, a twarz cała przybrała odcień więcej żółtawy, niezdrowy.

Wielka zaszła zmiana w tej pięknej i niegdyś błyszczącej zdrowiem dziewczynie, okrągłe linie podbródka znikły, natomiast gors wypełnił się jeszcze i teraz niemal rozrywa zniszczoną tkaninę



kaftanika. Tylko wzrost pozostał niezmienny, kształtne linie czoła i nosa rysują się jeszcze dokładniej przez wydelikacjoną skórę – a ramiona, wspaniałe, choć pochylone, biodra jeszcze więcej rozrośnięte i cały szkielet tej kobiety, szkielet olbrzymki, nie dający się zwalczyć ani moralnemu, ani fizycznemu cierpieniu, doprasza się koniecznie jednego tylko słowa – „Kariatyda”.

Ponad nią, ponad tą gnębioną ciężkimi warunkami powszedniego bytu Kariatydą, wznosi się szmat nieba szarego, bezbarwnego, jak całe życie tej istotnej nędzarki. czym jest i dokąd dąży podobne jej stworzenie? Jakież cel nakreślono tam w górze istnieniu tej kobiety wiecznie głodnej, zziębniętej i zmęczonej nadmiarem pracy?

I oczy jej z wyrazem wielkiego smutku błędzą po szarych murach domu i wbiegają wreszcie na rozległy plac, spowity w biały całun, a kończący się długim budynkiem, nazwanym Tandetą.

Czarne bariery, odgraniczające miejsce, na którym się musztrują żołnierze, z dziwną dokładnością rysują się na białym tle śniegu. Żółte mury koszar wznoszą się poważnie w tej puchowej bieli, a wał kolejowy, osrebrzony śniegiem, zatacza swą drogę w białym półkolu.

Kaśka zna dobrze to wszystko! Och, nieraz patrzyła na przebiegające pociągi, a Jan tłumaczył jej, czy to sznelzug, czy bombelzug nadchodzi.

Wydało się to jej wtedy bardzo ładne i bardzo wesołe, a świst zbliżającej się lokomotywy wywabił ją nieraz z kuchenki. I ot, teraz nadchodzi właśnie „towarowy” z niezliczoną ilością wagonów. Wlecze się jak olbrzymi wąż, a turkot kół najdokładniej słyhać.

Kłęby pary wnoszą się w powietrze i, zda się, marzną w zimnej atmosferze. Kaśka ze ściśniętym sercem patrzy na przelatujący pociąg! Miły Boże! gdy szedł „towarowy”, Jan zwykle wychodził na dziedziniec i szybko liczył ilość wagonów. Bywało ich nieraz do pięćdziesięciu, ba! czasem i więcej. Kaśka nie mogła wtedy wyjść z podziwu, jak jedna maszyna może tyle wagonów uciągnąć naraz, ale Jan zapewniał ją, że to rzecz nienadzwyczajna. Ba! on by sam to potrafił, gdyby zechciał. To szyny „bestie” wszystko, według niego, robią; szyny to ci same koła pchają, a zdrowy chłop uciągnie tak jak maszyna, a czasem i więcej. Kaśka dziwiła się bardzo tak wielkiej sile Jana i zapewniała, że ona by nigdy się nie odważyła na podobną próbę nawet z pomocą szyn.

Jan śmiał się swym szczerym, serdecznym śmiechem, a wyciągając żylaste ręce, odwijał rękawy koszuli dla pokazania Kaśce, jakie ma silne mięśnie.

Było im wtedy bardzo wesoło i Kaśka czuła się bardzo szczęśliwa.

Teraz Jan nie wychodzi już na dziedziniec, choć słyszy dobrze gwizd lokomotywy. Nie lubi długo jednej i tej samej rozrywki, tak jak nie może znieść jednego rodzaju wódki. Potrzebuje zmiany, w czym zresztą nie wyróżnia się od wszystkich mężczyzn.

Kaśka wszakże, wierna dawnemu zwyczajowi, smutnymi oczami spogląda na znikający w oddaleniu pociąg. Chciała przeliczyć wagony, ale nie mogła. Za prędko biegły, a przy tym ścisnęła ją żal tak wielka, że w oczach się jej zaćmiło. Mimo woli obraca głowę, szukając Jana, i spostrzeżenie go w zagłębieniu bramy, rozmawiającego z jakąś kobietą.

Nie jest to wszakże Marynka ani żadna ze służących zamieszkujących kamienicę. Kaśka zna tę głowę i plecy, proste jak deska, które, okryte jasnym perkalowym stanikiem, migocą na tle sieni. Tak, Kaśka się nie myli, to ona! to Różia przychodzi ją szukać, może przeprosić za wyrządzoną niesłusznie krzywdę.

I nieporna doznanej urazy podchodzi szybko ku przyjaciółce, zasięgającej widocznie bliższych informacji u Jana, jako stróża. Różia odwraca swą płaską twarz i patrzy chwilę na siebie, nie mówiąc ani słowa. Kaśka pierwsza wyciąga rękę i serdecznym, pocziwym głosem wita Rózię, dziwiąc się zmianie, jaka zaszła w tej dziewczynie.

I rzeczywiście, Kaśka ma słuszość dziwiąc się tak bardzo. Twarz Rózi nosi takie piętno nędzy i niedostatku, że Kaśka, jakkolwiek mizerna, wydaje się różą, kwitnącą zdrowiem i dobrobytem. Cała postać Rózi, niezwykle płaska, spłaszczyla się jeszcze więcej, jeśli można tu użyć tego słowa. Tylko ramiona i łokcie sterczą szpiczastymi kątami pod perkałem podartego kaftanika. Na chudej szyi widać ślady palców o długich, krogulczo zagiętych paznokciach. Palce te widocznie wpiły się niedawno w szyję tej kobiety i podarły skórę, wyrywając nawet w jednym miejscu kawałeczek

ciała. Rana ta czerwona, świeża, nie zagojona jeszcze, jątrzy się jak po ukąszeniu niedobrego zwierzęcia. Pod lewym okiem mieni się skóra żółtawoniebieskim cieniem, unosząc wychudły policzek w dość znaczną wysokość. Różia brudną ręką zasłania to podbite oko i bladymi ustami usiłuje uśmiechnąć się do witającej ją serdecznie Kaśki.

– Mam do ciebie interes – mówi na koniec, a głos jej drży od zimna i wewnętrznego wzruszenia – czy nie można iść do kuchni?

Mówiąc, ogląda się ciągle trwożliwie na drzwi sieni prowadzące na ulicę – rzecz można, że się bardzo czegoś lęka: może jakiejś pogoni, może właśnie tej ręki, której palce czerwonymi bruzdami poorwały żółtawą skórę jej szyi.

Kaśka milczy wszakże przez chwilę. Budowski nie pozwala, aby ktokolwiek oprócz Kaśki znajdował się w kuchni.

Ale Różia patrzy błagalnie na Kaśkę i drży z zimna, źle okryta swym podartym perkalikiem. Spódnica, zmaczana na dole, wlecze się szerniałym od błota kawałem po obu bokach. Podparta z przodu, odsłania prunelowe buciki podarte, powiązane tasiemką i zbyt krótkie, aby osłonić gołą, zaczerwioną od zimna nogę.

Kaśka uczuwa litość wielką nad swą przyjaciółką. Ona wie, co to jest zimno, bo sama drży, jakkolwiek jest ciepłej ubrana, i z nagłą determinacją chwyta Rózię za rękę.

– Chodź! pójdziemy na górę!

Nagle z ciemnego kąta wysunęła się postać mężczyzny. Był to Jan, który podczas przywitania dwóch przyjaciółek usunął się na stronę. Ze swego kąta wszakże obserwował dobrze Rózię. Wydała mu się nędzną obszarpaną włóczęgą, ale instynktem zwierzęcym odgadł w niej kobietę namiętną, pełną żądy i nigdy nie zaspokojonych pragnień. W tej dziewczynie płaskiej, źle zbudowanej, o przytłoczonym korpusie i szpiczastych ramionach, była jakaś siła przyciągająca mężczyzn – magnes kryjący się w fałdach jej obszarpanej sukni lub źle uczesanych włosach. Jan ocenił wprawnym okiem to zniszczone, a mimo to nie zużyte ciało, i zbliżył się ku Rózi z miłym uśmiechem na ustach.

– Panna w odwiedziny do Kaśki? Panna pewnie przyjaciółka?

I wsunawszy ręce w kieszenie, kołysze się, patrząc na Rózię przymrużonymi oczami.

Ona wszakże nie zwraca baczniejszej uwagi na Jana. Zapewne – rosły i tęgą mężczyzna, ale ona ma teraz co innego w głowie: rada by jak najprędzej być już w kuchni u Kaśki. I odwraca się szybko, zakrywając ciągle podbite oko zsiniałą ręką.

Ale Jan nie daje tak łatwo za wygraną. Z głośnym śmiechem obserwuje, że „pannie musiał ktoś nadeptać na oko”, ale on zna niezawodne lekarstwo w postaci kieliszka waniliówki.

– Mocna wódka, tęga, a mimo to damska – dodaje z pewną galanterią, uśmiechając się dwuznacznie.

Widząc przecież, że wszystkie zaproszenia nie odnoszą żadnego skutku, trąca Kaśkę, aby ona poparła jego prośbę.

– Ty! zaprośże, głupia, pannę, pójdziemy na kieliszek!

Różia, słysząc to, spogląda na Kaśkę. Ten kułak, ta nazwa „głupia”, toć dowodzi już bliskiej znajomości. Miałaby Kaśka przejść już przez to? Byłoby to jej kochanek?

I z ciekawością zaczyna się przyglądać Janowi, nie ma jednak czasu do dalszej obserwacji, bo Kaśka nagle porywa się z miejsca i pociąga za sobą przyjaciółkę.

– Pójdziemy do kuchni! ogrzejesz się!

I przeszedłszy przez dziedziniec, obie znikają w ciemnym wnętrzu klatki schodowej. Chwilę jeszcze stał Jan, wpatrzony w miejsce, które przed chwilą zajmowała Różia.

Swoją drogą – dobrze się stało, że nie zgodziły się pójść z nim na kieliszek. Obie były nadto obszarpane i brudne. Nie miały nawet ciepłych chustek, a Jan już jak kogo ze sobą prowadzi, to nie może znów psu oczów zaprzedać. Tylko że ta nieznamiona dziewczyna wydała mu się dość przyjemną, pomimo podsiniątego oka i zaszarganej sukni. Musi mieć jakiegoś diabła w skórze, bo Janowi mrowie chodzi po żyłach, jak sobie ją przypomni. To są takie kobiety! o, trafiają się, choć

nieczęsto – od razu coś ciągnie i krew burzy. Jan już znał takie dziewczyny, nic w nich nie ma na pozór, bo to chude i mizerne, ale zbliżyć się do nich – już człowiekowi dziwnie się robi.

I dwie te natury pokrewne sobie, wiecznie pragnące zadowolenia zmysłów, tonące jedynie w nienasyconej namiętności, odczuły się i zrozumiały w mgnieniu oka. Zresztą Jan potrzebował nowości, a na to przecież są kobiety, aby je często przemieniać.

Każda dobra – byle niedługo.

I Jan, z wielką fantazją przekrzywiwszy czapkę na lewe ucho i zmrużywszy oczy, wyszedł przed bramę, aby tam, przybrawszy pozę zwycięzcy, zaczepiać przechodzące dziewczyny.

Gdy Kaśka wprowadziła do kuchni swą przyjaciółkę, pomieściła ją koło pieca, pragnąc przede wszystkim, aby Różia rozgrzała się trochę. Potem zakrzątnęła się koło komina, a ostawiwszy garnek z kośćmi, mającymi naśladować mięso do rosółu, przystawiła koło fajerki imbryczek z resztą zimnej herbaty. Pragnęła bowiem poczęstować przyjaciółkę czymś gorącym; widziała, że Różia drży cała, a szczęki zacinają się jej z konwulsyjnym drganiem. Ciekawą jest, co też mogło Rózię doprowadzić do stanu takiej nędzy i opuszczenia.

Nie śmiała wszakże pytać.

Różia usiadłszy na niskim stołku, oparta plecami o rozpalone kafle pieca, oddychała ciężko, przychodząc do siebie pod wpływem gorąca panującego w kuchence. Teraz już nie zasłaniała podbitego oka, wobec Kaśki nie żenowała się wcale, odsłaniała całą nędzę swoją fizyczną, jak przed kilku miesiącami nie kryła swego moralnego ubóstwa.

Gdy Kaśka podała jej szklankę gorącej esencji, zabelonej odrobiną mleka, i kawałek szczerstwiającego chleba – chwyciła jadło z jakąś łapczywością. Widocznie dawno nie jadła.

Piła herbatę, parząc sobie język i gardło, a chleb przełykała całymi kawałkami, nie przeżuwszy go pierwszej.

Kaśka stała przed nią, wpatrzona ze zdziwieniem w ten szkielet wygłodniały, zziębnięty, posiniaczony.

Mój Boże! ona myślała, że nie ma na świecie nieszczęśliwszej nad nią istoty – teraz przekonała się, że są jeszcze większe nędze, większe utrapienia na świecie. Czyż ta żebraczka może być rzeczywiście tą pyszną Rózią, którą Kaśka ostatni raz widziała w mantynowej<sup>39</sup> sukni, przy skrzynce zastawionej całej resztkami rozlicznych specjałów? Tak jak wtedy nie umiała sobie wytłumaczyć tego dobrobytu, tak teraz nie może zrozumieć przyczyn nagłej nędzy.

O swojej urazie już zapomniała; widzi przyjaciółkę nieszczęśliwą, zgłodniałą, obdartą – to jej wystarczy. I w nagłym uniesieniu porywa swą zniszczoną, podartą chustkę, jedyne swe przed zimnem okrycie, a zarzucając na szpiczaste ramiona Rózi, mówi dobrym, pełnym uczucia głosem:

– Na! ogrzej się.

Ale Rózi jest już teraz ciepło zupełnie. Teraz tylko pragnie mówić. Gorąca esencja rozgrzała jej gardło – i cały potok zamrzniętych słów przepelnia jej usta. Czyni więc sobie ulgę, zaczynając swą spowiedź od słów:

– Wiesz, ten psuświat wygnał mnie.

Wygnał ją?

Dobrze, ale kto? Kaśka tego zrozumieć nie może. Któż mógł wygnać Rózię z jej własnego mieszkania? Przecież to ona płaciła komorne, a sprzęty także były jej własnością. I pełna naiwnego zdziwienia zapytuje:

– Kto cię wygnał? Dlaczego?

Różia niecierpliwie wzrusza ramionami.

– A któż, jak nie ten włóczyki, ten utrapieniec, to boże pomiotło, ten rabuśnik Feliks. Wygnał mnie i obił. O pobicie – to mniejsza, ale stancję zapał i nazad wetknąć się nie mogę.

Kaśka z wielkiego zdumienia aż przysiadła na ziemi.

Więc do tego doszła zuchwałość tego mężczyzny, żeby aż w mróz swoją kochankę na dwór wypędzał? Jakże się to stało?

---

<sup>39</sup> mantyna (wł.) – rodzaj tkaniny jedwabnej

Nie potrzebuje wszakże pytać, bo Rózia, rozpoczynając swą opowieść, nie daje się prosić z określeniem bliższym całej katastrofy.

– Cholernik to, a nie człowiek – mówi, trąc plecy o rozpalone płyty – z łatyndy przerobiłam na pana, na grzbiet przywdziałam szmaty, a ta kanalia, nie dość, że dnie całe do góry brzuchem leżał i dziury w suficie rachował, tak mnie teraz opiłował, że ani do świata, ani do porządku dostępu mieć nie mogę... Z mleczarni ci mnie wyciągnął, do kawiarni iść kazał; a że czasy były psie, to namówił, aby zmienić papiery: no! wiesz, te z glipotecznego banku! Zrobiłam ja tak i łapciuchowi sprzedałam, bo mi tak już kanalia dozierał za to, że mam składankę, a on po kotłach jada. Myślę sobie: na! weź, zatkaj pysk. Ta i wziął, sprawił sobie garnitur; ledwom wydarła na tę jedwabną suknię, coś mnie w niej widziała. Z kawiarni już wystąpiłam, bo on sam chciał, abym z nim używała państwa. I bumbłowaliśmy też! bumbłowali...

Urwała nagle, a mętnymi oczami zapatrzyła się przed siebie. Widocznie to „bumblowanie” było niezmiernie miłym wspomnieniem i wymagało trochę rozwagi. Kaśka, zasłuchana, nie przerywała tego milczenia. W religijnym skupieniu słuchała słów przyjaciółki, kiwając tylko od czasu do czasu głową na znak zdziwienia.

Sąd o tej całej sprawie zostawiła na później.

– Aleśmy się naużywali – ciągnęła dalej Rózia, uśmiechając się – jedliśmy u mej dawnej pani, żeby poznała psiajucha, kogo to miała w służbie. Wszystko na maśle, bo Feliks taki ci się wybrednik zrobił, że smalcu by w gębę nie wziął. A po obiedzie kazał sobie dawać czarną kawę i wyciągał nogi jak jaki hrabia, a zęby wykluwał... pedam ci! jak się na niego patrzyłam, to mnie podziwienie brało, skąd mu się taka pańskość wzięła. Po obiedzie to czasem wołaliśmy dryndę i hajda na spacer. A Feliks, bestia, nogi zakładał dryndziarzowi za kołnierz i tak jechał, a tylko pluł, jak kto nas mijał. Wieczorem tośmy szli na kufelek i tam się zabawiali nieraz do rana. Oj! to ci było życie!...

Kaśka uznaje za stosowne wtrącić uwagę:

– A za cóż cię wygnał, kiedyś mu takie dogodzenie sprawiała?

– Za co mnie wygnał? – wołała Rózia – psiawiara! pieniędzy nie stało, a on nabrał pańskich nawyczek i chciał sobie cięgiem zęby smarować miodem. Wydziwiał co dzień, namawiał, aże...

Urwała nagle, oglądając się na wszystkie strony.

– Ty wiesz, czy nas kto nie słucha? – zapytała nagle, a niepokój zmarszczył bladą i zgniecioną maskę jej twarzy.

Kaśka obejrzała się mimo woli.

Cóż, u diabła, ma do ukrywania ta Rózia? Dlaczego się obawia ludzkich uszów? Musiała zrobić coś złego. I mimo woli Kaśkę przejmuje trwoga – lichy wie, co popełnić mogła ta dziewczyna za namową takiego utrapieńca, jak Feliks.

Mimo to zapewnia Rózię, że są bezpieczne zupełnie. O! pan dawno wyszedł, a o panią nie ma strachu. Ta leży jak martwa i tylko od czasu do czasu westchnie jak małe dziecko. Ona nic nie posłysz.

I ciągle strwożona przysuwa się do Rózi, przyklękając tuż przy niej, aby lepiej dosłyszeć mogła. Tak, jej Rózia może się zwierzyć zupełnie bezpiecznie. Ona nikomu nie wygada – wpadnie jak w ucho księdza na św. spowiedzi.

– Nie miałam już pieniędzy – zaczyna Rózia, kurcząc mimo woli całą swą postać. – Feliks har-miderował, poszłam do „grubej! i... chciałam ściągnąć jej z szufladki. „Gruba” się w czas spostrzegła, a ja uciekłam, tylko kawałek spódnicy w rękach pana został. Mogą mnie złapać i zamknąć, nie chciałabym użyć tej frajdy, bo to się na zawsze do człowieka przylepi i nigdy już nie odstanie.

Skończyła, patrząc zdziwiona na Kaśkę, milczącą i patrzącą chmurnie w ziemię. Spodziewała się potępienia ze strony przyjaciółki, która w jej wyobrażeniu pozostała jeszcze ciągle z piętnem uczciwej głupoty na czole. Dlaczegoż dziś właśnie Kaśka nie gani jej postępkę, tej chęci okradzenia dawnej swej chlebobawczyni, za co ją dawniej tak surowo gromiła?

Czyżby i ona sama?...

Ale Kaśka przecina jej domysły. Zdrowym, chłopskim rozumem ogarnia całą sytuację i reasumuje ją w kilku słowach:

– Przecież teraz nie możesz wyjść na ulicę.

Prawda, Różia nie pomyślała o tym. Po nieudanym zamachu na kasę grubej właścicielki mleczarni uciekła wprost do Kaśki, pędzona jakimś niewytłumaczonym dla niej instynktem zachowawczym. Zdawało się jej, że ta wielka, silna dziewczyna zdoła ją obronić od wszystkich „policjów” świata całego.

Teraz jednak zrozumiała całe swoje położenie, w uszach ciągle brzmiał jej wykrzyk pełen groźby i obiecujący spełnienie zawartej treści:

– Zgnijesz w kryminale.

Cóż teraz począć? Wyjść i oddać się tym samym w ręce policji? O! nie, Różia woli się raczej oblać naftą i podpalić. Tak przynajmniej zapewnia, łkając rozpaczliwie.

Kaśka jednak zbiera całą energię; zapomina o swych własnych troskach i myśli jedynie o zapewnieniu bezpiecznego schronienia swej przyjaciółce.

Tak będzie najlepiej. Różia ukryje się na strychu, za małym ogrodzeniem, w którym są schowane rozmaite graty, stare dachówki i tym podobne przedmioty.

Jan, gdy go Kaśka poprosi, pozwoli na to z pewnością.

I pełna najlepszych chęci chwyciła za klucz od strychu, zachęcając Rózię do udania się dla zajęcia nowego lokalu. Różia wszakże ociąga się chwilę, uprzejmość Kaśki budzi w niej wspomnienie krzywdy wyrządzonej tej dobrej dziewczynie owego popołudnia niedzielnego, gdy Kaśka przyszła do niej w odwiedziny. Dziś Różia padła na jej ręce, a ona, zapomniawszy urazy, ocala ją od ohydnej kary, jaka jej grozi. Czym się wypłaci za tyle dobroci?

Mówi jej to z pewnym zakłopotaniem, bojąc się, czy przypomnieniem gradu obelg, jakimi obsypała Kaśkę, nie zmieni w tej ostatniej dobrego postanowienia.

Ale Kaśka zatrzymuje się przy drzwiach po to tylko, aby łagodnie zapytać się, czym właściwie zasłużyła na ten „despekt”, jaki ją spotkał.

Różia odzyskuje nagle rezon.

– To Feliks gadał, że jakieś przyszła po kufer, to się do niego brałaś, a na mnie suchej nitki nie ostawiłaś, takeś mnie przy nim malowała.

Kaśka, zdziwiona, patrzy chwilę, po czym wzrusza ramionami.

– Ot, plecenie bez ładu – odpowiada – durna byłaś, żeś w to uwierzyła, a teraz chodź na strych, bo pan wróci i będzie wtedy godzina!

Mogła przecież powiedzieć Rózi, że to Feliks właśnie namawiał ją sobie, ale z delikatnością, właściwą poczciwym kobietom, milczy na tym punkcie, nie chcąc sprawić przykrości przyjaciółce.

Za chwilę wchodzi obie na strych, gdzie panuje zgniłe zimno, wpadające do wnętrza przez otwory dachu i powybijane szybki strychowych okienek. Kaśka lokuje Rózię w małej przedziałce, utworzonej z desek dość szczelnie zbitych i zamkniętych na drzwiczki, opatrzone zawiasami. Kaśka obiecuje przynieść niebawem kłódkę i zamknąć Rózię w tym schronieniu.

– Będzie ci tu przespiecznie, tylko jakby kto wieszając bieliznę przyszedł, to się nie ruchaj! – upomina przyjaciółkę – siedź jak umarła; ja ci tu przyniosę jaką pościółkę, a tymczasem weź moją chustkę i owiń się dobrze.

Mówiąc to, ściąga z pleców zrudziały i zniszczony szal, którym owija Rózię; nie pamięta w tej chwili, że jest to jedyne jej przed zimnem okrycie – widzi tylko drżącą od zimna istotę i stara się ją ogrzać, narażając się sama na przeziębienie i inne gorsze następstwa.

Różia pragnie jej podziękować serdecznie, ale Kaśka nagle błędnie i chwiejąc się, opiera o szalowanie. Cichym głosem zapewnia Rózię, że to przejdzie, bo teraz często napada na nią takie „stumanienie”, tylko że prędko przechodzi. I teraz przejdzie z pewnością, tylko wyjdzie trochę na powietrze.

Różia okiem doświadczonej kobiety spogląda na przyjaciółkę. Te „stumanienia” bywają zwykle u dziewczyn podejrzane. Ona sama nie przechodziła tego nigdy, ale napatrzyła się nieraz na takie

historie. Nie mówi jednak nic, tylko uśmiecha się dwuznacznie, nie rozumiejąc, dlaczego sprawia jej zadowolenie ten jawny dowód upadku Kaśki. Nawet odbierając dobrodziejstwa z rąk tej dziewczyny, rada by ją widzieć nad przepaścią, jeśli nie na dnie przepaści. Ma w swym charakterze tę trochę zgnilizny, jaką nosi zielonawa cera jej twarzy. Rada wciąga w siebie woń rozkładu swego i drugih, choćby dobrze jej czyniących osób.

Gdy Kaśka zeszła na dziedziniec, znalazła Jana opartego o ścianę śmietnika i wpatzonego w dal z wyrazem znudzenia na twarzy. Na głos Kaśki odwrócił się niechętnie i słuchał jej słów z widocznym niezadowoleniem. Ona początkowo starała się ułagodzić go i rozruszać, uśmiechając się doń łagodnie pomimo bezustannych mdłości, które ją trapiły. On pozostał ciągle zachmurzony; dopiero gdy Kaśka zaczęła nieśmiało prosić go, aby pozwolił Rózi przesiedzieć jakiś czas na strychu, rozjaśnił się widocznie.

Owszem, dlaczegoż nie ma pozwolić tej dziewczynie przenocować w schowanku? Cóż to, czy one sądzą, że on z kamienia i na biedę ludzką nie ma wyrozumiałości? On wie, co się należy dla kobiet, i chętnie nie tylko pozwala, ale i siennika nawet pożyczyci. Kaśka, pełna wdzięczności, głaszcze go po ramieniu. Mój Boże! ona się tak bała, że Jan ją ofuknie i Rózi precz iść każe; teraz go przeprosza za to posądzenie – myślała, że jest o wiele niepocziwszy – ot, jak każdy chłop, który dziewczynami poniewiera.

I chętnie odpowiada na pytanie Jana, jakie ten ostatni jej zadaje. Pytania te tyczą się głównie Rózi – kto jest, skąd przybyła, czy ma jakiego kochanka.

Kaśka przedstawia swą przyjaciółkę w jak najlepszym świetle. Milczy o jej wadach, nie może jednak pominąć opowieści o Feliksie. Jan śmieje się, pobudzony nagle obrazem zwierzęcego przywiązania tej płaskiej dziewczyny do starego, żonatego człowieka.

– A to ci kawalarka! – mówi – ja zaraz poznałem, że to musi być rarytny ananas, bo ma takie świdrujące ślepie...

I za oddalającą się Kaśką posyła jeszcze wybuch śmiechu i „to ci kawalarka!”

Wróciwszy do kuchenki zastała Kaśka Budowską, oczekującą ją niecierpliwie. Na żółtej twarzy Julii widniało jakieś rozpaczliwe postanowienie, chęć dopięcia, bądź co bądź, zamierzonego celu. W rękach trzymała list zapieczętowany, z nakreślonym ukośnie adresem. List ten wręczyła Kaśce, nakazując jej iść natychmiast do Politechniki, odszukać tam rzeźbiarza Wodnickiego i temu wręczyć list dla przesłania go wiadomej osobie.

– Idź prędko – mówi, zbliżając się do komina – ja obiadu dopilnuję, ty idź i dopytaj się mądrze o tego pana. To jest młody pan, co z kamienia ludzi robi – tłumaczy, podnosząc z nerwowym pośpiechem pokrywki od garnków – pokażę ci, gdzie on lepi; ty jesteś rozumna dziewczyna, trafisz z pewnością.

Kaśka wychodzi szybko, ogarnawszy się trochę. Włożyła lepszą spódnicę i stary flanelowy kaftanik. Chciała wstąpić po chustkę, ale cofnęła się już od drzwi strychu. Ona się zagrzeje idąc; Rózia, siedząc pod strychem, może zziębnąć gorzej. Woli więc zostawić chustkę przyjaciółce.

Wyszedłszy na ulicę, zatrzymuje się, orientując powoli.

Politechnika? – trudna nazwa – i Kaśka z pewnością by nie trafiła, gdyby nie to, że dawno już, wtedy jeszcze, gdy była u Pinkusów Lewi, przechodziła z niańką przez ulicę prowadzącą za miasto. Kończyli właśnie budować jakiś wielki budynek i Kaśka stanęła chwilę, aby się dobrze tej masie przypatrzeć. Jeden z robotników, który nawet wyglądał na „starszego”, wytłumaczył z ciekawym dziewczynom cel, na jaki gmach ten ma być przeznaczony. Tłumaczenie to nie było nader jasne, a Kaśka i Franka nie odznaczały się widocznie bystrością umysłu, skoro odeszły tak mądre, jak się zatrzymały. Wpadła im tylko do uszów nazwa „Politechniki”, którą przekręcały na swój sposób. Nazwa jednak w pamięci została. Dlatego Kaśka po chwilowym namyśle skierowała się na prawo i szybkim krokiem zapuściła się w labirynt wąskich i żydostwem zapchanych uliczek. Koło Pocztowej ulicy przestrzeń zaczęła się rozszerzać, domy czystsze, wolne od żydowskich sztyldów i szafek wznosiły swe mury, zdobne w balkoniki, przystrojone pasami śniegowego puchu.

Wprędce Kaśka wydostała się na szeroką ulicę, pełną rusztowań lub świeżo ukończonych kamienic. Z dala widniał już gmach Politechniki. Sam biały, występował ze śniegu jak olbrzymia kobieta, stojąca w śnieżnej, miękkiej pościeli. Przed nim mały placyk roztaczał się niepokalanie biały, puszysty jak futerko królika. Czarne sztachety, okalające ogród, miały na załamaniach swych strzał, na brązowych ozdobach pełno tej śnieżystej koronkowej bieli. Kaśka od razu poznała gmach. Tak, istotnie, to był ten sam dom, którego rozmiary zastanowiły ją nawet, gdy jeszcze rusztowaniem w części zasłonięte były. Tylko teraz imponował jej nieposzlakowaną czystością murów. Mimo woli zatrzymała się u głównego wejścia... wszystko aż świeci z czystości – jakże ona tam wejść może!

Nie puszczają jej z pewnością.

Ale w przedsionku nie było szwajcara ani żadnego ze służby. Kaśka weszła więc, unosząc swą zamoczoną spódnicę. Ta piękna, taflowa posadzka onieśmiała ją bardzo. Wolno bardzo skierowała się ku schodom, które wysuwały ku niej swe płaskie, szerokie flizy, szare, niezdecydowanej prawie barwy, zapożyczonej od zimowego, posępnego nieba. Schody te, umieszczone niewłaściwie, za olbrzymie w porównaniu z obszarem, w którym się mieściły, zdawały się być przygniecione zbyt niskim sufitem, który niesmaczną masą zwieszał się nad nimi. Kaśka jednak, mało wrażliwa na błędy architektury, stąpała wolno i ostrożnie po kamiennych flizach. Ten przedsionek robił jej wrażenie kościoła; religijna cisza, panująca dokoła, potęgowała tę iluzję. Dokoła kurytarze wyciągały się w prostych liniach, zabierając w swe wnętrze wąski pan wojłokowego dywanu.

Na szczycie schodów kurytarze te plątały się w istny labirynt. Szklana kopuła oświetlała jasno szeroką przestrzeń, pokrytą ciemnymi i jasnymi flizami. Dokoła, jak promienie gwiazdy, rozsnuwały się głębie kurytarzy, chłonąc w siebie światło i ginąc w cieniu. Wielka kamienna statua stała zimna i niewzruszona w głębi, opierając się plecami o nagą ścianę. Była to wielka, muskularna kobieta, ubrana w togę i przystrojona w laurowy wieniec. Oczy jej szeroko rozwarte patrzyły bez źrenic, z tym uporem, smutnym wyrazem, tylko posągom właściwy. W jednej ręce trzymała rylec, w drugiej tabliczkę. Stała tak samotna, znudzona w niepewnym świetle, lejącym się z szyb górnego okna kopuły. U stóp jej wąskie i niewygodne ławeczki nie zapraszały zbyt gościnnie do wypoczynku. I wszystko w tym przedsionku było smutne, szare, milczące, tchnące jakimś niezdrowym, szpitalnym spokojem.

Kaśka zatrzymała się, niepewna, w którą stronę skierować kroki. Spoza wysokich, ciemno pomalowanych drzwi nie dobiegał żaden szmer, żaden głos ludzki. Zdały się wrotami jakichś tajemniczych grobowców, więzających w sobie trupy, spowite w płótna kryte hieroglifami.

Kaśka nie śmiała dotknąć się którejkolwiek klamki. Błyszczały w szarym świetle jak ostrza sztyletów, jak końce dzid, ukrytych poza drzwiami strażników.

I Kaśka stała tak długo, oddychając cicho, bojąc się, aby głośniejszym westchnieniem nie zakłócić religijnej ciszy, płynącej wzdłuż tych ziemnych, szarych murów.

Nagle z głębi kurytarza wysunął się młody chłopak w płóciennych, podartych spodniach i korbowej kurtce na grzbiecie. Była to dziwaczna istota, wysoka, chuda, przygarbiona. Czoło wypukłe zakryte było w połowie kosmykiem rudawych włosów. Nos prosty, regularny, zakończony cienkimi nozdrzami, usta szerokie, o wąskich, zaciśniętych wargach, cała ta twarz, będąca mieszaniną najpiękniejszych linii z nieforemnościami i skurczeniami zupełnie nieregularnymi, uderzała na pierwszy rzut oka. Klasyczny nos, prawdziwy nos Napoleona I, zabłąkał się widocznie pomiędzy dwoje drobnych, prawie chińsko rozciętych oczu. Oczy te miały chwilami błysk stali; było w nich coś ze źrenic kota, gdy je nadmierne światło razi. Owal twarzy harmonizował z pięknością nosa, lecz kształt głowy psuł to wrażenie. Szyja długa i chuda, ramiona olbrzymia, piersi wklęsłe, nogi długie i prawie w pałąk zgięte nadawały temu chłopcu piętno szpetoty, pomimo pojedynczych idealnie pięknych rysów.

Chłopiec szedł wolno, kołysząc się na krzywych nogach. W jednej ręce trzymał młotek, ubielony cały gipsem. Zresztą gipsu tego miał na sobie pod dostatkiem. Na włosach osiadły całe tumany, tak że gdzieś tam tylko przeświecały rude kosmyki.

Plecy, rękawy, buty nawet, wszystko ginęło pod białą powłoką. Na twarzy także miał białe plamy, co mu nadawało podobieństwo do kłownów cyrkowych.

Szedł z przymrużonymi oczami, wymachując młotkiem i rozsypując dokoła tumany kurzu. Dostrzegłszy Kaśkę, zatrzymał się chwilę. Obecność tej dziewczyny zastanowiła go widocznie. Podobne odwiedziny nie powtarzały się zbyt często pod oszkloną kopułą. Kaśka stała także, nie śmiejąc się ruszyć z miejsca. Ukośne oczy tego chłopca nie budziły w niej zaufania. Przy tym machał ciągle młotkiem w sposób dwuznaczny. Kto wie, jakie miał zamiary!

Ale on porwał się nagle z miejsca i przysunął się ku niej z szybkością błyskawicy. Żrenice błyszcząły dziwacznie, a z jego piersi dobył się krzyk nieludzki, zwierzęcy, krzyk ostry jak nóż myśliwski i przejmujący do szpiku kości.

Kaśka przerażona cofnęła się kilka kroków ku schodom. Głos tego człowieka przerznął nagle powietrze i tryumfalnie wzbił się aż pod szklane sklepienie. W krzyku tym drgały całe setki niewypowiedzianych wyrazów, jakieś rozpaczliwe pragnienie, aby zostać zrozumiałym. W ciszę, panującą dokoła, wpadł nagle ten krzyk w półludzki, w półzwierzęcy i zakołatał do wszystkich zamkniętych drzwi, wznoszących się dokoła przedsionka.

Ale nikt oprócz Kaśki nie zastanowił się nad znaczeniem tego głosu. Drzwi niewzruszone, szczelnie zamknięte, połyskiwały klamkami, a kamienna kobieta nie drgnęła na swym piedestale. I powtórnie znów się rozległ ten wrzask, jeszcze silniejszy, groźniejszy niż przedtem. Chłopak patrzył ciągle na Kaśkę, a na czole jego wystąpiły dwie sinawe pręgi. Widocznie wydobyć głosu kosztowało go wiele siły.

Teraz Kaśka zrozumiała, że ma do czynienia z głuchoniemym. Wprędce pozbyła się obawy. Postąpiła kilka kroków, a znalazłszy się przed kaleką, usiłowała gestami wytłumaczyć, o co jej chodzi. Nie szło jednak łatwo. Chłopiec nie mógł zrozumieć, o co chodzi, a Kaśka mało miała wyobrażenia o podobnym systemie porozumiewania się.

Stali tak długo naprzeciw siebie, czyniąc najrozmaitsze gesta i nie mogąc się porozumieć wzajemnie. Nagle głuchoniemy schwycił Kaśkę za rękę i pociągnął ją w głąb jednego z kurytarzy. Wydając dzikie krzyki, biegł po wojłokowym chodniku, ciągnąc za sobą przerażoną dziewczynę. Na prawo i na lewo migały przed nią drzwi takie same, jakie okalały przedsionek.

Jedne z tych drzwi otworzyły się gwałtownie. W nich ukazała się znajoma Kaśce postać małego rzeźbiarza, który ofiarowywał na podwórku mleczarni dwa szóstaki za pozwolenie oblepienia ją gliną. I on poznaje od razu tę tęgą dziewczynę, ujrzaną wśród letniego popołudnia; wesoły uśmiech igra na jego kształtnych ustach. Z prawdziwą radością, przy pomocy głuchoniemego wciąga Kaśkę do wnętrza pracowni. Tam – śmieje się z niej, podkrecając węża, usiłując nadać swej drobnej, dziecięcej twarzyczce wyraz diabelski. Pozbyła się wreszcie niepotrzebnego „boja” i namyśliła się. Zrobiła bardzo dobrze, bo dwie szóstki... to zawsze dwie szóstki. I z miną bogacza uderza się po wiecznie pustych kieszeniach dla wzbudzenia większego zaufania, co jednak nie oddziaływa na głuchoniemego. Widocznie ten „pomocnik rzeźbiarski” nie daje się brać na tak zwane „kawały” i energicznymi wrzaskami zaprzecza istnieniu jakiegokolwiek monety w kieszeni swego mistrza.

Ten ostatni przecież nie zwraca uwagi na brak uszanowania, jaki mu jego uczeń w tak donośny sposób objawia; stoi ciągle przed Kaśką uśmiechnięty i pełen radości, że natrafił wreszcie na przyzwoity model dawno obmyślanej Kariatydy. Ale ona przecina szybko te przedwczesne nadzieje. Nie namyśliła się wcale, ani nie przyszła tu po dobrej woli. Pani ją posłała z listem do jakiegoś pana Wodnickiego. Może on zechce ją objaśnić, gdzie można znaleźć tego pana. Pragnie wrócić jak najprędzej do domu, ale tutaj, to jak na cmentarzu, ot, jakby wszyscy powymierali – taka pustka, człowieka spotkać i zapytać nie można...

Wesołość małego rzeźbiarza wzrasta. Wszakże to on jest Wodnickim, a ona prosi go o wskazanie, gdzie „ten pan” przebywa.

– Ach, sztukaterio jedna! – woła, zanosząc się od śmiechu – poszukasz niedługo własnej głowy, coś ją zostawiła na dziedzińcu.



Głuchoniemy wydaje coraz przeraźliwsze wrzaski. Nie słyszy śmiechu pana, ale poznaje po składzie ust, że to jakaś „fajda”. W przystępie radości wali z całych sił młotkiem w kawałek blachy i dobywa z siebie skandaliczne krzyki.

Mistrz uznaje za stosowne położyć koniec tej lubej wesołości.

– Milcz, bryło jedna! – woła, dodając odpowiedni gest, wspaniały gest Cezara uciszającego tłumy.

Tłum w postaci jednego kaleki milknie i tylko głuche, przyciszone warczenie daje się słyszeć z kąta. Głuchoniemy zasuwa się za stopy płyt gipsowych i stamtąd śledzi uważnie wyraz twarzy swego pana. Tymczasem Kaśka zabiera się do odejścia; skoro doręczyła list, nie ma tu przecież co robić. Ale rzeźbiarz jest innego zdania. List nie jest adresowany do niego; ten pan, dla którego list jest właściwie przeznaczony, może nadejść... dobrze więc, aby Kaśka poczekała i rozmówiła się z nim osobiście. Teraz Kaśka tym bardziej opiera się i kieruje się ku drzwiom. Wspomnienie barczy-stego studenta napęnia ją trwogą. Pamięta go dobrze w tym niepewnym świetle latarni; jego zu-chwałę oczy i wydęte wargi sprawiły na niej przykre wrażenie. Instynktem, właściwym kobietom, przeczuła w nim zwierzę pełne niepohamowanej namiętności i znenawidziła go bezwiednie. Dla-tego teraz pragnie odejść i febrycznie chwyta za klamkę, którą jej mały rzeźbiarz wydrzeć usiłuje.

– Nie pójdziesz tak szybko, ty ornamentcie dziki! – woła, śmiejąc się szczerym, serdecznym śmiechem – niechże choć dam ci karteczkę, że list mi oddałaś.

Kaśka decyduje się zaczekać, a Wodnicki zaczyna szukać przyborów do pisania. Dziewczyna tymczasem rozgląda się po pracowni. Nigdy jeszcze nie była w takim miejscu. Wprawdzie coś po-dobnego widziała już, idąc na cmentarz, ale zawsze nie było to, co tutaj.

Tam robili prości robotnicy w fartuchach, a spod ich młotów rodziły się same święte figury. Więc Pan Jezus na krzyżu, z wiecznie jednakowo przechyloną głową; wysokie anioły w fałdzistych spódnicach, z trąbami w spuchniętych rękach; małe dzieci, przewiązane pieluszką i klęczące w bar-dzo niewygodnej pozie – słowem, cały ten legion figur kamiennych, ciosanych ręką drżącą jeszcze od wódki i ulicznej rozpusty, bez śladu natchnienia, pojęcia o prawdzie, o piękności cielesnej lub duchowej. Dla Kaśki przecież tamte wytwory sztuki były o wiele piękniejsze i bardziej przema-wiające do jej trywialnej natury niż próbki geniuszu napęniające pracownię Wodnickiego.

Pracownia ta mieściła się w podłużnej, wysokiej salce, przeznaczonej pierwotnie do innego użytku, a za staraniem jednego z członków wydziału, a protektora małego rzeźbiarza, oddana Wodnickiemu na tak zwane „atelier”.

Była to biedna pracownia ubogiego polskiego artysty, daleka od wytwornych i bajecznych prze-pychów, jakimi odznaczać się zwykły pracownie zagranicznych mistrzów. Ale było tam za to bo-gactwo talentu, przepych próbek genialnych, śmiałą ręką w jednej chwili tworzonych, i dostatek myśli, zakuwanych w materiał nędzny i skarżący się tym ubóstwem.

Na białych ścianach widniały kontury postaci, kreślone węglem, grzeszące czasem przeciw skrupulatnej anatomii, ale pełne życia już w swych zarysach, dla oczu znawców tylko zrozumia-łych. Rysunki te przecinały medaliony gipsowe lub z terracotty, porozrzucane niesymetrycznie, grupami, ot, tak w porządku tworzenia lub w chwili kaprysu. Na medalionach tych widniały profile rozmaitych ludzi – niekształtne głowy z upartymi czołami, o spłaszczonych czaszkach lub czyste, klasyczne rysy, ożywione uśmiechem lub pełnym znaczenia sfaldowaniem czoła. Były tam i pła-skorzeźby, niewielkie, kwadratowe lub podłużne tablice, z których do pół wysuwały się figury smukłych, nagich kobiet, tańczących z tamburinami<sup>40</sup> lub kąpiących się w lekko marszczącej wo-dzie.

Na środku pracowni stały dwie olbrzymie postacie, sięgające aż do sufitu nagimi czaszkami. Dwa te olbrzymy, potwornie swą wielkością ohydne w tym nienaturalnym zwiększeniu, czyniły wrażenie słoni, zamkniętych w ciasnej klatce niemieckich Thiergartenów.

Po odpowiednich emblematach, to jest po kluczach itd., poznać było można dwóch apostołów, Piotra i Pawła, przeznaczonych do przyozdobienia jednego z małomiasteczkowych kościołów.

<sup>40</sup> tamburin (wł.) – bębenek ręczny z dzwonekami

Był to obstalunek, zrobiony ze składek pobożnych parafian. Pragnęli mieć świętych wielkich, jak żaden kościół w miasteczku; rozmierzyli na łokcie, wytargowali każdy centymetr i co tydzień niemal delegowano deputację dla zbadania czy święci postąpili we wzroście i czy rzeźbiarz trzyma się ich uwagi i wskazówek. Wielkie zmartwienie sprawił tej deputacji św. Paweł, który przynajmniej o czoło zdawał się niższym od św. Piotra. Chcieli mieć świętych równych wzrostem, aby nie obniżać żadnego z nich w umyśle wiernych. Przez długi czas nudzili Wodnickiego, aby zrównał głowy apostołów.

– Cóż to panu szkodzi podnieść trochę świętego Pawła. Można go postawić na przykład na cegielce albo na kamieniu.

Wodnicki zaciskał pięści i nie odzywał się wcale, tylko od czasu do czasu rzucał taki wzrok na gromadę „wiernych”, że głuchoniemy, nie mylący się nigdy co do natury tego wzroku, chwycił w nadmiarze przestrachu garść gliny i zasmarowywał sobie twarz całą.

Kaśka z trwogą i szacunkiem spojrzała na święte figury. W małej salce zdały się jej olbrzymie, surowe, pełne grozy, nieubłagane spoglądające na nią szarą powłoką swych źrenic. O podstawę oparte stały części pomnika sławnego historyka, zmarłego przed kilkoma laty. I na tę pamiątkę składał się naród, ale nie garstka kilkuset sfanatyzowanych mieszczan, lecz kilkaset tysięcy ludzi, którzy kroczyli po ciemnej drodze, rozświetlanej pochodnią, płonąca w dłoni wielkiego pracownika.

Pracownik ten zstąpił do mogiły przedwcześnie, ale pochodnia, zapalona jego ręką, płonie na kartach ksiąg, które za życia kreślił. I jednoznacznie rzucono się do znoszenia ofiar na pomnik dla zgasłego historyka. Nikt nie wołał, nie uderzał w wielki dzwon, nie alarmował i nie dzwonił dzia-dowską puszką. Szli wielcy i mali, a najwięcej mali, i nieśli grosz drobny, z którego to grosza urosła mała stosunkowo sumka, ale dla naszego ubogiego kraju stosowna. Wykonanie pomnika powierzono także jednego z „małych”, bo z zmarły szczególniej tych „małych” ukochał, pracując dla nich, a ucząc ich „przeszłości”, w nich widział „przyszłość” kraju.

I Wodnicki odczuł pragnienie zmarłego; dlatego przy pomniku nie stała żadna wpólnaga niewiasta, gasząca pochodnię, lub goły geniusz z pochyloną rozpaczliwie głową. On umieścił u stóp pomnika małe, drobne pachole, czytające z księgi, zadumane nad nią, zapatrzone w karty jak w obraz cudowny.

Pachole to było bose i miało na sobie koszulkę, przepasaną krajką. Rysy tej dziecinnej twarzyczki nie tworzyły greckiego profilu. Była to prosta, trywialna twarz chłopskiego dziecka o pomierzwionej, spadającej na oczy grzywie. Tylko w zmarszczeniu brwi, w kurczowym zaciśnięciu ust domyślić się można było budzącej się w tej głowie myśli. Myśl ta drzemała lat tyle, dlatego wstawała teraz leniwie, boleśnie jakoś, ale wstawała zawsze i choć wolno, rozwijała się przeciw.

Wodnicki z wrodzoną sobie genialną obserwacją cały ten proces budzenia się ludu uwięził w tej chłopskiej dziecinie siedzącej u stóp pomnika. Księga, z której dziecko czytało, nosiła tytuł jednego z dzieł zgasłego pisarza. I po cóż miał rzeźbiarz stawiać na straży pomnika geniusza z zagasłą pochodnią? Tylko twórcom dzieł znikomych, przemijających, przystoją podobne alegorie. Historyk, odsłaniając przeszłość, pracował dla przyszłości – i ta przyszłość, uosobiona w ludzie, przypadła mu do stóp pomnika.

Wzrok Kaśki zatrzymał się chwilę na tym dziecku bosym, biednym, znędziałym. Dziewczyna z ludu odczuła mimowolnie prawdę i uśmiechnęła się do tej skamieniałej nędzy, która była jej wier-nym odbiciem. I ona, będąc dzieckiem, bosa i w jednej koszuli włóczyła się po łąkach, okalających przedmieścia. Gdy zaczęła czytać, siadała czasem pod murem fabryki z elementarzem w ręku, skurczona, z brwiami zmarszczonymi, wyętzając całą swą uwagę na rozróżnienie czarnych znaczków, wypełniających książkę. Później elementarz rzuciła w kąt, bo do nauki nie miała czasu ani nawet wielkiej chętki, ale pamięć tych dni pozostała jej na długo. Dlatego teraz stoi uśmiechnięta, wpatrzona w to szare, kamienne dziecko, które odcina się od płaszczyzny i w wiecznym milczeniu pograżone, przypomina jej młodość i nędzę dni minionych.

Niedaleko, oparta o drewniany koziołek, stała tablica środkowa, ozdobiona medalionem historyka. Wodnicki uwiecznił rysy tej twarzy z całym niemal brutalnym podobieństwem. Podobieństwo to przerażało na pierwszy rzut oka – ciało poszarpane ospą oddane zostało z jak najdokładniejszą prawdą. Rzeźbiarz nie idealizował, nie poprawiał natury – miał model brzydki i wiernie go naśladował. Tylko kształt głowy, czoła i wyraz ust wynagradzał sownicie ślady ospy. Było to dzieło drobne na pozór, ale traktowane energicznie, śmiało, pełne brzydoty i piękności zarazem, urągające przepisany formom, zbaczające z wydeptanej ścieżki. Dla Kaśki był to tylko „ospowaty pan...”, widziała tylko poszarpane ciało, nie bacząc na nic innego, nie czując piękności duchowej w profilu tej twarzy o ostrych, nieregularnych rysach.

Po lewej stronie sali stał olbrzymi gipsowy *Samson*, czekający na marmurową szatę, której prawdopodobnie nie miał nigdy dostać. Doskonały swą męską, potężną pięknnością, białął w jasnym świetle jak zjawisko, urągające swą nagością obydwom apostołom, otulonym po same szyje w długie, fałdziste płaszcze. Piękny i strojny tą nagością rozsiadł się dumnie na odłamku skały, zaparty w przestrzeń, podparty na muskularnej ręce. Niedaleko niego marmurowa *Świtezianka*, owinięta przejrzystą siatką, znaną pewnie w wód głębinie, wznosiła w górę swą postać białą i smukłą jak lilia wodna. Poza nią jedna z artystek dramatu uśmiechała się, prezentując małą główkę strojną w grecką fryzurę, i smukłą szyjkę, tonącą w falach najdelikatniej rzeźbionych koronek. Biust ten, powtórzony kilkakrotnie i porozrzucany w rozmaitych punktach pracowni, mienił się czerwoną barwą terracotty i ożywił jakby tchnieniem życia trupią białości gipsu lub szarą powłokę kamienia.

Wreszcie dokoła, porozrzucane w najwyższym nieładzie, leżały rozmaite ornamenta, sztukaterie, linijki, pokruszone medaliony, popiersia kobiece, płaskorzeźby, nogi gipsowe, kawałki rąk lepionych naprędce z gliny – jakieś twarze pochwycone w przelocie – projekta utworzone w chwili gorączki – słowem, cały ten chaos pełen ułamków, myśli, urywków, próbek talentu, czasem mieszczących w sobie odblask geniuszu, czasem znów zgniecionych potężniejszym nad wszystko działaniem alkoholu. Tylko biust artystki uśmiechał się, zawsze poprawny, wykończony, wypieszczony prawie. Ręka, która go tworzyła, musiała być pewna i śmiała, rzecz można, że w gorączce, szarpiącej duszę rzeźbiarza, on znajdował odpoczynek, wygładzając te rysy – rzeźbiąc delikatne kontury szyi. I ta uśmiechnięta kobietka, wyglądająca z kącików pracowni, zdawała się tu zapowiedzią jasnej, lepszej przyszłości. Wnosiła ze swym uśmiechem i figlarnym przechyleniem główki woń porządku i perfum do tej ubogiej, a bogatej w talent pracowni młodego chłopca. Była to widocznie Monna Bice<sup>41</sup> Wodnickiego, strojna w koronki, z grzywką przyciętą i starannie zafryzowaną w tysiączne pierścienie.

Kaśka stała długą chwilę na środku pracowni, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Ogrom apostołów przerażał ją; nagość *Samsona* zawstydziała ją niezmiernie; patrząc na *Świteziankę*, rumieniła się jak wiśnia... Pomimo swego upadku zachowała wstydlivość dziecięcą; ta naga kobieta, spowinięta w przezroczystą siatkę, zawstydziała ją nad wyraz wszelki. Czegóż się tak rozebrała? czyż była tak biedną, że nie miała nawet koszuli? Ależ koszulę ma każdy, choćby największy biedak na świecie.

Tymczasem Wodnicki stara się ośmielić dziewczynę i proponuje jej znowu pozowanie, ofiarowując jej teraz „trzy szóstki” za godzinę. Kaśka odmawia; skądże mogłaby znaleźć tyle czasu? a potem ona nie do tego. Wodnicki wskazuje jej *Świteziankę* sądząc, że ją tym zachęci.

– Patrz, terracotto – mówi, wykrzywiając się dziwnie – to także ulepiłem z jednej dziewczyny, co miała więcej rozumu od ciebie. Postąpiła przede mną parę razy i cóż jej się stało? Przecież jej nie zjadłem, a kilka ryniów wzięła i ręce mi jeszcze całowała. Tobie chcę dać więcej, ale nie rób ceregieli, bo, jak Boga kocham, buchnę taki ornament gdzie indziej, a ty gips wsadzisz do kieszeni.

Kaśce krew uderza do głowy, czym prędzej wychodzi z pracowni, nie żegnając się nawet i zostawiając drzwi otwarte. Już na kurytarzu słyszy, jak głuchoniemy, wydając dzikie wrzaski, za-

---

<sup>41</sup> Monna Bice – mowa o Beatrice, córce florenckiego szlachcica Folco Portinari, którą opiewał Dante w swych utworach

myka za nią drzwi; ona ucieka z tych zimnych, białych murów, gdzie czuje się prawie naga, tak jak ta biała gipsowa kobieta, owinięta tylko w siatkę i ulepiona z takiej, jak ona, dziewczyny.

I zbiegając po schodach, wyobraża sobie tę drugą sługę, rozebraną, stojącą na środku tej sali, oblaną całą strugami białego, jasnego światła! Jakże ona mogła tak stać, ta dziewczyna, przed mężczyznami, wystawiając się na taki wstyd dla marnego grosza? O! ona, Kaśka, nie zrobiłaby tego nigdy, nawet gdyby z głodu jej zamrzeć przyszło. Grzech to ciężki, a nawet nieraz słyszała, że nągich ludzi diabli za głowę chwytają. Ta dziewczyna musiała już być ostatnią z ostatnich – żadna uczciwa dziewczyna nie puściłaby się na tego rodzaju zarobki.

I w swym dziwnym pojęciu moralności, pojęciu tak szeroko rozgałęzionym pomiędzy niższą warstwą społeczną, kobieta ta nie czuje swego upadku, ale gromem potępienia rzuca na głowę dziewczyny, która śmiała dać się „wylepić” z gliny, tak jak stoi, bez żadnej osłony. Z jakąś nieokreśloną odrazą i wstrętem ucieka z tych murów, do których przeznaczenie może zmusi ją powrócić. Ona nie wie dlaczego, ale zbiegając po szerokich, kamiennych schodach, zdaje się jej, że wraca z trupiarni, w której dostrzegła własne ciało nagie, martwe, rozciągnięte obok drugiego ciała kobiety, tej drugiej sługi, która naga, owinięta siatką, bieli się jak trup przeklętej istoty. I wszędzie idzie za nią ta biała gipsowa kobieta, zdając się uragać jej oburzeniu, wyciągając swe nagie ramiona. Pełna bezczelności, chwalać się swym ciałem, jakby towarem tanio nabytym lub suknią dobrze uszytą. Kaśka przeciera oczy i pragnie odegnać od siebie tę marę. Na próżno! Mimo woli wyobraża sobie tę dziewczynę ubraną tak, jak ona, w podarty kaftanik i zmoczoną śniegiem spódnicę. Suknie z niej spadają i oto stoi naga, z rękami wyciągniętymi, przed obcym mężczyzną, który śmieje się z niej i szydzi. I Kaśka czuje jakby uderzenie różgi po ciele, bo teraz już nie wie sama, czy to ona, czy ta dziewczyna zawiniła w ten sposób. I jak zranione zwierzę rzuca się ku wyjściu, bo zdaje się jej, że te ściany zdzierają z niej odzież i gwałtem przymuszają do wyciągania rąk, tak jak wyciągała swe ręce ta druga sługa, ta druga dziewczyna!

\*

Jan dotrzymał słowa. Nie tylko że nie niepokoił Rózi i pozostawił ją lokatorką strychu, ale w dodatku ofiarował stary siennik i wypchał go słomą. Siennik ten zaniósł sam, dowodząc, że Kaśka tylko słomę na schodach porozwłóczy i uwagę na siebie ściągnie.

– Teraz się panna buchnij i chrap – wyrzekł z galanterią do Rózi, drżącej z chłodu i przytulonej do ściany, przez którą wpadał zimny wicher, hulający zresztą po całym poddaszu.

Rózia uznała za stosowne podziękować; rozwinęła przy tym podziękowaniu tak bezczelną arogancję kawiarnianej sługi, że Jan, mający do czynienia z różnymi kobietami, zadziwił się przecież tym „wytarciem w pysku” nowej swej znajomej.

Nie odchodził przecież; czuł, że ta obszarpana dziewczyna nie z jednego pieca chleb jadła; a po Kaśce, nieśmiałej i krępującej go nieśmiałością, przyjemnie mu było odetchnąć atmosferą rynsztoka, jaką Rózia unosiła w swej mowie i w fałdach zabłoconej spódnicy.

– Z panny to jest numer! – wyrzekł śmiejąc się i wchodząc do schowanka – musiała też panna gromadę przeszkrobać, skoro teraz jak mysz ze strachu do dziury wlaźła.

Rózia odwróciła głowę.

Wstydziała się podbitego oka i sińców na twarzy. Wiedziała, że to ją nie zdobi i dobrego wyobrażenia o dziewczynie nie daje. Ale Jan okazał się wyższym nad te drobnostki.

– Niech panna giemby tak nie skręca, bo już widziałem podkowę pod okiem. To nie jest znów taki wielki dyshonor. Kobiętę kułaknąć to męska rzecz. Ja sam, jak kocham, a psiakrew mi doje, to czasem jak z pasji naznaczę, to lepiej jeszcze, jak panna, zsinieje. U mnie już także takie kochanie. Nie pytam, tylko walę...

Rózia spojrzała na niego z wielką ciekawością. Ten tęgi, barczysty mężczyzna podobał jej się coraz więcej. Po chudym, nędznym Feliksie Jan przedstawiał się jej oczom jak uosobienie piękności męskiej. Rada wiedzieć cokolwiek więcej o miłostkach Kaśki i Jana, które odgadywała wę-

chem praktycznej w tych wypadkach kobiety, zręcznym zwrotem sprowadza rozmowę do pożądanego przez nią rezultatu:

– A Kaśka? tę pan stróż wali też? – pyta, chichocząc w cieniu.

– A jakże! – odpowiadał Jan z przechwałką – niemrawy szturmak aż się prosi o szturchnięcie.

Mówiąc to, nasuwa czapkę na oczy i usiłuje nadać sobie ton pewności. Nie udaje mu się jednak, bo czuje w gruncie rzeczy kłamstwo, jakie popełnia. Kaśkę uderzył raz jeden tylko, owego pamiętnego wieczoru, kiedy spłakana, zbita, zmęczona, upadła w bramie tuż przy jego nogach. Od tej chwili nie trącił jej nigdy. Była zanadto dobra, łagodna, aby Jan uciekał się z nią do podobnie przekonywających argumentów. Ale on sądzi, że dobrze jest chwalić się brutalnością przed tą dziewczyną, której twarz nosi niemałe ślady silnej, kościstej, męskiej pięści, i dlatego powtarza ciągle z dziwnym uporem:

– Niemrawa bestia! niemrawa bestia!

Różia śmieje się, uszczęśliwiona, że i kochanek Kaśki „wydziwia” na nią. Więc nie jeden Feliks ma taki brzydki zwyczaj poniewierania kochankami i obgadywania ich przed innymi dziewczynami. Widocznie każdy chłop według jednej miary.

– O! co też to pan stróż tak Kaśkę odsądza – zaczyna, chcąc przedłużyć rozmowę. – Kaśka tęga dziewczyna, a pan stróż powinien mieć dla niej konsyderację, bo przecie jesteście parą.

Jeszcze nie skończyła, kiedy Jan przerwał jej gwałtownie:

– Para? he? może jeszcze Kaśka pedała pannie, co mnie na ślubnego przed ołtarz pociągnie?

– A jakże! Rychtyg mi to dziś opowiadała – kłamie Różia pragnąc dowiedzieć się więcej jeszcze szczegółów, a nagle rozdrażnienie Jana jest jej w tym wielką pomocą.

– A to jezuitka! – woła stróż z wzrastającą złością – ja wiem, że jej ołtarz pachnie, ale to nie ze mną będzie miała taką paradę. Niech sobie szuka innych frajerów, ja tam do żeniaczki nieskory...

– A nie obiecywał jej pan stróż ślubu? – pyta Różia – bo to te porządne dziewczyny to nic bez takiej obiecanki nie robią.

– Eh! – śmieje się Jan – obiecanka cacanka, a głupiemu wesele!...

Lecz w głębi duszy myśli inaczej.

Tak! – prawda. Obiecywał się żenić, bo, bądź co bądź, Kaśka była jeszcze uczciwą, zanim przez to przeszła. Może nawet źle zrobił, wyrwijąc się z obietnicą, której dotrzymać nie myślał. Po cóż mu wierzyła? Czyż nie wiedziała, że mężczyzna w danej chwili gotów przysiąc zdjęcie gwiazdy z nieba, a nie pobranie się przed ołtarzem? I dziwna w nim powstaje niechęć i złość przeciw samemu sobie, którą to niechęć zwraca ku Kaśce z całą przewrotną logiką czującego swój błąd mężczyzny.

– Ma pan stróż recht – konkluduje Różia – takie tam sznurowanie się na całe życie to funta kłaków nie warte. To tylko głupie dziewczyny mają ku takiej paradzie chętkę, ja tam wołam na wiarę. Zawsze to w każdej chwili rozleź się można, bez krzyku i po dobrej woli!

Janowi to rozumowanie trafia bardzo do przekonania.

– Widzę, że z panny bywalec – odzywa się z wielką galanterią. – Ja lubię takie dziewczyny, co mają swój rozum, a za księdzem nie patrzą. Takie śluby to tylko napychanie im kieszeni. Ślub to najlepszy, jak się dziewczyna nada; z taką, to wiem, żeby mnie ani pioruny, ani woda nie rozłaczyły, choćbym tylko z nią żył na wiarę...

I sam nie rozumiejąc dobrze dlaczego, kłamie znów obietnicę zastosowaną do pojęć dziewczyny siedzącej obok niego. Widocznie natura ulicznego pogromcy serc niewieścich zmusza go do ciągłego kłamstwa i uwodzenia pierwszej lepszej kobiety, której obecność obok siebie spostrzega. Z wielkim sprytem umie układać zdania swej rozmowy, aby nie obiecując nic, wprost dać do zrozumienia całą gotowość w wypełnieniu żądań stawianych mu jako warunki upadku. Tylko z tą płaską dziewczyną o podsiniątych oczach łatwiej sobie poradzić w chwili rozejścia; ona rozumie to dobrze, że taki Jan całe życie z jedną kobietą wytrwać nie może. Przy tym i ona musi lubić zmianę – przynajmniej wygląda na taką. Brzydka jest, blada i mizerna, ale Jan lubuje się w kontrastach. Po zdrowym ciele Kaśki pragnie dotknąć się wynędzniałej i zniszczonej skóry. To zwykły mu system w wyborze kochanki.

I dziwnie rozdrażniony podsuwa się bliżej ku Rózi, która z uśmiechem na zgniecionych wargach nie odsuwa się wcale. Owszem, z wielką przyjemnością spogląda na Jana, pragnąc także kontrastu, chcąc zatrzeć wrażenie niepozornego Feliksa zbliżeniem się tęgiego i barczystego stróża. Dwie te natury, pokrewne sobie, odczuwają się i łączą łatwo wśród ciasnoty poddasza. Przez otwory źle zbitych desek wpadają do wnętrza schowanka słabe promienie światła, zaścieniające na sienniku i leżących dokoła przedmiotów blade, anemiczne, jasne linie, odcinające się wśród cienia zalegającego te kąty. Rózia patrzy już teraz w twarz Jana, oświeconą jednym z tych bladych promieni – jej zaś twarz i osoba pozostają w cieniu. Jan czuje ją tylko przy sobie i w zwierzęcym swym podrażnieniu zgaduje jakość zmysłowych wrażeń, jakie mógłby odebrać za pośrednictwem tej kobiety. Myśl o Kaśce nie powstrzymuje go, nie zwykł się krępować ze względu na swe dawne kochanki, owszem, lubi we wszystkim okazać swą niezależność i własną wolę.

Przy tym ta myśl, że Kaśka chce doprowadzić go do małżeństwa, napęnia go wściekłością. Jest wolny i może robić to, co mu się podoba. Tak! „weźmie się” do Rózi, to będzie najlepiej. W ten sposób przekona i Kaśkę, i wszystkich, że o małżeństwie nie myśli.

Łatwość przystępu do Rózi dopomaga mu w tych zamiarach. Teraz oboje siedzą już blisko przy sobie i zgadzają się w zapatrywaniach na życie, jak i na jego warunki. Zapomnieli zbyt prędko, ile oboje winni tej dziewczynie, której chcą wielką wyrządzić krzywdę. Mężczyzna odebrał jej uczciwość, zdrowie, spokój i prawdopodobnie środki do życia, a wziął od niej chwilę niekłamanej, choć tylko zmysłowej rozkoszy; kobieta chroniła się w tej chwili przed więzieniem, głodem i ostatecznym, ohydny upadkiem.

W zamian za to, w ciszy poddasza, z połączenia dwóch namiętności wyrasta dla Kaśki zdrada i wielki zawód serdeczny. Janowi Rózia przypadła do smaku – nie przebierała w żartach i nie odwracała głowy na śmiałe koncepta, które przepelniały usta stróża. Rzecz dziwna! – z Kaśką znał się już od dawna, a zawsze względem niej czuł się śmiesznie skrępowanym; Rózia, przeciwnie – ośmielała go nawet... Ot i teraz, gdy żartując przysunął się do niej blisko i objął ręką jej płaską kibić, ona nie usuwa się od niego, owszem – poddaje się temu ujęciu, poruszając lekko plecami.

Widocznie – dziewczyna, która życie zna i pojmuje jak należy...

Tymczasem – pod nimi – Kaśka, kręcąc się w swej kuchence, śpieszyła się z gotowaniem, otwierając co chwila drzwi do sieni dla wpuszczenia świeżego powietrza. Para, wydobywająca się z garnków, dusiła ją, a nudności wzmagaly się co chwila. Stała się teraz dziwnie wrażliwą na wszystkie zapachy i mdły odór potraw przyprawiał ją o przykre cierpienia. Nie pojmowała, co się z nią dzieje; chwilami stawała jak nieprzytomna, porywając się to za serce, które kołatało w niej gwałtownie za lada wstrząśnieniem, to za zęby, które zdawały się jej przedłużone i wystające z szczęk obolałych. Mimo to przecież pracowała ze zdwojoną gorliwością, szukając w fizycznym zmęczeniu ulgi w tylu dolegliwościach, jakie ją ciągle dręczyły.

I mijały dni szybko, nie przynosząc wielkiej zmiany oprócz częstych wycieczek Kaśki na strych i również częstych odwiedzin Jana u Rózi. Kaśka spotkała kilkakrotnie swego kochanka w schowanku, siedzącego na sienniku Rózi i rozmawiającego z nią przyjaźni. Ucieszyła się serdecznie tym dowodem dobroci jego serca i wyraziła mu nawet swą wdzięczność kilkoma serdecznymi słowy. Jan wszakże krzyknął na nią tak gwałtownie, że Kaśka w pierwszej chwili zupełnie zgłupiała. Nie miał się przecież czego tak oburzać, że ona dba o rozrywkę swej przyjaciółki. Chciała mu to wytłumaczyć, ale on zeszedł ze strychu, mrużąc gniewnie i powtarzając:

– Ach! psiakrew! psiakrew zwykła!...

Kaśka, szczerze smartwiona, zwróciła się do Rózi; przyniosła jej właśnie trochę rosółu, który była kawiarka spożywała z wielkim łakomstwem. Odżywiła się już trochę na ciepłej strawie, jaką jej dostarczała Kaśka, i na wódce i zimnych przekąskach, jakie jej znosił ukradkiem Jan. Wyglądała nawet wcale nieźle, a Kaśka wyprała jej i wyprasowała różową sukienkę, w której Rózia przyszła. Stopniowo robiło się cieplej na dworze i pobyt na strychu nie był bardzo dokuczliwym. Rózia widocznie polubiła nawet swe schronienie, bo nie wspominała nigdy o swych projektach na przy-

szłość. Kaśka czuła przecież, że tak pozostać nie mogło i że strych mógł być tylko chwilowym przytułkiem dla młodej i zdrowej dziewczyny.

Nie mówiła jednak tego swej przyjaciółce. Bała się ją urazić i wywołać znów potok obelg, który w ustach Rózi miał siedlisko. Znosiła więc Rózi jadło, odejmując sobie od ust, co jej z wielką przykrością przychodziło.

Stała się w niej bowiem wielka zmiana. Trapiące ją od jesieni mdłości ustąpiły prawie zupełnie, a natomiast rozwinęła się w niej zwierzęca prawie chęć do jedzenia, jakiś apetyt straszny, sprawiający prawie ból, gdy zadowolić go nie była w stanie.

Zgłodniała, wybladła, kręciła się w swej kuchence jak zwierzę, któremu dostatecznej ilości pożywienia nie dano. Zbierała zeschłe kawałki chleba, ogryzała kości, łupiny od kartofli, drobne swe koszykowe kradzieże obracała na kupno rozmaitych wędlin, bułek, śledzi, ogórków – ale wszystko było na próżno... Było w niej jakieś zwierzę, które pochłaniało wszystko i domagało się jeszcze!

Pomimo tego twarz jej zapadła i skóra na szyi wyciągnęła się tak, że prawie żyły znać było przez żółtkłą powłokę. Jan spostrzegł tę zmianę. Bez żadnej ceremonii, z niedelikatnością, właściwą tylko mężczyźnie, powiedział jej to otwarcie, sprowadzając wszystkie swe uwagi do następującego zdania:

– A to, psiakrew, zeszkapiała!

Była to jeszcze jedna przykreść, jaka spadła na biedną dziewczynę. Do cierpienia fizycznego dołączył się ból moralny. Kaśka cierpiała na swój sposób. Gotując, piorąc, wynosząc szafliki – zapewne, ale cierpiała także, widząc, jak Jan obojętnie dla niej z dniem każdym.

Teraz już nie szukał jej po piwnicach i ciasnych przejściach. Czasem nie pozdrowił jej nawet, gdy przechodziła koło niego – odwracał umyślnie głowę. Ona instynktem kobiecym przeczuła tę przemianę i starała się przypodobać mu więcej niż dawniej. Przedtem niechętnie nawet poddawała się jego pieściztom; nie była namiętną, a gdy on ujmował ją w swe objęcia, odwracała twarz ze wstrętem przed gorącym oddechem mężczyzny.

Dziś chętnie by zgodziła się na te unikane dawniej przez nią chwile, nie dla siebie wszakże, o, nie, wcale! – ale dla przywrócenia pomiędzy sobą a swym kochankiem dawnej zażyłości i tej spójni, jaką odbierana i dawana rozkosz wytwarza. Kaśka nie rozumowała jednak w ten sposób; czuła tylko, że się pomiędzy nimi „urwało”, i chciała nawiązać na powrót zerwany węzeł. Nie wiedziała przecież, jak się już wziąć do tego. Wszystkie najlepsze jej chęci rozbijały się o lodową obojętność Jana, a ostatni sąd jego o „zeszkapieniu” dobił ją do reszty. Czuła się bezsilną; zrozumiała, że straciła kochanka, i nie miała sposobu, aby go odzyskać.

Postanowiła zwierzyć się Rózi, ale ta ostatnia, zamiast dać jej jakąś praktyczną radę, zaczęła śmiać się z niej jakoś dziwnie, mówiąc przy tym:

– W takich okolicznościach rady nie ma. Puść go także w trąbę i nie żółć się. To zwyczajna kolej, że chłop z początku chodzi koło dziewczyny, a później i nie splunie w tę stronę. Ja bym tam nie suszyła sobie nad tym głowy!

Ale Kaśka nie chce zrozumieć tego zwykłego porządku rzeczy. Bez przyczyny tak ją rzucać? przecież to okropne... Ona w niczym nie zawiniła; trochę przyżółkła na twarzy – ależ to nie jej wina.

Rózia wzrusza ramionami.

– Eh, mojaś ty! – odzywa się po chwili – cholera wie, co się tym chłopom podoba; dziś ci powie, żeś królowa śliczności, a bez dzień nazwie się tłumokiem... A zresztą, może już inna mu w łeb wlała – dodaje cichszym głosem.

Ale Kaśka porywa się nagle z niezwykłą u niej energią.

– Inna? inna? – woła, pełna wzburzenia i niebywałej u niej złości – dałabym ja tej bestii, no...

Wzruszenie tamuje jej głos, mówić dalej nie może, ale wysoko podniesioną ręką grozi ciągle tej „innej”, grozi w nieubłaganym rozdrażnieniu, dziwnym w tej cichej i łagodnej istocie.

Różia podnosi głowę i patrzy chwilę na Kaśkę, wielką, silną, wznoszącą swą olbrzymią postać wysoko i potęgującą się jeszcze w ciasnej przestrzeni, w jakiej są obie zamknięte.

– I cóż byś jej zrobiła, co? – pyta, nie dowierzając energii dziewczyny, którą do tej chwili przywykła uważać za uosobienie bezkrwistej powolności.

– Ja? – odpowiada Kaśka, zaciskając pięści – ja bym jej ślipy wybiła! mordę roztlukła! łeb rozwalila!... ja bym ją... zabiła!...

Ostatnie słowa wymawia przecież ciszej i za chwilę, łkając głośno, osuwa się na brzeg siennika. Teraz już cała energia opuściła ją – było to sztuczne podniecenie, wywołane przez bezustanne cierpienie. Szlochając i zawodząc żałośnie, spowiada się przed Rózią ze wszystkiego, z całego przebiegu swej znajomości z Janem. Tamta słucha ją ciekawie. Nagle przerywa opowiadanie Kaśki, pytając niedowierzająco:

– Toś ty nie miała przed nim nikogo?

Kaśka porywa się oburzona.

– Nie wiesz czy co? Byłam do tych pór uczciwą dziewczyną... tylko bez niego się ta rzecz stała!

Różia czuje się podrażnioną słowami Kaśki. Uczciwą dziewczyną! – proszę, więc ona, Różia, nie była nią nigdy, bo jak dawno pamięcią zasięgnąć może, włóczyła się już z bandami chłopców po rowach i gęstwinach przydrożnych. Ale niepotrzebnie Kaśka paradę ze swą uczciwością robi i tak się wywyższa. Ona wie, czym może ją upokorzyć i w proch zetrzeć.

– Jan gadał – zaczyna powoli, starając się wszakże nie patrzeć na Kaśkę – co on względem ciebie nijakich obowiązków nie ma, bo nie on u ciebie jest pierwszy. Gadał, co wie dobrze od ludzi, żeś ty...

Ale dokończyć nie może. Kaśka chwyta ją za ramię i wstrząsa gwałtownie. Jak to? Więc Jan mógł to powiedzieć? On właśnie? Nie dość, że jej wyrządził krzywdę tak wielką, jeszcze ją hańbi przed ludźmi?... Różia, przerażona, stara się ją uspokoić. Ot – zwykła rzecz, chłop szelma – to wiadome przecież każdej kobiecie.

Ale Kaśka nie chce tej prawdy zrozumieć, żyje jeszcze sama za krótko i choć od dziecka widzi nędzę i ból, przez jakie podobne jej istoty przechodzą, wobec spadającego na nią nieszczęścia buntuje się rozpaczliwie. Obelga rzucona na nią przez Jana szarpie nią i wstrząsa całym jej jestestwem. Ona nie była uczciwą! – ona przed nim miała już kochanków! Nie, to za wiele, za wiele! Ale ona się pomści, niech tylko znajdzie tę niegodziwą, która Janowi w oczy lezie i zabiera jej męża! Tak! bo Jan przyrzekł się z nią ożenić, powiedział to sam i słowa pewnie dotrzyma mimo wszystko... I pełna rozpacz, chorobliwie rozdrażniona, mówi ciągle, przerywając sobie słowa łkaniem, wydzierającym się z jej piersi. Nie zwraca uwagi na Rózię, która na wzmiankę o ożenku wzrusza ramionami, ale wylewa z siebie całą tę bezbrzeżną rozpacz, którą nosi w sobie od chwili upadku. Teraz cała jej myśl koncentruje się na znalezieniu nowej kochanki Jana i na rozprawieniu się z nią w sposób jej właściwy. Jest przekonana, że gdy usunie ją ze swej drogi, Jan dotrzyma przyrzeczenia i zaprowadzi ją przed ołtarz. To pewnie ta niegodziwa wstrzymuje go – nic innego.

– Marna jej godzina! marna jej godzina!... – wykrzykuje w rozżaleniu, schodząc po wąskiej drabince, prowadzącej na strych.

I dziwna jakaś energia budzi się w niej razem z podejrzaniem o zdradzie kochanka; chce, bądź co bądź, odzyskać Jana, uważając go jako swoją prawą własność. Dlatego z niezmierną gorliwością zaczyna śledzić kroki stróża. Wie, o której godzinie wydała się z domu, i niewidocznie postępuje za nim, chcąc dowiedzieć się, dokąd zdąży. Na próżno przecież śledzi go, bo Jan najregularniej udaje się przed południem do szynku, gdzie siedzi całą godzinę, a wieczorem odbywa tę samą drogę. W szynku nie ma nawet posługaczki, tylko za szynkwasem stoi sama właścicielka, niemłoda już kobieta, którą Kaśka nie może posądzić o stosunki z Janem. Oprócz tych dwóch godzin Jan pozostaje w obrębie kamienicy, zamiatając dziedziniec lub naprawiając popsuty dach ponad górą do wieszania bielizny.

Początkowo Kaśka bała się bardzo, że sprowadzeni dekarze odkryją Rózię w jej schronieniu, ale Jan z wielką uprzejmością podjął się sam naprawić niewielkie zresztą uszkodzenie. Kaśka serdecz-



nie mu była wdzięczna za troskliwość o bezpieczeństwo jej przyjaciółki i odtąd Jan długie chwile spędzał na strychu, pracując zapewne nad załatwieniem i poprawieniem dachu. Kaśka przeto łamała sobie głowę, nie mogąc odkryć swej rywalki, o której istnieniu była jednak przekonana. Kobiety mają dziwny w tych wypadkach instynkt, jakiś głos tajemniczy ostrzega je zwykle i nie zawodzi nigdy.

Nie mogąc nic odkryć na zewnątrz, Kaśka zwróciła swe poszukiwanie wewnątrz kamienicy. Ale nic ją nie mogło naprowadzić na ślad istotny. Sługi pani hrabiny nie patrzyły na stróża – jedna zbyt była zajęta zakrystią i kościołem, druga zwróciła właśnie uwagę na samego hrabiczka i z aprobatą pobożnej hrabiny szczyliła się względami wybladłego młokosa. Sługi tapicerów i inne kobiety, pełniące funkcje pokojówek lub kucharek w oficynie, były prawie wszystkie stare lub miały kochanków, którym oddawały bez podziału swe serce i całe garnki rosołu, barszczu lub innych delikatesów.

Pozostawała jeszcze Marynka, ale ta od pewnego czasu zmieniła się znacznie. Zbladła, zmizerniała i kaszłała ciężko. Włóczyła się po dziedzińcu dziwnie osowiała, bez tej wesołej pustoty, która dawniej śmiała się z całej jej postaci. Suchy, urywany kaszel rozdzierał jej piersi, rozlegając się jak dzwon pogrzebowy wśród ciasnej klatki schodów, po których wolno, trzymając się poręczy, schodziła. Snadź gorączkowe życie, pełne podniecających likierów, późnej nocnej hulanki, wyniszczyło ten młody organizm, kładąc w piersi dziewczyny zaród śmiertelnej choroby. Chwilami zrywała się jeszcze do życia, biegnąc za rogatki i pijąc „bruderschaft” z ułanami, ale kieliszek wypadał z drżącej ręki, a ciemne, wielkie oczy zasłaniała mgła, poza którą majaczyło widmo strasznego zgonu. Na Jana nie zwracała już uwagi, przesuając się koło niego chmurna i zamyślona. Powoli przestała uczęszczać i za rogatki i usunęła się od towarzystwa mężczyzn, które pierwiej przenosiła nad wszystko. Rzec można, że jakaś głucha nienawiść powstała w jej piersi do tych wszystkich ludzi, którym kolejno padała w objęcia, bez troski o jutro, o to, co później z nią będzie. Roztrwaniała z nimi skarby zdrowia i młodości, rozrzucając hojnie swe pocałunki i palące pieścizny; oni czerpali tę młodość i siłę bez najmniejszych skrupułów, śmiejąc się poza jej plecami lub rzucając jej za chwilową rozkosz posrebrzany pierścionek lub inne cacko. Dziś, gdy pozostała sama ze swym cierpieniem, żałowała gorzko zmarnowanych sił, a straszna nienawiść i bezmierny żal budził się w niej na widok dawnych swych kochanków. Oni byli ciągle zdrowi, silni, żądni zabawy, rozkoszy, nowych pieścizn i hulank – ona włóczyła swe wychudłe ciało, kaszłając ciężko i męcząc się wśród bezsennych nocy.

Teraz innym już wzrokiem spoglądała na Kaśkę. Zawsze była przekonana o uczciwości tej dziewczyny i przeczuwała, jaki obrót przybierze jej stosunek z Janem. Wiedziała, że czy prędzej, czy później Jan porzuci Kaśkę, bo co do tej ostatniej, to posądzić ją nie można było o opuszczenie kochanka. Marynka w swej długiej praktyce doszła do następującej konkluzji. Jeśli kobieta się nie pośpieszy i nie porzuci mężczyzny, to z pewnością zostanie w krótkim czasie porzuconą. Kaśka nie pośpieszyła się – i została zdradzona. Marynka w swej pogardzie dla mężczyzn przewidziała to wszystko i patrzyła na Kaśkę z pewnym politowaniem. Mimo tej całej złości, jaką pierwiej „zionęła” ku „tłumokowi” śledziła zmianę na twarzy Kaśki i rozumiała powód tejże odmiany. Co więcej, wypadkiem odkryła Rózię w objęciach Jana i z dziwną zmiennością zaczęła sympatyzować ze zdradzoną Kaśką. Kilkakrotnie chciała ją przestrzec i wskazać jej, gdzie przebywa obecna kochanka Jana, ale wrodzona każdej kobiecie delikatność nie dozwalała jej przyjść do słowa. Wypadek wszakże podburzał ją i nakłonił do sprowadzenia katastrofy. Jan od pewnego czasu stał się dla niej bardzo opryskliwym. Gdy z najwyższym wysiłkiem niosła konewkę wody, wylewała często całe strugi, które ściekały daleko po stopniach schodów. Jan wpadła wtedy w złość wielką i nie oszczędzał wcale swej dawnej kochanki, nazywając ją „latawcem” i Bóg wie jakimi nazwy. Marynka zaciskała usta i wchodziła wolno na górę, trzymając się konwulsyjnie poręczy. W głowie jej rodziła się myśl gorzka. Ot – co zyskała, włóczęc się z mężczyznami! Zdrowie straciła i dobrego słowa usłyszeć nawet nie może. Och! gdyby raz jeszcze wróciły jej siły, wiedziałaby, jak się zachować i co robić!

Tymczasem jej głucha nienawiść do wszystkich mężczyzn koncentrowała się głównie na Janie. Innych swych kochanków nie widywała prawie, wychodząc teraz mało. Ale on był ciągle koło niej, krócił się przed jej oczami, uosabiając część jej zguby, jej obecnego nieszczęścia. Ta napaść Jana, to nazwanie jej „latawcem” wtedy, kiedy on sam ją na to „latanie” namawiał i wyciągał, zdało się jej niesprawiedliwością wielką. Całą więc swą sympatię zwróciła na Kaśkę, którą widziała wybladłą i cierpiącą. Odkąd sama zachorowała, odczuwała lepiej cierpienie drugich. Ona sama upadała na siłach, a przyczyną jej zguby byli mężczyźni; Kaśka słabła także z tegoż samego powodu, a w dodatku była zdradzana.

Nie! Marynka na to obojętnym wzrokiem patrzeć nie mogła.

I raz zeszyły się koło studni te dwie dziewczyny, przed rokiem kwitnące zdrowiem, zbytkiem sił i młodzieńczej krasą. Wiosna śmiała się dokoła, ścieląc zieleń i promienie słoneczne. Poza sztachetami, oddzielającymi dziedziniec od spadzistej powierzchni placu, zieleniła się młoda trawa, przysypana lekko pyłem miejskim. W dali żołnierze biegali szybko, formując równe linie lub łamiąc się w dziwaczne zygzyki. Wał kolejowy nie zazielenił się jeszcze, tylko wznosił się szary, kręcący się jak wąż olbrzymi, połyskujący gdzieś tam nowymi, świeżo zakładanymi szynami.

Marynka spojrzała pierwsza na nienawidzoną dawniej przez siebie dziewczynę. W tym słońcu wiosennym twarz Kaśki zdawała się jeszcze żółciejszą, a oczy bardziej zapadłymi. Od zajścia na strychu obie dziewczyny nie rozmawiały ze sobą zupełnie. Niemniej i Kaśka dostrzegła zmianę w twarzy Marynki. I obudziła się w ich sercach wzajemna litość prawdziwie kobieca. Marynka z wysiłkiem chwyciła za pompę, aby utoczyć trochę wody, ale silny napad kaszlu przeszkodził jej w dopełnieniu tej pracy. Chwilę stała oparta o żelazo pompy, z głową pochyloną, z twarzą wykrzywioną od kaszlu, wydzierającego się z jej piersi. Wtedy Kaśka zbliżyła się do kaszlącej dziewczyny i usunąwszy ją łagodnie, zabrała się do pompowania wody.

Marynka, milcząc, przyjęła tę pomoc. Ułatwiała jej to znacznie zbliżenie się do Kaśki, czego gorąco pragnęła. Kaśka, napelniwszy konewkę, odstawiła ją na bok i przysunęła swój dzbanek, który z kolei napelnić chciała. Ale i jej zabrakło siły, a serce zaczęło w niej bić tak gwałtownie, że zmuszoną była odpocząć chwilę, a nawet usiąść na studni.

Marynka pierwsza przerwała milczenie.

– Panna także coś niezdrowa – zaczęła powoli – a taka panna była rosła i tęga, jak tutaj nastala.

Kaśka, zdziwiona, podnosi głowę.

Czyż to rzeczywiście Marynka odzywa się do niej tak przyjaznym głosem? Przyzwyczajona słyszeć od tej dziewczyny tylko drwiny i dokuczliwe żarty nie może zrozumieć przyczyny tej zmiany. Nie wchodzi jednak w szczegóły, widzi tylko przed sobą twarz przychylną, słyszy uprzejmy dźwięk głosu i uszczęśliwiona, odwraca się ku swej nieprzyjaciółce, zapominając o doznanych zniewagach. Jest teraz tak nieszczęśliwą, że każde słowo, wypowiedziane przychylniej, rozrzewnia ją i napelnia wdzięcznością wielką.

Marynka dostrzega wrażenie, jakie jej odezwanie się wywarło na Kaśce, nie dozwala więc upaść tej rozmowie.

– Panna bardzo się tu zmarnowała – odzywa się, zbliżając do Kaśki – a to wszystko bez swoją głupotę. Kto widział, tak się w jednym chłopie zaprzepaścić, to zawsze taki koniec być musi.

Kaśka uznaje za stosowne obronić się przed podobnie śmiałymi zarzutami.

– Ja się tam w nikim nie zaprzepaszczalam – odpowiada – zmarniałam, sama nie wiem czemu. Może mnie kto urzekł...

Marynka uśmiecha się ironicznie.

– Oj! urzekł pannę taki diabeł, który nas wszystkie urzeka. Nie nowina to dla mnie, ale dla panny, ja wiem, że to pierwszyczna. Dlatego mnie się dziwi, że panna nie wynalazła sobie kogoś z honorem na pierwszego, a padła od razu w ręce takiego nicponia, jak Jan. Jak spadać z konia, to niechaj z dobrego!

Twarz Kaśki pokryła się ciemnym rumieńcem.

Uśmiecha się z przymusem i biorąc konewkę, gotuje się do odejścia.

– Panna Marynia sobie żartuje – mówi wolno. – Jan nic memu zmizerowaniu nie winien; haruję dzień cały po trzecim, to bez to harowanie zmarnowałam się na nice.

Ale Marynka zatrzymuje ją, chwytając za fałdy spódnicy. Sama jest już bezsilną, ale chce drugą kobietę użyć za narzędzie swej zemsty. A może – kto wie – lituje się nad Kaśką i pragnie otworzyć jej oczy i ukazać zdradę Jana w całej nagości. Nerwowe fantazje kobiet są tak niedoścignione, a służa ma jednakową ilość nerwów, jak każda inna kobieta.

– Panna Kaśka nie spostrzegła, że Jan się sprzeniewierza, że musi mieć inną, za którą lata?

Kaśka, słysząc to pytanie, zatrzymuje się nagle. Czy ona nie spostrzegła chłodu swego kochanka! Ależ tak, od dawna myśl ta dręczy ją dniami i nocami całymi. Marynka musi wiedzieć bliższe szczegóły, ona jej powie całą prawdę. Szybko więc obraca się ku dawnej rywalce, która drżącymi z osłabienia rękami trzyma ciągle fałdy jej spódnicy. Gwałtownym ruchem Kaśka wydziera spódnicę z rąk dziewczyny i staje tuż przed nią, schylając twarz swoją tak blisko, że gorący jej oddech owiewa Marynkę.

– Panno Marynko! – zaczyna cicho, urywanym prawie głosem – panno Marynko, jeśli panna ma Boga w sercu, proszę, gadaj... gdzie się ta psiakrew chowa... Już ja szukałam wszędzie... chodziłam za nim... po szynkach, po ulicy i nic znaleźć nie mogłam...

Oddychała ciężko, serce biło w niej gwałtownie, że aż uderzenia tej odbijały się jej w głowie, w skroniach, w uszach.

Marynka patrzyła na nią długą chwilę, a na jej wybladłej twarzy zaczęła się malować litość wielka. Nie mówiła wszakże nic – zdawała się walczyć ze sobą.

Ale Kaśka na nowo zaczęła prosić gorąco i teraz przyklękła już prawie, aby się zrównać z siedzącą na studni dziewczyną.

– Panna Marynka nie wie – mówiła, gorączkowo zaciskając pięści – Jan obiecał się ze mną żenić. I byłby dotrzymał, gdyby nie ta szelma, co mi go zabrała... Ja mam do niego prawo, jak do ślubnego, bo inaczej nie byłabym się nigdy zgodziła na niepocziwe kochanie i na ludzką poniewierkę... Panno Marynko złota, powiedz mi, kogo on ma teraz, a ja sobie z nimi radę dam i Jana na powrót dostanę. Ale niech ino wiem, która!... niech wiem, która!... niech wiem!

Rozpacz szalona ją ogarniała. Tego ranka była głodniejsza niż kiedykolwiek – to ją doprowadzało także do wściekłości i podbudzało w dziwny sposób. Rozdrażnienie jej doszło do punktu kulminacyjnego; prosiła jeszcze Marynkę o wyjawienie tajemnicy, zniżała się do prośby, gdyby jednak ta odmówiła uczynić zadość jej błaganiom, gotowa była rzucić się na nią i siłą zmusić do odkrycia prawdy.

Ale Marynka nie miała zamiaru doprowadzić do tej ostateczności. Teraz już była zdecydowana powiedzieć wszystko. Gdy Kaśka przyznała się, że Jan uczynił obietnicę ożenienia się, Marynka poruszyła się niecierpliwie. Choć wiedziała, że mężczyźni czynią często podobne obietnice i nie dotrzymują równie często, oburzała się na postępek Jana, który doprowadził do zguby łatwowierną Kaśkę. Teraz – gdy razem z cierpieniem fizycznym zaszła w niej zmiana moralna, gdy inaczej zaczęła patrzeć na kobiety, a zniechęciła mężczyzn, doszła do przekonania, że Kaśka musiała być uczciwą dziewczyną, a Jan oszukał ją haniebnie, „nabrawszy na żeniączkę”. Postanawia więc nie oszczędzać stróża i pochylając się ku klęczącej Kaśce, wskazuje wysoko, aż na trójkątne okienka strychu, czerniące się pustymi otworami i na tle szarawego dachu.

– A tam! – mówi szybko – tam nie ma to panna Kaśka przyjaciółki, co to cały dzień siedzi w schowanku, jak takie, co ryje i tylko je a pije, co jej panny Jan po całych dniach znosi. To panna się nie domyśliła, że oni się zwąchali i tam romanse wyprawiają...

Kaśce wszystka krew uderzyła do głowy. Różia? – ale to być nie może! Jak to? więc wtedy, gdy ona odejmowała sobie chleb od ust i głodziła się, aby ją ocalić od hańby, tamta zabierała jej kochanka, męża... Nie! to chyba kłamstwo! Marynka albo kłamie, albo się jej zdaje tylko... To byłoby zanadto podłe! zanadto niegodziwe. Ale Marynka teraz pragnie dowieść, że ma słusność, że się nie myli wcale i wie dobrze, co mówi. I z całą okrutną szczerością opowiada Kaśce wszystko, co podsłuchiwała, co podpatrzyła w ciągu tych ostatnich tygodni.

Zresztą, niech tylko Kaśka uda, że nie wie o niczym, przyczai się, a pilnie śledzi – odkryje sama całą prawdę i przekona się, że ona, Marynka, wcale nie kłamie. Ale Kaśka już nic nie słucha. Wierzy teraz wszystkiemu, zasłona spada jej z oczów, przypomina sobie teraz wiele rzeczy dokładnie i rozumie, dlaczego Różia nie chce opuścić strychu, a Jan zawsze ucieka, skoro go Kaśka u przyjaciółki zastanie. I to ona! ona sama wprowadziła Rózię do domu i prosiła Jana, aby pozwolił jej nocować na strychu...

I nagle, jak zranione dzikie zwierzę porywa się Kaśka z ziemi i rzuca ku schodom. Nie zważa na wołanie Marynki, która pragnie ją uspokoić, biegnie jak szalona po schodach, czepiając się murów, poręczy, rwąc w przystępie szalu odzież, wyrывая włosy...

Jak burza wpada na poddasze, kierując się prosto ku schowanku. Marynka nie kłamała. Choć drzwi schowanka zamknięte, ale ona przez szczeliny desek widzi doskonale Rózię, opartą poufale na piersi Jana. Siedzą tak spokojnie, zatopieni w trywialnych pieszczotach, których oboje nigdy nie są syci, rozumieją się bardzo dobrze w swej chorobliwej namiętności. Ale gwałtowne wstrząśnienie całej ściany przerywa im niczym odtąd nie zakłócony spokój; jakaś pięść konwulsyjnie bije w cienkie, źle pospajane deski... Oboje zrywają się, tknięci jedną myślą. To nikt inny, tylko Kaśka musi być z tamtej strony ściany. Tak! to ona, w przystępie szalonej rozpaczyci czepia się desek i wstrząsa nimi, pragnąc rozwalić ścianę i dostać się do wnętrza schowanka. Straszny, urywany krzyk wydobywa się z jej piersi. Jest coś zwierzęcego w tym głosie, który z przerażającą ostrością rozlega się po pustym strychu.

Jan decyduje się otworzyć schowanko, gdyż słusznie obawia się, że krzyk Kaśki i wstrząsanie ściany sprowadzić mogą przerażonych lokatorów. Otwiera drzwiczki i posuwa się ku Kaśce, która nieprzytomna prawie, zsiniała, z poszarpaną odzieżą, rzuca się ku niemu ze zdwojoną wściekłością. On wysuwa rękę, pragnąc się zasłonić przed spodziewanymi razami, ale ona odtrąca go z nadzwyczajną siłą i wpada do schowanka, gdzie stoi drżąca i przełęczniona Różia.

W jednej chwili Kaśka chwytając swą przyjaciółkę za włosy i obala o ziemię. Rozpacz, zawód doznany dodają jej siły. Grad uderzeń spada na głowę i plecy Rózi, Kaśka traci miarę i świadomość swoich czynów. Cały ból i cierpienie dni ostatnich odzywają się w niej ze zdwojoną gwałtownością.

Tę kobietę, którą szukała dniami i nocami całymi... ma ją! ma teraz pod ręką, nie wypuści ją żywą! Spełni swą groźbę – zabije!... zabije!...

Jęki kaleczony Rózi rozlegają się dokoła. Jan usiłuje oderwać Kaśkę od jej ofiary. Jakkolwiek jest silny, przychodzi mu to z trudnością. Krzyk Kaśki przemienia się w ryk prawdziwie zwierzęcy; kobieta cicha, łagodna, pod wpływem cierpienia zamienia się w hienę; Kaśka robi w tej chwili wrażenie dzikiego zwierzęcia, drażnionego w jego własnym gnieździe.

Wprędce poddasze zaczyna się napępiać ludźmi. Krzyki dziewczyn rozległy się po kamienicy i podwórku, a przy tym Marynka, widząc biegnącą ku schodom Kaśkę, domyśliła się, że cała ta sprawa nie załatwi się w spokoju. Pobiegli więc wszyscy: i sługi pani hrabiny, i sklepniczka, i niańka od tapicerów, mamka od stolarza, nawet sama stolarka i tapicerka. Poddasze pełne było samych prawie kobiet, dlatego nikt nie odważył się zbliżyć się do schowanka, w którym wił się kłęb, złożony z trzech ciał ludzkich, maltretujących się wzajemnie. Na koniec udało się Janowi oderwać Kaśkę od Rózi i wywlec ją na środek strychu. Z wielkim swym wstydem zobaczył tłum ciekawych i pobladłych ze strachu kobiet, tłoczących się przy wejściu i patrzących szeroko rozwartymi oczami na poszarpaną i krwią oblaną Kaśkę. Różia, broniąc się, oddawała Kaśce wszystkie uderzenia, używając w potrzebie paznokci, a nawet zębów. Jan miał także odzież porwaną i ślady krwi na twarzy. Teraz jego ogarnęła wściekłość i niepowstrzymana chęć zbitcia Kaśki. Jak to? Więc ona śmiała go wystawiać na pośmiewisko ludzkie? Ten tłumok, od którego nie wie, jakim sposobem odczepić się... I z całą furią rzuca się ku swej kochance, a schwyciwszy ją za szyję, okłada pięścią w głowę, wołając przy tym:

– Na tobie ślub, ty psiakrew sobacza!... żenić ci się będę może? na tobie żeniaczkę!...

Ale, rzecz dziwna, Kaśka nie oddaje mu razów, ręce jej opadły wzdłuż korpusu, a głowa pod siłą uderzeń przechyla się to na jedno, to na drugie ramię. Usta jej szepczą teraz cicho, ze łkaniem, ze łzami:

– Janie! nie bij! nie krzywdź mnie tak ciężko!...

Ale on nie słyszy tego głosu, nie widzi jej łez. Ta dawna uległość w przyjmowaniu jego brutalności, zamiast ułagodzić, podnieca go tylko w nadzwyczajny sposób. Znow gra „jezuitkę”, ale on wie, czym jej ten „jezuityzm” wygnać z głowy.

U drzwi gromada kobiet patrzy, nie rozumiejąc przyczyn całej tej historii. Różia zamknęła się w schowanku i upadłszy na siennik, skryła się zupełnie w cieniu. Widzą więc tylko Jana, bijącego Kaśkę, wiedzą, że w schowanku jest jeszcze kobieta, ale kto ona i skąd się wzięła – nie rozumieją tego zupełnie.

Teraz Kaśka pod razami Jana upadła na podłogę strychu, a on, kilkoma kopnięciami nogą zadowolniejszy swą zemstą, obciera twarz skrwawioną i przyprowadza odzież do porządku. Przerzywanym jeszcze głosem mruczy ciągle:

– Na tobie ślub! ty jezuitko! – gdy nagle urywa i zmarszczywszy brwi, spogląda ku wejściu.

Pomiędzy tłumem kobiet ukazują się nagle dwa ciemne mundury, błyszczące podwójnym rzędem guzików i złotą blachą półksiężyców policyjnych. To Marynka w przystępie gorliwości pobiegła po policję, widząc w rządowej interwencji najwłaściwsze rozwiązanie całej tej sprawy. Kobiety rozsunęły się ze szmerem, a obaj „policaje” postąpili na środek strychu. Jan, w pierwszej chwili niezmiernie zmieszany, odzyskał przytomność. Policaje byli jego dobrzy znajomi i nieraz wypili bruderschaft, pomimo odmiennych zapatrywań Jana. Kieliszek jednak godził ich wyznania wiary – i cesarsko-królewscy słudzy przyznawali się do przyjaźni w wiecznej opozycji będącego stróża.

Ponieważ jednak „skandal” miał miejsce, a oni byli reprezentantami władzy, trzeba było wymierzyć sprawiedliwość i zabrać kogoś na „inspekcję”. Taki był naturalny bieg rzeczy.

Jan wprędce zrozumiał, co mu czynić wypada. Szybko wskazał na leżącą na ziemi Kaśkę, dodając, że ta dziewczyna, upiwszy się, przyszła na strych, wszczęła z nimi kłótnię i porwała się do bicia...

– Niech pan podkomisar weźmie ją do becyrku, to się wytrzeźwi, bo to taka psianoga, że ludziom spokojnie przejść nie da – zakończył, trafiając w słabą stronę starszego policjanta, którego zatytułował nie istniejącą nazwą „podkomisara”.

Pogłaskany w swej próżności policjant skinął uprzejmie głową w stronę stróża i kopnąwszy Kaśkę, nakazał jej podnieść się natychmiast.

Ona usłuchała w milczeniu i podniosła się z najwyższym wysiłkiem, zwracając ku swemu kochankowi pobitą i pokrwawioną twarz, na której nie pozostało już ani śladu niedawnej wściekłości. Tylko najwyższy ból i cierpienie zarysowały się w jej oczach, gdy policjanci, otoczywszy ją, popchnęli ku wyjściu. Zrozumiała wprędce, że prowadzić ją będą „na policję” – prowadzić wśród zbiegowiska gawiedzi, jak pijaczkę, jak ostatnią z ostatnich, wziętą z bójki ulicznej!

I z całą trwogą, i resztą dobrej wiary w serce mężczyzny, któremu oddała wszystko, co miała najdroższego w życiu, wyciągnęła ręce, jakby szukając ratunku i pomocy u tego, który przed chwilą katował ją nielitościwie.

– Janie! – zawołała drżącym od wysiłku głosem. – Janie, nie daj mnie brać!... Ja nie mogę iść na policję, nie daj mnie!...

Ale głos jej zamarł prędko i łkanie ucichło pod strychem.

Policjanci gwałtownymi środkami przymuszali ją do opuszczenia poddasza i uderzając ją to w plecy, to kopiąc bez litości, przepchnęli przez tłum zgromadzonych kobiet. Jeszcze u progu Kaśka obróciła zbolalą głowę w stronę Jana. Ale on stał wściekły z gniewu, ścierając ciągle krew z twarzy. Miał w swych oczach i upornie zaciętych ustach tę wściekłość mężczyzny, który rozumie podłość swego postępków, a mimo to nie chce przyznać się do własnej winy. Słyszał dobrze wołanie Kaśki; nawet ten jęk pokorny, to błaganie o pomoc szarpnęło nim w pierwszej chwili, ale szybko

się opamiętał – głucha nienawiść zajęła miejsce chwilowego odezwania się serca i dlatego stał na środku poddasza głuchy i ślepy na wszystko, co się dookoła niego działo.

Strącona ze schodów Kaśka posłyszała poza sobą cichy szmer kobiet, szmer jej wrogi, pełen ironii i niedwuznacznych żartów. Cała nienawiść, żywiona ku uczciwej dziewczynie przez tę gromadę pobladłych od rozpusty kobiet, zawrzała w szmerze, wlokącym się poza nieszczęśliwą, maltretowaną przez policjantów.

We drzwiach kuchennych, otwartych szeroko, stała Budowska, przerażona, współsenna, bledsza niż kiedykolwiek. Kaśka, zobaczywszy ją, krzyknęła radośnie. O! pani obroni ją przed policją, nie pozwoli poprowadzić do cyrkułu, nie odda na inspekcję. I pełna ufności wyrывa się z rąk policjantów, pragnąc czym prędzej dostać się do kuchni. Ale wyrachowanie ją zawodzi. Budowska szybko cofa się w głąb, zamykając drzwi wchodowe, drżąc z trwogi i obrzydzenia przed pokrzwioną i zbitą dziewczyną. Kaśka z jękiem przypadka do drzwi i wstrząsa klamką.

Na próżno!

Budowska zasunęła rygiel i w ten sposób zniweczyła nadzieje zrozpaczonej Kaśki.

Policjanci już są przy niej – chwytają ją za ramiona. Jeden z nich, szarpnięciem, odrywa cały przód i rękaw kaftanika. Nagie ramię Kaśki bieleje wśród ciemności. Szybko przecież czarne linie przecinają to białe tło. Krew płynie obficie z szyi i twarzy i zalewa ciemną strugą cały tors dziewczyny. Ona nie broni się teraz, sama kieruje się ku wyjściu – zrozumiała, że w nieszczęściu kobieta nie ma obrońców.

Przyjęła tę prawdę – i gdy wiosenne słońce oblało złotymi strugami jej zakrwawioną postać, zakryła tylko twarz rękami, aby nie widzieć ludzi, słońca i wiosny, bo ta rozkosz życia, rozlana dookoła, zdawała się urągać jej nędzy i rozpaczy.

Bandy uliczników, jakby wyrosłe spod ziemi, otaczają ją dookoła. Obszarpane Żydziaki biegną przed nią, wykrzykując z radością:

– Hajde! hajde! zy a pijaczkes!

Na progach sklepów zjawiają się przekupnie; przechodzący przystają, patrząc na ten tłum niesforny, hałaśliwy, zalewający szeroką falą ulicę. Jakaś dama delikatnych nerwów przymyka szybko okno i zapuszcza błękitne firanki. Z wysokości pierwszego piętra dostrzegła pomiędzy tłumem zakrwawioną, obszarpaną kobietę – i zrobiło się jej słabo. Nie wie, czy zdoła skończyć swoją czekoladę. Policjanci tymczasem nie próżnują. W tej chwili czują się bohaterami. wysuwają naprzód wąskie klatki piersiowe i przechylają czarne czaka na lewą stronę. Rzucają groźne spojrzenie dookoła i nie szczędzą kułaków chwiejącej się z osłabienia Kaśce.

– Oto frajła (panna) – mówi jeden z tych ulicznych rycerzy – poszlagowała ludzi, a teraz myśli, że będziemy z nią kunirować...

– Feca jedna! – dodaje drugi, szarpnięciem odzież Kaśki.

Ona idzie pomiędzy nimi niepewna, drżąca, nie widząc drogi, tak oczy ma łzami zalane. Słyszy przecież wszystko, czuje każde szarpnięcie, posiada całą świadomość swej niedoli. Wiosenne słońce oblewa jej schyloną głowę, z której spływają gęste, ciemne włosy, pozlepiane przy czaszce ciemną posoką krwi. Olbrzymim swym wzrostem przerasta tłum cały i ponad tą falą głów ludzkich widnieje jej kształtna, pełna wdzięku głowa, zmaltretowana i schylona ku ziemi.

Przejeżdżający dorożkarze z głośnym śmiechem wskazują na Kaśkę, obsypując ją gradem obelg; jeden z nich nawet, dostawszy się w sam środek tłumu, uderzył dziewczynę batem po plecach.

Dlatego Kaśka doznała ulgi, gdy wtracono ją w ciemną bramę policyjnego gmachu. Wrzeszczące żydostwo pozostało poza bramą, czepiając się ciężkich łańcuchów i kamiennych lwów, którymi gmach jest obstawiony. Kaśkę poprowadzono na tak zwaną „inspekcję”, mającą swe gniazdo w dolnej części lewego skrzydła kamienicy.

Ciemna i brudna izba, pełna zaduchu i stęchlizny, zastawiona była całą szafami i stołami i założona masą papierów, połamanych krzesel, pustych kałamarzy i zniszczonymi, a nie użytymi paczkami gęsich piór.

Kilku Żydów i dwóch chłopów, zabranych na targu – jakaś kobieta w łachmanach, wybladła i wynędzniała – młody, może czternastoletni chłopak w niebieskim fartuchu – zapelniali niewielkie wnętrza inspekcyjnej izby. Przez uchylone drzwi widać było widny i czysty pokój, wyfroterowany, w którym siadywał zwykle urzędnik dyżurny.

W pierwszej izbie panowała wzorowa cisza. Sama obecność kilku policjantów zmuszała zgromadzonych do milczenia. Nawet wymowni zwykle Żydzi przylepili się do pieca, czerniąc się jak plamy atramentu na sinawym tle kafli. Chłopi pozdejmowali czapki i stali pokornie, patrząc z nieważnością czystej krwi Rusinów na pejsatych swych nieprzyjaciół. Błada kobieta dość obojętnie przypatrywała się brudnej podłodze, a terminator od czasu do czasu pociągał nosem, dając do zrozumienia, że chustkę wykluczył od dawna ze swej garderoby. Z drugiego pokoju dolatywał głos kobiety, dźwięczny i miły.

Pan urzędnik przyjmował właśnie jedną z dam, zamiłowanych w hodowaniu piesków. Piesek owej damy, olbrzymi dog o tygrysiach pręgach, rzucił się na dziecko stróża i obalił je tak nieszcześnie, iż dziecko zraniło się ciężko w głowę. Wskutek tego urzędnik został zmuszony zawezwać osobiście właścicielkę Cezara dla ściągnięcia z niej kary za puszczenie psa bez kagańca. Uczynił to z przyjemnością wielką – dama była ładna, wiedział o tym. Widywał ją często na ulicy, gdy szła wolno, szeleszcząc czarnymi jedwabiami i prowadząc na rzemiennym pasku Cezara.

Pan urzędnik lubił kobiety. Nosił rzadką grzywkę, jeszcze rzadszą bródkę i bardzo białe gorsy u koszul. Był małego wzrostu, ale miał za to olbrzymie uszy. Uszy te sterczały po obu stronach głowy jak dwa olbrzymie, żółte wachlarze i czyniły z pana Rimotata osobistość wielce oryginalną i zwracającą uwagę ogólną. On jednak był z siebie zadowolony. Lubiał fiołki i miał zawsze kilka bukietów w zapasie. Nawet w tej chwili ofiarował wiązanek tych kwiatów siedzącej przy jego biurku kobiecie. Wysuwał naprzód pierś, zdobną w nieposzlakowanej białości koszulę, i chudymi rękami igrał to z węzłem krawatki, to z grzywką, to z uszami. Ponad nim, na ścianie, wylepionej jasnym obiciem, rozkładały się dwa wyblakłe oleodruki. Mężczyzna w mundurze, przepasany błękitną szarfą, a kobieta, strojna w białą suknię, z brylantowym diademem na czarnych włosach. Oba te obrazy przysłonięte były kawałkiem żółtej gazety. Natomiast na biurku, na ceratowej sofce i takichże fotelach nie było ani śladu pyłu lub brudu.

Właścicielka Cezara, uśmiechając się złośliwie, gryzła listki fiołków i słuchała banalnych komplementów cesarsko-królewskiego urzędnika. Dokoła niej unosiła się delikatna woń heliotropu i tysiące dżetów błyskało w obszyciach okrycia. Wszystko to zachwycało niezmiernie pana Rimotata, a wskutek tegoż zachwyty uszy jego zabarwiały się lekko różową barwą. Woniejąca i dżetami obsypana dama z jakąś przekorną złośliwością wpatrywała się w zmiany kolorytu tych nadzwyczajnych uszów i nie myślała tak prędko opuszczać kancelarii. Bawiła się czy obserwowała. Jedno z dwojga.

Urzędnik podwajał grzeczności. Z uprzejmością najwyższą wyjął pudełeczko kapsułek smołowych, częstując nimi damę.

– Niech pani weźmie, proszę – nalegał ze staropolską gościnnością – mnie to zawsze dobrze robi. Gdy mam po przepiciu katzenjammer i uczuję się mat<sup>42</sup>, zaraz wezmę kapsułkę. To może się zdawać żart, ale to już tak jest. Zresztą, ja pani nie sekuję, niech pani weźmie albo nie...

A przechylając się, dodał ze znaczącym zmrużeniem oczu:

– Czasem się człowiek zalampartuje, cóż robić? to nie grzech...

Tymczasem w pierwszej izbie powoli zaczął wzrastać szmer wcale niedwuznaczny. Znudzeni długim milczeniem Żydzi poczęli szeptać pomiędzy sobą, a słowo „cham” brzęczało jak natrętna mucha w powietrzu.

Stojący w pobliżu chłopci, jakkolwiek pełni rezygnacji i apatii, która im nadawała wszelkie kwalifikacje na posłów sejmowych, zaczęli strzyc uszami i obruszać się na szwargotanie żydowskie, którego głównej treści domyślali się łatwo. Zresztą słowo „a cham” we wszystkich żargonach ma jedno znaczenie, a ton pogardliwy nie uszedł ich bacności. Policjanci nie zwracali w tej chwili

<sup>42</sup> mat (niem.) – zmęczony, osłabiony

wielkiej uwagi na gromadę swych jeńców. Wchodzili i wychodzili, trzaskając drzwiami i potrącając co chwila Kaśkę, która przytulała się do ściany, pragnąc zajmować jak najmniej miejsca.

Jeden z chłopów, dotknięty wreszcie do żywego, wpakował czapkę na kudłaty łeb i wzięwszy się pod boki, postąpił ku Żydom.

– A z widkiż tobie, Żydu, przyszło mene chamom nazywaty? – począł groźnie, zaciskając pięście w sposób wcale niedwuznaczny.

Zainterpelowany w ten sposób Polak wyznania mojżeszowego poskoczył naprzód, machając dziwacznie rękami:

– A ty, kudłaty paskudnik! Ty, rusiu proklaty! Ty nawet *kaiserliche Polizei* się nie boisz? ny, ty będziesz i tu na mnie następować... *Herr Polizei! Herr Polizei, der cham macht a klótnies!*<sup>43</sup>

Wezwani policjanci wkroczyli pomiędzy „dzieci jednej matki ziemi”, używając dozwolonej w tym wypadku interwencji kułakowej, a chcąc zaznaczyć, że wyznają równouprawnienie, jednakową dozą kułaków obdarzyli tak Polaka wyznania mojżeszowego, jak i Rusina.

Żydzi jednak nie dawali za wygraną – rozpoczęli gwarliwą rozmowę i Bóg wie, na czym by się skończyło, gdyby nie drzwi otwierające się z impetem i wpuszczające do wnętrza izby całą gromadę jakichś mężczyzn i policjantów.

Jeden ze świeżo przybyłych zwraca ogólną uwagę swą komiczną powierzchownością. Krótki, gruby, z twarzą jowialną, oblaną purpurową falą krwi, zda się tryskającą spoza sinego naskórka, idzie na czele całej gromady, gestykulując i rozprawiając żywo.

Czarne jak smoła włosy i także oczy, biegające pośród zakrwawionych białek, nos krogulczo zakrzywiony nadawały mu postać włoskiego bandyty. Ale olbrzymia tusza, a zwłaszcza wyraz dobroduszości i jowialnej wesołości, rozlanej na wygolonej twarzy, przeczyły krwiożerczemu powołaniu. Śmiał się nawet głośno, serdecznie, szerokim, porywającym śmiechem, odsłaniając dwa rzędy szerniałych zębów i trzymając się za boki. Wszedł z gołą głową, bez kapelusza, a teraz, nie przerywając śmiać się, wyciągnął z kieszeni olbrzymią pasową w kraty chustkę i związał ją sobie koło głowy tworząc w ten sposób rodzaj turbana.

Drugi z pojmanych był zupełnym przeciwstawieniem wesołego jegomościa. Długi, chudy, rasowy, z energicznie markowaną maską twarzy, starannie wygolony, wyglądał na człowieka dobrego rodu, strąconego chwilowo w kałużę pijaństwa i rozpusty. Błady jak ściana wodził błędnymi oczami po obecnych i chwiał się na nogach, nie mogąc odzyskać utraconej równowagi. Na twarzy miał ślady ceglastej, tłustej farby, a na jednym policzku rudy, ze scenicznej krepy, nalepiony mastyksem, kawałek brody.

Suknie tych obydwóch ludzi zniszczone, powalane kurzem i tysiącem plam nieokreślonego pochodzenia, ręce brudne, pokryte sinawą barwą na zgięciach palców, świadczyły dowodnie o zamiłowaniu w spędzaniu nocy na miłych i użytecznych rozrywkach, które przeważną część artystycznej drużyny tego miasta do oblędu, nędzy i strasznego końca doprowadzały. Ludzie ci widocznie należeli do inteligencji umysłowej, a mimo to nie wahali się maczać swych rąk w brudzie szynkownianym, tarzać się w błocie rynsztoków, pełnych nocnych ścieków, i tracić talent, godność osobistą, zapierać się swego „ja” człowieczego, aby na równi ze zwierzęciem rzucać się w groźące śmiercią płomienie.

Dama w dżetach przemknęła teraz szybko przez zbitą gromadę policjantów, pozwalając w ten sposób urzędnikowi inspekcyjnemu zająć się wymierzaniem sprawiedliwości w imieniu cesarsko-królewskiej policji.

Pan Rimotat odprowadził damę aż do drzwi, uśmiechając się i wysuwając zapadłe piersi, tak że aż sztywny gors od koszuli zatrzeszczał ze zdziwienia.

Gdy Kaśka ujrzała tę wspaniałą postać męską, zadrżała z bojaźni, sądząc, że jej ostatnia godzina się zbliża. Powaga, nieodłączna od policyjnego austriackiego urzędnika, zaimponowała jej niezmiernie. Lecz on z najwyższym podziwem zwrócił się ku świeżo wprowadzonym, a serdecznie

<sup>43</sup> *kaiserliche Polizei... Herr Polizei!... der cham macht a klótnies!* (żarg.) – cesarskiej policji... Panie policja!... ten cham wszczyzna klótnie!



pijanym więźniom, i grzecznym gestem zaprosił ich do swego gabinetu. Gdy weszli, p. Rimotat pośpieszył do biurka, a siadając z powagą na fotelu, podsunął nieznacznie pod siebie grubą księgę, zawierającą przepisy policyjne. Pragnął wydać się wyższym i zaimponować niezwykłym gościom, zapomniał przeto o uszanowaniu należnym prawu i traktującym o nim księgom.

Poza pojmanymi stanął tłum policjantów, widocznie wzburzonych, zaalarmowanych, niezwykle poruszonych. Tworzyli oni w ten sposób gęstą, ciemną ścianą, na której tle rysowały się dwie dziwaczne postacie, chwiejące się lub podtrzymujące się wzajemnie.

Mniejszy jegomość śmiał się ciągle. Śmiech jego przeciągły, serdeczny jest szczerze zaraźliwy. W pierwszej izbie zaczynają śmiać się chłopci, nawet blady wyrostek zatyka sobie usta zatłuszczoną czapką. I Kaśka czuje, że gdyby nie była tak smutną i nieszczęśliwą, śmiałaby się z tym czerwonym jegomościem, tak łaskotliwie działa na nią szeroki, wspaniały śmiech, rozlegający się jak dzwon pod brudnym sufitem izb policyjnych.

Pan Rimotat zmuszonym został skryć się na chwilę za biurko. Czuje, że nie zdoła utrzymać dłużej swej powagi i wybuchnie w oczach policjantów głośnym śmiechem, porwany zaraźliwą wesołością tej twarzy czerwonej, śmiesznej, wykrzywionej, jak rozbawieni mnisi na karykaturalnych obrazkach.

Policjanci jedni nie śmieją się wcale. Mają wzburzone twarze, a jeden z nich dość energicznie wstrząsa trzymanym w ręku czakiem, którego sukno, kulą przedziurawione, ma stanowić *corpus delicti* całego przestępstwa. To zastanawiające wzburzenie całej trupy cesarsko-królewskich stróżów porządku przywołuje pana urzędnika do przytomności.

Przymruża oczy, nakłada binokle i rozpierając się w fotelu, obejmuje obowiązki.

Dla formy pyta o nazwiska. Dla formy tylko, bo obu tych ludzi zna dobrze. Ileż razy śmiał się szczerze, serdecznie razem z tym wesołym aktorem, który, stojąc koło budki suflera, wstrząsał tłumy i doprowadzał do szalonych wybuchów wesołości. A ten drugi, blady, ponury, czyż wczoraj jeszcze, jako Uriel Acosta<sup>44</sup>, nie miotał piorunujących przekleństw, z całą potęgą olbrzymiego talentu, wspartego niepospolitym wykształceniem i inteligencją?

Urzędnik poznaje nawet jeszcze szczątki brody, które w dzień biały martwością swoją odbijają dziwnie od żywej, choć wybladłej skóry.

Na zapytanie urzędnika nie ma wszakże stosownej odpowiedzi.

Uriel Acosta milczy chwilę, po czym grobowym głosem wygłasza, co następuje:

– Ja się nazywam Warschauer, a to mój przyjaciel, Bamberger; pan dyrektor wie, ten, co wyszedł ze szpitala.

Nazwany Bambergerem śmieje się tak głośno, że fioletowe pręgi występują mu na twarz.

– Psiaga! – woła wśród spazmów, wstrząsających jego rozlanym ciałem – ja jestem Ziomek, pan Buli, której wczoraj u Pańkowskiego w łeb strzeliłem. Już i ta suka niczym by więcej na tej ziemi nie była, więc namyśliłem się i psiaga tylko oczami łypnęła... Zawsze, panie komisarzu, lepiej niech zdycha, niż żeby się miała z nami do rana włączyć... To nie wypada dla uczciwej suki... jak pan komisarz myśli?... ha?

Uriel Acosta nie przerywał wcale.

Teraz z niezmierną uwagą wpatrywał się w uszy pana Rimotata, mrużąc od czasu do czasu:

– Nadzwyczajne! *parole d'honneur*<sup>45</sup>, nadzwyczajne!

Wówczas na rozkaz urzędnika wystąpił z gromady policjant, kładąc na stole przedziurawione czako, i rozpoczął akt oskarżenia.

Według tego aktu obaj artyści, przepędziwszy noc całą na zwykłej hulance, powracali do domu, aby na łonach rodziny odpocząć po całonocnych trudach. Pomięszane trunki podziały przeciw w niezwykły sposób na ich mózgi, tak że w ostatniej kawiarni wszczyli pomiędzy sobą zajmującą rozmowę, rozbierając swą wartość moralną i szacując się wspólnie z dokładnością taksatorów bankowych. Zapewne był to rozrzewniający dowód pokory chrześcijańskiej, ale alkohol nie wpływa

<sup>44</sup> Uriel Acosta – tytułowy bohater dramatu Karola Gutzkowa (1811-1878), napisanego w 1847 roku

<sup>45</sup> *parole d'honneur* (fr.) – słowo honoru

nigdy umoralniająco. Dlatego gdy obaj skruszeni koledzy wyszli z knajpy i zataczając się, skierowali swe kroki w stronę policyjnego gmachu, powstała w umyśle Uriela myśl niezwykła, mogąca się zrodzić w przekrwawionym mózgu szaleńca.

– Słuchaj – wyrzekł ponuro, zatrzymując się przed bramą policyjną – namyśliłem się; tacy grandziarze, jak my dwaj, niewarci żyć na świecie. Mam przy sobie rewolwer sześciopalcowy; odmów litanie, palę ci w łeb, jak i ty wczoraj twej suce; potem palnę sobie i będzie już raz koniec...

I dla dowiedzenia szczerości swego zamiaru z bocznej kieszeni palta wyciągnął rewolwer istotnie nabity, rewolwer, który od pewnego czasu nie opuszczał go dniami i nocami całymi.

Wesoły kolega zastanowił się chwilę. Był bardzo pijany, ale mocą przyzwyczajenia zachował pewną świadomość tego, co się wkoło niego działo. Zakrwawionymi oczami spojrzął na błyszczącą lufkę rewolweru połyskującą w porannym słońcu błękitnym blaskiem stali. Wiedział, że Uriel Acosta jest w prywatnym życiu dziwnie upartym, a zwłaszcza w nietrzeźwym stanie. Jakkolwiek sam przed chwilą ze łzami w oczach dziwił się, dlaczego święta ziemia ma tyle cierpliwości i nosi tak pełną wad figurę na swym grzbiecie, to przecież, gdy lufa zamigotała tuż przed oczami, zapragnął instynktowo ochronić swe życie. Z najwyższą więc łagodnością wskazał koledze spokojnie opartego o bramę policjanta i zaproponował usunięcie ze świata podobnie szkodliwego indywiduum. Po czym miał odmówić żadaną litanie i spokojnie wyczekiwać słusznie wymierzonej kary.

Uriel nie dał sobie powtórzyć po raz drugi tak niezwykłej propozycji. Postąpiwszy zaledwie o pięć kroków, wymierzył rewolwer w głowę policjanta i... strzelił. Drżąca od trunku ręka chybiła i kula prześwidrowawszy sukno czaka, uwięzła w bramie.

Zrobił się alarm nieopisany. Przy pomocy nadbiegłych ze wszystkich stron policjantów ujęto obu artystów i zaprowadzono na inspekcję. Rewolweru jednak nie znaleziono. Uriel zręcznie rzucił go w tłum; i teraz, stojąc przed urzędnikiem policyjnym, spokojny, podziwia wspaniałe uszy pana Rimotata i zapewnia, że nosi nazwisko jednego z bohaterów wesołej opery, noszącej tytuł *Trójka hultajska*<sup>46</sup>.

Sytuacja pana urzędnika stała się cokolwiek trudną. Wzburzeni policjanci tłoczyli się przez otwarte drzwi, powtarzając ciągle wyraz *attentat*<sup>47</sup>, nadając całemu zajściu pozór strasznej zbrodni. Głównego dowodu, to jest broni nie znaleziono, zachowanie się zaś obu przestępców zdradzało stan tak zwany „niepoczytalny”, co głównie odnosiło się do tak zwanego Ziomka, którego śmiech bezustannie całą kaskadą tonów oblewał głowę i uszy zakłopotanego komisarza. Puścić jednak bezkarnie winnych nie dozwala powaga urzędu i szacunek, należny reprezentantom władzy. Pan Rimotat zatem, wezwawszy Boga na pomoc, zawołał swego sekretarza i nakazał ściągnąć z obwiniętych protokół.

Manipulacja ta przedwstępna pobudziła jednak Ziomka do takiej wesołości, że trzymając się za boki, usiadł na podłodze, powtarzając bezustannie swoje zwykłe:

– Psiaga!

Nazwiska podyktował pan komisarz, obcierając spoconą twarz, gdyż takie jawne naigrywanie się z jego władzy zaczynało go drażnić w dziwny sposób. Niezaprzeczenie obaj pojmani byli nadzwyczaj zabawni, ale pan Rimotat pragnął zachować w oczach swych podwładnych należyty szacunek i winny respekt. Marszcząc więc czoło i gładząc grzywkę, zwrócił się do Uriela, który nie przestawał przypatrywać się bacznie uszom pana komisarza.

Niezwykłe rozwinięte członki, rozkładające się żółtą masą w szarawym świetle zimowym, zdały się przykuwać całą uwagę pojmanego i absorbować go zupełnie.

Pan Rimotat przybrał już dostatecznie imponującą pozę i zabierał się do rozpoczęcia badania, gdy nagle, jak piorun, spadło na niego następujące pytanie, w dość zresztą grzecznej uczynionej formie.

– Za pozwoleniem pana komisarza – mówił Uriel, zbliżając się z ukłonem i wskazując w kierunku uszów nieszczęśliwego urzędnika – czy to pana własne?...

<sup>46</sup> *Trójka hultajska* – wodewil Jana Nepomucena Nestroya (1802-1862), aktora i komediopisarza niemieckiego

<sup>47</sup> *attentat* (fr.) – zamach, naruszenie praw

– Jak to? Co pan przez to rozumiesz? – wołał w oburzeniu, zrywając się z fotelu Rimotata.

– Nic, nic! drobnostka – wyrzekł, nie tracąc kontenansu artysta – myślałem, że to przyprawne, ale skoro pan komisarz twierdzi, że własne, mogą powinszować!... Wspaniałe okazy! *parole d'honneur*, wspaniałe!...

Rozpacz Rimotata dosięgła punktu kulminacyjnego. W oczach własnych podwładnych został wyszydzony i ośmieszony w taki sposób. Jak wściekłe zwierzę rzucił się na fotelu i nie patrząc na policjantów, nakazał sekretarzowi spisać akt oskarżenia.

Pojmani zachowywali się przez ten czas dość spokojnie. Ziomek tylko zapragnął się podnieść z ziemi, czyn ten jednak okazał się połączony z niektórymi trudnościami. Wreszcie, przy pomocy Uriela, dwóch policjantów i biurka pana Rimotata, dźwignięto tę masę cielską, rozkładającego się już za życia, pełnego zepsutych soków i alkoholu.

Pan sekretarz, wodząc nosem po papierze, pisał zawzięcie protokół, podyktowany przez samego pana Rimotata a uzupełniany komentarzami policjantów. Już cała stronica, zapisana gęstym piśmem, szarzała na stole, lśniąc świeżym jeszcze atramentem, gdy nagle Ziomek, odbywszy krótką a cichą naradę z Urielem, przystąpił do biurka.

– Panie komisarzu dobrodzieju, psiaga łaskawa – zaczął, przewracając oczami – po kiego diabła pan komisarz tak brzydką sprawę każe rozmazywać?

– Panowie wszczęliście burdę uliczną! – odpowiedział Rimotata, prostując się majestatycznie – naruszyliście spokój uliczny i godziliście na życie cesarskiego sługi. Nie mogę puścić podobnych rzeczy bezkarnie!

Ziomek machnął ręką.

– Ha! psiaga, może to i prawda, ale według mnie, zamiast rozmazywać, należy taką sprawę lepiej... zamazać!

I szerokim, brudnym palcem, umaczanym w ślinie, zamazał szybko całą stronicę, czyniąc z pięknego pisma pana sekretarza wspaniałą plamę szarobrudnego koloru.

Ujrzawszy bohaterski czyn swego kolegi, Uriel wybuchnął szalonym śmiechem i rzucił się w objęcia przyjaciela. Ziomek zawtórował mu tryumfująco i tym samym dał znak do ogólnej wesołości.

Śmieli się policjanci, zatykając przez uszanowanie usta czakami; śmieli się w drugiej izbie Żydzi, nie wiedząc, o co chodzi; rechotali się chłopci, mnąc czapy w czerwonych łapach; uśmiechała się blada kobieta; zanosił się od śmiechu wyrostek, nawet sam pan Rimotata ukrył się poza stosy książek, ażeby nie stracić swej powagi.

Tylko Kaśka nie śmiała się wcale. Przytulona do ściany dziwiła się niepomąłu tej wielkiej wesołości, panującej w tych ponurych izbach, które według jej wyobrażenia same łzy i smutek mieścić powinny.

Gdy w kilka minut później, po spisaniu nowego protokołu, wyprowadzono aktorów, ostatnie gamy śmiechu skończyły wraz z ich wyjściem, cisza i pleśń wysunęły się z ciemnych kątów, w które się skryły przed niezwykłym gościem – wesołością, jaka się z czelnością intruza w te wilgotne mury wcisnęła.

Pan Rimotata był teraz w szalenie złym usposobieniu. Uriel Acosta zepsuł mu dużo krwi swym dziwnym zapytaniem, odnoszącym się do uszów pana urzędnika. Wyjął więc z kieszeni małe lusterko i zaczął przyglądać się tym nieszczęśliwym wachlarzom, z których jedno dostatecznie zakrywało całą przestrzeń zwierciadła. Odbywszy ten przegląd, nakazał zwołać dalszych winowajców i srogi, groźny, z grzywką rozczochraną, postanowił być nieubłaganym i pełnym niewzruszonej surowości.

Na znak dany przez jednego z policjantów podniosła się z ziemi Kaśka i drżąc z trwogi, gotowała się stanąć przed srogim obliczem komisarza. Ale policjant, opiekujący się wyrostkiem, odepchnął ją i wzięwszy za kark swego protegowanego, zawlókł go do drzwi i wepchnął do pokoju pana Rimotata. Chłopak, skrzywiony, blady, z wypiętnowanym na twarzy występkiem i przedwczesną dojrzałością, stanął nagle przed groźną fizjonomią urzędnika, garbiąc się dziwnie i

dusząc w brudnych rękach obszarpany fartuch, który, na jednej szelce zawieszony, nie zakrywał łachmanów, stanowiących odzież chłopca. Było to uosobienie nędzy fizycznej i moralnej, nędzy dziedzicznej, przekazywanej z ojca na syna, a znanej światu pod nazwą... terminatora! Chłopak domagał się swym wyglądem i wewnętrznym strojem odzienia, pożywienia, logicznej i odpowiedniej nauki – słowem, tego wszystkiego, co z istoty sponiewieranej przez policjantów człowieka uczynić może. Tak – było to tylko zwierzę, zniszczone już, nawet niezdatne jako siła robocza, źle wyrosnięte i znające doskonale drogę do gmachu cesarsko-królewskiej policji.

– Nazwisko i imię? – zapytał ostro pan Rimotat, wlepiając swe małe oczka w idiotyczne źrenice chłopca i starając się nadać swemu wzrokowi przenikliwość, właściwą najbystrzejszym agentom policyjnym.

– Piotrek Szarzak.

– Lat?

– Piętnaście.

– Żonaty? wolny?

– Ale skądże, panie komisarzu!

– Karany policyjnie?

– A jakże!

– Za co?

– Nie wiem!

Indagacja, prowadzona w ten sposób, trwała dość długo. Szarzak uparcie wypierał się kradzieży postronków, którą mu zarzucano – pan Rimotat z równym uporem wmawiał weń ten występki, obsypując chłopca gradem obelg i wymysłów.

Wreszcie Szarzak umilkł. Błędnym wzrokiem powiódł po ścianach i na koniec wyrzekł zmęczonym głosem:

– Niech tak!

Od wczoraj nie jadł nic, ginął ze znużenia i głodu. Pod wpływem tych dwóch czynników wziął na siebie czyn, którego może nie popełnił. Kradzież kilku łokci zbutwiałych postronków nie była tak ciężkim przestępstwem, ażeby przez nie młody chłopak zatracił poczucie godności osobistej, będąc traktowany przez urzędnika i policjantów na równi z dojrzałymi, zatwardziałymi przestępcami. Nie pytano go o powód kradzieży, nie badano przyczyny, którą, kto wie, może był głód – ale mówiono mu: „łajdaku! złodzieju!” bito go w kark jak zwierzę, popychano, nadawano mu piętno kryminalisty – pasowano na zbrodniarza.

Wśród panującej teraz w obu izbach ciszy słyhać było skrzyp pióra pana sekretarza, spisującego akt oskarżenia wraz z dodatkiem, że przestępca przyznał się do winy.

Błady chłopak nie oponował, nie przeczył. Powiedział: „niech tak!” i nie cofnął tego słowa. Nagle pod oknem zagrała katarzynka. Wesoły walczyk wdarł się przemocą przez zamknięte okno. Małoletni przestępca rozjaśnił twarz. Uśmiechnął się na odgłos tej melodii. Nawet usta złożył jakby do gwizdania, ale gwizdać nie śmiał.

W tej samej chwili komisarz podpisywał protokół i surowym głosem nakazał odprowadzenie „złodzieja” do więzienia karnego, gdzie miał, według już woli sędziów, przebywać czas dłuższy lub krótszy, stosownie do humoru i stanu organów trawienia tychże reprezentantów sprawiedliwości.

Chłopak z najwyższą obojętnością przyjął ten rozkaz. Chwilę jeszcze słucał głosu katarzynki, pokręcił głową jak szczygieł, spojrzął spode łba na pana Rimotata, a mruknawszy przez zęby:

– A to piernik! – zwrócił się ku wyjściu.

Za chwilę znikł we drzwiach, popychany i potrącany przez policjanta, który się śpieszył na nową obławę.

Teraz nadeszła kolej na Kaśkę.

Z ciemnego kąta podniosła się straszna, wstrętna od smug krwi zasklepionych na szyi i twarzy. Gdy stanęła przed panem Rimotatem, obracając ku niemu swą twarz pokrwawioną, wzdrygnął się cesarsko-królewski urzędnik i sięgnął czym prędzej po kapsułkę Guyota.

Szybko rozpoczął badanie.

Ona odpowiadała cicho, gdyż nerwowe kurcze zaciskały jej gardło. Powiedziała przecież, jak się nazywa i gdzie mieszka. Gdy wszakże pan Rimotat zapytał o przyczynę kłótni i bijatyki, zamilkła, patrząc ponuro w ziemię.

Dookoła niej snuli się policjanci, wprowadzając coraz to nowych jeńców. Miałaż ona wobec tego całego tłumu opowiadać o swej niedoli, o nieszczęściu, jakie ją spotkało – o zdradzie Jana i nikczemności Rózi?

Pan Rimotat doszedł do kulminacyjnego punktu rozdrażnienia nerwów. Dziś wszystko sprzysięgało się przeciw niemu. Teraz jeszcze ta dziewczka milczy jak skała i drażni go swym uporem. I bez namysłu nazywa Kaśkę „włóczęgą, łajdaczką...”, nakazując policjantom odprowadzenie dziewczyny do „furdygi” i zamknięcie jej na trzydzieści sześć godzin o chlebie i wodzie. Jest to dość łagodna kara, ale pan Rimotat musiał uwzględnić poprzednie przyzwoite prowadzenie się Kaśki, która do tej chwili nigdy nie była karana.

Furdyga była to długa i wąska izdebka, opatrzona maluchnym, zakratowanym okienkiem. Tam umieszczano tymczasowo przestępców, którzy nie kwalifikowali się do więzienia lub mieli wyznaczoną karą kilkugodzinną. Oprócz trzech tapczanów, pokrytych zniszczonymi derkami, dzbanka z wodą i drewnianego zydła w kącie, nic więcej w izdebce nie było.

Przez okienko wpadał gwar miasta, zbudzonego na dobre do życia, do ruchu. Pod tym okienkiem przesiadziała Kaśka cały dzień i noc następną, nieruchoma, zapatrzona w przestrzeń, z ustami spalonymi gorączką, z rękami splecionymi w nerwowym skurczeniu. Przestała myśleć, czuć, nawet cierpieć. Odrętwiała pod wpływem nieszczęścia i fizycznej niemocy, która nękała ją w przykry sposób. Tylko w lewym boku, więcej ku środkowi, czuła ból dojmujący, jakby jedną wielką ranę, która bolała ją strasznie przy każdym nabraniu oddechu. Reszta cierpienia łączyła się ze sobą i zlewała w chaos, którego Kaśka rozróżnić nie mogła. Piła tylko wodą, nie dotykając chleba szernialego, suchego, który rozkładał się ciemną masą na poplamionym i brudnym zydłu.

Szczęśliwym trafem dla Kaśki nie wpuszczono nikogo więcej do furdygi. W ciszy i milczeniu zaczęła powoli przecież uspokajać się i rozumieć swoje położenie. W tej chwili żałowała już swego postępu. Uniosła ją niepohamowana złość – i nie zyskała nic, a straciła wiele. Postanowiła więc złe naprawić. Nawet czuła, że mogłaby przebaczyć Janowi zdradę i oddanie na pastwę policjantów. Całą nienawiść zwróciła ku Rózi – z tą dziwną, a niczym nie uzasadnioną wściekłością, jakiej doznają wszystkie opuszczone kobiety. Kochanek u nich zyskuje łatwiejsze przebaczenie, natomiast rywalka staje się przedmiotem zacieklej zemsty. Kaśka była kobietą, więc i postępowaniem nie różniła się od płci swojej.

Gdy wypuszczona z furdygi znalazła się wreszcie na ulicy, doznała nagle jakby olśnienia. Początkowe odrętwienie, które ustąpiło cichemu przeżuwaniu myśli, ukołysało ją stopniowo. Zrywała się wprawdzie chwilami z bolesnym jękiem, zwłaszcza gdy obraz Rózi stanął jej przed oczami, ale to odosobnienie od świata ulgę jej wielką czyniło.

Na ulicach panował ruch wielki. Prawdziwy ruch popołudnia niedzielnego. Ściemniało się już nawet, a podwójna fala ludzi płynęła w stronę gmachu teatralnego. Jedni powracali z popołudniowego przedstawienia, drudzy dążyli na wieczorne. Szli śmiejąc się, pełni pustoty, zaczerpniętej z wesołej operetki, której walce drgały, gwizdane, w powietrzu.

Kaśka stała chwilę na środku ulicy, niepewna, w którą iść stronę; wychodząc z więzienia, obmyła twarz i starła ślady krwi zakrzepłej na skroniach. Pomimo to jednak wyglądała odrażająco, posiniaczona i podrapana, a poszarpana odzież odbijała dziwnie od świątecznej czystości przeciągającego tłumu. Ten i ów popatrzył na tę wielką, barczystą dziewczkę, zbitą i obszarpaną, stojącą samotnie na środku ulicy. Niektórzy śmieli się, inni krzywili znacząco. Kaśka uczuła, że zejść tym ludziom z drogi musi i że iść powinna. Ale gdzie? dokąd?

Policja zrobiła swoje. Zapewne, wzięła kobietę robiącą burdy i zamknęła ją dla poprawy w ciemnej izbie, dając za pożywienie cuchnącą wodę i chleb twardy. Po czym wyrzucono winowajczynię na ulicę, a na pożegnanie dano tęgiego kułaka i posłano na nią jedno słowo dla wzmocnienia i utrwalenia w dobrym:

– Łajdaczka!

Słowo to brzmiało dokoła jej głowy, wciskało się natrętnie w uszy i pozostawało w niej uparcie. Uczuła się bardzo spodloną i sponiewieraną tą pierwszą publiczną chłostą, jaką otrzymała. Spojrzenia przechodniów dopełniały reszty. Nie miała nawet chustki, aby ukryć swe potargane włosy, zlepione krwią, która się zimną wodą zmyć nie dała.

Z wnętrza szynku wychodzili lub wchodzili bezustannie mężczyźni, kobiety, dzieci, niosąc ze sobą pragnienie rozpusty, pijaństwa, zniżenia się do rzędu bydła. Ten i ów potrafił Kaśkę, nazywając „pijaczka”. Ona kurczyła się coraz bardziej, nie mając siły powstać i pójść dalej. Ale i do tego została zmuszoną.

Szynkarz, wyszedłszy przez próg swego sklepu, dostrzegł siedzącą na ziemi kobietę. Zbliżył się ku niej i nakazał jej ostro, aby wstała i nie „zawalala wejścia porządnym gościom...”

Przebijając się przez tłumy, skierowała się w bardziej opuszczonej i mniej zaludnionej dzielnicy miasta. Z początku szła szybko, gromadząc w sobie resztki silnej woli i energii, powoli przecież siły ją opuściły i nogi zaczęły uginać się pod ciężarem korpusu. Wlokła się więc wzdłuż nędznych domostw, na progu których siedziały wybladłe kobiety lub nędznie odżywiane dzieci. Tu nikt się już nie dziwił obszarpanej dziewczynie. Była to jedna nędzarka więcej. Czemuż się dziwić miano?

Powoli zmrok zamienił się w ciemną noc, która chłoneła w siebie resztki słonecznych blasków. Kaśka upadła ze znużenia przed drzwiami jakiejś brudnej szynkowni i tak przesiedziała długą chwilę. Odurzająca woń prostej, ordynarnej wódki wybuchała z drzwi otwartych. Kaśka przez samo wciągnięcie tego zapachu uczuła się pijaną; skurczona w bezkształtną masę, kryła się w cieniu, doznając dziwnego uczucia, jakby nagłego zmniejszenia się, zejścia do wieku dziecięcego. Chciała płakać i skarżyć się jak małe dziecko i tulić zbolalą głowę do jakiejś przychylniej piersi. Każdy człowiek, przechodzący ciężkie chwile, ma takie pragnienie. Najbardziej zahartowane natury upadają czasem pod brzemieniem niedoli, a kobieta, choćby miała najwspanialszy tors i najsilniejszy szkielet, nie stanowi pod tym względem wyjątku.

Ponieważ Kaśka nie mogła od razu uczynić zadość żądaniu szynkarza, kilka uderzeń oraz energiczne kopnięcie nogą zmusiły ją do powstania. Drżąc cała, skierowała się ku rogatce, której wysoko podniesiona bariera widniała już z daleka w mdławym świetle latarni. Powoli przebyła tę drogę i wydostała się na pola, ciągnące się wzdłuż miejskich wałów. Odetchnęła swobodnie, nie widząc ludzi, i powlokła się w stronę Ogrodu Inwalidów. Po czym zwróciła się w bok i idąc wciąż krętymi ścieżkami, znalazła się w krzakach pokrywających stromy brzeg Wysokiej Góry.

Ciemno już było zupełnie. W gęstwinie trzeszczały suche gałęzie pod ostrożnie stawianymi stopami. Szepty, urywane słowa, niekiedy przekleństwa, wydobywały się z szczelnie pospłatanych gałęzi, okrytych nocnymi cieniami. U stóp góry miasto połyskiwało tysiącem świateł, strzelając w górę czarną masą wież lub krzyżów. Gdzieniedzie, na stromym stoku góry, białał jeszcze śnieg nie roztopiony, a gęsto ustawione pnie drzew tworzyły miejscami formalne kryjówki, zasłane bezlistnymi jeszcze krzakami. Wilgoć i przenikliwe zimno wydzielało się jeszcze z tej ziemi rozmokłej, nie ogrzanej promieniami słońca. A przecież co chwila Kaśka potykała się o jakąś istotę ludzką, przytuloną do wilgotnej ziemi, drżącą w podartych łachmanach, skurczoną pod pniem drzewa. Czasem była to większa grupa ludzi, szepczących między sobą, naradzających się wśród tej nocnej ciszy nad sposobami zdobycia może... kęsa chleba. Pomiedzy drzewami błąkały się postacie kobiece, schylone, obszarpane, straszne w swym zbydlęczeniu, ohydne, niegodne miana kobiety. Od czasu do czasu przeciągał patrol, złożony z kilku zaspanych żołnierzy. Patrol ten był ślepy i głuchy na to, co się dokoła niego działo. Pomijał rzeczywistych zbrodniarzy, napadając na istoty mniej szkodziwe, a nędzą i głodem do włóczędzy zmuszone.

Była to jedna wielka jaskinia zbrodni i rozpusty, której za płaszczy służyły nocne cienie, a za siedlisko krzaki leszczyny. Złodzieje, rozpustnicy, nędzarze tłoczyli się, kłócili, zabijali, kochali nawet w tych kryjówkach, staczając ze sobą walkę o byt, o kawałek chleba, o suchsze miejsce dla złożenia głowy...

Kaśka wsunęła się także w te krzaki i usiadła na obalonym pieńku. Głodna była i dopiero teraz głód poczuła. Nie miała ani grosza, a zresztą, gdyby nawet miała pieniądze, czuła, że trudno jej będzie wstać i pójść dalej. Do Budowskich wrócić nie mogła; czuła, że straciła miejsce, do którego wstyd nie dozwalał jej powracać. Nie знаła więcej nikogo i nie miała żadnych drzwi, do których zapukać by mogła. Przechodzący patrol przejmował ją strachem, przytulała się do pnia drzewa, kryjąc się o ile możliwości w cieniu. Wiedziała, co ją spotka, gdy policja zastanie ją obszarpaną, samą, siedzącą wśród gęstwiny. Dojmujące zimno przenikało całe jej ciało, zęby dzwoniły, uderzając o siebie. Włożyła w usta palec, pragnąc umniejszyć przykrość podobnego drżenia. Z głodu chwyciły ją mdłości i ślina płynęła do ust. Oddałaby w tej chwili kilka lat życia za kawałek chleba.

Siedziała tak długą chwilę, gdy nagle drgnęła, zobaczywszy wysoki cień przed sobą. Była to kobieta chuda, okryta szmatami, z rozczochraną głową i straszonym wyrazem twarzy. Tylko dwa rzędy wspaniałych białych zębów błyskały z warg bezkrwistych, zeschłych jak całe ciało, przeświecające spod dziurawej odzieży.

– Czego tu chcesz, więdźmo jedna? – wyszeptała ochryplym głosem – idź stąd, to mój plac...

Kaśka podniosła głowę.

– Pozwólcie mi trochę posiedzieć, pniaka wam nie ugryzę – odpowiedziała wolno, z najwyższym wysiłkiem – chora jestem, jak odejdzie ode mnie, to pójdę...

Kobieta wzięła się pod boki.

– Jakesz chora, to gnaj do szpitala, a porządnym ludziom drogi nie zawalaj!

Kaśka nie usuwała się przecież, pomimo braku gościnności, jakiego doznawała.

– Jesteście przeciek kobieta, to musicie mieć litośne serce – wyszeptała – pniak duży – pomieścimy się obie.

Kobieta postąpiła chwilę, jakby namyślając się nad tym, co zrobić miała. Wreszcie litość przemożła złe usposobienie, bo machnąwszy ręką, nieznajoma usiadła koło Kaśki, maczając swe źle obute nogi w roztopionej ziemi.

– A skądżeście się tu wzięli, boście frajerka, widać to zaraz, bo mordy dobrze użyć nie potraficie. Inna toby dopiero na mnie peronekę wywarła. No, gadaj, kiedy dobrze z tobą kuniruję, co cię tu naniósł?

Kaśka wahała się z odpowiedzią. Ta cuchnąca kobieta, od której zalatywała ostrą woń wódki i błota, budziła w niej odrazę. Odór alkoholu wzmacniał jej nudności i odurzał do reszty. Trzeba jednak było coś odpowiedzieć.

– Jestem teraz bez miejsca i nie mam gdzie spać...

– Owa! – odparła nieznajoma – to ci termedia!<sup>48</sup> Ja tu cztery roki nocuję, a dobrze mi. Lokal fraj, a pościeli prać nie trza.

Zamilkła na chwilę, po czym wyjąwszy chleb zza pazuchy, jeść żarłocznie poczęła.

Kaśka odwróciła szybko głowę. Nie mogła spojrzeć na jedzącą. Doznawała strasznych cierpień; zdawało jej się, że wszystkie wnętrzości skręcają się w niej w jeden węzeł. Łzy oczy jej zaciągały mgłą, przez którą nic rozróżnić nie mogła.

– Ja to znam, że cię taka pierwsza nocówka w pięty trze – mówiła dalej kobieta – ale jak się nie ma zatabaczonego krajcara, to dobry psu i gnat. A byłaś już w furdydze?...

– Byłam – odparła cicho Kaśka.

– Ha! no, to bez stalunku już masz prawo do placu. Jakby cię jaki hetnik chciał stąd gnać, to zaraz gadaj, coś w furdydze była. Nikt cię już nie ruszy!...

Kaśka ukryła twarz w obu rękach. Tak! niezaprzeczenie, była już włóczęgą, karaną policyjnie; ta straszna, obszarpana kobieta przyznała jej to stanowisko, a bytność w policji nadawała jej prawo do

<sup>48</sup> termedia (łac.) – tu: kłopot, ambaras

zajmowania kryjówek na Wysokiej Górze. A więc i tam były prawa, był próg, który trzeba było przekroczyć, zanim się dostało kawałek ziemi wilgotnej i szmat nieba nad głową!

Kobieta patrzyła teraz na pochyloną Kaśkę, nagle trąciła ją w bok, mówiąc:

– A cóżeś ty zmalowała? świstnęłaś co? sujkę komu dałaś? grzebnięłaś kogo?, no, gadaj, morowa lalu!

Kaśka potrząsnęła głową.

Nie – nie zabiła nikogo. Przecież nie chciała się opowiadać ze swoich postępów przed tą kobietą. Tak, jak przed panem Rimotatem w inspekcyjnej izbie, zamilkła, tłumiąc w sobie ból i przyczyny tego bólu. Nieznajoma czuła się obrażoną.

– Ho! jaka mi marmuzela, sekretnica! Nie chce wydusić, boi się! Cóż to za wyziera na prześpiegaczkę? A dawno wyszła z furdygi?

– Po południu!

– Żarłaś co?

– Nic.

– Na, żryj! a nie obetkaj się zanadto i nie połam zębów. Hu! ha! to ci ananasy taki chleb. Wojtek forspan<sup>49</sup> mi go dał... wiesz, ten Wojtek połamany... to mój kochanek.

Mówiąc to, podawała kawałek szczerstwiego chleba. Ręce trzęsły się Kaśce, gdy uchwyciła to nędzne pożywienie, które podniosła do ust z żarłocznością wygłodzonej bestii.

Kobieta patrzyła chwilę, po czym wyjąwszy z włosów dwie pogięte szpilki, rozrzuciła dokoła resztki zrudziałych kosmyków.

– Łeb boli, szelma – zaczęła, wyciągając nogi w kałuży i klapiąc nimi po błocie – jak służba, psiajucha, nadejdzie, to każę im ugotować czarnej kawy i podać sobie w łóżku. Tylko taładajstwo się powlokło i dzwonka nie mam!

Nagle poczęła się śmiać serdecznie.

– Wiesz ty, kolko cholerna, że ja miałam étery pokojów i służę. Cały dzień ją po pysku waliłam, a w nocy to éterdzieści razy kazałam jej wstawać i kawę czarną gotować. Ot tak, prost bez złość. I ja byłam służką, to jak mnie potem los spotkał, to się pomstowałam, na kim wlaźło. Potem sama zesłam na wycierkę, ale com użyła, tom użyła!

Przeciągała się teraz, przechylając w tył głowę. Chude ramiona podawała w tył i przymykała oczy. Po czym trąciła znów Kaśkę i spytała:

– A ty masz kochanka?

Kaśka przestała jeść, bo kurcz nerwowy zacisnął jej gardło, nie była w stanie odpowiedzieć na rzucone sobie pytanie.

Nieznajoma nie czekała na odpowiedź.

– Masz pewnie jakiego smarowoza, co cię w trąbę puści, znam ja to, znam! Weźmie porządną dziewczkę, a potem ją wykieruje na śmiecie. I mnie tak jeden maskara zrobił. Niech go pomsta spotka! Ot, raz to najtrudniej, potem to już się otrzaska i tak już na przepadłe... I ty tak zejdziesz.

Kaśka porwała się z pniaka.

Co? ona miałaby zostać tym samym, czym ta kobieta? Miałabyż się zwałać do tego stopnia i upaść bez powstania? Czyż dla niej nie ma ratunku? Nie ma już wyjścia?

– A patrz, żebyś dziecka nie miała – skrzypiał dalej głos nieznajomej – to szczenię musiałybyś gdzie zadusić albo podrzucić, jak ja moje, bo w służbę cię z dzieciakiem nikt nie weźmie, a fundusów na mamkę nie masz. To najgorsza cholera i bez to my wszystkie idziemy na marne.

Na marne! Tak! Kaśka nie pomyślała o tym nigdy. Dziecko! Zimny dreszcz przebiegł ją na to słowo; szukać musi innej służby, boć ją Budowscy już nie przyjmą.

– Chłop każdy łajdak, nawet ci szmaty nie zapłaci – ciągnęła dalej kobieta – turbacja na twoim łbie, a potem to jeszcze pluja i na dziecko sobacza. Tak to już!

---

<sup>49</sup> forspan (niem.) – woźnica



Kaśka porzuciła trzymany w ręku kawałek chleba i poczęła przedzierać się przez krzaki, kierując się ku miastu. Pędził ją jakiś szalony strach, nieokreślona trwoga... chciała zobaczyć Jana i upadłszy mu do nóg, prosić o przebaczenie za to, co zrobiła.

Wszystko, byle nie to! byle nie zostać taką kobietą jak ta, której chleb przed chwilą jadła.

– A cóżeś tak wyciągnęła swoje giczęły, chorobo czeska? Nawet mi za żarcie nie podziękujesz? – wołała nieznajoma. – Gnaj, gnaj! przyjdiesz nazad! nie takie, jak ty, stąd drałowały... a nazad lazły, oj, oj!

I rozciągnawszy się na pniu, gwizdać poczęła.

Kaśka tymczasem, brnąc w błocie i osuwając się na kolana, wydostała się na drogę okalającą dokoła podstawę góry. Wąskie, ścieśnione uliczki rozchodziły się promieniami, a wszystkie były- skały rzędem jasno oświetlonych okien, przecinających ściany nędznych i zapadłych w ziemię domostw. Bandy obdartych mężczyzn przeciągały przez ulice, zaglądając do tych okien, z których wydobywały się wybuchy śmiechu i dźwięki rozstrojonych skrzypiec. Był to przedsionek piekła to nagromadzenie jaskiń rozpusty i zbrodni. Otwarte drzwi zachęcały przechodniów. Chwilami wybuchwały z wnętrza domostw straszne krzyki. Czasami znów wypadała nagle gromada bijących się mężczyzn i kobiet i napęniała powietrze wrzaskiem i przekleństwami. Cały ten kłęb ciał tłukł się o szpiczaste kamienie, czerwieniąc krwawą posoką nierówny bruk. Po czym nikli znów we drzwiach i za chwilę odzywał się przejmujący głos skrzypiec. Tylko krwawe plamy pozostawały jako ślad świeżo odbytej walki.

Kaśka pędem przebiegła jedną z tych uliczek. Jakaś nadludzka woła wzbudziła się w niej w tej chwili. Niedługo wydobyła się w inną dzielnicę miasta, pozostawiając za sobą zaułki, zionące pijaństwo i zbrodnie. Ciemność nocy kryła jej brud i zaniedbanie, przechodnie nie odwracali już za nią głowy. Ona śpieszyła nurkując pod murami domów, nabierając powoli przyzwyczajenia skrywania się przed oczami ludzi. Nareszcie stanęła na ulicy, przy której mieszkali Budowscy. Rząd słabo płonących latarni oświetlał źle szeroką i długą przestrzeń. Tej nocy magistrat zrobił umowę z księżyccem, aby dopomógł mu w oświetleniu miasta. Księżyc wszakże zasłoniły chmury i dlatego to ciemności zaległy ulice i zasłały czarną szmatą na brukach ulicznych.

Kaśka przecież pomimo ciemności przebywa szybko przestrzeń. Jest już u bramy; nie namyślając się długo, chwytając za gałkę od dzwonka i szarpie ją z nerwowym niepokojem. Wszakże tu powinna, mimo wszystko, znaleźć przytułek i obronę przed nędzą. Zbiła Rózię, ale Jana mimo to się nie wyrzekła, wyrzec się nie mogła. Dzwoni raz drugi, bo furtka nie otwierała się jeszcze. Miejskie zegary biją pierwszą godzinę urywanym, przeciągłym jękiem, który drga w powietrzu. Spóźniona dorożka wałęsa się, napęniając ulicę turkotem nierównym, szarpiącym uszy hałasem. Po krótkiej chwili poza bramą dają się słyszeć ciężkie kroki bosych nóg. Kaśka ze wzruszeniem opiera się o ścianę. Poznaje chód Jana, wie, że to on jest tak blisko niej, oddzielony tylko warstwą drzewa. Furtka otwiera się, a w głębi bieleje postać stróża w nocnej odzieży. Stoi zły i rozespany, klnąc w duszy spóźnionego przechodnia, ale rękę mocą nałogu wyciąga do odebrania należnej szóstki. Tymczasem zamiast spodziewanego lokatora zjawia się przed nim wysoka, obdarta istota, w której w mgnieniu oka poznaje Kaśkę.

Czegóż chce jeszcze ta dziewczka? Czy przyszła robić nowe awantury, drapać go i bić po nocy? Do tego nie dopuści – musi raz z nią skończyć. I zanim Kaśka zdołała wejść do wnętrza bramy, otrzymuje silne pchnięcie, które ją przymusza cofnąć się z progu. Znalazłszy się na ulicy, wyciąga mimo to błagalne ręce i woła zdławionym głosem:

– Janie! Janie! posłuchaj!...

Ale on nic nie słucha. Potok obelżywych słów, wymówionych półgłosem, wylewa się z wnętrza bramy. Czuje, że z tą dziewczką skończyć musi, inaczej czepiać się go będzie jak rak. Zbił ją, a ona wróciła! Najlepiej ostro, a musi przecież ustąpić.

Drżąc cały ze złości, zatrzaskuje bramę i obraca kluczem z najwyższą pasją i oburzeniem. Tamtę drugą ze strychu wygnał także. Znudzili mu się obie: Kaśka swymi płaczami, Rózia bezustannym chichotem. Jest teraz „wolny” i dobrze mu z tym.

Poza bramą została teraz Kaśka. Stała chwilę jeszcze, nie zdając sobie dokładniej sprawy z całego położenia. Wprędce jednak zrozumiała, co ją spotkało. Ostatnia nadzieja połączenia się z Janem przepadła razem z łoskotem zamykającej się bramy.

I nagle pod sercem kobiety poruszyło się coś słabo, ale mimo to wyraźnie. Szarpnęło nią to poruszenie w dziwny sposób, drgnęła cała i instynktowo wyciągnęła ręce w stronę bramy. Nowe życie budziło się w niej, druga istota niepewnymi ruchami dawała znać o swym istnieniu... ożywiła się w tę noc chmurną, ciemną, pod wpływem nędzy i cierpienia.

Kaśkę, pomimo zimna, pokrył pot – zęby zacięła konwulsyjnie... pomimo swego niedoświadczenia instynktem właściwym samicom odgadła i zrozumiała, co się w niej działo. Miała zostać matką!

Stała tak długo na środku chodnika, czerniąc się jak słup wbity w ziemię. Nie ona jedna teraz cierpiała nad niegodziwością Jana. Miała towarzysza niedoli, który wstrząsał jej łonem, rwąc się na świat do cierpień i głodu...

Poza bramą zaległa cisza.

Jan znużony upadł na posłanie i chrapał, śpiąc smaczno. Kaśka przedstawiała go sobie w tej ciasnej, a przecież zacisznej komórcie, otulonego w ciepłą derkę, którą się na noc owijał. Ona przecież drżała z zimna i wewnętrznego wzruszenia. Znużona głowa bezwiednie szukała oparcia, ochrony. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w czarną masę bramy, ręce jej kurczowo przyciskały drgające łono. Spoza zaciśniętych warg wybiegało tylko jedno słowo, powtarzane z uporem, graniczącym z obłędem:

– Dziecko! dziecko!

\*

I zaczęły się teraz dla Kaśki dni najstraszniejszej nędzy i niedoli. Budowski, powiadomiony o wszystkim, napisał jej odpowiednie świadectwo w książeczce służbowej, piętnując ją tym samym na najnikczemniejszą istotę. Nie zastanawiał się nad powodami błędu, nad okolicznościami, które ten błąd stworzyły. Nie rozumował również, że podobnym świadectwem strąca dziewczynę w przepaść, a odbierając jej możliwość zarobku, zmusza niejako do zapisania się w rzędy prostytutek lub złodziejek ulicznych.

Budowska również nie troszczyła się o dawną swą powiernicę. Gdy Kaśka przysłała wreszcie zabrać swój kuferek i upomniała się nieśmiało o książkę służbową i resztę zasług, Julia schowała się szybko w saloniku, bojąc się widoku dziewczyny, względem której miała obowiązki. Sam Budowski wręczył Kaśce książeczkę, co zaś do reszty zasług, wykazał jej bardzo zręcznie, że to ona właściwie winna mu jeszcze dopłatę za szkody, które poczyniła w gospodarstwie.

Kaśka, milcząc, zabrała swą pościel i przy pomocy Marynki zniosła ją na dół. Marynka bowiem pozostała jej przyjaciółką i ona to powiadomiła Kaśkę o zaszytych wypadkach.

– I tę bestię z komórki Jan wygnał także na cztery wiatry. Już on taki dla wszystkich jest. Ot!... chłop! cóż dziwnego!

Kaśka nie odpowiedziała nic, jakkolwiek wiadomość, że i Rózię podobny los spotkał, sprawiła jej niejaką ulgę. Obejrzała się tylko wkoło, czy nie zobaczy gdziekolwiek Jana – ale na próżno! Stróż, widząc wchodzącą do kamienicy dziewczynę, uciekł do szynku, nie chcąc się z nią spotkać. Teraz, po dniu, czuł, że nie mógłby śmiało spojrzeć jej w oczy. Przyjął więc system, właściwy wszystkim prawie mężczyznom zrywającym z kochankami – postanowił uciekać od Kaśki i nie spotkać się z nią nigdy.

Kaśka przeniosła swój kuferek do znajomego dawno mularza, który ożeniwszy się, odnajmował teraz stancję – kątem. Za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży pościeli, wegetowała jeszcze Kaśka blisko dwa tygodnie. Przez ten czas szukała zajęcia dziennego, bo złe świadectwo w książce służbowej nie dozwalało jej znaleźć stałego miejsca.

Prąła więc w pobliskiej pralni, biorąc po kilka centów dziennie i dostając nędzne pożywienie, które jej teraz zadowolnić nie mogło. Stan jej, rozwijający się dość prawidłowo, ale nad wyraz uciążliwie, jak zwykle u kobiet zbyt silnie rozrostłych, sprawiał jej wiele cierpień i przykrości. Zewnętrznie nie zmieniła się wiele, wypełniała jeszcze i zdawała się teraz olbrzymką, gdy z zawiniętymi rękami, w koszuli spadającej z ramion, prostowała się ponad balią, otoczona kłębamii białej, gęstej pary. Tylko twarz wybladła, podkrążone oczy świadczyły o wewnętrznym cierpieniu tej istoty, niedawno jeszcze młodej i zdrowiem tryskającej.

Teraz, gdy zrozumiała stan swój i przeczuła dziecko, ukryte w łonie, troszczyła się dnie całe nad przyszłością i nieuniknioną nędzą, w jaką popaść miała. Słowa obdartej kobiety, rzucone za nią tej chłodnej, smutnej nocy, kiedy wypuszczona z furdygi, jak zwierzę bezdomne błąkała się po Wysokiej Górze, słowa te brzęczały jej ciągle w uszach, nie dając jej ani na sekundę spokoju. Co zrobi z dzieckiem, skoro na świat przyjdzie? Czy ma je porzucić na ulicy lub położyć pod próg szpitala, jak to inne kobiety robią? Nie – ona tego nie zrobi, boć suka szczenię swe tuli i zabierać nie dozwala. Do służby jednak z dzieckiem nikt jej nie przyjmie. Mogłaby oddać dziecko na wieś do mamki, ale na to trzeba mieć trochę pieniędzy, choć kilka guldenów, a ona zaledwie parę centów zarobić może...

I noc całe leży bezsennie, wpatrzona w przestrzeń, rozmyślając nad zebraniem pieniędzy dla opędzenia kosztów. Ona sama – to mniejsza! ale dziecko! Dziecko pójdzie na marne, jak to przepowiedziała ta ohydna kobieta, spotkana na Wysokiej Górze podczas pamiętnej dla Kaśki nocy.

Dokoła niej, w ciasnej izdebce, wśród zaduchu i ciemności, śpią jej współlokatorowie, oddychając ciężko. Nawet wśród nocnego spoczynku trapią ich sny męczące. We śnie kończą pracę rozpoczętą na jawie. Mięszają wapno, roznoszą szafliki, podają cegłę, spinają się na rusztowania. Niekiedy w kołysce zapłacze niemowlę lub zaskomli pies drzemiący w kąci. Wszyscy przecież śpią twardo, tym snem właściwym tylko spracowanym nędzaczom.

Kaśka niemniej spracowana, przecież czuwa. Wsparta na rękę trawi się cała w bezsilnej i próżnej chęci wydobycia grosza. Gorączka ją ogarnia. Sprzedać cokolwiek?

Nie ma już nic na sprzedaż. Pościel i trochę bielizny przeszły na własność mularzy. Niedostateczna strawa w pralni zmusza ją do zakupywania drobnych wiktuałów, które spożywa z żarłocznością zwierzęcia. Nie ona temu winna. Jest w niej druga istota, łakoma, chciwa, niewyrozumiała, nie pojmująca niedostatku, nie znająca jeszcze braku środków dla zaspokojenia głodu.

I to stworzenie nasycać Kaśka, bądź co bądź, musi. Nieubłagane jest, gdy głód mu dokuczy... nie waha się zadawać najprzykrzejszych męczarni.

Kaśka ma jeszcze jeden towar na sprzedaż. Tym towarem jest jej własne ciało. Ale wrodzona uczciwość wzdrygała się przed tą ostatecznością. Serce w niej zamiera na myśl podobnego poniżenia.

Pralnię, w której Kaśka znajdowała do tej chwili zarobek, nagle zamknięto. Wskutek niedozoru lub z własnej woli właścicielki zginęło kilka koszul feldfeblów i podoficerów.

Kaśka znalazła się znów na bruku, po dwutygodniowej pracy. Mularze, u których mieszkała, widząc ją bez zajęcia i nie widząc żadnych korzyści z lokowania u siebie tej nędzarki, wymówili jej „kąt”, oddając innemu lokatorowi. Wszystkie nieszczęścia waliły się na jej głowę, popychając na dno przepaści.

Ona wszakże walczyła jeszcze, podnosząc głowę, pomimo ogromu niedoli.

Głodna, obszarpana, powlokła się na miasto, szukając „roboty”, do której resztę sił oddałaby chętnie za prosty kawałek chleba.

Dzień wiosenny śmiał się w rozkosznej pełni. Jeszcze śnieg leżał nad rynsztokami, a przecież u góry świeciło jasne słońce, pokryte delikatną, przejrzystą zasłonką. Okna domów, zamknięte szczelnie podczas zimy, otwierały się leniwie, jak oczy Argusa, jedno po drugim, chłonąc w ciemne wnętrza mieszkań jasność i woń wiosenną. Kobiety migały lakierowanymi bucikami i pomalowanymi twarzami spod gęstych welonów. Mężczyźni, drżący w zbyt lekkich wiosennych okrywkach, nadawali sobie miny zwycięzców. Wystawy sklepowe wylewały ze swych okien całe gamy

jasnych barw, śmiejących się w fałdach lekkich tkanin i kulistych zgięciach parasolek... I całe to przedpołudnie wiosenne zdawało się jakimś preludium do harmonijnej melodii, która miała rozlegać się niedługo w przestrzeni i trwać zaledwie... jedną wiosnę.

Kaśka wlokła się bezmyślnie po ulicach, zaciskając na piersiach fałdy podartego kaftanika. Zaczęła już kilka podobnych sobie nędzarek, pytając, czy nie mogą jej nastreczyć zarobku. Wzruszyły ramionami i odpowiedziały, że same dni kilka nic w ustach nie miały. Później wszakże miały nadzieję dostać zarobek przy budowie lub reparacji domów albo przy roznoszeniu kwiatów po ulicach miasta. Magistrat potrzebował dawniej także kobiet dla uprzątnięcia śniegu na ulicach, teraz czynność tę pełnili więźniowie pod strażą dozorców. Odpadł więc w ten sposób dobry zarobek, bo przynoszący dziesięć centów dziennie.

Kaśka powlokła się dalej. Na niebieskiej tablicy rozkładał się napis: „Pralnia zagraniczna”. Kaśka przesyłabizowała pierwsze słowo i wsunęła się w bramę. Na dziedzińcu kręciły się kobiety, wylewając błękitną wodę lub szumiące mydliny. Z niskiej oficynki dochodziły wybuchy śmiechu lub kłęby pary. Kaśka wkrótce stanęła na progu pralni. Cichymi i urywanym głosem prosiła o zajęcie, choćby o pozwolenie noszenia wody.

Ale wprędce musiała się cofnąć. Sama właścicielka przy pomocy swych pracownic obrzuciła ją całym potokiem obelg mianując ją „obdartą włóczęgą, czyhającą tylko na cudzą własność”. Rzeczywiście, łachmany Kaśki nie wzbudzały zaufania, a każdemu z patrzących na tę dziewczynę ludzi nasuwało się jedno pytanie:

– Dlaczego taka silna i rosla, a na pozór zupełnie zdrowa kobieta włoczy się bez zajęcia po ulicach, zamiast wziąć się do pracy?...

Nikommu wszakże nie przyszło na myśl, że droga pracy była dla Kaśki zamknięta. Służba – przez złe świadectwo, nakreślone w książce, inne zajęcia – dla braku miejsca lub przez łachmany okrywające jej ciało.

Spoza wystawy rzeźnickich sklepów, pomiędzy zielenią i różową barwą azalij, piętrzyły się stopy mięsowa, trzęsły żółtawe galarety, miały się rozmaitymi kolorami salcesony. Była to czysta ironia, jakby urągawisko dla nędzarzy, stojących na wąskim trotuarze i patrzących na świeże mięso, którego smak i zapach odgadywali poza przejrzystą taflą lustrzanej szyby.

Kaśka przyłączyła się obecnie do tej gromadki i popychana przez przechodniów znalazła się w pierwszej linii. Patrzyła długą chwilę na rozłożone szynki i ozory, a dotkliwy kurcz ścisnął jej wnętrzności. Jak błyskawica przemknęła przez jej głowę myśl, aby wybić szybę i porwać kawałek mięsa, aby nasycić się choćby chwilowo. Ale już policjant rozganiał ten tłum obdarty, tamujący przejście w zacieśnionej i niezmiernie ruchliwej ulicy. Kaśka na widok ciemnego czaka i lśniącego półksiężycy uciekła szybko – bała się nad wyraz wszelki policji i jej reprezentantów. Idąc wciąż wzdłuż ulic, znalazła się nagle przed drzwiami kościoła Benedyktynów. Tak, tu przecież spocznie choćby chwilę. Kościół dla wszystkich otwarty! Niedawno stróż jakiś spędził ją z kamienia, stojącego u bramy wysokiej, trzypiętrowej kamienicy. Powiedział, że tu nie miejsce dla włóczęgów – w kościele przecież pozwolą jej posiedzieć spokojnie...

Bóg! – zapomniała o Nim! Tak dawno nie modliła się – nie była w kościele! Od chwili upadku coś ją wstrzymywało, ile razy chciała przestąpić próg świątyni. Zdawało się jej, że coś ją ciągnie za odzież i przykuwa do miejsca. Było to z samego początku, bo później nawet nie próbowała zachodzić do kościoła. Dziś przecież weszła bez przeszkody, bez tego dziwnego uczucia, które wytrącało ją dawniej z przedśionka świątyni. Kościół nie zmienił się zupełnie. Ta sama wilgoć, spadająca z wysokich sklepień, też same cienie, snujące się wzdłuż filarów, te same szepty ciche, gorące, czepiające się złoconych szat aniołów, cały ten chłodny, a mimo to jakąś namiętnością dewotki drgający spokój owionął nagle wchodzącą dziewczynę i zrobił na niej przygniatające wrażenie. Machinalnie prawie osunęła się przed najbliższym ołtarzem i zrobiwszy znak krzyża, modlić się zaczęła. Ale modlitwa nie szła jej zupełnie. Myśli plątały się, jak nici źle pomotanę przędzy. Głód szarpał jej wnętrznościami. Oczy zasłaniała mgła.

Nagle Kaśka posłyszała poza sobą ciche, przytłumione łkanie; płacz ten wypływał z kącika, w którym czernił się skurczoną masą konfesjonał, błyskający ze swego wnętrza białą komeżką siedzącego tam księdza.

Jakaś kobieta, czarno ubrana, klęczała u krated, zanosząc się z płaczem.

Z ust księdza wybiegały słowa, rzucane pośpiesznie przyciszonym głosem. Chwilami przecież szeptał ten stawał się głośniejszym i można było rozróżnić kilka wyrazów:

– W Bogu szukaj pomocy!... Bóg pociechą jedyną...

Kaśka pochyliła głowę.

Tak! ona była winną bardzo. Nie dość, że zgrzeszyła – zamiast oczyścić się z grzechu, ona trwała w swej hańbie, odwracając się od Boga, który mógł dać jej pomoc i pociechę.

W prostym a praktycznym umyśle głodnej i opuszczonej dziewczyny pomoc ta rysowała się w doraźnym otrzymaniu jakiegokolwiek pracy, a przede wszystkim ciepłej strawy, która mogłaby zaspokoić głód, trapiący ją od kilkunastu godzin. I pod tym wrażeniem postanowiła przystąpić do konfesjonału, aby złożyć u stóp księdza ciężar swych grzechów, a natomiast otrzymać jakąś pociechę i pomoc w swej niedoli.

Zapłakana dewotka po kilkakrotnym ucałowaniu tłustej ręki spowiednika usunęła się w głąb kaplicy, wydając ciągle przytłumione westchnienia.

Bóg, pociecha jedyna!...

I pod tą dewizą, z tą myślą przewodnią rozpoczęła Kaśka swą spowiedź. Ukłękła na niewygodnych stopniach, drżąc cała ze wzruszenia. Tak dawno nie wsuwała się do ciemnej głębi konfesjonału! Tak dawno nie zbliżała się do krated, które przejmowały ją zawsze jakimś nieokreślonym uczuciem przestachu. Dziś przecież przestach ten łagodziło o wiele rzewniejsze uczucie, jakaś chęć opowiedzenia swej niedoli, cierpień przebytych, pragnienie dobrego słowa, porady, pomocy, którą u stóp ołtarzy jeszcze od dziecka jej ukazywano. I z sercem przepelnionym żalem, ze szczerą i prawdziwą skruchą za błąd popełniony rozpoczyna swą spowiedź w prostych słowach, nie kryjąc nic aż do chwili swego upadku... Powoli przecież milknie, zmrożona dziwnym, upartym milczeniem, jakie panuje z drugiej strony kratki. Silny zapach miętowych pastylek, połykanych przez księdza, odurza ją i sprawia zawrót głowy. Spowiednik jej milczy, znużony tą gadaniną chaotyczną, szeptaną drżącym, urywanym głosem, nie mogąc zrozumieć jeszcze dokładnie, czego chce ta dziewczyna, wyrażająca się niejasno i tak cicho, że prawie dosłyszeć jej nie może.

Gdy Kaśka, opanowana nagle uczuciem wstydu, milknie wobec koniecznego przyznania się do winy przed tym obcym człowiekiem, który mimo sutanny jest przecież mężczyzną, ksiądz rzuca zwykle w takich razach pytanie:

– Co więcej?

Ach! tak! co więcej – łatwo wymówić takie słowa, ale jakże trudno opowiedzieć to „więcej” bez pomocy, bez dobrotliwej zachęty, koniecznej dla nie wyzutej ze wstydu kobiety. I po długim wahanu zdławionym głosem, nagłona przez zniecierpliwionego księdza, przyznaje się do nieprawego związku z Janem, cierpiąc w tej chwili podwójnie. Raz, w pogwałceniu tajemnicy swej hańby – po wtóre, w ciężkim, bolesnym wspomnieniu chwil, które wtrąciły ją w przepaść niedoli i rozpaczy.

Ale nowy pocisk spada na jej schyloną głowę. To piorunujące, potępiające ją słowa, ciskane z ust kapłana. Gromi ją, przejęty cały fanatycznym oburzeniem. Obrzuca ją wyrzutami za zbłądzenie z prawej drogi, po której winna była kroczyć do końca życia. Piekło ją czeka! Piekło i szatani, którym wpadła w ręce, oddając się występkom i grzechom, nie przebaczanym, chyba po najstraszniejszej pokucie...

Ksiądz jest w swym prawie. Spełnia obowiązek gorliwie, wyprowadzony ze zwykłych, kilkugodzinnych, drobnych grzeszków kobiecych tym wielkim występkiem zhańbionej dziewczyny.

Pokuta i jeszcze raz pokuta!

U stóp konfesjonału osuwa się prawie bezprzytomna z bólu i głodu Kaśka. Pokuta? Ale czyż ona w tej chwili nie przechodzi najsroźszych męczarni? Czyż nędza, głód i to dziecko, szarpiące się w jej łonie, nie jest dostatecznym cierpieniem do zmazania jej winy? Czyż jeszcze więcej cierpień

fizycznych i moralnych ma spotkać ją za chwilę fikcyjnej rozkoszy, która w jej nędznym życiu zaświeciła, jak błędny ogień wśród trzęsawiska?

Ksiądz odmawia jej rozgrzeszenia i ostrym głosem naznaczając pokutę, każe modlić się i błagać Boga o miłosierdzie. Po czym wychodzi z konfesjonału, nie spojrzawszy nawet na skurczoną na schodkach dziewczynę. Ona mimo woli wyciąga za nim rękę i ze ściśnionego gardła wymykają się słowa:

– Proszę księdza!... proszę księdza!...

Chce go prosić o jakąś robotę, chce mu powiedzieć, że doba cała upływa, a ona w ustach nie miała nic prócz wody, że...

Ale na próżno. Ksiądz odchodzi w stronę zakrystii, wyprostowany, sztywny w swej sutannie i białej komeżce, oszytej szeroką koronką. Spełnił swój obowiązek. Odmówił rozgrzeszenia grzesznicy, poza tym nie ma nic do spełnienia.

Kaśka pozostała sama.

A więc i Bóg jej nie chce! I Bóg ją odtrąca przez usta księdza, rzucając jej, zamiast pomocy i pociechy, jedno straszne słowo:

– Pokuta!...

W umyśle kobiety powstaje nagle chaos nieopisany. Gdzież jest ten Bóg miłosierny, który żalującym przebacza, nagich przyodziewa, głodnych karmi? Wszak ona, żalująca, obdarta, głodna, przywlekła się w mury świątyni, aby tu, wśród złoconych aniołów i puszek z napisami: „Dla biednych”, znaleźć lekarstwo na swe cierpienie. Pomimo przecież żalu i skruchy odtrącono ją, uznając jej cierpienia jako karą niedostateczną za danie życia jeszcze jednej istocie, za wypełnienie celu, do którego stworzoną została. Kazano jej pokutować zapomniawszy, że w urodzeniu dziecka leży naj-sroższa męczarnia, pokuta za grzechy całego życia. Jeden krzyk konającej w bólach rodzenia grzesznicy czyż może się równać z całą kwartą łez, wylanych w samolubnym zamknięciu przez pokutującą dewotkę?

Z okien świątyni padały promienie światła, rozkładając się różnokolorową strugą na kamiennej posadzce.

Kaśka, podniósłszy głowę, łzawymi oczami wpatrywała się w te wesołe światełka, mieniające się barwą tęczy. W uszach jej brzmiała ilość pacierzy, wyznaczonych przez księdza jako pokuta. – Siedem *Ojczenaszów*, siedem *Zdrowasiek*, jedno *Wierzę*. Cóż było to bezmyślne klepanie wyuczonych słów w porównaniu z męczarnią, jaką nosiła w swym łonie?

Na klęczkach posunęła się do ołtarza i wsparła głowę o wygiętą tegoż podstawę. Biały, cieniuchny obrus dotykał jej rozpalonej twarzy. Moczyła go łzami, które teraz gorącą strugą płynęły po jej policzkach. Ponad ołtarzem wybladła i zmęczona twarz Chrystusa w cierniowej, ze złocistej blachy ukutej koronie ukazywała się z ciemnego tła jak uosobienie bólu i znękania. Na białej płycie pomiędzy lichtarzami, na stopniach nawet ołtarza zółciły się drobne figurki z czystego wosku, tak zwane „ofiarki”. Dziwaczne te krzyżyki, lalczki, ręce lub nogi, pokrzywione, niekształtne, składane w chwili rozpaczliwej wdzięczności za otrzymane dobrodziejstwo, służyły później na świece, które, po stopieniu wosku z tychże ofiarek, z łatwością były wyrabiane.

Za dobrych czasów Kaśka niejedną taką ofiarę złożyła u stóp ołtarza. Dziś klęczy, wpatrzona mimo woli w ten wosk żółty, przezroczysty, który często gryzła i połykała, dziwiąc się, że ma smak nieokreślony.

– „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!...” – szepcą jej spieczone gorączką usta.

Jest to milionowa częśćka pacierzy, które odmówić ma za popełnione grzechy.

– „Chleba naszego!...”

Kaśka popełnia w tej chwili świętokradztwo. Ze stóp ołtarza chwyta żółty, drobny krzyżyk i gniecie go kurczowo w palcach. Po czym podnosi kawałek wosku do ust i żuje go, łudząc się, iż posila się jakąś strawą. I znów zaczyna odmawiać szczerze pacierze, ale ogarnia ją nagła senność, której oprzeć się nie może. Oczy jej zamykają się mimo woli, serce bić przestaje – i Kaśka osuwa się na ziemię zemdlona, nieprzytomna cisnąc w rękę okruchy wosku.

Padając na ziemię, szepcze jeszcze:

– „Odpuść nam nasze winy...”

Prośba ta pokorna rozbrzmiewa wśród sklepienia, jak rozpaczliwy jęk zanadto dręczonej istoty. Kaśka leży wciąż nieruchoma, straszna swą bladością i nędzą, kąpiąc obdarte łachmany w różnokolorowych promieniach światła, zaścielających posadzkę. Ponad nią Chrystus, surowy, wybladły, z twarzą ascety, zdaje się powtarzać słowa swego sługi:

– Pokuta! pokuta!

– Teraz już panna możesz iść do domu.

Kaśka podniosła się z kuferka, na którym siedziała, i postawiła wypróżniony talerz na ziemi.

Stojący przed nią staruszek brząkał niecierpliwie pękiem kluczy, trzymany w pokręconych od reumatyzmu palcach. Znalazł Kaśkę na podłodze kościelnej nieprzytomną, martwą prawie. Przyszedł właśnie zamykać kościół, gdy potknął się o tę dziewczynę, leżącą na podłodze jak kawałek drzewa. Przy pomocy dwóch posługaczy kazał przenieść ją do swej izdebki i otrzeźwił po długich staraniach. Staruszek miał dobre serce, które nie zasklepiło się w fanatycznym a samolubnym życiu i klepaniu pacierzy. Talerz ciepłej zupy i kawałek chleba był najlepszym dla osłabionej dziewczyny lekarstwem. Podzielił więc swój obiad na dwie części i jedną wlał prawie przemocą w zaciśnięte gardło Kaśki. Ona, pod wpływem ciepła panującego w izdebce, przyszła powoli do siebie; odpoczęła, a teraz, milcząc, zabierała się do odejścia. Wiedziała, że był to przytułek chwilowy i że prędzej czy później opuścić ten kącik musi.

Staruszek wpatrywał się w nią uważnie, po czym wzruszył znacząco ramionami.

– Czemu ty do roboty nie idziesz?... taka wielka dziewczka, żeby głodem marła!...

Kaśka podniosła na mówiącego załzawione oczy.

– Od tyłu dni szukam roboty i nie mogę znaleźć. Byłam w pralni, zamknęli ją bez jakiegos oszustwo. Teraz ani ugryź znaleźć nic nie mogę.

– A do służby?

Kaśka uśmiechnęła się smutnie.

– Kto by takiego obszarpańca wziął – zaczęła, wskazując na swoje łachmany – na stancji tak się wydarłam, nawet na wodziarkę by nie puścili do porządných państwa!

Nie wspomniała o złym świadectwie. Chciała sobie, bądź co bądź, zaskarbić łaskę tego pocziwego staruszka, który pierwszy ulitował się nad jej nędzą i podał jej łyżkę stawy.

Lecz on teraz zamyślił się długą chwilę. Widocznie nie chciał ograniczyć swej pomocy na jednorazowym wsparciu. Szukał jakiegoś zajęcia, które mógłby powierzyć tej nędzarce zgłodniałej, padającej ze znużenia, a mimo nędzy nie kalającej się w występku i rozpuście.

Z wprawą właściwą każdemu mężczyźnie, ocenił młodość i nie zużyte ciało Kaśki – zrozumiał, że gdyby ta dziewczyna miała złe instynkta, mogłaby z najwyższą łatwością zapewnić sobie byt i dostatnie utrzymanie. Jeśli mdleje z głodu u stóp ołtarza, musi być, bądź co bądź, uczciwą. I nie rozumiejąc, nie badając, nie rzucając gromów na głowę nieszczęśliwej, nakazuje jej stawić się za trzy dni w zakrystii tegoż kościoła do pomocy w myciu podłogi, okien i oczyszczaniu schodów w całym zabudowaniu.

– Dostaniesz kilka groszy, tylko pracować trzeba... wiesz!

Kaśka, podziękowawszy, wyszła na ulicę, nie mogąc przecież pozbyć się smutku i znękania. Zakrystian dał jej nadzieję zarobku, ale zarobek to chwilowy i oddalony jeszcze długim przeciągiem kilkudziesięciu godzin. Co robić teraz będzie? Gdzie głowę złoży?

Słońce miało się ku zachodowi. Miasto chłonęło w siebie resztę światła i ciepła, wysuwając ze siebie ponure i smutne cienie. Bezlistne drzewa plantacji, wałów, przecinających miasto, wznosiły się jak szkielety czekające na osłonę. Kaśka szła bezustannie z głową schyloną, okrążając place, sznurkując wzdłuż ulic, przeciskając się przez ciasne zaułki. W wędrówce tej podobną była do hieny zamkniętej w klatce, do Żyda-tułacza, krążącego bez celu, bez świadomości spoczynku. Nie patrzyła na ludzi – byli jej obojętni; czuła tylko, że noc się zbliża, a z nią konieczność ukrycia się pod jakimś dachem. Nie czuła chwilowo głodu, ale lęk przed nadchodzącą nocą dręczył ją niewy-



powiedzianie. I szła, szła wciąż, spoglądając na ciemne okienka piwnic, czerniące się wzdłuż murów. O! gdyby dostać się do wnętrza takiej piwnicy i pozostać tam noc całą! Bezwarunkowo byłoby to rzeczą niewątpliwie najbezpieczniejszą.

Ciemnawo już było, gdy Kaśka znalazła się nagle pod parkanem okalającym Politechnikę. Pusto było w tej części miasta, zamieszkaną przeważnie przez arystokrację. Wysokie, białe kamienice wznosiły się jak rzeczywiste pobielane groby mieszczące w sobie trupy, gnijące w beczynności lub rozpuszcie. Groby te błyskały rzędami okien czarnych, smutnych jak jamy oczne w nadpróchniałej czaszce. Tu dogorywały wielkie rody kraju, stawiając sobie za życia grobowce. Tylko wśród tego cmentarzyska wznosił się gmach Politechniki, jakiś zdrowszy, czerstwiejszy, otwarty szeroko dla przyjęcia odgłosów, które wiosenne fale z miasta przynosiły.

Kaśka mimo woli usiadła pod parkanem i oparła zmęczoną głowę na powalonym pniaku. Wiedziała, że długo tak siedzieć nie może, choć nigdzie nie widać było czarnej sylwetki policjanta. Postanowiła tylko odpocząć krótką chwilę i pójść dalej... dalej...

Nagle ktoś szarpnął ją za ramię.

Był to głuchoniemy chłopak, uczeń Wodnickiego. Wychodził z pracowni po wieczorny posiłek. Za chwilę miał wrócić, gdyż spał tam zawsze u stóp *Świtezianki* lub *Mojżesza*, śmiejąc się przy przebudzeniu z niekształtnych stóp św. apostołów.

Poznał Kaśkę od razu. Wzbudziła w nim pewien rodzaj uwielbienia pomimo obszarpanych łachmanów, jakimi była okryta. Wzrósłszy pomiędzy powiększonymi postaciami posągów, patrząc na te wielkie torsy, biodra, potężne uda, olbrzymie karki – pogardzał drobnymi istotami, wpadając w rodzaj ekstazy na widok zolbrzymiałych członków. Kaśka ze swym rozrośniętym ciałem wyróżniała się wśród tłumu i od razu zyskała aprobatę głuchoniemego. Usiadł więc przy niej, wydając dzikie krzyki i ciągnąc ją za rękę. Ona poznała go również i patrzyła na niego nie mówiąc wszakże słowa. Wiedziała, że to się na nic nie zda – kaleka jej nie zrozumie. Powoli widok tego chłopca obudził w niej bolesne wspomnienia. Wszakże to była u rzeźbiarza tego samego dnia, w którym wpuściła Rózię na strych i poznała ją z Janem. Dwie wielkie łzy spłynęły z podsiniących oczów dziewczyny i toczyły się z wolna po wychudłych policzkach.

Lecz głuchoniemy porwał się nagle i przykląkł tuż przy niej. Brudną i gipsem powalaną ręką obtarł te łzy, lśniącej jasną bruzdą wzdłuż twarzy kobiety. Chłopak miał serce niezmiernie wrażliwe na cudze cierpienia. Często psy nie znoszą łez i płaczu człowieka. Ten niemy chłopak miał taką psią litość nad nieszczęściem Kaśki. Wrzaski pawia, jakie wydawał dla wyperswadowania dziewczynie zbytniego smutku, mogły rzeczywiście rozweselić niejednego.

Ale Kaśka nie uśmiechała się pomimo komicznych grymasów, jakie chłopak wyprawiał. Patrzyła nań wciąż przez łzy, które zaszkliły jej źrenice. Kaleka wykonywał teraz nadzwyczajne skoki ku uciesze kilku obszarpanych dzieciaków. Te wyrosły nagle jakby spod ziemi i stały ponad rynsztokiem brudne, blade, a mimo to szczerze roześmiane z małych min głuchoniemego. Kaśka spojrzała na tę grupę obdartusów, z których najmłodsze liczyło zaledwie rok życia. Trzymała je na rękę kilkoletnia dziewczynka, a dziecko wybladłe, wynędzniałe zwieszało głowę dużą o nagiej prawie czaszce, niekształtną, wielką jak bania, głowę prawdziwego idioty. Kaśka doznała dziwnego ściśnienia – dziecko takie i ona mieć będzie, a choć to jeszcze do tej chwili daleko, przyjdzie dzień, w którym głowa taka uparcie pojawi się na świecie i jeść domagać się pocznie.

Ściemniało się już zupełnie. Gromadka dzieci powlekła się do domu, a w oknach pobielanych grobów błyskały mdłe, niepewne światła lamp – jakieś niezdrowe, anemiczne blaski, o niewyraźnych, różowych lub niebieskich cieniach. Budziło się tam sztuczne życie, powolne, trwające zaledwie kilka godzin nocnych, nie przynoszące nikomu pożytku.

Głuchoniemy siedział wciąż skurczony przy nogach Kaśki – teraz już nie wydawał swych nadludzkich wrzasków. Z nadzwyczajnym natężeniem śledził pojawienie się światła w oknach, wydając za każdym błyskiem przytłumiony, chrapliwy dźwięk, mający zapewne wyrażać zachwyty.

Gdy, według jego obliczeń, ostatnie światelko zabłysło, porwał się nagle z ziemi, ciągnąc Kaśkę za rękę. Gestami zapytywał, czy idzie do domu; dziewczyna uśmiechnęła się smutnie. Potrząsnęła

głową i wskazała na parkan jako na ostatni swój przytułek. Głuchoniemy z dziwną przenikliwością pojął sytuację. Zrozumiał, że Kaśka nie miała domu, nie miała dachu, pod którym by zmęczoną głowę skłonić mogła. Czyż on sam nieraz nie bywał w podobnym położeniu? I stał chwilę zakłopotany, nie chcąc opuścić tej wielkiej dziewczyny, do której czuł poniekąd sympatię.

Nagle wydał tryumfalny krzyk. Porwał Kaśkę za rękę i pociągnął ją w stronę Politechniki. Dla-czegóż ona nie miałaby nocować w pracowni Wodnickiego? Odstąpi jej swego sienniczka i przykryje kocem – on sam położy się gdziekolwiek. Czyż nieraz nie zabierał już włóczącego się bez pana psa i nie dozwalał mu spocząć obok siebie? Tylko musiał się wtedy przekradać cicho wraz ze swym towarzyszem, przemykając się szybko wzdłuż cichych i wysokich kurytarzy. Był to rodzaj kontrabandy ta nędza, przemykana przez kalekę do wnętrza gmachu, którego posadzka lśniła nieposzlakowaną czystością szlifowanych płyt kamiennych.

Kaśka z dziwną łatwością dała się uprowadzić chłopcu. Wiedziała tylko, że wiedzie ją pod dach i ochrania od możliwego spotkania z policją. Na progu pracowni zawahała się przecież.

W wzrastającym zmroku bryły mokrej gliny, nakryte wilgotnymi szmatami, błyszcząły jak fantastyczne zwierzęta. Olbrzymie posągi rysowały się niepewnym matem, znikając pod cieniami sklepienia.

Głuchoniemy przecież wepchnął dziewczynę prawie siłą i zamknął starannie drzwi. Po czym zapalił zapałkę i wy dostał z kieszeni ogarek świecy. Ogarek ten umieścił na wystającym kancie podstawy *Świtezianki* i zapalił knot. Słabe żółtawe światło rozlało się po kąciku pracowni. Światło to objęło głównie nogi białego posągu spowiniętej w siatkę rusalki. Kaśka spojrzała z trwogą na tę białą, nieruchomą kobietę, wyciągającą w górę ręce. Tak, poznała ją dobrze. To była taka sama sługa, jak ona, dziewczyna, która pozbywała się wszelkiej osłony i pozwalała lepić się z gliny za kilka szóstek.

Kilka szóstek!...

W umyśle Kaśki powstał chaos wielki. I jej ofiarowywano podobny zarobek, odrzuciła go przecież, dumna w swą siłę roboczą, w tę wieczną pracę ręczną, w jaką się wprzegnać chciała...

Dziś przecież, kto wie! – głód i nędza to twarda szkoła. Dziś nie oburzyłyby się, gdyby ów mały pan zaproponował jej to samo. Może byłaby się zgodziła, gdyby pozwolił zachować jej jakąkolwiek osłonę – stanęłaby tak samo z wyciągniętymi rękami, jak ta kobieta, bielejąca w niepewnym świetle dogasającej świecy...

Głuchoniemy rzucił Kaśce u stóp posągu swój biedny sienniczek i śmiejąc się, wskazywał to nędzne posłanie. Kaśka skinieniem głowy podziękowała mu za gościnność. To biedne, nieme dziecko wyrządzało jej przysługę wielką, dając jej schronienie. Chłopak śmiał się i gryzł sobie palce z wielkiej uciechy, gdy Kaśka wreszcie, znużona, położyła się na sienniczku. Stał jeszcze długą chwilę nad nią, patrząc, jak przymykała zmęczone powieki. Dogasająca świeca drgała w ostatnich konwulsjach, rzucając co chwila tańczące blaski. Z podartego kaftanika Kaśki wychylało się gołe ramię, bieląc się w urywanych blaskach. Ramię to rysowało się jasną plamą wśród ciemnych gałganów, występując w świetle lub znikając w cieniu.

Kaleka nachylił się nad zasypiającą dziewczyną. To białe ciało żyjącej kobiety pociągało go ku sobie i dopraszało dotknięcia. Do tej chwili dotykał się tylko marmurowych lub gipsowych ramion posągów – nie mógł się oprzeć pokusie. Wyciągnął rękę i posunął palcami po ramieniu Kaśki. Choć ciało było chłodne, chłopiec poczuł żar przebiegający mu palce – zmieszany, cofnął się w przeciwległy kąt, mruczając jak dzikie zwierzę. Cóż, u diabła, miała ta dziewczyna pod skórą, aby tak parzyło?

Kaśka tymczasem spała twardo, zapadając w stan graniczący z bezwładnością. Ponad nią posąg *Świtezianki* unosił się lekki i smukły jak wodna lilia. Śpiąca u stóp posągu dziewczyna pełnym swym korpusem stanowiła zupełne przeciwstawienie do tej dziewiczej postaci, bielejącej wśród ciemności. Niemniej przecież ta potężna szyja, pełne ramiona, wspaniałe piersi i silne biodra stanowiły pyszny materiał dla stworzenia typu kobiety-olbrzymki, kobiety-roboczej, kobiety-matki.

Gasnąca świeca rzuciła jeszcze jeden blask, obejmując razem tym przelotnym promieniem martwą Świteziankę i żyjącą Kariatydę.

Za chwilę obie utonęły w ciemnościach.

– Pociągnij wyżej to prześcieradło, niezgrabna jedna!

Kaśka usłuchała i drżącą ręką wciągnęła na obnażone biodra cienką zasłonę.

Stała tak na wpół naga w blasku dziennym, spowinięta od pasa w zwoje przybrudzonego białego perkalu. Nogi całe miała zasłonięte, tylko końce palców nabrzmiałych widać było spod nieźle ułożonej draperii. U pasa spięto perkal na kilka szpilek, których czarne ostrza odbijały się od białej tkaniny. Tylko tors dziewczyny oślepiał prawie swą wielką, wspaniałą nagością; odbijając dziwnie wobec marmurowych biustów i gipsowych posągów. Jasna struga światła spływała z okna i oblewała nagie plecy dziewczyny, srebrzyła czystym blaskiem linie piersi, linie śmiałe, potężne, wzmocnione macierzyństwem, prawdziwy gors Kariatydy, rozwiniętej w całej pełni.

Przed nią Wodnicki, zachwycony, uśmiechnięty, rozgorączkowany, suwał szybko rękami po olbrzymiej bryle gliny, modelując wspaniałą kobietę, która rysowała się tak wyraźnie w tym jasnym świetle dziennym. Twarz Kaśki obchodziła go mało – spostrzegł, że była wychudłą i zmienioną, toż samo szyja, której skóra wyciągnęła się znacznie. Ale zawsze, mimo wszystko, był to jeszcze wspaniały model, podatny do utworzenia kobiety-olbrzymki, w której wdzięki niewieście miały zgrubieć i zolbrzymieć, nie tracąc uroku. Draperia kryła biodra i tylko dozwalała zarysować się konturom ud i tydek. Rzeźbiarz poprawiał naturę, brał, co było jeszcze piękne w tej dziewczynie, i tworzył arcydzieło. Ręce Kaśki, podniesione w górę, założone ponad głowę, drżały już ze znużenia, gdyż stała tak blisko godzinę – nie śmiała odezwać się przecież. Głód zaczynał jej dokuczać, bo głuchoniemy sam nie jadł śniadania, a więc nie poczęstował gościa. Widocznie kieszeń Wodnickiego znajdowała się w smutnym stanie i trudno było w niej znaleźć potrzebną na wyżywienie adeptów sztuki kwotę. Pomimo to rzeźbiarz pracował ze zdwojoną energią; uszczęśliwiony znalezieniem śpiącej w jego pracowni dziewczyny, namówił ją do pozowania.

Przyszło mu to łatwiej, niż się spodziewał, ale Kaśka, wskutek głodu i nędzy, straciła energię. Opierała się czas jakiś – później wspomniała dziecko, chorobę i przystała na czynioną jej propozycję.

Zacięła zęby i powoli zesuwała ze siebie swoje łachmany, oblewając się falą krwi, która gwałtownie biła jej do głowy. Wreszcie, gdy stanęła wpół naga przed Wodnickim, chwilę jeszcze trzymała spuszczoną głowę, walcząc z resztą wstydu, jaki jej lży do oczów cisnął. Obawiała się tego wesołego człowieka; sądziła, iż zacznie z nią żartować i zechce traktować ją w sposób, na jaki, według swego mniemania, zasłużyła. Ale Wodnicki cały przejęty swą pracą, nie widział w niej „kobiety”, był to dlań model tylko, model dobry, prawdziwa, rzadka okazja, trafiająca się w znacznych odstępach u nas, gdzie pozowanie jeszcze nie ma żadnego pomiędzy zarobkami miejsca. Do tej chwili Wodnicki musiał pomiędzy kolegami szukać męskich modeli, kobiece zaś postacie zbierać w zaułkach i brudnych knajpach, pomiędzy kontyngensem ostatniego rzędu istot. Jedną tylko leśną rusalkę wykuł z ubogiej dziewczyny, pełniącej obowiązki służącej u jego bratowej, dziś druga kobieta w osobie Kaśki staje na podwyższeniu skleconym z lichych desek i czerwieni się żywą skórą w blaskach wiosennego poranka. Gorączkowo więc zabiera się do roboty i pracuje już całą godzinę; Kaśka, widząc go tak rozsądnym, uspokaja się powoli. Widocznie ten pan jest bardzo rozsądnym, gdy nie krzywdzi jej, pomimo że taka naga stoi przed nimi i bez żadnej obrony.

Nagle drzwi pracowni otwierają się z trzaskiem. Do wnętrza wchodzi człowiek, który od progu zaznacza swój dziwaczny charakter i chęć pozowania na oryginała. Kapelusz przekrzywiony na jedno ucho, ręce w kieszeniach od krótkiego sakpalta, nastrzępione pod nosem wąsiki, wzrok niepewny, biegający z jednego przedmiotu na drugi – słowem, całe dziwactwo, wysilone, sztuczne, nadaje mu cechę jakiejś marionetki, poruszanej sprężynkami.

Ten pan wszedł nagle do pracowni, gwizdząc i śpiewając oklepanego walczyka. Przekrzywiony lepiej kapelusz, zbliżył się do Wodnickiego, a podając mu protekcyjnie chudą dłoń, wyrzekł krótkim, urywanym głosem:

– He? cóż? Pomnik dla historyka? zrobiony? skończony? Przychodzę obejrzeć... gdzie jest?

W całym wzięciu, w formie wysłowienia się znać było chęć imponowania tłumowi. Te krótkie, urywane frazesy miały olśniewać słuchaczy jak promieniste bomby, wyrzucane wśród nocnej pomroki.

Wodnicki wszakże nie przerywał swej pracy. Krzyknął tylko na Kaśkę, która na widok obcych chciała naciągnąć na siebie jakąś firankę, i szybko wskazał stojącemu przed nim mężczyźnie odległy kąt pracowni.

– Tam jest medalion!

Dziennikarz – gdyż niezawodnie ów pan z pokrzywionym kapeluszem musiał być dziennikarzem – posunął się drobnym kroczkiem we wskazanym kierunku.

– To? – zapytał, przymrużając oczy i marszcząc się jak stara cytryna – to? cóż to ma być?

Wodnicki uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie wiesz pan?

– No tak! niby... ale po cóż te dzioby, po cóż ta bruzda pod okiem? W sztuce należy szukać ideału, inaczej brud i kał nas owionie.

Stał sam brudny i skalany naprzeciw tej twarzy, choć pooranej bruzdami, a przecież pięknej szlachetnym wyrazem rozumnej powagi i pełnej ducha pomimo szpetoty zewnętrznej. On nie widział w małoduszności swej tego wyrazu, tej prawdy pięknej, czystej jak kryształ, która, odbijając zmały, uwidocznia i piękno; brudną duszą szukał tylko kału i brzydoty, a znalazłszy jej choć odrobinę, wyciągał na wierzch i starał się przyćmić nią rzucające się w oczy piękno. Miał kilka utartych frazesów o ideale, o estetyce, o jakimś dziwnym, a wynalezionym przez siebie konserwatyzmie, i bryzgał nimi co chwila z miną pyszałka i rzeczywistego znawcy.

Wodnicki zaprzestał na chwilę swej roboty i spojrzawszy z litością na tę drobną postać, tak nędzną, tak małą wobec jego prac i jego olbrzymiego talentu. Medalion historyka był oparty o podstawę *Mojżesza*. Wspaniała, wielka postać, biała, surowa, wznosiła się ponad głową małego dziennikarza o przekrzywionym kapeluszu i zdawała się kamiennymi źrenicami mierzyć z pogardą wykrzywione usta znawcy.

– Czy pan myślisz, że daleko zajdziesz na tej drodze, po której kroczysz? – zaczął znów ironicznie jegomość – utworzyliście sobie nową szkołę i wojujecie w niej brudem i błotem. Piękno przede wszystkim, panie! piękno! ideał, a nie rzeczywistość, bo dość już jej dokoła mamy. W sztuce musimy szukać wytchnienia...

Wodnicki poruszył się wreszcie niecierpliwie.

– Ależ, panie, komitet, zajmujący się budową pomnika, wyraźnie polecił mi odtworzyć wiernie podobiznę zmarłego. Jakże więc?

– Dobrze! dobrze – odparł zoil<sup>50</sup> z przekrzywionym kapeluszem – podobizna jest, ale po cóż te dzioby?

– Nieboszczyk był dziobaty!

– Tak, ale należało to rzeczy łagodzić, gazować, przysłaniać! Piękno! panie, piękno przede wszystkim!

Wodnickiemu wystąpiły dwie małe ciemne plamki na policzku. Młoda krew kipieć zaczynała wobec tego ślimaka, śliniącego jego pracę.

– Czyż przez to wyraz twarzy ucierpiał? Czyż nie widzisz pan tej zadumy, która tak pięknie łagodziła szpetotę jego oblicza? Patrz pan na wykrój ust, na tej uśmiech bolesny, który udało mi się pochwycić tak szczęśliwie; na tę zmarszczkę, niby groźną, a przecież tak łagodną... Powiedz pan, czyż to nie ideał człowieka, który w pracy żył i w pracy umarł, w pracy dla kraju, dla potomności...

---

<sup>50</sup> zoil – złośliwy, niesprawiedliwy krytyk (od nazwiska retora greckiego Zoilosa z III wieku p.n.e., autora zjadliwych krytyk, skierowanych przeciwko Homerowi)

Głos młodego rzeźbiarza płynął teraz dźwięcznie, zapalał się i ożywiał, mówiąc o swoim dziele, wykazując jego zalety.

Mały dziennikarz przecież nie zdawał się być przekonany.

– Dobrze, ale te dzioby, te dzioby!

Wodnicki machnął ręką.

Człowiekowi temu wbiła się w oczy jedna rzecz szpetna i zaciemniła mu wszystko inne. Na upór nie było lekarstwa.

– Dalsze części pomnika? – pytał dalej dziennikarz, postępując kilka kroków naprzód.

Wodnicki w milczeniu wskazał kamienne chłopię, które szarzało w jasnym świetle porannym, wylewającym się szeroką strugą z otwartego okna.

Dziennikarz wykrzywił usta.

– Jakiś chłop? Cóż za mania was ugryzła z tym chłopstwem. Prawdziwie, teraz ludziom w porządnym surducie przejść nie można będzie po ulicy. Każdy człowiek z lepszej sfery jest dla was wyrzutkiem, a obdarty nędzarz doskonałością. Dziwne, doprawdy, dziwne!

Był przecież sam człowiekiem nie z wyższej sfery, a nawet z dość niskiej klasy społecznej. Odkał przecież ożenił się z baronówną, głowę nosił wysoko i pluł na wszystko, co biedne.

– Trzeba było umieścić anioła z zagaśniętą pochodnią lub coś podobnego – cedził dalej, przestępując z nogi na nogę.

Wodnicki zacisnął pięści. Musiał milczeć i znosić podobnego rodzaju indywidua.

Od pewnego czasu dziennikarz ten wyrobił sobie jakieś *quasi*-stanowisko w kilku brukowych pisemkach. Tłum te pisemka chwycił i czytał przy szklance herbaty.

Wodnicki był młody i pragnął dojść do rozgłosu – rozsądek nakazywał mu milczenie. Tłumaczyć temu pyszałkowi bijącą w oczy myśl, dlaczego bosa, obdarta chłopię przypadło do stóp pomnika zgasłego historyka, było pracą zbyteczną. Dziennikarz widział tylko koszulę, odrapane kolana i rozczochraną głowę dziecka – i z tego wysnuwał swoje poglądy. Był to dziwny punkt wyjścia dla inteligentnego człowieka. Ale trudno! Widocznie to było najprzystępniejsze dla umysłu dostojnego przedstawiciela prasy.

I było w tym człowieku jakieś zwierzę drapieżne, błyskające złymi światełkami spoza przymrużonych powiek. Zwierzę to budziło się w nim na widok jakiegoś dzieła noszącego na sobie oryginalne piętno. Sam nie będąc w stanie stworzyć nic samoistnie, nie mogąc wysnuć nic z piersi, przytłoczonej ciasnym kołem zastarzałych idei, ciskał się w bezsilnej złości na talenta młode, rwące się do pracy jak orły do słońca. Oplwać, obrzucić błotem, ośmieszyć, zgnieść w zarodku – oto było zadanie życia tego człowieka.

I w tej chwili, przekrzywiwszy jeszcze więcej swój cylinder, rozsiada się na odłamie kamienia, aby wyszukiwać powoli jakiegokolwiek, choćby najdrobniejsze usterki w dziele Wodnickiego. Po czym wzrusza ramionami i mruży pod nosem urywane frazesa, których sam często zrozumieć nie może.

Wodnicki powrócił do pracy. Jakkolwiek przyzwyczajony do podobnego rodzaju odwiedzin, doznał przykrego uczucia, słysząc z ust dziennikarza zdanie, na które nie było repliki. Drżącymi rękami zabrał się do pracy, rzuciwszy smutne spojrzenie kamiennemu chłopskiemu dziecięciu, które, pomimo zgryźliwych oczu dziennikarza, nie przestawało czytać mozolnie księgi dziejów narodu, którego cząstką i ono bez zaprzeczenia było.

W tej nieruchomości posągu, w tym upartym milczeniu leżała najwymowniejsza odpowiedź na słowa jegomości „w porządnym surducie”. W schyleniu głowy dziecka był chłopski upór, który mimo wszystko dojść pragnie do celu.

Kaśka przybrała na nowo raz ułożoną pozę, którą opuściła chwilowo podczas rozmowy rzeźbiarza z dziennikarzem. Ten ostatni dopiero teraz dostrzegł dziewczynę i przyglądał się jej ciekawie. Ona przymknęła oczy, aby nie widzieć spojrzeń tego człowieka, ślizgających się po jej obnażonym ciele. Doznawała po prostu fizycznego bólu pod wzrokiem nieznanego, który widział ją półnagą w dziennym, jasnym świetle, zaledwie osłoniętą kawałkiem perkalu.

- Skąd pan to wzięłeś? – zapytał wreszcie dziennikarz, wykrzywiając pogardliwie usta.
- Wspaniały szkielet... patrz pan tylko na ten tors, na ramiona – odparł Wodnicki.
- Tak! ale ideał! piękno!
- Oh! – rozśmiał się Wodnicki – przecież to tylko sługa... a potem nadaje się do przedmiotu.

Będzie z niej Kariatyda!

– Tak? ano, to co innego... I to pana... – urwał nagle, nie chcąc ust kalać wyrazem „kochanka”, podczas gdy cienkie nozdrza poruszały mu się szybko, a ręce nerwowym ruchem mięły brzegi palta.

Wodnicki wzruszył ramionami.

– Cóż znowu! – zaczął – pan wiesz, ja tego nie lubię... potem... kocham się idealnie. Jeżeli pan zechcesz, to możesz wziąć sobie tę dziewczynę, choć zdaje mi się, że miałbyś pan z nią teraz niepotrzebny kłopot.

Kaśka szybko otworzyła oczy. Oh, zrozumiała dobrze, co w tej chwili mówili o niej ci dwaj mężczyźni. Skąd ten mały rzeźbiarz ma prawo darować ją temu panu, który tak źle na nią spogląda? Była biedną i głodną, to prawda. Zgodziła się nawet z tej nędzy stać nago i lepić się z gliny, ale przecież nie zgodziłaby się nigdy na tego rodzaju hańbiący upadek.

Ale dziennikarz uspakaja wrędcę jej oburzenie.

– Phi! – odpowiada po chwili, odwracając oczy od nagiego ciała kobiety – to za brudne, ja nie lubię wdawać się z motłochem. Od czegoż są damy?

I założywszy nogę na nogę, zagwizdał walca z *Gasparone*<sup>51</sup>.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Kaśka mdlała prawie ze znużenia, nie śmiejąc poruszyć się z miejsca. Krzepiła ją myśl spodziewanej zapłaty, za którą kupi sobie trochę ciepłej strawy.

Nagle dziennikarz odezwał się piskliwym głosem:

– Idziesz pan jutro do teatru?

– Zapewne – odparł rzeźbiarz – mam wstęp wolny. A pan będzie?

– Nie!...recenzję już napisałem, nie potrzebuję chodzić!...

– Jak to? – zapytał Wodnicki – recenzję napisałeś pan przed przedstawieniem?

Dziennikarz ściągnął usta do pogardliwego uśmiechu.

– Spodziewam się! Ja zawsze tak robię. Dostanę egzemplarz, przewertuję, a potem ciach! ciach! i już autor urządzony. Na tego jutrzejszego to od roku sobie ostrzę pióro. Toteż mu przyłożyłem. Sztuka musi upaść... głupiec jakiś! Nic sobie ze mnie nie robi! Ja go nauczę respektu!...

Wyciągnął chudą rękę, grożąc w powietrzu niewidzialnemu wrogowi. Śmieszny był w tej chwili z tym zapalem karlim, z tą miną znieważonego liliputa. Porwał się z miejsca i wspinał się na palce, aby być większym, a głos nabrzmiewał sztucznym zgrubieniem.

– Czy pan pamiętasz, co on mi ośmielił się powiedzieć rok temu? – wołała dalej zacierzewiony – powiedział, że się mnie nie boi, i nie złożył mi wizyty. No! teraz będzie się mnie bał... Ja, mój panie, jestem już na grubym stanowisku! O mnie się dobijają, ja biorę po czterdzieści groszy za wiersz, mój panie!...

Wodnicki nie przerywał. Stał teraz tuż przed dziennikarzem i powstrzymywał uśmiech, gwałtem wydzierający się na usta.

– Ot, teraz – ciągnął dziennikarz – napisałem nowelkę *Miłość aktorki*... arcydzieło, panie!... Wziąłem sto rubli i dobrze mi jest! Tu! panie, jest setka! Ekaterinka! Po czterdzieści groszy, panie, dostaję za wiersz, za jeden wiersz!... Przeczytaj pan tę nowelkę, *Miłość aktorki*! pyszny tytuł? co?

Wodnicki zmarszczył brwi i dolną wargę przyciął aż do krwi.

Miał matkę była aktorkę i sam kochał od dawna piękną dziewczynę występującą na scenie, którą chciał pod dach swój jako żonę wprowadzić. Zabolalo go to lekceważenie aktorek. Nie mógł się powstrzymać od trochę ostrej odpowiedzi.

– Co pan możesz wiedzieć o miłośkach aktorek? Skąd pan do tego byś przyszedł?

Człowiek w porządnym surducie wyprostował się jak struna.

<sup>51</sup> *Gasparone* – operetka Karola Millöckera (1842-1899); wystawiona po raz pierwszy w 1884 roku

– Phi! mój panie! – zaczął znowu – jak palcem kiwnę, będę miał wszystkie!

Szerokie koło zakreślił wyciągniętą ręką. Koło to objęło i kilka biuścików pięknej artystki, uśmiechającej się z delikatnej osłony koronek. Ten mały, dziwaczny jegomość nadawał sobie w tej chwili minę zwycięzcy, wydymając wklęsłą pierś i mrużąc dwuznacznie oczy. Rzeźbiarz przecież nie pozwolił sobie imponować tymi niezwykłymi objawami donżuanerii – oparł się o podstawę jednego z posągów i właściwym sobie ruchem skrzyżował ręce na piersiach.

– Chyba jakąś ostatnią statystkę możesz pan... mieć... na kiwnięcie palcem! Zechciej pan pamiętać, że matka moja była artystką.

Dziennikarz zmieszał się trochę. Był jednak już na tyle czelnym, że zmieszanie to ukryć szybko potrafił. Dla zatarcia wrażenia zwrócił znów swą uwagę na Kaśkę, ale w głębi duszy wrzała w nim złość do małego rzeźbiarza, którego postanowił w proch zetrzeć, i to w jak najkrótszym czasie.

Tymczasem Wodnicki powrócił powtórnie do roboty, a Kaśka, przybrawszy odpowiednią pozę, stała znów nieruchoma, czerwieniąc się w promieniach wiosennego słońca. Promienie te oblewały jej obnażone plecy i podniesione, a nad głową założone ręce.

Dziennikarz stał teraz tuż obok podwyższenia, na którym umieścił rzeźbiarz dziewczynę. Z dziwną złośliwością przypatrywał się tej rozrośniętej kobiecie, spowitej od pasa w draperie białej tkaniny. Z dołu patrząc, zdawała się jeszcze większą, a opalona twarz i kawałek skóry na szyi odciły się ciemną barwą od reszty ciała. Ręce po łokieć były tejże samej miedzianej barwy, zda się zapożyczonej od rondli, które wiecznie szorowały. Nie był to ideał o marmurowo-atłasowej skórze, opiewanej tak chętnie przez salonowych romansopisarzy. Był to jednak doskonały okaz kobiety, rozwiniętej zupełnie prawidłowo, a choć steranej nędzą i głodem, nie zużytej zmysłowo i wypełnionej macierzyństwem. Była to Kariatyda, kobieta-rodzicielka, dźwigająca w sobie przyszłe istnienie ludzkości, prawdziwa podpora społeczeństwa. Stała w tym blasku wiosennym zdobna swą młodością, olbrzymia, nieskażona w swej nagości, mając u stóp swoich pigmeja o małej głowie i jeszcze mniejszym mózgu, powtarzającego bezustannie i bezmyślnie:

– Ideału w sztuce! ideału szukajmy!...

\*

Przez cały tydzień Kaśka przychodziła co noc do pracowni Wodnickiego; przespawszy się na garści słomy zaszytej w obszarpany worek, wstawiała wczesnym rankiem, aby stanąć na podwyższeniu i przybierać właściwą pozę. Powoli oswajała się ze swym położeniem – ściągала, milcząc, podarty kaftanik i zrzucała podartą spódnicę. Po czym owijała się draperią z perkalu, pozostawiając Wodnickiemu ułożenie fałdów. Spokojne zachowanie się rzeźbiarza, przejętego do głębi tworzeniem nowego dzieła, oddziaływało na nią zbawiennie. Nie drżała już febrycznie, wchodząc na podwyższenie; rozumiała, że może być spokojną wobec tego chłopca, którego drobne, gorące ręce dotykały jej obnażonych członków, nie sprawiając jej przecież uczucia przestachu. On, cały oddany swej pracy, z gorączkowymi rumieńcami na twarzy, zapominał o krwi i zmysłach. Nagość Kaśki nie drażniła go – pragnął tylko stworzyć arcydzieło... drżał cały, pragnąc wykonać je jak najśpieszniej.

Całe rano trawiła Kaśka na pozowaniu, popołudnie spędzała w zakrystii kościelnej, szorując podłogę, myjąc okna, zmiatając ze ścian pajęczyny.

Staruszek dotrzymał słowa, zapewniając jej dziennie kilkanaście centów zapłaty. Musiała ciężko pracować zgięta wpół, maczając swe kolana w kałużach brudnej wody. Wodnicki dał Kaśce czterdzieści centów po pierwszym posiedzeniu, reszta zaś pozowania odbywała się... na kredyt. Kaśka upominać się nie śmiała, rzeźbiarz był dla niej bardzo dobrym, żartował tylko czasem z jej głupoty – a zresztą bała się stracić tego noclegu, który miała w pracowni dozwolony. Był to zawsze kąk nad głową – to coś znaczy. A może Wodnicki razem całą zapłatę od razu skuteczni? Kto to wiedzieć może!

W zakrystii spotykała czasem księdza, który ją spowiadał. Poznała go od razu po zapachu mięty, która rozchodziła się wiecznie dokoła tego człowieka. Brzydki, ospowaty, z twarzą bezbarwną, modlił się sycząc, oparty o aksamitny, wytarty klęcznik. Kaśka szorowała wówczas mosiężne ozdoby u szufladek szafy i ręka jej drżała na samą myśl, że ksiądz może ją poznać i zapytać, czy pokutę odprawiła w całości. Kaśka była tak znużona całodzienną pracą, że nie była w stanie odmówić nieskończonej ilości pacierzy, przepisanej przez księdza. Zresztą te nagie posągi, biejące wśród nocnych cieni, nie usposabiały ją do modlitwy. W połowie pacierza zasypiała, mając przed oczami majaczące posągi o wysmukłych, kształtnych konturach.

Próżną jednak była jej trwoga. Ksiądz nie zwracał na nią uwagi, szybko uchylał głowę i odchodził w inną stronę; czasami tylko spoglądał badawczo na skurczoną dziewczynę, a Kaśka chyliła się coraz więcej ku ziemi pod wpływem tego surowego, do głębi przenikającego ją wzroku.

Tymczasem w pracowni rzeźbiarza powstała wspaniała Kariatyda, szarzejąca w swych białych, wilgotnych całunach, którymi ją na noc przykrywano. Była to Kaśka, chwycona na gorąco, z całą wspaniałą, olbrzymią budową, z tym rozrośnięciem, które we wszystkich podziw budziło. Rysy nawet twarzy pozostały też same, złagodzone cokolwiek, zaostrome, doprowadzone do delikatniejszych trochę linii. Wskutek podobieństwa twarzy i wyraz ust tej Kariatydy był jakiś inny, dziwny, rzecz można – bolesny. Kaśka zmęczona, osłabła, nie była w stanie ukryć cierpienia, które wyrzyło się bolesnymi liniami na jej twarzy. Rzeźbiarz bezwiednie boleść tę utrwalił w posągu, później zaś, spostrzegłszy tę rzecz niezwykłą, pragnął ją naprawić; namyślił się przecież i zostawił swą Kariatydę jakąś smutnie uśmiechniętą. Miała więc przetrwać tak wieki całe ze śladami cierpienia na pięknej twarzy, miała kamiennymi żrenicami patrzeć na cały tłum mężczyzn, którzy jak stado szakali rzucali się na jej ciało, wyzyskując ją na wszelkie sposoby. Mały dziennikarz nie mógł patrzeć śmiało na tę wielką, smutną dziewczynę. On przedstawiał ogół, a ogół ten bał się tej nagiej prawdy, rzuconej mu z całą bezwzględnością w oczy. Wolał rozmarzać się nie istniejącymi kształtami lubieżnej Afrodyty, rozłożonej ponętnie na odłamie skały. Według niego to było szczytem piękna, ostatnim słowem poezji. Taka gaza, drażniąca zmysły, działała nań pobudzająco, ogół upijał się rozkoszną pozą mitologicznej bogini, osłaniającej dwuznacznie swe wdzięki. Kaśka naga, wspaniała, a wynędzniała, uśmiechająca się nie kokieterystycznie, ale boleśnie, stawała nagle przed oczyma tłumy jak znak zapytania. Wołała: „Jestem kobietą rozwiniętą, kobietą-matką, a mimo to zmaltrętowaną jak zwierzę za wypełnienie celu, do którego mnie stworzono! Patrzcie, jak cierpię! Spójrzcie na usta moje, jak gorzko skarżą się pomimo milczenia! Wina moja wielka, ale cierpienia nie mniejsze, a wy, którzyście mnie pchnęli w przepaść, gdzież jest kara wasza?...”

Kaśka przez cały tydzień przychodziła do pracowni spokojniejsza i pomimo obawy o przyszłość sypiała czasem kilka godzin bez przerwy. Głuchoniemy przywiązał się do niej na kształt psa wiernego i starał się wszelkimi sposobami osładzać jej dołę. Wystarał się dla niej o kawałek podartego koca i z uroczystą miną wręczył jej to okrycie. Kaśka nawzajem dzieliła się z nim pożywieniem, jakie przynosiła ze sobą – i tak te dwie nędze wspierały się wzajemnie. Chłopak sypiał teraz w kątku na gołej podłodze, podłożywszy sobie tylko kułak pod głowę. Dopóki ogarki świecy, ustawione na postumentach, tliły, rzucając niepewne blaski, dotąd chłopak wpatrywał się uporczywie w układającą się do snu Kaśkę. Obecność tej wielkiej, tęgiej dziewczyny niepokoiła go dziwnie – kręcił się długo na podłodze, zanim usnął. Nie dotknął się jej przecież więcej – budziła w nim obawę i szacunek. Obawiał się jej silnej pięści, choć nieraz przychodziła mu ochota pogłaskać jej gładkie ciało, różowiące się wśród promieni wiosennego ranka. Ona zdawała się nie dostrzegać nawet tego niepokoju, jaki bezwiednie budziła swą osobą. Wstawała rano już zmęczona, jak ten król duński, który pytał codziennie otaczających go dworzan: „Więc jutro dzień jeszcze?”

Pewnego poranku dżdżysto i chłodno było na świecie. Oziębilo się nagle, a zimny deszcz bił w szyby pracowni. Kaśka drżała z zimna, stojąc nie osłonięta prawie niczym na środku wielkiej i wysokiej izby. Wodnicki, jakiś chmurny i zamyślony, pracował leniwie, gdyż, jako organizm bardziej wrażliwy, był niezmiernie czułym na zmiany powietrza. W kącie pracowni siedział głuchoniemy smutny i skurczony jak pies, któremu słota dobry humor odbiera.



Deszcz bił w szyby ze zdwojoną siłą. Strugi wody spływały po taflach szklanych, znacząc się lśniąco bruzdy. Z daleka dochodził plusk wody, spadającej szumiącą kaskadą z pobliskiej ryny. W całym gmachu Politechniki cicho było i pusto. Zdawało się, że pracowite mrówki pochowały się przed tą zimną szarugą wiosenną.

Nagle drzwi pracowni otworzyły się szybko. Kaśka drgnęła i opuściła ręce. We wchodzącym młodym człowieku poznała dawnego kochanka Budowskiej. Zapamiętała dobrze tego rosłego blondyna o szerokim karku, ujrzanego kilkakrotnie w żółtawym blasku latarni. On spojrzał na obnażoną dziewczynę i uśmiechnął się radośnie. Była to dla niego wcale dobra gratka, niezła rozrywka w ten szary i dżdżysty dzień wiosenny. Dość miał martwych trupów, które ze względu na swe studia krajać musiał. To żywe, zabarwione krwią ciało kobiece pociągnęło go ku sobie.

Dlatego szybko zrzucił zmoczone palto i postąpił na środek pracowni. Przywitał się z Wodnickim; przynosił mu *Anatomię*, której potrzebował na kilka dni. Położywszy książkę na ziemi, usiadł na odłamie kamienia. Wyjął papierosnicę i zapaliwszy cienki tani papieros, patrzył, kiwając głową, na Kaśkę, która, powoli odzyskawszy równowagę, przybrała dawną pozę.

– Skąd u diabła wytrzasnąłeś taką maszynę? – zapytał nareszcie Wodnickiego. – To gmach, nie kobieta!

Ale Wodnicki nie był dziś usposobiony do żartów.

– Kupiłem ją na targu w wiązce marchwi – odparł sucho, nie odrywając się od pracy.

– Nie zawracaj! – zaczął znów student. – Na targu możeś ją i znalazł, ale nie w marchwi!

I z najwyższą uwagą zaczął się przypatrywać dziewczynie.

Nie poznawał jej przecież. Widział ją krótko i przelotnie. Wprawdzie sięgnął kiedyś po nią, gdy przyszła mu wypowiedzieć zlecenie swej pani, ale on po tyle kobiet sięgał, których twarze nawet dostrzec nie mógł w półmroku wieczornym. Dlatego wydaje mu się zupełnie nową i nie znaną kobietą, a jego rozpasane zmysły z wielką lubością śledzą rozwinięte kształty dziewczyny.

Kaśka doznawała pod tym wzrokiem niewypowiedzianych męczarni. Znała już dobrze te oczy mężczyzny, powleczone mgłą białawą. Wiedziała, że jest to zapowiedź rozzwierżenia się człowieka. Drżała na samą myśl, że może paść ofiarą tego zbydlęcenia.

Dlatego doznała niewypowiedzianej ulgi, gdy Wodnicki oznajmił jej koniec posiedzenia. Praca mu nie szła widocznie, wołał odłożyć ją na później.

Gdy Kaśka zeszła z podwyższenia, na którym pozowała, musiała przechodzić koło studenta, siedzącego obok zrzuczonej przez nią odzieży. Zakrywając się skrzyżowanymi na piersiach rękami, starała się przesunąć obok tego mężczyzny tak, aby nie dotknąć jego nóg wyciągniętych.

Ale on porwał się z miejsca i postąpił kilka kroków. Szybko objął Kaśkę w pół i przysunął ku sobie – ona wyrwała się z tych objęć, odpychając go z całą siłą, na jaką zdobyć się mogła.

Student zachwiał się i wpadł na głaz, na którym siedział poprzednio. Nie znalazł przecież innego słowa dla wyrażenia swego zdziwienia nad te wyrazy:

– A to bestia!

Wodnicki, ubierając się do wyjścia, odwrócił głowę.

– Daj jej spokój, to taka nędza!

O, tak! Miał rację ten poczciwy chłopak. Była to nędza zbyt wielka, aby rozkosz od niej wziąć było można.

Ale inaczej myślał student. Ten opór podniecił go i utrwalił w raz powziętym zamiarze. Taka nędzarka ośmiela się opierać jeszcze! Jemu, który nawet w salonach umiał wybierać kochanki. I ze zdwojoną złością spogląda na ubierającą się Kaśkę. Wprawdzie łachmany, które nakłada, nie są zbyt pociągające, ale dla roznamiętnionego mężczyzny czyż jest co wstrętne?

Spod obszarpanego kaftanika prześwieca nagie ramię... To wystarcza, aby zwierzę nie usnęło... Kawalek białego ciała! Oto wszystko, czego pragną mężczyźni. Wychodzi więc z Wodnickim, postanawiając za chwilę powrócić. I na rogu ulicy żegna się szybko z rzeźbiarzem, skręcając w wąską uliczkę, tworzącą rodzaj przesmyku. Za chwilę wpada do pracowni, spotykając się w progu z wychodzącą także Kaśką. Szybkim ruchem ręki zatrzymuje dziewczynę, która, zdziwiona i przerażo-

na, cofa się mimo woli pomiędzy posągi tak białe, jak jej twarz pobladła od przestרחu i wewnętrznego wzruszenia.

Wie dobrze, czego chce ten mężczyzna, którego spojrzenia palą jeszcze, jak otrzymana świeżo chłosta. I w nadmiarze przestרחu przyciska się do zimnej podstawy posągów, jakby u niemych głazów szukając obrony przeciw ludziom napastującym ją w nędzy i cierpieniu. Pracownię zaległa wielka cisza.

Tych dwoje ludzi stało naprzeciw siebie długą chwilę, nie mówiąc ani słowa. Tylko ciężki, przyspieszony oddech mężczyzny przecinał powietrze, łącząc się z pluskiem wody ściekającej wzdłuż szyb. Kobieta zapała dech w sobie, patrząc rozszerzonymi źrenicami, zaciskając pięści, gotowa do walki, przyuczona do niej, jak bezdomne, wiecznie gnane po rozstajach zwierzę.

Mężczyzna pierwszy posunął się naprzód, w kilku krokach stanął przy dziewczynie, uśmiechając się jakoś dziwnie, konwulsyjnie prawie. I wyciągnął rękę, jako pan stworzenia, aby zagarnąć tę istotę, rzuconą mu na pastwę i na zużywanie wieczne. Ale ona wstrząsnęła się nagle w swych łachmanach i obydwojma rękami starała się powściągnąć napastnika. Cała trywialność jej rysów znikła pod wyrazem szalonego gniewu i wstrętu, jaki ściągnął jej rysy. Cała pogarda, zebrana przez krótkie, a tak smutne życie, skoncentrowała się w tej chwili w jej zwykle przygasłych źrenicach. Patrzyła wprost w oczy mężczyźnie, a usta skrzywiła nerwowo. Miała wygląd lwicy, broniącej się od napaści ludzi.

Lecz on nie zwracał na to żadnej uwagi. Krew, bijąca mu do głowy, pozbawiała go przytomności – szedł na oślep, pragnąc tylko dopiąć celu. Namietność dodawała mu chwilowo siły. Szybko odsunął wyciągnięte ręce dziewczyny i przyciągnął ją ku sobie. Rozpoczęła się teraz straszna walka, walka na życie i śmierć. Była to walka ohydna, najnikczemniejsza, jaką kiedykolwiek człowiek mógł prowadzić – coś, co lodem krew w żyłach ścinać powinno. Kobieta broniła samej siebie, swego „ja”, swego ciała, wszystkiego, co było jeszcze jej własnością; mężczyzna kaleczył ją, bił, szarpał, nie zważając na jęki nieszczęśliwej, dlatego tylko, aby ją zbecześcić i porzucić z hańbą i nie zatartym nigdy ohydnyim wspomnieniem.

Nagle spoza odłamów kamieni i płyt poustawianych porwała się drobna istota; straszny i dziki wrzask rozległ się w powietrzu. Był to głuchoniemy, który jak dziki ptak spadł na tych dwoje ludzi, maltretujących się wzajemnie. Cienkimi, długimi palcami porwał bujne włosy mężczyzny i począł ciągnąć je z całej siły, nie przestając krzyczeć bezustannie. Szalony ból, jaki poczuł nagle kochanek Julii, zmusił go do opuszczenia Kaśki, która w tej chwili, bezwładna, osunęła się na ziemię. Głuchoniemy rzucił się teraz z całą wściekłością na odurzonego tym niespodziewanym wrogiem studenta. Z małpią zręcznością skacząc do twarzy, ranił go boleśnie, drapiąc paznokciami. Sposób ten nie zawiódł – bo piękny blondyn opuścił szybko pracownię, trzaskając silnie drzwiami. Pod strugami zimnej wody powrócił do równowagi i postawszy chwilę na dziedzińcu, posunął szybko w stronę domu. Twarz miał podrapaną i pokrwawioną, zasłaniał się starannie parasolem, bojąc się jakiego spotkania. Tymczasem w pracowni leżała na ziemi Kaśka, drgając konwulsyjnie i jęcząc cicho. Cała ta walka wyczerpała jej siły i wstrząsnęła jej organizmem do głębi.

Koło niej klęczał głuchoniemy, usiłując uspokoić i pocieszyć nieszczęśliwą. Wył jak pies wierny, rozumiejący cierpienie swego pana. Łzy szklily mu się w oczach, a cała twarz wyrażała nieklamane współczucie. Obnażone ciało kobiety przeświecało przez podartą odzież, chłopak przecież nie dotknął ciała. Owszem, delikatnie, spokojnie zesunął potargane szmaty i klęczał tak dalej, płacząc rzewnie.

Był to jeden mężczyzna, spotkany na drodze życia przez Kaškę, który nie zażądał ostatecznie wyzyskania jej nieszczęśliwej istoty. Ten mężczyzna miał dla niej łzę współczucia i zjawił się przed nią nie ze zwierzęcą namietnością. Wyznajmy jednak smutną prawdę. Ten mężczyzna był przecież tylko... idiotą!

\*

Nazajutrz po opisanym zdarzeniu Kaśka czuła się tak chorą, że nie była w stanie zająć miejsca na podwyższeniu i przybrać zwykłej pozy. Dojmujące kurcze, jakie ścisnęły jej wnętrzności, zmuszały ją do tłumienia w sobie jęków, wydzierających się gwałtownie na usta. Przy tym cierpiała ból głowy i silne osłabienie krzyża.

Chwilę stała milcząca i zgnębiona tym swoim stanem, trzymając w ręku ściągnięty z siebie kaftanik.

Wodnicki siedział na małym, drewnianym koziołku, także chmurny i zdenerwowany. Słota przeciągała się ciągle, a nerwy młodego chłopca rozprzężały się pod wpływem tej wilgoci. Popatrzył chwilę na Kaśkę, po czym odrzucił mokre płaty okrywające projekt kariatydy.

– Możesz już iść sobie – wyrzekł po chwili, zakrywając znów swą pracę – nie masz tu po co przychodzić, już jesteś niepotrzebna!

Niepotrzebna!

Tak – zaprawdę, była niepotrzebna. Jeszcze jeden wyzysk jej ciała, ściągnięcie tego, co się dało z najlepszych części jej istoty, a potem zimna odprawa.

Odejdź! – jesteś niepotrzebna!

Zostawiła tu wszystko, co miała najlepszego, najpiękniejszego w sobie ta nędzarka; ciało jej da może sławę, kto wie, może dużo pieniędzy, ale ona sama, ten szkielet, to rusztowanie, na którym wznoszono arcydzieło, odejść precz może – bo już niepotrzebna! Kaśka, milcząc, zbierała się do odejścia.

Znów uciekał jej z rąk zarobek, jakiego się spodziewała, bo rzeźbiarz nie miał widocznie zamiaru opłacić swej modelki choćby szumnie przyobiecany mi trzema szóstkami.

Siedział teraz, pogwizdując walca z *Gasparone* i łupiąc tafelkę miki ostrym paznokciem.

– A nie przychodź więcej tu na noc – dodał, przestając nagle gwizdać. – Zarządzający gmachem widział cię i robił mi wymówki. Możesz mnie narazić na podejrzenie.

Kaśka nic nie odpowiedziała. Traciła znów przytułek na noc, wiedziała, że znów tułać się będzie po rowach lub krzakach Wysokiej Góry. Przymknęła oczy, jakby rażona nagle widokiem czegoś strasznego, co ją oczekiwało. Powoli przecież zebrała resztki sił i postąpiła w stronę drzwi.

Wodnicki w tej jej powolności upatrzył oczekiwanie słusznie należnej zapłaty.

– Słuchaj, ty maszkaro – zawołał, wyciągając wspaniałym gestem rękę – przyjdź do mnie za tydzień albo za miesiąc, to ci dam kilka guldenów. No cóż, przyjdiesz?

Był w tej chwili zupełnie szczerym. Żałował tej nędzarki, obdartej i bosej, która szła w taką szarugę w świat, bez gorsza i pewnego zarobku. Tylko tego ranka był diabelnie goły, bo – jak się wyrażał – „flota mu nie dopisała”.

Gdyby miał pieniądze, rzuciłby je bez wątpienia tej biednej dziewczynie, która teraz, stojąc koło drzwi, łzawymi oczami wpatrywała się w przestrzeń.

– Może ci nawet znajdę u kogo zajęcie – dodał, uśmiechając się dziwacznie – tylko, że ty coś diabelnie wychodzisz z formy.

Spojrzeniem domówił reszty.

Kaśkę oblała gorąca fala krwi. Żartu nie rozumiała wcale, ale śmiech, spojrzenie, gest pojęła w jednej chwili. Nerwowym ruchem zacisnęła dokoła siebie swe łachmany. Jak to? Więc to już znać tak bardzo, że ludzie spostrzegają i wyśmiewają się z niej, rzucając jej tę hańbę w oczy?

Jak szalona wybiegła z gmachu Politechniki, nie oglądając się nawet poza siebie. Nigdy nie czuła tak swego upadku, jak w tej chwili. Dotąd sądziła, że stan jej jest wiadomy tylko jej samej, łudziła się, że przecież nie ma swej hańby wyrytej na czole. A teraz już wiedzą! Wszyscy wiedzieć będą! Gdzież się ukryje przed szyderstwem i pogardą ludzi? A gdy dziecię przyjdzie na świat, co z nim pocznie? W jaki sposób wychować je potrafi?

Całe długie dwa tygodnie pracowała jeszcze Kaśka w kościele, szorując podłogi kurytarzy, myjąc kamienne posadzki lub wysokie okna zakrystii. Był to wiosenny porządek świątyni, przygotowanie do miesiąca Marii, który się zbliżał z całą zielonością i wonią wiosenną. Deszcz przestał padać i dokoła czuć było nadchodzącą wiosnę.

W zakrystii czyniono wielkie przygotowania. Wyjmowano wysokie, białe, drewniane lichtarze, a skurczone dewotki przyozdabiały je liśćmi z zielonej kitajki<sup>52</sup>. Całe stosy nadzwyczajnych, białych i zielonych róż zalegały stoły zakrystii. Chwilami pobożną ciszę przerywał szept dewotki, która w nadmiarze gorącej świątobliwości przylepiła się czarną suknią do świeżo polakierowanego lichtarza. W jednym z takich wypadków zawezwano pracującego w kaplicy malarza, aby naprawił uszkodzenia, a malarz zapotrzebował białego lakieru, zostawionego w składzie koło izdebki zakrystiana.

Kaśka powracała właśnie z kościoła z szaflikiem brudnej wody i ścierką pod pachą.

– Hej! dziewczyno! – zawołał malarz – a przynieś no biały lakier z komórki pod schodami. Idź, tylko żywo!

Dewotki podniosły głowy i spojrzały na Kaśkę. Pomiedzy nimi znajdował się ospowaty ksiądz, spowiednik Kaśki. Stał okolony girlandami śnieżnych róż, czerniąc się w swej sutannie, jak wielka atramentowa plama na czystej ćwiartce papieru. Ukośne jego oczy pobiegły w kierunku dziewczyny i obrzuciły szybko jej postać. Musiał przecież spostrzec teraz coś, za czym śledził od dawna, bo zmarszczył brwi i gniewnie poruszył się, tak że bibulane róże zaszeleściły dokoła jak liście jesienne.

Gdy Kaśka opuściła zakrystię, ospowaty ksiądz wyszedł po chwili tymiż samymi co ona drzwiami. Czekał na nią widocznie w kurytarzu, bo Kaśka spotkała się z nim w ciemnym przejściu, tak że wyminąć go niepostrzeżenie było niepodobieństwem. Zbliżyła się więc wolno, spuszczać oczy w ziemię. Złe przecucie szarpnęło jej sercem; czuła, iż spotka ją nowe jakieś cierpienie. Ksiądz stał tymczasem wyprostowany, surowy, z brwią zmarszczoną, rękami na piersiach założonymi. Gdy dziewczyna zrównała się z nim prawie, zatrzymał ją jednym słowem:

– Stój!

Kaśka stanęła jak wryta, opierając się o ścianę.

– Jak się nazywasz?

– Kaśka Olejarek.

– Jesteś zameżna?

Kaśka milczała, oddychała ciężko. Kłamać nie chciała, nie mogła – i to jeszcze przed księdzem!

– A więc „jesteś dziewczyną!” – ciągnął dalej ksiądz z niewzruszoną powagą. – Jak śmiesz kręcić się tu po Domu Bożym, będąc w podobnym położeniu? Czy nie boisz się Boga i gniewu Jego?

Unosił się powoli, sądząc się być w konfesjonale.

– Jesteś zwierzę nieczyste, owca parszywa, która odbiegła od trzody... Idź stąd precz i nie zanieczyszczaj Pańskiej świątyni. Tu tylko wierni mają przystęp.

I odebrawszy z rąk drżącej jak liść dziewczyny garnek z lakierem, zwrócił się w stronę zakrystii, skąd dobiegały szepty dewotek i szelest róż bibulanych.

Gdy Kaśka wyszła na ulicę, ciemno już było zupełnie. Długi czas przesiedziała skurczona na ziemi, nie śmiąc wyjść i spojrzeć ludziom w oczy. Gdy przecież znalazła się wśród ulicznego gwaru, musiała powziąć już jakieś postanowienie, bo z pośpiechem gorączkowym skierowała się w stronę zamieszkanego dawniej przez nią przedmieścia. Szła szybko, roztrącając ludzi, z twarzą rozpaloną, zaciskając dokoła siebie łachmany. Wkrótce stanęła tuż przed bramą domu, tak jej znanego i drogiego w dawnych czasach. Wzrok zapuściła w ciemną głębię bramy, której przecież przestąpić nie śmiała. Szukała widocznie Jana, w swym podrażnieniu najwyższym może chciała zemścić się za doznane od chwili poznania go krzywdy. Zaciśnięte konwulsyjnie usta nie wróżyły nic dobrego. Wyraz twarzy miała ten sam, z jakim porwała Rózię za włosy, tam wysoko, w ciemnej komorze poddasza. Wreszcie długo maltretowane zwierzę podniosło głowę – szukała sprawcy swych nieszczęść, czaiła się nań jak zwierzę drapieżne, zranione boleśnie.

Szczęściem przecież dla Jana z bramy domu wybiegła Marynka i przy bladym świetle latarni zwróciła uwagę na tę wielką postać w łachmanach, stojącą nieruchomo przed bramą. Obdarta kobieta przypomniała Marynce Kaśkę. Zbliżyła się szybko i od razu poznała „tłomoka z trzeciego”,

---

<sup>52</sup> kitajka – rodzaj tafty

jak dawniej Kaškę w kamienicy nazywano. Kaška, nierada temu spotkaniu, odwróciła szybko głowę, ale Marynka schwyciła ją za spódnice.

– Kaško, to ty? Cóż ty tutaj robisz?

Nie mówiła jej, jak zwykle, „panno” – czuła, że nazwa ta byłaby śmieszna wobec łachmanów okrywających ciało spotkanej. Kaška spojrzała na mówiącą ponuro spod brwi zsuniętych, ale nie odpowiedziała ani słowa.

– Jeśli czekasz na tego urwipołcia Jana – zaczęła mówić Marynka, zgadując z przenikliwością właściwą kobietom powód zjawienia się Kaški – to nie doczekasz się tak prędko. Mamy już innego stróża, a ten łajdak poszedł służyć gdzie indziej. Takie ciągle moranse po piętrzakach prowadził to z tą, to znów z inną, że furtem były awantury. Bez to wygnali i recht mieli... niech kobiet nie przepaszczą ten postrunek szubieniczny.

Kaška opuściła głowę na piersi.

Cała gorączkowa chęć zemsty rozwiała się w jednej chwili. W sercu czuła tylko ból dojmujący na myśl, że Jan bałamucił się ciągle, podczas gdy ona cierpiała tak bardzo, bardzo...

Marynka pociągnęła Kaškę we framugę bramy. Zaczęła od opowiadania o sobie, o swoim zdrowiu, które psuło się z dniem każdy, o przykrym, suchym kaszlu, dręczącym ją po nocach. Potem z szybkością, właściwą tej naturze, zwróciła swoją uwagę na Kaškę i starała się dowiedzieć o wszystkim, co spotkało dziewczynę od chwili pójścia do cyrkułu.

Kaška osunęła się na ziemię i powoli gorący potok łez spłynął jej z oczu. Siedziała teraz na tym samym miejscu, na którym oddała się Janowi owego pamiętnego jesiennego wieczoru, gdy zbita i zmoczona, jak zwierzę, przypadła do stóp niby kochającego ją człowieka.

– Głupia! Ja są z tobą ożenię!...

I szept ten zdawał się unosić jeszcze w powietrzu pod sklepieniem bramy, ten szept, który owionął ją wtedy razem z gorącym oddechem mężczyzny i uczynił bezwładną wobec jego woli. Marynka pochyliła się nad płaczącą i cierpliwie wydobyła z niej całą prawdę. Kaška powoli wypowiedziała się z całej nędzy swojej, szczęśliwa, że ma przed kim wyzalić się i opowiedzieć swe cierpienia. Nawet stanu swego nie zataiła przed Marynką, która wiadomość tę przyjęła jako rzecz zupełnie naturalną.

– A jakże chciałaś, żeby miało być? – zapytała z całą bezczelną naiwnością – to mus, to już takie pokaranie na kobiety za to, że nie są porządne jak należy.

Po czym zamyśliła się chwilę.

– A coż ty teraz zrobisz ze sobą? – spytała.

Kaška wzruszyła ramionami.

– Nie wiem! Chyba się do wody cisnę, bo już nie mam żadnego obrotu wedle siebie i nie wiem, gdzie się zadzieć!

– Do wody! – zawołała Marynka – jaka ty mądrała! Do wody byś nie poszła! o, nie!

– Bez co?

– Bez strach! Ja byłam już raz nad stawami, wiesz, tam za Kamienną Wolą, ale takem się wody zlekła, że gnałam co sił do domu. Ty byś tam samo drałowała, bo woda czarna jak szuwaks i aż w piętach drze, jak się na nią spojrzeć.

Kaška nie zaprzeczała; być może – Marynka miała słuszność. Mówi się chętnie o śmierci, a jak na to padnie, to strach człowieka zbiera. Zapewne i ona nie miałaby odwagi skoczyć do wody, skoro Marynka jej nie miała. Milczały chwilę jeszcze, po czym Marynka pierwsza zaczęła rozmowę.

– To ksiądz cię z kościoła wygnął?

– A jakże – odparła Kaška.

– No, recht bo miał – dowodziła Marynka – to nie wypada po kościele się włóczyć w takim grzechu, jak ty jesteś. Księża tego ścierpieć nie mogą.

Kaška pomyślała chwilę. Więc wtedy, gdy padała w objęcia kochankowi, gdy ciepła jeszcze od ранnego powitania wpadała do kościoła, aby przeżegnać się przed ołtarzem Marii, wtedy nikt nie wypędził jej ze świątyni, nikt nie poczytywał jej za grzesznicę przeklętą. Dziś wszakże, gdy została

matką, wytrącając ją poza próg kościoła jak zwierzę nieczyste, kalające swą obecnością poświęcane mury.

I ta sama Marynka, której zniszczono ciało nosi widome ślady rozpusty, dowodzi z całym przeświadczeniem o „grzechu” Kaśki uosobionym w dziecku rzucającym się w łonie dziewczyny.

Marynka przecież umysłem praktycznym zastanawiała się nad dalszym losem Kaśki. Chciała koniecznie dopomóc tej nieszczęśliwej istocie, która, zmęczona i zgnębiona, drżała w kącie bramy.

Wypytałszy się o stan kasy i inne drobne szczegóły, Marynka powzięła nagle myśl, która w tej chwili okazywała się jedyną deską zbawienia.

– Zaprowadzę cię do Sznagłowej.

Kaśka spojrzała na rozpromienioną przyjaciółkę.

– Kto to Sznagłowa?

– To bardzo porządna kobieta, mieszka na Gliniankach, chodź tylko. Już ona cię do choroby przechowa i wyżywi.

– Nie mam jej czym zapłacić – wyjąkała Kaśka.

– Ach, ty bałwanico jedna... Sznagłowej tylko panie płacą. My idziemy w dług. Jak będziesz już zdrowa, pójdziesz na mamkę i dług Sznagłowej za ciebie ci, co cię wezmą, zapłacą. No, rozumiesz?

Tak! Teraz Kaśka zrozumiała całą kombinację. Mniejsza z tym, pójdzie „w dług” do Sznagłowej, byleby miała tylko dach i kawałek chleba, a dla dziecka jaką szmacinę. Potem, kto wie – może się znajdą litościwi ludzie, którzy pozwolą jej zabrać dziecko ze sobą i nie rozłączać się z nim wcale.

Chętnie więc powstaje z ziemi i kieruje się na ulicę. Do Glinianek z przedmieścia niedaleko. Marynka podejmuje się przeprowadzić przyjaciółkę i zarekomendować Sznagłowej. Pani jej wyszła, dziewczyna więc ma wolny wieczór przed sobą i spożytkuje go dla poprawienia doli nienawidzonej dawniej przez siebie rywalki. Obie kobiety wydostały się szybko na wały okalające miasto. Wieczorna wiosenna woń rozlewała się w powietrzu. Na wałach cicho było i spokojnie. Tylko rozkochane pary szybko mknęły w cieniu wzdłuż rowów, kopanych przez żołnierzy. Ciemno było dokoła, a była to ciemność wioskowa, nie przerywana żółtym światłem gazu. Gdzieś tam błyszczwały tylko światełka spoza krzaków. To małe okienka domków, ukrytych w gęstwinie. Domki te rosły nad drogą, jak grzyby niskie o płaskich pokrywach. Było ich wiele, cały szereg większych lub mniejszych, stosownie do zamożności właściciela.

Przed jednym z tych domków zatrzymała się Marynka. Ponieważ stał na wzgórzu, drewniane schodki ułatwiały możliwość dostania się do wnętrza. Domek był mały, niski, zapadnięty w ziemię. Okolony cały drzewami, tonął prawie w wiosennej delikatnej zieloności.

W oknach świeciło się słabo. Jedno z tych okien starannie było przysłonięte podartą jakąś szmatą. Przez rozdarte tkaniny przedzierały się smugi bladego światła, formując rodzaj krzyża na tle ciemnym.

Kaśka zauważyła to okno, wstępując po drewnianych, na wpół przegniłych schodach. Wpatrzyła się w to rozdarcie zasłony, tak dziwnie tworzące krzyż świetlany, i oczów od tych jasnych smug oderwać nie mogła. Dwie postacie stały przy samym wejściu do domku. Dwie kobiety rozmawiały pochylone ku sobie. W nocnej ciszy do uszów dziewczyn doleciały następujące słowa, wypowiedziane jakimś dziwnie ostrym szeptem:

– Wypić po połowie rano i wieczór, potem trzy dni czekać... jak nie poskutkuje, przyjść znów. Dam jeszcze raz tyle.

– To sama Sznagłowa – wyrzekła Marynka, ciągnąc Kaśkę za spódnicę, a potem dodała podniesionym głosem: – dobry wieczór, pani Sznagieli, prowadzę pani dobry interes, będzie pani kontenta.

Rozmawiające kobiety odsunęły się szybko. Jedna pozostała u drzwi domu, druga zaczęła iść ku schodom. Otarła się o wchodzącą właśnie na płaszczyznę Kaśkę. Była ubrana strojnie, w dolma-

nie<sup>53</sup> ubranym dżetami, które w ciemności zaświeciły jak świętojańskie robaczki. Twarz zasłaniała starannie ręką ubraną w długą, ciemną rękawiczkę.

Gdy przeszła, Marynka uśmiechnęła się pogardliwie.

– Jakaś marmuzela, niechby tylko Sznagłowa dobrze zdarła, bo to płacić może taka diablica.

Tymczasem Sznagłowa wysunęła się z cienia i stanęła obok oświetlonego okna. Kaśka ujrzała wtedy szczupłą, niską kobietę o czarnych oczach, czarnych włosach i śniadej cerze. Ubrana skromnie, nawet biednie, miała powierzchowność spokojnej, cichej żony rzemieślnika, oczekującej na powrót męża. W ręku tylko ścisnęła małą flaszeczkę, pełną brunatnego płynu. Flaszeczkę tę starała się ukryć przed przenikliwymi oczami Marynki.

– Kogoż mi to panna prowadzi? – zapytała wolno, starając się rozróżnić cokolwiek wśród ciemności.

– Moją krewniaczkę – odparła Marynka – weź ją pani do siebie na wikt i stancję, a to ona pani odsłuży. Zresztą, patrz pani, jaka machina... to będzie dobra mamka i weźmie pani za nią grube pieniądze.

Sznagłowa nie poruszyła się nawet z miejsca.

– Chodź panna tu bliżej – wyrzekła do Kaśki.

Marynka popchnęła przyjaciółkę i w mgnieniu oka Kaśka znalazła się tuż przed Sznagłową. Światło, bijące z okna, oblało jej wynędzniałą postać. Drżąca i pokorna, stała blednąc pod badawczym wzrokiem Sznagłowej. Mogła być znów wypędzoną i nie wpuszczoną do tego domku, w którym przecież musiało być ciszej i spokojniej niż na Wysokiej Górze.

Ale Sznagłowa zmysłem znawcy pojęła, że ta wielka, tęga, pysznie zbudowana kobieta może przedstawiać dla niej świetny interes. Jako mamka Kaśka mogła być nieopłacalną teraz, gdy do-brych, silnych mamek brakowało coraz bardziej. Dlatego po chwilowej pauzie zwróciła się ku drzwiom, a roztwierając je, wyrzekła niemal rozkazująco:

– Wejdz panna!

I Kaśka wstąpiła poza ten próg, który przebyć gorąco pragnęła. Na samym wstępie przecież cofnęła się mimowolnie. Stłumiony, bolesny kobiecy jęk powitał ją w progu. Jęk ten wydostawał się z izdebki, której drzwi szczelnie były zamknięte. Według wyrachowania Kaśki okno przysłonięte rozdartą zasłoną należało właśnie do tej izdebki. Któż mógł jęczeć tak żałośnie poza tymi drzwiami, poza tym oknem, które pokrywał rodzaj śmiertelnego całunu, znaczonego świetlanym znakiem krzyża?... Kaśka stała w progu, wsłuchując się w te jęki.

Instynktem, wrodzonym każdej kobiecie, zrozumiała znaczenie tej bolesnej skargi. Sznagłowa rozmawiała jeszcze z Marynką, stojąc we drzwiach, zwrócona twarzą na zewnątrz.

Nagle drzwi izdebki otwały się z trzaskiem. Młode, zaledwie czternastoletnie dziewczę, bosa i odziane nędzną, podartą spódniczką, wypadło na środek sieni. Nie zważając na Kaśkę, pobiegła ku Sznagłowej, a pociągnawszy ją za suknię, zawołała:

– Matka! chodź!... nieżywe.

Sznagłowa odwróciła się szybko.

– Czego wrzeszczysz! – wyrzekła, kierując się w stronę izdebki – masz klucz od komody, idź po papier i po szpilki, a nastaw też garnuszek rumianku dla chorej.

Domówiwszy tych słów, podała małej dziewczynie niewielki kluczyk i znikła we drzwiach izdebki.

Dziewczyna z szelestem i hałasem otworzyła drugie drzwi po przeciwległej stronie i wbiegła do drugiej połowy domu. Kaśka, zapomniana przez wszystkich, oparła się o ścianę i patrzyła strwożona przed siebie.

Cicho było teraz dokoła. Jęki ustały, słyhać było tylko krzatanie się Sznagłowej po izdebce.

Nieżywe!

Zapewne dziecko, które kobieta, ukryta poza tymi drzwiami, rodziła, skarżąc się tak boleśnie.

Nieżywe!

---

<sup>53</sup> dolman (tur.) – tu: rodzaj szerokiego płaszcza damskiego, noszonego zamiast peleryny

Trup witał Kaškę w progu tego domu, trup dziecka, które nigdy świata oglądać nie miało, a przecież już żyło w łonie matki, cierpiało z nią wspólnie i wspólnie się cieszyło!...

Kaška mimo woli ręce przycisnęło do łona. Czyż i ona po to cierpi i tak długo nosi swe dziecko w sobie, aby urodzić tylko trupa?

Hałas otwieranych drzwi i szelest papieru zbudził ją z zadumy. Mała, bosa dziewczyna przeleciała jak strzała i zapukała do drzwi izdebki. W ręku miała wielki arkusz żółtawej bibuły i kilka szpilek, wetkniętych w małą aksamitną poduszeczkę.

Drzwi uchyliły się, ale oprócz Sznaglowej ukazała się w nich jeszcze jedna postać. Była to wysoka, tęga, dobrze zbudowana dziewczyna, ubrana w spłowiałą różową suknię. Nogi miała bosc, ale za to włosy, uczesane wysoko, zdobiła kokarda z niebieskiej wstążki. W ręku trzymała książkę żółtą, małą książczynę, ozdobioną czarnym rysunkiem na karcie tytułowej.

Przeszła przez sień z miną zdeterminowanej królowej.

– Nawet *Izabelli*<sup>54</sup> dokończyć nie mogę przy tych waszych hałasach – wyrzekła skrzeczącym głosem – mogłybyście się też ciszej obie zachować i nie przeszkadzać mi w czytaniu.

Ale ani mała dziewczyna niosąca papier, ani Sznagłowa nie zwracały teraz uwagi na zadąsaną bosą elegantkę. Sznagłowa szybko pochwyciła papier i szpilki i przymykając za sobą drzwi izdebki, wyrzekła do swej młodszej córki:

– Idź, Madi, na ogródek, podam ci przez okno!

Lubownicza powieści hiszpańskich weszła tymczasem do dalszych części domu. Mała zaś dziewczyna, nazwana imieniem Madi, wybiegła przed dom, nie zwracając uwagi na Kaškę, przituloną wciąż do ściany. Po upływie jednak kilku minut Kaška uczuła budzącą się w niej ciekawość, tak właściwą każdej kobiecie. Wysunęła się ostrożnie z sieni i spojrzała na zewnątrz. Przed okienkiem, pokrytym zasłoną, stała Madi, pogwizdując walca. Czekwała widocznie na coś, bo obnażone ramiona wyciągała przez przyzwyczajenie przed siebie, a palcami poruszała niecierpliwie. Po chwili otworzyło się okienko i zasłona uniosła się u dołu cokolwiek. Madi wyciągnęła ręce i porwała jakiś przedmiot dość duży, owinięty w żółtawy papier i owiązany cienkim szpagatem. Przedmiot ten wysunął się tuż spod stóp świetlanego krzyża, błyszczącego na ciemnym tle zasłony.

– Na Glinianki, tylko do tych nowych dołów – dał się słyszeć przyciszony szept Sznaglowej.

Madi szybko ukryła zbyt jasny pakunek pod podartym fartuchem i nie przestając gwizdać walca, pobiegła jak koza i znikła w zaroślach otaczających domek dokoła.

Okienko się zamknęło, zasłona zapadła, a Kaška stała długo, wpatrzona w ten jasny krzyż, spod stóp którego ukazał się pakiet, owinięty w żółtawy papier. Co było poza tą zasłoną?

Czy tylko nieszczęście i hańba, czy i zbrodnia także?

Kaška powoli przestała się dziwić wszystkiemu, co ją teraz otaczało. W pierwszych dniach chodziła jak obłąkana, potykając się co chwila o jakieś wybladłe, schorowane kobiety, uwijające się po domu. Była to procesja, snująca się nawet w nocy, procesja niosąca jako chorągiew – niedolę i cierpienie.

W tłumie tych kobiet nierzadko pojawiały się strojne damy, woniejące z daleka heliotropem, kryjące twarz pod delikatną gazową zasłoną. Przeszływały wysoki próg domu, unosząc szeleszczące sukienki, a ich złotawe wiosenne buciki migały na ciemnym tle sieni jak skrzydełka motyli. Mówiły do Sznaglowej „kochana pani” i głos drżał im lekko, gdy się z nią żegnały. Mówiły „do widzenia”, ale czuć było w tym słowie chęć niepowrócenia więcej do małego domku na Gliniankach.

Sznagłowa odprowadzała te strojne pacjentki aż do samych schodów, a zginając się prawie aż do ziemi, wołała swym ostrym, syczącym głosem:

– Niech pani będzie tylko spokojna!

Z biedniejszymi kobietami mniej zadawała sobie trudu. Niejedną bladą i schorowaną dziewczynę odpędziła bez litości.

---

<sup>54</sup> *Izabella – Izabella królowa Hiszpanii, czyli tajemnice dworu madryckiego*, romans Jerzego Borna, wydany w Warszawie w 1870 roku



– U mnie nie szpital! – wołała, przyrządzając jakieś proszki i przesypując je do równo pociętych żółtych papierków.

Sznaglowa musiała pochodzić z Niemiec, gdyż nawet akcent mowy zdradzał to pochodzenie. Imiona córek, Madi i Fina, również były w użyciu tylko na wiedeńskim bruku. Skąd się tu wzięła ta kobieta, która w bardzo krótkim przeciągu czasu zdołała nabyć na własność domek i kawałek gruntu? – nikt o tym nie wiedział.

Przyszła biedna i nędzna, z dwiema drobnymi dziewczynkami i wynajawszy domek, wywiesiła szyld z wypłowiałym okiem Opatrzności na niebieskim tle. Pod spodem widniał napis: „F. Sznagiel *Hebamme*”<sup>55</sup> – to była cała jej rekomendacja.

Powoli przecież ściągnęła do siebie znaczną klientelę i jak ludzie opowiadali, zarabiała grube pieniądze. Ukrywała wstyd i hańbę ludzką, nie wahała się nigdy przed spełnieniem zbrodni – na prawo i na lewo rozdawała zabójcze środki. Wszystko jej było jedno, co się stanie potem, byle zapłata była sowitą i z góry wyliczoną.

Niekiedy zjawiała się w domu jaka stara, siwowłosa kobieta chcąc swe dziecię uchronić od jawnych dowodów hańby. Sznaglowa wyporządzała wtedy szybko jedną ze swych izdebek, a nocną porą wracała znów na Glinianki nieszczęśliwa matka, prowadząc ze sobą bladą i zropaczoną dziewczynę. Zostawiała ją na czas dłuższy, a po upływie kilku miesięcy zabierała, aby ją później w mirtowym wieńcu i niepokalanej zasłonie dziewiczej oddać silnie wierzącemu człowiekowi za żonę. I cała hańba i niedola kobieca, cały upadek kobiet i podłość mężczyzn, całe rozwiązanie komedii miłosnej mieściło się pod dachem tego domku, tonącego teraz w zieloności wiosennej. Kobieta o spokojnych ciemnych oczach i gładko przyczesanych włosach rozsiewała stąd mord i zbrodnie, w nocy wysyłała tajemnicze pakunki pod fartuchem swej nieletniej córki, zabijała istoty żyjące w łonach swych matek, a czyniła to wszystko za stosowną opłatą, która miała w przyszłości stanowić posag jej własnych dzieci.

A dziewczyny te były to istoty zupełnie wyjątkowe. Jedna z nich, starsza, odznaczała się niezwykłą urodą, olśniewającą na pierwsze wejrzenie. Pełna, o bogatym gorsie brunetka, miała wszelkie wady i upodobania kobiet stworzonych do upadku. Dnie całe trawiła nad książką, zanurzywszy pulchne ręce w zafryzowanej, gęstej grzywce. Lubiła chodzić boso i wachać bez lub róże. Wypijała zwykle polewki winne, przygotowane dla bogatszych chorych, i z czystym sumieniem chrupała ich kurczaki. Czytała przeważnie niezwykle powieści Borna, choć i tkliwe romanse angielskie w lichym przekładzie wrzuszały ją do głębi. Gdy wychodziła na ulicę, stroiła się jak lalka i malowała brwi chińskim tuszem. Brzydziła się rzemiosłem matki, choć bardzo często kończyła najspokojniej ostatni tom jakiegoś romansu przy przejmujących jękach jakiej konającej kobiety. Nazywano ją Fina i nie cierpiano w domu za dumę i samolubstwo. Ona wrzuszała ramionami – uważała ten dom za rodzaj przedsionka do pałacu, w którym, według jej mniemania, życie jej miało upływać. Tymczasem piła wino, kradła chorym wodę kolońską, zmieniała codziennie kolory podwiązek i czytała romanse.

Madi, ta młoda dziewczynka, która gwizdała walca owego pamiętnego dla Kaśki wieczoru, była pełnym przeciwstawieniem swej siostry. I ona zapowiadała na przyszłość niezwykłą piękność, lecz dziś było to jeszcze chude, źle wyrosnięte dziewczę, najczęściej bose i oberwane. Nadzwyczaj żywa, cały dzień czynna, pełna pomysłów, wiecznych projektów, wtajemniczona przez matkę we wszystkie sekreta, uwijała się przez dzień cały po domu, gwizdząc jak konik polny. Z dziwną w tak młodym dziecku energią zajmowała się chorymi, dozorując je, przepisując dietę, a nawet środki uzdrawiające. Sznaglowa ufała zupełnie córce, w trudnych jakich wypadkach przywoływała ją do pomocy, a gdy wychodziła z domu, uspakajała wszystkie słowami:

– Madi zostanie przy was.

I rzecz dziwna – chore kobiety przywiązywały się niezmiernie łatwo do tej śniadej dziewczynki, która z pustotą, figłem, śmiechem zbliżała się do ich łóża.

---

<sup>55</sup> Hebamme (niem.) – akuszerka

W chwilach największych cierpień Madi stawała przed pobladałą z bólu kobietą i pytała, śmiejąc się serdecznie:

– Chcesz zobaczyć kauczukowego człowieka?

I wyginała się najkomiczniej, łamiąc się w najdziwaczniejszych pozach, jakby rzeczywiście zrobioną była tylko z kauczuku.

Madi nie знаła różnicy pomiędzy pacjentkami swej matki. Nieraz okradała bogatsze na korzyść biedniejszych, chwytając pomarańcze lub buteleczki z sokiem i wciskając je pod siennik najbiedniejszej i najbardziej opuszczonej. Znając wszelkie tajemnice sztuki uprawianej przez matkę, dopomagała czasem w najwyższym sekrecie jakiej biednej nędzarce na własną rękę i tylko dla zadowolenia serca. Zrodzona w tej atmosferze zbrodni, uważała podobny czyn za dobrodziejstwo i gwizdała dwa razy głośniej, gdy udało się jej sfabrykować na swój rachunek flaszeczkę sporyszu<sup>56</sup>. Siostrę nienawidziła, nazywając ją „grandesą” i paląc romanse, gdy je spotkała na drodze.

Oprócz tych dwóch dziewczyn mieściło się jeszcze w domu troje dzieci, troje biednych, opuszczonych sierot, zrodzonych w hańbie i na pastwę ludzi porzuconych.

Sznaglowa podjęła się widocznie wychowania tych istot, z których najstarsze zaledwie trzy lata wieku liczyło – najmłodsze, kilkunastomiesięczne, blade i wynędzniałe, leżało ciągle w kołysce, stojącej przy piecu. Skrzeczało czasem cichutko jak ślepe szczenię, pomimo że cieszyło się największymi względami Sznaglowej i jej córki. Sznaglowa doglądała baczniej dziecka dla tej przyczyny, że płacono zań regularnie, a matka przychodziła co niedzielę i przesiadywała całe popołudnie u kołyski dziecka. Była to młoda i wynędzniała nauczycielka, uwiedziona przez swego chlebobdawcę; dziecko kochała i pragnęła dbać o nie. Płaciła niemal połowę swych miesięcznych dochodów i każdą wolną chwilę poświęcała tej drobnej istocie. Sznaglowa na niedzielę zmieniała pościel dziecka i kąpała je w ciepłej wodzie. W niedzielę na komódce stało przygotowane świeżuchne mleko, cukier i woda ryżowa. W zwykłe dni dziecku podawano nieświeże mleko, zaprawne rumiankiem, a czystość gumowego smoczka pozostawiała wiele do życzenia. Sznaglowa wiedziała przecież, że biedna nauczycielka w dzień powszedni nie zajrzy na Glinianki, a dziecko poskarżyć się jeszcze nie może. Madi miała tyle do czynienia w całym domu, że specjalnej uwagi biednemu niemowlęciu poświęcić nie mogła. Chwytała je czasami tylko i huśtała wysoko jak lalkę, śpiewając przy tym wiedeńskie piosenki. Dwoje innych dzieci radziło sobie za to, jak mogło, włączając się po całym domu, blade, bezkrwiste, z wielkimi brzuchami i głowami podobnymi do dyni. O najstarszym, trzyletnim chłopczyku, matka zapomniała zupełnie. Odjechała z miasta, urodziwszy to dziecko, i nie dała więcej znaku życia o sobie. Była to córka jakiegoś rzemieślnika, która później zapewne wyszła za mąż i była wzorową matką rodziny. Sznaglowa złościła się nieraz po swojemu na ten ciężar, rzucony jej na ręce, choć bardzo często zapominała zupełnie o egzystencji chłopca. Dziecko było ciche, nieśmiałe, jakby przybite jakąś wielką troską, która mu mózg tłoczyła. Radziło sobie samo, żywiąc się obierzynami, kośćmi, ogryzkami owoców, jedząc wszystko, co się po ziemi wałowało, jak młode szczenię, tułające się bez pana. O jedzenie nie upominało się nigdy, jakby czując, że w domu tym obcym nie było dlań przy stole miejsca ani prawa. Nie śmiał się nigdy ten błądy chłopczyk o wielkich niebieskich oczach i tulił się zawsze w najciemniejsze kąty, aby nie spotkać Finy, nienawidzącej go wyjątkowo. Gdy czytała *Marcina podrzutka*<sup>57</sup>, kopnęła go silnie za to, że włączając na schodki, uczeplił się jej sukni. Chłopiec spadł ze schodków i od tej chwili unikał tej panny, która tak źle nań patrzyła. Średnie dziecko, dziewczynka jasnowłosa, skrofuliczna i źle zbudowana, siedziała dnie całe na piasku ogródka, grzejąc w słońcu swe wykrzywione nogi i obrzękniętą szyję. Była to sierota – matka jej zmarła w tym samym domku po strasznych i długich męczarniach. Dziecko cudem utrzymało się przy życiu, a że kobieta była osamotniona, a co więcej, otaczała się tajemnicą, nie wiadomo było, dokąd dziecko odesłać. Trzymano je w nadziei, że może się ktoś wreszcie zjawi i zapłaci kosztą nędznego pożywienia dziewczynki. Dozór nad tą gromadką trzymała Madi – ona to kierowała ich wychowaniem, wydzielając gałgany, okrywające te bezkrwi-

<sup>56</sup> sporysz – lekarstwo na spędzenie płodu

<sup>57</sup> *Marcin podrzutek* – sensacyjna powieść Eugeniusza Sue (1804-1857), pisarza francuskiego z okresu romantyzmu

ste, biedne ciała. W chwilach wolnych od zajęć koło chorych z całym właściwym sobie zapałem zajmowała się dziećmi. Były to, szczęściem, rzadkie bardzo chwile, bo wtedy przejmujące krzyki dzieci rozlegały się po całym domu. Madi szorowała je cegłą lub piaskiem, zawijała im papiloty tuż przy samej skórze lub usiłowała gwałtem wyprostować nóżki skrofulicznej dziewczynce. Czyniła to wszystko w najlepszych zamiarach, ale rządząc się zawsze niezwykłą fantazją, sprawiała biednym dzieciom męczarnie Tantara<sup>58</sup>. Gdy które było chore, próbowała na nim swych nadzwyczajnych środków domowych, o których miała wysokie wyobrażenie. Wobec tak zastosowanej medycyny, nieraz trujących ziół, wlewanych przemocą w gardło dziecka, zaliczyć trzeba było do cudów, że biedne te istoty wlokły swój żywot dotąd. Były to marionetki, zdane na łaskę i niełaskę narwanej dziewczyny, psiaki, karmione ogryzkami, sznurkujące pod ścianami, śpiące na lichych sienniczkach, z których słoma na w pół przegniła zanieczyszczała powietrze.

Nieraz spod łachmanów, naśladowujących kołdrę, wychylała się główka przystrojona w papiloty, zawinięte kilka dni temu przez Madi w przystępie dobrego humoru.

Sznaglowa zajmowała się także umieszczeniem dzieci urodzonych w jej domu lub przyniesionych w tym celu z miasta. Zjawiały się wtedy, jakby wywołane czarodziejskim zaklęciem, wiejskie opalone kobiety, z piersiami zapadłymi i wyschłymi od braku pokarmu. Niemniej przecież Sznaglowa oddawała im bez wahania powierzone swej pieczy niemowlęta, targując się o zapłatę, której połowa pozostawała zwykle w jej kieszeni. Kobiety odchodziły unosząc płaczące dzieci i paczki z cukrem lub też kawą. Zjawiały się potem rzadko, przynosząc w płachcie źle odżywione, brudne i smutne dzieci. Sznaglowa przecież nie robiła im nigdy w tym względzie żadnych wymówek. Rzucała przelotne spojrzenie na te drobne, wynędzniałe istoty, które milczeniem swoim skarżyły się przecież boleśnie, i odprawiała szybko kobiety, uiściwszy im zapłatę. Dla niej wystarczał fakt, że dziecko żyje. Była jednak bardzo przezorna i nie płaciła nigdy należności z góry, przewidywała fakt śmierci dziecka, zdarzający się na dziesięć najmniej sześć do siedmiu razy. Wówczas obliczała skrupulatnie dni, umiając z nadzwyczajnym sprytem wyciągnąć z chcącej ją oszukać chłopki całą prawdę. Ona przecież nie zawiadamiała o tej prawdzie osoby opiekującej się zmarłą dzieciną – ta biedna istotka spała nieraz dawno pod mogiłą, gdy pensja, płacona za jej utrzymanie, powiększała sumę posagową Madi lub Finy. Historia o prawdzie i oliwie nie sprawdziła się pod dachem tego domku – wszystko się to kryło z dziwną przebiegłością. W nocy wrzucano trupy noworodków w rowy okalające Glinianki; nieradko umierała kobieta sina i zgangrenowana, straszny dowód nadużycia trującego środka; bito i głodzono żyjące istoty, za które matki płaciły grosz ciężko zapracowany; wysyłano dzieci na zagładę i śmierć pewną do nędznych chat, przepełnionych zabójczymi miazmatami i wilgocią; targowano mięsem żywym w postaci mamek trzymany na uwięzi przez ów „dług” tradycyjny – a mimo to cicho było i spokojnie dokoła tego małego domku.

Bez kwitł białe i niepokalane, zaglądnąc do drobnych okienek, poza którymi działy się te straszne rzeczy. Dokoła drzewa szumiały, potrząsając młodziutkimi liśćmi, a ptaszki świegotały przy wschodzącym słońcu.

Zdawało się, że jest to jakiś odrębny, zaczarowany światek, wolny od wszelkich przepisów politycznych, wyrzutów sumienia i myśli o kryminalne. Sznaglowa na wzmiankę o c. k. policji uśmiechała się dwuznacznie, a Madi gwizdała wtedy z całą zapamiętałością piękny i poważny hymn grywany przez Burgmusic<sup>59</sup>.

Kaśka powoli wpatrzyła się i przyzwyczaiła do tego, co ją otaczało.

Sznaglowa zdjęła z niej łachmany i dała jej koszulę Finy i swoją spódnicę, zniszczoną i za krótką z przodu, wlokącą się z tyłu, ale przynajmniej całą i czystą. Madi dołożyła ze swej strony jakiś dziwny kaftanik, który okazał się za ciasny na szerokie plecy dziewczyny. Wstawiono więc na plecach łatę z czarnego kamlotu, która dziwnie odbijała od czerwonej flaneli kaftanika.

Madi jednak była zachwycona swym dziełem i przysięgała Kaśce, że nic podobnego nawet w Wiedniu nie noszono. Kaśka uśmiechnęła się i z wdzięcznością przyjęła ofiarowane stroje. Była tak

<sup>58</sup> Tantal – mityczny król frygijski; za pychę i okrucieństwo ukarany przez bogów wiecznym pragnieniem i głodem

<sup>59</sup> Burgmusic (niem.) – kapela cesarska w Wiedniu

szczęśliwą, zrzuciwszy te wstrętne łachmany, że hecarski kaftanik Madi zdawał się jej królewską szatą. Sznaglowa zaczęła teraz odżywiać dziewczynę, dając jej pożywienie zdrowe, odpowiednie do stanu, w jakim się Kaśka znajdowała. Ona i Madi przyrządzały to jedzenie w wielkiej misce, mieszając rozmaite potrawy i zalewając to wszystko wrzącym mlekiem.

– Na! jedz! – mówiła Sznaglowa, stawiając miskę na ławie.

Podczas gdy Kaśka jadła, Sznaglowa stała nieruchoma, milcząca, śledząc każdy ruch dziewczyny. Gdy Kaśka, nasycona, podnosiła głowę, Sznaglowa rozkazującym gestem zmuszała ją znów do jedzenia. Z drugiej strony Madi z garnkiem, w którym dymiła resztką mleka, stała baczna na każde skinienie matki, dolewając i mieszając bezustannie w misie, z której jadła Kaśka.

Miały miny gospodyń doglądających tuczenia nierogacizny. Czymże dla nich innym była ta dziewczyna? Prostym towarem, który za kilka miesięcy, stosownie do wagi i tuszy, zbyć należało.

Kaśka powoli zrozumiała ten stan rzeczy. Początkowo jadła chętnie i dużo, wygłodzona od dawna, bo nawet u Budowskich nie miała odpowiedniego pożywienia. Powoli przecież natarczywość Sznaglowej i jej córki zaczęła ją zmieniać i sprawiać jej przykrość. Nie rozumiała tego gniewu wobec braku apetytu, który ją czasem napadał. Sznaglowa zacinała wtedy usta i syczącym głosem nakazywała jej posłuszeństwo. Było w tym głosie tyle groźby, że Kaśka mimo woli schylała głowę i przymuszała się do jedzenia. Madi przecież nie ukrywała przed Kaśką celu, dla którego żywiono ją tak obficie. Za pierwszym słowem Kaśka pojęła sytuację i poddała się jej z całą rezygnacją. Zresztą była to jedna z najmniejszych przykrości. Głód i nędza były o wiele dokuczliwsze. Kaśka pozwoliła się paść i tuczyć z wielką uległością. Ale tuczenie to nie wypadło pomyślnie. Sznaglowa, patrząc na dziewczynę, krzywiła się z niezadowolenia. Kaśka mizerniała i bladła z dniem każdym. Bładość ta miała odcień żółtawy i trupi prawie. Widocznie ta trywialna, prosta dziewczka miała jaką moralną chorobę, która podkopywała jej organizm, obracając wniwecz starania mądrej i przezornej pani Sznagiel. Na to cierpienie nie było środka w podręcznej apteczce akuszerki. Mogła jej nakazać jeść i spacerować po ogródku, ale przerwać bieg jej myśli – obrócić w nicość wspomnienia, zatrzeć przebyte walki lub zakryć przeszłe cierpienia, na to uczonej dama poradzić nie mogła. Kaśka nikła z dniem każdym.

A przecież Kaśka nie była bohaterką sentymentalną, roztkliwiającą się nad własną niedolą. Nie! ona była tylko smutna, bo inną być nie mogła wobec tego, co ją spotykało i co dało jej życie, świat i ludzkie. Nie płakała teraz wcale, chodziła milcząca, wykonywając wszelkie polecenia Sznaglowej. Straciła swą wolę – zresztą ona nie miała jej prawie nigdy. O Janie myślała teraz częściej niż dawniej, może dlatego że miała więcej wolnego czasu. Rozpamiętywała jego zdradę i chwilami zaciśkała pięści, jakby chcąc rzucić się na te mury, wywołane własną wyobraźnią. Czasami znów ogarniało ją głupie rozrzewnienie. Była to kobieta przeciętna, czyniąca wszystko w połowie. Nie umiała przebaczyć zupełnie, lecz szamotała się między nienawiścią i przywiązaniem serdecznym.

Stała się znów nabożną pomimo nielitościwego obejścia, jakie ją ze strony kościoła spotkało. Uznawała swój grzech i odmawiała codziennie przepisaną przez księdza ilość pacierzy. Szeptala je bardzo głośno, klęcząc w kącie kuchenki obok siennika, na którym sypiała. Często krzyki chorej zagłuszały tę bezmyślną modlitwę. Kaśka, drżąc z przestachu, tuliła się do ściany, zatykając rękami uszy – jęki te rozdzierały jej serce i napełniały szaloną trwogą.

I ona tak cierpieć będzie, i ona tak wśród nocy jęczeć będzie, wzywając litości boskiej i ludzkiej pomocy! Oh! gdyby ta chwila nie nadeszła nigdy...

Nic bardziej przejmującego grozą, jak jęk kobiety rodzącej, gdy rozlegnie się nagle pośród nocnej ciszy. Kaśka, oblana potem, blada z przerażenia, cierpiała bardzo, słysząc te głosy, podobne raczej do wycia zwierzęcia. Do izdebek, zajmowanych przez chore, nie wpuszczano jej nigdy. Sznaglowa obawiała się wzruszenia i ograniczała posługi Kaśki na przynoszeniu wody, gotowaniu ziółek lub praniu bielizny. Zresztą zamożniejsze chore miały „dyskrecję zapewnioną”. Wskutek czego sama Sznaglowa i Madi wystarczały.

Kaśka przywiązała się bardzo do dzieci, do tych opuszczonych, schorzałych sierot, włączających się dzień cały po domu, jak małe kocięta bez matki. Uczucie to, bardzo właściwe w każdej kobiecie

mającej zostać matką, odezwało się w niej z wielką siłą. Pomimo zakazu Sznaglowej, aby dzieci nie brała na ręce, wyprowadzała je do ogródka i tam godzinami całymi huśtała lub bawiła. Patrząc na te biedaki okryte łachmanami, głodne i opuszczone, doznawała ściśnienia serca. Więc taka dola podobnych istot? Więc i jej dziecko może tak poniewierać się będzie pomiędzy ludźmi?!

I nagle przysłała jej myśl o możliwej śmierci, tym bardziej że wczoraj wyniesiono z domu trupa dziewczyny, silnej i zdrowej, która, urodziwszy nieżywe niemowlę, we dwie godziny później zmarła. Czy i ona miałaby zamrzeć tutaj jak pies, bez księdza i modlitwy, zostawiając może żywe dziecko na łaskę ludzką?

Pragnienie zobaczenia raz jeszcze Jana zbudziło się w niej w tej chwili. Chciała go tylko prosić, aby pomyślał o dziecku na wypadek jej śmierci. Zwierzyła się z tym Marynce, która odwiedzała ją od czasu do czasu. Marynka wyśmiała jej twogę, mówiąc:

– Każda kobieta tak się stracha. To stara rzecz. Ty nie bądź głupia i nie fasonuj. Już cię Sznagłowa śmierci nie da. Baba kuta na cztery nogi, zna swój interes. Wie, że jakbyś umarła, to dług by diabli wzięli. Już ona cię i wypasie, i od złego uchroni.

Kaśka umilkła, nie przekonana wcale. Marynka myślała jeszcze chwilę nad żądaniem Kaśki, po czym rzekła:

– Ty nie wypatruj za tym wyrwipiętą, co cię w taki kram zapędził. Już ja ciebie znam: ty mu niby o dziecku gadać chcesz, a o co innego ci chodzi. Ot! Boże się pożał, co też kobiety mają we łbie. Zmizerowane to, na nogach się utrzymać nie może, a jeszcze za nim patrzy.

Splunęła i zaczęła żuć kwiatki bzu. Ona teraz była bardzo rozsądna i nie oglądała się za mężczyznami. Nawet wpisała się do bractwa różańcowego – kucharka od pani hrabiny namówiła ją do tego kroku.

Kaśka powinna także to zrobić po wyjściu od Sznaglowej. Zawsze to lepiej i przyzwoiciej dla dziewczyny. I ta nowo nawrócona Magdalena ciągnie dalej umoralniające kazanie, wygrzewając w słońcu swe wychudłe ciało dawnej rozpustnicy. Kaśka siedzi tuż obok niej i patrzy smutnie oczami w przestrzeń. Nie! Marynka ją źle osądziła, ona nie miała złego zamiaru w chęci zobaczenia Jana, szło jej tylko o dziecko. Ale Marynka tego pojąć nie może. Za chwilę, gdy Madi zawołała Kaśkę do wieczornego posiłku, dziewczyna pożegnała przyjaciółkę jeszcze smutniej niż zwykle. Marynka, poruszona tym smutkiem, zatrzymała ją chwilę.

– Kaśka, nie bądź ty głupia! Nie przypuszczaj sobie do głowy zgryzoty; jeszcze bez to Sznagłowa cię wygna od siebie i gdzie się potem obrócisz?

Kaśka spojrziała na mówiącą i ciemno jej się w oczach zrobiło. Prawda, Marynka miała rację. Gdyby ją Sznagłowa teraz wygnała, gdzież by poszła, kto przygarnąłby pod dach swój podobne stworzenie?

Dnia tego Sznagłowa była zadowolnioną – Kaśka jadła z pośpiechem, patrząc się przy tym w oczy swej pani z uległością psa bitego. Sznagłowa pochwaliła ją za to, głaszcząc nawet po głowie, a Madi wywinęła koziołka, który w osłupienie wprawił skurczone w kącie kuchenki dzieci...

Upłynęło kilka miesięcy od tej chwili. Termin słabości Kaśki zbliżał się z dniem każdym. Ona sama, blada, wystraszona, włóczyła się beczynn timer, pilnowana na każdym kroku przez Sznagłową. Ta ostatnia świetnie pokładała nadzieje i wzięła nawet zadatek z zamożnego bankierskiego domu, w którym także za kilka tygodni spodziewano się potomka. Tam miała Kaśka po urodzeniu dziecka wejść w służbę jako mamka, a Sznagłowa pobierać pensję, niby dla umorzenia długu, zaciągniętego przez Kaśkę w przeciągu tych kilku miesięcy. Sznagłowa zabierała w ten sposób cały dochód Kaśki i otrzymywała odpowiednie wynagrodzenie za nastreczenie mamki, wynagrodzenie tak sowite, że samo mogło szcorderze wystarczyć jako zapłata za koszta utrzymania i wyżywienia dziewczyny. Kaśka czuła, że zaprzedała się w niewolę, ale stała się nieczułą na to, co ją tu spotykało. Wobec przykrych cierpień fizycznych, strasznego osłabienia, dojmujących boleści, jakie przeszywały jej wnętrze, inne zdawało się jej drobnostką. Madi starała się dodać jej otuchy po swojemu, to jest opowiadając o strasznych cierpieniach i męczarniach kobiet, jakich była świadkiem.

– Powiadam ci, Kaśko, to kolosalne podobno, ale zresztą przekonasz się sama, czy to prawda, i powiesz mi później. Mnie się zdaje, że one wszystkie trochę przesadzają!

Ciszej było teraz w domu, bo Fina pojechała do ciotki na miesiąc letnie, zabrawszy ze sobą wszystkie romanse – a średnia, skrofuliczna dziewczynka zmarła po prostu z wycieńczenia.

Nikt oprócz Kaśki nie zwracał uwagi, że dziecko nikło coraz bardziej, chyląc główkę jak uwiędły kwiatek. Pewnego poranku znaleziono ją martwą na brzegu sienniczka. Spała zwinięta w kłębek, blada, z zaciśniętymi rozpaczliwie piąstkami. Miała, tak jak zwykle, wygląd zabiedzonego kociaka. Usunięto czym prędzej Kaśkę z kuchenki i zabrano się do chowania dziecka. W kilka godzin już wynoszono biedną, białą trumienkę nie oznaczoną żadnym nazwiskiem.

Dziecko to nie nazywało się wcale.

Była to piękna, słoneczna niedziela. Kaśka powlekła się powoli poza ogród, okalający domek. Śliczne słońce letnie jaśniało na szafirowym tle nieba, rozsiewając dokoła olśniewające blaski. Domek Sznaglowej stał na wzgórku spadającym z jednej strony ku stromym brzegom dołów, nazywanych Starymi Gliniankami.

Wywóz gliny potworzył w tych miejscach formalne przepaście, na dnię których zółciła się rozwodniona ziemia.

Ogródek, okalający dom Sznaglowej, wznosił się ponad jednym z najgłębszych dołów. Stroma ściana zaczynała się, jakby odcinając równą linię, wśród zielonej, świeżej trawy. Mało ludzi kręciło się w tych stronach. Wszyscy śpieszyli na wały prowadzące za rogatki; tylko rozkochane pary, pragnące samotności, szły Starymi Dołami. Przy rogatkach spotykali się wszyscy, a każdy chwalił się wyborem lepszej drogi.

Kaśka przywlokła się na sam skraj pagórka i położyła się na trawie. Sznagłowa poszła za trumienką dziecka, chmurna i niezadowolona z tej śmierci, która ją o koszta przygotowała. Madi siedziała przy kołysce niemowlęcia, bo lada chwila spodziewano się zwykłej wizyty niedzielnej owej bladej nauczycielki. Kaśka w ten sposób używała rzadkich teraz chwil wolności i swobody. Okrywszy się chustką Sznaglowej, leżała teraz na trawie, bardziej smutna i znękana niż kiedykolwiek. Ten rozkwit letni, to ciepło, te olśniewające blaski raziły i ból jej sprawiały. Czuła się bardzo nędzną, chorą i opuszczoną wobec tego przepychu natury, jaki ją otaczał. Spodziewała się przybycia Marynki i wyglądała jej z niecierpliwością. Zawsze to była jedna przyjazna dusza, która do niej przemawiała dobrym słowem. Nagle zaszleściły gałęzie drzew. Od sąsiedniego ogródka przedierało się kilku mężczyzn, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Czasem spacerujący niedzielni goście skracali sobie w ten sposób drogę, idąc przez ogródki tych małych domków. Płoty niskie nie stykały się z brzegiem przepaści i w ten sposób łatwo przejść można było z jednej posiadłości do drugiej. Był to nawet rodzaj utartej ścieżki, niezbyt uczęszczanej, ale niektórym dobrze znanej. W ogródkach siedziały często postrojone świąteczne dziewczęta i one to skłaniały wypomadowanych lowelasów do obrania powyższej drogi.

Kaśka, przychodząc dziś do ogródka, zapomniała o tych nieproszonych gościach. Gdy poszła szelest poza sobą, za późno było już uciekać, musiała pozostać, leżąc na trawie, okrywając się o ile możliwości najszczelniej chustką. Sądziła, że ludzie ci przejdą i pozostawią ją w spokoju. Pomyliła się jednak w rachubie. Była to gromadka jakichś młodych zuchów, noszących z fantazją swe surduty świąteczne. Olbrzymie fontazie w jaskrawych kolorach zdobiły ich szyje, a gorsy u koszul tych panów uderzały z daleka śnieżną białością. Szli śmiejąc się i rozmawiając głośno, pewni siebie, zadowoleni, jakby wyruszali na podbicie świta. Nadzwyczajne krawaty powiewały szerokimi szarfami pod świeżo wygolonymi brodami tych panów. Szli z fantazją, pogwizdując i śmiejąc się głośno. Przeszli mimo Kaśki, patrząc w stronę Glinianek i plując w głębokie doły. – Jeden wszakże oderwał się od gromadki. Dostrzegł dziewczynę i podbiegł ku niej z gotowym żartem na ustach. Ta tęga dziewczka, leżąca w trawie, ukryta prawie w fałdach chustki, zaciekawiła go. Uśmiechnięty, rozbawiony, stanął prze nią, oblany całą strugą błyszczącego w górze słońca, i pochylił się nawet, aby uszczypnąć śpiącą na pozór dziewczynę, bo Kaśka zamknęła oczy, jakby czując zbliżające się

niebezpieczeństwo. Lecz żart zamarł mu na ustach, gdy nagle ujrzał twarz dziewczyny. Chwilowo zmieszał się nawet, a wyciągnięta ręka opadła wzdłuż ciała.

Stał tak chwilę, jakby wrosnięty w ziemię, pomimo że towarzysze zniknęli już poza płotkiem przyległej posesji. Tylko ich młode, a już chrapliwe głosy wybiegały pomiędzy drzew, tworzących poza płotem dość gęstą zieloną ścianę.

Kaśka, sądząc, że wszyscy już znikli, otworzyła oczy. Wzrok jej padł na stojącego przed nią mężczyznę. Fala krwi uderzyła jej do głowy. Poznała Jana.

Oczy ich spotkały się. Źrenice kobiety, czerwone od łez wylanych podczas bezsennych nocy, podkrążone sinymi obwódkami, wpatrzyły się w świecące zdrowiem i życiem oczy mężczyzny. W oczach tych była zapisana cała historia tych kilku miesięcy: jej męki, jej cierpienia, niepokój, smutek, tęsknota – i jego równowaga, dobre trawienie, sen, odżywianie się i spokój moralny, najlżejszym nie zakłócony wyrzutem.

Dziewczyna wpatrzyła się uporczywie w twarz swego dawnego kochanka. Miała go! Miała narzeczcie tuż przed sobą, mogła mu wypowiedzieć wszystko, co ciążyło jej na sercu. Ale on ocknął się teraz z chwilowej bezwładności. Szybko odwrócił się, pragnąc uciekać. Przypomniawszy sobie scenę na strychu i bał się jej powtórzenia.

Lecz Kaśka porwała się szybko z ziemi i obiema rękami uchwyciła się jego ramienia. Drżała cała jak w febrze, a blade policzki zabarwił rumieniec. Chustka zsunęła się jej z ramion – i stanęła przed nim w całym majestacie macierzyństwa, nie zważając na resztę świata, na ludzi, którzy lada chwila nadejść mogli. On szybkim rzutem oka obrzucił całą jej postać i zrozumiał jej położenie. Szarpnął się gwałtownie, pragnąc uciec czym prędzej od tej matki-kobiety, on – ojciec-mężczyzna! To łono, w którym ukrywało się w tej chwili jego własne dziecko, wydało mu się ohydne, wstrętne, przerażające.

Ale Kaśka z dziwną siłą przykuwała go do miejsca. Palce jej zacinały się kurczowo dokoła ręki Jana, sprawiając mu ból dotkliwy. Przecież nie chciała mu czynić żadnej krzywdy. Chciała mu tylko powiedzieć, że ona lada chwila umrzeć może i pozostawić na świecie sierotę. Dla tej sieroty żądała słusznej opieki.

Czyż nie była w swym prawie?

– Janie! – rzekła przerywanym głosem – jak to dobrze Bóg zrobił, żeś się o mnie natknął. Tak cię chciałam zobaczyć...

– Puść mnie! Czego szarpiesz! – przerwał stróż dość opryskliwie. – Jeszcze mi pysk pazurami rozorziesz, jak wtedy na strychu.

– Nie! o nie! – odrzekła Kaśka, zaciskając coraz mocniej palce – ja ci nic złego nie zrobię... Chciałam ci tylko powiedzieć...

Urwała nagle, nie mogąc dokończyć rozpoczętego zdania. Zdawało się jej, że będzie jej bardzo łatwo wypowiedzieć mu wszystko przy spotkaniu, a przecież głos zamierał jej w piersi, a słowa konały na jej ustach. Widziała go znów! Widziała zdrowego, czerwieniącego się w promieniach słońca, jak dawniej, jak przed rokiem!... Miał nawet ten sam lila krawat i kamizelkę w paski, włosy lśniły się, wyziewając ze siebie woń topolowej pomady. Był tak piękny, silny, strojny, gdy stał przed nią z głową, według zwyczaju odkrytą, z kapeluszem nowym, słomkowym w ręce, pokrytej tombakowymi pierścionkami. I nagle Kaśka zawstydziała się swej nędzy, swego ubóstwa, a przede wszystkim stanu, który ją tak oszpecał.

I ręce jej mimo woli opadły wzdłuż ciała, uwalniając Jana z więzów. Szybko pochwyciła leżącą na trawie chustkę i owinęła się nią, zakrywając pół ciała.

Jan przez ten czas postąpił już kilka kroków, pragnąc przejść do sąsiedniego ogródka, ale Kaśka zastąpiła mu drogę. Stali teraz prawie nad samym brzegiem przepaści, tuż ponad Starymi Dołami, które żółtym dnem lyskały w promieniach słońca.

– Janie! poczekaj chwilę... tak pójść nie możesz! – rzekła znów kobieta. – Widzisz, jestem bardzo biedna i odsiaduję w dług tu stancję. Ale niedługo może już to się skończy, tylko że nie wiem, jak to Bóg pokieruje...

Jan rzucił się niecierpliwie.

– Czego ty chcesz ode mnie? Nie zaczepiaj! – syknął przez zęby – ja do ciebie nic nie mam. Takie, jak ty, włóczęgi, co się biją i co je po furdygach policaje prowadzą, to tylko dyshonor dla porządnych ludzi. Odstap z drogi, mówię, dobrze, a jak nie posłuchasz, to ci jeszcze dam radę!...

Ona, zgorączkowana, nie słuchała prawie grózb jego.

Jedną teraz miała myśl tylko – chciała mu przecież powiedzieć o dziecku, które mogło głodem zamierać, jak ta sierotka, którą ponieśli teraz na cmentarz.

– Ja nic nie chcę dla siebie – zawołała szybko – ja nie mam żadnego żądania, jeno wedle dziecka...

Zamilkła, spuszczać głowę.

Wyrzuciła wreszcie to słowo, tę zbrodnię, to przestępstwo, które popełniła, dając życie, przyoblekając w ciało rozkosz, jaką odbierał od niej stojący przed nią mężczyzna. On popatrzył na nią z jakąś małą złośliwością, gdyż stopniowo odzyskiwał utraconą fantazję.

– Fiu! fiu! – zagwizdał – a to pięknie; no! no! dziecko!... Tańcowała Małgorzatka!...

Kaśka podniosła głowę.

Jak to, więc on tak przyjmuje wiadomość o dziecku? Nie martwi się wcale. Owszem, pogwizduje wesoło, uśmiecha się nawet... Kto wie? Może się namyśli – ożeni!

I pełna radości chwyta go ponownie za ramię, wołając:

– Ach, Janie, jaki ty dobry, że mnie za to nie łajesz! Ja temu nie winna, ale i tak biedna jestem taka...

Jan wzrusza ramionami...

– A za co, u diabła, łąałbym cię? he? Dzieciak to twoja rzecz. Miej go sobie czy nie, to mnie ni parzy, ni ziębi...

Teraz przecież Kaśka nie może się mylić co do intencji wypowiedzianej w tych słowach. Chwilowe zaślepienie znika z jej oczów. On nie chce słyszeć o dziecku, którego jest ojcem. Mówi, że to go nie ziębi, ni parzy!... Więc na nią, na nią jedną spada to dziecko, które się w tej chwili szarpie rozpaczliwie w jej łonie, jakby przeczuwając, że rodzony ojciec wypiera się go i na poniewierkę w świat rzuca. Jakiś szal ogarnia Kaśkę. To nagłe przejście z radości do rozczarowania napędza ją strasznym rozdrażnieniem. Chustka ponownie spadła z jej ramion, ona nerwowo chwyta się Jana i patrzy mu prosto w twarz rozszerzonymi źrenicami. Cały ból, cały ogrom przebytych i spodziewanych cierpień uosabia się dla niej w tej chwili w tym człowieku, który jest przyczyną wszystkich jej nieszczęść i nędzy, do której doszła.

Przez chwilę stała milcząca. Nagle wyprostowała się, a w oczach jej zapaliły się ponure blaski, usta otworzyły, ukazując dwa rzędy ostrych zębów. Bunt nieprzeparty tryskał z jej całej postaci, tak zwykle łagodnej i uległej.

– Ty! ty! – zaczęła – dlaczego gadasz, co dziecko cię nie obchodzi? Gadaj, czemu cię to ani ziębi, ani parzy?

Jan spojrział na Kaśkę i przeraził się wyrazem jej twarzy. W blaskach słońca zionęła cała jakimś dzikim gniewem, który mógł złe pociągnąć za sobą następstwa. Postanowił się od niej uwolnić i uciec jak najprędzej. Robiła na nim wrażenie wariatki. Pochwycił więc szybko jej ręce i silnym ruchem odtrącił ją od siebie.

– Albo to mój dzieciak! – zawołał gniewnie, uciekając jak szalony w kierunku sąsiedniego ogródka.

Kaśka wydała straszny krzyk, jeden, lecz przejmujący do szpiku kości. Potrącona silną ręką mężczyzny, zachwiała się na nogach i zatoczywszy kilka kroków w tył, spadła z wysokości kilku metrów na dno Starych Dołów. Żółta, miękka ziemia przyjęła bezwładne ciało kobiety, które wydatną masą czerniło się na jasnym tle gliny.

Jan tymczasem podążył szybko przez ogródki, aby połączyć się z towarzyszymi, którzy uszli już spory kawał drogi, dziwiąc się, co mogło zatrzymać najweselszego z ich grona i opóźnić w ten sposób partię kręgli, przygotowaną dla nich w rogatekowej bawarii.



Gdy Jan zjawił się nareszcie, powitano go gradem dwuznaczników i tłustych conceptów. On nie zapierał się wcale, dając do poznania, że go spotkała na drodze jakaś przygoda miłosna, która zabrała mu cokolwiek czasu. Towarzysze zazdrościli mu tych łatwych miłostek, które słały mu się pod nogi w dzień biały, po drodze do bawarii.

Wzdychali tylko mówiąc:

– Ten, szelma, ma szczęście!

Ja ciebie chrzczę, Mario, w Imię Ojca! Syna! i Ducha!...

Dziecko jęknęło raz jeszcze pod tym strumieniem wody, którą Madi wylewała mu na główkę, i... konać zaczęło.

Mała naftowa lampeczka, migocąca w kącie izdebki, oblewała mdłym blaskiem sinawy trup dziecka, leżący na kołdrze, pod którą spoczywała Kaśka.

W nogach łóżka stała Sznaglowa, chmurna, milcząca, wściekła na tę wielką dziewczkę, którą znaleziono bezprzytomną w rowie, tuż pod brzegiem ogrodu. W jaki sposób spadła, nie mogła sobie Sznaglowa wytłumaczyć żadną miarą. Kaśka, jakkolwiek przyszła do przytomności, nie odpowiadała na żadne pytanie. Cierpiała strasznie, wydając przeciągłe jęki. Był to przedwczesny poród, niweczący całe nadzieje Sznaglowej, zrywający jej układy z Kaśką i uniemożliwiający odebranie długu. Dlatego prawie wszystkie konieczne posługi koło chorej zdała na Madi, zadawalniając się rolą biernego świadka. Od czasu do czasu wyrzekała tylko głośno, mruczac po niemiecku i obrachowując wszystkie wydatki poniesione na utrzymanie Kaśki.

Madi podzielała zmartwienia matki. Wchodząc w stan jej interesów, widziała także ruinę dość pięknych projektów i zysków, jakie można było wyciągnąć z tej tęgiej mamki. I dlatego Kaśka, pozostawiona prawie samej sobie, męczyła się blisko czternaście godzin, gryząc palce, rwąc włosy i drąc bieliznę. W ciasnej, za dusznej izdebce brakowało powietrza, a okna, zasłoniętego podartą zasłoną, nie otwierano, nie chcąc, aby przechodzący słyszeli jęki męczącej się kobiety.

Zmrok zapadł, a Kaśka ciągle leżała na łóżku, sina, z oczyma głęboko wpadniętymi, z czołem pokrytym kroplami potu. Jeden wyraz tylko wybiegał z jej warg pobladłych. Wołała ciągle: „o Jezu!”, znajdując ulgę w wołaniu tego imienia, które od dziecka w niebezpieczeństwach i smutkach przyzywać zwykła. Chwilami zdawało jej się, że umiera, a wtedy opanowywał ją lęk straszliwy na myśl o śmierci w tej ponurej, smutnej izdebce, z której tyle trupów wyniesiono. O dziecku, które miało przyjść lada chwila na świat, nie myślała już teraz, cała przejęta swym cierpieniem strasznym, zupełnie dla niej nie znanym.

W półmroku, na tle ciemnej zasłony, jaśniał jeszcze krzyż utworzony przez rozdarcie tej szmaty. Kaśka obróciła głowę i wpatrywała się w te smugi. – Tak! teraz jej kolej przyszła, teraz ona leży poza tym krzyżem, jęcząc tak jak inne kobiety, których głosy takim strachem przejmowały ją wśród nocnej ciszy. Czy się ta męczarnia skończy, jak i kiedy? – nie wiedziała, nie śmiała zapytać. Gdy Madi zapaliła lampę i postawiła ją na komodzie na wprost łóżka, przestraszył się jeszcze. Ta czarna noc, osłaniająca ziemię, trwożyła ją nad wyraz wszelki. Zdawało się jej, że leży w trumnie, w jakimś dole wspólnym, rzucona jak zdechłe zwierzę. Przygotowania, które Madi czyniła, pęk szmat rzuconych koło łóżka, jakaś ciemna flaszeczka, a zwłaszcza arkusz papieru, wielki, siny, szeleszczący na rogu komody za każdym ruchem opartej o komodę Sznaglowej, powiększał jej rozdrażnienie. Co są z nią stać miało w tę noc ciemną? Czy jutro jeszcze zobaczy słońko boże? Czy zdechnie marnie bez ratunku i pomocy? Tymczasem zegar ochryplym głosem wydzwaniał godziny. Madi drzemała, skurczona na podłodze, zniechęcona, zmartwiona pieniężną stratą, jaka je spotkała. Sznaglowa zachowywała obojętną maskę akuszerki, której nie wzruszają nawet najstraszniejsze ludzkie cierpienia. Nie drgnęła ani razu, choć krzyk Kaśki przechodził teraz w ryk zwierzęcia pasującego się ze śmiercią. Droga, snującą się pod domkami, przeciągały gromady ludzi pijanych, śpiewających szynkowniane piosenki lub grających na harmonijkach. Wesołe nuty polki lub sztajera mieszały się z jękami Kaśki, a słowo „o Jezu!” dziwnie odbijało na tle tanecznego akompaniamentu.

Potem ucichło wszystko i świętujące gromady powróciły do miasta, a drogę wzdłuż wałów zaległa cisza. Tylko krzyk Kaśki rozlegał się teraz z podwójną mocą, ten straszny krzyk pokuty za krótką chwilę fikcyjnej rozkoszy kobiecej.

Ona, coraz bardziej zmieniona, straszna, podobna do widma, z głową w tył cofniętą, rękami skurczonymi chwytając brzegi kołdry szarpiąc je nerwowo. Powoli nawet krzyk zamierał w jej pierś, rozpoczęło się chrapliwe rżenie, przechodząc w drżący, ciągły jęk, podobny do jęku jesiennego wichru. Wtedy Sznaglowa ocknęła się ze swej nieruchomości i oderwawszy się od komody, zbliżyła się do łóżka.

Kaśka obłąkanym wzrokiem patrzyła na nią, odpychając jej ręce, to znów chwytając się jej sukien jakby deski zbawienia.

Madi stanęła obok, zasnana, przecierając klejące się mimo woli oczy.

W kilka minut później jeden straszny krzyk wstrząsnął ściany izdebki, a jak słabe echo krzykowi temu odpowiedział cichy, ledwo dosłyszalny płacz dziecka.

Kaśka wstrząsnęła się nerwowo.

Coś nieokreślonego przebiegło całe jej ciało i ścisnęło serce. Instynktowo wyciągnęła naprzód ręce, dziwne rozrzewnienie opanowało ją całą. To zwierzęce przywiązanie do dziecka tak targnęło jej całą istotą. Ale siły ją opuściły, wyciągnięte ręce opadły wzdłuż ciała – i wyczerpana nienaturalnym przebiegiem porodu, osuwała się bezprzytomnie na poduszki.

Tymczasem Madi zajęła się dzieckiem. Była to dziewczynka ośmiomiesięczna, pomarszczona, a choć dobrze zbudowana, nie rokująca dłuższego życia nad kilka minut, w najlepszym razie – godzinę.

Sznaglowa, zajęta trzeźwieniem Kaśki, rzuciła wzrokiem na dziecko i wymownym ruchem ramion wydała o nim sąd stanowczy. Wtedy Madi przystąpiła do zwykłej ceremonii, którą spełniała zawsze w takich wypadkach.

Naczerpnąwszy w prawą rękę wody, zbliżyła się do konającego dziecka, a nalawszy mu wody na głowę, wyrzekła dobitnie następujące słowa:

– Ja ciebie chrzczę, Mario, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Dziecko otworzyło błękitne oczy, wpatrzyło się w sufit izdebki – po czym powoli bardzo zasunęło powieki i zostało już tak, straszne, martwe, sine w niepewnym świetle lampy. Lekki oddech poruszył maluchną pierś i znów jedna dusza uleciała na powrót w krainę wiecznej tajemnicy.

Tymczasem banda spóźnionych i dobrze podchmielonych mężczyzn powracała od rogatki, krzycząc i hałasując po drodze. Śmiechy ich i śpiewy precyzyjnie się do izdebki, w której leżała Kaśka. Ponad wszystkimi górował głos Jana. Ten śpiew pijacki ojca wpadł nagle wśród nocnej ciszy i owionął ochryplymi tony siny trup dziecka i bezprzytomną z bólu i cierpienia matkę.

.....

– Niech panią Sznagiel szlag trafi!... Ja dam na trumienkę, a dziecka w papierze wyrzucać na cegły nie dam.

– Phi! jak panna Marynka taka dama, to proszę. Można jeszcze i karawan zamówić z piórami i liberią!

– Niech pani Sznagiel nie kpi. A dziecko trza w święconej ziemi pochować, bo to nie szczenię, jeno ludzkie ciało.

– Dobrze! dobrze! daj tylko panna na trumnę i miejsce na cmentarzu.

– To się wie, że dam, i jak się należy!

Kaśka z wdzięcznością spojrzała na pocziwą dziewczynę. Była przecież tak osłabiona, że mówić jeszcze nie mogła. Marynka siedziała przy niej na łóżku, zaperzona, czerwona, zirytowana niegodziwym postępowaniem Sznaglowej. Ta ostatnia bowiem, nie czekając nawet na polepszenie zdrowia Kaśki, dręczyła chorą od samego rana bezustannie wymówkami, a Madi pobiegła po Marynkę, raportując jej, co się stało.

Trup dziecka pozostał jeszcze w domu, bo Madi bała się w niedzielę po nocy chodzić na Glińnianki. Bandy pijanych rzemieślników włóczyły się wzdłuż cegielni poniedziałkując wśród rowów i krętych ścieżek. Marynka dała Sznagłowej trzy reńskie, upominając, aby trumienka była „porządna” i lakierowana na niebiesko.

Akuszerka z drwiącym uśmiechem ubrała się i wyszła, zaciskając w dłoni trzy brudne papierki. Za nią wysunęła się cicho Madi i dopędziła matkę na zakręcie ulicy. Zamieniły kilka zdań urywanych i dziewczyna, podskakując, puściła się z powrotem do domu.

Wpadłszy do sionki, skręciła na lewo i zabiegłszy do pokoju, odsunęła cicho szufladę komody. Z szuflady tej wyjęła arkusz papieru i położyła go na środku kulawego stołu. W trykotowy stanik wpięła sobie kilka szpilek i usiadła spokojnie na krzeselku, pogwizdując tylko od czasu do czasu.

Tymczasem Marynka z niekłamanym współczuciem wpatrywała się w twarz Kaśki. Znalazła ją więcej zmienioną, niż się spodziewała; cała twarz chorej zdawała się posypana popiołem, a rysy wydłużyły się w nadmierny sposób. Ona sama nie przechodziła przez to nigdy, ale musiało to być cierpienie niemałe, skoro tak zmienić mogło w przeciągu nocy jedną kobietę.

Na dworze dżdżysto i pochmurno było dnia tego. Szara barwa wpadała przez rozdartą firankę, oblewając jakimś trupim blaskiem postać chorej. Trup dziecka, zimny, sztywny, odznaczał się pod cienką, podartą serwetą, jaką był przykryty. Marynka zbliżyła się wolno i uchyliła serwety. To drobne, nie wykształcone zupełnie stworzenie, zamarte jeszcze w łonie matki, ukazało się nagle w smutnym blasku, skarżąc się niemo na śmierć swą przedwczesną.

Kaśka wpatrzyła się w szerniałe ciało dziecka i wstrząsnęła się konwulsyjnie.

– Powiedział, że to nie jego! – wyszeptala prawie nieprzytomna.

Marynka zasłoniła trupa.

– Kto ci to powiedział? – zapytała, nachylając się nad chorą.

– On! Jan!

Marynka porwała się gwałtownie.

– Gdzieżeś tę psiewiarę widziała? – zawołała.

Ale Kaśka już umilkła. Nie chciała widocznie mówić więcej. Była tak nieszczęśliwa, że czuła, iż słów jej zabraknie, aby swój ból opisać. Cierpiała przy tym bardzo, dojmujące bóleści przeszywały jeszcze jej wnętrzności, a wzdłuż krzyża przebiegały straszne dreszcze. Drżała cała jak w febrze, a zęby dzwoniły, uderzając jedne o drugie. Widocznie męka jej końca nie miała. Marynka postąpiła jeszcze długą chwilę koło chorej, starając się przynieść jej ulgę. Okrywała ją wszystkimi szmatami, które napotkać mogła, i obiecała przynieść araku, który ukradnie swej pani ze spiżarnianej szafki.

Czuła wielką litość dla tej nieszczęśliwej istoty, tym nieszczęśliwszej, że opuszczonej jak pies, którego pan wypędza od siebie, przeznaczając na zagładę.

Powoli przecież zdawało się jej, że Kaśka uspakaja się, cicho więc wyszła z izdebki, obiecując sobie powrócić za kilka godzin. Gdy schodziła ze schodków, spotkała się ze Sznagłową, powracającą z miasta. Sznagłowa powiedziała, że trumienkę zaraz przyniosą, niebieską i wiórami napelnioną. Kosztować miała półtora guldena. Marynka zgodziła się na cenę, ale kazała Sznagłowej wstrzymać się z włożeniem trupa do trumny aż do chwili, w której ona będzie obecna. Sznagłowa przyrzekła jej to solennie i Marynka poszła, o ile mogła najspieszniej, w stronę miasta.

Idąc zatrzymywała się wszakże kilkakrotnie dla nabrania oddechu – choroba piersiowa rozwijała się w niej, niszcząc cały organizm.

Tymczasem Sznagłowa weszła do domku i skierowała się ku izdebce Kaśki. Zastała chorą leżącą z zamkniętymi oczami, wstrząsaną całą dreszczami febrycznymi. Sznagłowa jak kot przysunęła się do łóżka i wyciągnęła ręce. W nagromadzonym stosie łachmanów znalazła szybko trup dziecka i pochwywszy za nóżki, wysunęła się, unosząc dziecko z izdebki. Kaśka nie otworzyła nawet oczów, a drżący jęk wybiegał gamą chromatyczną z jej obolałej piersi.

Sznagłowa weszła teraz do przeciwległego pokoju, w którym siedziała Madi. Szybko podała trup dziecka córce, która, gwizdząc, zbliżyła się z nim do stołu. Potem zręcznie ułożyła szerniałe ciało na arkuszu papieru i zawinawszy je z wprawą sklepowej panny, zapieła cały pakiet szpilkami.

Podczas tej operacji matka i córka nie przemówiły do siebie ani słowa. Gdy Madi porwała pakiet i ukryła go, jak zwykle, pod fartuchem, Sznaglowa odezwała się, radząc dziewczynie wziąć przynajmniej chustkę dla lepszego ukrycia dość dużego pakunku. Madi wszakże wzruszyła ramionami. Nie! ona nie pójdzie zwykłą w tych wypadkach drogą, zna inną ścieżkę i inne doły, tam z pewnością teraz nikogo nie spotka, a wreszcie robotnicy już przestają o południu włączyć się po Gliniankach.

Sznaglowa wzruszyła ramionami i ustąpiła doświadczonej dziewczynie. Chwilkę jeszcze słuchała, jak Madi gwizdała walca przedzierając się przez krzaki. Przez otwarte okno wpadał ten gwizd czysto i donośnie, aż powoli, stopniowo uciszał się w miarę oddalenia. Był to pogrzebowy dzwon dla dziecka zmarłego tej nocy, grzebanego jak szczenię, które wyrzucają na rozstajne drogi.

Tymczasem Sznaglowa zbliżyła się do komody, a otworzywszy szufladę, wyjęła z kieszeni trzy reńskowe papierki, te same, które jej dała Marynka, i włożyła w pończochę grubą, granatową, szleszczącą całą od schowanych we wnętrzu pieniędzy. Po czym z uśmiechem ukryła pończochę pod stosem bielizny i zamknąwszy starannie szufladę, wzięła się do preparowania czarnej malwy, dzieląc większy zapas na drobne torebeczki, które fabrykowała naprędce z arkuszy bibuły.

Marynka mogła teraz przyjść bezpiecznie – ona powie, że dziecko włożono do trumienki i pogrzebano, bo psuć się zaczęło. Marynka nie ma czasu, aby pójść i świeżą mogiłkę oglądać, później zapomni, a trzy guldeny powiększą posag Finy i Madi. Gdy Madi powróciła wreszcie zmoczona i zabłocona, opowiedziała, że dziecku będzie bardzo dobrze w wygodnym dole, który przysypała ziemią. Po czym zabrała się do smażenia konfitur z listków róży, które pasjami lubiła.

Całe poobiedzie minęło cicho i spokojnie, Marynka nie zjawiała się wcale. Kaśka, której dano trochę rumianku, leżała w gorączce i osłabieniu. Przytomność przecież miała zupełną. Kilka razy poruszyła się niespokojnie, szukając zmarłego dziecka. Nie pytała się wszakże o nie i bała się Sznaglowej, która, chmurna i zła, podała jej napój. Madi, zajęta konfiturami, nie pojawiła się wcale. Z zakasnymi rękawami kręciła się ciągle koło komina, śmiejąc się i oblizując na widok różowych szumowin, które zbierała starannie. Nagle porwała się z krzykiem. Zabrakło jej cukru, cały stos listków róży czekał jeszcze swej kolei. Szybko jak strzała odstawiła rondel i wybiegła z domu. Lecz zeskoczywszy ze schodów, stanęła jak wryta. Niezwykły widok uderzył jej oczy. Wzdłuż drogi, wijącej się pod domkami, stało kilkunastu ludzi ubranych w zniszczone mundury lub palta, z minami na w pół obojętnymi i na w pół przebiegłymi. Stali po obu stronach drogi, z rękami założonymi, odcinając swe wychudłe profile na szarym tle horyzontu. Pomiedzy nimi błyskały żółte półksiężycy i czerwieniły się ciemne mundury policjantów. Z domku oddalonego o jakieś sto kroków od domku Sznaglowej wychodzili jacyś mężczyźni w liczbie pięciu, z których dwóch było po cywilnemu, reszta zaś nosiła ubiory komisarzy policji. Jeden z policjantów, stojący na drodze trzymał w ręku duży pakiet, obłocony, rozmokły, ciekący błotnistą wodą. Madi otworzyła szeroko oczy. Pakiet poznała natychmiast – był to trup dziecka Kaśki, ten sam trup, który kilka godzin temu przywaliała wilgotną ziemią w dole na Gliniankach. Dziś ten trup zmartwychwstaje po to, aby je może zgubić, bo nic innego, tylko policja musiała znaleźć to szerniałe ciało, a teraz robią poszukiwania za chorą, poznawszy, że dziecko musiało być wczoraj zrodzone.

Nie chodzi tu o policję, bo tej Madi nie obawia się wcale, ale ci lekarze jej nie znani, którzy od dawna śledzą, kto udziela kobietom tych strasznych trucizn, niszczących życie płodu, zabijających istoty jeszcze w łonach matek. Madi wie, że Sznaglowa ma wielu nieprzyjaciół. Gdy znajdą Kaśkę, jakkolwiek jej poród przedwczesny wywołany został tylko wypadkiem, na niej zbudują cały akt oskarżenia i kto wie, gotowi jeszcze upatrzeć na trupie dziecka oznaki gwałtownej śmierci.

Cóż czynić? Przytomna zwykle dziewczyna traci głowę – już tylko trzy domy oddzielają grupę rewizyjną od domu jej matki. Jeden z policjantów, dobry jej znajomy, oddzielił się od swych towarzyszy i niepostrzeżenie daje jej znaki ostrzegające o bliskim niebezpieczeństwie. Ona chwilę jeszcze stoi na miejscu, namyślając się, łamiąc nerwowe ręce, zaróżowione jeszcze sokiem konfitur. Nagle jak strzała wpada do domu, a otworzywszy drzwi, krzyczy od progu:

– *Mutter! Revision!*

W wypadkach nadzwyczajnych posługiwano się rodzinnym językiem. Sznaglowa więc równą miarą odpłaciła, wrzasnąwszy:

– *Ach, Gott!*<sup>60</sup>

I obie, jakby pchnięte jakąś siłą, wpadły do izdebki zajmowanej przez Kaśkę. Madi rzuciła się pierwsza do łóżka chorej.

– *Sie muss weg!*<sup>61</sup>

Sznaglowa nie odpowiedziała nic, tylko drżącymi rękami zaczęła zrywać z Kaśki kryjące ją szmaty.

Kaśka, przerażona, drżąca, spoglądała na obie kobiety, jak zwierzę ranione śmiertelnie, szarpana jeszcze przez zgraję psów.

– Ty! wstawaj – woła Madi. – Policja idzie po ciebie, musisz stąd pójść, bo inaczej wezmą cię do więzienia.

Kaśka zrozumiała tylko jedno słowo – policja. Więc znów ją ścigają? – nawet teraz, w tej chwili nie dadzą jej spokoju? Przy tym czuła, że ją wypędzają; rozumiała, że te dwie kobiety nie pozwolą jej zostać ani sekundy dłużej pod swym dachem.

I nadludzką siłą woli, właściwą tylko zrozpaczonym kobietom, podniosła się z łóżka i stanęła na podłodze. Sznaglowa zarzuciła na nią obszarpaną spódnicę, a Madi jakieś porwane i objedzone przez mole futerko, pokryte trzęsącymi się łachami. Na boscie nogi wtoczyły jej wielkie kalosze – i chwiejącą się, straszną, bladą jak chusta, wyprowadziły poza próg domu.

Jeszcze był czas. Krzaki zakrywały schodki od strony rozstawionych po drodze łapaczy, którzy wolnym krokiem posuwali się naprzód. Kaśka mogła zejść na drogę niepostrzeżenie i przesunąć się pomiędzy gromadą policjantów. A zresztą, cóż to obchodziło Sznaglową? Jej szło tylko o usunięcie chorej z mieszkania, o nic więcej. Gdy ten główny dowód był usunięty, nic jej zarzucić nie można było. Gdyby nawet Kaśka, złapana, przyznała się do wszystkiego i wskazała jej dom jako miejsce swego pobytu, ona mogła się wyprzeć wszystkiego. Któż widział u niej Kaśkę? Jedna Marynka – ale Marynka musiałaby milczeć dla rozmaitych względów...

Tymczasem Madi zajęła się szybko uporządkowaniem pokoju i posłaniem łóżka. Szmaty wyniesiono do piwnicy i w kilka prawie sekund nie pozostało ani śladu bytności Kaśki. Madi stała, smażąc konfitury i gwizdząc walca, oblana jasnym światłem ogniska; opodal Sznaglowa cerowała bieliznę z wyrazem anielskiej dobroci na żółtawej twarzy. Kaśka przecież schodziła wolno ze schodów, trzymając się poręczy. Z najwyższym wysiłkiem stanęła na dole i oparła się o barierę. Każdy krok sprawiał jej cierpienie wielkie. Zdawało się jej, że tysiące noży przeszywa jej wnętrzności. Czerwone pasma migały jej przed oczami, zasłaniając wzrok i oslepiając ją prawie. Widziała tylko kilkanaście ciemnych postaci, postępujących wolno wzdłuż obu brzegów drogi. Myśli wszakże zaczęły wikłać się w jej mózgu. Kto są ci ludzie? czego chcą od niej? Czy życia? Wiedziała tylko, że jej iść kazano.

Iść więc pragnęła – musiała.

Iść dalej, bez końca! bez celu!

Spoza chmurnego nieba zabłysło nagle kilka żółtych, niezdrowych promieni. I w tym mdłym blasku oczom policjantów i łapaczy ukazała się występująca nagle spoza krzaków postać kobieca, tak straszna nędzą i cierpieniem, tak blada tą bezkrwistą bladością trupa, że wszyscy ci mężczyźni poznali w niej od razu matkę szerniałego, martwego płodu, który szarzał wśród podartych szmat żółtawego papieru. Ale wielką musiała być nędza tej kobiety, strasznym – cierpieniem wiejące z jej zgarbionej postaci, przerażającym – wyraz tych oczów załzawionych, wpadniętych głęboko, a wpatrzonych w przestrzeń z wyrazem bezmiernego bólu i trwogi, skoro w sercach tych ludzi, zakamieniałych i zahartowanych na wszelkiego rodzaju cierpienia, ozwała się litość i chęć dopomożenia tej nieszczęśliwej. Prawie wszyscy odwrócili głowy lub spuścili oczy w ziemię, aby ułatwić Kaśce przejście, zanim komisja rewizyjna wyjdzie z pobliskiego domku. Ona postąpiła jeszcze

<sup>60</sup> *Ach, Gott!* (niem.) – Ach, Boże!

<sup>61</sup> *Sie muss weg!* (niem.) – Ona musi odejść!

kilkanaście kroków, wlokąc drżące nogi, taczając się jak pijana. Nie widziała już postaci mężczyzn otaczających ją dokoła. ciemniało jej w oczach, wszystko kręciło się przed jej wzrokiem. Nagle wyciągnęła ręce i bez jęku, bez krzyku osunęła się znów na wilgotną ziemię, tuż u nóg policjanta, trzymającego na rękach trupa jej dziecka.

W tej samej chwili drzwi domu sąsiedniego z domkiem Sznaglowej otworzyły się i wyszedł z nich komisarz, a za nim doktorzy. Dwóch urzędników opóźniało się jeszcze w głębi sieni, zasięgając bliższych informacji. Komisarz pierwszy dostrzegł leżącą na środku drogi Kaškę. Szybko zbiegł po schodach i stanął obok zemdlonej. Kilku policjantów zbliżyło się powoli. Komisarz porwał zimną i sztywną rękę Kaški i szarpnął nią mocno. Obszarpane futerko zsunęło się z kobiety, odsłaniając jej nagie ramiona. Twarzy widać nie było, gdyż Kaška leżała zwrócona twarzą do ziemi. Blade, wielkie uszy komisarza zabarwiły się różową barwą i poruszyły się wachlarzowato. Pan Rimotat zwietrzył zwierzynę i tak łatwo puścić jej nie chciał. Kto wie, podobne wykrycie może stanowić niezłą kreskę w spodziewanym awansie. Blade swe oczka przenosił bezustannie z martwych zwłok dziecka na leżącą na ziemi kobietę. Rzecz można, że szukał pomiędzy nimi jakiegoś podobieństwa i z tych dwóch nieruchomych ciał chciał wyciągnąć łącznik, jakąś spójnię, która by go naprowadziła na dobrą drogę.

Jeden z policjantów pochylił się nad Kašką i dotknął się jej ramienia. To młode, zanęzione stworzenie budziło w nim litość wielką. Zapragnął ją ocalić, jakkolwiek wężem sobie właściwym odgadł całą prawdę.

– To jakaś pijaczka, panie komisarzu, trzeba ją wziąć do furdygi.

Ale pan Rimotat wstrząsnął głową.

Nie! ona nie była pijana, ta wielka dziewczyna, padająca wśród dnia białego tuż obok nogi komisji rewizyjnej i całej zgrai policjantów. Było w tym coś innego, coś wiążącego się z tym trupem dziecka, znalezionym przed dwiema godzinami w dole tuż koło cegielni. Chłopcy, bawiący się sypaniem szańców, odkryli szerniałe ciało, źle przysypane ziemią, i zanieśli obwinęte w papier, tak jak znaleźli, na inspekcję policyjną, szczęśliwi, że stać się mogą bohaterami dnia.

Teraz do lekarzy należy wydać wyrok, czy dziewczyna, która padła tak nagle, jest pijaczką lub istotą poszukiwaną przez tę całą zgraję mężczyzn, istotą, która w ich mniemaniu popełniła zbrodnię.

Za chwilę nadeszli lekarze i pochylili się nad Kašką. Przez kilka minut trwała wielka cisza, przezywana tylko szmerem gałęzi gnących się za powiewem wiatru. Słońce ukryło się znów za chmury, jakby zasmucone tą nędzą ludzką, którą oświeciło złotym swym blaskiem. Pośepnie było i chmurno dokoła.

Nareszcie podnieśli się lekarze i jeden z nich, człowiek siwy, o zimnym i obojętnym wyrazie twarzy, spojrzął na trup dziecka, trup smutny, bezbarwny, zmarszczony, po czym wyrzekł, wskazując na Kaškę:

– To matka!

– Janie! Janie! – jęczała Kaška.

Od chwili podjęcia jej przez policję ze środka drogi nie odzyskała przytomności. Odwieziona z rozporządzenia lekarzy i władzy do szpitala miejskiego i umieszczona na oddziale położniczym, leżała nieruchoma, nieprzytomna, z twarzą pałającą, z oczyma wpatrzonymi w przestrzeń z jakąś straszną, bezmierną rozpaczą. Nie wymówiła nic więcej nad imię Jana, które powtarzała z uporem szaleńca, nadając jednak co chwila odrębne intonacje temu jękowi. Lekarze, po dość usilnej chęci ocalenia jej, odstąpili zupełnie od jej łoża. Wiele chorób skomplikowanych, groźnych zapaleń, połączyło się ze sobą. Posługaczki mówiły, że pokarm uderzył Kaške na mózg, każdy komentował jej chorobę w rozmaity sposób.

Ona przecież nie rozumiała swego stanu i leżała wciąż, jęcząc cicho, skazana na śmierć, trup za życia, jeszcze żywa, a przecież umarła. Powoli przestano się nią interesować, choroba przeciągała się, śmierć spóźniała się widocznie. Młode, silne ciało walczyło ze zgonem, nie chcąc przejść w stan rozkładu. Umieszczono ją w wielkiej sali operacyjnej, na łóżku z kółkami dla łatwiejszego

usunięcia w razie śmierci. Sala ta, nie używana od dawna, wychodziła na kurytarz obwodowy, łączący wszystkie sale i pokoje pierwszego piętra. Po tym kurytarzu snuły się we dnie postacie młodych dziewcząt, obleczone w szare jednostajne suknie, przepasane paskiem skórzanym i kryjące swe twarze w chustki, związane pod brodą. Dziewczyny te, używane do posług koło chorych, miały w swych ruchach jakąś bezczelność, coś, co je odróżniało od innych kobiet i piętnowało właściwym ich mianem. Chodziły wolno, jak uparte woły w jarzmie, złe, nachmurzone, tęskniąc za swobodą i rozpustą, z jakiej wyrwane zostały. Czasem pomiędzy nimi mignęła czarna suknia dozorczyńni lub gumowy fartuch dyżurnej akuszerki. Był to cały świat kobiet, przecięty tylko od czasu do czasu ciemną sylwetką lekarza, śpieszącego do sali z instrumentami pod pachą, lub czarną sutanną księdza, cisnącego do piersi puszkę z Olejami. I tylko dzwonek jęczał, wzywając do rannej lub wieczornej modlitwy lub zwiastując, że jeszcze jedna męczennica, spełniając swe przeznaczenie, odchodzi ze świata na zawsze. I tylko chwilami jęk straszny wybiegał spoza zamkniętych szczelnie drzwi, przy których, jakby na warcie, stały nosze na kółkach, oczekujące na martwe ciało, które należało do prosektorium. A był to straszny zwierz, nigdy nie nasycony, wiecznie głodny, pożądający trupów, jak hiena padliny, a szpital wypłacał swą daninę, rzucając mu stosy tych ciał kobiecych, wymęczonych chorobą, strasznych cierpieniami, które przeżyły. Z nadejściem nocy milkło wszystko. Szaro ubrane dziewczyny szły na górne piętra, aby tam przemruczeć litanie i pewną ilość pacierzy. Potem, milcząc, rozbrajały się ze swych parcianych spódnic i układały się na wysokich tapczanach, stojących rzędami wzdłuż ścian bielonych.

W salach, tak zwanych gorączkowych, pojawiały się szare suknie siostr miłosierdzia, które z marmurowymi kulkami w wyschłych dłoniach zbliżały się do rozpalonych i zmęczonych chorych. Chłodząc dłonie, kładły je później na płonących żarem skroniach bezprzytomnych kobiet, pełne poświęcenia, zaparcia się swego ja – całe oddane na usługi ludzkości. Nieraz te prawdziwe anioły pochylały się dobrotliwie nad łóżem skalanej rozpustą dziewczyny, ale mała ich liczba nie zdołała nastarczyć wszystkim potrzebom. Robiły, co mogły, czuwając noc całą. I była to prawdziwa modlitwa taka noc bezsenna, spędzona wśród jęków i skarg cierpiących istot.

Po kurytarzach zalegały cienie. Tylko małe lampki, wiszące u stropu, rzucały mdławę blaski na ściany bielone, na których gdzieniegdzie czernił się krzyż drewniany. Tylko czasem wśród tej ciszy otwierały się z wolna drzwi którejkolwiek sali i wysuwał się orszak złożony z kilku osób niosących owinięte w prześcieradło, sztywne i martwe ciało. Zwłoki te składano na noszach, do których dorobiono kółka, i ten wóz pogrzebowy posuwano cicho wzdłuż kurytarza po wojłokowym chodniku. Trup przesuwiał się przed zamkniętymi drzwiami sal, żegnając się milcząco z towarzyszkami niedoli, a w bladym świetle lamp rysowały się ostre kontury wychudłych członków, zakrytych prześcieradłem. Był to pogrzeb opuszczonych, zapomnianych nędzarek, o które nikt się nie troszczył i za którymi nikt płakać nie śmiał...

– Janie! Janie!

W tej pustej, ciemnej prawie sali strasznie rozlegał się jęk obłąkanej. Ona, która sama przed sobą wstydziała się przyznać do przywiązania dla człowieka, który ją zgubił, w tej strasznej chwili skonu wołała go bezustannie. Imię jego powracało ciągle na jej drżące wargi, przechodząc chwilami w przeciągłe wycie konającej samicy. Imię to zagłuszało psalmy pokutne, które próbowano czytać przy łożu tej bezprzytomnej grzesznicy – dominowało ono nad wszystkim, przytłaczało wszystko i ciągle, ciągle wzbijało się w górę, jakby oznajmiając ten wieczny tryumf mężczyzny nad kobietą, nawet w chwilach ostatnich jej męczarni.

Z głową w tył przechyloną, z włosami rozrzuconymi na twardej ceratowej poduszce, z oczami wlepionymi w przestrzeń ten trup żyjący, ta wspaniała istota, zdruzgotana i unicestwiona dla igraszki męskiej, wołała go przecież, wołała go jeszcze!... przebacząc mu cierpienia, oszalała w swym przywiązaniu jak pies, zbity przez swego pana, a wyjący za ręką, która go do krwi chłostała.

I wreszcie przyszła ta noc, która miała uciszyć ten jęk i kazać zamilknąć wołającym ustom. Posługaczka, czuwająca zwykle przy Kaśce, zmęczona, usnęła twardo w przeciwnym kącie sali. Kaśka więc leżała sama, opuszczona od wszystkich, tak wycieńczona tą długą walką o życie, że nie



pozostało jej więcej sił opierać się śmierci. Niepewne światło lampki migotało opodal. Reszta sali tonęła w cieniu. Kaśka leżała prawie nieruchoma, tylko ręce odzyskały nagle władzę. Zdawała się nimi odpychać coś, co się cisnęło ku niej, coś widocznego tylko dla niej samej... Oczy otworzyła szeroko, a z piersi jej dobywał się jęk chrapliwy, rżący, ten ostatni oddech martwiejącego ciała.

Na twarz jej zdawała się spadać zasłona z szarej krepy, wydłużając rysy, zaostrzając nos i brodę. Wychudłe policzki wpadały coraz więcej, tworząc głębokie doły w obu stronach twarzy. Włosy nawet traciły połysk i stawały się coraz bardziej matowe, a oczy szkliły się jakby emaliowaną powłoką. Wszystko zamierało powoli, szarząc i blednąc; kobieta powoli przetwarzała się w zimną, zlodowaciałą bryłę, niezdolną do spełnienia ani dobrego, ani występnego czynu.

Nogi prostowały się same, zlodowaciałe, z wyciągniętymi stopami, już zupełnie bezwładne i zimne. Ręce tylko, wychudłe, cienkie jak ramiona szkieletu, poruszały się w powietrzu krótką chwilę. Po czym opadły na łóżko, wydłużając się wzdłuż ciała, przybierając już bezwiednie kształt odpowiedni do włożenia w trumnę. Kaśka konała.

W pustej, ciemnej sali nie było nikogo, ona jedna żyła tu jeszcze, jeśli to życiem zwać było można. Na ścianie czernił się krzyż drewniany, występujący chwilami w migotliwym blasku lampki. Ale Kaśka nie widziała tego krzyża, nie widziała już nic zgoła.

Usta jej tylko poruszyły się jeszcze i cichy, ledwo dosłyszalny szept wybiegł z jej zbielejących warg:

– Janie! Janie!

Potem pozostała już sztywna, nieruchoma, straszna zielonawą bladością trupa, którego rozkład zaczyna się niemal w pierwszej chwili. Wielka i wydłużona jeszcze śmiercią, bielą pod prześcieradłem jak olbrzymi posąg, szary, kamienny, z szeroko rozwartymi źrenicami, wpatrzony w dal z wyrazem skargi sieroczej.

\*

Szare światło poranka leniwo przedarło się przez grube szyby i oblało kamienne stoły i porostawiane na nich narzędzia. Kilku mężczyzn w paltotach, w zmiętych koszulach, o twarzach pobladłych od bezsennych nocy, stało na środku sali, rozmawiając półgłosem. Czuć w nich było birbantów całonocnych, którzy wprost z kawiarni, od filiżanki czarnej kawy, szli do pracy, aby drżącą ręką ująć ostre narzędzia lub śrubować hermetyczne wanienki z preparowanymi częściami trupów. Nagie, wysokie ściany sali wznosiły się poważnie, ciemne, ponure. Okna, osadzone wysoko, były zakratowane, jak w więzieniu. Wzdłuż izby ciągnęły się stoły, a raczej bufety, kryte kamiennymi płytami. Każdy stół opatrzony był z obu stron rynienką blaszaną i miał przytwierdzoną olbrzymią, starą, zniszczoną, niemal cuchnącą gąbkę. Nie było to przecież właściwe prosektorium, ale sala przeznaczona dla studiów wakacyjnych i otwarta tylko podczas lata. Do tej sali schodzili się studenci przebywający podczas wakacji w mieście i ciągnęli dalej swe studia, zamawiając ku temu trupy w szpitalu.

Na w pół uchylone drzwi ukazywały w enfiladzie cały szereg sal, utrzymanych z wzorową czystością; podłoga woskowana lśniła się jak w sali balowej, a całe rzędy szaf błyskały setkami najciekawszych okazów. I cisza była w tych salach, istotna cisza zakrystyjna. Brakowało tylko woni jałowca lub mdłego zapachu kadzidła. Te potwory szare, smutne, skurczone w zbyt ciasnych słojach, te kościotrupy, ustawione w pozach manekinów sklepowych, te czaszki, lśniące jak marmury, kości poukładane symetrycznie, ozdobione karteczkami, słowem, to wszystko, co się zostaje z ludzi po przewalczeniu życia, szarzało w porannym świetle, straszne w swej nieruchomości, jak resztki jakiejś uczyty ludożerców, którzy mięso przełknawszy, zostawili kości swych wrogów na wieczną pamiątkę. W izbie, tak zwanej wakacyjnej, nie było wzdłuż ścian szaf napełnionych „okazami”, były tam natomiast krany i ścieki, wiązki szmat zastępujących ręczniki, a na stołach, na podstawkach mosiężnych stały długie szklane naczynia, z kształtu do retorty podobne. W tych naczyniach mieniły się różnymi barwami jakieś stałe ciała, przecinane białymi nitkami. Na boku, na warsztaci-

ku z mocnych drutów, suszyła się błona opłucna, rozpięta na kształt nietoperza. W kilku wanienkach za szklaną taflą, zamkniętą hermetycznie, czerwieniły się preparowane nogi, ręce ludzkie, moknące w glicerynie.

Mężczyźni stali na środku sali, rozmawiając ciągle. Nie śpieszyli się do pracy, opowiadali sobie anegdotki, pełni znużenia i niechęci do życia. W kącie sali, szerniały, okurzony kościotrup kobiecy pochylał się, jakby słuchając tych zwierzeń miłosnych, które dziwnie rozbrzmiewały w tym przybytku śmierci. Kościotrup ten, zapomniany, zepsuty, stał już na tym miejscu lat wiele i słyszał niejedno, chyląc się coraz więcej, źle pościągany drutami, i śmiejąc się tym strasznym śmiechem, właściwym tym trupim głowom. Czy ta kobieta śmiała się z nich, z tych mężczyzn, którzy w zarozumiałości swej rozpowiadali sobie wzajemnie miłosne podboje – czy ze samej siebie i z dawnej łatwowierności swojej – było to jej własną tajemnicą. Nagle rozmawiający ucichli. Poza ścianą odezwał się głos dzwonka, dobitny, czysty, jak dzwonek klasztorny, wzywający na obiad lub wieczerzę. Młodzi ludzie rzucili się w tym kierunku, a ślady znużenia znikły z ich twarzy. Przetworzyli się, rzecz można, zupełnie. Ten głos dzwonka powołał ich z krainy knajpiarskich miłostek do pracy i rzeczywistości.

Dzwonek odezwał się po raz drugi i jakiś szum, łoskot dał się słyszeć poza ścianą. Wówczas jeden z młodych ludzi, wysoki blondyn o szerokim różowym karku, zbliżył się ku ścianie i palcem nacisnął duży drewniany guzik.

Ściana rozsunała się z wolna, pozostawiając duży kwadratowy otwór. W otworze tym widać było rodzaj komory ciemnej z platformą drewnianą, spuszczoną na szerokich pasach drucianych. Na platformie tej leżały dwa trupy, owinięte grubymi szarymi prześcieradłami.

Blondyn pochylał się naprzód i patrzył chwilę na martwe ciała.

– Dziecko i kobieta! – wymówił wreszcie i równocześnie wyciągnął rękę w stronę większego, pełniejszego trupa, którego kolosalne prawie rozmiary podnosiły fałdy płótna.

– Kobieta! moja!

Nikt mu nie zaprzeczył prawa tej własności. Żartowano nawet. Jak to, więc nawet i umarłe chciałby wziąć wyłącznie dla siebie? Ale on nie słuchał, zajęty wydobyciem zwłok z otworu przy pomocy garbatego sługi, który równocześnie z odgłosem dzwonka pojawił się w sali. Trup był niezwykle ciężki! piękny okaz! Gdy wyprawi kości, może mieć wspaniałą kościotrup w swym mieszkaniu. Ustawi go pod fotografiami kochanek, które zajmują już połowę ściany jego izdebki. Kościotrup stanie tuż pod fotografią Julii, tej bladej żony skąpego i starego urzędnika, z którą jeździł tak często za rogatki. Będzie to pyszny kontrast! Julia, tak okrągła, mała, a tłusta, dobrze odbijać będzie od wielkiego szkieletu. Ale na cóż, u diabła, mogła umrzeć tak pięknie zbudowana kobieta? Trup Kaśki leży już na kamiennym stole, a ręka kochanka Julii zdiera z niej szybko ostatnią zasłonę. I jeszcze raz ostatni imponuje to pyszne ciało swą wielką pięknnością, a choć oszpecone chorobą, choć wyniszczone niemal do szczytu, jeszcze resztkami dawnej świetności zadziwia obecnych. Dokoła stołu zgromadzili się niemal wszyscy studenci, nie szczędząc dowcipnych uwag, ale leżąca pomiędzy nimi kobieta nie oblewa się już więcej rumieńcem wstydu. Ona, skamieniała w swym cierpieniu, patrzy wciąż w przestrzeń szeroko rozwartymi i nieruchomymi żrenicami i leży spokojna, mimo swej nagości, wśród tej gromady mężczyzn jeszcze pobladłych od nocnej rozpusty. Dręczona życie całe jak zwierzę, wyzyskiwana moralnie i fizycznie, zdradzona, oszukana, sporniewierana, wygłodzona, ofiarowuje jeszcze wymęczone ciało swoje na potrzeby ludzkości, ofiarowuje je pod skalpel, który lada chwila zanurzy się w jej łonie.

Kariatyda!

O tak, istotnie prawdziwa Kariatyda społeczeństwa, ta nędzna dziewczyna z ludu, ten muł robotczy w rękach kobiet, muł źle karmiony, śpiący na ziemi, dręczony dniami i nocami całymi. Bez promyka światła dźwiga ta Kariatyda całe brzemień pracy i niedoli, a gdy zapragnie być kobietą, gdy spełni posłannictwo, jakie natura jej nakazuje, rodzić swe dzieci musi w nędzy i opuszczeniu, podrzucać po rozstajnych drogach jak szczenięta, co gorsza, nie mogąc znaleźć środków do życia, morduje swój płód własnymi rękami.

Mężczyzna, jak pies gończy, ściga nieszczęśliwą, wtrącając ją dla swego kaprysu lub dla zadowolenia chwilowej żądz w przepaść hańby i rozpacz. A wprędce zapomina nawet rysów postaci tej, którą brutalnie zmusił do występku, waląc na jej ramiona wszystkie następstwa podobnego kroku.

Kariatyda!

Ależ to Kariatyda schowana w cieniu, Kariatyda ubrana w łachmany, Kariatyda, która wielkim głosem domaga się światła i chleba. Istota ta zajmuje wybitne miejsce w każdym domu, przebywa ciągle niemal z dziećmi, ma wpływ na ich charakter, a jest przecież tylko niewolnicą o szerokich barkach, o której cierpienie, postępkę nikt się nie troszczy, nikt się nie spyta!

Stojący przy trupie Kaśki blondyn położył rękę na nagiej piersi kobiety. Było coś w tym ruchu z pana i władcy stworzenia, który kładzie dłoń swą na prawej swej własności czy żywej, czy umarłej. Krótką chwilę patrzył na ten tors, oblany teraz promieniami wschodzącego słońca, które przez szyby okien wpływały do sali. Zdawało mu się, że widział gdzieś tę dziewczynę, że trzymał raz jeden w objęciach ten tors potężny, który teraz miał twardość marmuru.

– Widziałem gdzieś tę machinę! – mruknął, wyciągając drugą rękę po skalpel. Tyle tylko zapamiętał z tej gorącej walki, jaką stoczył w pracowni Wodnickiego, chcąc gwałtem zadowolnić swą żądzę – walki, która mu tak gorące rumieńce pragnienia na policzkach wycisnęła.

Skalpel błysnął w promieniach słońca i dotknął białej piersi kobiety. Kaśka-Kariatyda raz ostatni oddała swe ciało na usługi ludzkości.